D. 27
456

P. 2790.

140
19 XI 52

KSIĘGA ŚWIATA.

(Rok 5)

KSIĘGA ŚWIATA.

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORYI KRAJÓW I LUDÓW,

ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI.

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNALAZKI,

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE,

i t. p.

Z RYCINAMI NA STALI CZARNEMI, KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

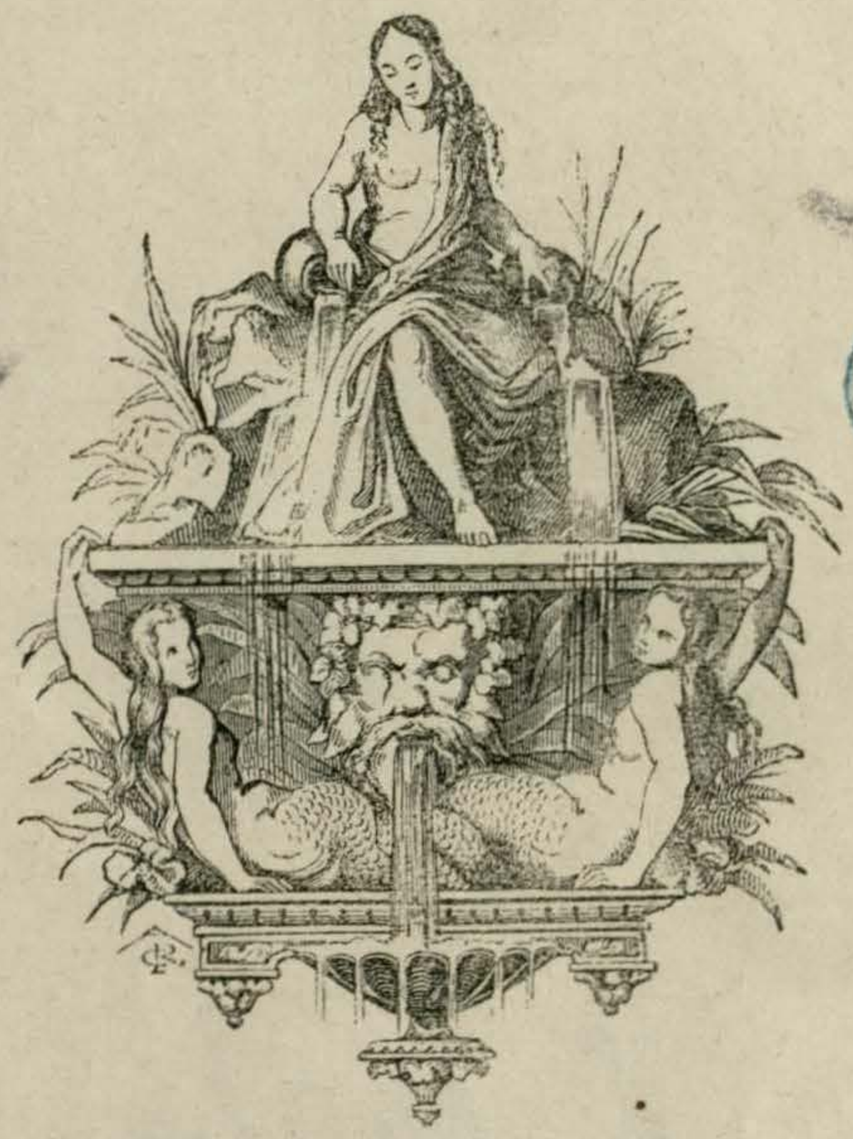

WARSZAWA.
NAKŁADEM **S. H. MERZBACHA** KSIĘGARZA
PRZY ULICY MIODOWEJ N. 486.

1856.

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Nr. P.2790

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

Warszawa dnia 3 (15) Grudnia 1856 r.

Starszy Cenzor, Radca Honorowy,
T. Hertz.

L. 140/52.

w Drukarni J. Jaworskiego.

Druck von A. Schuler in Stuttgart.

P. Wurster sc.

Palermo.

KSIĘGA ŚWIATA.

PALERMO.

Od miasta Montreal kręta droga, po któréj obu stronach wznoszą się letnie pomieszkania, prowadzi do rozkosznéj doliny, gdzie łyse skały, napiętrzone jedne na drugich, przeplatają bujne krzewy aloesów i kaktusów. Drzewa palmowe i bambusy kołyszą zielone swe wiérzchołki ponad łanami zboża łagodnie falującego pod tchnieniem morskiego powiewu; błyszczące liście drzew pomarańczowych i cytrynowych, udatnie rozłożone gałęzie drzewa oliwkowego, winokrzew gęsto rozrośnięty i wdzięczna zieleń oleandrów tworzą tło téj doliny czarującéj, w któréj leży Palermo.

Stolica Sycylii, starożytne *Panormos*, założona przez Fenicyan, otoczoną jest murami i zbudowaną kulisto w głębi zatoki. Port jéj niewielki, lecz ożywiony ruchem handlowym, przedstawia widok pełen urozmaicenia i powabu. Miasto na piérwszy rzut oka także wydaje się małém, lubo w istocie jest rozległe. Dwie ulice przecinające się poprzecznie dzielą je na cztéry części mniéj więcéj równe; szérokie, proste i dobrze zabudowane, są ony dwiema głównemi tętnicami życia miejskiego w Palermo. Jedna z nich nosi miano *Cassaro*, od słowa arabskiego *cassar*, znaczącego pałac; druga *Macqueda* czyli *Strada-Nuova*. Miejsce w którém te ulice się przerzynają tworzy plac ośmiokątny; nieco daléj leży wielki plac pretoryański, w pośrodku którego wznosi się wspaniały wodotrysk, rozmiarów tak potężnych, że w znaczném tylko oddaleniu objąć można wzrokiem jego ogrom. Składa się on z kilku pater czyli wodozbiorów, umieszczonych jeden ponad drugim, poprzedzielanych galeryami, z których paszcze posągów zwierzęcych w różnych kierunkach wyrzucają strumienie wody. Na innym placu, zwanym *Bologni*, stoi posąg bronzowy cesarza Karola V. króla Sycylii, arcydzieło rzeźbiarza Volsi.

Palermo posiada kilka bram okazałych; jedna z nich, *porta Felice*, jest to łuk tryumfalny, przez który przechodzi się idąc od przystani; druga, *porta Nuova*, zamyka ulicę Cassaro i przytyka do pałacu królewskiego. Ten ostatni, mimo obszérności swych rozmiarów, nie daje korzystnego wyobrażenia o guście architektonicznym Palermitan, bo składa się z mnóstwa przystawek i zlepków, wzniesionych w różnych epokach i bynajmniéj z sobą nie zgodnych. Najbardziéj zajmującą w téj rozległéj budowie jest kaplica wzniesiona r. 1129 przez króla Rogera, znakomita bogactwem arabesków i mozaik, tudzież stylem na poły gotyckim, na poły greckim z wieków średnich. Górującą część gmachu stanowi obserwatoryum, założone r. 1791, z którego słynny ksiądz Piazzi w r. 1801 odkrył planetę Ceres. W głównym szpitalu miejskim znajduje się jeden z najdawniejszych fresków naszéj ery, pochodzący z wieku IV; wyobraża on tryumf śmierci; przedmiot niebardzo zaprawdę pocieszający dla chorych tego zakładu.

Galerya obrazów, założona w gmachu uniwersyteckim, w przyszłości stać się może użytecznym zakładem dla młodzi uczęszczającéj do akademii sztuk pięknych. Muzeum starożytności i gabinet medalów posiadają zbiory znakomitéj wartości.

W przedmieściach Palerma znajdują się dwa

pomniki architektury maurytańskiéj, pochodzące z czasów panowania arabskiego: jeden z nich, pałac Ziza, jest dziś własnością prywatną; drugi, pałac Cuba, przemieniony w koszary kawaleryi. Wystawił je jakiś emir, i nadał im imiona dwóch swoich córek. Prócz tego miasto posiada 58 kościołów farnych i filialnych, 8 opactw, 71 klasztorów płci obojéj, 4 wielkie szpitale, dom podrzutków, uniwersytet, kilka akademij, kollegium szlacheckie, seminaryum, instytut dla panien, ogród botaniczny, 3 biblioteki publiczne, towarzystwo królewskie sztuk pięknych i nauk, towarzystwo królewskie zachęty, wystawy przemysłu co lat dwa, 3 teatry, 2 lombardy i t. p.

Katedra, jeden z najpiękniejszych pomników budownictwa gotyckiego, początkiem swoim sięgający połowy XII stulecia, stanąć może na równi z okazałemi budowlami Kordowy i Grenady; wnętrze jéj wszakże nie odpowiada przepychowi zewnętrznemu, lubo w niém nie szczędzono marmurów, granitów, porfirów, jaspizów, alabastrów i lazurów. Drugie miejsce po katedrze, zarówno ze względu na architekturę, jak na bogactwo wewnętrzne, oraz znakomite płaskorzeźby i obrazy, zajmuje kościół Zbawiciela.

Katakumby wykute w skale pod kościołem kapucynów posiadają szczególną własność zachowywania od zgnilizny złożonych tam trupów. Ciała zmarłych umieszczone są we wnękach w postawie stojącej, w zupełném ubraniu, z rękami obwisłemi lub założonemi na piersi; tylko ciała kobiéce przechowują się w skrzyniach otwartych. Arystokracya sycylijska wielką przywiązuje wagę do pozyskania dla swych rodzin miejsca w tych katakumbach, i drogo za to opłaca się zakonowi. W zaduszki zeschnięte trupy w kosztowne przybiérają szaty, i krewni, przyjaciele lub kochankowie spieszą odwidzieć ciała miłych sobie niegdyś osób. Na nieprzywykłych jednak widok tych zmarłych w wykwintnym stroju światowym, których twarze pomarańczowe i zżółkłe, z wyszczerzonemi zębami urągać się zdają zabiegom ziemskiéj próżności, niezmiernie przykre sprawia wrażenie.

Ludność Palerma, według ostatniego spisu, wynosi 181,200 dusz. Mężczyźni w ogólności piękniejsi od kobiét, lubo i tym ostatnim nie zbywa na wdziękach. Twarz grecka, z ognistym wzrokiem, okolona czarnemi włosami; postawa pełna szlachetności i wrodzonego powabu odznacza prawie zawsze nietylko wyższych stanów niewiasty, lecz nawet wiejskie dziewczęta. Szkoda tylko że miłe te kwiatki z cudnym kwiatem kaktusu dzielą i piękność i szybkie więdnięcie. Ubiór, jak wszędzie po miastach, jest francuzki; niższe jednak klassy zachowały dawny strój narodowy.

Palermitanie lubią zabawy, i we wszystkich warstwach tamecznego społeczeństwa przebija zbyteczna niemal skłonność do życia szumnego, towarzyskiego. Zwyczajnie jak w stolicy, liczne zebrania szlachty i skupienie wysokich urzędników przyczynia się wiele do podniesienia wystawności i utrzymania ruchu miejskiego. Zamiłowanie w muzyce powszechne nawet u ludu; ztąd, oprócz zwykłych we Włoszech *conversazioni*, koncerty należą do rzędu najulubieńszych przyjemności. Z ogólnych uroczystości ludowych ważniejsze są: uroczystość św. Rozalii, święto niewiast i dzień rozpoczęcia połowu tuńczyków; piérwszą z nich, jako jedyną w swym rodzaju, obszérniéj tu opiszemy.

Święta Rozalia, według podania, była synowicą Wilhelma Dobrego. Mając lat 15 wyrzekła się świata, zamieszkała w dzikiéj górzystéj okolicy i tam samotnie zakończyła życie. Roku 1624, w czasie zarazy, pustelnik jakiś miał widzenie, w którém Bóg mu objawił że zwłoki św. Rozalii spoczywają w jaskini góry Pelegrino, i że sprowadzenie ich w mury stolicy uwolni miasto od klęski panującéj. Aż dotąd nie wiedziano prawie o istnieniu świętéj niewiasty; trudno więc było spodziéwać się po upływie pięciu wieków odszukania jéj zwłok śmiertelnych, a tém bardziéj spełnienia za ich pomocą cudu. Rząd téż w początku żadnéj nie zwracał uwagi na marzenie pustelnika; ale gdy lud sycylijski z gorącą wiarą chwycił się téj sprawy, zaczęto robić poszukiwania i znaleziono rzeczywiście kości w miejscu wskazaném. Po uroczystém wprowadzeniu ich do miasta zaraza ustała, i dziś relikwie święte, złożone w kosztownéj trumnie w miejscu gdzie zostały wykryte, ściągają bezustannie tłumy pobożnych pielgrzymów.

Corocznie 15 lipca wprowadzają tę trumnę processyonalnie w ulice Palerma. Uroczystość trwa dni kilka, i zdaniem świadków przechodzi wspaniałością nawet obchód Wielkiego tygodnia w Rzymie. Na wozie tryumfalnym 70 stóp długim, 30

szérokim, a przeszło 80 wysokim, dźwigającym liczną orkiestrę, przybranym w drzewa pomarańczowe, bukiety i wieńce, który ciągnie 56 mułów z bogatemi czaprakami, prowadzonych przez 28 pocztylionów w paradnych mundurach, z powiewającemi na kapeluszach strusiemi piórami,—wznosi się kopuła z sześcią kolumnami porządku koryntskiego, a pod nią posąg kolosalny św. Rozalii ze szczérego srébra. Wóz, razem z towarzyszącym mu orszakiem, przy blasku pochodni, rzęsistém oświetleniu domów, i rzucaniu sztucznych ogniów wchodzi wieczorem do miasta. O północy zaczyna się *corso*, to jest przejażdżka powozami, ciągnącemi zwolna w dwóch rzędach po główniejszych ulicach. Nazajutrz od rana na ulicy Cassaro odbywają się konne wyścigi. To już nie rzymskie igrzysko, bo dosiadają biegunów ubrani z angielska żokeje. Wieczorem znów illuminacya i pochód uroczysty. Trzeciego dnia ponawiają się zabawy, zakończone wieczorem wspaniałemi ogniami sztucznemi. Czwartego nowe wyścigi, a z nocą katedra przepysznie wewnątrz oświetlona 20—30 tysiącami świéc woskowych, zwabia tłumy ciekawych, pragnących używać widoku przechodzącego rzeczywiście wszystko cokolwiek w tym rodzaju ujrzéć można gdzieindziéj. Piątego dnia wreszcie następuje trzecia processya, świetniejsza i liczniejsza od poprzednich, w któréj całe już duchowieństwo miejscowe towarzyszy wozowi i trumnie zawiérającéj zwłoki św. Rozalii. Skoro pochód przybywa na plac pretoryański, stojąca tam fontanna zamienia się w zdrój ognisty, wyrzucając płomienne potoki, aż póki puszczenie razem kilkudziesięciu tysięcy rac nie zakończy uroczystości. Obchód ten pięciodniowy, ściągający do stolicy czwartą część ludności całéj wyspy, kosztuje około 60,000 dukatów. Zajęcie jakie on wzbudza w mieszkańcach wszelkiego wieku i stopnia, towarzyszący mu przepych i ważność doń przywiązywana, świadczą iż w żyłach Sycylijczyków płynie krew starożytnych Greków, łaknących igrzysk i religijnych obrządków.

Najpiękniejszą przechadzkę w Palermie stanowi tak zwana *Marina* nad brzegami morza, zakończona ogrodem *Flora* i daléj ogrodem botanicznym, w którym mieści się do 4,000 okazów roślin zwrotnikowych. Zatoka jednak tutejsza nie może równać się w piękności z neapolitańską, bo nagie skały, spalone żarem słonecznym, zbyt wyraźnie już świadczą o sąsiedztwie spiekłych brzegów afrykańskich. Najwyższą z nich jest góra *Pelegrino*, z któréj szczytu rozległy otwiéra się widok na miasto i zatokę.

Przechadzki zamiejskie, zarówno dla ciekawego podróżnika, jak dla badacza przyrody, wiele przedstawiają zajęcia. Znajdujemy tu wody mineralne w *Bujuto*, znane z własności uzdrawiających; u stóp góry Pellegrino letni pałac królewski *la Favorita*, zbudowany w stylu chińskim; daléj na wschód, aż do wioski *Baggaria*, wspaniałe posiadłości magnatów sycylijskich, między któremi słynna z przewrotności założyciela swojego willa księcia Palagonio zawiéra dużo jeszcze śladów zbłąkanéj jego wyobraźni, pomimo że teraźniejszy właściciel usunął już większą część karykaturalnych posągów i obrazów. Dobrze utrzymana droga, czarującą równiną przerznięta rzéką Amiraglio, (starożytny Oretus), prowadzi do odległego o dwie mile miasta *Montreal*, liczącego 14,000 mieszkańców, trudniących się w większéj części hodowlą owiec i wyrobem makaronów. Tutejsze opactwo benedyktynów, wspaniała budowla, spoczywająca na dwustu kolumnach marmurowych, jest może najbogatszym klasztorem w Sycylii. Pałac arcybiskupi posiada dobrą galeryą obrazów, a kościół katedralny wyborne mozaiki średniowieczne. W tymto kościele Palermitanie przyjętym zwyczajem w drugie święto wielkanocne (30 marca 1282 r.) zgromadzili się na nieszpory, gdy zuchwalstwo jednego z Francuzów, nazwiskiem Drouchet, sprowadziło wybuch dawno przygotowanego powstania, które skończyło się wyrznięciem wszystkich Francuzów na wyspie, a znaném jest w historyi pod nazwą nieszporów sycylijskich.

POSELSTWO

KSIĘDZA JĘDRZEJA ZAŁUSKIEGO DO PORTUGALII I HISZPANII. (1)

(1674—1675).

CZĘŚĆ I.

PODRÓŻ DO PORTUGALII.

Król Michał Korybut Wiśniowiecki umarł. Przed śmiercią wezwał do siebie księdza podkanclerzego, i w jego ręce złożył swój testament, upraszając żeby order złotego runa odesłał do Madrytu królowi Katolickiemu, bo tego statuta orderu wymagały.

Załuski tylko co powrócił z podróży za granicę, i na samym wstępie do ojczyzny dostał kanonią krakowską. Wuj chciał jemu powierzyć to poselstwo; ale że podczas bezkrólewia sami tylko arcybiskupi gnieznieńscy mieli prawo wysyłać poselstwa za granicę do królów i książąt, przedstawił Załuskiego księciu Floryanowi Czartoryskiemu, którego król Michał Korybut niedawno przed śmiercią mianował prymasem. Książę nieodmówił prożbie podkanclerzego, poprzednio jednak udzielił młodemu kanonikowi mniejszych święceń w kościele jezuickim w Rawie. W tymże samym czasie wysłany do elektora brandenburskiego Wojciech Opacki podkomorzy warszawski z prośbą o posiłki przeciw Turkom, z Berlina miał się udać prosto do Paryża po ciało króla Jana Kaźmirza, który we Francyi niedawno zakończył życie; na co biskup krakowski ofiarował mu pieniądze, chcąc uczcić pamięć króla, swojego dawnego dobroczyńcy. Odebrali więc obydwaj jednego dnia ekspedycyą, Załuski do Hiszpanii, Opacki zaś do dworu brandenburskiego i Francyi. Załuskiemu polecono także upraszać o posiłki przeciw Turkom dla rplitéj. Wiózł nadto z sobą listy królowéj Eleonory, wdowy po Michale Korybucie, w których się mocno ta pani polecała łasce wnuka swojego Karola, panującego w Hiszpanii, i matki jego, także wdowy. Instrukcyi do Portugalii nieodebrał razem z ekspedycyą hiszpańską; dopiéro go w drodze dogoniła. Stanął już w Berlinie, kiedy się tam spotkał przypadkiem z panem de Verpi posłem francuzkim i bratem jego, który był jezuitą. Wdał się z niemi w rozmowę, a obydwaj tyle mu ciekawych rzeczy nagadali o Portugalii, że kiedy się już puścił świat oglądać, pomyślał sobie Załuski, że może byłoby to nieźle za jednym zachodem obejrzéć cały półwysep pirenejski. Otóż tedy w Berlinie napisał do wuja do Warszawy, żeby mu pozwolił zrobić wycieczkę i do Portugalii. Ksiądz podkanclerzy nietylko że nieopiérał się tym żądaniom, ale owszém jeszcze za ciekawość pochwalił siostrzeńca, i przysłał mu listy wierzytelne od rplitéj do księcia regenta Piotra, który potém na tron wstąpił. Tak więc i tę wycieczkę do Portugalii miał odprawić Załuski jako poseł. Żył jeszcze wtenczas Alfons, brat rodzony owego Piotra, i był królem; ale że cierpiał pomięszanie zmysłów, i tronu i żony odstąpić musiał Piotrowi, który brata wypędził na jakąś wyspę portugalską, a sam rządy w królestwie cudzém sprawował.

Razem tedy z Opackim opuścił Załuski ojczyznę; przyłączył się do nich trzeci, Kaźmirz Tarło, wojewodzic sandomiérski. Szczęśliwie stanęli w Berlinie, a grzecznie przyjęci, grzecznie pożegnani, ruszyli w dalszą podróż z wdzięcznością dla elektora, który nietylko że pamiętał o wygodach posłów polskich, ale jeszcze obdarzył ich na drogę pięknemi podarunkami. Jechali, zawsze we trzech, na Lipsk, Norymbergę, Strasburg, potém przez Lotaryngią dostali się do Paryża. Tutaj rozstali się: podkomorzy warszawski pozostał

---

[1]) Wyjątek z rękopisu przygotowanego do druku: „Pamiętniki biskupa Załuskiego.“

w Paryżu, a Załuski puścił się na południe ku Hiszpanii. Chciał przypadek że w Blois spotkał się z młodym Rafałem Leszczyńskim starostą wschowskim [1]), który podróżował wtedy po Francyi pod nadzorem Melchiora Gurowskiego. Podobały się Załuskiemu tego mistrza prawość i rozsądek, i dlatego prosił Leszczyńskiego żeby mu go dał za sekretarza poselstwa. Starosta chętnie na to zezwolił. Byłby sam jeszcze w podróży do Hiszpanii naszemu kanonikowi towarzyszył, gdyby słabość nie zatrzymała go dłużéj cokolwiek w Blois.

Daléj więc z Gurowskim odbywał Załuski podróż [2]); odwidził Bordeaux, Baganę (Bajonnę), San Sebastian, nareszcie przybył do Wittorii, gdzie zabawny miał przypadek. W Hiszpanii zakazane są małe strzelby, które tam pistoletami nazywają. Orszak poselski nic o tém niewiedział, a niewiedząc, naturalnie żadnéj nierobił z tego tajemnicy że broń zakazaną posiadał. Siadając do obiadu kazał Załuski znieść tłomoki i cały swój arsenał do izby. Kucharz, którego kanonik wiózł z Polski wnosił już piérwsze danie, kiedy wszedł ktoś do komnaty, przyodziany płaszczem, i tam i nazad przeszedłszy się po kilka razy, wziął do ręki i obejrzał broń polską, a przedewszystkiém pistolety; potém rzucił oczami na skrzynią która stała w jednym kącie komnaty, wziął pistolety, schował je do skrzyni i zamknął. Był to alguazir. Niemogli się nasi wstrzymać od śmiéchu; ale Hiszpan, jakby na to niezważał, wziął za pistolety Gurowskiego, z podobnąże uroczystością je zamknął w skrzyni na klucz i ani słówka niewymówiwszy, wyszedł. Po jego odejściu przywołał Załuski gospodarza i pytał co się to wszystko znaczy. Powiedziano mu, że alguazir spełnił tylko swój obowiązek. Niebyło zatém co robić, tylko prosto udał się poseł do gubernatora miasta, żeby mu własność powróćił. Oczywiście niebyło z tem żadnéj trudności: gubernator obejrzał paszporty polskie, a przekonawszy się że Załuski jechał w charakterze posła rplitéj, kazał slusarzowi otworzyć skrzynią i oddał pistolety, co stało się z wielką przykrością alguazira, który gniewem uniesiony, uknował zemstę. Ledwie co wyjechali nasi z Wittorii, aż o milę może od tego miasta zajechał im znowu drogę ów Hiszpan, który tym razem znajdował się na czele pewnego oddziału żołniérzy, i byłby niezawodnie napastował orszak polski, gdyby na niespodziéwających się natrafił. Pokazali mu Polacy z oddali broń straszniejszą od pistoletów, a nieprzyjaciel ustąpić musiał, zgrzytając zębami. Tego samego jeszcze wieczora zabiérali się już nasi do noclegu w pewnéj wiosce, kiedy nadszedł jakiś nadęty Hiszpan, i pozdrowiwszy ich zapytał: coście wy za jedni? Odpowiedzieli że przybywają z Flandryi hiszpańskiéj. Ale pan Hiszpan chciał widocznie przewlekać rozmowę, bo zaczął się wydziwiać naszym, że tak młodzi i że się odważyli puszczać sami w podróż przez nieznajome ziemie, po tylu drogach pełnych niebezpieczeństwa i t. d. Zaczął potém długo rozpowiadać jakieś historye o napadach, o rozbojach, które pewno sobie sam skomponował, kłamał na potęgę, przesadzał i znowu zaczynał prawić o niebezpieczeństwach. Nasi wręcz mu odparli mówiąc: niejesteśmy tchórze i potrafim opędzić się rozbójnikom i złodziejom, bo na odwadze nam niezbywa; broni mamy dosyć, gotowi jesteśmy odeprzéć wroga i t. d. Na dowód zaś gotowości swéj opowiedzieli znowu Hiszpanowi powieść swojego wynalazku, jak kilka dni temu dzielnie się raz spisali i rozbójników nauczyli rozumu: mieli sami niby zginąć, a ich pozabiérali w górach. Dziwił się wielce téj odwadze hiszpański przyjaciel Polaków; niedługo już siedział, ukłonił się im bardzo mile i wyszedł. Gospodarz ostrzegł zaraz orszak że rozmawiali ze szpiegem gerylasów. Można sobie przeto wystawić z jaką obawą odbywał nazajutrz Załuski dalszą podróż; ale jakoś za łaską Bożą szczęśliwie przybyli wszyscy do Burgos.

Był w tém mieście dla publicznego uczczenia wystawiony słynny cudami krucyfiks, i dlatego, chociaż już późno było, udali się nasi zaraz na święte miejsce do kościoła, i przed cudownym krzyżem upadli, błagając boskiego miłosierdzia. Nagle jakiś straszny hałas obił się o ich uszy, tak że nawet lichtarze ze świécami pospadały z ołtarzów. Przelękli się mocno i spojrzeli po sobie przerażeni; każdy już rachował się ze swojém sumieniem w piérwszém uczuciu żalu i postanowił zaraz nazajutrz odbyć pokutę sakramentalną. Jeszcze nieochłodli z przerażenia, kiedy dowcipny sprawca téj przy-

---

[1]) Ojciec króla Stanisława.

[2]) Ten Gurowski był potém kasztelanem z kolei międzyrzeckim, gnieznieńskim, poznańskim, i umarł 1704 r.

gody wysunął się z poza ołtarza, i tak wielki śmiéch wzbudził w orszaku, jak wprzódy wielką bojaźń. Niezmienili jednak swojego postanowienia, i nazajutrz przystępowali do spowiedzi i przyjmowali wszyscy ciało pańskie.

W dni kilka potém przybyli nasi bez żadnéj przygody do Madrytu. Stanęli w gospodzie którą utrzymywał jakiś bardzo grzeczny Brabantczyk. Ale Załuskiemu, jako kapłanowi, niewypadało bawić dłużéj w miejscu publiczném, i dlatego udał się do klasztoru karmelitów trzewiczkowych. Nad wszelkie jego spodziéwanie, bo przed nikim ani jedném słówkiem niezdradził urzędu swojego i nazwiska, nuncyusz apostolski w Hiszpanii, ksiądz Marescotti, który potém został kardynałem i był nawet kandydatem do tronu papiezkiego, dowiedziawszy się o przyjeździe Załuskiego, odwidził Polaków w tym klasztorze incognito. Załuski znał go dawniéj bardzo dobrze, kiedy był jeszcze w Polsce nuncyuszem; ztąd zaraz przypomniał sobie jak raz na pole elekcyjne jechał z nim razem w powozie swojego wuja, biskupa chełmińskiego, przydany mu będąc do informacyi i posługi. Dlatego miał już Załuski pewne prawa do względów księdza nuncyusza, tém bardziéj że ksiądz podkanclerzy żył z Marescottim oddawna w ścisłéj przyjaźni. Kiedy nasz kanonik odjeżdzał do Hiszpanii, jeszcze na wsiadaniu prawie wuj dawał mu przestrogę, żeby we wszystkiém radził się i postępował za zdaniem Marescottego. Szczęśliwy był poseł że mógł teraz posłuchać wuja.

Niebyło wtenczas w Madrycie dworu, bo ten w każdą porę roku odmieniał swoje zamieszkanie. Właśnie téj wiosny dwór znajdował się w Aranjuez; przedtém bawił w Escurialu. Spodziéwano się króla w Madrycie dopiéro po 3—4 tygodniach, i dlatego w żaden sposób niemógł prędzéj Załuski odprawić poselstwa swojego, gdyż etykieta dworska wymagała, żeby tylko w Madrycie król przyjmował posłów cudzoziemskich. Radząc się nuncyusza w każdéj materyi, Załuski zapytał się go także, czy dla oszczędzenia czasu niemógłby teraz zrobić wycieczki do Portugalii i tam się wprzód sprawić z poselstwa. Marescotti wziął to do namysłu, i po kilku dniach, widząc się z Załuskim, odradził mu żeby tego nierobił: może się dwór rozgniéwa, powiadał, może za złe to poczyta i t. d. Wypadało tedy czekać.

Nuncyusz jednak, litując się nad Załuskim, wyprawił swojego sekretarza do kardynała arragońskiego i do hr. Pignaronda, do których Załuski miał listy, oznajmując im o przyjeździe poselstwa polskiego i o zamiarze wycieczki do Portugalii. Radził się ich co robić. Stawiano tam z początku jakieś trudności na dworze; ale jakichże trudności niezdołałaby usunąć powaga tak znakomitego męża, i jeszcze nuncyusza, który posiadał rzadką zdolność jednania sobie wszędzie przyjaciół? «Gdybym był znalazł, powiadał potém Załuski, takiego opiekuna w Portugalii, jakiego miałem w Hiszpanii, wyszłaby na tém dobrze moja ojczyzna,” Dzięki wpływowi nuncyusza, dwór hiszpański przystał na wszelkie żądania Załuskiego i odpowiedział że niéma nic teraz przeciw wycieczce jego do Portugalii. Że się tak dobrze wszystko udało, Załuski dziękował jeszcze za to posłowi duńskiemu, który wtenczas bawił w Madrycie i starań dla niego swoich wcale nieżałował. Wpływały na to powody religijne; za łaską Bożą albowiem ten sam poseł duński pod piękném niebem hiszpańskiém zmienił się zupełnie, a przyjąwszy razem z żoną wiarę katolicką, powrócił odrodzonym i wcale innym człowiekiem do swojéj ojczyzny, aniżeli z niéj przyjechał. «Nie tak robią inni, mówi Załuski, którzy w podróżach zagranicznych pozbywają się ostatka uczuć rodzinnych i tracą wiarę, która im miała przynieść zbawienie.”

Niezwlekając zatém dłużéj, opuścił nasz kanonik Madryt, a grzeczny poseł duński odprowadzał go za miasto z całym swoim dworem. Sam się ofiarował na takie towarzystwo. Doprawdy niewiedział Załuski co tak przywiązywało do niego posła. Czy była to ludzkość i grzeczność jakaś wrodzona, czy jaka szczególniejsza przychylność dla cudzoziemców, czyli téż spostrzegł w Polakach coś takiego co potrafiło go zająć podobieństwem jakiém lub wspomnieniem: dosyć że musiał Załuski odpłacać się Duńczykowi szczérą wzajemnością. Nocowali razem. Na tym noclegu serdecznie podejmował kanonik krakowski posła, a nazajutrz dopiéro pożegnał się z nim i z całym dworem jego, i wpośród zapewnień wzajemnéj i trwałéj przyjaźni, odjechał daléj. Przyjemne towarzystwo posła ustało; ale nowy wypadek, bardzo dla wszystkich naszych podróżujących niemiły, przerwał jednostajność, dając

powody do nowych wrażeń. Wywołali go sami Polacy, najprzód nieostrożnością swoją, a potém gniewem. Przyjechali do Badajoz, dzień cały straszliwie tłukąc się na mułach. Był dzień postny, zapasów żadnych niemieli; niepodobna téż było słać po okolicach i trudzić nadaremnie służbę, żeby wyszukać coś postnego; dał więc sam sobie na ten dzień Załuski rozgrzészenie (przyznaje się dobrowolnie do tego błędu), kupił kilka gołębi i kazał z nich zwyczajem polskim zrobić frykasy, bo żołądek gwałtem się swego domagał. «Sami zatém zajęliśmy się wieczerzą, opowiada Załuski, obskubaliśmy gołąbki z piór, upiekli, usmażyli i podali na stół, nietroszcząc się o dzień jutrzejszy. Weseli poszliśmy spać i nieprzewidzieli że radość nasza za kilka chwil zamieni się w płacz a nawet i gniewy. Nazajutrz albowiem, kiedyśmy się spytali gospodnika ile mu się za nocleg należy, odpowiedział «pięć piastrów" (piastr hiszpański znaczył więcéj jak dukat cesarski). Niceśmy od gospodarza naszego niekupowali, więc to jego żądanie zadziwiło nas, a Gurowskiemu na żółć się zebrało; ztąd wybąkał kilka gniewnych wyrazów. Ale Hiszpan niedarował i z dumą zamiast pięciu zażądał teraz dziesięciu piastrów. Oczywiście niemogliśmy się niegniéwać; ale na nic niezdały się nasze żale, bo czém więcéj nastawaliśmy na gospodnika, tém on zapalczywiéj cenę noclegu co chwila o pięć piastrów powiększał. Doszło nareszcie do ogromnéj summy 50 piastrów, a wtedy gospodarz dodał groźby do słów, i zapowiedział nam wyraźnie że jeżeli niezapłacim, doniesie o nas zaraz inkwizycyi świętéj, żeśmy w dzień postny jedli gołębie mięso. Co było robić? Mogłem wprawdzie pod zasłoną mojego charakteru poselskiego opuścić Badajoz, ale kiedym zważył ociężałość Hiszpanów, zląkłem się i straty czasu i piéniędzy, i musiałem wejść z gospodarzem w układy. Zacząłem mówić do niego słodko, tłumaczyłem się koniecznością, wreszcie ofiarowałem mu coś więcéj nad 10 dukatów cesarskich, które ten bezwstydny człowiek odebrawszy, opuścił nas na chwilę. Jednakże niemogliśmy się tak prędko uspokoić, chcieliśmy naturalnię odwetu; ale potrzeba było udawać, że się nic niemoże. Wiedzieliśmy że niedaleko szła granica Portugalii, jednakże, zmyśliwszy niewiadomość, prosiliśmy gospodarza żeby nas odprowadził do granicy, oczywiście za nagrodą piéniężną. Czego niedokaże miłość złotego cielca? Gospodarz zgodził się i wyprowadził nas za bramy miejskie, a kiedyśmy je przebyli, tysiącem pytań zarzuciliśmy przewodnika, nibyto informując się o jedno albo o drugie, tak że za nami poszedł aż na połowę mostu. Tutaj już była ziemia i władza portugalska, tutaj więc, spokojni o prawo, mogliśmy nauczyć naszego przewodnika rozumu, jak ma się z gośćmi swojemi obchodzić. Już nie słowami więc, ale rózgami ocięliśmy go porządnie, a mieliśmy z sobą jeszcze z Polski tęgie rzemienie tatarskie. Spodziéwamy się że nasz poczciwiec długo pamiętał i naukę i łakomstwo swoje.

«Mieliśmy teraz, tak opowiada Załuski dalsze przygody swoje, podwójnie weselszą drogę: najprzód kontenciśmy byli żeśmy swój gniéw usmierzyć jako mogli, a potém że teraz zaczynała się nam podróż przez ładniejsze Portugalii okolice. Zaraz to widoczne po przejściu granicy że się jest już w obcym kraju. Powietrze łagodniejsze, ziemia więcéj żyzna, wygodniejsze gospody, i sam naród nierównie grzeczniejszy, bo go jakoś więcéj z cywilizacyą oswoili Francuzi, co przybyli na pomoc Portugalii w czasie wojny hiszpańskiéj. Piérwszém miastem które nam z téj strony leżało po drodze było Elvas, i ztąd w dni kilka prosto stanęliśmy w Lizbonie. Do stolicy Portugalii, jak do Wenecyi, potrzeba płynąć morzem; wsiedliśmy zatém na łodzie, i milę przeszło zrobiliśmy, zanim można się było dostać do środka miasta. Gospoda nasza stała nad samym Tagiem. Rzéka ta, wsławiona przez historyków i poetów, miała niegdyś w nurtach piasek złoty którym płynęła, ale za czasów naszych już tylko dawną zwodziła sławą." Szanując podobnież i w Lizbonie charakter swój poselski i kapłański, niechciał Załuski długo siedzieć w tém miejscu, do którego schodzili się najpodlejszego stanu ludzie, i dlatego równie prędko zmienił mieszkanie jak w Madrycie.

Lizbona słynie po świecie pięknością swoich kościołów, którym nawet Rzym sprostać niemoże, a w blizkości nowéj Załuskiego gospody znajdował się właśnie klasztor obszérny i wspaniały benedyktynów, z bardzo pięknym kościołem. Ze dwustu mnichów mieszkało w tym klasztorze. Byli to ludzie światli i dobrzy teologowie, ale po łacinie bardzo mało umieli; nauczyli się tylko na pamięć technicznych wyrażeń używanych w teologii,

a z resztą używali pomiędzy sobą języka portugalskiego. Przeniósł się Załuski do tego klasztoru, zająwszy na swój użytek kilka komnat bardzo wygodnych, i zaraz dał znać do sekretarza stanu przez Gurowskiego o swojém poselstwie. Ale minister portugalski, który znał bardzo dobrze, jak się tego spodziéwać należało, Indye i Amerykę, niemiał żadnego pojęcia o Europie; tém bardziéj niewiedział nic o Polsce, co to za kraj i gdzie leży. Napisał do naszego posła bilecik i żądał od niego listów wierzytelnych. Znalazłszy w nich wyraz «Polonia" wziął łatwo Polonia za Colonia, i sądził że Załuski przybył w poselstwie od księcia elektora niemieckiego. Potém jednak, obejrzawszy lepiéj listy wierzytelne, gdy zobaczył na nich podpis księcia prymasa Floryana Czartoryskiego (bardzo naturalnie, bo wczasie bezkrólewia jak mógł kto inny nad prymasa podpisywać akta dyplomatyczne?) wyobraził, sobie że Załuski był pełnomocnikiem arcybiskupa gnieznieńskiego. «Zmarnowałem dni kilka na próżno, opowiada Załuski, ucząc tego prostaka, którego nazwiska niechcę wymieniać żeby mu wstydu po świecie nienarobić, zanim go zdołałem przekonać kto jestem, i zanim mu wytłumaczyłem żem poseł od rplitéj polskiéj." Przy téj okoliczności poseł nasz przytacza jeszcze jeden przykład grubéj niewiadomości tego ministra. Portugalczyk, przesyłając mu raz wiadomości z Polski, które świéżo nadeszły, dodał od siebie iż z pewnością wié o tém że Tatarowie oblegli ją całą, tak jak gdyby Polska była jakąś tam twierdzą albo miastem. Drugi raz opowiadano o nim Załuskiemu że posła W. Brytanii pytał się czy Anglia jest w Londynie, czy też Londyn w Anglii?

Przemógł nareszcie Załuski wszystkie trudności i uzyskał posłuchanie u księcia Piotra, rejenta portugalskiego. Było już wtedy po rozwodzie królowéj, z domu księżniczki sabaudzkiéj, z panującym królem Alfonsem i po weselu jéj z Piotrem. Rozwód ten do skutku przyprowadził kardynał Detre krewny jéj, a lubo księżna była już teraz tylko żoną rejenta nie zaś króla, przecież wszystkie honory królewskie pospolicie jéj oddawano. Na uroczystém posłuchaniu oddał Załuski listy wierzytelne które z sobą przywiózł. Książę rejent odebrał je z widoczną obawą: drżały mu ręce, kto tam wié dlaczego, i potém odpowiedział posłowi w języku portugalskim, kiedy Załuski do niego perorował po łacinie. Następnie zaprowadzono posła do królowéj; wydała mu się ta pani więcéj mężczyzną niż kobiétą. Czekała na niego w ogromnéj altanie pod małym baldachinem, głowę miała przykrytą peruką. Otaczały królową poważne niewiasty i dziewice, ale wszystkie milcząc siedziały jak posągi po obu stronach w krzesłach drewnianych.

Przyjęła królowa Załuskiego z wielką grzecznością, a powiedziawszy i to i owo, puściła. Zaraz po obiedzie przysłała mu swojego spowiednika, jezuitę ojca Ryszarda, z obietnicami że wstawieniem się swojém dopomoże mu do uzyskania pomyślnego skutku poselstwa. W dwa dni potém dała Załuskiemu królowa drugie posłuchanie, ale już prywatne, i zapytała go nawiasem jak mu się podobała Portugalia. Chwalił ile mógł i naród i kraj Załuski, ale dodał w rozmowie, że wprzódy i teraz widząc przy wchodzie do pałacu jéj panny, gotów był przypuścić że to obdarzone ciałem posągi. Wracając do siebie, kiedy na pożegnanie kłaniał się na tę i na drugą stronę tym niewiastom Załuski, wszystkie po kolei wstawały z krzeseł i całowały go w sutannę. Jest albowiem zwyczaj w Hiszpanii i Portugalii iż pobożni, spotkawszy księdza świeckiego albo mnicha na ulicy czy w kościele, całują go zawsze w płaszcz albo w brzegi sutanny. Królowa śmiała się z tego, i zwoławszy swoje niewiasty, opowiedziała im wszystko co mówił niedawno Załuski o posągach.

Złożył następnie nasz poseł hołdy swoje księciu de Caduval, który niedługo potém, nim Załuski jeszcze wyjechał z Portugalii, utracił żonę rodem Francuzkę, matkę trzech synów, pretendentów do tronu, w razie gdyby książę rejent umarł bezpotomnym. Grzecznie bardzo przyjął Załuskiego książę, i zawsze mu wiele przyjaźni okazywał.

«Uwolniwszy się takim sposobem od wizyt urzędowych, ciągnie daléj nasz kanonik, zacząłem się krzątać około sprawienia mojego poselstwa. Oznajmiłem dworowi o śmierci króla Michała i niebezpieczeństwach jakie nietylko Polsce ale i całemu światu chrześciańskiemu zagrażają od Turek; mówiłem że wszyscy upadniem z kolei, jeżeli więcéj oddalone państwa, a wszczególności bogata Portugalia, nieudzieli pomocy Polsce, która była przedmurzem cywilizacyi. Wielkie zwycięztwo chocimskie Sobieskiego nieugasi, rozpowiadałem, wojennych zapałów Porty, ale owszém jeszcze na większą

skalę je rozwinie. Cała wschodnia połowa świata uderzy na Europę. Dowodu na to nie potrzeba że smok turecki spragniony jest krwi chrześciańskiéj. Takem dowodził; ale na próżno roniłem słowa. Z początku szło jakoś trudno, potém lepiej cokolwiek; ale przepłynąwszy Wisłę, utonęliśmy na Dunajcu, za sprawą właśnie człowieka któremu interes chrześciaństwa najwięcéj był powinien leżéć na sercu. Największa trudność pokazała się o piéniądze, bo skarb portugalski, jak nasz, jest bardzo biédny, wtenczas kiedy fortuny pańskie pospolicie ogromne. Król w Portugalii żyje kosztem cztérech panów, z których każdy co kwartał musi go własnym kosztem podejmować. Otóż przyjazny los zrządził że jeden z tych panów umarł bez dzieci i bez dalszych krewnych, a majątek jego, wartości 8 kroć sto tysięcy piastrów, przez testament przeszedł na własność królewską. Korzystałem z okoliczności, i zaraz podałem notę, w któréj dowodziłem że Bóg sam nastręcza księciu rejentowi sposobność usłużenia sprawie chrześciaństwa; niechajby tylko oddał to na potrzeby rplitéj, co tak nagle spadło na niego bez żadnych zachodów i pracy. Pobiegłem zaraz do królowéj, pewny jéj potężnego wsparcia; pobiegłem daléj do ministrów i do wszystkich panów którzy mieli jakiekolwiek bądź znaczenie na dworze. Wszystko jakoś składało się dziwnie według życzeń moich, témbardziéj żem umiał się miarkować i obiecałem się tylko 500,000 talarami cesarskiemi kontentować; lecz wiedziałem dobrze że przyniesie mi to dwa razy tyle kapitału, jeżeli wyładuję kilka okrętów różnemi towarami, a zwłaszcza korzeniami i cukrem, żeby sprzedać to wszystko w Gdańsku. Otrzymałem już nietylko odpowiedź, ale i uroczyste pozwolenie, żebym ugodził się z kupcami względem przesłania obiecanéj summy w całości do Polski. Upojony radością, dni kilka wyłącznie poświęciłem téj sprawie. Za pośrednictwem konsula francuzkiego p. de la Grande wchodziłem już w układy z zacnemi kupcami, którzy obowiązywali się zakupione towary dostawić do Gdańska, przyjmując nawet na siebie odpowiedzialność za burzę na morzu. Nic już więcéj nie pozostawało do czynienia jak tylko podpisać kontrakt, zaliczyć kupcom piéniądze i okręty wyprawić na morze, kiedy nagle cała ta sprawa w łeb wzięła, z wielką rplitéj szkodą. Była to burza w komnatach pańskich, ale jak rozgniéwane morze rozrzuciła moje nadzieje, owoc zabiegów tylu. Przybiegł do mnie jeden z rajców królewskich i długo prawił o uczuciach najprzód księcia rejenta, a potém o gorliwości ministrów portugalskich dla sprawy chrześciaństwa, i wreszcie zapewniał że skarb królestwa rplitą polską więks zym jeszcze zasobem poratuje jak dotąd obiecywał. Z boleścią słuchałem rozprawy, tém bardziéj gdym z dalszego ciągu jéj wyrozumiał że ktoś na radzie obalił w niwecz moje zamiary. Dzisiaj jeszcze wspominać o tém, jest to wielką mi wyrządzić przykrość. Znowu pisałem memoryały, przypominałem dane już słowo, przesadzałem nieszczęścia rplitéj, zapewniałem że owa summa przyjętą będzie jako największe dobrodziejstwo. Nieoszczędzałem sobie żadnéj pracy, użyłem wszystkich sposobów, mówiłem, pisałem, chodziłem, dowodziłem jak wielka będzie pomoc dana w czasie, chociażby mniejsza cokolwiek; ale wszystko już było nadaremnie, szkoda tylko czasu i atłasu. Jednakże niewyrzekłem się jeszcze nadziei, bom sądził że znajdę jakiego opiekuna i pomocnika przed rządem portugalskim. Żyłem dosyć poufale z ojcem Rafałem Teatynem, zakonnikiem wybornym i bardzo zacnym, do niegom teraz przypadł żeby tę sprawę Bożą swoim przyjaciołom panom polecił i wywiedział się o przyczynie tak nagléj zmiany w postępowaniu rządu portugalskiego. Z łatwością przystał na moję prośbę ojciec Rafał, a że był to człowiek bardzo sprytny i przebiegły, prędko po nici doszedł do kłębka. Niktby nieuwierzył temu że popsuł mi najpiękniejsze widoki ksiądz nuncyusz apostolski Durazzo, który potém został kardynałem i żył bardzo długo [1]). Miał on poprzednio rozkaz od stolicy apostolskiéj aby wyjednał jaką wielką summę piénięžną dla Polski u bogatéj i kwitnącéj Portugalii, ale nic nie mógł zrobić, chociaż się krzątał dosyć żywo. Być więc może zazdrość, żem ja, młody dyplomata, (miałem wtenczas ledwie lat 23 wieku) otrzymał to z pomocą nieba bardzo łatwo, czega on stary, wysłużony już, niemógł otrzymać z trudnością, może ta zazdrość powiadam, była powodem że postanowił mi przeszkodzić. Nieprzesądzam jednakże; mógł mieć Durazzo inne jakie powody, dla mnie tajemnicą okryte. Łatwiéj to ze-

[1]) Etiamnum in vivis agit, pisze Załuski T. I. str. 515. Czy to odnosi się do roku 1711 w którym wydał swoje listy?

psuć co się dobrze zaczęło, jak naprawić to co się już raz zepsuło. Jakichże sposobów użył nuncyusz do swojéj intrygi? Oto przekonał ministrów portugalskich, że trzeba wstrzymać się cokolwiek z przesłaniem piéniędzy, aż większe summy się zbiorą, bo to co teraz Portugalia ofiarowała Polsce, ani pobije Turcyi, ani zobowiąże rplitéj, a gdy wieść rozbiegnie się po Europie że tak potężne królestwo dało na wojnę przeciw wrogowi chrześciaństwa tak mało, to do reszty Portugalią pomiędzy narodami skompromituje. Rozsądniéjby więc zrobił książę rejent, gdyby obiecaną summę złożył gdzie osobno, niewydając jéj wcale, ażeby się innemi jakiemi wpływami powiększyła; wtedy dar jego byłby godniejszy wielkiego królestwa, działałby skuteczniéj na jego przyszłość i rozsławiłby széroko imię Portugalii. Tak mówił w radzie królewskiéj Durazzo, ale wielu w tém miało interes żeby summa pozostała w kraju. Rozpłakała się z żalu lutnia moja, bo nadzieja którą sześć tygodni żywiłem w sercu upadła: szkoda mi było czasu i straconéj pracy, wreszcie piéniędzy, bo na koszta kontraktu tak się bardzo wyekspensowałem, żem niemiał na życie i pożyczyłem u pana de la Grange piéniędzy, które dopiéro miałem mu odesłać z Madrytu. Taki był koniec poselstwa mojego w Portugalii. Wszyscy poczciwi ubolewali razem zemną, a najwięcéj królowa, która nuncyuszowi darować tego co zrobił nie mogła."

Załuski jeszcze wspomina o kilku szczegółach tyczących się jego pobytu w Portugalii.

Odwidził sławny ów klasztor ś. Hieronima, oddalony o milę od Lizbony, zwany klasztorem betlehemskim. Ostatni to kraniec ziemi europejskiéj; za nim już morze. Oglądał tam groby królów Portugalii, przyczém następna nasunęła mu się uwaga. Państwa ziemskie, mówi, mają za granicę ocean, góry albo inne jakie zapory: ale życie i nadzieje ludzkie za ostatni swój kres mają groby. O! bodaj to ludzie zrozumieli!

Wracał Załuski z klasztoru betlehemskiego, kiedy towarzysz jego wycieczki, ojciec Rafał, opowieściami swojemi zapalił naszego pielgrzyma chęcią zwidzenia jeszcze drugiego klasztoru znajdującego się w okolicy, mniszek ś. Benedykta Partenona. «Niewiasty i dziewice Bogu w téj ustroni poświęcone, któżby uwierzył, woła Załuski, rozdzieliły się na dwa nieprzyjazne sobie obozy. Spiérały się z sobą komu należy piérwszeństwo, czy ś. Janowi chrzcicielowi, czy ś. Janowi ewangeliście, a że to od bardzo dawna trwała ta kłótnia, więc przyjęła już wielkie rozmiary. Niebył ten spór zapewne miły niebu, bo kiedy na ziemi wcielone słowo nie dawało żadnemu ze świętych piérwszeństwa, pocóż dochodzić było kto z nich większy w królestwie niebieskiém"? Aleć to już takie przeznaczenie płci słabéj, że mniejszych rzeczy pojąć nie może, a chce boskie mierzyć. Poddały zatém pobożne dziewice pod egzamen świętych których szanowały jako swoich patronów. Każda z nich wstępując do klasztoru oświadczała się za Janem chrzcicielem albo za ewangelistą, a potém codziennie sławiły jednego albo drugiego. W dni mianowicie w których obchodziła się pamiątka świętych Janów, każde stronnictwo usiłowało przewyższyć przeciwne w ubraniu ołtarzów, w urządzeniu nabożeństwa albo czémś podobném. Zdobywały się na rozmaite do tego koncepta, ściągały do swojego klasztoru jaknajwymowniejszych kaznodziejów, a jeżeli jednemu z nich udał się szczytny panegiryk, w którym ten albo drugi święty zyskał oczywiste piérwszeństwo, nie było końca powinszowaniom i nagrodom. Ale nie w tych jedynie granicach zamykała się gorliwość świętych panien: często prowadziły same z sobą rozmowy, które w miarę im dłuższe, tém więcéj zdradzały ognia, i niebrakło wcale przykładów że od słów przychodziło do bójki. Niekontente z tego mniszki, jeszcze za klasztorem prowadziły wojnę. Kto tylko z obcych podróżnych zwracał się w ich progi, zaraz na początku po przywitaniu zadawano mu pytanie, (jak gdyby dlatego żeby wybadać czy przychodzień wart oglądać osobliwości świętego miejsca) za jakim patronem sam trzyma. Według odpowiedzi każdy bywał przyjęty, z téj strony radością, z tamtéj dzikiém wejrzeniem. Toż samo i Załuskiemu się przydarzyło, bo kiedy do ksieni udał się w swoim interesie, prosząc żeby się za nim wstawiła do rządu, (a wiele ona mogła w istocie u ministrów portugalskich) zaraz na samym prawie wstępie posłyszał zapytanie, który z obudwu Janów jest większy? Uprzedzony już był o rzeczy poseł, i dlatego stosownie do życzenia ksieni odpowiedział że szanuje więcéj ś. Jana chrzciciela, i tém wyznaniem tak mocno ujął za serce tę poważną matronę, że wiele potém i serdecz-

nie pracowała dla sprawy polskiéj; cieszył ją każdy krok Załuskiego na téj drodze pomyślny, smucił nieszczęśliwy, jak gdyby to o nią samę chodziło, a za każdym razem odbiérał poseł polski od niéj najczulsze dowody przyjaźni i zainteresowania się.

NIEDŹWIEDZIE.

Niedźwiedzie są to zwierzęta wielkiéj budowy, grubych kości, stąpają na całéj podeszwie i nogi mają pięcio-palcowe, pysk mniéj więcéj przedłużony, mózg obszérny, język gładki i zębów $\frac{6}{6}$ z pomiędzy nich górne są więcéj zaostrzone, dolne szérokie, przy nasadzie klapką opatrzone; kłów mających kształt stożkowaty $\frac{1-1}{1-1}$ i zębów trzonowych $\frac{6}{7}$, z których w górze 3, w dole 4 fałszywe, wypadające. Uszy mają miernie wielkie, nieco kończyste, z obu stron obrosłe; nogi opatrzone pazurami bardzo mocnemi, zakrzywionemi, przeznaczonemi do kopania ziemi i wdrapywania się na drzewa; ogon krótki i cycków 6, z których dwa są piersiowe, a 4 brzuchowe; nie posiadają kiszki kątnéj. Odzież kudłata, z długiéj, gładkiéj, wełnistéj sierci złożona.

Niedźwiedzie odznaczają się pomiędzy mięsożernemi wielkością ciała. Ciężkość budowy ich członków i chodu zdaje się zwiastować srogość i dzikość; jednakże czoło szérokie, pysk cienki, głowa w górę podniesiona, niszczą w części piérwsze to wrażenie.

Obdarzone siłą, któréj większa część zwierząt nie jest w stanie się oprzéć, niedźwiedzie nie są niebezpiecznemi, gdyż nie używają jéj do zaczepki.

Organa ich trawienia są tego rodzaju, że czynią je więcéj wszystko-żernemi niż mięso-żernemi; wszakże w razie głodu są ony bardzo żarłoczne, i nie czynią żadnego w pokarmach wyboru, lubo i wtenczas nawet niezaczepione, nie rzucają się na ludzi.

Poznawszy budowę ich zębów, można podług niéj bardzo łatwo wiek ich ocenić, chociaż w praktyce jest to niewykonalném. Niedźwiedzie oczy mają małe, lecz wzrost, jak równie słuch, doskonały. Budowa ich członków pozwala im utrzymywać się pioniowo na ziemi i z łatwością wchodzić na drzewa, a kształt ciała i obfity zapas tłustości czyni je wybornemi pływakami. Ukolorowanie prawie u wszystkich gatunków jest jednakie, tak że wcale za cechę charakterystyczną uważaném być niemoże, jednak dają się tu widzieć niejakie odcienie. I tak jedne gatunki w młodym wieku, drugie przez całe życie są białawe, inne wpadają w czarny kolor, inne w brunatny lub płowy. Kolory te ulegają jeszcze rozmaitym zmianom ze względu na odległość czasu od wylenienia, i stopniowo przechodzą z koloru czarnego w rudawy, żółty lub biały; można także zauważyć niejakie odcienie pomiędzy jedną płcią a drugą.

Geoffroy Saint-Hillaire zauważył że pomiędzy mięsożernemi są ony najmniéj chciwe na mięso i najniechętniéj rzucają się na żywą zdobycz.

Miód jest najulubieńszym ich pokarmem; oprócz niego na wolności jedzą młode pędy drzew, owoce i korzenie soczyste, a gdy głód je przyciska, rzucają się, lubo z niechęcią, na zwierzęta. Z téj przyczyny nie można ich uważać za wyłącznie mięsożerne, gdyż nawet gatunki w okolicach podbiegunowych mieszkające jedynie dlatego samém mięsem żyją, że nie mają w swojéj siedzibie innego pokarmu, czego dowodem jest to, że te same gatunki w menażeryach prawie samym chlebem żywić się dają.

Buffon mówi o niedźwiedziu brunatnym w swojéj historyi naturalnéj ogólnéj i szczegółowéj, że jest on dzikim i samowolnym, że przez instynkt unika wszelkiego towarzystwa i oddala się od miejsc przez ludzi zamieszkanych, a przeciwnie rozkoszuje się tam, gdzie przyroda w piérwiastkowym

jeszcze spokoju się utrzymuje. Starożytna jaskinia w niedostępnéj skale, w pośrodku dziewiczego lasu, lub grota w pniu olbrzymiego drzewa przez czas utworzona, są według zdania Buffona najulubieńszém niedźwiedzia mieszkaniem. Tam samotnie przepędza on część zimy, wytrawiając zwolna tłuszcz wewnętrzny, i nie wychodzi z niéj dopóty, dopóki całkowicie nie schudnie. W czasie lekkiéj zimy zupełnie on nie zasypia, a przeciwnie podczas silnych mrozów wpada w dość mocny letarg. To usposobienie niedźwiedzi czyliż nie jest dowodem mądrości Stwórcy? Gdyby niebył takim ich sposób życia, gdzież potrafiłyby znaléźć pożywienie w czasie silnych mrozów? Zadziwiającą jest rzeczą że w niewoli niepodpadają ony zupełnie temu stanowi uśpienia; widać więc że Stwórca chciał im tu przyjść w pomoc, ażeby się mogły obejść bez brania pokarmu wtedy, kiedy pozyskanie takowego byłoby dla nich bardzo trudném.

Obyczaje niedźwiedzi są bardzo ciekawe; chcąc je mniéj więcéj dać poznać czytelnikom, przytoczymy to co o nich mówi Fr. Cuvier.

«Roztropność i przezorność, utrzymuje ten znakomity uczony, jest charakterystyczną cechą niedźwiedzi. Omijają one zdaleka każdy nieznany przedmiot, a jeżeli są zmuszone zbliżyć się do niego, czynią to zwolna i ostrożnie. Obchodzą go więc i oglądają ze wszystkich stron, i dopiéro gdy się przekonają że nie jest dla nich niebezpiecznym, całkowicie do niego się przybliżają. Z tém wszystkiém niebraknie im ani na odwadze, ani na stałości. Zaczepione, mężnie stawiają się do walki, nigdy z placu nieustępują, a skoro życie ich jest w niebezpieczeństwie, wściekłość ich przechodzi wszelkie granice. Nadewszystko samica w obronie swych dzieci rozwija wszystkie zasoby siły muszkularnéj i odwagi, rzuca się na największe niebezpieczeństwa i nieustępuje od walki aż z ostatniém tchnieniem życia.”

Ciekawém jest widziéć walkę niedźwiedzia z psami lub wilkami. Rzuca on na swych nieprzyjaciół kamienie lub kawały drzewa, a gdy takowych nieznajduje, chwyta w przednie łapy drąg jakikolwiek i nim dzielnie się broni. Postrzelony wpada w wściekłość, rzuca się na człowieka i bije go ciężkiemi swemi łapami dopóty, dopóki widzi iskierkę życia. Dlatego najlepszym, chociaż nie zawsze pewnym, środkiem uchronienia się od jego zemsty, jest rzucić się na ziemię i udać nieżywego.

Futro niedźwiedzia jest bardzo poszukiwane, szczególniéj w czasie zimy w krajach północnych. Odznacza się ono gęstością i świetnym połyskiem, i wtedy téż najwięcéj popłaca. Futra te bywają używane do rozmaitych celów; i tak: Kamczadale robią z nich okrycia, rękawiczki, czapki; we Francyi i innych krajach wyrabiają z nich rękawki dla klassy uboższéj. Francya na ten cel sprowadza rocznie 3—4 tysięcy skór niedźwiedzich.

Lecz oprócz futer niedźwiedzie przedstawiają wiele innych jeszcze użytków. I tak: tłustość ich jest używana przez niektóre narody północnéj Azyi i Ameryki jako przyprawa do kuchni, a sok z kości niedźwiedzich uważanym jest przez nie za przysmak, i dlatego zaopatrują się w te kości w czasie swoich peregrynacyj. W Europie używają tłustości niedźwiedzi na pomadę, mającą wpływać na rośnięcie włosów; lecz zdaje się że nie ma ona żadnéj innéj zalety nad tę, że jest bardzo delikatną. Kamczadale oświécają swoje mieszkania tłustością którą wydobywają z tych zwierząt; z wnętrzności zaś ich wyrabiają zasłony do oczu od rażących na śniegu promieni słonecznych. Oprócz tego używają oni tych organów zamiast szyb do okien. Ze skór wyrabiają zaprzęgi do sanek i obuwie, mające wielką tę dogodność, że chroni ich od przeziębienia się na lodzie. Nawet z kości niedźwiedzia ciągną oni użytki, z łopatek bowiem wyrabiają rodzaj sierpa, który służy do zbiérania traw.

Sposób polowania na te zwierzęta zależy od ich liczby i od stopnia wykształcenia ludów zajmujących się tém przedsiębierstwem; wszędzie jednak gdzie broń palna jest upowszechniona można ją uważać za najlepszy w tym celu środek. W niektórych krajach polują na niedźwiedzie walcząc z nimi ciało na ciało. Przypuszczają niedźwiedzia bardzo blizko, i kiedy, chcąc się rzucić na człowieka, podnosi się na tylnych nogach, uderzają go w łeb zaostrzoną pałką. Trzeba tu jednak wielkiéj wprawy i przytomności umysłu, gdyż niezręczne uderzenie najczęściéj śmiercią myśliwy przypłaca. Używają także łapek, lecz te nie są pewnym środkiem, z powodu zbyt wielkiéj podejrzliwości niedźwiedzi.

Narody dzikie zamieszkujące lasy Ameryki,

gdzie niedźwiedzie są bardzo liczne, robią na nie obławy, a ‘zgromadziwszy ich w jedno miejsce, wielu na raz ubijają.

Niedźwiedzie zamieszkują okolice zimne, podbiegunowe, albo też wysokie góry, na których śnieg nigdy nie topnieje, i dlatego w krajach ciepłych, mianowicie podrównikowych, nigdy widzieć się niedają. Niektóre z nich stale trzymają się jednéj miejscowości. I tak: niedźwiedzie białe nie wychodzą poza koła biegunowe, i jeżeli mieszkańcy Islandyi i Norwegii widują je periodycznie w swoich krajach, jest to tylko przypadkowém i pochodzi z tąd że w czasie roztopów wiosennych lody podbiegunowe unoszą je aż do Europy. Niedźwiedź czarny i brunatny upowszechnione są po całéj Europie, a nadewszystko w Norwegii i Rossyi, także w Alpach i Pireneach.

U nas znajdują się trzy odmiany: jedna wielka czarna lub czarno-czerwonawa, druga mniejsza, któréj indiwidua nazywają bartnikami, trzecia mała, u któréj końce włosów jak srébrne się połyskują. Pomiędzy litewskiemi a polskiemi niedźwiedziami zachodzi ta różnica, że piérwsze są czarniejsze od drugich.

Starożytni naturaliści niedokładnie bardzo znali obyczaje niedźwiedzi. Arystoteles utrzymuje że niedźwiedź ma nogi podobne do rąk ludzkich, co także potwierdza i Oppian, który nadto dodaje że to zwierzę w czasie zimy ssie swoje łapy i tym sposobem od głodu się chroni. Mniemano także dawniéj że młode po urodzeniu się są zupełnie bezkształtne, podobne do kawałka mięsa, i dopiéro matka lizaniem nadaje im taką postać jaką późniéj zatrzymują. Wszystkie te dziecinne mniemania nauka już dzisiaj całkowicie potępiła, i trudnoby zapewne było obecnie znaléźć człowieka, mniéj więcéj wykształconego, któryby chciał im dać wiarę.

Poznawszy charaktery całego rodzaju, przystąpimy teraz do bliższego określenia dwóch główniejszych gatunków, to jest niedźwiedzia białego i czarnego amerykańskiego.

Niedźwiedź biały (ursus maritimus) ma głowę małą, przedłużoną, czaszkę spłaszczoną, pysk cienki, długi, mający nieco podobieństwa do pyska kuny, ciało przedłużone, na grzbiecie zaklęsłe, pazury krótkie nieco zakrzywione, szyję długą, stopy nóg bardzo wielkie, pokryte od dołu siercią, odzież długą, miekką, jedwabistą, białego, niekiedy żółtawego koloru. Charakterystyczną jego cechą są wydatne powieki, które się tworzą ze szczególnéj budowy kości czołowych. Oko ma małe, czarne; tegoż koloru jest język i całe wnętrze paszczęki.

Nie był on znany starożytnym i odkryto go dopiéro w średnich wiekach, kiedy zaczęto zwidzać okolice północne. Podróżopisarze nadali mu rozmaite nazwiska, mianowicie niedźwiedzia białego, polarnego, niedźwiedzia morza lodowatego i t. d.

Powszechném jest mniemanie że niedźwiedź biały jest nadzwyczajnie odważny, dziki i żarłoczny. Opinią tę winien on przesądnym opowiadaniom wędrowców. Zredukowawszy wszakże te wszystkie zastraszające historye do ich rzeczywistéj wartości, przekonamy się że prawie w niczém co do obyczajów swoich nie różni się od innych gatunków, a jeżeli okazuje się więcéj nieustraszonym, winien to raczéj głupowatości i nędznemu pożywieniu na którém musi poprzestawać, aniżeli wrodzonéj odwadze. W każdym razie jest on więcéj mięsożernym niż inne gatunki, co zdaje się pochodzić ztąd, że okolica w któréj żyje więcéj dostarcza mu zwierząt aniżeli roślin.

Niedźwiedź biały, jak powiedzieliśmy, zamieszkuje kraje podbiegunowe, a mianowicie: Spitzberg, Grenlandyą, Laponią, Islandyą i Syberyą. W téj ostatniéj najpospolitszym jest między rzéką Ob i morzem Białém i na Nowéj Zemli.

W zimie przebiega przybrzeżne lody, wyszukując trupów które wody morskie na ląd wyrzuciły. Pożywienie jego składa się pospolicie z fok i młodych wielorybów. Chcąc złowić tych ostatnich, niedźwiedzie białe łączą się w stadka po 5 lub 6 sztuk, i tak rzucają się na swoję zdobycz. Pomimo téj ostrożności często nie udaje się im polowanie, gdyż samica, jak skoro dostrzeże ich manewra, przychodzi w pomoc swoim dzieciom i olbrzymim ogonem zatapia, zagłusza, a nawet zabija, swoich przeciwników. Na foki napadają w czasie ich snu, wskakują im na grzbiet i duszą wpiérw nim odzyskają przytomność. Oprócz tego pokarmu, który jest nader obfitym w krajach przez nie zamieszkiwanych, niedźwiedzie białe pożérają wiele ryb i innych zwierząt morskich.

Nurzają się bardzo łatwo i przez znaczny przeciąg czasu mogą pozostać pod wodą. Płynąć mogą bardzo długo bez wypoczynku, lecz często się

zdarza że zadaleko zapuściwszy się od brzegu, siadają na płynących lodach dla wypocznienia, a zasnąwszy na nich, unoszone są na pełne morze, gdzie pospolicie giną z głodu. Niekiedy żywe, lubo zgłodniałe, przybywają na tych lodach aż do Islandyi i Norwegii. Wtedy są ony strasznemi dla ludzi i zwierząt, i ta to okoliczność, całkowicie przypadkowa, lecz która corocznie ma miejsce, zjednała im opinią odwagi i srogości. Gdy uniesione na morze nie mogą dosięgnąć ani wyspy, ani lądu stałego, pożerają się nawzajem, a ostatni, najsilniejszy, kończy głodną śmiercią. W lecie cofają się w głąb' lądu, błąkają samotnie po lasach, żywiąc się ziarnami, owocami i korzeniami, przy czém głównie wyszukują trupów i napastują napotykane zwierzęta.

Samica w pniu wydrążonym, na łożu ze mchu i porostów, wydaje na świat dwoje, a najwięcéj troje, małych. Jest ciężarną siedm miesięcy, a rodzi w marcu. Matki są nadzwyczaj przywiązane do swoich dzieci, i dla ich obrony własne życie gotowe poświęcić.

Fr. Cuvier utrzymuje że niedźwiedzie białe na zimę wpadają w stan letargiczny. W tym celu we wrześniu mają niby wyszukiwać sobie schronienia. Wybiérają na takowe rozpadlinę między dwiema skałami, albo między stosami lodu, kładą się w niéj i zasypiają, pozwalając przykryć się massom spadającego w czasie zimy śniegu. Mniemanie to jest wątpliwém z następujących powodów: 1) opowiadania marynarzów upewniają nas że niedźwiedzie są bardzo skłonne do ruchu, nawet w czasie wielkich mrozów, co także zauważano i w menażeryach; 2) w téj właśnie porze kiedy ma miéć miejsce letarg, samice płód na świat wydają.

Niedźwiedz biały jest postrachem marynarzów, zmuszonych zimować około bieguna północnego. Widziano go pojedynczo napadającego na cały oddział żeglarzów dobrze uzbrojonych. Niekiedy rzuca się on do wody i usiłuje wskoczyć na okręt osadzony wielą nawet ludźmi. Z tém wszystkiém nie jest on ani odważny ani wytrwały w boju, a upór jaki niekiedy okazuje jest skutkiem głupowatości. Nie spotykając nigdy nieprzyjaciół silniejszych, nie prowadząc nigdy boju zupełnego, niezna on niebezpieczeństwa, a głupowatość nie dozwala mu go poznać, skoro je widzi po raz piérwszy.

Marynarze którzy zimowali na północy napełnili swoje sprawozdania mnóstwem opowiadań mniéj więcéj prawdopodobnych o niedźwiedziach białych. Z opowiadań tych to tylko jest niewątpliwém, że byli oni ustawicznie od tych zwierząt niepokojeni, jak równie i to, że ugodzone kulą lub lancą uciekały ony, w żadnym razie niedotrzymując placu; co dowodzi że odwaga nie jest ich wrodzonym przymiotem.

Pomimo swéj dzikości, niedźwiedź biały, młodo zwłaszcza schwytany, daje się z łatwością utrzymywać w niewoli, i często téż można go widzieć w menażeryach. Nie okazuje on tu ani pojętności, ani iskierki nawet przywiązania do tych którzy zaspakajają jego potrzeby; zawsze pozostaje dzikim i drapieżnym. Podczas największych mrozów zdaje się być najbardziéj ożywionym, gdy przeciwnie w czasie lata jest ociężałym, osłabionym i chciwie pije zimną wodę. Pożywienie jego składa się prawie całkowicie z mięsa, lecz chętnie przyjmuje i ciastka które mu publiczność rzuca do klatki. Niedźwiedź czarny amerykański, (ursus americanus) pospolicie 4 stopy długi, sierć ma czarną, gładką, długą, połyskującą; naokoło oczu, na szyi, a czasem i na piersiach, białe lub płowe obwódki; niekiedy jest całkowicie płowy. Czoło ma spłaszczone, tworzące prawie jednę linią z nosem. Podeszwa nóg przednich i tylnych jest bardzo mała. Ten gatunek wielu naturalistów tegoczesnych uważają za prostą odmianę niedźwiedzia pospolitego, i przyznać należy iż rzeczywiście nie posiada on stałych cech po którychby odróżnić go można. Zamieszkuje północną część Stanów Zjednoczonych, lecz nie podpada wątpliwości że i w innych okolicach widzieć się daje. P. Duprats utrzymuje że w czasie zimy pokazuje się on w Luizyanie, gdzie brak pokarmu z krajów północnych go zapędza. Żywi się owocami, mianowicie żołędzią i korzeniami, a najbardziej ulubioną mu potrawą jest miód. Gdy go znajdzie, raczéj zginąć woli, aniżeli go porzucić. Nie jest wcale mięsożernym, co potwierdzają wszyscy mieszkańcy krajów w których on przebywa. Nie zdarzyło się nigdy żeby pożarł człowieka, i pomimo głodu jakiego nieraz doznaje nie jé surowego mięsa, chociaż takowe znajdzie. Zdarzały się przypadki że niedźwiedzie amerykańskie, najokropniéj wygłodzone i znędzniałe, w nocy wychodziły z lasów i w około mieszkań ludzkich szukały pożywienia. Wtedy kładziono im

mięso i ziarno: mięsa niedotykały nawet, ale ziarna doszczętu zjadały. Oprócz tego jada niedźwiedź czarny ryby, które łowi sobie pływając i nurzając się w wodzie; szczególniéj w czasie silnych mrozów schodzi on z wysokich gór lasami pokrytych nad brzegi rzék i jezior, i tam szuka pożywienia.

Nie jest on tak ponury jak niedźwiedź biały, ale jest bojaźliwszym od niego i ucieka przed ludźmi. Lecz gdy zraniony lub widzi niebezpieczeństwo grożące swoim dzieciom, idzie wprost przeciw nieprzyjacielowi i stara się go w silne swoje objęcia pochwycić. Biega nie bardzo prędko, lecz zato łazi po drzewach wybornie. W zimie wpada w letarg i zasypia w jamie, którą poprzednio sam sobie wygrzebuje. Mięso jego, szczególniéj w młodym wieku, ma smak wyborny; poszukiwanym jest także, z powodu delikatności, tłuszcz, którym w jesieni zastrzelony, obficie myśliwego zaopatrza. W krajach które niedźwiedź czarny zamieszkuje chętnie na niego polują, tak dla wybornego mięsa i futra, jak i dla szkód które zrządza w zasiewach, mianowicie w zbożach i kartoflach.

Najlepszy sposób polowania na niego polega na tém, żeby go psami wyszukać w zimowéj kryjówce. Napotkany przez psy, pospolicie ucieka na drzewo, pod którém Amerykanie zakładają ogień i zmuszają go do tego że rzuca się w płomienie. Zauważano że jeżeli cała rodzina niedźwiedzi znajduje się w takiém obleżeniu, to samica schodzi piérwsza, a gdy już jest blizko ziemi, strzelcy ją zabijają strzałem pomiędzy uszy. Niedźwiadki młode schodzą bezpośrednio za nią; jeżeli są jeszcze małe, myśliwi chwytają je żywemi, w przeciwnym razie także zabijają. Niekiedy jednak zamiast uciekać bronią się psom, a wtedy niejeden z pomiędzy tych ostatnich życiem przypłaca ciężkie ich łap uderzenie. Młode są tego samego koloru co i stare, łagodne i figlarne w poruszeniach; rosną bardzo prędko. W niewoli dają się żywić chlebem, jarzynami i owocami.

F. L.

DWIE PODRÓŻE

PANI IDY PFEIFFER NAOKOŁO ZIEMI.

Szlachetna to namiętność co unosi człowieka ku miejscowościom nieznanym, ku zbadaniu okolic stopą podróżnika nietkniętych, a przynajmniéj dostatecznie nie rozpatrzonych. Zaspokojenie jéj wymaga organizacyi zupełnie wyjątkowéj, niezwykłéj siły moralnéj i woli niezłomnéj, dla usunięcia tysiącznych przeszkód, dla przebycia tysiącznych niebezpieczeństw; wymaga całkowitego wyzucia się z wygód cywilizacyi, z powszednich nawyknień życia społecznego ludów oświeconych.

Wędrowiec w dalekie kraje i wtedy jeszcze obudza zajęcie ogólne, gdy otoczony dostatkami, puszcza się w drogę z rękojmią materyalnego powodzenia, jaką przedsięwzięciu jego nadają liczne i kosztowne przybory, zastosowane do wszelkich przewidzialnych wynikłości; gdy towarzyszą mu ludzie doświadczeni, gotowi podzielić jego trudy, usunąć nastręczające się zawady; gdy z góry uwolnionym go widziemy od drobnych owych starań, mających ubezpieczyć byt jego i zdrowie w niebezpiecznéj podróży. A cóż dopiéro gdy samotny, ograniczony na szczupłych środkach, osobistém tylko poświęceniem zamierza dosięgnąć celu!

Wystawmy sobie teraz że wędrowcem tym samotnym jest kobiéta, kobiéta niepodżegana bynajmniéj żądzą zysku, chęcią zdobycia sobie sławy lub chorobliwém zachceniem, lecz przenikniona gorącém a czystém pragnieniem zaczerpania ze źródła wiedzy zwykle dla płci jéj zakrytego, i dodajmy że wiedziona niepowściągnionym popędem, kobiéta ta w przeciągu lat kilku dwa razy świat okrążyła: nie

będzież to zjawisko godne uwielbienia i podziwu?

Taką właśnie istotą wyjątkową jest pani Ida Pfeiffer, która w wieku nadającym już prawo do spoczynku przedsięwzięła olbrzymie dzieło, na pozór przystępne tylko dla sił młodzieńczych, dla hartu ciała i duszy rzadko nawet w mężczyznach napotykanych.

W roku 1848, po śmierci swego męża i ustaleniu przyszłości synów, p. Ida Pfeiffer, rozpoczynająca wtedy pięćdziesiąty rok życia, zwidziła najprzód Palestynę, potém półwysep skandynawski, nakoniec Irlandyą. Zdawałoby się że to dosyć dla uśmierzenia gorączki podróżniczéj, co ją wygnała z miasta rodzinnego Wiednia; ale niezmordowana turystka tą małą, jak dla siebie, wycieczką zachęciła się tylko do dalszych i rozleglejszych zamiarów.

Prawda że liczy lat pięćdziesiąt i szczupłe tylko posiada zasoby. Lecz mniejsza oto; włos siwiejący uchroni ją od niebezpieczeństw na jakie byłaby może narażoną wtedy; gdy jasne sploty dziewicze jéj czoło okalały, a sztukę przestawania na małém w najwyższym przyswoiła sobie stopniu. Najtańszy sposób dostania się z miejsca na miejsce będzie dla niéj najlepszym; na statkach parowych i kolejach żelaznych zajmie kącik najskromniejszy; gdzieniegdzie, w miarę okoliczności, podróżować będzie pieszo, konno, na grzbiecie mułów lub wielbłądów, niezłomna zawsze i śmiała, uzbrojona w parę pistoletów dla obrony w razie potrzeby, wstrzemięźliwa i wytrwała, nocując z równą obojętnością pod gołém niebem jak pod namiotem, pożywając bez wstrętu pieczyste z małpy lub dzwonko węża gotowanego.

Pani Pfeiffer wsiadła na okręt w Hamburgu 1849 r. i popłynęła prosto do Brazylii. Przybywszy tam zwidziła najprzód stolicę cesarstwa, Rio-Janeiro, potém kolonie niemieckie Petropolis i Nowy Fryburg, położone na północo-zachód od Rio, niedaleko brzegu morskiego. Chęć zobaczenia szczątków rodzimych Indyan, tułających się jeszcze tu i owdzie po najdzikszych okolicach kraju, prowadzi ją wgłąb' lasów piérwotnych. Nieustraszona turystka dosięga jednéj z osad tych *Cyganów nowego świata*, podziela przez dni kilka nędzne ich życie, wraca do Rio i ztamtąd odpływa do Valparaiso. Zabawiwszy czas jakiś w téj ważnéj stacyi morskiéj, płynie daléj do Taity. Nie był to już niestety ów kraj niewinnéj prostoty, gdzie młode dziewczęta, uwieńczone różami, w szacie natury wychodziły na spotkanie marynarzów Bougainville' a. Chłodne tchnienie protestantyzmu angielskiego rozwiało urok poetyczny tego miejsca.

Francya już wtedy zagarnęła pod swój protektorat wyspę Taity. Pani Pfeiffer została zaproszoną na bal do gubernatora Bruat, i tam się spotkała z królową Pomare, któréj taki skréśla wizerunek: «Ujrzałam po raz piérwszy tę władczynią, kobiétę około 36 letnią, blondynkę znakomitéj tuszy, ale dobrze zachowaną i wyrazu twarzy dosyć przyjemnego. Ubraną była w rodzaj bluzy z niebieskiego atłasu, ozdobionéj podwójném obszyciem z przepysznych koronek. Na głowie miała wieniec jasminowy, a w ręku chusteczkę bogato haftowaną. W tym dniu uroczystym przywdziała nawet wyjątkowo pończochy i trzewiki; mówię wyjątkowo, bo zwykle chodzi ona boso. Cały ten ubiór był podarunkiem od króla Francuzów".... Wierna zwyczajowi swojemu, p. Pfeiffer zwidzić pragnęła wnętrze wyspy; więc, długo nie myśląc, wybrała się w drogę z jednym tylko Indyaninem. Potrzeba było przepłynąć małe jezioro opasane górami: ale jak tu się wziąć do tego, nie mając kawałka czółna? Ciekawość jednak wzięła górę nad wszelkiemi przeszkodami. «Przewodnik mój, mówi podróżna, naobcinał gałęzi z jakiegoś gatunku bananów, powiązał je zielskiem, poprzetykał trawą, i spuściwszy tę wątłą tratwę na jezioro, dał mi znak abym wsiadła. Zawahałam się, ale na chwilę tylko, i wkrótce zajmowałam już miejsce na dziwnym swoim statku. Przewodnik, pływając, popychał go z tyłu"... Zaprawdę, szczególna ta przeprawa przypomina mimowolnie śliczną bajeczkę Floriana o kaczce i wiewiórce.

Z Taiti turystka nasza płynie do Kantonu, gdzie widok kobiéty europejskiéj, chodzącéj samotnie po ulicach, tyle narobił wrzawy, że raz o mało nie padła ofiarą swéj śmiałości. Zwidza potem Cejlan, Madras, Kalkutę, Benares, Delhi, Bombaj, przerzynając we wszystkich kierunkach Indye angielskie, jak może żaden przed nią podróżny; tu się przyłącza do karawan, tam płynie łódką lub nędznym dojeżdża wózkiem, a zawsze prawie własnym zostawiona środkom, prowadzi życie twarde, pełne znoju, niekiedy tylko podejmowana wystawniéj przez bogatych Anglików. Z Bombaj zamierza udać się do Bagdadu; ale statek przewozowy zajęły już tłumy

Arabów, Persów, Mahometan. Pełno wszędzie pak i towarów, nigdzie wolnego kącika. Cóż robić? trzeba się wyrzec na ten raz podróży! Lecz nie! pani Pfeiffer upatrzyła sobie miejsce o którém nikt nie pomyślał, miejsce pod stołem jadalnym kapitana; musi wprawdzie opuszczać to schronienie w godzinach obiadu i wieczerzy, ale przez resztę dnia zato znajduje tam ciszę i spoczynek.

W Bagdadzie na chwilę otacza ją zbytek, bo przyjmuje gościnność konsula angielskiego i baszy. Potém znów pieszo puszcza się w drogę z biédną karawaną, mając za całe pożywienie trochę chleba i kilka ogórków. W ten sposób, rzeźka i wesoła, przybywa do Mossul i przetrząsa ruiny Niniwy.

Ztamtąd już łatwo jéj było udać się do którego z portów Syrii, i drogą najkrótszą powrócić do ojczyzny; ale namiętność podróżnicza jeszcze w niéj nie przygasła. Pomimo więc przedstawień wicekonsula angielskiego, rzuca sie w głąb' Kurdystanu, i drogą przez Sanbulak i jezioro Urmiah przybywa do Tauris, stolicy prowincyi perskiéj Aderbejdżan. W tém mieście znakomitém sam wice-król, domyślny następca tronu, przyzywa ją do siebie i przyjmuje z przepychem prawdziwie wschodnim.

Z Tauris podróżna zmierza ku Georgii, i nakoniec przez Rossyą dostaje się do Austryi, wzburzonéj jeszcze po świéżo stłumionym pożarze postania węgierskiego. W Wiedniu nieustraszona turystka bierze się do spisania swych podróży, i wydaje takowe w trzech tomach, [1])

Ale dla ducha przedsiębierczego pani Pfeiffer spoczynek był rzeczą nieznośną. Podczas długich wieczorów zimowych w samotném swém mieszkaniu marzyła widać o przeszłości. Najmniejsze wypadki ubiegłego życia przedstawiały jéj się z urokiem towarzyszącym zawsze wspomnieniom odbytych podróży. Nowe zamiary, nowe plany na przyszłość gorączkowo cisnęły jéj się do głowy; dosyć że na wiosnę 1851 r. widziemy ją znowu w drodze, tylko tym razem zamiast ze Wschodu na Zachód, udała się w kierunku przeciwnym.

Pani Pfeiffer, uporządkowawszy interesa swoje, wybrała się najprzód do Londynu, dla poczynienia tam niektórych przygotowań. W końcu maja 1851 r. wsiadła na okręt żaglowy płynący do przylądka dobréj-nadziei, gdzie przybyła w piérwszych dniach sierpnia. Zamierzała przeniknąć w głąb' Afryki południowéj, w kierunku jeziora N'gami, ale szczupłe jéj zasoby nie podołały kosztownemu transportowi: musiała więc poprzestać na wycieczkach do wnętrza samego przylądka. Po kilkomiesięcznym pobycie w tych stronach popłynęła do Singapore, dla zwidzenia ztamtąd gromady wysp Sunda. Na początku roku 1852 podróżna staje w Sarawak, na północno-zachodnim brzegu wyspy Borneo, i puszczając się daléj w kierunku południowo-wschodnim, przebywa krajnę Dajaków i dosięga miasta Sintang. Następnie posuwa się w niż rzéki Kapuas aż do Poncyanak, głównego siedliska osad hollenderskich na zachodnim brzegu Borneo. Przyjęta z uprzedzającą grzecznością przez władze hollenderskie, uzyskała pozwolenie, rzadko komu udzielane, obejrzenia słynnéj kopalni złota i diamentów w Landak, położonéj na północo-wschód Poncyanaku. Przeprawiła się potém na Sumatrę, nie lękając się wkroczenia pomiędzy ludożercze pokolenia Bataków, będące dotąd przestrachem dla podróżników europejskich. Aby się przedrzéć w te strony, musiała torować sobie drogę przez lasy prawie nieprzebyte, przez rwące potoki, przez dzikie, nieprzystępne okolice. Spokojna jéj powaga, przytomność umysłu i zimna obojętność na najgroźniejsze niebezpieczeństwa zjednały jéj nawet u dzikich tych plemion przychylność i jakieś przesądne uwielbienie. Dotarła wreszcie do ludnéj i żyznéj krainy Silendon, zabawiła pośród Bataków dość długo aby poznać ich zwyczaje, a w piérwszych dniach grudnia 1852 r. udała się na Jawę i zwidziła wyspy moluckie. Niezmordowana turystka nie mogła, jak to było jéj życzeniem, dostać się do Nowéj Gwinei i Australii, dla przeszkód czysto materyalnych; lecz w lipcu zato 1853 r. z Batawii popłynęła do Kalifornii, i po przeprawie sześćdziesięciodniowéj wylądowała szczęśliwie na téj ziemi złotodajnéj, tém zbiorowisku ohydnych namiętności. Pani Pfeiffer obejrzała tu kolejno miasta i placery, przebiegła pokolenia koczujących Indyan, i zobaczywszy wszystko co było godnego widzenia, udała się do Limy, gdzie przybyła w styczniu 1854 r. Ztamtąd przechodzi do Peru i Boliwii, posuwa się aż do źródeł rzéki Amazonek, przekracza łańcuch Andów i spuszcza się w dolinę Quito. Wraca potém do brzegu morskie-

[1]) Eine Frauenfahrt um die Welt, von Ida Pfeiffer. 3 tomy w 12. Wiedeń 1850.

go, siada na okręt płynący z Gujaquil do Panamy, przebywa międzymorze Panama, zatokę meksykańską, i staje w Nowym Orleanie. Tam odpoczywa czas jakiś po trudach podróży, posuwa się wzwyż Missisippi aż do wodospodu św. Antoniego, obiega miasta św. Pawła, Stillwater, św. Krzyża w territorium Minnesota, wraca się potém łożyskiem Missisippi do Galeny, zbacza na wschód do portu Chicago w Stanie Illinois, i przebywa jezioro Michigan aż do jeziora Górnego. Tu odpoczywa dni kilka, i znów na pokładzie parostatku zwidza jeziora Huron, Erie, Ontario, składając hołd uwielbienia wodospadowi Niagary. Ztamtąd wniż rzéki św. Wawrzyńca udaje się do Quebek, przebiega Kanadę, odpływa do Bostonu i nareszcie do Nowego Yorku, gdzie zakończa swą odysseę powrotem do Londynu.

Taki jest ciąg podróży nieustraszonéj turystki; śledziliśmy je krok w krok z mappą w ręku, i sądzimy że obliczyć je można w ogóle najmniéj na 18—19000 mil geograficznych, z których 7—8000 przypada na piérwszą, 10—11000 na drugą podróż. Przebycie tak ogromnéj przestrzeni z tak słabemi środkami, siła ducha i woli tak rzadko u płci jéj natrafiane, stawiają panią Pfeiffer w rzędzie najznakomitszych podróżnych, nietylko kobiét ale i mężczyzn.

Pani Ida Pfeiffer, wróciwszy do Londynu, nie prowadzi tam życia bezczynnego. Przygotowywa, jak mówią, publikacyą drugiéj swéj podróży naokoło ziemi, która, ani wątpić, równie pochlebnego jak piérwsza dozna przyjęcia.

DZIEJE HERBATY CHIŃSKIÉJ.

Nic nie masz bardziéj uderzającego w dziejach Europy, jak zupełne przekształcenie jéj stosunków i nawyknień, powiédzmy raczéj całego stanu jéj oświaty, przez pomięszanie z innemi narodami. Że ta najmniejsza i i najuboższa część świata stanęła na obecnym swym stopniu potęgi i wielkości duchowéj, zawdzięcza to ona obcym po większéj części żywiołom. Syria przekazała jéj religią; po barkach Greków i Rzymian wspięła się na wyżyny nauk i sztuk pięknych; z Azyi przesiedliła hodowlę wina, jedwabiu i przemysł bawełniany; Ameryce wydarła tytuń, kartofle, kukurydzę; Afryce kawę; oceanowi Spokojnemu cukier i t. p. Zdumiewamy się przebiegając olbrzymi rejestr przemysłu i handlu europejskiego, bo wszystko tam prawie przyswojone z obczyzny. Głębsza dopiéro rozwaga wskazuje nam w tém zjawisku jedno z najciekawszych przeznaczeń historycznych. Potrzebato z dawien dawna zmuszała człowieka do szukania w odległych krainach tego, czego w domu odmówiła mu przyroda. Z każdym krokiem naprzód rozszérzał on mimowiednie ziemskie swe siedlisko, łącząc kraje i narody, które dawniéj w żadném z sobą nie zostawały zetknięciu. Posłannictwo to głównie przyjęła na się Europa; początkowo dla własnéj tylko korzyści, następnie porwana zapałem religijnym, szlachetną żądzą rozniesienia wszędzie ziarn ewangelii. Gdyby nie ubóstwo piérwiastkowe Europy, gdyby nie wojny krzyżowe, jeszczeby ludzkość daleką była od stanu teraźniejszego, w którym za pomocą prądu elektrycznego z szybkością światła przenosi swoje myśli z krańca ziemi na kraniec.

W zapatrywaniu się takiém na przebieg dziejowego rozwoju człowieczeństwa, wcielenie także herbaty w poczet codziennych naszych potrzeb ważnym w następstwach staje się wypadkiem. W istocie wielki to środek zbliżenia mieszkańców Zachodu i Wschodu, Północy i Południa i nie należy uważać go w taki sposób, w jaki uważamy na przykład powszechne naśladowanie mód francuzkich, tak słusznie przez rozsądek potępiane. Prawda że Europa ogromny za nią haracz corocznie opłaca państwu Środkowemu; prawda że ciężar ten mi-

liardowy, gdyby nie ścisłe odgraniczenie się Chin i Japonii, mogłyby znacznie złagodzić stosunki handlu czysto zamiennego, które też kompania wschodnio- indyjska, chociaż w sposób nieludzki, zaprowadzić usiłowała podstawieniem wyniszczającego opium: ale myśl wielka przyszłego zjednoczenia ludów całego świata i tak już niezmiernie zyskuje na owéj zależności wschodniéj Azyi od Europy i Ameryki, spowodowanéj przez herbatę od dwóch przeszło wieków.

Rzeczywiście dopiéro od dwóchset lat mniéj więcéj datuje przywóz do Europy herbaty, lubo ona w Chinach od VI, w Japonii od IX stulecia powszechnie już była używaną. Podług mitu japońskiego Darma, jeden z kapłanów Buddy, przybył do Chin jako apostoł swéj religii, i świętą uniesiony gorliwością, aby nie spocząć w pobożném dziele, obciął sobie powieki i zakopał je w ziemi, a z powiek tych wyrósł krzew herbaciany. Widocznie w tém podaniu Japończycy uzmysłowić chcieli orzeźwiającą własność herbaty.

Piérwszemi cudzoziemcami którzy herbatę poznali w Chinach byli Arabowie Wahab i Abuseid, i ci nazwali ją *cha*, *tsa*, albo *cza*, z czego powstało rossyjskie *czaj*. W narzeczu znów ludowém prowincyi chińskiéj Fohe, krzew herbaciany zowie się *tia*, zkąd poszło łacińskie *herba thea* i polskie herbata. W roku 1559 po raz piérwszy wspomina o niéj Jan chrzciciel Ramusio, a w r. 1576 Ludwik Almeida w listach pisanych z Japonii. W 12 lat późniéj (1588) Maffeus wymienia ją w wydanym przez siebie opisie Indyi wschodnich. Po nim Hiszpan Texeira w r. 1610 widział ją w Malace. W roku 1633 opowiada Olearius że Persowie piją czarną wodę, ugotowaną z ziela *cha*, którego im Tatarzy z Chin dostarczają, a które po wysuszeniu kurczy się nakształt robaków. W Europie atoli używano wtedy tylko odwaru dziewanny, szałwi, mięty i innych ziółek, przyprawnego miodem, aż póki w 1636 r. nie przywieziono herbaty do Paryża. Zdaje się że w tym samym czasie zjawiła się także w Hollandyi, bo w r. 1641 Tulpius, słynny lekarz i konsul w Amsterdamie, zachwalał zbawienne jéj własności. Z pewnością jednakże to tylko wiadomo, że w r. 1660 wprowadziła ją tam kompania hollendersko-indyjska. Roku 1667 lekarz francuzki Sonquet wysławiał wpływ zbawienny tego ziela w rozmaitych chorobach, a w Hollandyi Korneli von Bontekoe (Bonteku) uczynił to samo, zalecając także picie kawy i czekolady oraz palenie tytuniu, choć może w celu ubocznym powiększenia odbytu na wspomnione artykuły. Dla ogółu też, jak zawsze chciwego nowości, zdanie tak sławnego doktora, że przy używanie po wyższych środków można doczekać wieku matuzalowego nadzwyczaj było pożądaném, jakkolwiek zbyt świéże jeszcze zapoznanie się z herbatą twierdzeniu jego żadnéj nie dawało rękojmi. Ale człowiek rad zawsze wierzy w to co mu dogodne, i tak pomyślność herbaty, obok kawy, czekolady i tytuniu, była odtąd zapewnioną. Jednocześnie także musiała ona utorować sobie drogę lądem do Rossyi; bo podróżny Kilberger zastał ją tam w r. 1674 pod nazwiskiem czaju, i powiada że funt sprzedawano po 30 kopiejek.

Nigdzie jednak nowego przybysza nie przyjęto z taką skwapliwością jak w Anglii. W roku 1664 kompania wschodnio-indyjska ofiarowała Karolowi II 2 funty 2 uncye herbaty jako ciekawość, a w trzy lata późniéj sprowadziła 100 funtów najprzedniejszego gatunku, jako artykuł już handlowy. Odtąd użycie herbaty szybko rozprzestrzeniło się w Anglii. Pod koniec wprawdzie wieku XVII, po obłożeniu jéj przez parlament podatkiem, dowóz jawny znacznie się zmniejszył; ale zato przemycarstwo tak dalece się rozwinęło, że prawie w dwójnasób przewyższyło przywóz deklarowany. Ścieśnienie konsumcyi herbacianéj w XVIII stuleciu stało się powodem wielkiego zdarzenia historycznego, od którego, śmiało rzec można, rozpoczyna się nowy okres historyi nowożytnéj: oswobodzenia Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj.

Od roku już 1765 zaczęła się w Ameryce oppozycya przeciw dowolnie przez parlament angielski nakładanym podatkom od niektórych artykułów przywozowych, mianowicie od szkła, papiéru, farb malarskich i herbaty. Kolonie domagały się energicznie usunięcia tych nadużyć, a popiérane w Anglii przez oppozycyą wigowską, wymogły akt parlamentarny z d. 22 kwietnia 1770 r., znoszący cło od wymienionych wyżéj przedmiotów, z zachowaniem tylko podatku od herbaty. Ale wkrótce i to się sprzykrzyło Amerykanom, chociaż w tym razie rzeczywiście szło tylko o zasadę; herbatę bowiem przeznaczoną na wywóz do Ameryki uwolniono w Anglii od opłaty wynoszącéj jeden szyling od funta, a w Ameryce obłożono ją tylko cłem

wchodowém po 4 pensy od funta, przez co cena artykułu tego w koloniach znacznie się nawet zniżyła. Lecz Amerykanie woleli wyrzec się téj korzyści, jak przyjąć narzucone warunki; niesłychana w dziejach jednomyślność ożywiała ich pod tym względem. Odmówiono nietylko opłacania podatku, ale zerwano wszelkie stosunki handlowe z metropolią, chociaż nikt jeszcze wtedy nie pomyślał o odłączeniu się zupełném. Bierny opór przełamać miał zawziętość parlamentu angielskiego. Gdy jednak bierność nie pomogła, przystąpiono do czynu. Dwudziestego piérwszego października 1773 r. mieszkańcy Bostonu zabrali i zatopili 18,000 funtów herbaty, własność kompanii wschodnio-indyjskiéj, posiadającéj przywilej handlu tym artykułem. Anglia w tym kroku gwałtownym upatrywała otwarte powstanie i postanowiła uśmierzyć je przemocą. Ośmnastego kwietnia 1775 r. nastąpiło piérwsze starcie się wojska angielskiego z Amerykanami pod miastem Lexington. Jak późniéj, skutkiem zaciętéj sześcioletniéj wojny, ugruntowała się niepodległość Ameryki, tego kraju młodzieńczych usiłowań i przyszłości, to już historya zapisała w swoich kartach. I otóż ten wielki wypadek dziejowy, jeden z najważniejszych przewrotów nowoczesnych, wywołało, pośrednio przynajmniéj, niepozorne ziele, wyrosłe w krainie dalekiego Wschodu! Zaprawdę, tak w życiu jednostek jak w doli całych narodów nic niemasz przypadkowego, i najdrobniejsze częstokroć przyczyny największe sprowadzić mogą skutki.

Spotrzebowanie herbaty w różnych epokach ze stanowiska ekonomii politycznéj posłużyć razem może za dowód szkodliwości systemu zakazowego. W r. 1711 Anglia zużytkowała 142,000 funtów. W następnych wprawdzie latach konsumcya herbaty zwolna się wzmagała, i w r. 1781 doszła do 3½ milionów funtów; ale dopiéro po zniżeniu przez Pitta cła ze 119% na 12½ % cyfra ta podskoczyła nagle w r. 1785 na 13, a w r. 1788 na 15 milionów funtów. Gdy późniéj w r. 1795 cło podwyższono znów do 25%, a w r. 1806 do 96%, konsumcya w tym samym stosunku stopniowo się zmniejszała, aż póki zniesienie w r. 1834 przywileju kompanii wschodnio-indyjskiéj stanowczo jéj nie podniosło. W r. 1837 spotrzebowanie tego artykułu wynosiło 30,625,206 f., w r. 1838 32,351,593 funtów. Podług ostatnich wykazów statystycznych dosięgło ono w r. 1851 53,965,112 f., w r. 1852 54,724,613 f., a w r. 1853 58,860,127 f., tak iż w przecięciu wypadało po 2 funty na głowę. Oprócz tego z Anglii wywieziono herbaty: w roku 1851 17,501,299 funtów, w roku 1852 11,635,922 f., w roku 1853 11,875,405 funtów, a więc ogólny jéj przywóz roczny w tym kraju dochodzi olbrzymiéj cyfry 70 milionów funtów. Jak wielką zaś rolę handel herbaciany odgrywa w skarbowości angielskiéj, dowodzi ta okoliczność, że w r. 1852 z ogólnéj summy wpływów celnych 22,187,149 f. sterlingów za samę herbatę opłacono 5,985,484 f. sterlingów, a zatém około 27% całego dochodu, gdy cukier przyniósł tylko 3,913,727, a kawa zaledwo 463,665 f. sterlingów.

Zupełnie odwrotny stosunek zachodzi w związku celnym niemieckim; tam bowiem w r. 1852 wprowadzono herbaty tylko 2,146,870 f., co czyni bezmała dwa łuty na głowę, czyli mniéj niż trzydziestą drugą część zużytkowania angielskiego. Dochód z tego źródła wynosił 214,687 tal., to jest niespełna 1% ogólnego wpływu celnego 24 milionów talarów. Przeciwnie kawa uczyniła 6,141,876 tal. czyli 25%, cukier 4,023,031 czyli 16%. Czém więc dla Wielkiéj Brytanii jest herbata, tém kawa dla związku celnego; tylko że piérwsza w Anglii tyle prawie przynosi funtów sterlingów, ile druga w Niemczech talarów, i sama jedna jest źródłem dochodu w dwójnasób blizko przewyższającém ogólny dochód celny całego związku niemieckiego.

W Chinach konsumcya herbaty na 396 milionów mieszkańców wynosić ma 706 milionów funtów, a zatém stosunkowo mniéj trochę jak w Anglii, bo około 1 funta 25 łutów na głowę. Sąsiednia zato Rossya, przy ludności 60 milionów, zużywa tylko 10 milionów funtów, czyli 5⅓ łuta na osobę. Do Stanów Zjednoczonych w r. 1831 przywieziono herbaty za 4,586,233 f. sterl. w r. 1847 za 12,927,643 f. sterlingów, z czego, po odtrąceniu wywozu, wypadało na wewnętrzne spotrzebowanie mniéj więcéj 1 funt na głowę. Hollandya w 1832 wprowadziła 2,700,000 funtów herbaty. We Francyi konsumcya tego artykułu bardzo jest mała, bo w r. 1840 czyniła tylko około ⅓ części łuta na osobę.

Z powyższych przytoczeń łatwo jest obliczyć jak ogromne summy handel herbaciany corocznie

przekazuje Chinom. W roku 1828 kompania wschodnio-indyjska sprzedała herbaty za 25,721,029 f. sterl., a w r. 1844 z samego Kantonu wywieziono 64,800,000 funtów téj rośliny. Dziś wprawdzie zarówno Europa jak Ameryka północna pracują nad wciągnieniem państwa Niebieskiego w ogólny handel zamienny; ale wątpić należy czy Chiny dobrowolnie przemysł swój wewnętrzny wystawić zechcą na walkę z konkurencyą zagraniczną. Jeżeli więc szérzące się obecnie w tym kraju powstanie zapor jego nie zwali, to może w niedalekiéj już przyszłości ważna ta kwestya zbrojnego wymagać będzie rozstrzygnięcia.

NOTATY Z WYCIECZEK PO KRAJU

PRZEZ

WŁADYSŁAWA WIECZORKOWSKIEGO.

TATARSKI SZLAK.

Byłem raz w małém miasteczku Chmielniku. Słońce ostatnią purpurową łuną pożegnało ziemię; zdało się że natura znużona całodziennem życiem wpada zwolna w jakiś sen wspaniały: cisza zaległa okolicę, i tylko wzbijające się w górę słupy komarów i nocnych owadów brzęczały tajemniczą muzyką, a żaby porozumiewały się z sobą tą dziwną mową, któréj słowa tak wybornie podsłuchał nasz lud wiejski.

Stałem oparty o ścianę kilkowiecznego kościołka w Chmielniku, bogatego we wspomnienia o rodzinie Oleśnickich, kościołka którego dzieje związane ściśle z pamiętną epoką szérzenia się protestantyzmu w katolickiéj Polsce. Milczenie wieczorne usposabia do dumań i marzeń, bo człowiek czuje się wtedy jakoby panem téj nocnéj ciszy, wyobraża sobie że jest wyższym od reszty ludzi, którzy pogrążeni we śnie głębokim przestali żyć całą pełnią człowieczych sił ducha; podnosi się on wtedy myślą, dusza wyrywa się i błądzi po rozległych obszarach; wszystkie światy i wszystkie czasy będą już dla niéj za ciasnym obrębem.... dopóki strudzona wędrówką albo nie padnie, albo téż nie wzniesie się aż do ostatnich krańcow, kędy wolno dosięgnąć myśli, i nie ujrzy samego Boga jasném ducha obliczem. I ja marzyłem... a kiedym patrzył na roztaczające się przed oczami szérokie pola, przedstawił mi się w wyobraźni ów morderczy dramat, co przed sześcią wiekami zrumienił tę ziemię krwią polskich rycerzów. Niedawno przeczytane kronikarskie podanie o napadzie Tatarów na ziemię polską, coraz silniéj ożywiało się w myśli... Widziałem jak dwa hufce żelaznego ramienia a hartownéj duszy wojowników, spadło niby piorunem na tłumy Mongołów, łamiąc w piérwszéj chwili niezliczone ich zastępy; i widziałem potém dzielnego Włodzimirza wojewodę i innych przywódzców, jak ginęli zasłaniając własną piersią kraj swój rodzinny i cały Zachód Europy od powodzi tatarskiéj.

Dziwną wydała mi się wtedy małomówność najdawniejszych naszych kronikarzów o tak ważnym dziejowym wypadku. To niepodobna, pomyślałem sobie, żeby nie było nigdzie wyraźniejszych śladów tego pochodu tatarskiéj dziczy, co jako pożar w stepie wstrząsnął całém życiem narodu. I wówczas to powziąłem zamiar zebrania, o ile się da, rozproszonych podań tyczących się tego przedmiotu; pragnąłem w jednym obrazie przedstawić zapasy rycerstwa katolickiéj Lechii przeciwko zwycięzkiéj potędze Tatarów. Ale to co zaledwo niewyraźnie rysowało się w mojéj wyobraźni młodzieńczej, to za chwilę miał wskrzesić jedném tchnieniem talentu ulubiony nasz historyk, Karol Szajnocha. Dwa szkice historyczne tego autora, jeden o św. Kindze, drugi o szlaku Batu-cha-

na, rzuciły jasne światło na zamglony dotąd us tęp w dziejach naszego kraju. Dziś, po przeczytaniu artykułów Szajnochy, a przytém zgromadziwszy kilka drobnych notat w czasie moich wycieczek po kraju, coraz bardziéj przekonywam się, że nietylko cały wypadek może się z czasem zupełnie wyjaśnić, ale nawet byłoby możebném oznaczyć każde niemal stąpnięcie Tatarów po lechickiéj ziemi, bo każden ich krok, znaczony krwią, mordem i zniszczeniem, do dziś dnia, po upływie sześciu wieków, w wielu jeszcze miejscach żyje w pisanéj albo téż ustnéj powieści.

Kronikarz XIII wieku Bogufał, albo może Gosław Baszko, jak chcą niektóre kodeksy, bardzo niewiele przedstawił nam faktów o piérwszém ukazaniu się w Polsce Tatarów i o ich dalszym zwycięzkim pochodzie. W latopisie Bogufała po raz piérwszy oglądamy ich bliżéj w Sandomiérzu; natrąca potém kronikarz o bitwie poprzednio pod Opolem stoczonéj; daléj idzie napomknienie że się dostali do Krakowa, że złupili ziemię sieradzką, łęczycką i Kujawy, i nie spotykamy się już z niemi aż pod zamkiem lignickim na Szląsku, kędy Henryk Pobożny czuł się dość odważnym by stanąć śmiało oko w oko najeźdcom i stoczyć walkę rozpaczną. O dwóch bitwach pod Turskiem i pod Chmielnikiem bynajmniéj nie wspomina nasz kronikarz. [1]) Za to późniejsi historycy, mianowicie Długosz, a za nim Kromer i Bielski, obszérniéj rozpowiadają nam o walkach polskiego rycerstwa z Tatarami, wynagradzając tym sposobem lakoniczność spółczesnego rocznikarza. [2]) Ale Długoszowi zarzucano brak krytyki, i dlatego to niektórzy historycy albo zupełnie odrzucili opowiadanie jego o Tatarach, jako nie zasługujące na wiarę, albo téż przyjęli je nieinaczéj jak z pewnemi zastrzeżeniami. Już Naruszewicz nie umiał rozwiązać sobie dat podanych przez Długosza, uczony zaś autor, dziejów rzeczypospolitéj polskiéj, mówiąc o tym napadzie Tatarszczyzny, wyłącznie trzymał się podań samego tylko Bogufała, i ani na krok nieodstąpił od nich. Autorowi dziejów rplitéj wydały się opisy bitew w Długoszu, że się wyrażę własnemi jego słowy, bardzo podejrzanemi. Odrzuca więc wszystko co powiedział nieoszacowany nasz kronikarz, poprzestając na szczuplejszym, ale bardziej, podług niego, prawdopodobnym opisie. A jednak, mimo tego cienia rzucanego przez wielu na kronikę Długosza, wyszła ona zwycięzko z pośród gradu czynionych jéj zarzutów. Wszyscy ci którzy widzieli w niéj grube usterki, jak i ci co poważyli się objaśniać i poprawiać szacowny jéj wątek, upadli ze swojemi oskarżeniami. Szajnocha wykazał zupełną nicość znajdowanych w niéj błędów, podnosząc tém samém jednym szczeblem wyżéj już i tak znakomitą w dziejach cywilizacyi polskiéj postać jéj autora. Z kroniką Długosza w ręku, uzupełnioną przez lwowskiego historyka, przebiegnę część Batowego szlaku, od Sandomiérza i Koprzywnicy, aż do piérwszych kresow sieradzkiej ziemi, szukając czyli gdzie w ustném albo piśmiennem podaniu nie przechowały się chociaż drobne wzmianki dopełniające opowiadań zacnego kronikarza. A może téż znajdą się nowe jakie dowody, które silniéj niż dotąd przemówią za prawdą Długoszowéj powieści.

* * *

Książę Bolesław Wstydliwy, doświadczywszy zaraz w piérwszej bitwie pod Opolem niemałéj klęski od Tatarów, opuścił wraz z matką swoją Grzymisławą dotychczasową stolicę w Sandomiérzu i pobiegł prosto na zamek do Krakowa, ażeby tam z baronami i komesami radzić co żywo o dalszéj obronie kraju. Za swoim panem pospieszyło do Krakowa niemało rycerstwa z sandomiérskiéj ziemi. Tymczasem Mongołowie, nie spotykając już nigdzie oporu, pomknęli do Zawichosta i zamienili w gruzy tameczny zamek. Niebawem miała wybić fatalna godzina i dla bogatego Sandomiérza. Dnia 13 lutego (1241), w sam dzień popielcowy, przełamany został rozpaczny opór mieszkańców i nagromadzonego z okolicy ludu, który ufając obronności miasta, schronił się tam z dobytkiem. Rozdrażnieni Mongołowie wpadli do miasta i wycięli w nim ludność wszelkiéj płci i wieku, nie przepuszczając opatowi i mnichom z sąsiedniego klasztoru Cystersów w Koprzywnicy. Tak mówi Długosz; ale podanie miejscowe nieco odmiennie przedstawia nam ten wypadek. Podanie to utrzymuje, że jak tylko wieść doszła do Koprzywnicy o posuwaniu się Tatarów ku Sandomiérzowi, ksiądz

---

[1]) Bogufał, wydanie Jabłonow. stron. 119, 120.

[2]) Długosz, wyd. lipskie, księga VII (670-673) Kromer, przekł. Błażow. f. 185. Bielski, f. 135.

opat koprzywnicki, zabrawszy z sobą całe zgromadzenie, począł piechotą uchodzić z klasztoru. Pragnął on, na równi z mieszkańcami całego powiśla, znaléźć bezpieczny przytułek poza murami książęcego grodu w Sandomiérzu. Ale już było za późno: Tatarzy już się rosypali po całéj okolicy, plądrując, paląc i niszcząc poblizkie Sandomiérzowi włości. Jeden z takich oddziałów tatarskich napotkał opata z zakonnikami we wsi *Szewce*, i natychmiast popłynęła strumieniem krew białych mnichów świętego Bernarda. Był to zapewne oddział dążący do Koprzywnicy, gdzie spodziéwał się znaléźć skarby jakie pobożność a zwyczaj XII i XIII wieku gromadziły po przybytkach powierzonych opiece zakonnego duchowieństwa.

Zda nam się że niesłusznie wątpi Szajnocha [1]) czyli już istniały w owe czasy mury klasztoru w Koprzywnicy. Owszém, rozpatrzywszy się bliżéj na miejscu w starożytnych zwaliskach cysterskiego opactwa, dostrzegamy tam zachowane do dziś dnia szczątki budowli sięgających nietylko XIII wieku, ale nawet czasów księcia Kaźmirza Sprawiedliwego, który słynie jako założyciel opactwa. Dotąd istniejący kapitularz, o ścianach i sklepieniach zbudowanych z ciosu, jest bez najmniéjszéj wątpliwości rzadkim u nas zabytkiem budownictwa XII wieku, a znajdowane tu i owdzie na krużgankach szczątki starożytnych malowideł stylem swoim przypominają nam zupełnie malowania na pargaminowych rękopismach XIII stulecia. Sam nawet kościół, chociaż uległ w ciągu wieków wielu odmianom i przerobieniom, jednak zachował niektóre cechy, które każą go nam zaliczać do bardzo dawnych pamiątek w kraju.

Dlaczegożby zresztą nie miały tu już istnieć mury świątyni i klasztoru, kiedy fundacya Cystersów w Koprzywnicy odnosi się do roku 1185, [2]) a nawet do roku 1180, jak podaje Manrique. [3]) Mogły więc od czasu piérwszego najścia Tatarów stanąć w tém miejscu z ciosu i cegły zbudowane gmachy, wspaniałe i olbrzymie, jak wszystkie cysterskie opactwa, stawiane w końcu XII i na początku XIII stulecia.

[1]) Stron. 38. Szkice.

[2]) Długosz księga VI. f. 554.

[3]) Cisterciensium, seu verius ecclesiasticorum annalium a condito cistercio... auth. Fr. Angelo Manrique. T. II. 162.

Po dobyciu Sandomiérza, Tatarzy rozpuścili swoje zagony głęboko w ziemię krakowską, i przeszedłszy Nidę, zapewne pod Wiślicą [1]), dotarli aż do Skarbimierza. Tu dopiéro powściągnęli swoje zapędy. Czytamy w kronikach że książę Konrad, zająwszy w roku 1235 Skarbimierz, oszańcował kościół św. Jana, czyniąc z niego pewien rodzaj warowni. Otóż niektórzy prawdopodobnie domyślają się dziś że dzicz pogańska, doznawszy oporu pod Sandomiérzem, nie odważyła się dobywać tak umocnionego zamku i odstąpiła spiesznie od Skarbimierza, uchodząc z łupem zdobytym w krakowskiéj ziemi.

Miejsce od którego zawrócili Tatarzy zaledwie siedm mil oddaloném było od Krakowa... Wszystka nadzieja ocalenia spoczywała teraz w rękach krakowskiego wojewody Włodzimirza, potomka syrbskich, to jest zachodnio-słowiańskich, kniaziów. Dzielna ta postać hetmana Małopolan rysuje się pięknie a wybitnie na tle wypadków 1241 roku. Wojewoda radzi z drugiemi nad środkami obrony kraju, korzysta z chwili ażeby zadać cios tatarskiéj rzeszy, i nie piérwéj składa żelazo co się stępiło na karkach mongolskich, aż póki mu go razem z życiem nie wytrąciło przeważne liczbą pogaństwo.

Między Miechowem a Działoszycami zebrała się we wsi Kalinie małopolska szlachta, pod przewodem Włodzimirza wojewody, nie wiedząc jak tu sobie począć, jak stawić tamę tatarskiéj powodzi: kiedy na raz jeden rozeszła się wieść, o cofnięciu się Mongołów z pod Skarbimierza. Wojewoda Włodzimirz, nie tracąc czasu, z tém samém rycerstwem które się zgromadziło w Kalinie wyprawia się natychmiast w pogoń za Tatarami; z koła obrad szlacheckich przenosi się szybko na pole zawziętéj walki.

Nie będę opisywał pamiętnéj bitwy pod Wielkim Turskiem. Garść Polaków, najprzód zwycięzka, potém zwyciężona, musiała w końcu ustąpić, zadawszy jednak dotkliwą stratę Tatarom. Wśród wrzawy wojennéj wielu związanych niewolników zdołało się oswobodzić i umknęło w poblizkie lasy. Podanie dodaje że pomiędzy temi brań-

[1]) O przechodzie Tatarów przez Wiślicę wspomina Bogufał (stronnica 120); nie wiemy tylko czy te odwidziny nastąpiły w tym czasie, czy téż nieco późniéj.

cami najwięcéj było kobiét. Samę nazwę wsi Turska ze zgrozą powtarzał potém Tatarzyn w rodzinnych stronach, i długo przechowywała się ona w pamięci Ordyńców, od których przeszła do kronik chińskich w przekształceniu na *Tulisseko*. Tak nas przynajmniéj zapewnia Deguignes, uczony orientalista zeszłego wieku [1]).

Do dziś dnia pośród lasu sąsiadującego ze wsią Turskiem napotykają się liczne mogiły z ziemi sypane, pod któremi znajdują czaszki tatarskie, szczątki żeleźców od strzał i okruchy zbroi polskiego rycerstwa.

Bitwa pod Turskiem widocznie wywołała silny popłoch między Tatarami, kiedy zabiegłszy aż do stromieckiéj puszczy «niedaleko Sieciechowa" tam przez dni kilka się ukrywali [2]).

Powróciwszy do Sandomiérza, gdzie właśnie w tymże czasie stanął sam Batu-Chan ze swojemi zastępami przybyłemi z Rusi, gotowali się Mongołowie na stanowczą wyprawę w ziemię lechicką. Idąc wzdłuż Wisły na północ od Sandomiérza, rozdzieliła się horda na dwa wielkie oddziały: jeden, wiedziony przez Batu-Chana Ordiuja i stryjecznego brata jego Petę czyli Bajdara, ruszył ku północy drogą do Sieradza, Łęczycy i Kujaw; drugi, pod głównem zwierzchnictwem Batu-Chana, trzymając się zrazu brzegów Kamionny, zwrócił się potém ku Iłży, a ztamtąd sięgnął niedalekiego od niéj Skaryszowa [3]). Na piękne okolice powyżéj rzéki Kamionny zwaliła się cała groza tatarska; Rzechów, Prędocin i samo miasto Iłża, kędy stał zamek krakowskich biskupów, doświadczyły srogiego spustoszenia. Poza Iłżą, niedaleko kościoła Panny Maryi, na równinie blizko rzéki, wznosi się tak zwany kopiec. Jest on z wiérzchołka znacznie wklęśniętym, wydaje się być okrągłym, a rzeczywiście jako czworobok ma cztéry nieznaczne zagięcia, trzyma zaś obwodu u góry 294, u dołu 423, a wysokości 28 stóp miary dzisiejszéj. Z trzech stron otoczony rowem, zupełnie on podobny do tylu innych wzgórzów, które według badaczów starożytności słowiańskich zwały się grodziskami, a gdzie pogańscy nasi przodkowie swoje religijne i obywatelskie zgromadzenia odbywali. Opowiadają o nim Iłżanie iż za napadu Tatarów tyle zginęło tutejszych mieszkańców, że aż się ten kopiec utworzył gdy ich złożono na stos jeden i przysypano ziemią. Chociaż więc rozkopanie nasypu na 3 łokci w głąb' niewykryło żadnych szczątków któreby stwierdziły podanie, jest to jednak dowodem jak dalece w żywéj pamięci ludu wypiętnowały się okropności tatarskiego napadu. Długosz mówi że droga na Rzechów, Prędocin i Iłżę nazywa się do dziś dnia drogą Batego «*Via Bathi in hodiernum appellatur*," a Czacki robi wzmiankę że kiedy był w tamtych miejscach, jeszcze gmin wspominał o drodze Batego i o jego okrucieństwach [1]). Ksiądz Gacki pod pewnym względem niedowierza Czackiemu, sam bowiem przekonał się na miejscu że droga ta w ustach okolicznego ludu i mieszkańców Iłży nazywa się *drogą smutną*, *drogą tatarską*, ale nigdy batowską; jednakże ta drobna okoliczność nie zmienia bynajmniéj saméj istoty rzeczy [2]).

---

[1]) Tursko „les Chinois le nomment Tulisseko" (Histoire générale des Huns, des Turcs, des Mongols et des autres Tartares occidentaux... ouvrage tiré des livres chinois et de manuscrits orientaux de la bibliothéque du Roi... par M. Deguignes, tom III stron. 96 (wyd: w Paryżu r. 1757.) Deguigne zna niektóre kroniki polskie, mówiące o piérwszym napadzie Tatarów, i prawie dosłownie spisuje podług nich swoje opowiadanie, a ten drobny, chociaż charakterystyczny, szczegół o Tursku jest jedyną dla nas nowością wyczerpniętą ze źródeł wschodnich.

[2]) Jeszcze i teraz cały ów trojkąt, kędy się schodzi Pilica z Wisłą, zarosły jest gęstym lasem, który ani wątpić pokrywał przed laty całą przestrzeń między dwiema rzékami. To nam tłumaczy wyrażenie się Długosza o blizkiém sąsiedztwie Sieciechowa ze stromiecką puszczą. Wsie bowiem Stromiecko i Stromiecka Wola leżą nieopodal Pilicy, w dzisiejszym powiecie i okręgu radomskim, gdy tymczasem Sieciechów stoi, jak wiadomo, ponad Wisłą, w sześciomilowéj, co najmniéj, od Stromiecka odległości.

[3]) Że Tatarzy byli w Skaryszowie w roku 1241, pisze o tém uczony ks. Gacki w Pamiętniku religijno-moralnym. (Tom XXVII. (1854) stron. 370.) Ksiądz Gacki, jako pasterz w poblizkiéj Skaryszowowi parafii w Oddechowie, mógł miéć o tém dokładną wiadomość.

[1]) Pomniki do historyi i literatury polskiéj, wydane przez Wiszniewskiego, t. II stron: 18.

[2]) Teraz nikt tu z ludzi, pisze ks. Gacki, nie wzmiankuje o Batym, ani o drodze batowskiéj; prawdopodobnie i Czacki nie słyszał między gminem imienia Batego. Powiadano mu to co dotąd prawią o kopcu, i dodano że droga wedle kopca idąca zwała się niegdyś badowska, bo tak ją czasem mianowano jeszcze w ośmnastym wieku. Proboszcz Rogalli w inwentarzu 1759 roku przywodzi Kromera, a choć u tego stoi *via Bathi*, on pisze *via Badowska*. Mówi też o łączce proboszczowskiéj, zwanéj pastewnik, przy ulicy

Z Iłży posunęli się Tatarzy ku miastu Szydłowcu. Nie śmiemy utrzymywać że po drodze zajrzeli do Wąchocka i na Łysą Górę, do świętokrzyskiego opactwa, chociaż w obu tych klasztorach biegały kiedyś głuche wieści o napadzie Mongołów. Zrabowanie relikwij i zburzenie klasztoru świętokrzyskiego przypisuje Krzysztof Warszewicki piérwszemu napadowi Tatarów za Bolesława Wstydliwego, a w Wąchocku jedna z ulic nazywa się dotąd Tatarami. Nie są to zapewne fakta niezbite, ale bez wątpienia drogoskazy, podług których kierując się w dalszych poszukiwaniach, możemy z czasem dojść rzeczywiście do faktów.

Między wsiami Chmielnikiem a Szydłowcem zgromadzili się silni wiarą chrześciańscy wojownicy. Wojewoda Włodzimirz, zwycięzca z pod Turska, jest znowu duchem ożywczym całéj wyprawy. Wiedziona przez swoich wojewodów i kasztelanów, małopolska szlachta pragnęła teraz własnemi piersiami stawić zaporę do Wawelu. Razem z Włodzimirzem wojewodą dowodził Krakowianami Klemens z Klimontowa krakowski kasztelan [1]). Na czele zaś Sandomiérzan stanął na polu przyszłéj walki Pakosław wojewoda, zwany *junior* [2]) z Jakubem Raciborowiczem kasztelanem [3]). Ale Chmielnik stał się grobem dla polskiego rycerstwa; poległ tutaj Włodzimirz wojewoda, polegli i inni przywódzcy wyprawy, a razem z ich śmiercią zniknęła ostatnia nadzieja ocalenia Krakowa, bo już nic nie potrafiło wstrzymać bystrego polotu Tatarów.

Dotychczas pole ciągnące się od Chmielnika ku miastu Szydłowu jest nakształt olbrzymiego przedwiecznego cmentarzyska; z pod gleby poruszonéj wieśniaczym pługiem nieraz wysunie się strupieszała kość ludzka, albo jaki odłamek uzbrojenia; a dość widziéć chociaż kilka owych niezwykłych formą czaszek, znalezionych na miejscu pośród wydm piaszczystych, ażeby niepodzielać dłużéj przesadnéj obawy kilku naszych historyków, którzy bitwę z Tatarami pod Chmielnikiem, wyrzucili zupełnie ze swoich kronikarskich opowieści. Okrom czaszek, bez wątpienia tatarskich, nieoglądałem na miejscu innych wymowniejszych dowodów walki. Kryje się zapewne wewnątrz ziemi niejedna polska zbroja i niejeden ułamek tatarskiego oręża; nieumiano mi jednak ani słowa o losie wykopalisk powiedziéć, chociaż wiem z pewnością że były. Podobno nawet w czasie budowy szossy do Kielc znaléźć się miało wiele pamiątek w żelazie, obok niezwykłéj liczby kości ludzkich; ale gdzie się to wszystko podziało, trudno odgadnąć. Najpewniéj że niedbalstwo, albo może niedość rozpowszechniona cześć dla pamiątek odległych wieków, nadała znalezionemu żelazu więcéj praktyczne i bardziéj do dzisiejszych potrzeb zastosowane kształty.

Po bitwie chmielnickiéj, gdzieś na drodze ku Krakowowi, zaciérają się nieco ślady pochodu Batu-Chana. Za mało znam tamte okolice, ażebym mógł coś dokładnego powiedziéć o téj dalszéj wędrówce hord tatarskich; wolę zatém podążyć za drugim oddziałem Mongołów, który zabiegłszy w północne strony Lechii, prawie zupełnie niknie nam z oczu.

Długo nie daje się on odszukać, aż nareszcie u brzegów Pilicy wynurza się na raz jeden z ciemności, i tam dopiéro rozwija swobodnie swoje okrucieństwa, szalejąc na gruzach dwóch bogatych opactw.

Żaden z naszych historyków, nie wyłączając i Długosza, nie wspomniał o napadzie Tatarów na klasztor w Sulejowie; a jednak jest to fakt który był kiedyś powszechnie znanym wszystkiemu zgromadzeniu Cystersów w Sulejowie. Każden z mnichów miejscowych, wchodząc do starożytnéj kaplicy św. Trójcy, zbudowanéj w romańskim stylu, mógł snadno odczytać stary gotycki napis, co się czernił dziwnemi kształty na murze téj kaplicy:

«Anno ab incarna. Dni 1176 fundatum stat monasterium Sulejoviense sub Casimiro Du-

---

badowskiéj. A że był na Iłży także półanek badowski, to więc wskazuje iż miano tak gruntu jak drogi raczéj od miejscowego nazwiska, a nie od imienia tatarskiego wodza należy wyprowadzać." Póty ks. Gacki. (Pamiętnik Relig. Moralny r. 1854. Tom XXVII stron. 370)

[1]) Ten Klemens jest fundatorem klasztoru benedyktynek w Staniątkach. Patrz Boczkowskiego dzieło o Wieliczce, str. 144, 145 (autor miał pod ręką akta staniątkowskiego klasztoru.

[2]) Helcel w ważnéj swojéj rozprawie o klasztorze jędrzejowskim zebrał w jedno wszystkie znane dotąd szczegóły o tym Pakosławie. Str. 83.

[3]) Był już kasztelanem sandomiérskim w r. 1239. Codex dipl. Rzyszczewskiego, tom I. str. 43.

ce Poloniae—Milite. et anno Domini MCCXXXI [1]) per Tartaros crematum est."

Napis ten, który jeszcze w roku 1853 oglądałem na miejscu, wynagradza nam choć w części milczenie dawnych historyków, będąc niejako ustępem wypełniającym kronikę XIII wieku.

Po spaleniu sulejowskiego klasztoru pomknęli się Tatarzy ku Piotrkowowi [2]) bo właśnie w tamtych stronach, w jednomilowéj odległości od Pilicy, mieli napaść na inne znowu opactwo, które lat temu kilkadziesiąt stanęło w Witowie. Zbudował je dla zakonu św. Norberta pobożny biskup płocki Wit z Zielonego Chotla, herbu Janina.

Zwyczaj XII wieku pozwalał osadzać norbertańskich mnichów tuż obok zakonnic tejże reguły. Więc w jedném i témże samém miejscu, a nawet pod tymże samym dachem, «kobiéty i mężczyzni, osobnemi rozdzieleni mieszkaniami, Bogu służyli, a zakonnicy nad pannami mieli zwierzchnictwo." [3]) Tak samo było i w Witowie, gdzie zaraz w piérwszych chwilach powstało męzkie opactwo, a nie sam tylko klasztor panieński, jak niektórzy utrzymują. Toć przecie Dziersław, brat biskupa Wita, sprowadza ztąd «braci i siostry reguły św. Augustyna, do swojéj fundacyi w Busku [4]) a samo imię opactwa kilkakrotnie jest wspominane w rękopiśmiennych dokumentach z początku XIII stulecia. [5]) Co więcéj, jeden z opatów witowskich imieniem Grzegorz znany jest z drukowanego dyplomatu księżnéj Grymisławy (z r. 1227) [6]).

Napad Tatarów zmienił ten stan rzeczy w Witowie. Księża Norbertanie snadź zawczasu schronili się w bezpieczne miejsca, bo kiedy Mongołowie wpadli dla łupu do Witowa, zastali tam jeno pobożne średniowieczne mniszki, które ślubowawszy sobie żyć wiecznie pośród tych ustronnych murów, może nie miały odwagi opuścić ich, przekładając palmę wybranych pańskich, nad przestąpienie Bogu uczynionéj przysięgi. Tu razem ze zburzeniem klasztoru, poginęły śmiercią męczeńską i te pobożne jego mieszkanki. Legenda zapisana w starym kalendarzu kościelnym, zachowanym w strzelińskim klasztorze, opowiada jako podczas straszliwego mordu niewinnych dziewic «z wielkim podziwem okrutnego narodu" stał się w Witowie cud wielki: w sercu zakonnicy Moniki ujrzało pogaństwo «tajemnicę narodzenia Pańskiego."

Z całego zgromadzenia trzy tylko mniszki zdrowo uszły z życiem, schroniwszy się w sąsiednim lesie do dołu, który na wieczną pamiątkę zdarzonego wypadku nazwano później *dołem panieńskim*, a nazwa ta utrzymuje się do dziś dnia w miejscowém podaniu. Ciała zamordowanych dziewic spoczywały kiedyś w kościele witowskim.

Druga połowa notatki klasztornéj wydaje mi się zupełnie błędną. Mowa w niéj o Dziersławie, jakoby sandomiérskim wojewodzie (?), który «trzy zakonnice błąkające się po lesie między dzikiemi zwierzętami" przejeżdzając przypadkiem przez tamte okolice, zabrał do Buska i tam je osadził. Legenda, jak zwykle, pomięszała tu prawdę z fałszem i odniosła fundacyą zakonnic w Busku do czasu piérwszego napadu Tatarów (w r. 1241), kiedy widocznie te kilka mniszek ocalonych od rzezi mongolskiéj, przeniosłszy się do Buska, zwiększyły jeno osadę dawno już w tém miejscu istniejącego klasztoru [1]).

Otóż i wszystko cokolwiek udało mi się dotąd zebrać o pochodzie Tatarów przez polską ziemię. Gdybym chciał iść za pajęczą nicią niedokładnie opisanych wykopalisk, w których znajdowano żeleźce od strzał niby tatarskich, pewno zabłąkałbym się aż do Olsztyna, albo może w okolice podkarpackie, do starożytnego miasteczka Ludzimierza. Ale wiem z doświadczenia innych że

---

[1]) W napisie tym MCCXXXI, czarną farbą na murze malowanym, jedno X zniknęło przy odnawianiu muru w czerwono oznaczonéj obwódce otaczającéj napis, i ztąd zamiast roku 1241 stoi rok 1231, w którym to czasie jeszcze ani słychać było w Polsce o Tatarach. Sądzę że takiego rodzaju przypadek w niczém nieosłabia wiarogodności napisu. (Rok MCCXXXI w ten sposób jest napisany, że na końcu jednego wiérsza mamy MCC, a dopiéro na początku drugiego XXXI.) Kościół, spalony przez Tatarów, poświęcony był w r 1232 przez arcybiskupa Pełkę.

[2]) Już wtedy istniał Piotrków. (Rzyszczewski t. str. 38.

[3]) D. Kraszewskiego żywoty str. 138, i Łubieńskiego *Vita episcop. plocen.*

[4]) Rzyszczewski, tom I. str. 15.

[5]) Będą drukowane w dalszym ciągu dyplomatoriusza Rzyszczewskiego.

[6]) Themis polska, tom VI. stron. 418.

[1]) Legenda ta wyjęta z dzieła Daniela Kraszewskiego opata witow. pod n. Żywoty św. zakonu premonstr. Ztamtąd powtórzył ją wskróceniu *Rzepnicki* str. 119. Z kronikarzów naszych obszérniejszą nieco wzmiankę o napadzie Tatarów na klasztor witowski uczynili Kromer i Bielski.

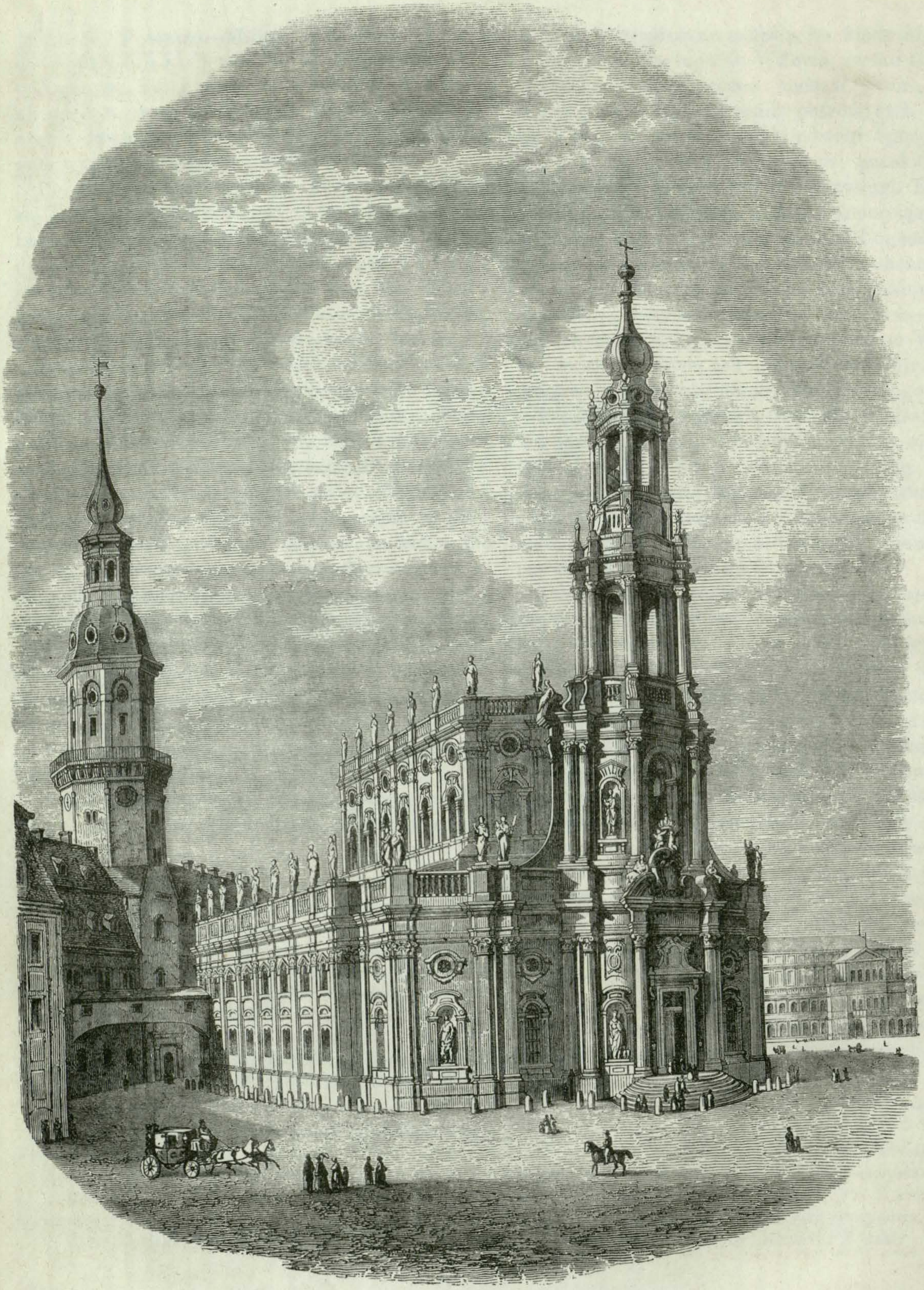

Kościoł katolicki w Dreznie.

niedaleko prowadzą takie błędne a śmiałe wycieczki naukowe. Najczęściéj ostatecznym ich wynikiem bywa kilka mniéj lub więcéj prawdopodobnych albo téż fałszywych przypuszczeń, które za piérwszym powiewem prawdy tracą natychmiast swoje znaczenie w nauce.

Tylko sumienne studya nad dziejami znaczniejszych małopolskich grodów, i nad historyą naszych opactw i klasztorów, mogłyby nas doprowadzić do zamierzonego celu; bo gdzie jeno zajrzeli Tatarzy, wszędy szukali łupów i zdobyczy, a właśnie ówczesne opactwa i klasztory były prawdziwą skarbnicą bogactw narodowych. Wszystko cokolwiek rycerstwo polskie posiadało najdroższego, wszystko to składało się Bogu na ołtarzu. Tatarzy zwiedzieli się zaraz w początku o takowéj zamożności polskich opactw, i dlatego, plądrując po naszéj ziemi, widocznie wyszukują je, nawet w najbardziéj ustronnych zakątkach kraju.

Nakoniec drugą niemniéj ważną wskazówką przy oznaczeniu szlaku tatarskiego mogą być dyplomata książąt polskich, wydane zaraz po ustąpieniu Mongołów. Obszérne łany ziemi leżały wtedy nieuprawne, bo ludność, przejęta strachem i trwogą, pragnąc uniknąć żelaza Tatarów lub téż tatarskiéj niewoli, biegła ukryć się w niedostępne miejsca, i tam po większéj części wyginęła z nędzy i niewygód. W takiém położeniu rzeczy piastowscy książęta poczęli zaludniać niemieckiemi przybyszami opustoszałą ziemię polską i udzielali z chęcią nowym osadnikom rozległe przywileje, pozwalając im się rządzić prawem szrodskiém [1]). Za czasów księcia Bolesława Wstydliwego wiele bardzo miejskich i wiejskich posad dostąpiło swobód prawa niemieckiego.

Na podobnego rodzaju dyplomata, których zresztą nie tak wiele posiadamy w druku, wypadałoby nam zwrócić szczególniejszą baczność.

Tak przygotowani, a obok tego wsparci pomocą bujnie rozrastającéj się nauki archeologii, dopiéro będziemy mogli pokusić się o przedstawienie w wiernem a żywém malowidle historyi starcia się chrześciańskiéj Polski z dzikim ludem wschodnim, i wtedy dopiéro jasno patrzéć będziemy na potoki krwi wylanéj przez Tatarów w lechickiéj ziemi, na bohatérskie poświęcenie się jéj rycerzów, na mordercze zapasy z tłumami pogaństwa. [2])

---

[1]) Szroda (Novum forum) na Szląsku.

[2]) Zajmujące bardzo szczegóły do charakterystyki Tatarów czytaliśmy niedawno w Kodeksie dyplomatycznym czeskim i morawskim, wydanym w roku zeszłym w Pradze przez Karola Jaromira Erbena p. n. *Regesta diplomatica nec non epistolaria Bohemiae et Moraviae* etc.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI W DREZNIE.

Podaliśmy już czytelnikom Księgi Świata (w R. 1, części I str. 129 i nast.) ogólny opis miasta Drezna, téj, jak ją zowią zwolennicy nazw szumnobrzmiących, *Florencyi nadelbańskiéj*; obecnie do starannie wykonanego drzeworytu kościoła katolickiego, jednéj z najokazalszych budowl stolicy Saksonii, dołączamy treściwą o téj świątyni wiadomość.

Z rozkazu Augusta III położono w r. 1737 kamień węgielny kościoła; w 14 lat późniéj poświęcił go nuncyusz papieski, a w r. 1756 ukończono i wieżę. Plan piérwiastkowy gmachu był dziełem Włocha Chiaveri, po którym Sebastiani, Knöfel i Schwarz kierowali jego budową. Wieża, mająca razem z krzyżem przeszło 151 łokci wysokości, składa się z trzech oddziałów czyli piątr, piramidalnie zwężających się ku górze i podpartych kolumnami. Ostatnie piętro, zamykające piramidę, ma kształt czworoboku. Cały kościół, zbudowany z pirnajskiego piaskowca, zewnątrz także czworoboczny, nawę ma owalną. Front główny i główne wnijście, wyobrażone na rycinie, zwrócone są ku Elbie. Dach kościoła jest płaski, z podwójną galeryą; jedna z nich obiega cały kościół, druga wiérzchnią część nawy. Na słupkach tych galeryj i we wnękach obok wnijść, których oprócz głównego jest jeszcze cztéry, stoi 64 posągów świętych pańskich.

Wnętrze świątyni, szczególniéj gdy się wchodzi głównemi drzwiami, imponujące sprawia wrażenie. Wspaniała nawa, podparta z boków dwoma rzędami kolumn; w głębi wielki ołtarz z saskiego marmuru, arcydzieło rzeźbiarzów braci Aglio; za kolumnami na prawo kaplica św. Franciszka Ksawerego, na lewo kaplica św. Benona, obie tak obszérne, że osobne zdają się stanowić kościoły; w części tylnéj i po obu stronach zakrystyi, pod którą spoczywają zwłoki panujących domu saskiego, począwszy od Augusta III, cztéry jeszcze mniejsze kaplice. Nad wielkim ołtarzem olbrzymi obraz, Wniebowstąpienie Pańskie Rafaela Mengsa, za który książę Ksawery, sprawujący rządy w czasie małoletności elektora (późniéj króla) Fryderyka Augusta, zapłacił słynnemu malarzowi 30,000 talarów. W ołtarzach bocznych mieszczą się szacowne także obrazy hrabiego Rotaris i Hutina. Posągi marmurowe św. Jana Chrzciciela i św. Magdaleny w kaplicach bocznych są dłuta kawalera Bernini, którego sławę, tak rozgłośną za życia, potomność nie zupełnie potwierdziła. W większe uroczystości religijne członkowie kapeli królewskiéj, w połączeniu z członkami orkiestry teatralnéj i znakomitszemi amatorami, wykonywają w téj świątyni słynne na całą Europę muzyki kościelne.

PAJĄKI.

Nie jeden z czytelników Księgi Swiata ze wstrętem może odwróci oko od załączonéj obok tablicy, i pomyśli sobie że trzeba nie miéć piątéj klepki w głowie, ażeby rysować i opisywać tak obrzydliwe stworzenia. Jakby już w przyrodzie zabrakło przedmiotów i pięknych, i ciekawych, i pożytecznych, zachciało się komuś opisywać to co w niéj jest najobrzydliwszego, najmniéj zajmującego i nie przedstawiającego żadnej korzyści.

Tak sobie myśli ów czytelnik, a my na to odpowiadamy: że pająki są i piękne, i ciekawe, i użyteczne. Teraz pytanie kto z nas ma słuszność; przystępujemy więc do usprawiedliwienia się.

Twierdzimy że pająki są piękne, a to na téj zasadzie, że nie ma istoty, któraby nie posiadała właściwej sobie piękności. A w pająkach, jeżeli tylko bliżéj, a bezstronnie, im się przypatrzymy, ileż to bogactwa w postaciach, ile rozmaitości w ukolorowaniu, ile dokładności w budowie zauważyć będziemy mogli.

Mówimy że są ony dla nas ciekawe, bo wszystko co przyroda wydała przedstawia dla człowieka przedmiot do podziwu i myślenia, i choćby to był najmniéj zwracający na siebie uwagę pajączek, zawsze jest on członkiem w całości stworzenia, jest podstawą istnienia najdoskonalszych zwierząt, a tém samém zasługuje na dokładne z naszéj strony poznanie.

Przyznajemy im użyteczność, bo ony przez swoją żarłoczność wyniszczają mnóstwo owadów, które zbytecznie się rozmnożywszy, mogłyby dla nas i dla innych stworzeń stać się szkodliwemi, a same znowu stanowią pożywienie dla ptaków, co swoim śpiewem nieraz w zachwycenie nas wprawiają. Oprócz tego wiemy dobrze z doświadczeń p. Quatremère Dijonval że pająki w swoich poruszeniach stosują się do stanu atmosfery, i że uważając takowe poruszenia możemy z nich wnioskować o pogodzie lub słocie. A czyż to jest mała korzyść, dla nas szczególniéj, jako mieszkańców kraju wyłącznie rolniczego?

Tak więc niesłuszne były nasze uprzedzenia względem pająków; przystąpmy tedy do ich bliższego poznania.

Pająki są to zwierzęta niegrzbietne, opatrzone nogami wstawowatemi, posiadające wyraźne kanały do krążenia krwi i niepodlegające żadnym zmianom co do postaci. Jedne z nich oddychają za pomocą płuc czyli błonowych woreczków, inne za

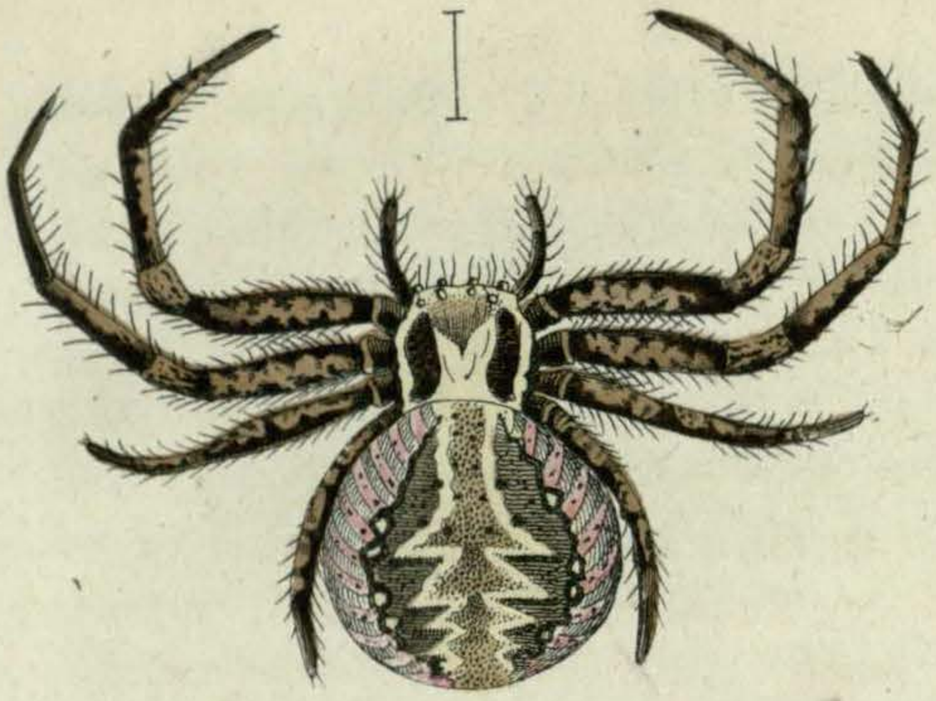

5.

4.

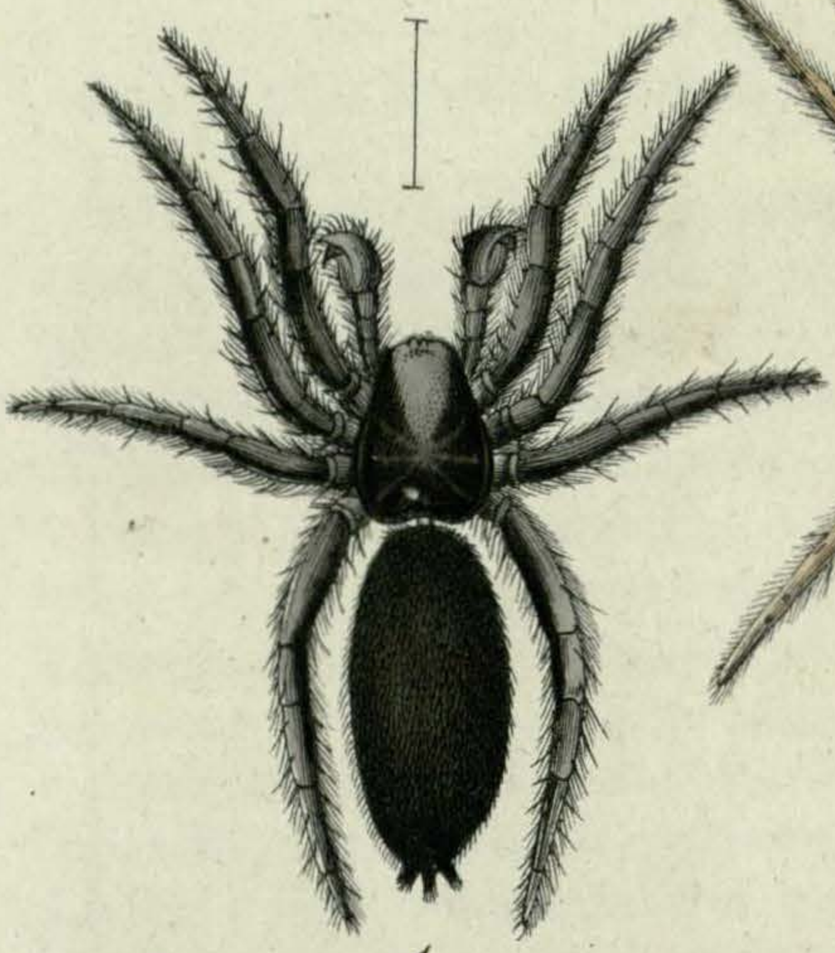

1.

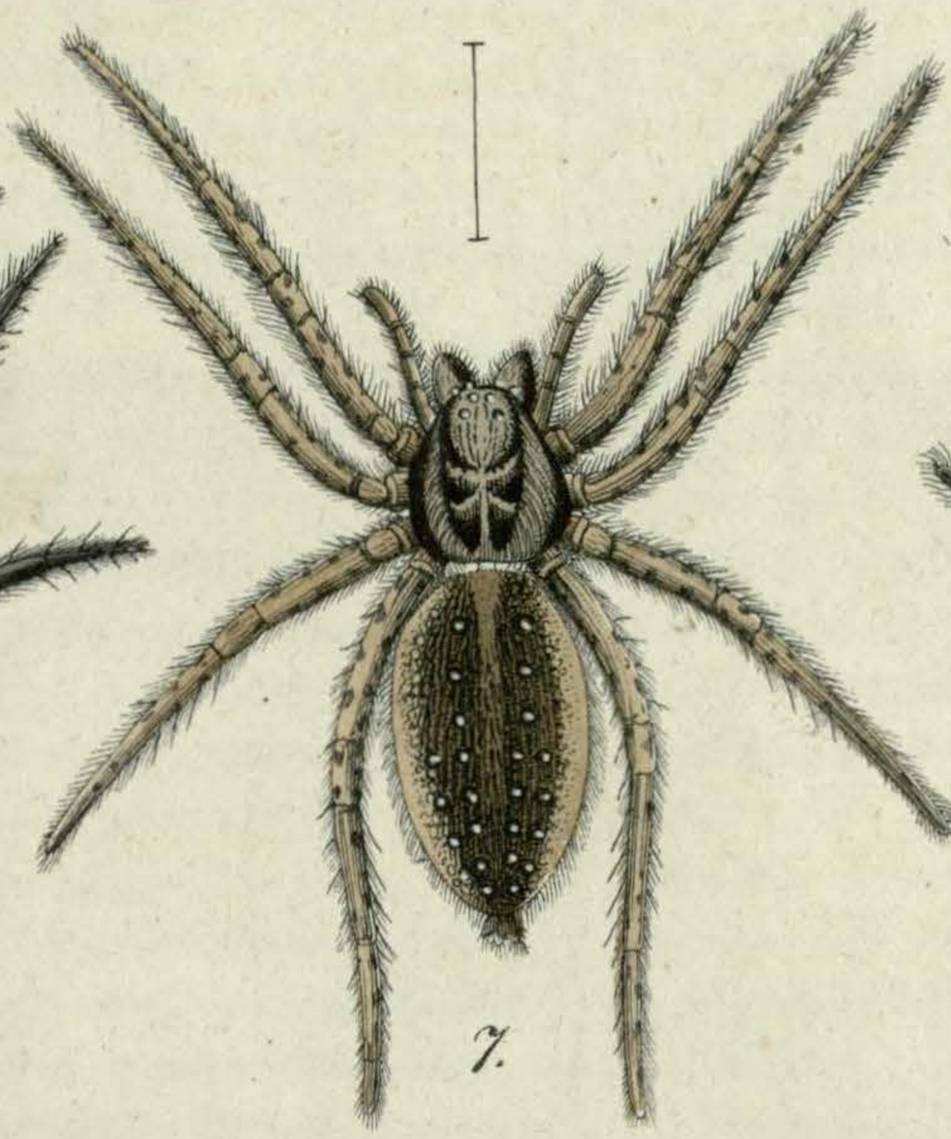

7.

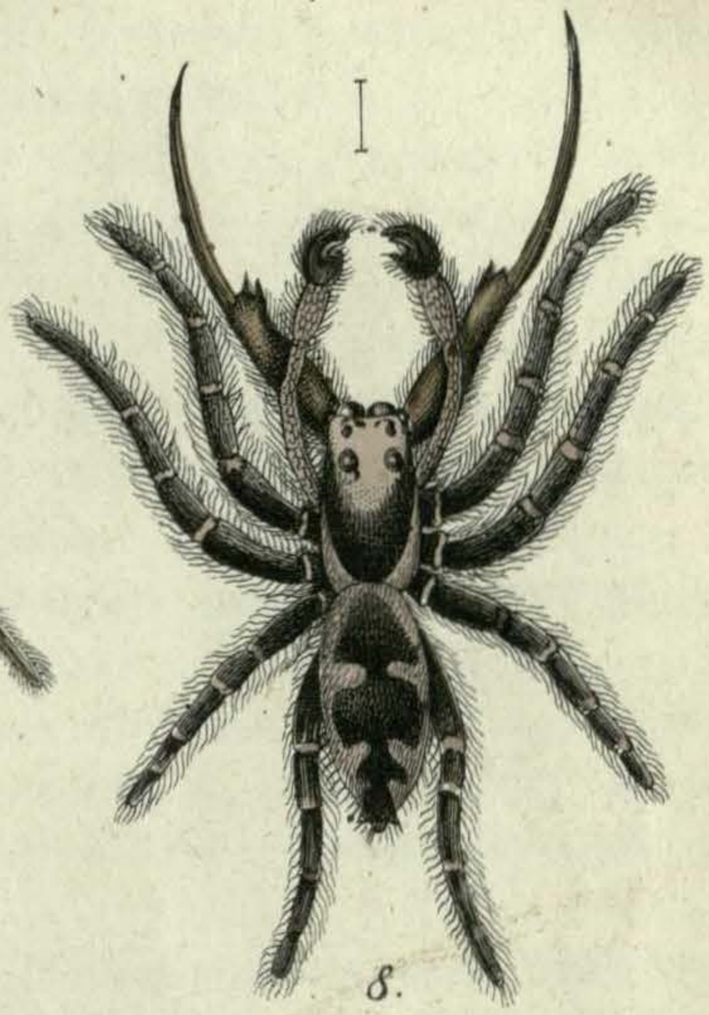

8.

2

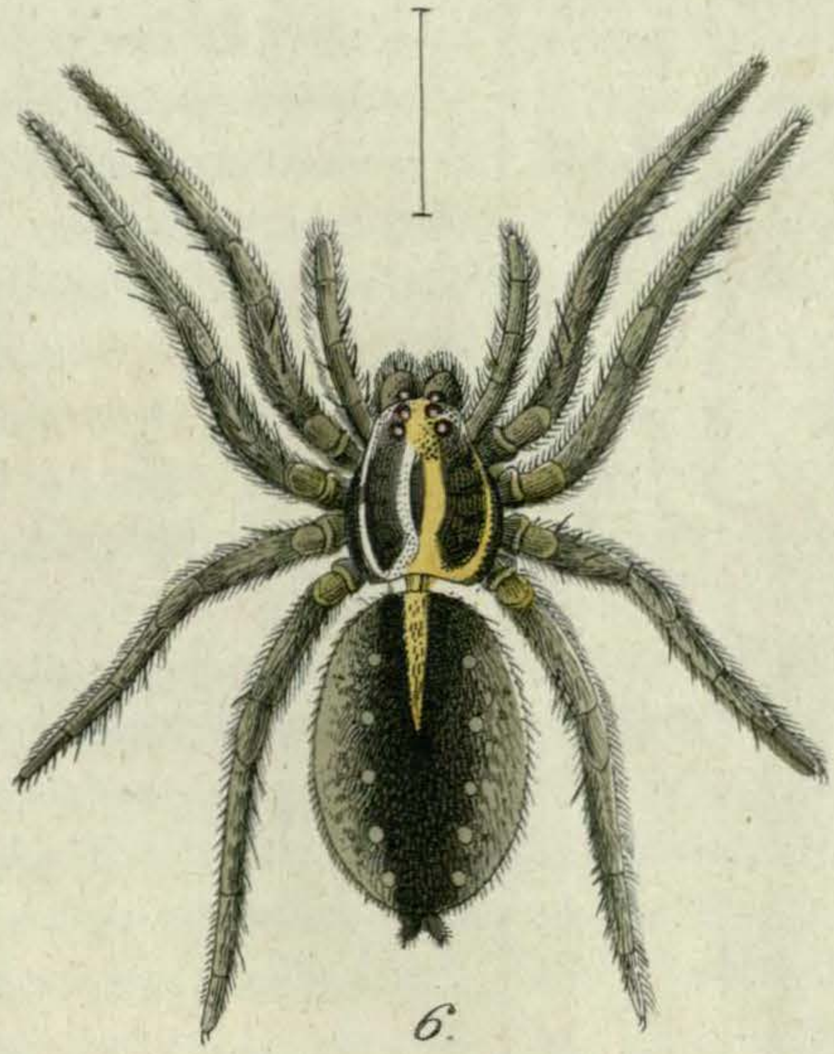

6.

3.

pomocą dymaczek czyli rurek oddechowych. Podług tego naturaliści dzielą je na *płucowate* (pulmonata) *i dymaczkowate* (tracheata).

Dział 1-y płucowatych obejmuje w sobie dwa rzędy, to jest: *przędące* (arachnides) *i nieprzędące* (pedipalpi).

Dział 2-gi dymaczkowatych obejmuje następujące rzędy: 1) *kleszczonosze* (chelifera), 2) *kosarzowate* (phalangita), 3) *rozmaite* (holetra).

My zastanowimy się tu tylko nad przędącemi.

Ciało tych pająków składa się z dwóch głównych części: z przedniéj *gorsetem* (thorax) i tylnéj *tułubem* (abdomen) zwanéj. Te dwie części są połączone za pomocą krótkiéj i cienkiéj rurki, przez którą przechodzą drobne naczynia krwiste, oraz kiszka odchodowa.

Na przodzie gorsetu, który zawsze jest mniejszy od tołuba, znajduje się 6 lub 8 oczu, które w nocy podobnie jak u kota świécą.

Daléj w gorsecie zasługują na uwagę dwie *szczęki* (mandibula), z których każda opatrzona jest jad wydającym *szponem* (ungula). Z tego powodu wszystkie przędące są jadowitemi; w naszym jednak klimacie ukąszenie największego z nich tyle nawet nie może być szkodliwém co ukąszenie osy.

Poza szczękami dają się widzieć dwie *żuwaczki* (maxilla) do gniecenia pokarmu przeznaczone. Każda z nich ma po jednym głaszczku (palpus) składającym się z pięciu stawów, które są narzędziami dotykania.

Wreszcie ostatnią część ich pyszczka stanowi *warga* (labium), której wielkość i kształt, stosownie do rodzaju i gatunku, bywa bardzo rozmaita.

W tułubie, na jego spodzie, w blizkości nasady dają się widzieć dwie szpary, któremi powietrze wchodzi do woreczków oddechowych; przy jego zaś końcu znajdujemy pięć brodawek przeznaczonych do wyrabiania pajęczyny na siatki do łowienia zdobyczy. Brodawki te u nas *kądzielnikami* (papilla textoria) zowią.

W blizkości otworów oddechowych napotykamy jeszcze mały, podłużno-łyżeczkowaty haczyk, który, jak się zdaje, służy do wyrabiania pajęczyny na oprzędy do jaj przeznaczonéj.

Wszystkie przędące rozmnażają się przez jaja. W piérwszych dniach po wylęgnięciu razem pozostają, ale skoro im głód zacznie dokuczać, rzucają się jedne na drugie, i to jest hasłem do rozbiegnięcia się ich w różne strony. W późniejszém życiu są całkowicie nietowarzyskie, a szczególniéj samice stają się tyle żarłocznemi, że nawet samców zjadają jeżeli tylko dogodna ku temu sposobność się nadarzy. Sposobność ta wszakże nie łatwo się nastręcza, bo samiec, skoro tylko dojrzy zbliżającą się samicę zapłodnioną, natychmiast zwinnym nogom losy swoje porucza i pospolicie tym sposobem unika niebezpieczeństwa.

Starano się przekonać czy nie możnaby z pajęczyny wyrabiać tkanin, lecz doświadczenia przez p. Réaumure bezpośrednio w tym celu przedsięwzięte pokazały że to jest niepraktyczném, gdyż najmniej 50000 kokonów potrzeba na jeden funt nici zdatnych na wyroby.

Wprawdzie później p. Termeyer dowiódł że 13800 kokonów na ten cel wystarcza, a Anglik Rol przez 20 laty przekonał się że pająk w przeciągu roku 6 ½ razy tylko mniéj wyrabia pajęczyny, aniżeli gąsienica jedwabnika; w każdym jednak razie dochód ztąd pozyskany nie pokryłby kosztów utrzymania.

Załączona tablica przedstawia następujące gatunki.

Figura 1-sza *Drassus nigritus*, zamieszkujący Niemcy i Szwajcaryą, przebywający w rozpadlinach pomiędzy murami, kamieniami i pod opadłemi liśćmi.

Figura 2-a *Sadowiec pstry* (segestria senoculata) Na podłużnym popielatym tułubie ma on smugę z kropek czarnych, gorset czarniawo-brunatny, nogi jasno-brunatne, brudno-prążkowane. Mieszka w całéj Europie; przesiaduje w murach, pod kamieniami i korą drzew; pożywienia szuka w nocy.

Figura 3-a *Oprządek czerwononogi* (theridium rubripes) snuje przędzę w postaci nieforemnéj siatki, któréj nici w rozmaite rozchodzą się kierunki; przebywa w wysokiéj trawie nad brzegami stawów.

Figura 4-a cudownie piękny gatunek, należący do pokrewieństwa *Brzuchatych* (orbitela), zwany *Acrosoma fissispinum*.

Figura 5-a *Biegnik sosnowy* (Thomissus pini). Należy on do pokrewieństwa *Spłaszczonych* (laterigradae), odznaczających się tém że biegają we wszystkich kierunkach, nie robią porządnych tkanin, a jaja ukrywają pomiędzy liśćmi, których brzegi spinają pajęczynką, i pilnują ich aż do wylęgnięcia.

Figura 6-a *Tarantula polna* (Lycosa ruricola), która na zimę ukrywa się w szczelinach i wydrążeniach murów, wysławszy je wpiérw pajęczyną.

Figura 7-a *Klębosz obrąbiony* (Dolomedes marginatus). Jest on ciemnobrunatny, na bokach gorsetu i tułuba żółto obwiedziony, nogi ma zielone. Pospolicie daje się widzieć przy wodach stojących, po których biega szybko, uganiając się za muchami i komarami; nawet pod wodę się zanurza i bez pomaczania z niéj wychodzi.

Figura 8-a *Pląs kreskowany* (Salticus scenicus) jest najpospolitszym z gatunków u nas istniejących. W czasie wiosny często widzieć go można na szybach okien na południe wychodzących. Przebywa na murach; tułub ma mały, spłaszczony; samice tego gatunku odznaczają się wielkością szczęk.

Opisu mnóstwa innych gatunków pająków, dla pobieżności tego pisemka, nie zamieszczamy.

F. L.

SZLACHECTWO NA PUSTYNI. [1])

«Weź krzak cierniowy, mówił mi raz Emir Ab-del-Kader, poléwaj go rok cały wodą różaną, a wyda ci tylko ciernie; lecz zasadź drzewo daktylowe, nie poléwaj go, nie pielęgnuj wcale, a rodzić będzie zawsze daktyle.” Jakoż, podług mniemania Arabów, człowiek zacnie urodzony jest owym daktylem, człowiek zaś prosty krzakiem cierniowym; tam bowiem wierzą w szlachetność krwi, w rodową cnotę i w arystokracyą którą uważają nie jako potrzebę społeczeństwa, lecz jako prawo natury. Nikt tam nie myśli, na podobieństwo ludów Zachodu, podnieść głos przeciw zasadzie raz na zawsze z zupełném poddaniem się przyjętéj. Głowa będzie głową, ogon zostanie ogonem, powié ci ostatni z arabskich pasterzów. Za to téż lud który się rządzi podobnemi zasadami wolnym jest od licznych przewrotów, prowadzących za sobą ogólną nędzę; nie ujrzysz tam, jak się to gdzie indziéj dzieje, tysiąca mózgów wysilających się gorączkowo na wynalezienie sposobu przeistoczenia ogona w głowę i nawzajem.

Oprócz plemienia dawnego i świętego pochodzenia, bo składającego się z potomków proroka są jeszcze dwie zacne kasty, jedna religijna, druga wojowników: *Marabutowie* i *Dżuady*. Członkowie tych kast jedni pobożnością, drudzy odwagą dobijają się sławy, a ścigają się wzajemnie z nieubłaganą nienawiścią. Dżuady Marabutów obwiniają o dumę, intrygi, chciwość dóbr ziemskich, skrywające się pod płaszczykiem miłości Boga i ludzkości. Jedno ich przysłowie mówi «z Zauji [1]) zawsze wąż wychodzi”. Marabuty ze swéj strony obwiniają Dżuadów o gwałty, zdzierstwa, bezbożność. Zarzuty te są straszną bronią w ich ręku, i nieraz już zdarzyło się że Marabut czczony od ludu zachwiał władzę i zagroził życiu Dżuada.

Aby miéć wyobrażenie co znaczy w Saharze szlachcic w całéj okazałości i świetności, trzeba zajrzéć pod wielki jego namiot, w chwili gdy się dzień zaczyna, to jest o godzinie czwartéj z rana.

Poezya starożytnych nieraz opisywała tłum klientów zaléwających w Rzymie przysionki pałaców patrycyuszowskich. Wielki namiot na pustyni jest właśnie tém, czém były owe okazałe mieszkania, opisane przez Horacego i Juwenalisa. Zasiadłszy na dywanie z powagą i godnością, w postawie właściwéj tylko mieszkańcom Wschodu, naczelnik pokolenia przyjmuje z kolei wszystkich wzywających jego władzy.

Najpiérwszą cnotą naczelnika jest cierpliwość.

---

[1]) W części I tegorocznéj Księgi Świata, na str. 55 i następ. podaliśmy już jeden z tych zajmujących opisów życia arabskiego (kréślonych piórem jenerała E. Daumas), pod tytułem: „Polowanie w Afryce.”

[1]) *Zauja* jest to zakład religijny, zawiérający meczet, szkołę i groby założycieli.

Musi on z uwagą słuchać różnego rodzaju próźb i starać się skutecznie léczyć rany społeczeństwa które przed nim odkrywają. «Człowiek mający władzę, mówi przysłowie Wschodu, powinien naśladować doktora, wybiérając najstosowniejsze środki zaradcze." Przy tym wymiarze sprawiedliwości musi on rozwinąć całą sprawiedliwość, mądrość i siłę woli, a nadto być mężnym i szczodrobliwym, gdyż największą dlań pochwałą jest gdy mówią że «*ma szablę zawsze dobytą, i rękę zawsze otwartą.*" Namiot jego powinien być schronieniem dla nieszczęśliwych, gdyż prorok powiedział: «Bóg tylko dla miłosiernych miłosiernym będzie. Wierni, dawajcie jałmużnę, choćby nawet połowę daktyla. Kto dziś wesprze biédnego, jutro zostanie nasyconym."

Chęć zysku nie powinna zajmować wodza; nigdy kości ani téż karty nie mogą uprzyjemniać wolnych chwil jego pod namiotem. Z tém wszystskiém piéniądz, jak wszędzie, jest niezbędnie potrzebnym do utrzymania jego władzy.

Wojownik któremu udało się wzbogacić własną pracą i męztwem, nazywanym jest Ben Derau, co znaczy syn swojego ramienia, i może ubiegać się o najpiérwsze dostojeństwa w swojém pokoleniu.

Pojedynki są u nich nieznane. Obraza osobista zmytą być może tylko morderstwem. Oko za oko ząb za ząb, życie za życie, naucza religia Arabów. Zabójstwo jednak okupić można, płacąc spadkobiercom zamordowanego *dia*, cenę krwi, który to zwyczaj ma początek religijny, bo się odnosi do przodka Mahometa Abd-el-Mettaleb'a, i jak podanie niesie, jest główną przyczyną narodzenia się proroka.

Abd-el-Mettaleb, wódz Koreiszitów, niemając dzieci, uczynił ślub Bogu, że gdy miéć będzie 10 synów, jednego z nich poświęci na ofiarę. Bóg wysłuchał modlitwy jego, a Abd-el-Mettaleb, wierny swojéj przysiędze, powierzył losowi wybór ofiary. Los padł na Abd-Allaha; lecz pokolenie oburzyło się na to, i wódz postanowił że w miejsce syna poświęcone zostaną wielbłądy, których ilość oznaczyć miała wyrocznia. Jakoż Abd-Allah okupiony został ofiarą 100 wielbłądów. I Bóg okazał że miłą mu była ta zamiana; Abd-Allah bowiem został ojcem Mahometa proroka, i od tego czasu 100 wielbłądów ustanowiono jako *dia*, to jest cenę krwi; wszakże cena ta, zbyt wysoka, może być zmniejszoną przez wodza, stosownie do okoliczności. Gdy morderca jest zbyt biédnym, wtedy. skazanym zostaje na karę odwetu.

W Maskarze w roku 1837 zdarzył się smutny wypadek wymierzonéj kary odwetu w całéj surowości. Dwóch chłopców pokłóciło się na ulicy; ojcowie ich wdali się w tę sprawę; z obelg przyszło do pogróżek, aż jeden z ojców, zapalając się coraz bardziéj, pchnął nożem przeciwnika, który padł na miejscu, odebrawszy pięć ran. Tłum otoczył ich w mgnieniu oka i zaprowadził mordercę do sędziego miasta. Ulemowie zebrali się zaraz dla osądzenia winowajcy. W pół godziny wysłuchano świadków i winny skazany został na karę odwetu z ręki brata zabitego. Na dany znak przez kadego dwóch czauczów, związawszy mu ręce, poprzedzeni przez wykonawcę, zaprowadzili go na plac targowy, napełniony dnia tego około trzema tysiącami Arabów. Zabójca miał zginąć od tylu ran i w te same miejsca zadanych, od jakich zginął jego przeciwnik.

Gdy już wszystko było gotowe, na dany znak przez czaucza, wykonawca rzucił się na swą ofiarę i pchnął ją nożem najpiérw w piersi, potém w brzuch; nie musiał jednak dotknąć serca, gdyż nieszczęśliwy wołał: «Uderzaj, uderzaj! lecz nie ty mnie zabijesz, bo tylko Bóg zabić może!" Krew lała się strumieniem z zadanych razów, karany przecież nieprzestawał złorzeczeniami i obelgami obsypywać swojego kata. Po zadaniu ostatniéj rany, skazany zachwiał się, lecz nie upadł. «Dosyć, dosyć! wołano zewsząd, zadał pięć ran, więc tyleż tylko powinien ich odebrać!" Jakoż skończono egzekucyą, a nieszczęśliwy miał jeszcze dość siły by się zawlec do domu, gdzie następnéj nocy życie zakończył.

Jeżeli zabójca jest bogatym i potrafi uchylić się od wyroku, wtenczas prędzéj lub późniéj doścignie go zemsta prywatna, a śmierć jego znowu dla pozostałych stanie się hasłem wojny z niewysłowioną prowadzonéj zaciętością. Oddział Szambów, pod dowództwem Ben-Mansura, wodza pokolenia Uerglów, napadł przy Dżebel-Baten kilku Tuaregów, pomiędzy któremi znajdował się Keddasz, wódz pokolenia Dżebel-Hoggarów. Nieubłagana i od dawnych lat istniejąca nienawiść, któréj przyczyna jest nieznaną, dzieli Szambów i Tuaregów.

Zacięta walka rozpoczęła się natychmiast, i Tu-

aregowie zmuszeni zostali do ucieczki, zostawiwszy 10 zabitych, między któremi i wódz się znajdował. Ben-Mansur uciął mu głowę, i jako dowód swojego zwycięztwa zawiesił ją na jednéj z bram w Uergla. Na tę wiadomość przywdziano żałobę w Dżebel-Hoggar, a każdy z pokolenia uczynił ślub że zniszczy swój namiot, jeżeli Keddasz nie zostanie pomszczonym.

Keddasz pozostawił syna i wdowę nadzwyczajnéj piękności, imieniem Fetum, która podług zwyczaju miała rządzić pokoleniem, aż do pełnoletności syna. Gdy więc starszyzna zebrała się w jéj namiocie, rzekła do nich te słowa: «Bracia, który mi z z was przyniesie głowę Ben-Mansura, zostanie mężem moim." Na drugi dzień 300 Tuaregów, pod dowództwem Uld-Biska krewnego Keddasza, udało się w drogę na spotkanie Ben-Mansura. Dla wzbudzenia większego zapału przyłączyła się do nich Fetum ze swoim orszakiem.

Po kilkunastu dniach drogi zdołano doścignąć oddział pokolenia Szambów pod dowództwem samego Ben-Mansura, i o północy napadnięto niespodzianie na śpiących. Pięciu tylko czy sześciu z orszaku Ben-Mansura zdołało się ratować ucieczką, a i z tych jeszcze jeden dognany został przez Uld-Biska i przeszyty długą lancą. Nieszczęśliwy jeździec zachwiał się na wielbłądzie i upadł na piasek, pociągając za sobą siedmioletniego chłopczyka, którego dotąd pod burnusem ukrywał.

— Czy znasz Ben-Mansura? zapytał Uld-Biska.

— To był mój ojciec, i oto go masz! odpowiedziało dziécię spokojnie, stając przy trupie ojca.

W téj chwili przybyła Fetum, otoczona Tuaregami.

— Ja to zabiłem Ben-Mansura, rzekł do niéj Uld-Biska.

— I obietnica moja spełnioną zostanie, odpowiedziała Fetum, lecz skończ swoje dzieło, weź sztylet, wyrwij mu serce i rzuć je psom.

Podczas kiedy Uld-Biska wypełniał ten rozkaz, Fetum, z zacisniętemi ustami, napawała się z rozkoszą tym okropnym widokiem, a kiedy charty skończyły swą ucztę, wsiadła na wielbląda i dała znak do powrotu. Tak więc psy Tuaregów zjadły serce wodza Szambów, i łatwo pojąć że to na wieki powód zaciętéj między niemi wojny.

Ale odwróćmy oczy od krwawych tych obrazów, a spojrzmy raczéj na chwile uroczystsze rodzinnego życia znakomitych Arabów.

Dzień urodzin dziécięcia pod *wielkim namiotem* jest dniem największéj radości; wszyscy schodzą się do ojca nowonarodzonego i życzą szczęścia dla dziecka, składając podarunki w miarę zamożności. Wówczas to znajdziesz wszystkie skarby pustyni, od wielbląda aż do daktyla, złożone pod namiotem który przez Boga pobłogosławionym został. Wzamian za to ojciec nowonarodzonego musi być nadzwyczaj gościnnym, i niekiedy przez dni 20 podejmuje swoich gości. Skoro tylko dziécię zaczyna podrastać, uczą je czytać i pisać, co jest nowością u Dżuadów, dawniéj bowiem sami tylko Marabuci uprawiali nauki.

Nauki te jednak nie przeszkadzają bynajmniéj Arabowi w dosiadaniu konia i robieniu bronią. Zaledwie chłopiec utrzymać się może o swojéj sile, sadzają go najprzód na źrebię, potém na rumaka, potém biorą go na polowanie, każą mu strzelać do celu, uczą go dzika brać na oszczep, a gdy dojdzie lat 17 lub 18 i pozna koran, żenią go. Prorok bowiem wyrzekł: «Żeńcie się młodo, małżeństwo ustala charakter mężczyzny i kieruje postępowaniem kobiéty."

Narzeczona powinna być równego z nim urodzenia, nieskażonych obyczajów i jeśli być może bardzo piękną.

Piérwszym dniem wesela, które trwa bardzo długo, jest dzień uwiezienia. Cztérystu do pięciuset młodych ludzi wspaniale ubranych, na najpiękniejszych koniach, zaopatrzonych w broń najkosztowniejszą, prowadzonych przez rodziców narzeczonego, udają się do namiotu narzeczonéj. Kobiéty z zakrytą twarzą towarzyszą im na mułach i wielbłądach. Do tego poselstwa wybiérają zwykle najmłodsze i najpiękniejsze dziewice pokolenia. Podróż, trwająca czasem dni kilka, jest ciągłą zabawą; konie cwałują, a kobiéty wydają ów dziwny okrzyk szczęścia i miłości, który dzieci pustyni wprawia zawsze w zachwycenie.

Gdy orszak godowy przybywa do domu ojca narzeczonéj, ten wita go słowami: «Bądźcie pozdrowieni, posłańcy Boga," i następują uczty i zabawy aż do dnia następnego, w którym udają się z powrotem. Tym razem nowozamężna, na pięknym mule lub wielbłądzie, znajduje się w gronie odjeżdżających. Nie żegna się z ojcem ani téż

z braćmi starszemi, uczucie bowiem skromności nie pozwala jéj widzieć się z niemi w chwili zmiany stanu. Przy odjeździe matka żegna ją temi słowy: «Opuszczasz tych co ci dali życie, oddalasz się z gniazdka co tak długo było twém schronieniem, a to aby udać się do człowieka którego nie znasz i rodziny do któréj nie przywykłaś. Radzę ci więc abyś mu była niewolnicą, jeśli chcesz żeby był sługą twoim. Poprzestawaj na małém, czuwaj nad tém wszystkiém co oczy jego widzieć mogą, i niech te oczy nigdy nic złego nie zobaczą. Czuwaj nad jego pożywieniem, nad jego snem; głód bowiem sprowadza uniesienie, senność wprawia w zły humor. Miéj staranie o jego majątku, obchodź się łagodnie z jego krewnemi i niewolnikami, nie zdradzaj nigdy jego tajemnic. Gdy będzie wesołym, nie okazuj smutnéj twarzy; gdy będzie smutnym, nie bądź wesołą, wtedy ci Bóg pobłogosławi.»

Uczta weselna trwa trzy dni i tyleż nocy. Szlachcic pustyni zaraz po ślubie zaczyna nowe życie osobiste, zostaje usamowolnionym i już odtąd należy do rady w swojém pokoleniu; po śmierci zaś ojca odziedzicza po nim namiot z całém jego bogactwem, które niekiedy dochodzi wartości 25 do 26,000 duros, czyli 31 do 32,500 rsr.

Zwykle jednak młody Arab nowożeniec w piérwszych latach pożycia nie zajmuje się jeszcze sprawami majątkowemi; jest to bowiem dla niego wiek zabaw i uciech. W czasie pokoju konno z chartami, w towarzystwie przyjaciół i sług, oddaje się polowaniu na strusie lub gazelle, stosownie do pory roku. Gdy wysłani na zwiady odkryją stado strusiów, wtenczas myśliwi otaczają je z daleka, i coraz bardziej ścieśniają koło, a podstąpiwszy blizko, rzucają się na nie z okrzykami. Każdy obiéra swą ofiarę, ugania się za nią, i gdy struś zaczyna bić skrzydłami dla przyspieszenia biegu, co jest oznaką największego już zmęczenia, wtedy dopiéro myśliwy zdoła doścignąć go i zabić uderzeniem kija po głowie, strzał bowiem zakrwawiłby i popsuł pióra.

Lecz bardziéj pańskiém i arystokratyczném jest polowanie z sokołem. Sokół, wychowany pod namiotem, żywionym bywa i układanym przez samego pana. Gdy już wyuczonym zostanie, wówczas właściciel ptaka sprasza przyjaciół na polowanie. Wszyscy muszą wiernie się stawić na dzień umówiony, w świetnych strojach. Gospodarz postępuje na czele z jednym ptakiem na ramieniu, a z drugim w ręku, i skoro tylko pokaże się zając, puszcza sokoła z okrzykiem Ha u! ha u! Zmyślny ptak wzbija się wysoko, jak gdyby chciał zdradzić i uciec; lecz w téjże chwili spuszcza się na swą zdobycz z szybkością błyskawicy, łapie ją w szpony i ogłusza lub zabija, i nim pan zdąży dobiedz do niego, już sokół wydziobie oczy swéj ofierze.

Podobne zabawy usposabiają młodzież do trudów wojennych. Jeżeli karawana jaka została złupioną, kobiéty znieważone, albo gdy zajdzie spór o wodę lub pastwisko, zgromadzają się naczelnicy rodzin i postanawiają wojnę. Wówczas dają znać wodzom sprzymierzonych plemion, i wszyscy zbiérają się ze swojemi na miejsce oznaczone. Tu przedewszytkiém składają uroczystą przysięgę, na imię któregokolwiek z poważanych marabutów, iż sobie wzajem pomagać i wspólnie działać będą. Na drugi dzień wszystko jest w ruchu, nawet kobiéty siadają na wielbłądy. Ruch ten przedstawia malowniczy obraz, bo mięszaninę koni, wielbłądów i rozmaicie postrojonych wojowników. Po bokach téj kolumny młodzież rozbiega się na wszystkie strony, już to na zwiady, już jako myśliwi, uganiając się za antylopą, gazellą, strusiem lub sarną.

Pokolenie nieprzyjacielskie również ze swéj strony czyni przygotowania do odporu. Nakoniec, po 4 lub 5 dniach drogi, obie strony zbliżają się do siebie. Wysłani na zwiady obsypują się najprzód złorzeczeniami, jak bohaterowie Homera. Walka rozpoczyna się małemi oddziałami z 15 do 20 ludzi złożonemi; potém wszystko się ożywia, zapala, i bitwa staje się ogólną, wśród ogromnych z obu stron krzyków; nareszcie pokolenie które straciło najwięcéj ludzi, a głównie naczelników i wodza, idzie w rozsypkę. Każdy wówczas myśli o ratowaniu się ucieczką, w któréj odważniejsi posyłają jeszcze niekiedy kilka kul nieprzyjacielowi. Często się także zdarza że wódz zrozpaczony z szablą w ręku rzuca się w tłum nieprzyjaciół, by poledz z chwałą. Po zwycięztwie następuje ogólny rabunek i spory wzajemne o piękną strzelbę, o konia, lub jatagan kosztowny.

Z powrotem zwycięzcy przyjmowani są z wielkiemi uroczystościami; wyprawiają im uczty, składają ofiary marabutom, z największą gościnnością podejmują sprzymierzonych, wynagradzają ich znaczną summą za wyświadczoną usługę, a w końcu odprowadzają o kilka mil drogi, ponawiając przy

rozstaniu przysięgę niesienia sobie pomocy w każdéj chwili.

Z wiekiem Arab staje się coraz poważniejszym; każdy bielejący włos jego brody czyni go surowszym w wyobrażeniach. Zresztą, będąc już naczelnikiem pokolenia, musi wymierzać sprawiedliwość, wychowywać dzieci; a jednak zapał wojowniczy nie wygasa w jego sercu, i najwyższém dla niego szczęściem umrzéć w boju, nie zaś jak baba w namiocie.

Gdy jednak wojna go oszczędzi i czuje się bliskim skonu, zwołuje przyjaciół i w te do nich odzywa się słowa: «Bracia moi, już was więcéj nie ujrzę na tym świecie; lecz byłem tylko przechodniem na ziemi i umiéram w bojaźni Bożéj.» Następnie, jeżeli jeszcze mówić może, czyni wyznanie wiary: «Jeden jest Bóg, a Mahomet jego prorok.» Jeżeli zaś sił mu zabraknie, jeden z przytomnych bierze go za rękę i podnosi do góry palec wskazujący, na znak jedności Boga, co konający potwierdza z całą siłą na jaką zdobyć się może, potém umiéra już spokojnie.

Pogrzeb u Arabów odbywa się bez wielkiéj okazałości. Obwijają ciało w białe płótno i wystawiają je złożone na dywanie, którego brzegi zawinięto. Płaczki, z poczernionemi policzkami i z przewieszonemi na ramionach materyami z namiotu lub skórami wielbłądów, stają naokoło ciała. O kilka kroków za niemi jeden z niewolników trzyma za uzdeczkę ulubionego konia nieboszczyka, u którego przy siodle zawieszoną jest strzelba, jatagan, pistolety i ostrogi. Opodal młodzi i starzy wojownicy, oniemiali z boleści, zasiadają w około na piasku, z zapuszczonemi na czoła kapturami burnusów.

Płaczki żałobnym głosem spiéwają:

Gdzie on jest? koń jego przybył, a jego niéma, szabla jego przybyła, a jego niéma. Ostrogi jego są tutaj, a jego niéma. Gdzie on jest?

Mówią że umarł, rażony w samo serce. Był on morzem prochu, panem ludzi i rycerzy, obrońcą wielbłądów, opiekunem przechodniów. Mówią że umarł.

Żona umarłego tak śpiéwa: Mój namiot pusty, zziębłam zupełnie. Gdzież jest mój lew? Gdzież znajdę podobnego jemu?

I znów płaczki: On nie umarł, on nie umarł! Zostawił ci swoich braci, zostawił ci swoje dzieci; będą oni twoją obroną. On nie umarł, jego dusza jest u Boga. Zobaczymy go kiedyś.

Po skończeniu tych pogrzebowych śpiewów stare kobiéty obmywają ciało umarłego i obwijają w czyste płótno skropione wodą studzienną i napuszczone wonną żywicą. Cztérech z pomiędzy krewnych zmarłego podnoszą go za cztéry rogi dywanu, a poprzedzani przez imana i marabutów, w orszaku wszystkich obecnych, udają się na cmentarz. Tam głosem poważnym śpiéwają: «Jeden jest Bóg» a orszak odpowiada «a Mahomet jego prorok» Wspólnych modłów nie przerywa żaden jęk, żaden krzyk rozpaczy. Ciało umieszczoném zostaje nad brzegiem wykopanego grobu, a iman, otoczony marabutami, odmawia głosem mocnym i donośnym pogrzebową modlitwę:

Chwała Bogu w którego ręku jest śmierć i życie.

Chwała temu co wskrzesza umarłych.

Do niego wraca wszelka sława i wielkość, do niego należą rządy i siła. On stoi wyżéj nad wszystko.

O mój Boże, czuwaj nad Mahometem, jego rodziną i przyjaciołmi, udzielaj im Swojéj łaski, tak jak jéj udzielałeś Ibrahimowi i jego krewnym, bo do Ciebie należy sława i uwielbienie.

O mój Boże, zmarły był Twoim czcicielem, był synem Twojego niewolnika. Tyś go stworzył, i udzieliłeś mu wszelkiego dobra którego używał; Tyś mu życie odebrał; Ty jeden wskrzesić go możesz.

Przychodzimy tutaj błagać Cię za niego.

Uwolnij go od ognia piekielnego, przebacz mu, udziel mu Swéj łaski, obmyj go wodą, śniegiem i gradem i oczyść go z grzéchów, by jaśniał jak biała suknia. Daj mu mieszkanie lepsze jak na ziemi. Jeżeli był dobrym, uczyń go lepszym; jeżeli był złym, przebacz mu złość jego. O mój Boże, on uciekł się do Ciebie, boś Ty najlepszą ucieczką człowieka. On jest ubogim co wzywa Twéj szczodrobliwości, a Tyś zanadto wspaniałomyślny abyś go karał i kazał mu cierpiéć.

O mój Boże, umocnij głos jego w chwili gdy Ci będzie zdawał rachunek z czynów swoich, nie karz go nad siły jego. Błagamy Cię o to za pośrednictwem Twego proroka, aniołów i wszystkich świętych. Amin! Amin! powtarzają obecni z przyklęknięciem.

I znów iman spiéwa. «O mój Boże, przebacz naszym umarłym i żyjącym, tym którzy są tu obecni, małym i wielkim; przebacz naszym ojcom, naszym przodkom i wszystkim Muzułmanom.

Tych których wskrzeszasz, wskrzeszaj w wierze, umiérającym daj światło prawdziwe; daj nam

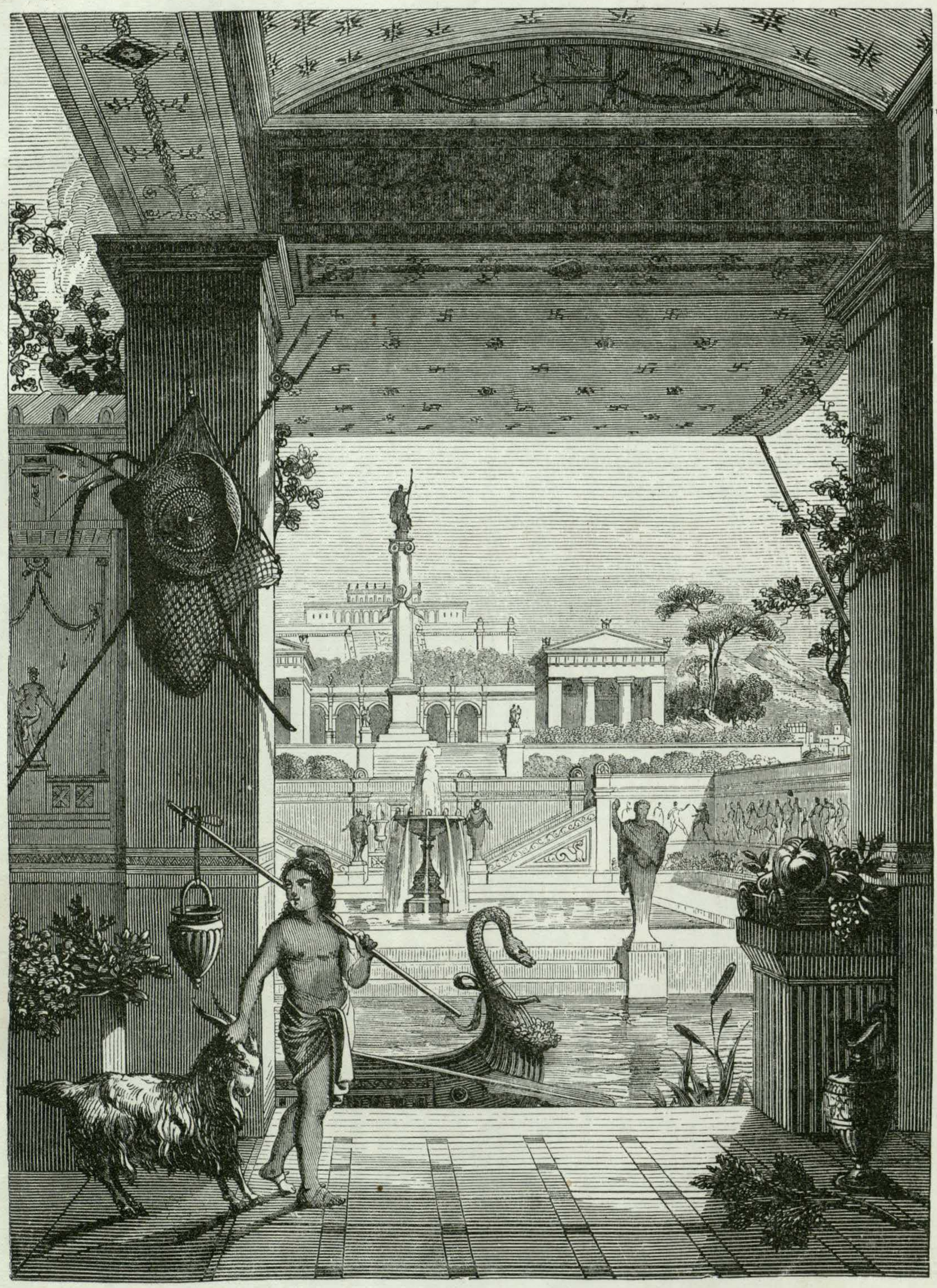

Pompeja.

śmierć lekką, a po śmierci spoczynek i łaskę oglądania Ciebie. Amin!»

Po skończeniu tych modlitw spuszczają ciało do grobu, z twarzą obróconą ku Mekce, okrywają je szérokiemi kamieniami, i każdy z obecnych rzuca nań garstkę ziemi; grabarze zasypują grób, i aby go ochronić od żarłoczności hyen i szakali, okrywają krzakami ciernia.

Po tym obrzędzie wszyscy wracają do domów, prócz kilku kobiét, przyjaciołek lub krewnych zmarłego, które pochylone nad grobem z boleścią przemawiają do umarłego i żegnają go, jak gdyby ich słuchał. Ale marabuci wołają:

«Oddalcie się niewiasty, i pozwólcie umarłemu zostać spokojnie z Azrailem aniołem śmierci.

«Przestańcie płakać i rozpaczać, śmierć jest podatkiem nałożonym na nasze głowy; każdy z nas wypłacić go musi, niéma tu wyboru, niéma niesprawiedliwości. Sam tylko Bóg jest nieśmiertelny. Przyjmując wolę Boga gdy nam przynosi radość, mamyż jéj złorzeczyć gdy nam śle cierpienie? Chodźcie, wasze wołania są bezbożne.»

Posłuszne tym wyrazom, z zakrytemi ręką oczyma, wychodzą z cmentarza, obracając się co chwila, aby przesłać ostatnie pożegnanie temu, którego dopiéro w dzień sądu zobaczą.

Taki obrządek powtarza się przy każdym pogrzebie. Jednostajność bywa zwykle cechą wielkości. Zwyczaje téż Arabów, jeżeli pozbawione urozmaicenia, pełne są za to uroczystéj powagi i dziwnéj jakiéjś okazałości.

POMPEJA.

Któż kiedy nie słyszał o owych dwóch listach tyle zajmujących (listy 16 i 20 księgi VI), w których Pliniusz młodszy, na prośbę Tacyta, kréśli mu szczegóły straszliwego wybuchu, co 23 sierpnia roku 79 naszéj ery, a piérwszego panowania Tytusa, zasypał zawałami kamieni i popiołu miasta Pompeję, Herkulanum, Stabię, Oplonte, Resinę, Tegianum, Tauranię, Cose i Veseris, ozdoby Kampanii, których mieszkańcy, szczęśliwi i swobodni, rozgościli się po zielonych stokach Wezuwiusza, w głębi czarującéj zatoki neapolitańskiéj, zwanéj przez starożytnych *Kraterem*?

Trzy doby, będące jakby jedną tylko długą i straszliwą nocą, wystarczyły na spełnienie katastrofy, a gdy żywioły ucichły, gdy słońce zajaśniało,, bladawe, mówi Pliniusz, jak w czasie zaćmienia, wtedy wszystko naokół było zmienione, wszystko ukryte pod pokładami popiołu, jak pod śniegiem. ”

Herkulanum, Resina, Oplonte i t d. zostały w części zalane lawą, w części zagrzebane potokami wody i popiołu wyrzuconemi z czeluści Wezuwiusza, które wszystko tam zapełniły, podobnie jak metal roztopiony zapełnia wnętrze formy. Utworzona ztąd massa stała się wkrótce twardą jak kamień, i nieszczęśliwe miasta legły pod pokładem mającym przeszło 60 stóp grubości.

Pompeja, położona na wzgórzu, mniéj silnie została dotkniętą. Popiół i kamienie pumeksowe (lapilli) dosięgły tu tylko wysokości stóp dwudziestu, i zdaje się że dészcz wulkaniczny spadał w pewnych przerwach, tak iż mieszkańcy po większéj części zdołali się ocalić.

Odtąd dla zasutéj Pompeji zaczęły się wieki zapomnienia, 1700 lat ciszy grobowéj; aż póki w połowie XVIII stulecia przypadek nie odrodził jéj z popiołów, i światło słoneczne wniknęło znów w jéj ulice, place i domy, i wdzięczne jéj portyki nowém zawrzały życiem.

Przejmująca to myśl, zaprawdę, dziwne, tajemnicze wywołująca obrazy! Miasto o którego nawet istnieniu żyjące pokolenie nie wiedziało, o którego nieszczęśliwéj doli zatarło się nawet wspomnienie, jakby cudem z wiekowych powstaje ruin! Czyż to nie pomnik najwspanialszy jaki starożytność mogła nam przekazać, przedmiot najgodniejszy podziwu artystów i uczonych? Starożytność Pompeji nie jest to owa starożytnosć mglista, zamierzchła, książkowa, że się tak wyrazimy, antykwaryuszów i komentatorów; to starożytność rzeczywista, żyjąca, uosobiona; widzisz ją, pojmujesz i dotknąć jéj się możesz. Tajniki życia prywatnego i publicznego dawnych Rzymian stają ci nagle na oczach, nie w kształcie napisów, posągów, płaskorzeźb lub

medali, trudnych często do wytłumaczenia, ale w formie najzupełniéj materyalnéj, począwszy od rozkładu mieszkań, aż do najdrobniejszych szczegółów gospodarskich, od drogocennych księgozbiorów i obrazów, do zapasów wina, oliwy, chleba i owoców. Zdaje ci się że po nocy ośmnasto-wiekowéj nastąpiło zaranie, i że zastajesz rzecz każdą na miejscu w którém ją wczoraj postawiłeś.

Baron Taylor pisał do przyjaciela swego Karola Nodier: «Gdyby współczesny jaki Augusta powrócił dziś na ziemię, mógłby zawołać: Witam cię, ojczyzno moja! Ty jedna przetrwałaś wieki, ty jedna zachowałaś wszystkie warunki bytu przeszłego! Oto moje łoże, moje książki, malowidła moje, tak świéże jak w chwili gdy artysta ozdobił niemi te ściany. W tym oto teatrze rozpoznaję miejsce gdzie po raz piérwszy przyklaskiwałem utworom Terencyusza i Euripidesa. «

Pompeja rzeczywiście jest miastem któremu do życia całkowitego brakuje tylko szczytów zabudowań i mieszkańców; a zdaje się jakby jedno i drugie istniało jeszcze wczoraj. Na forum widać kolumny niewykończone, w tym samym stanie w jakim je zostawił wyrobnik przed 1800 laty; trójnóg ofiarny znajdujemy jeszcze pod drzewami ogrodu, skrzynią skarbcową w świątyni Jowisza, zgrzebło (strigillum) w łazienkach, bilety wnijścia w teatrach, sprzęty różne i lampy w komnatach; w jadalni (triclinium) resztki ostatniéj biesiady, w łożnicy (cubiculum) pachnidła i kosmetyki rzymskich piękności.

Architektura gmachów jest kroju greckiego, zastosowanego do potrzeb i zwyczajów Rzymian; rzadkie w nich ozdoby marmurowe, lecz zato malowidła ścienne i mozaiki w zadziwiającéj napotykamy obfitości; ostatnie znaléźć nawet można w brukach dziedzińców, w przysionkach, na ulicach i chodnikach. Wszystko tu poświęcone dla ozdoby i wygody zewnętrznéj: pokoje w ogólności są niewielkie, bez kominków, oświetlone jedném okienkiem; słowem, mimo przepychu mozaiki i malowideł, mało w nich *komfortu* według dzisiejszych wyobrażeń. Brak ten wygody w pomieszkaniach najjawniejszym jest dowodem że starożytni Rzymianie pędzili życie całkiem zadomowe, i że, z wyjątkiem nocy i godzin przeznaczonych na posiłek, dzień cały trawili na forum i placach publicznych. Załączona rycina przedstawia jeden z widoków Pompeji, zrestaurowany podług planu domyślnego.

W ulicach ciasnych i krętych znać jeszcze ślady wozów które po nich przejeżdżały. Szérokość ulic nie przechodzi kilku łokci, co zdaje się było obliczoném na osłonienie domostw od doskwierających upałów. Wszędzie pełno wodotrysków, szczególniéj na rozdrożach. Ulica grobowcowa, rodzaj przedmieścia przytykającego bezpośrednio do miasta, dowodzi silnego przywiązania Rzymian do zmarłych, z któremi nie lękali się żyć w najbliższém sąsiedztwie. Ulica ta niezaprzeczenie należy do najciekawszych miejscowości w Pompeji.

Trudno zajste pojąć jakim sposobem gród ten przez 1669 lat mógł pozostać nieodszukanym, kiedy popiół i ziemia zaledwo przykrywały szczyty jego domów, kiedy mur główny wielkiego teatru wychylał się nawet z pod gruzów, kiedy słynny architekt Dominik Fontana, kopiąc tu w r. 1592 kanał podziemny, dla sprowadzenia wód rzéki Sarno do *Torre dell' Annunziata*, spotykał liczne szczątki zabudowań, kiedy wreszcie nazwa *Civita*, przechowana podaniem, świadczyła że pamięć o istnieniu tam niegdyś miasta niezupełnie wygasła. Dziwniejsza jeszcze że Herkulanum, na stóp 6 przywalone pokładem kamienistym, wcześniéj jak Pompeja zostało odkopaném; a przecież tak było w istocie.

Roku 1684 jakiś piekarz, przy kopaniu studni w Portici, znalazł ruiny gmachu rzymskiego; studnia ta, po dziś dzień istniejąca, prowadziła w sam środek teatru herkulańskiego. W dwadzieścia lat późniéj książę Emanuel d' Elbeuf nabył ten grunt, i r. 1713, rozszérzając studnią, odkopał naczynia marmurowe, któremi przyozdobił tarasy i schody przyległego pałacu swojego, tudzież trzy posągi kobiéce, które posłał do Wiednia, zkąd potém przeszły do Drezna. Systematyczne poszukiwania, przedsięwzięte z rozkazu księcia, wykryły następnie świątynią kształtu okrągłego, wspartą dokoła przez 48 kolumn alabastrowych.

Wkrótce atoli rząd neapolitański, wdawszy się w tę sprawę, kazał zawiesić kopanie, i dopiéro r. 1736 z polecenia króla Karola III rozpoczęto je na nowo. Odgrzebano z kolei teatr, kilka świątyń i gmachów prywatnych, oraz napisy i medale nie pozostawiające żadnéj wątpliwości że to były zwaliska nieszczęśliwego miasta Herkulanum.

Zdarzenie przytoczone przez Winkelmanna daje miarę sposobu w jaki prowadzono te piérwsze roboty. «Nad teatrem, mówi starożytnik niemiecki, wznosił się wóz czterokonny, z figurą naturalnéj wielkości; pomnik ten, z bronzu złoconego, spoczywał na podstawie marmurowéj. To arcydzieło

rzeźbiarstwa zostało naturalnie przez wybuch obałoném i w części skruszoném; lecz kiedy je odkopano, rozbite sztuki wybornie jeszcze mogły być zestawione. Ale niestety, jakże się wzięto do zebrania tych szczątków drogocennych? Rzucono je piąte przez dziesiąte na wóz, odstawiono do Neapolu i wyładowano gdzieś w kącie podwórca zamkowego. Tam skarby te sztuki leżały długo, uważane za stare żelastwo, i dopiéro gdy część ich rozkradziono, pomyślano o użyciu reszty. Zabrano tedy większą połowę bronzu i kazano zeń odlać kolosalne popiersia króla i królowéj.

Szczęśliwym tylko trafem zostały jeszcze kawałki, z których, przy cierpliwości i talencie, zdołano przecież złożyć przepysznego konia, dziś jednę z najcelniejszych ozdób muzeum neapolitańskiego, gdzie przechowują także kilka figur i płaskorzeźb umieszczonych niegdyś na wozie.

Kopanie, prowadzone w tak znacznéj głębokości i w gruncie niezmiernie przykrym, posuwało się, ale zwolna, gdy r. 1748 rolnik pracujący w Civita natrafił na posąg bronzowy. Przypomniano sobie wtedy że jeszcze w r. 1689 włościanie znaleźli tu kilka szczątków starożytnych, a mianowicie trójnóg i małego Priapa bronzowego. Rząd stał się nabywcą gruntu, i rozpoczęto poszukiwania: Pompeja była odkrytą. Przekonano się wkrótce że z małym kosztem będzie można całe miasto wydobyć z pod śmiertelnego całunu, i odtąd Herkulanum zupełnie prawie zostało zaniedbaném. Przedsięwzięto także odkopywanie Stabii, ale z powodu drogości tamecznych gruntów i małéj wartości wydobytych przedmiotów zaniechano téj pracy, stosunkowo bezkorzystnéj, i cała baczność rządu zwróciła się na Pompeję.

Z początku poprzestawano na odgrzebywaniu budowli, i zasypywano je napowrót, po wydobyciu z nich cenniejszych przedmiotów; aż wreszcie powzięto myśl szczęśliwą odsłonięcia całego miasta, któréj dziś zawdzięczamy widok tylu pomników sztuki starożytnéj, w stanie w jakim je znaleziono, tworzących jednę całość wielką, nierozdzielną i odkrywających nam tajemnicę życia narodu, co przez lat tysiąc władał losami świata.

Dalsze poszukiwania, pod światłym kierunkiem jenerała Championnet, który w r. 1799 zajął imieniem Francyi królestwo neapolitańskie; późniéj w latach 1812 i 1813 w przytomności królowéj Karoliny, a nakoniec z rozkazu rządu neapolitańskiego, najpiękniejsze przyniosły owoce. Znaczną część ruchomości, mozaik i malowideł przeniesiono do Neapolu, te zaś które nie warto było wyjmować z murów, osłonięto ramami oszklonemi lub matami.

Średnia głębokość warstw pokrywających *miasto zmarłych*, jak je nazywa Walter-Scott, nie przenosi stóp dwudziestu; składają je popiół, lekko narzucone kamienie pumeksowe i mała ilość ziemi rodzajnéj; łatwo więc bardzo prowadzić roboty, bez użycia nawet motyk. To téż niecierpliwość ciekawych i badaczów radaby co najprędzéj widzieć ukończoném dzieło odrodzenia, uchwycić słowo zagadki, któréj zupełnego rozwiązania spodziéwać się należy po odsłonięciu reszty budowl; ale z największą tylko ostrożnością rozwinąć można opaski krępujące tę *mumię-miasto*. Powolność w tym razie staje się rękojmią zachowania i samych budowl, i tysiąca szacownych rzeczy co kroku tam napotykanych. A zresztą jeżeli, pomimo współczucia dla losu nieszczęśliwych Pompejczyków, z radością patrzymy na to ciało powstające ze snu ośmnasto-wiekowego, byłoby może grzéchem samolubstwa względem przyszłych pokoleń gdybyśmy posiąść je chcieli całkowicie. Skarby tu odszukane podpadają odtąd losowi wszystkiego co ziemskie i niezadługo pewnie ulegną zniszczeniu; jeżeli więc robota i nadal postępować będzie wolno, to część ich przynajmniéj przejdzie w późniejsze czasy, i potomkowie nasi dokonają dzieła, z tą nawet względem nas wyższością, że będą mogli korzystać z prac poprzedników, i tym sposobem utworzyć sobie całość, któréj my dziś jesteśmy pozbawieni.

Gdy zakres artykułu tego nie pozwala nam wchodzić w opis szczegółowy odkopanych w Pompeji budowl i pomników sztuki, najstosowniéj będzie zakończyć go przytoczeniem piérwszego ze wspomnionych na wstępie listów Pliniusza młodszego, w którym uczony rzymski kréśli Tacytowi szczegóły pamiętnego wybuchu i śmierci swego wuja i przybranego ojca, Pliniusza starszego.

«Żądasz odemnie, pisze on, szczegółów śmierci mego wuja, abyś takowe podać mógł potomności. Dziękuję ci za to, bo wiem że wzmianka w twoich pismach zapewni mu sławę nieśmiertelną. Chociaż on zginął zdarzeniem co tyle pięknych zniszczyło okolic, i chociaż ta śmierć przypadkowa, wspólna ze śmiercią miast całych i narodów, powinna uwiecznić jego imię, jakkolwiek dokonał on wielu dzieł trwałych, mniemam jednak że nieśmiertelność pism twoich skuteczniéj jeszcze wesprze jego pamięć

Co do mnie, zazdroszczę tym których bogowie obdarzyli zdolnością albo przedsiębrania spraw godnych opisu, albo napisania rzeczy zasługujących by zostały przeczytane, a bardziéj jeszcze tym co posiedli i jedno i drugie. Mego wuja potomność pomieści w rzędzie ostatnich, zarówno z przyczyny własnych pism jego, jak z przyczyny twoich, i to właśnie skłania mnie ku spełnieniu najochotniéj twoich życzeń.

«Był on w Mizenie, gdzie dowodził flotą. Dwudziestego trzeciego sierpnia, około godziny piérwszéj po południu, matka moja oznajmiła mu że zjawia się na niebie chmura niezwykłego rozmiaru i kształtu. Poleżawszy, zwyczajem swoim, czas jakiś na słońcu i wziąwszy zimną kąpiel, rzucił się był na łoże dla rozmyślania. Powstał więc i wszedł na miejsce z którego przyjrzéć się mógł zjawisku. Trudno było rozpoznać z daleka z któréj góry wydobywała się chmura; pokazało się późniéj że z Wezuwiusza. Obłok dymu podobny był do drzewa, szczególniéj do sosny; [1]) bo wzniósłszy się wysoko w kształcie pnia, rozchodził się potém jakby w koronę. Mmiemam że silny wiatr podziemny wyrzucał go zrazu pionowo, a potém, w miarę słabnięcia prądu, własnym ciężarem rozszérzał się na wsze strony. Wydawał się już białym, już czarniawym, już różnokolorowym, podług tego jak więcéj zawiérał popiołu lub ziemi.

«Cud ten zadziwił mego wuja, który był bardzo uczonym; uznał go godnym bliższego zbadania. Kazał sobie przygotować okręt i wezwał mnie żebym mu towarzyszył. Odpowiedziałem że wolę pracować tymczasem, bo właśnie on sam dał mi coś do pisania. Wyszedł z domu, mając w ręku tabliczki woskowe [2]), gdy ludzie z floty stojącéj w Retinie, przerażeni wielkością niebezpieczeństwa (albowiem gród ten leży naprzeciw Mizeny, i nie było ztamtąd innéj ucieczki jak morzem), pospieszyli ku niemu, błagając aby ich ocalił. Nie zmienił przeto zamiaru, i rzecz rozpoczętą z ciekawości, prowadził daléj z odwagą śmiałego męża.

«Kazał przybyć galerom, wsiadł na nie i odpłynął, dla udzielenia pomocy, jeżeli można, nietylko Retinie, ale wszystkim grodom tamtego brzegu, których było wiele, z powodu piękności okolicy. Pospiesza przybyć na miejsce z którego wszyscy uciekają, ale z taką swobodą umysłu, że spostrzega i spisuje ważniejsze przemiany zjawiska. Już w miarę zbliżania się okrętów spadał na nie popiół gęstszy i gorętszy; już się sypały i kamienie wapienne, i czarne krzemienie, zwęglone i sproszkowane siłą żaru; morze zdawało się odpływać, i brzeg, zawalony urwiskami, okazał się nieprzystępnym. Wahając się przez chwilę czy daléj płynąć czy wrócić, rzekł wreszcie do sternika radzącego powrót: *Śmiałym los sprzyja. Skieruj się ku Pomponianowi.* Pomponianus był w Stabii, lecz na widok zbliżającego się niebezpieczeństwa wszystkie ruchomości swoje przeniósł na okręty, i czekał tylko zmiany wiatru aby wypłynąć na pełne morze. Zastawszy go drżącym, zafrasowanym, wuj starał się go pocieszyć, i pragnąc spokojnością własną uśmierzyć trwogę przyjaciela, kazał się zanieść do łaźni. Po kąpieli zasiadł do stołu i wieczerzał wesoło, albo przynajmniéj (w czém równą widzę wielkość) ze wszystkiemi pozorami zwykłéj wesołości.

«Tymczasem z łona Wezuwiusza buchały już miejscami płomienie, oświecając ciemności nocy. Wuj, dla uspokojenia swych towarzyszów, rzekł im że to się palą wioski okoliczne, które mieszkańcy opuścili z przestrachu, a więc zostały bez ratunku. Następnie położył się i zasnął snem głębokim, bo słyszano go nawet chrapiącego. Ale wkrótce podwórze którém wchodziło się do domu zaczęły tak gęsto zasypywać popioły, że dłużéj tam zostać było niepodobieństwem. Zbudzono go; on wyszedł i udał się do Pomponiana i innych którzy czuwali. Złożono radę czy zamknąć się w mieszkaniu, czy wyjść w pole; domostwa bowiem tak były osłabione częstemi trzęsieniami ziemi, [1]) jak gdyby je wyrwano z posad i postawiono potém na miejscu. Za miastem znów lękać się należało spadku kamieni, jakkolwiek wypalonych i lekkich.

«Z dwóch wreszcie tych niebezpieczeństw wybrano otwarte pole. U towarzyszów jego obawa jedna przemogła drugą; u niego przeważyły powody rozumowe. Wyszli więc z poduszkami na głowach, jako jedyną ochroną od kamieni spadających z góry. Powinno już było świtać; ale miejsce ich po-

---

[1]) Sosna włoska wachlarzowa. Dziś jeszcze, gdy dym Wezuwiusza kształt taki przybiéra, uważają to za pewną przepowiednią nadzwyczaj gwałtownego wybuchu.

[2]) Na takich tabliczkach, jak wiadomo, dawni Rzymianie pisali *stylem* czyli rylcem.

[1]) Kampania, na lat kilkanaście przed opisywanym przez Pliniusza wybuchem, dwukrotnie, w latach 63 i 64 ery chrześciańskiéj, dotkniętą została silnemi trzęsieniami ziemi.

chodu otaczała noc najciemniejsza i najstraszliwsza, rozpraszana tylko w części światłem licznych pochodni. Postanowiono zbliżyć się do brzegu, dla zobaczenia stanu morza; lecz znaleziono je silnie wzburzoném. Wuj wtedy zażądał wody, napił się dwa razy, a potém położył się na płachtę podesłaną. Wtém potężniejsze buchnęły płomienie, i gęsty tuman dymu siarczystego rozpędził zebranych. Wstał, oparł się na dwóch sługach, i w téjże chwili padł martwy. Sądzę że dym go udusił tém łatwiéj, że słabe miał piersi i oddech zatamowany.

«Skoro się rozwidniło, (a nastąpiło to nie prędzéj jak we trzy doby) znaleziono jego ciało nietknięte, w postawie raczéj człowieka spoczywającego niż zmarłego. Ja z matką byliśmy przez ten czas w Mizenie. Ale to nie należy już do rzeczy, bo chciałeś tylko bym ci doniósł o śmierci swego wuja. Kończę więc zapewnieniem żem napisał to tylko com widział albo słyszał od świadków naocznych, w czasie kiedy prawda nie mogła być jeszcze przekształconą. Do ciebie należy wybrać z mojego opowiadania co ci się wyda ważniejszém. Wielka to bowiem różnica pisać list a historyą, pisać dla przyjaciela lub dla potomności. Bywaj zdrów.«

CHIŃCZYK DYPLOMATA.

Dyplomacya chińska od bardzo niedawna dopiéro istnieje dla narodów europejskich; potrzeba było wojny między Anglią a państwem Niebieskiém aby ją z niemi wprowadzić w zetknięcie. Przed wojną tą, i przed traktatem nankińskim, narody zachodnie były w oczach mocarzów chińskich lennemi tylko barbarzyńcami, którym korzyć się raczéj należało przed ich tronem, jak wchodzić na stopie równości w układy dyplomatyczne. Dopiéro huk armat angielskich, a bardziéj jeszcze zniesienie przywileju kompanii wschodnio-indyjskiéj, wskrzesiły dyplomacyą chińską. Dopóki istniał ten przywilej, kompania, jakolwiek słuszne nieraz miéwała powody narzekania na mandarynów, powodowana jednak interesem handlowym, patrzyła na to przez szpary. Po ogłoszeniu zaś zasady wolnego handlu, liczba okrętów angielskich zawijających do Kantonu znacznie się powiększyła, a tém samém pomnożyły się i przyczyny nieporozumień. Należało dla rozstrzygnięcia ich wysłać człowieka ze znaczeniem, upełnomocnionego już nie przez towarzystwo kupieckie, ale przez wielki naród handlujący. I otóż po raz piérwszy stosunki Europejczyków z Chinami przybrały charakter międzynarodowy. Duma jednakże i zarozumiałość chińska silne ku temu w początkach stawiała przeszkody; władze niejednokrotnie posunęły się do obelg, a pospólstwo aż do gwałtów. Wojna stała się konieczną, i wkrótce syn nieba (rzecz niesłychana w dziejach chińskich), zmuszony był uznać równiesnikami swojemi władców dalekiego Zachodu, zatwierdzić warunki prawa międzynarodowego, tam gdzie dotychczas istniała tylko dowolność, zależna od widzimisię zwierzchników państwa *Środkowego*.

Amerykanie, ten naród przedsiębierczy i przemyślny, rzucili się piérwsi na wyłom zrobiony przez armaty i dyplomacyą angielską, wysyłając do Makao pełnomocnika w osobie p. Cushing. Wkrótce i rząd francuzki wyprawił tam p. de Lagrené, któremu jako piérwszy sekretarz towarzyszył p. Teofil de Ferrière Le Vayer, autor zajmującéj rozprawy zamieszczonéj pod powyższym nadpisem w zeszłorocznéj *Revue des deux mondes*. Przytoczymy odtąd, gdzie potrzeba, własne jego słowa.

«Lat dziesięć temu, mówi p. de Ferrière, w miesiącu styczniu 1844 r. znajdowałem się na pokładzie *Syreny*, między wyspą Tenerifą a Rio-Janeiro, płynąc do Chin i rozmyślając o cudach nieznanéj krainy, którą ujrzéć miałem poraz piérwszy. Usiłowałem uprzytomnić sobie wybitniejsze rysy téj dziwnéj społeczności, nieruchoméj od trzydziestu wieków, nie przeczuwając że wkrótce rewolucya wstrząśnie granicznym jéj murem, zachwieje dynastyą i zatrze może w mieszkańcach państwa Niebieskiego oryginalną tę odrębność, jaką podziwiamy w fizyognomiach osóbek wymalowanych na chińskiéj porcelanie. Parę miesięcy późniéj byłem już w Makao i patrzyłem własnemi oczyma na tych ludzi szczególnych, których istnienie dotąd wydało

mi się bajecznem. Widziałem prawdziwych Chińczyków, z najwyższych klass społeczeństwa; rozmawiałem z niemi, przypuszczony nawet byłem do pewnéj z niemi poufałości; układałem się z dyplomatami o pawich piórach i czerwonych guzikach. Dziś, gdy przypomnę sobie te ciekawe rozmowy, gdy potém przeczytam doniesienia gazeciarskie o postępach powstania chińskiego, to nieraz pomyślę że wkrótce może zaginie ta społeczność tak sztucznie organizowana, zagładzą się te pozory dziwaczne, pokrywające odwieczną jéj cywilizacyą, ten system centralizacyi w rządzie, obejmujący ogromną siecią tak rozległe obszary i ludność tak niezmierną, te tradycye religijne i moralne, zbliżone, acz w formach odrębnych, do wieków piérwiastkowych człowieczeństwa. Postanowiłem więc napisać, dla zachowania od niepamięci, to com widział i słyszał, co po mnie niewielu zapewne, a może i nikt nie zobaczy.»

Do układów z ministrem pełnomocnym Francyi z ramienia rządu chińskiego wyznaczono wice-króla Kantonu Ki-yng, któremu przydano do pomocy podskarbiego Huang, bogatego mandaryna Pan-se-tszen i akademika Tsao. Dyplomatyczna ta czwórka zjeżdża do Makao, obranego za miejsce rokowań, i zajmuje mieszkanie w pagodach niedaleko miasta. W dwa dni po przybyciu uprzejmy Ki-yng odwidza piérwszy p. de Lagrené, z czego autor nasz obszérną zdaje sprawę.

«Piérwszego października huk armat warowni portugalskiéj oznajmił miastu przybycie wice-króla, i wkrótce ujrzeliśmy jego orszak. Byli tam jeźdcy tatarscy na maleńkich konikach z ogromnemi siodłami, piechury uzbrojone w dzidy, duchowni w długich sukniach z parasolami; potém mnóstwo chorągwi upstrzonych wyobrażeniami smoków i innych dziwadeł; wreszcie na wielkich krzeslach niesiono Ki-yng'a, Huang'a, Pan-se-tszen'a, Tsao i kilku innych: wszystko to przy odgłosie hałaśliwym gong' ów, tamtamów, dudów, fujarek i innych instrumentów narodowych, mniéj więcéj nieharmonijnych.

«Ambasada nasza starała się również o rozwinięcie jaknajwiększéj okazałości. Nasza gwardya marynarska w paradnych mundurach stała w przedsionku, uszykowana w szpaler; schody przyozdobiono kwiatami; w salonie zawieszono wielki wizerunek Ki-yng'a, przesłany w wigilią przez komissarza cesarskiego; na stołach umieszczono wspaniały serwis do herbaty z porcelany sewrskiéj, który król Francuzów podarował swojemu pełnomocnikowi. Admirał Cécille z oficerami swego sztabu, skład ambasady, nasz konsul p. de Bécour, wszyscy w wielkich mundurach, otaczali ministra świetnie pozłocistym wieńcem, który zapewne Chińczykom wydał się równie dziwnym, jak nam ich orszak, podobny bardzo do fantastycznych pochodów naszych oper.

«Wyszedłem na spotkanie Ki-yng'a, którego p. de Lagrené przyjął u podwoi salonu. Był to starzec z białemi wąsami, z wyrazem twarzy poważnym ale pełnym dobroci i z ułożeniem niezmiernie szlachetném. Rzecz szczególna że nawet pomiędzy ludami fizycznie i moralnie najsilniéj od siebie odstrychniętemi jest jakaś wspólność ruchów i wzięcia się ludzi wyższego stanowiska społecznego. Ki-yng, wprowadzony do salonów Paryża lub Londynu, byłby zapewne wydał się dosyć brzydkim. ale każdyby przyznał niezawodnie że ma powierzchowność wielkiego pana.

«Huang, Pan-se-tszen i Tsao weszli za kommisarzem cesarskim i zajęli miejsce obok niego, mandarynowie niższych stopni stali przy drzwiach, w przedpokoju i na schodach; reszta orszaku mieściła się na ulicy. Stopnie świątyni położonéj naprzeciw naszego mieszkania roiły się wojskiem i ludem. Mieliśmy na zewnątrz i na wewnątrz widok nadzwyczaj ciekawy i malowniczy.

«Sekretarz poselstwa Stanów Zjednoczonych, p. Webster, mówił mi wiele o Huang'u, oratorze komissyi chińskiéj, któréj Ki-yng był mężem stanu i przedstawicielem. Chwalił mi jego rozum, jego zręczność, a nadewszystko miłe obejście; nic dziwnego więc że podskarbi stał się dla mnie przedmiotem szczególnéj ciekawości. Byłto człowiek jeszcze młody, z przyjemnemi rysami, ze spojrzeniem pojętném i ożywioném; ręce miał drobne, delikatne, i rozprawiając umiał je z pewną kokieteryą zręcznie wystawiać naprzód. Ubrany był bardzo starannie, w suknią jedwabną, spiętą kosztownym pasem, z perłowemi pętlicami do zatknięcia zégarka, wachlarza i innych przyborów wykwintnéj toalety chińskiéj. Odzywał się często, jak człowiek przywykły do hołdów wymowie jego oddawanych. Ruchawość jego twarzy i żywość gestów uderzającą tworzyły sprzeczność z powagą wice-króla. Przebąkiwano że Huang zastąpi może wkrótce Ki-yng'a w godności kommissarza cesarskiego.

«Pan-se-tszen był jednym z najbogatszych pod-

danych władzcy niebieskiego. Nazywano go rozrzutnym i zmysłowym; ale lubił Europejczyków i miał już udział w poprzednich z niemi traktatach. Nie tyle biegły w naukach, ile obznajmiony z administracyą i sprawami handlowemi, zajmował on ważne stanowisko w chierarchii mandaryńskiéj. Choć młody jeszcze, dobréj był tuszy, uśmiéchający i wesoły.

«Akademik Tsao, mały, chudy, ospowaty, cedził słowa przez zęby, mrużąc oczy i wykrzywiając usta; przybiérał wyuczone ruchy i postawy i lubował się dźwiękiem swego głosu. Byłto pedant zapamiętale rozkochany w cywilizacyi chińskiéj, któréj sam się uznawał jednym z najznakomitszych przedstawicieli. «

Piérwsze to spotkanie zakończyło się biesiadą na sposób europejski, podczas któréj nasz autor zaznajomił się z Pan-se-tszen'em i Tsao. W cztéry dni późniéj ambasada francuzka, niesiona na krzesłach bambusowych, dąży do pogody wice-króla, dla złożenia wzajemnych odwidzin. Wprowadzają gości do wielkiéj sali kwadratowéj, łączącéj w sobie wszystkie warunki najwymyślniejszego zbytku chińskiego, i po zwykłych ceremoniach wstępnych uraczają gniazdami ptasiemi, ślimakami, pletwami wielorybiemi i innemi w tym rodzaju przysmakami. Pan de Ferrière oddaje jednak sprawiedliwość konfiturom i cukrom, oraz ciastkom noszącym napis: *Przyjaźń na lat dziesięć tysięcy*. Obok nieznośnych win krajowych, przez grzeczność podano i szampana, w którym Tsao tak bardzo zasmakował, że niespodzianie stoczył się pod stół i wyniesiono go z sali bezprzytomnego. Ki-yng i w tym razie znalazł się jak człowiek światowy, bo ciągnął daléj rozmowę, udając że nic nie widzi.

Po kilku konferencyach minister francuzki i komissarz cesarski zgodzili się na zasadnicze warunki traktatu, którego zredagowanie powierzono Huang'owi i p. de Ferrière, jako piérwszemu sekretarzowi ambasady.

«Czytałem dużo książek o Chinach, mówi nasz autor, ale stokrotnie więcéj nauczyły mnie te obrady z jednym z najoświeceńszych obywateli państwa środkowego, w przedmiocie traktatu obejmującego zarówno kwestye prawne i polityczne, jak ekonomiczne i skarbowe. Nie znalazłem wprawdzie w podskarbim tych obszérnych wiadomości teorycznych, jakich u nas z łatwością nabywa każdy co przeszedł kursa naukowe, ale trafiłem na umysł zdolny pojąć wszystko i ocenić bez przesądu.

«Konferencye nasze kończyły się zwykle wieczerzą, przy któréj swobodną już o rzeczach potocznych ciągnęliśmy gawędkę. Huang opowiadał mi o Chinach, ja jemu o Francyi. Codzienne to przestawanie z tak światłym urzędnikiem było dla mnie prawdziwą przyjemnością; umiałem téż korzystać z jego rozmów, by zajrzeć nieco głębiéj w tajniki społeczeństwa chińskiego.

«Podskarbi wypytywał mnie o prawa i system podatkowy mego kraju. Kodeksy nasze nie zadziwiały go wcale, bo w Chinach kodeks istnieje od kilkudziesięciu wieków; ale uwielbiał urządzenie naszych więzień, którym ja, antycypując nieco, przypisywałem dążność nietyle karną jak poprawczą. «Wiedziałem, zawołał, że wasze zasady są wyborne. Francya jest wielkim i szlachetnym narodem. Jesteście uczonemi Zachodu!»

«Potém Huang nawzajem opisywał mi urządzenie biur chińskich odpowiednich naszym ministerstwom. Rozwodził się daléj nad życiem klass wyższych Pekinu. Mają tam i konie, i powozy, i najemne remizy; mają trzy teatry, w których grają dramy, komedye i wesołe pantominy. Towarzystwo pekińskie jest prawie wyłącznie towarzystwem mężczyzn; palą oni fajki i piją herbatę, grają w karty i w szachy, rozprawiają o dziejach i poezyi, czytają wiérsze i sami je składają, słuchają muzyki lub przypatrują się pląsom tanecznic. Są nawet kluby oddzielne, zawiązane w celach literackich i gastronomicznych. Kobiéty pilnują dzieci i gospodarstwa; odwidzają się jednak między sobą, a kiedy niekiedy przypuszczane bywają i do męzkich towarzystw, gdy te składają się z grona samych krewnych albo najbliższych przyjaciół, co zwrotem właściwym mowie chińskiéj nazywa się: *zebranie przyjacielskie aż do kobiét.*

«I tu znów przychodzi mi uwaga że ludzie na najbardziéj odległych punktach naszego globu rozwijają się w różnych okresach cywilizacyi w sposób zupełnie podobny. Chińczycy tak samo jak i my, lubo wcześniéj daleko, wynaleźli: proch, szczepienie ospy, druk, dziennikarstwo, kodeksy, lombardy, kluby, poezyą rymowaną, magnetyzm i fiakry, chociaż w najmniejszém z nami nie zostawali zetknięciu. Analogia ta sięga nawet ulotnych pojawów mody i chwilowych zamiłowań, nie mających, jak się zdaje, żadnéj podstawy rozumowéj, czysto zależnych od widzimisię i przypadku.

Tak np. Chińczycy od trzech tysięcy lat zachowują zwyczaj, niedawno u nas wprowadzony, przesyłania sobie biletów wizytowych zamiast noworocznych powinszowań. U nas w bieżącém dopiéro stuleciu nastała gorączka zbiérania autografów; w Chinach zamiłowanie to trwa od wieków, i przemysłowcy pekińscy, równie zręcznie jak paryzcy, umieją podrabiać pismo sławnych ludzi.

«Prawo chińskie jednéj tylko żonie przyznaje udział w majątku, tytułach i zaszczytach swego męża, i z tą téż tylko węzeł małżeński nierozwiązalny jest do zgonu. Lecz zwyczaj wielożeństwa, na całym upowszechniony Wschodzie, oddawna i tu jest utarty, a dzieci żon przybranych uważane są za prawne. Jednakże uczucie przywiązania dziecięcego od tych potomków ubocznych nie należy się naturalnym ich matkom, ale małżonce uprawnionéj, która jest urzędową przedstawicielką rodziny. Nakoniec przy wywłaszczeniach za długi przybrane żony sprzedają się razem z ruchomościami, a prawna tylko żona, z dziećmi własnemi i tamtych, zachowuje swą wolność.

«Jednéj tylko rzeczy Huang pojąć niemógł w naszym rządzie: wolności stronnictw wydzierających sobie władzę za pomocą dzienników i trybuny. «Przyznaję, rzekł do mnie, że wolno przypominać rządzącym przestrzeganie prawa, gdyż to i u nas ma miejsce; lecz nie pojmuję tego, żeby władza pozwolać mogła by piérwszy lepszy krzykacz ganił publicznie jéj czyny, i żeby prawa, zamiast być wiecznemi, jak u nas, służyć tylko miały stronnictwom za oręż do chwilowego zwycięztwa. To tak zupełnie jak gdyby do powozu zaprzężono konie bez wędzideł, z których każdy samopas w inną ciągnąłby stronę.»

«Zdziwił się bardzo gdym mu powiedział że na Zachodzie narody właśnie rządzące się podobnemi zasadami uważane są za najbardziéj cywilizowane. «Być to może, odrzekł, lecz pewnie ony trzech tysięcy lat nie przetrwały.»

Po ułożeniu ostatniego artykułu, Huang na zakończenie konferencyi proponuje mały obiadek w swéj pagodzie.

«Obiad zastawiono, mówi p. de Ferrière, w obszérnéj sali, oświetlonéj (bo w Chinach, jak u nas, bogaci obiadują wieczorem) mnóstwem świéc z różowego wosku. Było nas sześciu: Pan-se-tszen, Tsao, d'Harcourt, Callery, gospodarz i ja, a przyjęcie tym razem przewyższało wszystko cośmy dotąd poznali z gastronomii chińskiéj. Przy podaniu wetów Huang zwrócił moję uwagę na cztéry czary porcelanowe, zupełnie takie jakich u nas używają do owoców. «Widziałem, rzekł, czary p. de Lagrené, i przypomniałem sobie że w Kantonie mam podobne; otóż sprowadziłem je umyślnie dla pokazania ich panu. Ta forma dziś u was jest w modzie, a my ją znamy od lat tysiąca. Te oto naczynia bardzo są dawne, bo je zrobiono cztérysta lat temu, według wzoru już wówczas starożytnego. Tak to się dzieje na świecie: koło oświaty obraca się bezustannie; dziś dany punkt jego jest w Pekinie, za tysiąc lat będzie w Angli lub we Francyi.

«Odpowiedziałem mu z uśméichem, że pragnę z serca aby to koło w krótszym nieco czasie przyniosło dla Chin koleje żelazne i paropływy.»

«Pod koniec naszego posiedzenia jeden ze służących, na skinienie Huang'a, przyniósł zwitek papiéru. Podskarbi podał mi go i rzekł: «Rozstaniemy się z sobą wkrótce, a u nas jest zwyczajem że przyjaciołom przy rozłączeniu daje się na pamiątkę własnoręczne pismo. Oto są wiérsze którem złożył na cześć twoję.»

«Pan Callery, tłumacz, przełożył mi takowe w słowach następujących:

„Był w Paryżu człowiek znakomity, z obliczem jaśniejącém jak najpiękniejszy jaspis. Nauka jego świetniała jak księżyc w wieczór jesienny, a szaty jego błyszczały jak strumyk wytryskujący na wiosnę. Gdy mówił o wojnie, zdawało ci się że słyszysz szczęk oręża; a gdy o prawidłach harmonii, przewyższał mistrzów cymbału. Piastując wysoki urząd, dalekie przebiegł kraje, i słowa jego, jako suknia z białego jedwabiu, były bez zmazy. Niedawno otrzymał rozkaz towarzyszenia na Wschód dostojnemu La-gua-né, i okręt wojenny, podobny do ptaka Fan, co dziewięć tysięcy mil ulata na godzinę, wpłynął na rzékę niebieską. Przybył do Makao na jesieni, odziany w suknią pozłocistą; gwiazda na piersiach jego rzucała potoki światła, a słowa jego olśniewały jak promienie słoneczne.

«*Jam ciebie poznał na krańcach świata ziemskiego. Nie posiadam klejnotów godnych abyś je przyjął w podarunku; nie pozostaje mi więc jak naśladować w téj odzie poetę San-Tso. Spisuję ją na papiérze, żebyś o mnie pamiętał gdy będziemy rozłączeni.*

«*Ten ustęp, złożony z dwudziestu sześciu wiérszy w stylu starożytnym, ofiarował przyjacielowi Fe-lie-le, piérwszemu sekretarzowi am-*

basady królestwa Fa-lan-sis, autor: Huang-ngan-tung.»

Odczytanie tych wiérszy zmięszało nieco dyplomatę francuzkiego, który nie wiedział zrazu czy je pochwalić przez grzeczność, czy téż przez skromność uchylić się od zawartego w nich panegiryku. Lecz kłopot jego powiększył się w dwójnasób, gdy Huang zażądał, z miną najpewniejszą w świecie, aby p. de Ferrière wzajemnie uczcił go wiérszem. W Chinach każdy dostojnik jest literatem, każdy literat poetą. Przy egzaminach na urzędy kandydat składać musi wiérsze, pokonywając rozliczne trudności i rytmu i rymu, a w jednéj komedyi chińskiéj egzaminowany, za utworzenie, między innemi, zgrabnego czworowiérsza, zostaje od razu piérwszym ministrem. Nie sposób było odmówić Huang'owi, bez wystawienia na szwank téj wysokiéj reputacyi jaką Chińczycy, dzięki jezuitom, utworzyli sobie o Francyi pod względem intellektualnym. Z jakąż pogardą pedant Tsao, a nawet milioner Pan-se-tszen, byliby odtąd mówili o dyplomatach francuzkich, co to się kuszą o zawiéranie traktatów, a nie umieją nawet sklecić kilkunastu wiérszy! Rad nie rad przeto p. de Ferrière, poraz piérwszy może w życiu, bierze się do poezyi, i pali gospodarzowi swemu w cztérech wrotkach cztérowiérszowych dosyć pochlebną odpowiedź.

«Tak to, mówi w końcu nasz autor, nad brzegami morza chińskiego, wymieniałem rymy pełne życzliwości z dostojnikiem państwa Niebieskiego. W kilka dni późniéj żegnaliśmy się na pokładzie korwety parowéj *Archimedes*. Traktat był podpisany, a wice-król z całym orszakiem odpłynął pod wieczór w dżonce bogato oświetlonéj, przy huku armat naszéj korwety i błysku sztucznych ogniów, które Chińczycy zapalali na brzegu.

„Obecnie po latach dziesięciu, gdy tyle ważnych wypadków i Zachód i Wschód poruszyło, zapytuję nieraz sam siebie co się téż stało ze starym Ki-yng'em, z wykwintnym i ujmującym Huang'em, z wesołym Pan-se-tszen'em i z akademikiem Tsao. Gdzie potok niedawnego powstania porwał tych, różnych charakterem i powołaniem, reprezentantów staréj cywilizacyi chińskiéj? Myśl moja, pociągana spojnią tajemniczą wspólnéj przez kilka tygodni pracy i poufałego przestawania, często ku nim ulata. Gdzieś tam na krańcu ziemi, pod porcelanowym dachem pagody, albo za jedwabnemi firankami dżonki mandaryńskiéj, znajdują się cztéry istoty, podobne do złoconych figur naszych wyrobów lakierowanych, których los nie jest mi obojętnym; tylko że niémam pretensyi do żadnéj z ich strony wzajemności.

«Cesarstwo chińskie jest dziś widownią krwawych wypadków politycznych, szérzących mordy i pożogi w kierunku od południa ku północy. Żaden z mych cztérech znajomych, o ile mi wiadomo, nie oświadczył się za powstaniem; jeżeli więc upadnie dynastya teraźniejsza, to upadną i oni. Lecz czegoż spodziéwać się może cywilizacya po zwycięztwie sprawy mającéj przeciw sobie ludzi jak Huang?

«Mniemam zresztą że samo powstanie wewnętrzne nie podkopałoby niewzruszonych od lat tysięcy podwalin społeczeństwa chińskiego, ale przyjdzie mu w pomoc rasa europejska, któréj Opatrzność widocznie przeznaczyła panowanie nad światem. Istnieją już traktaty z Anglią, Ameryką, Francyą, Hiszpanią, a w czasie najnowszym z Rossyą. Narody te lądem i morzem naciskają państwo Środkowe, a wspólne ich usiłowania poniosą tam, może wkrótce, chrystyanizm i oświatę.»

PELARGONIE.

Na obok załączonéj tablicy przedstawiamy odmianę znaną w spisach ogrodniczych pod nazwiskiem *Pelargonium medaille d'or*, która należy do gatunku *Odier-Pelargonium*. Gatunek ten, wraz z gatunkiem *Fançy*, jest obecnie najdrogocenniejszym dla miłośników pelargonij.

Przez wiele lat hodowano tak zwane angielskie i wiedeńskie pelargonie, odznaczające się wielkością kwiatów, które głównie od *Pelargonium cucullatum* pochodzą.

W późniejszym czasie odmiany: *Pelargonium inquinans* i *P. inquinans Bentinkianum* stały się

modnemi, a szczególniéj tak zwane szkarłatne pelargonie ogromną pozyskały wziętość.

Ostatecznie wreszcie bardzo upowszechniły się w handlu gatunki otrzymane ze sztucznego krzyżowania *Pelargonium tricolor* i *coronophillum*, odznaczające się czystością i pięknością kolorów. Tu należą gatunki *Fancy-Pelargoninm* i *Odier-Pelargonium*, obydwa odznaczające się wczesném kwitnięciem, jak równie tém, że nieznoszą zbytecznéj wilgoci, tak w powietrzu jak w ziemi, i że niepotrzebują wielkich doniczek, co jest nader ważném ułatwieniem w ich hodowli.

Pomiędzy ludem pospolicie pelargonie zowią geranią, która to pomyłka pochodzi z nieznajomości najgłówniejszych cech odróżniających te dwa rodzaje. Rodzaj Geranium ma dziesięć pręcików zrosłych w jednę kupkę, łodygę zieloną, koronę foremną (wszystkie listki równe i foremnie na krzyż ustawione).

Tymczasem rodzaj Pelargonium ma 7 pręcików, łodygę krzewiastą, koronę nieforemną, któréj listeczki są tak ustawione, że dwa większe bardziéj ku górze, trzy zaś mniejsze więcéj ku dołowi są zwrócone, w skutek czego cały kwiat ma postać nieforemną. Pochodzi on z Afryki i dlatego nieznosi najmniejszych przymrozków, gdy tymczasem Geranium na wolném powietrzu się hoduje i na zimę w gruncie pozostawia.

F. L.

POSELSTWO

KSIĘDZA JĘDRZEJA ZAŁUSKIEGO DO PORTUGALII I HISZPANII.

(1674—1675).

CZĘŚĆ II.

PODRÓŻ DO HISZPANII.

Trzeba było wreszcie rozstać się z Portugalią. Osobno więc pożegnał Załuski rejenta, a osobno królowę. Rzucał ten kraj z gołemi rękami. Nie wiedział jeszcze, że w Madrycie nie będzie wcale szczęśliwszy (1).

Chciał wracać prosto do Madrytu, ale w bok niegościnnego Badajoz, tyle mu pamiętnego i kłopotami i odwetem, gdy jeszcze przed granicami spotkał gońca umyślnie wysłanego z listami przez nuncyusza Marescotti. Z ciekawością zdarł pieczęć i wyczytał ważne nowiny z ojczyzny. Nuncyusz pisał do niego krótko: «Sobieski został obrany królem, wuj twój Olszowski prymasem, a do Madrytu nie przyjeżdżaj, chyba chcesz być ukamienowanym.» Oto był powód do téj ostatniéj przestrogi. Rządziła wtedy Hiszpanią królowa wdowa, rodzona siostra naszéj Eleonory Korybutowéj, bo król Karol II miał wtedy dopiéro lat ośm. Ztąd dwór hiszpański życzył sobie żeby książe Lotaryngski, a przynajmniéj inny członek jakiéj panującéj rodziny w Europie, obrany był królem, żeby mógł znowu ożenić się z Eleonorą. Co gdy się nie stało, trudno wypowiedzieć z jakim gniewem dwór, oddany zupełnie Austryi, dowiedział się o téj elekcyi. Marescotti zatém ostrzegał Załuskiego, że gdyby się w piérwszéj chwili, za nieprzyjemnego jeszcze wrażenia, pojawił w Madrycie, byłby źle bardzo przyjęty. Żeby dobrze ocenić ówczesne położenie rzeczy, potrzeba to jeszcze wiedzieć, że zwykle, jak tylko nowe wieści jakie przychodzą do dworu portugalskiego albo hiszpańskiego, całe miasto zaraz dowiaduje się o nich i ciągle o tém tylko przez kilka dni następnych rozmawiają. Trwa to dopóty, póki inna jaka wiadomość nie spadnie nagle na bruk i o dawnych nie każe zapominać. Nuncyusz znał naród hiszpański i dlatego radził Załuskiemu, żeby cokolwiek się wstrzymał ze swoim powrotem, aż Madryt rozgniewany wyfermentuje z żalu. Żeby

---

(1) Z łuski tutaj bawi się w kalambur: excessi vero ex Lusitania, vel eo sic nominanda, quod me sic luserat et illuserat. Tom I. str. 517.

więc zyskać na czasie, a nie tracić naprożno chwili, zwrócił się poseł na południe, do Kadyksu, a potém objechał Sewillę, Grenadę i Kordubę. Nie jechał jeszcze w życiu swojém po piękniejszéj drodze, niż miał teraz z Sewilli do Grenady i z Grenady do Korduby. Trzydzieści mil (a większe są mile hiszpańskie od naszych), płynął tylko w pośród najweselszych lasów i ogrodów, winogronami i rozmarynem kwitnących. Orszak jego zajadał w téj czarownéj krainie same kuropatwy i króliki najwyborniejszego smaku, bo rozmarynowém drzewem się żywiące. Jest ich tutaj mnóstwo. To dziwiło Polaków, że lud wiejski Andaluzyi ma wielką przyjemność w rozbojach, to jest że na polach bezkarnie napada na podróżnych i nie ma wcale względu ani na ich stan, ani położenie towarzyskie, kiedy tysiącem zniewag ciska im w oczy, w pośród krzyków, groźb, a nareszcie odwraca się tyłem, pokazując część ciała którą wstyd przykrywać każe. Sami tego na sobie Polacy doświadczyli. «Jest to los wszystkich podróżujących po Andaluzyi, powiada Załuski, ale przedewszystkiém los cudzoziemców, których lud tutejszy, dla większéj wzgardy, nazywa gawachami francuzkiemi, to jest prosiętami. Nawet duchownym nie darują i przezywają ich klechami i rogaczami, a najwięcéj i najsurowiéj trębaczami.«

Wiedząc o tym ich zwyczaju, kupił Załuski trąbę dla swojego służącego i kucharza, a za towarzysza podróży, przybrał księdza hiszpańskiego w nadziei że przez to będzie wolny od napaści. Myślał że na kucharzu i Hiszpanie wszystko się skrupi. Nieoszukał się, bo w drodze mało trzy tysiące pieszych ludzi idących do Kadyksu szarpało, rzucało się na trębaczów i księdza; Załuskiemu dali przecież spokojność.

Zwidził więc Sewillę, miasto godne ze wszech miar widzenia dla wspaniałych swoich gmachów i kościołów. W Grenadzie oglądał kościół parafialny, który budową swoją i ogromem walczyć może z kościołem Św. Piotra w Rzymie o piérwszeństwo. Jednakże i ten kościół bogactwem i zdumiéwającą rozum obszérnością swoją przewyższa katedrę w Kordubie. Zbudowali ją niegdyś Maurowie na meczet. Wspiéra się ten wspaniały kościół na 363 kolumnach, jedna od drugiéj o kilka łokci oddalona. Słowem zkądkolwiek na niego spojrzysz, kościół ten zdumiéwa i czaruje. „Byłby to nieskalany wzór piękności, gdyby święta gorliwość i zapał wystawiły taki ogrom,» dodaje nasz podróżny. Kiedy razem z Gurowskim oglądali wnętrze kościoła, jeden i drugi, ciekawością wiedzeni, rozeszli się w różne strony i potém godzinę przeszło szukali się. Załuski nie znalazł dosyć słów dla wyrażenia swojego podziwu. «Rzym nawet niéma tak wspaniałéj świątyni, zapisał w swoich listach, którąby z kordubeńską porównać można. Wszakże sam wielki kościół Św. Piotra na Watykanie o cztéry razy przynajmniéj od staréj maurytańskiéj katedry jest mniejszy. Nie wierzyłem temu z początku, ale sekretarz księdza Marescotti wymierzył cały ten ogrom i przekonał mnie krokami."

Z Korduby Załuski ruszył do Toledo, stolicy prymasa Hiszpanii, miasta sławnego także gmachami i sztuką budowniczą. Bogate to bardzo arcybiskupstwo, ma dwakroć sto tysięcy dukatów dochodu. Siedział wówczas na téj katedrze kardynał arragoński.

Z Toledo, że miał do tego łatwą sposobność, puścił się w podróż do Escurialu, owego gmachu który był dziełem Karola V. a w którym chowali się królowie hiszpańscy. Posągi z marmuru purpurowego wszystkich monarchów którzy od tego Karola panowali w Hiszpanii, stoją tam każdy na swojém miejscu. Znajduje się téż w Escurialu klasztor i kościół św. Wawrzyńca i straszliwa biblioteka. Tutaj, złożywszy rządy państwa i staranie o wielkościach ziemskich, potężny cesarz przepędził ostatki swojego życia w błogim spokoju. Nie miał znowu słów dosyć Załuski na opisanie kościoła i klasztoru, bo tam i materyał i sztuka walczyły z sobą o piérwszeństwo. Jednę tylko wadę upatrzył w tym szczęśliwym i wspaniałym cudzie Europy, że z tyłu Escurialu wznoszą się niebotyczne góry, a sprawiłoby to niezmierne wrażenie przybywającemu z dalekiéj krainy, ujrzéć zdaleka jak się rysuje na krańcach widokręgu ten gmach ogromny, i widzieć jak co chwila rośnie w oczach wielkiemi rozmiarami swojemi. Dzisiaj podróżni mogą w taki sposób zbliżyć się do Escurialu od tyłu jedynie, a sam gmach skryty jest w górach i pokazuje się dopiéro na końcu, jakby w nagrodę za podjętą pracę, że się go długo szukało. Biblioteka Escurialu jest straszliwa także ogromem; tak wielkiéj pewno niéma na świecie. Sprawiedliwie téż poseł francuzki żartował, kiedy życzył królowi hiszpańskiemu, żeby nad skarbami monarchii przełożył ludzi którzyby podobnemi byli do mnichów strzegących biblioteki i tak czyste od skarbu mieli ręce,

jak świętego onego zgromadzenia członkowie mieli czyste od tych ksiąg mnóstwa.

Trzy tygodnie zeszło Załuskiemu na takim przeglądzie Hiszpanii. Ale jedynie duch jego cieszył się temi cudami, bo ciało było chore. Nadzwyczajne upały osłabiły go i z nóg zwaliły, toż samo innych Polaków. Dopiéro o piątéj wieczorem mogli nasi opuszczać gospody w których stawali; podróżowali więc po samych nocach. Zawsze jedno: od piątéj z wieczora jechali aż do zmroku, a po krótkim wypoczynku, kiedy łagodniejsze nastało powietrze, do szóstéj rano znowu błądzili i jechali. Potém już do następnego wieczora podróż była niepodobną. W gospodach wszędzie na całym świecie niewygoda, a cóż dopiéro w hiszpańskich? Wejście zawsze jedno, pokrycie domu dachówką, bez żadnych innych rusztowań, tak dalece że jak się dach przepali, nadzwyczajny upał wskróś przejmuje człowieka; daléj, dla braku słomy czy siana, zawsze jedna podściołka dla tych i następnych podróżnych i ztąd pełno robactwa; oto jest obraz gospód, w jakich często spoczywać Polacy musieli. Jużcić łóżek i pościeli trudno było z sobą wozić na mułach. Spali zatém albo w przepalonych i wiecznie gorących kamieniach, albo téż w brudach i cudzém śmieciu. W gospodach zbywało na piérwszych potrzebach do życia, cóż mówić już o wygodach? Prowadzili téż sobie nasi wszystko na podwodach, nawet wino. Mieli tę jedyną po drodze przyjemność, że w gospodach znajdowali wszędzie podostatkiem zimnego i sztucznego śniegu, którym zamroziwszy wino, mieli razem miły napój i ochłodę. W miastach można było wprawdzie wszystkiego kupić, ale weturini poselscy starannie z miast uciekali, chociaż i tam, żeby cóś znaléźć, potrzeba było koniecznie szukać; każdy albowiem dom ma swój oddzielny przywilej na sprzedaż tego albo innego towaru, a mieszkańcy pokazują się wszyscy nawzajem, żeby sobie nie włazić w drogę: to już zysk każdego. Osobliwością np. jest w tym handlu, że w jednym sklepie znajduje się szafran i pieprz i że nie wolno szafranu bez pieprzu, albo pieprz sprzedawać bez szafranu. Czosnku bardzo tam wiele używano, bo nawet za grzéch przeciwko wierze Hiszpanie mają nie potrzebować czosnku, a że Załuski miał wiele odrazy do téj żydowskiéj przyprawy, jak ją nazywał, miał i z tego powodu wiele nieprzyjemności, bo musiał wozić wszędzie z sobą narzędzia kuchenne, gdy miejscowe już wszędzie czosnkiem były zażone. Potrzeba było i tak jednego ze służby obrócić li-tylko na pilnowanie garnków, żeby czasem jaki pobożny gospodnik, mając to sobie za skrupuł wiary, jedzenia cudzego nie przyprawił tym egipskim przysmaczkiem. Oliwę także bardzo Hiszpanie lubią; używają jéj nietylko do ryb, ale i do najtłuściejszéj wołowiny, do zająca, do kuropatwy pieczonéj czy gotowanéj i do wszelkiego innego mięsa, aż wszystko pływać musi w oliwie. Obudzało to ckliwość. Ale najgorsze było w téj podróży, że ze zmianą powietrza dostali Polacy po całém ciele jakiegoś rodzaju świerzby, wyrzutu od którego na żaden sposób uwolnić się niepodobna było. Bawiąc jeszcze w Lizbonie, kąpali się w morzu, żeby się pozbyć téj brzydoty; ale trudno, ręce ich tak gwałtownie trąd nawidził, że nawet wędzideł utrzymać niebyli w stanie.

Potrzeba było jednakże wyjechać; znaleźli wreszcie na przykrą chorobę sposób, i to w miejscu i pośród ludzi od których się tego dobrodziejstwa najmniéj spodziéwali. Przybyli do Sulfry. Jest to miasto stolicą; dla naszych z dwóch względów było pamiętne, najprzód że prześladowali ich tutaj żacy, a potém że się tutaj z trądu cudem prawie uleczyli. Skoro tylko wysiedli w mieście, zaraz, podług zwyczaju zachowywanego gdzieindziéj, udali się dla widzenia katedry. Żałowali zaraz téj ciekawości, bo zaledwie stanęli w kościele, kiedy grono chłopców, wziąwszyich za Francuzów, z kapeluszów wcale odmiennéj natury od używanych w Hiszpanii, napadło na orszak poselski z krzykiem i z kamieniami. Musieliby nasi srogą wytrzymać walkę, gdyby nie dziekan owego miejsca, człowiek bardzo szanowny i poczciwy, który przyszedł na pomoc biédnym cudzoziemcom, i odprowadził ich potém z wielką grzecznością aż do samego domu, z obawy żeby jeszcze na ulicy niedoznali jakiéj napaści od niesfornych dzieciaków. W czasie obiadu, kobiéta jakaś która znajdowała się w gospodzie poselskiéj, spostrzegłszy trąd na rękach i na ciele podróżnych, szepnęła do ucha drugiéj, że ubolewa nad nieszczęściem tych kochanych panów, którzy łatwo mogą być uwolnieni od świerzby, jeżeli tylko zechcą. Wziął ją nasz kanonik krakowski za słówko, i zapytał się coby na świerzbę radziła? Niewiasta zapytana odpowiedziała, że jeżeli się zatrzymają panowie do jutrzejszego obiadu, z pewnością z choroby ich wyprowadzi. Oczywiście wszyscy z radością przystali na taki warunek, i bez zwłoki rokować z nią zaczęli,

obiecując wynagrodzenie za tę przysługę, które zaraz po kuracyi nazajutrz zapłacić mieli. Osobno musieli też zaspokoić swojego weturina, za to że dzień cały na próżno czekał. Po obiedzie kobiéta przystąpiła do dzieła, i wielki garnek napełniwszy najmocniejszém, jakie tylko znalazło się na podoręczu winem hiszpańskiém, zaprawiła to wielką dozą arszeniku, przystawiła garnek do ognia i gotowała. Położyli się nasi na łóżkach, a ona wtedy, szmatki bielizny namoczywszy w tém winie, gorącém ile to znieść można było, schorzałe części ciała zwilgotniała i powtarzała to ciągle przez dwie godziny, za każdą razą jak ręka obeschła. Dwie drugie godziny odpoczęła, i znowu uwijała się z płatkiem. Tak sześć razy odpoczywała i sześć razy pracowała około chorych. Widocznie jad ustępował przed działaniem trucizny, tak dalece że już około 9 z południa, kiedy zarosły krosty, mogli daléj Polacy odbywać swoję podróż do Madrytu. Oczywiście hojnie wynagrodzili za to swoję lekarkę.

Stanęli tedy w Madrycie. Przez cały czas téj podróży po Hiszpanii niemiał Załuski żadnych wiadomości z Polski. W stolicy dopiéro znalazł potwierdzenie tych nowin, które mu przesłał do Portugalii ksiądz Marescotti. Przybywszy, dał znać natychmiast o sobie sekretarzowi stanu. Nieczekał długo z posłuchaniem: dała mu je najprzód królowa rejentka, a potém młodziuchny dziedzic tronu. Królowa, zwyczajem hiszpańskim, była w ubiorze karmelitanki, jako w stroju urzędowym panującéj monarchini która utraciła męża. Otaczało ją grono kobiét, które włosy utrefiły w splot po jednéj części głowy spadający, jak warkocz. Królowa bardzo grzecznie Załuskiego przyjęła, i o wielu rzeczach rozmawiała, a najwięcéj o wdowie Korybutowéj, Eleonorze. Króla zaś widział Załuski stojącego, obok niego znajdował się książę Infantado Ajo, to jest dozorca jego młodości. Król miał kapelusz na głowie i nie zdejmował go wcale, chyba gdy wspomniono przed nim imię jakiego majestatu. Odpowiedział kanonikowi tylko dwa słowa na całe poselstwo: «mile przyjmujem» i nic więcéj. W ogóle królowie hiszpańscy bardzo oszczędzają swoich imion, dlatego nawet kiedy akta publiczne podpisują, to nigdy inaczéj jak: *Yo Rej*, t. j. Ja król. Oddał potém Załuski urzędowe wizyty kardynałowi arragońskiemu, prezydentowi Kastylii i hr. de Piniaronda, jako téż innym ministrom. Mile był od wszystkich przyjęty. Oddał wtedy order złotego runa, z którym po śmierci króla Michała był posłany.

Żeby zupełny obraz wystawić Hiszpanii i Portugalii tak blizko z nią spokrewnionéj, Załuski wspomina jeszcze o kilku osobliwościach które widział w Madrycie. Za jego czasów dawano walkę byków w stolicy. Znajdował się na tém widowisku i dostał wyborne miejsce obok wielkiego posła cesarskiego hr. de Haras, który mu wiele przyjaźni i grzeczności w Madrycie okazywał. W ogrodzeniu dosyć szérokiém ciągnęły się rzędem jedne za drugiemi małe pokoiki, które łożami tutaj nazywano, dla osób godniejszych. Na samym przodzie wznosiły się jeszcze wyższe miejsca dla króla i królowéj, byli albowiem oboje tego dnia co i Załuski na widowisku. Nuncyusz papiezki nie bywa na tych igrzyskach, bo nigdy się nie obejdzie tam bez rozlewu krwi ludzkiéj, przyczém pełnomocnikowi Rzymu naturalnie być niewypada. Smutne to i krwawe widowisko, podobne do owych bitew w cyrku rzymskim, które zbytek porodził. Najpiękniejsze oklaski dają Hiszpanie wtenczas, kiedyby właśnie najwięcéj płakać potrzeba, to jest kiedy rozjuszony zwiérz moc trupów zostawi na pobojowisku. «Nikczemna to rozkosz i niepowiem już że dzika radość, mówi Załuski, którą się nabywa kosztem życia bliźnich"! W jego oczach trzech zapaśników poległo, ale rozzwierzęcony lud nie był kontent z owocu téj walki; dla niego potrzeba było jeszcze więcéj trupów. Walka zaś odbywała się następującym sposobem. Wypuszczają z pod ziemi wołu, który wcale nie przywykł do światła, bo nigdy w życiu swojém nie widział słońca, i tém naturalnie dzikszy jest i straszliwszy. Przeciw niemu wychodzą ludzie zbrojni, jeźdcy, albo dobrowolnie poświęcający się na bój ten żeby pokazać swoję odwagę, albo téż zbrodniarze skazani na śmierć, jak gdyby niebyło kary innéj na zbrodnię. Za niemi kilku ze służby, a wszyscy trzymając włócznie w rękach, postrojeni są jakby szli na wesele. Najwięcéj na bój wychodzą Maurowie. Jeżeli jeźdcy nie potrafią nic zrobić kulami ani włóczniami, wtedy walczą pieszo.

Strasznie jest patrzéć kiedy zwiérz gniewem się nadyma; stoi jakby w bojowym szyku w szrankach, a potém wolno krok rozmierza, jakby wyglądając z któréj strony wygodniéj na nieprzyjaciela uderzyć. Strasznie patrzéć kiedy leci na człowieka i rogami go bodzie, wysoko wyrzuca w powietrze, a potém podniosłszy głowę, czeka chwilę, żeby go znowu wziąć na rogi. Niepodobieństwem jest wtedy uniknąć grożącéj śmierci. Czasami z tą wściekłością byk uderza na straż, która pilnuje wido-

wiska, i straż się mięsza, ratując życie, i ginie w tém pomięszaniu, bo niéma innego sposobu bronić się, chociaż jest kopia. Ubiéra się i ona na sposób helwecki, szafranowo. Niewypuszczą jednak żadnego byka ze szranków, bo i zwierz tu ginąć musi. Są albowiem biegli matadorowie którzy potrafią sobie poradzić nawet z tym dzikiem, albo ostrzem brzuch mu rozpłatują, albo téż rodzajem sztyletu zabijają go, raniąc w głowę. Był wtenczas w Madrycie jakiś arystokratyczny Maur, dobrze obeznany z tym rodzajem walki, który umiał od tyłu wskoczyć na byka, i niewprzódy schodził z niego, aż dobił nieprzyjaciela ciężkiemi razami. Kiedy zwiérz, czy osłabiony ranami, czy téż dobity, upada już na ziemię, wtenczas wszyscy widzowie z ludu i rolnicy i woźnice (bo ci nawet kroku z domu bez broni nie zrobią) dobywszy orężów, lecą na leżącego byka i w krwi jego pławią broń, inaczéj byliby wystawieni na pośmiewisko w domu, gdyby powrócili z widowiska z czystym sztyletem lub nożem.

Ulubioną téż zabawą Hiszpanów i Portugalczyków, nawet pospólstwa, są komedye. Codzień ile możności znajdować się muszą na komedyach, o resztę niedbają zupełnie i pracują cały dzień tyle, ile potrzeba żeby zarobić sobie na bilet do teatru. Brzydzą się téż zatrudnieniem podlejszém, np. nielubią nosić wody, i do tego używają Francuzów, których mają w służbie, a których uważają za coś gorszego od siebie.

W processyach zauważał jeszcze Załuski w Lizbonie, że lubią używać wiele larw i masek oraz bębnów, które mają jakieś do tureckich podobieństwo, daléj cymbałów, lutni i innych muzycznych narzędzi, a nawet tańczą, naśladując króla Dawida, którego zawsze przywodzą na świadectwo. W czasie świąt Bożego Narodzenia w każdym kościele budują żłób, około którego także wyprawują swoje skoki, historye; warto widzieć, kiedy poważny jak sama wiara, zapuściwszy brodę, szanowny jaki kapucyn, na lutni albo cymbałach sobie przygrywując, publicznie, w przytomności wielu, ciało swoje w tysiączne wyciąga złamania.

Madryt zawiéra wiele pięknych do niewypowiedzenia pałaców i kościołów. Kiedy się Załuski udawał na posłuchanie do kardynała arragońskiego, musiał przejść przynajmniéj przez dwadzieścia komnat, a wszystkie piękne, ozdobne, pełne osobliwości, zanim się dostał do samego księcia arcybiskupa. Uderzyły go przedewszystkiém wielkie zegary na tych pokojach. Toż samo rozumiéć o mieszkaniach i pałacach innych magnatów hiszpańskich; siedzą sobie wszyscy jakby w świętych bazylikach. Z kościołów zwracały uwagę Załuskiego przedewszystkiém dwa, podobne do siebie powiérzchownością i sztuką: jeden ojców towarzystwa Jezusowego, w którym spoczywa ciało św. Franciszka Borgiasza, drugi dominikański, w którym znajduje się obraz cudami słynący Najświętszéj Panny, zwanéj Donna de Attocha, obstawiony lampami srébrnemi, zawsze zapalonemi i tak wielkiemi, jakich nigdy jeszcze w życiu nie widział. Z powodu kościoła jezuickiego to jeszcze dodał Załuski, że nasz błogasławiony ziomek Stanisław Kostka, malowany bywał tutaj w Hiszpanii nie w czarnéj sukni, ale w popielatéj, bo wreszcie w tych stronach nowicyusze jezuiccy, dopóki zostają na naukach, noszą suknie również czarniawego a nie czarnego zupełnie koloru.

Powietrze w Madrycie jest nadzwyczaj łagodne, ziemia znowu ma jakiś oddech grobowy. Niepotrzeba tutaj wcale wywozić za miasto zdechłych koni, psów i innych zwierząt, dosyć tylko na ulicę wyrzucić padło, a ziemia w przeciągu 24 godzin, w proch je obróci. Tak wszystkie nieczystości i odchody wywiezione w nocy na ulicę, nikną gdzieś nagle, a nazajutrz niéma po nich nawet śladu. Wielkie to dobrodziejstwo klimatu, i Hiszpanie dlatego powiadają, że raz wraz połykać muszą swoje własne brudy i nieczystości. Ogromny albowiem pył wznosi się w powietrze, zwłaszcza podczas lata, i dlatego bardzo potrzeba się pilnować w każdym czasie, a najwięcéj w nocy, żeby nieotwiérać okien dla świéżego powietrza, bo łatwo wejść przez nie mogą ciężkie choroby, albo nawet śmierć sama. Dlatego téż na dzień używają Hiszpanie grubszego odzienia z zamszu i skóry, żeby się zabezpieczyć od wpływu przejmującego powietrza. Sam Załuski dla ochrony własnego zdrowia w dni gorące używał potrójnych spodni i trzech koszul z mocno tkanéj bawełny. Sprawiało mu to wiele bardzo przykrości.

Jest w Madrycie bardzo okazały most, ale nie unosi się ani nad kanałem, ani nad żadną rzéką, bo maleńko wody pod nim płynie. Pewien poseł turecki, żartując téż z niego, powiedział do Hiszpanów: «Albo sprzedajcie most, albo kupcie do niego wody.» Służy ten most na spacer w początkach wiosny, kiedy jeszcze sadzawki niepozbyły się lodów. Wtenczas wyjeżdżają na most panowie i szlachta ze wszech stron, a pospólstwo zbiega się i cieszy,

widząc jak jeden powóz goni za drugim, i albo wymijają się, albo spotykają, albo zawadzą się jeden o drugi, i jeden się zdruzgocze w kawałki. Sam tylko król sześcią końmi paradować może; zresztą posłowie zagraniczni i grandowie mogą jeździć w powozach ciągnionych przez cztéry muły, lubo i tak jeszcze zachowuje się pewna między panami różnica. Jeżeli np. jedzie jaki z większych grandów, woźnica drugi nie może jechać od niego bliżéj jak przynajmniéj o dwadzieścia kroków. Ten sposób jazdy zowią Hiszpanie *tiros largos*.

Zabiérał się już Załuski do wyjazdu z Madrytu z powrotem do ojczyzny; poznawszy albowiem z kilku konferencyj z ministrami hiszpańskiemi, że się spodziéwać nie może żadnego zasiłku na wojnę turecką, dla niedostatku skarbu, widział że nie było co robić dłużéj w Hiszpanii. Na samém wyjezdném odebrał pocztę z Polski, w któréj, pomiędzy innemi rzeczami, znalazł listy wierzytelne do króla francuzkiego. Nominat arcybiskup, wuj przysłał mu ekspedycyą na to nowe poselstwo od Jana III, instrument zaś złożył tymczasem w ręce Denhoffa, opata mogilskiego, który był potém kardynałem w Rzymie. Odebrał téż list od samego księdza opata, żeby się co prędzéj pospieszał, bo markizowa de Bethune, siostra rodzona nowéj królowéj polskiéj Maryi Kaźmiry, nie była wcale kontenta z osoby wyznaczonéj do tego poselstwa, i dlatego wszelkiemi siłami starała się żeby Załuskiego ta godność ominęła. I sama królowa i pani de Bethune na to poselstwo popiérały rodzonego swojego brata hr. Maligny, a zatém najmniejsza zwłoka mogła Załuskiego narazić na jakie z téj strony niebezpieczeństwo i nieprzyjemności. Spieszył się zatém jak tylko potrafił, a pomagał mu «serdeczny, kochany ksiądz Marescotti», który nawet mu piéniędzy swoich pożyczył na drogę, żeby nie czekał. Załuski już z Paryża dług odesłał nuncyuszowi; a więc na ostatniém uroczystém posłuchaniu pożegnał regentkę, która mu dała jakąś skrzyneczkę, jak myślał z klejnotami dla swojéj siostry, królowéj Eleonory. Król, kiedy go osobiście Załuski żegnał, podarował mu różę dyamentową, wartości 2,000 dukatów.

Z Madrytu pospieszył prosto nasz poseł do Pampelony, bo chciał jeszcze oglądać to miejsce, w którem błogosławiony Ignacy Lojola, raniony w goleń z armaty, nagle przeinaczył się w świętego męża i niebieską otrzymał koronę. Nie jest wcale brzydkie to miasto, które posiada téż wspanialszy jak inne miasta hiszpańskie zamek, oparty na twierdzach i murach. Był w owym czasie gubernatorem Pampelony Aleksander Farneze. Miał książę twarz Murzyna, ale z obyczajów i światła był prawdziwym Europejczykiem. Przyjął posła bardzo grzecznie, ugościł smacznym obiadem i poczęstował winem pampelońskiém tak dobrém, jakiego nigdzie jeszcze w Hiszpanii Załuski niepił. Pamięć księcia Aleksandra Farneze w późnych już latach żywo była Załuskiemu przytomną.

Miał teraz przebywać Pireneje tak ogromnie wysokie, że bez przesady, powiada Załuski, wiérzchołkami swojemi w krańce chmur zaglądały. Jednakże góry te stanowiły zbyt słabą zaporę dla nieustannéj walki która wrzała pomiędzy Hiszpanią a Francyą, ze szkodą całego świata chrześciańskiego. W górach używali Polacy za przewodników koni, które niosły i prowadziły orszak po dzikich wąwozach. Mają tutaj te zwierzęta nadzwyczajną pamięć; przewodnik-koń postępował przodem bez jeźdzca, nikt nim niekierował, a jednak prościuteńko przyszedł do następnéj stacyi pocztowéj, zkąd daléj nasi ruszyli. Drogą im przypadło miasteczko św. Jana (S. Juan), które zwidzili, a ztąd dojechali aż do Bajonny.

W Bajonnie przyjął grzecznie całe poselstwo marszałek i gubernator Gramond, który świetną wyprawił ucztę. Ale że Załuski chwili czasu stracić nie mógł, zaraz potém, po krótkim odpoczynku, wyjechać miał daléj drogą pocztową. Już wsiedli wszyscy na konie, gdy nadbiegł goniec, pokojowiec królewski, który dla oszczędzenia sobie wydatku (bo we Francyi taki zwyczaj, że każdy jadący bierze osobnego pocztyliona), upraszał Załuskiego żeby go wziął z sobą, jako niby dworzanina poselstwa. Zgodził się kanonik chętnie na to żądanie i zaprosił go z sobą do stołu. Był to Francuz bardzo dowcipny i na wszystko umiał sobie poradzić. Minęli nasi Bordeaux, potém Beauvais, gdzie znaleźli jeszcze Rafała Leszczyńskiego i już z nim daléj odbywali razem podróż. W Beauvais rzucił ich ów goniec z Bajonny, bo prędzéj musiał pospieszać do Paryża. Ludwik XIV dziwił się potém, że tak prędko wyjechał i powrócił. Francuz przyczynę pośpiechu złożył na Załuskiego i jeszcze wychwalał go przed królem, że niezmordowany i nieleniwy. W istocie goniec ten nie kłamał, bo dziesiątego dnia po wyjeździe z Madrytu był już Załuski w Paryżu, chociaż tu i owdzie zabawić się troszkę przyszło. Nie odpoczywał długo nawet

w Paryżu. Zaraz po przyjeździe udał się do księdza Denhoffa i ucieszył się serdecznie, kiedy z rąk jego odebrał dla siebie ekspedycyą na poselstwo francuzkie. Dowiedział się od niego ile pani de Bethune intrygowała na wszelki możebny i niemożebny sposób, żeby unieważnić to poselstwo i ekspedycyą odesłać królowéj do Polski. Mówiła że to wcale nieprzyzwoicie, aby ablegat był razem gońcem, gdyż ablegat (jakim Załuski był do Hiszpanii) nie jest obowiązany do takiego poselstwa jak goniec (1). Napominała Denhoffa że zwłóczyć nie powinien; potém zaklinała żeby jéj pozwolił przedstawić Załuskiego u dworu. Kiedy przyjechał nasz kanonik, powtarzała mu to raz jeszcze pani markizowa, mizdrzyła się, chciała się narzucać; ale zaraz po szlachecku odparł jéj Załuski, krótko a węzłowato: «znam czego po mnie wymaga charakter poselski, powinność swoję wypełnię jak będę umiał, i nie potrzebuję wcale żadnych zalecań ani przedstawień; owszém, sam chcę innych przedstawiać u dworu.»

Zrobił tak jak powiedział. Wysłany Gurowski, dał znać o jego przyjeździe panu de Pompone, sekretarzowi stanu, a sam Załuski tymczasem zajął się wynajęciem stosownego do swojéj godności mieszkania. Znalazł zaraz naprzeciw na ulicy Gołębiéj pod orłem czarnym wygodny lokal, a w nim kucharza biegłego w swéj sztuce, i zaraz ułożył się z nim, żeby co dzień na 12 osób miał stół gotowy. Jakoż w istocie nigdy nie był Załuski bez gości. Kazał jeszcze dla dziesięciu dworzan i dwojga młodych pachołków zrobić nowe ubranie. Uzyskał posłuchanie, które się miało odbyć za dwa dni w Wersalu.

Tymczasem posłał do markiza d'Arquien, ojca Maryi Kaźmiry, który był wtenczas kapitanem straży przybocznéj, złożonéj ze stu Szwajcarów, na dworze księcia orleańskiego, brata króla Ludwika, z uwiadomieniem: że chce mu złożyć swoje uszanowanie, jako ojcu królowéj polskiéj. Markiz mieszkał wtenczas w Palais Royal. Ale nad wszelkie spodziéwanie odmówił żądanego zaszczytu pan d'Arquien Załuskiemu, z czego w kilka dni potém z trudnością przed nim się tłumaczył. Mówił oko-

(1) Ablegat był posłem do dyplomatycznych spraw, a goniec przynosił tylko wieść o elekcyi króla: zatém ablegat nie mógł spaść na gońca. W to biła właśnie pani de Bethune.

licznie, że np. niemoże uważać go za posła, kiedy wié z listów królowéj swojéj córki, że hr. de Maligny przeznaczony był na ten urząd do Francyi. Było w tém coś i prawdy, bo Marya Kaźmira, mocno się upiérała za bratem; ale Olszowski, który niezłożył jeszcze pieczęci, zaraz drugiego dnia po elekcyi wyprawił do Paryża dla Załuskiego ekspedycyą, o czém królowa niewiedziała, i spodziéwając się że brat jéj pojedzie, pisała do ojca że na poselstwo wyznaczonyjest hr. Maligny. Potém, jakoś w początkach panowania, zajęta tylą sprawami, zapomniała Marya Kaźmira jak na śmierć o bracie, i nieumówiła się z królem aż dopiéro wtenczas, kiedy ją wieści doszły z Paryża że Załuski ma sprawować poselstwo. Usiłowała, ale na próżno, rzecz już postanowioną wywrócić; boć król przecie ani chciał, ani mógł cofać tego co się już stało, a książę nominat prymas pilnował dobrze zleceń królewskich. Marya Kaźmira srodze się na ten zawód gniéwała, a listy pani de Bethune podwajały jeszcze tę nienawiść dla Załuskiego, bo rozdąsana kobiéta, jakto zwykle mścić się umieją córki Ewy, zaczęła go szarpać w tych listach nielitościwie. I tak mówiła np. że u jéj stołu pił Załuski zdrowie nie królowéj Kaźmiry, ale Eleonory, co oczywiście niebardzo mogło się zgadzać z jego roztropnością, jakkolwiek jeszcze bardzo był młody. Jeżeli pił zdrowie Eleonory, to dlatego że był posłem pośmiertnym do Hiszpanii jéj męża, króla Michała. Nigdy nieuchybił Maryi Kaźmirze: albo ją na równi kładł z Eleonorą, albo owszém panującéj królowéj oddawał piérwszeństwo. Marya Kaźmira zaczęła na Załuskiego krzywo spoglądać, kiedy powrócił już do Polski; ale umiał sobie nasz kanonik poradzić, i szczérém prostém wytłumaczeniem się i wyjaśnieniem prawdy tak potém ujął za jéj serce, że nawet rachować mógł w przyszłości na względy królowéj, i nieźle na nich wyszedł.

Chociaż więc niemógł Załuski uzyskać posłuchania u markiza d'Arquien, pocieszył się posłuchaniem jakie miał u króla i królowéj. W dzień oznaczony przysłali po niego Ludwik XIV i królowa, każde osobny powóz, i pozdrowili go jak przystało. Przy powozach znajdowali się urzędnicy dworu, którzy posła wprowadzać mieli na pokoje. Do jednéj karety wsiedli razem ksiądz nasz i pan Gierot, i ruszyli do Wersalu. Towarzysz podróży uczył w drodze Załuskiego przepisów etykiety dworskiéj, którą wiernie, podług zwyczaju, zachowywano w Wersalu. Król siedział na krześle i miał kape-

lusz na głowie, który za każdym razem zdejmował, jak tylko wspomniał Załuski imię króla Jana, albo jego samego. Potém w sali dolnego piętra, zaproszony do obiadu, ucztował poseł razem z kilką znaczniejszemi panami, pomiędzy któremi znajdował się marszałek Villeroy. Ztąd udał się do królowéj, zajętéj właśnie ze swojemi kobiétami zabawą która się nazywała *serduszkiem* (corculus). Znalazł tam panią de Bethune, która dosyć grzecznie obeszła się z nim, bo czyż mogła wtedy inaczéj? Od królowej udał się do delfina, a odbywszy następnie krótką naradę z p. de Pompone, powrócił do Paryża, bo na inny czas odłożył dalsze rokowania z sekretarzem stanu.

Nazajutrz znowu dwie karety przyszły po niego i zawiozły posła do Saint-Cloud, do księstwa orleańskich. Sama księżna z domu była córką palatyna Renu, ale z dawniejszéj wygasłéj już linii, po któréj elektorstwo dostało się w dom Neuburgski. I książę i jego żona mile bardzo posła przyjęli, o wiele rzeczy się wypytywali i do Paryża odesłali; dwie poszóstne karety Załuskiego szły za książęcemi. Ledwie nasz kanonik stanął w mieście i odwiózł cokolwiek urzędnika który go wprowadził do księstwa orleańskich, gdy nagle, w téjże saméj prawie chwili, przybiegł do niego markiz d'Arquien, ojciec, i z tą samą lekkomyślnością, z jaką go wprzódy przyjąć u siebie nie chciał, teraz zaczynał przepraszać i tłumaczył się że błąd popełnił, bo tylko co dowiedział się o całéj prawdzie z listu Maryi Kaźmiry. Zrobił Załuski wtenczas co mu obowiązek nakazywał, i oddał mu wizytę późniéj, zamiast oddać wcześniéj; był u p. d'Arquien na obiedzie i nawzajem jego do siebie na obiad zaprosił.

Następnego dnia odwidził pana de Pompone w jego pałacu, gdzie po kilku grzecznościach, które sobie nawzajem obydwaj powiedzieli, zaczął rokować o tytuł majestatu, którego do téj chwili Francya odmawiała królom polskim. Napisał stosowny do tego memoryał, silił się na rozumowania, dowodził, a wszystko napróżno. Ulatywały tylko darmo słowa w powietrze. Minister obiecywał wprawdzie tę okoliczność przedstawić swojemu królowi, ale po dwugodzinnéj utarczce z niczém Załuski powrócił do swego pałacu, a ile tylko razy rozprawiał w téj materyi z p. de Pompone, zawsze takiż sam odnosił skutek.

Był Załuski kilka razy w Wersalu, raz przy wstawaniu króla, drugi raz kiedy Ludwik XIV mszy słuchał i kiedy jadł obiad. Na to wszystko przepisane są osobne ceremonie i wszystko dzieje się w raz oznaczonym czasie. Król wstaje z łóżka około 9 rano, potém się ubiéra publicznie, a każdy z panów może przyjść i znajdować się przy téj ceremonii. Piérwszy książę krwi podaje monarsze ubranie spodnie, albo jeżeli jego niéma, to wtenczas drugi i trzeci. Ubrany król schodzi do modlitewni, która znajduje się zaraz obok téj komnaty w któréj się stroił, i krótką modlitwą uczciwszy Pana, albo daje posłuchanie posłom zagranicznym, albo znajduje się na radzie państwa, która codziennie w jego obecności musi się odbywać. Potém król idzie do kaplicy na dole i słucha tam mszy, na któréj po Sanctus wszyscy klękać muszą, bo tego pilnują i nie wprzód wstają, aż kiedy kapłan po zażyciu ciała i krwi Pańskiéj ręce obmyje. Drugie nabożeństwo trwa aż do obiadu. Król jada publicznie; do stołu jego siadają delfin i brat, książe orleański, z żonami i z gronem dzieci swoich a wnuków królewskich. Jeżeli zaś która księżniczka ma prawo, jak tutaj mówią, na taburet uprzywilejowany, siada z tyłu królowéj na niższém cokolwiek miejscu. Po obiedzie król wyjeżdża albo na polowanie, albo na spacer, dla zażycia świéżego powietrza, chyba że czas na to niepozwala; około 10 jé wieczerzę i udaje się na spoczynek; znowu go rozbiérają z wielką ceremonią, a kto chce z panów, może się przy tém również znajdować.

Opisywać Paryż i Wersal niemiał Załuski potrzeby, bo to są rzeczy, jak mówił, zbyt znajome każdemu. ([1])

Trzy tygodnie strawił na próżnych rokowaniach w Paryżu. Nie zaprzeczano, odwlekano więcéj, przyznanie królowi polskiemu tytułu majestatu, a w czasach Jana III ani jedno, ani drugie być by niepowinno, gdyby pewne niezachodziły trudności, o których gdzieindziéj Załuski wspomina. Pożegnał króla i królowę, dziesięcioletniego delfina, starszego ledwie o dni kilka od młodego króla hiszpańskiego (delfin rodził się 1 listopada, a Karól 6 tegoż miesiąca), potém księcia orleańskiego. Znowu jak poprzednio przyjechały po niego i odwoziły dworskie karety. Król podarował mu swój wizerunek złotem nadziany, a dyamentami ozdobiony, ceny 3,000 dukatów. Za to panu Gierot, który mu go przywiózł, dał Załuski pierścień ceny 200 złotych.

([1]) Już wtenczas. (J. B.)

Wyjeżdżając, zostawił jeszcze kanonik nasz w Paryżu Leszczyńskiego i Gurowskiego. Za towarzysza podróży do ojczyzny wziął teraz człowieka ze wszech miar godnego szacunku i pełnego zdolności: nazywał się Tomisławski.

W Calais przysłał po niego pojazd gubernator miasta i zaprosił na obiad, z przyczyny że z tego samego domu pochodził co i markiz de Bethune. Nieodmówił, i wyszło mu to na dobre. Znajdował się tam albowiem markiz de Vitry, który jechał do jenerała szwedzkiego Wrangla, przesiadującego wtedy w Kolmarze. Dowiedziawszy się od Załuskiego że jedzie do Polski, zaczął go prosić żeby mu zrobił wielką grzeczność i odbył z nim razem podróż do Hamburga, témbardziéj że ma już bardzo wygodną kajutę na jachcie królewsko-angielskim. Niedługo namyślał się Załuski, i kiedy wieczorem dniatego pomyślne zawiały wiatry, wsiadł z Vitrym na jacht, na którym, po dwóch dniach i dwóch nocach podróży, przybyli obydwaj szczęśliwie do Hamburga, bez żadnéj przeszkody, oprócz lekkiéj słabości głowy, na jaką cierpiał Załuski. Następne dwa dni odpocząwszy w Hamburgu, wyjechał nasz poseł na Szczecin, przez Pomeranią, do Gdańska. Kraj to był nędzny, zubożony przez częste wojny. W téj dopiéro ostatniéj przeprawie poczuł co to jest niewygoda w podróży, gdy niczego za piéniądze dostać nie można było. W Gdańsku niedługo popasał, tyle tylko ile potrzeba było dla wyszukania koni i powozu, bo o powrót jego naglił a naglił książę prymas. Na sam dzień św. Jędrzeja, w którym obchodzili swoje imieniny i wuj i siostrzeniec, stanął Załuski u niego wieczorem w Lubawie. Serdeczne było przywitanie się: wuj cieszył się że po tak długich podróżach i niewidzeniu się zobaczył siostrzeńca swego zdrowym, siostrzeniec znowu że mógł wuja arcybiskupem gnieznieńskim powitać, bo właśnie na trzy dni przed przybyciem Załuskiego odebrał Olszowski bullę z Rzymu, a już się trochę zaczynał obawiać skutków téj zwłoki na jaką się zanosiło. Przypisywał ją téj niewinnéj okoliczności, że nominacya królewska dla niego nie była przypieczętowaną pieczęcią rzeczypospolitéj, ale prywatną króla. Była na to osobna konstytucya w woluminach legum, i dlatego Olszowski się obawiał żeby papiéż niemiał co do zarzucenia prawności nominacyi, chociaż robiło się to wszystko za wiedzą rzeczypospolitéj, która na ten raz pozwoliła użyć pieczęci królewskiéj. «Zresztą cóżby stawiać mogło jakie przeszkody jego wielkim cnotom i sercu w Rzymie, (tak się wynurza o wuju swoim Załuski) w onym teatrze całego świata, na którym umieją cenić sprawiedliwie zasługi? Zatém pomyślny koniec uwieńczył bez żadnych trudności tę sprawę, i włożony jest wieniec świętości, powagi i chwały na głowę najgodniejszą, w którym prymas już pana i króla naszego, wielkiego męża Sarmacyi, ukoronował.»

Nuncyusz apostolski poświęcił Załuskiego na subdyakona, za powrotem już do ojczyzny. Odtąd wszystkie swoje chęci młody kanonik do jednego skierował celu, aby co prędzéj dostał dyakonat i święcenie na kapłaństwo. Jedno i drugie udzielił mu wuj, książę prymas, w Lubawie, podczas adwentu w roku 1674. Niedługo potém obydwaj bawili w dyecezyi chełmińskiéj. Prymas udał się prosto do Skierniewic na objęcie arcybiskupstwa, Załuski zaś do Torunia, gdzie mieszkała królowa Eleonora za wiedzą rzeczypospolitéj, bo chciał jéj oddać skrzyneczkę, którą wiózł z Hiszpanii. Przyjęła go królowa z oznakami szczéréj radości. Niemogła się nacieszyć listami i skrzyneczką, dziękowała bardzo i drogi pierścień podarowała mu na pamiątkę. Trzy dni bawił w Toruniu, bo nietylko Eleonora zatrzymywała go, ale jeszcze panowie, których wtenczas wielu bawiło dla jéj przyjaźni w tém mieście; miał więc Załuski bardzo miłe towarzystwo. Marszałkiem dworu dawnéj pani naszéj był wtenczas Władysław Rej, wojewoda lubelski, a kanclerzem Bogusław Leszczyński, opat czerwiński, który potém umarł na katedrze łuckiéj.

Z Torunia pojechał Załuski za wujem do Skierniewic, na święta Bożego Narodzenia. Książę prymas wyprawił go ztąd do swojego brata Hieronima Olszowskiego, który był wtenczas podstolim koronnym. Miał z nim do załatwienia pewne sprawy prywatne. Wyjechawszy więc zaraz po świętach, musiał Załuski u drugiego wuja bawić trzy tygodnie, bo go na żaden sposób puścić niechciał od siebie. W jego téż dobrach, w Szańcu, odprawił piérwszą bezkrwawą ofiarę przy ołtarzu, do czego żeby się stosownie przygotował, poprzednio przez trzy dni odbywał święte i pobożne rozmyślania w klasztorze księży Paulinów w Pinczowie. Na primicyach jego znajdowało się wiele znakomitszych gości: wuj podstoli, «a nawet ojciec mój kochany, mówi Załuski, nie żałował fatygi i nadjechał do Szańca.»

Dobrze już w post powrócił Załuski do Skiernie-

wic. Książę prymas wybiérał się wtedy do uroczystego wjazdu na arcybiskupstwo. W istocie zaraz po świętach wielkanocnych obchodził w Łowiczu ze zwykłą wystawnością przejście swoje z kościoła chełmińskiego do gnieznieńskiego. Wyborną mową witał go na tém miejscu Stanisław Krajewski kustosz łowicki i kanonik gnieznieński, mąż zkądinąd znakomity, gdyby wyniosła nieco postać nie odbijała źle od godności. Był on potém administratorem gnieznieńskim dwa razy, po śmierci Olszowskiego i po Wydździe, a zawsze z wielką swoją korzyścią. Umarł jako dziekan gnieznieński i rejent kancellaryi koronnéj, pod kanclerzem Wielopolskim.

Po objęciu arcybiskupstwa, prymas układał się z Sielskim, kasztelanem gnieznieńskim, o małżeństwo brata naszego Załuskiego. Oddawna już prymas żył w ścisłéj przyjaźni z panem kasztelanem; poznali się prawie wtenczas, kiedy Wacław Leszczyński biskup warmiński, potém prymas, bawił na poselstwie francuzkiém z Grudzińskim, wojewodą poznańskim, ojcem owego słynnego ze zbytków, z rozwiązłości pana podstolego koronnego, który potém, (tak wielka jest dobroć boska), zakończył przykładnie życie w Eniponcie (Oettingen), z wielką skruchą opłakując dawne występki. Sielski był wtenczas marszałkiem dworu u Leszczyńskiego, i umiał sobie wyrobić pewną wziętość w Paryżu przez kilka serio-dowcipnie powiedzianych słówek. Raz np. widział tańcującego księcia Kondeusza; nie podobało się to Sielskiemu, który był poważnym człowiekiem, i powiedział zaraz, że dziwi się jak książę tak szanowany przez swoich i obcych mógł skakać i bawić się dziecinnie? boć nie wypada, mówił, żeby wielki pan tak lekkiemi ruchami mógł się wystawiać na pośmiewisko. Drugi raz, zaproszony na ucztę do kardynała Mazarini, kiedy wino mu nie dość smakowało, zawołał: «Héj tu chłopcze! przynieś mi to wino, które kardynał pije z panią de Breche, kiedy są oboje sam na sam.» Śmieli się z tego konceptu obecni, śmiał się i cały Paryż.

Otóż wtenczas jeszcze wuj razem z Sielskim puścił się w podróż do Francyi, żeby świat przejrzéć, i ścisłą z nim zawarł przyjaźń. Był wtenczas marszałek księcia biskupa warmińskiego tylko podstolim łęczyckim. Olszowski i on tak się do siebie w téj podróży zbliżyli, że pan Sielski ofiarował mu dwie bogate swoje wychowanice do wyboru i obiecał że je wyda za jakiego z krewnych przyjaciela. Były to córki Stanisława Witowskiego, kasztelana sandomiérskiego, który z chwałą odprawiał niegdyś poselstwo do Moskwy, i piérwszéj jego żony Gniewoszówny, łowczanki koronnéj; jednéj na imię było Teressa, drugiéj Elżbiéta. Pan kasztelan zrobił sobie ogromny majątek, bo miał i z domu rozległe dobra, i bogate starostwa królowie mu ponadawali, jak np. lubelskie, knieżyńskie, nowotargskie, zawichostskie, bocheńskie i krzeczowskie. Posprzedawał te wszystkie starostwa innym nabywcom, oprócz jednego Krzeczowa, w którym ostatki życia przepędziła druga jego żona, Firlejówna z domu, i żył potém sam ze swego majątku, bardzo przyzwoicie i poczciwie.

Otóż kiedy w kilka miesięcy po powrocie z zagranicy wybiérał się Załuski na Ruś do Jaworowa, i zdawał królowi sprawę ze swojego poselstwa, książę prymas polecił mu żeby po drodze zboczył do Jedlonki, gdzie obiedwie kasztelanki mieszkały razem z macochą, i żeby jednę z nich poślubił rodzonemu bratu, Aleksandrowi Załuskiemu, który był wtenczas łowczym rawskim (1). Posłuchał wuja, i razem z Jerzym Denhoffem, opatem witowskim, w licznym orszaku przyjechał do Jedlonki. Udało się w ciągu tygodniu rzecz całą przyprowadzić do skutku, a że szczęśliwe to stadło było, późniejsze szczęśliwe dowiodło tego małżéństwo. Prosto z Jedlonki pojechał Załuski do Jaworowa, gdzie wtedy mieszkali królestwo. Znajdowali się tam referendarz koronny ksiądz Małachowski, Zbąski biskup przemyślski i Radziejowski młody i niepozorny jeszcze, a przyszły prymas rzeczypospolitéj.

Dwór jakoś był bardzo dla Załuskiego oziębły, oziębleiszy jak był powinien, bo już przecie położył nasz kanonik pewne zasługi. Powodem téj obojętności był najprzód list prymasa do królowéj, w którym znajdowało się to wyrażenie, że ona błyszczy jedynie światłem od promieni męża odbitém. Szło właśnie o posadę duchowną scholastyka łęczyckiego. Królowa oddawała ją Adamowi Sarnowskiemu, zacnemu człowiekowi, który był długo dworzaninem a potém sekretarzem jéj męża, jeszcze hetmana wielkiego. Tymczasem i Załuski miał pretensyą do téj prelatury, jako do nagrody za odprawione poselstwo. Ale próżno starał się o scholasteryą Sarnowski, przeciwko poważnemu

(1) Z łowczego chorąży, kasztelan i wojewoda rawski; ustąpił z województwa w r. 1720.

wstawieniu się księcia prymasa. Niemógł się zemścić na wuju, zatém przeciw siostrzeńcowi wylał żółć swoję i obudzał ciągle gniéw królowéj. Wznowił stare baśnie o Paryżu i o pani de Bethune; ale łatwo potrafił Załuski usunąć nastręczające się z téj strony trudności. Zresztą miała i Marya Kaźmira w tém interes, żeby się conajprędzéj z prymasem pogodzić. Po województwach zaczynały się szérzyć dziwaczne wnioski (dwór mówił że to się działo z poduszczenia królowéj Eleonory, co było fałszem) że koronacya w Krakowie nastąpić może, ale samego króla, bo następował po Michale; ale królowa dawniejsza żyła jeszcze, Polska zaś niemoże miéć dwóch pań ukoronowanych. Wdał się Załuski w tę sprawę, godząc tak interes własny z obawą Maryi Kaźmiry, i przyrzekł jéj że książę prymas sam zjedzie do Krakowa, żeby na jéj głowę włożyć uroczyście koronę. Sprawa ta była powodem królowéj Eleonorze, że wyniosła się najprzód do Kruszyny majętności Denhoffów, a potém nawet na Szląsk wyjechała. Odjęto jéj wtenczas z oprawy starostwo żarnowieckie i oddano Stefanowi Bidzińskiemu strażnikowi wielkiemu koronnemu, który trzymał je długo, aż póki niezostał wojewodą sandomiérskim. (1)

Tak zdawszy sprawę z swego poselstwa przed królewstwem, udał się Załuski do Sandomiérza. Nie było to po drodze, ale musiał zboczyć do p. Skotnickiego, pod którego opieką znajdowały się kasztelanki sandomiérskie, a zakończył i tutaj szczęśliwie interes. Podwoiła się radość. Wyznaczono dzień na obrzęd uroczysty zaślubin, które potém miały miejsce we wrześniu, w obecności ojca, wujów i samego księcia prymasa. Kasztelan gnieznieński oddawał młodą małżonkę Załuskiemu, a nasz kanonik przy téj okoliczności miał dziękczynną mowę, drukowaną potém *in oratore polono*.

(1) Bidziński i starostwo i strażnikostwo trzymał aż do roku 1697, kiedy został wojewodą, i dopiéro wtenczas z wielką biédą spuścił strażnikostwo na rzecz Stefana Potockiego łowczego koronnego, po którym łowiectwo dostało się Janowi Dąbskiemu, stryjowi biskupa kujawskiego, który ukoronował króla Augusta, a umarł kasztelanem wojnickim. Po Dąbskim łowczym koronnym był Dzieduszycki, który postąpiwszy na koniuszego, następcą miał w urzędzie Jordana starostę dobczyckiego. Załuski T. I. stron. 676.

Julian Bartoszewicz.

JAKIM SPOSOBEM NASTĄPIŁO ODKRYCIE ZŁOTA W KALIFORNII.

Wiadomo oddawna że złoto kalifornijskie odkrył kapitan Sutter, były oficer oddziału szwajcarskiego w służbie francuzkiéj, który, opuściwszy Francyą po rewolucyi lipcowéj, został właścicielem rozległych obszarów w Kalifornii; ale w najnowszym dopiéro czasie p. Sutter sam opowiedział dzieje tego odkrycia. Podajemy je tu w krótkości, podług jednego z dzienników amerykańskich:

«W miesiącu czerwcu 1848 r. miałem właśnie po obiedzie zasiąść do biurka, dla napisania listu do swéj rodziny w Lucernie, gdy odgłos szybkich kroków rozległ się przed mojém mieszkaniem, i pomocnik mój Marshall, któremu zleciłem był nadzór nad budową o mil kilka tartaku, wszedł do pokoju. Rozstawszy się z nim przed dwoma dopiéro dniami, nie spodziéwałem się ujrzéć go, jak po ukończeniu rozpoczętéj już budowy. Niemało więc byłem zdziwionym gdy Marshall stanął przedemną nieruchomie, z podniesionemi rękoma, ze wzrokiem osłupiałym i z otwartemi ustami.

«Widząc że sam nie przemawia, zawołałem niecierpliwie: «Czyś oszalał»?—«Nie oszalałem, odrzekł uroczyście, choć byłoby czego oszaléć.» Potém obejrzawszy się w koło czy niéma kogo coby nas podsłuchał, szepnął mi na ucho: «Skarby niesłychane! całe góry złota!»—«Cóż to ma znaczyć?«—«To znaczy że jeśli zechcesz, możemy zrobić olbrzymi majątek, zyskać miliony dolarów, ile się zmieści w téj izbie!»

«Pewny byłem że Marshall postradał zmysły, i powiedziałem mu to bez ogródki. Lecz on, zamiast odpowiedzi, sięgnął do kieszeni i wysypał na stół garść złotych bryłek. Przyszła tedy na mnie kolej postradania głowy, a Marshall, odetchnąwszy jakby wielkiego zbył ciężaru, usiadł przy mnie i opowiedział mi swą przygodę.

«Przechodziłem się, rzekł, ponad brzegiem rzéczki gdzie stawiają tartak, dozorując rzemieślników, gdym spostrzegł w piasku coś błyszczącego. Myślałem zrazu że to opal, bardzo w tych stronach

obfity, i poszedłem daléj. Kilkanaście jeszcze razy wzrok mój napotkał podobnie błyszczące przedmioty, lecz nie zwracałem już na nie uwagi. Jednakże w końcu częste powtarzanie się tego zjawiska zaczęło mnie zastanawiać, i miałem już wrócić się, dla podjęcia którego z owych kamieni świécących; ale zaraz przyszła mi uwaga że to próżna ciekawość. Postąpiłem kilkadziesiąt jeszcze kroków, gdy w tém na ziemi coś znowu zabłysło; wtedy instynkt przeważył niedowierzanie; podniosłem przedmiot błyszczący, i zadrżałem z radości, widząc że to bryłka najczystszego złota. Wziąłem się zaraz do roboty i wkrótce nagromadziłem ich sporo. Mniemałem początkowo że skarb ten, przed wiekami może, uroniony tu został przez Indyan; ale zbadawszy dokładniéj naturę gruntu, przekonałem się że wszędzie w obfitości zawiéra złoto. Napełniwszy więc kieszenie, siadłem na koń i w czwał popędziłem tutaj, aby cię uwiadomić o tém cudownem odkryciu".

«Zapytałem go najprzód czy nikomu prócz mnie nie objawił swéj tajemnicy. Odebrawszy odpowiedź przeczącą, kazałem osiodłać drugiego konia i pojechaliśmy razem do tartaku. Przed samą nocą byliśmy na miejscu, i grzebiąc w ziemi kordelasami, zebraliśmy w kilku godzinach znakomitą ilość złota. Odurzeni powodzeniem, wróciliśmy do domu, nie mówiąc nic nikomu; ale tu już nas spotkało kilkunastu robotników wołających zapamiętale: «Złoto! złoto!"

«Dowiedzieliśmy się później że któryś z nich wypatrzył nas w nocy i nie potrafił utrzymać tajemnicy. Wszyscy obecni najuroczyściéj przyrzekli sobie milczenie.... ale nazajutrz już kilkaset osób wiedziało o wielkiém odkryciu.

«Po upływie miesiąca 4,000 ludzi zajmowało się w Kalifornii poszukiwaniem złota".

Takie jest sprawozdanie autentyczne kapitana Sutter.

SAINT-CLOUD.

Saint-Cloud jestto miasteczko bardzo starożytne, w departamencie Sekwany i Oazy, okręgu wersalskim, na lewym brzegu Sekwany, o dwie mile francuzkie od Paryża, z przepysznym pałacem i parkiem.

Historya tego miejsca sięga najdawniejszych czasów monarchii Franków. Gdy w r. 533 dwaj królowie frankońscy, Childebert i Klotar, popełnili znane w dziejach morderstwo na małoletnich synowcach swoich, jedno z tych dzieci, imieniem Klodowald, uniknęło śmierci, oszczędzone pod warunkiem iż na zawsze zrzecze się tronu. Przystrzyżono więc chłopcu włosy i zamknięto go w klasztorze, gdzie bogobojny prowadząc żywot, po śmierci uważany był za świętego. Od jego to imienia miejsce gdzie został pochowanym nazwano Saint-Chlodovalde, co późniéj przekształcono na Saint-Cloud.

W dziewiątym i dziesiątym wieku Saint-Cloud zaczęło słynąć cudami. Przechowywano tam, między innemi relikwiami, kostkę z palca św. Jana, zawartą w naczyniu kryształowém i dwa kawałki drzewa z krzyża świętego, dla których oglądania schodziły się ciągle tłumy pobożnych pielgrzymów, co naturalnie wpłynąć musiało na szybkie wzmożenie się osady. Jakoż już w r. 1218 znajdujemy wzmiankę o istniejącym tu moście przez Sekwanę. Jednakże Saint-Cloud pozostało prawie nieznaném w historyi aż do r. 1358, w którym spalili je Anglicy, napastujący Francyą w połączeniu z Karolem Złośliwym, królem Nawarry.

Saint-Cloud bardzo ważnym było punktem dla obu stron wojujących, z powodu blizkości Paryża i położenia swego nad rzéką. Zbudowano więc na moście rodzaj warowni, którą w czasie wojen domowych, szarpiących Francyą w wieku XIV i XV, wydziérali sobie kolejno Armaniakowie (stronnicy Bernarda Armagnac orleanisty) i Burgundczycy (stronnicy Jana *bez trwogi* księcia Flandryi i Burgundyi). Most na Sekwanie, kilkakrotnie spalony i uszkodzony, w r. 1556 odbudowany został z gruntu przez Henryka II. Podanie niesie, że w téj budowie pomagał przedsiębiercy diabeł, pod warunkiem że wolno mu będzie porwać piérwszego co przez most przejdzie. Wiedział o tém przebiegły rodu ludzkiego nieprzyjaciel że tym piérwszym,

z rozkazu króla, miał być sam budowniczy. Ale tym razem trafił frant na franta; bo budowniczy, nie w ciemię bity, po ukończeniu swego dzieła pognał przez most wielkiego burego kota. Oszukany diabeł poprzestać musiał na téj niewinnéj ofierze, którą wściekły ze złości shwytawszy, zniknął z hukiem i świstem.

W epoce wojen religijnych, kiedy książę Kondeusz i Coligny dobyli oręża, zwracając wszystkie usiłowania swoje ku zajęciu Paryża, uznali Saint-Cloud za punkt najstosowniejszy dla uskutecznienia tego planu. Oblegli je więc, zdobyli i obsadzili silną załogą, aby przeciąć stolicy dowóz żywności po Sekwanie. Odtąd to miejsce nabiérało coraz większéj ważności strategicznéj, i skutkiem tego pod koniec XVI stulecia zostało z rozkazu Henryka III obwiedzione murem i fossą.

Pałac tameczny w piérwotnéj swéj postaci wzniesiony został r. 1572 przez niejakiego Jeremiasza de Gondi, bogatego finansistę. Roku 1589, po nastąpioném pojednaniu Henryka III króla Francyi z Henrykiem królem Nawarry, obaj ci monarchowie zamieszkali w Saint-Cloud. Henryk III stanął w pałacu Gondi'ego, i tam 1 sierpnia tegoż roku zamordowany został przez fanatycznego ligistę, dominikana Jakóba Clement.

Wiele klęsk jeszcze poniosło miasteczko w wojnach między Henrykiem IV i Ligą, a głównie w wojnach Frondy, w których widziemy je teatrem kilku krwawych wypadków. Lecz odtąd już dzieje Saint-Cloud związały się nierozłącznie z dziejami domów panujących we Francyi, i nastały czasy ciągle wzrastającéj jego pomyślności.

Roku 1658 Ludwik XIV nabył pałac tutejszy dla brata swego, księcia Orleanu. O kupnie tém dość ciekawe opowiadają zdarzenie. Kardynał Mazarin, mając sobie od króla zleconém wyszukanie stosownéj dla księcia Orleanu siedziby, pragnął w tym celu nabyć od bogatego dzierżawcy dochodów skarbowych wspaniały dom jego położony w Saint-Cloud, który kosztował posiadacza około miliona liwrów. Udał się więc do niego, i podziwiając niby przepych urządzenia, rzekł od niechcenia: «Musi to pana kosztować z jakie 1,200,000 liwrów.» Dzierżawca, aby nie wydać się z swém bogactwem, odpowiedział że nie byłby w stanie tak wielkiéj summy poświęcić dla swojéj przyjemności. «No to przynajmniéj 200,000 talarów,» odezwał się znów kardynał.—«Nie, panie, i to za wiele na takiego jak ja chudzinę.»—«Więc chyba tylko 100,000 talarów.» Mniéj podać było niepodobna, dzierżawca przeto uważał za stosowne przyznać się do téj ceny. Nazajutrz kardynał posłał mu 300,000 liwrów, z oznajmieniem na piśmie, że król życzy sobie posiadłość jego nabyć. Oddawcą listu i pieniędzy był notaryusz, mający w kieszeni gotowy kontrakt sprzedaży, który dzierżawca zmuszony był podpisać, pomimo że tracił na tém kilkakroć sto tysięcy liwrów.

Przekształcenie domu finansisty na pałac brata królewskiego powierzono słynnym architektom Lepautre, Girard i Mansard, którzy zdołali stojące już budowle połączyć w całość regularną. Urządzeniem parku zajął się Le Nostre, i wkrótce pod ręką tego artysty puste, nieurodzajne wybrzeże zamieniło się w ogród czarującéj piękności, słusznie aż dotąd przez znawców podziwiany.

Piérwszą uroczystością w nowo przeistoczonym pałacu był świetny bal wyprawiony 12 sierpnia 1660 r. z powodu zaślubin księcia Orleanu z Henryką angielską. Odtąd ta siedziba stała się miejscem rozkoszy, w którém biesiady, zabawy, widowiska i koncerty nieprzerwanym po sobie następowały szeregiem, aż póki śmierć księżnéj czasowo ich nie przerwała.

W r. 1672 ogrody Saint-Cloud na nowo zajaśniały przepyszną illuminacyą, z okazyi powtórnych zaślubin brata królewskiego z księżniczką bawarską. Świetne także były tu zabawy na obchód urodzin książąt Valois i Chartres, z których ostatni został późniéj regentem Francyi.

Wszystkie te jednak uroczystości były tylko dla dworu. Dopiéro w r. 1743 książę orleański, dziad króla Ludwika-Filipa, znany pod przydomkiem *le roi de Paris*, wyprawił w Saint-Cloud zabawę dla wszystkich stanów. Były tam osobne widowiska dla książąt, osobne dla szlachty, osobne dla ludu. Po parku snuły się fauny, sylwany, najady i nimfy; zdawało się, że Olimp cały zstąpił w tym dniu na ziemię. Jak okiem dojrzéć, wszędzie było jasno, gwarno i wesoło. Na zakończenie usłużne trytony na pięknie przystrojonyoh łodziach odwoziły do domu Paryżan, którzy tłumnie przybyli dla oglądania tylu cudów.

Nastały potém dla Saint-Cloud czasy mniéj świetne, a przynajmniéj spokojniejsze, bo w r. 1782 Ludwik XVI zakupił tę posiadłość dla Maryi Antoniny, która tu przemieszkiwała aż do wybuchu rewolucyi i pałac w części przebudowała. W roku 1792 królewski jéj małżonek chciał przepędzić

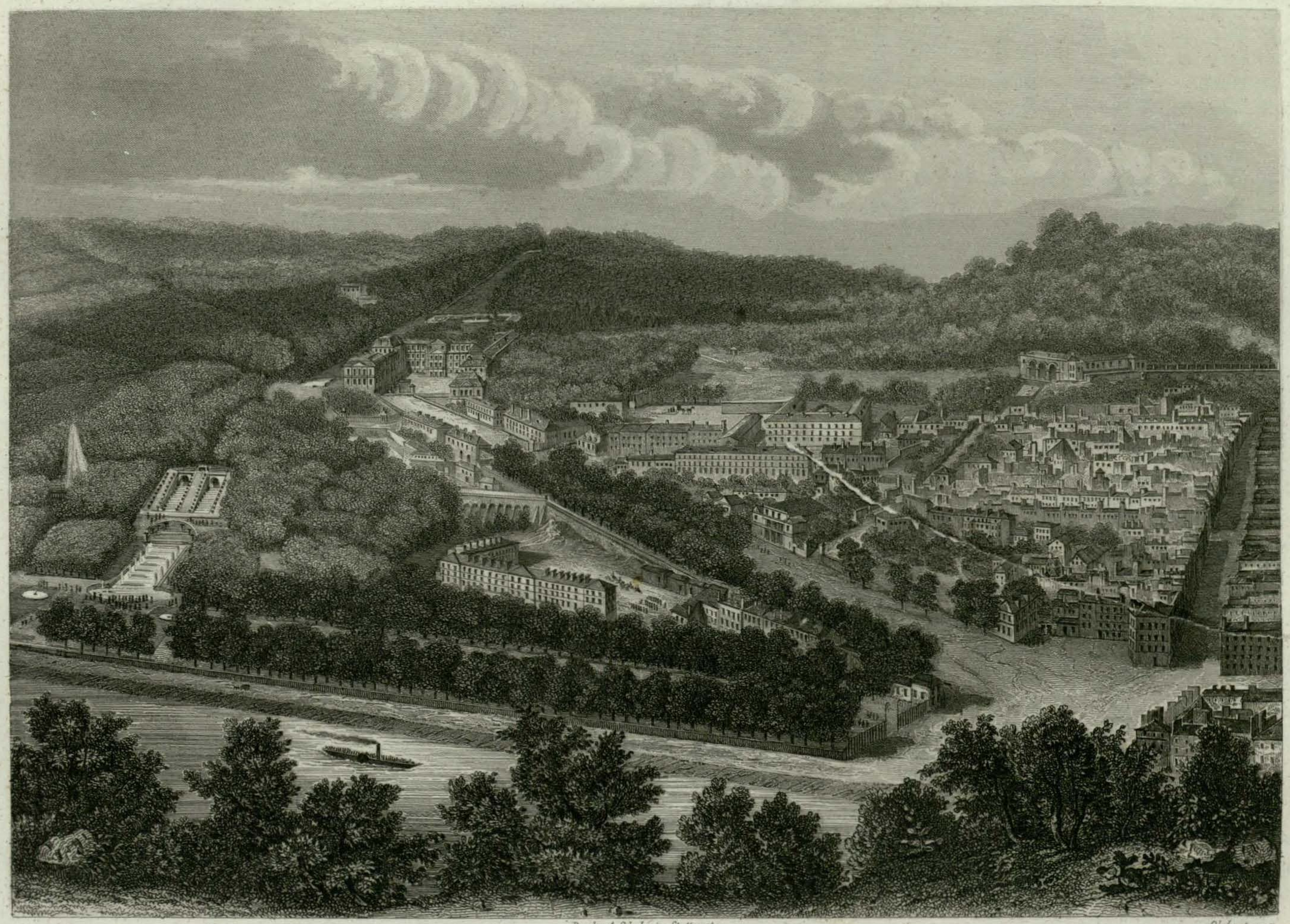

Druck v. A. Schuler in Stuttgart

P. Wurster sc.

St Cloud.

w Saint-Cloud święta wielkanocne. Ale już wtedy przeczuwano to co późniéj rzeczywiście nastąpiło; widziano w tym zamiarze króla chęć usunięcia się od rządów. W chwili więc kiedy miał wsiadać do powozu, na podwórzu Tuleryów powstało zbiegowisko, i Ludwik XVI zmuszony był powrócić do pałacu.

W roku 1793 pałac i park Saint-Cloud przeszły na własność narodową i dekretem konwencyi przeznaczone zostały na uroczystości ludowe, oraz na zakłady rolnicze i artystyczne ku pożytkowi ogólnemu.

Ale najważniejszym w dziejach Saint-Cloud epizodem jest niezawodnie zamach 18 Brumaire VII r. rzeczypospolitéj (10 listopada 1799), w którym to dniu jenerał Bonaparte, przybyły niespodzianie z Egiptu, rozpędził zbrojną ręką radę pięciuset, odbywającą swe posiedzenia w tamecznym pałacu. skutkiem czego nastąpiło obalenie dyrektoryatu i mianowanie Bonapartego na lat 10 piérwszym konsulem.

Zostawszy cesarzem, Napoleon zachowywał dla Saint-Cloud, téj kolébki swéj potęgi, szczególniejsze jakieś względy. Ilekroć opuszczał Tulerye, zawsze prawie udawał się do tamecznego pałacu, i tu najczęściéj rozstrzygał sprawy polityczne. Mawiano téż za czasów cesarstwa *gabinet Saint-Cloud*, tak jak dawniéj mawiano *gabinet wersalski*. Ku przyozdobieniu siedziby cesarskiéj użyto naturalnie wszystkiego co tylko przemysł i sztuka podać mogły z najświetniejszzch swoich płodów. Ogromne prace wykonano w Saint-Cloud z rozkazu Napoleona, ażeby to miejsce uczynić godném najpiérwszego wtedy dworu w Europie. Tu cesarz obchodził chrzest piérworodnego syna królowéj Hortensyi, którego początkowo przeznaczał na swego następcę; tu cywilne swe małżeństwo z Maryą Ludwiką, i nareszcie 15 sierpnia 1811 r. narodzenie się króla rzymskiego. Przepych prawdziwie czarodziejski odznaczał szczególniéj ostatnią tę uroczystość. Z wieczora pałac i park zajaśniały rzęsistém oświetleniem; każde drzewo, kląb każdy zdawał się być przemienionym w cudowny bukiet, złożony z kosztownych kamieni; wodotryski wzbijały się w świetle tysiącznych kolorów; sztuczne ognie z olśniewającą szybkością krzyżowały się w powietrzu, a z hukiem ich łączył się odgłos wystrzałów armatnich; liczne i dobrane orkiestry ożywiały tańce w salonach i zabawę ludu, którego tłumy zaległy park i ogrody.... Wtém niespodzianie zrywa się burza; grom następuje po gromie, dészcz spada potokami, i wkrótce już tylko błyski zagniéwanego nieba rozjaśniają ciemności.

Przesąd ludowy w tém nagłém przerwaniu zabawy widział niepomyślną wróżbę. Jakoż w trzy lata późniéj sprzymierzeni zajęli ulubioną siedzibę cesarską, i książę Schwarzenberg wydawał bale w pałacu, w którym niedawno koronowane głowy Europy schylały czoła przed cesarzem Napoleonem. Roku 1815, w czasie powtórnego wejścia sprzymierzonych, podpisano tu warunki poddania Paryża.

Po restauracyi, Ludwik XVIII i Karol X obrali Saint-Cloud za letnią rezydencyą swoję. Ostatni ten monarcha 26 lipca 1830 r. wydał ztąd słynne *ordonanse*, które spowodowały rewolucyą r. 1830 i wstąpienie na tron francuzki dynastyi Orleanów. Ludwik Filip podobnież w miesiącach letnich w Saint-Cloud przemieszkiwał, a teraźniejszy cesarz, idąc w ślady wielkiego stryja swojego, chętnie także i często tam przebywa.

Zwidzanie pałacu dozwoloném jest tylko w nieobecności cesarza, w niedziele bezwarunkowo, w inne dnie za opłatą jednego franka dla oprowadzającego. Wnętrze gmachu składa się z obszérnego podwórza, z trzema rzędami zabudowań i kilką nieregularnie przystawionemi pawilonami. Przepyszne schody marmurowe prowadzą z przedsionka do pokojów, urządzonych z wystawnością dziś nieco już przestarzałą. Najgodniejszemi uwagi są: sala Marsa, z wybornemi obrazami Mignarda; galerya Apollina, z freskami wyobrażającemi sceny z mytologii tego bożka, i sala Diany, ze ślicznemi także freskami mistrzowskiéj ręki Mignarda. Poumieszczane w różnych salach gobeliny, podług piérwowzorów Rubensa, do dziś dnia zachowały całą świéżość pczecudnego kolorytu, i obok niektórych malowideł współczesnych stanowią najgłówniejszą ozdobę pałacu.

Park, jakeśmy wyżéj już wspomnieli, urządzony według pomysłu Le Nostre'a, mistrzowskie dzieło tego artysty-ogrodnika, dzieli się na dwie części, z których jedna przeznaczona wyłącznie dla mieszkańców pałacu, druga dla publiczności. Piérwsza, zwana *parkiem mniejszym*, ciągnąca się od pałacu po pochyłości wzgórza, zawiéra ogrody kwiatowe, wodotryski i posągi dłuta najsławniejszych wieku XVII rzeźbiarzów. Druga, czyli *park wielki*, obejmuje wzdłuż Sekwany ogromną przestrzeń cztérech mil francuzkich. Wejście główne niedaleko

mostu Saint-Cloud; széroka droga wysadzana kasztanami przerzyna ją równolegle od rzéki; na prawo gaje lipowe i kasztanowe, a w pośrodku wielka kaskada, wykonana podług rysunków Lepautre'a i Mansarda. Wiérzch jéj stanowi kolosalna grupa marmurowa, przedstawiająca bóstwa wodne Sekwany i Marny. Na lewo z kwadratowego zbiornika bije do wysokości 140 stóp olbrzymi wodotrysk, zużywający na minutę 10 beczek wody. Za wodotryskami rozciągają się drogi wysadzane wiązami nadzwyczajnéj wielkości aż do Sèvres. Na szczycie wzgórza wznosi się wązka kwadratowa wieża, z kopułą podpartą sześcią kolumnami, zwana *latarnią Diogenesa*; jest to naśladowanie pomnika Lysikratesa w Atenach. Z punktu tego cudny otwiéra się widok na Paryż i okolice jego, przez które w wielkich łukowatych zagięciach wije się Sekwana.

NOWY PROJEKT

TELEGRAFU ELEKTRYCZNEGO NAOKOŁO ZIEMI.

Oddawna już dzienniki napomykały o planie opasania całéj kuli ziemskiéj olbrzymią linią telegraficzną. Otóż w ostatnich latach p. Schaffner, uczony niemiecki, odbył umyślnie podróż naokoło ziemi, dla przedsięwzięcia potrzebnych w tym celu badań i zawiązania przygotowawczych układów z rządami których współdziałanie ku temu byłoby koniecznem. Według jego pomysłu projektowana linia telegraficzna wzięłaby kierunek następujący: z Anglii przez Szkocyą do wysp orkadskich i shetlandskich, na archipelag Feroe, Islandyą, Grenlandyą, przez ziemię Labrador, Kanadę, Stany Zjednoczone i Kalifornią; potém, wzdłuż brzegów oceanu Spokojnego przez ziemię Oregon i posiadłości rossyjskie w Ameryce, dosięgłaby półwyspu Alaszka, wysp aleutyjskich i Kamczatki; ztamtąd na Ochock, Irkuck, Kańsk, Koływoń, Omsk, Kazań zwróciłaby się ku Moskwie, i weszła tam w system telegraficzny wschodniéj Europy.

Za wykonaniem tego projektu przemawia szczególniéj okoliczność, że telegraf elektryczny małe tylko stosunkowo przestrzenie morza miałby do przebycia; lecz z drugiéj strony tę wielką widziemy w nim niedogodność, iż nie dotyka najważniejszych pod względem handlowym obszarów Azyi i Australii. Linia taka łączyłaby wprawdzie Europę ze Stanami Zjednoczonemi, ale przechodziéby także musiała przez kraje Eskimosów, Kamczadalów, Tunguzów, Samojedów i innych plemion, stojących na równie nizkim stopniu cywilizacyi, co niezawodnie liczne i prawie niezwyciężone nastręczałoby trudności.

Proponują więc inni rozciągnięcie drutu telegraficznego przez Europę ku Indyom, i skierowanie go ztamtąd z jednéj strony ku Chinom, z drugiéj przez wyspy Sunda ku Australii. Co się tyczy Stanów Zjednoczonych, te najdogodniéj będzie dosięgnąć przerzynając ocean atlantycki, jeżeli tylko głębokość tego morza położeniu linii telegraficznéj niepokonanych nie stawi przeszkód. Najprostszą, a więc najkrótszą, w tym celu drogą byłaby linia od przylądka Clear w Irlandyi, do przylądka Race w Nowéj Fundlandyi. Długość téj linii obliczono na 1,600 mil morskich angielskich, a poprowadzenie jéj nierównie większe przedstawiałoby korzyści, jak zapuszczenie się w niegościnne okolice podbiegunowe, zwłaszcza że według najnowszych badań uczonego hydrografa Maury, porucznika w marynarce amerykańskiej, głębokość oceanu atlantyckiego w całéj téj przestrzeni nie przenosi nigdzie 10,000 stóp angielskich.

Czy który z tych projektów, czy wreszcie może inny, wejdzie w wykonanie, okaże to przyszłość niedaleka; bo dziś już połączenie lądów dwóch półkól naszéj ziemi za pomocą telegrafu elektrycznego nie należy do marzeń, ale do blizkich urzeczywistnienia, chociaż zatrważających olbrzymiością, przedsięwzięć naukowo-przemysłowych. ([1]).

([1]) Przed samém podaniem tego artykułu do druku dowiadujemy się z gazet, że prace około linii telegraficznéj mającéj połączyć Europę z Ameryką północną zostały już rozpoczęte. Przy poprowadzeniu od przylądka Breton, na wyspie tegoż nazwiska, do przylądka Ray w Nowéj Fundlandyi drut telegraficzny zerwał się. Obecnie jednak zaczęto w tym celu na nowo zajmować się robotami. (Przyp. red.)

KRAINA SENNAR,

JÉJ PRZYSZŁOŚĆ I WPŁYW NA LOSY EGIPTU (1).

Większa część podróżników którzy odważylisię zapuścić w głąb' Afryki środkowéj, aby zbogacić naukę ziemioznawstwa, otworzyć dla przemysłu i handlu nowe drogi i nowe dla cywilizacyi uzyskać nabytki, padła ofiarą swojego poświęcenia. Zaledwo kilku z nich zdołało powrócić do kraju rodzinnego i podzielić się z Europą zdobytemi plonami.

Otóż zamiarem moim jest wskazać tym nieustraszonym zapaśnikom nauki drogę daleko mniéj nużącą i niebezpieczną, która, jeśli ją rząd egipski otworzy dla przemysłu europejskiego, stanie się niezawodnie źródłem własnéj jego pomyślności. Będę się starał przekonać że mógłby tym sposobem Egipt zdobyć dla oświaty bogate w przyszłość, narody niegdyś sobie hołdownicze, a od dwóch tysięcy lat przeszło daremnie oczekujące odrodzenia.

Ważność roli jaką Etiopia odegrać może w przyszłych losach Egiptu żadnéj nie ulega wątpliwości. Aby ją ocenić, dosyć będzie rzucić okiem na dzieje téj krainy, o ile ony w słabych dochowały się zabytkach. Ujrzymy tam że Etiopia bogatą niegdyś była w płody wszelkiego rodzaju, w złoto, żelazo, miedź, rośliny lekarskie i t. p., które dalekie a nieznane dziś narody zwoziły na jéj targowiska karawanami, lub spławiały rzékami, zamieniając je na płody Egiptu, Syryi i Indyj.

Ujrzymy daléj iż założenie Teb, słynnego miasta o stu bramach, było dziełem kolonii etiopskiéj, która wzdłuż biegu Nilu posunęła się aż za jego katarakty. Mieszkańcy tego grodu uregulowali piérwsi koryto samopas płynącéj rzéki i zamienili cuchnące bagniska jéj brzegów w bujny plon przynoszące obszary uprawnego gruntu.

Historya uczy nas także iż dopóki dwa te narody, Egipcyanie i Etiopczycy, złączone były wspólnością interesów, obyczajów i religii, Egipt był potężnym. Dopiéro po zerwaniu tego węzła przez Psametyka VI, Egipt, pozbawiony sprzymierzeńców, stanął otworem zdobywcy Kambyzesowi.

Ale potrzebaż nawet powoływać się na świadectwo historyi? Przyznaję że przeszłość o tyle tylko posłużyć może do poparcia mojego zdania, o ile ona daje rękojmią dla przyszłości. I tu jednak znajduję zupełnie usprawiedliwioném to com założył na początku; bo czyliż pomyślność każdego kraju nie zależy głównie od żyzności jego ziemi, od położenia geograficznego i topografii jego? Otóż pod temi właśnie względami Etiopia egipska jest jedną z krain najhojniéj od natury uposażonych. Rzućmy tylko okiem na mappę, a przekonamy się o tém najdowodniéj.

Od ośmnastego stopnia szérokości północnéj, to jest od granicy dészczów równikowych, aż do Sennaru, pod stopniem trzynastym, Nil odbiéra daninę od cztérech strumieni, przerzynających równiny dziwnéj urodzajności, na których nieprzeliczone pasą się trzody. Strumienie te potrzebują tylko rąk ludzkich, aby dla osiadłych tam plemion stać się wielkiemi tętnicami ruchu i obiegu przemysłowego.

W niezmierzonych okiem płaszczyznach zroszonych wodami rzék Dinder i Rahad, między Nilem Niebieskim i Atbarah, najprzedniejsza bawełna rodzi się bez uprawy. Hodują tu również sezam (2), którego *ardeb*, czyli 140 kilogramów (około 286 funtów), kosztuje tylko 5 franków, to jest, podobnie jak bawełna, ośm razy mniéj niż w Egipcie.

Hamet-basza, jedyny aż dotąd z gubernatorów jeneralnych, co umiał ocenić zasoby wewnętrzne tego kraju, pozakładał tam fabryki indigo, cukru i mydła, które mu przynosiły zysku pięćset za sto, i to w miejscach gdzie dawniéj nieprzebyte rozpościérały się lasy.

W ogrodach urządzonych przez cudzoziemców w okolicach Kartum znajdujemy drzewa granatowe, figowe, cytrynowe, pokryte przez cały rok prawie kwieciem i owocami; winnice rodzą dwa razy do roku, a drzewa bananowe bezustannie. Posłałem do Egiptu próby wina które z własnego otrzymałem ogrodu, i znaleziono je równie dobrém jak najcenniejsze wina hiszpańskie.

---

(1) Wyjątek z dzieła p. Brun-Rollet: *Nil Biały i Sudan.*

(2) Roślina strączkowa, z któréj nasienia otrzymuje się bardzo czystą i słodką oliwę.

Podróżnik arabski z wieku XIII, Selim-el-Assuanli, opowiada że przebył Nubią aż do Aloa (Soba) o sześć godzin na południe od Kartum, postępując nieustannie pod cieniem palm i winokrzewów, zniszczonych zapewne późniéj przez najazd Arabów. Dosyćby było trzech lat dobrze skierowanéj pracy, aby powrócić tym obszarom dawną urodzajność, bo grunt Etiopii pod względem żyzności co najmniéj równa się egipskiemu. Przerzynające ją rzéki ułatwiają, jak w Egipcie, zaprowadzenie sztucznéj irrigacyi, a oprócz tego posiada ona dészcze peryodyczne, których Egipt prawie zupełnie jest pozbawiony, ową mannę niebieską dającą bez zachodu najobfitsze urodzaje.

Nil Biały, występując z łożyska, umierzwia rozległe a puste dziś po swych brzegach przestrzenie, które ubezpieczyćby tylko potrzeba od najścia Szeluków, aby licznych zwabić tam uprawiaczów. Dla osiągnięcia tego celu dość żeby przez kilka misięcy w roku krążyły po Nilu dwa dobrze uzbrojone statki wojenne, których koszt utrzymania powróciłby z okładem dostarczany przez nie budulec. Arsenał i miasto Kartum otrzymywałyby go podostatkiem z lasów nadbrzeżnych i wysyłały do Egiptu, gdzie obecnie, dla braku drzewa zdatnego do budowl, artykuł ten bywa przepłacanym. Orzech lub mahoń, pod względem trwałości i piękności słoju, nie mogą wytrzymać porównania z większą częścią drzew etiopskich; mamy tego dowód na trumnach mumij egipskich.

Prowincya Kordofan wydaje rocznie 40—45 tysięcy centnarów gummy arabskiéj, w wartości około miliona franków, a dochód ten, po ułatwieniu kommunikacyj, niezawodnieby się podwoił. Dziś karawny z Kartum do Kairu idą sześć miesięcy, niekiedy i rok cały, gdy tymczasem w Europie na przebycie takiéj saméj przestrzeni dosyć jest dni kilkunastu.

Sudan egipski liczy blizko dwa miliony mieszkańców, z których jedni prowadzą życie koczowniczo-pasterskie, drudzy, mieszkając stale po wsiach i miasteczkach, trudnią się rolnictwem. Uprawa ta obejmuje zaledwie jednę dziesiątą część ziemi rodzajnéj, a jednak choćby mierne żniwo wystrcza na wyżywienie kraju przez lat pięć.

W zwykłych latach ardeb kukurydzy białéj, którą tu żyją prawie wyłącznie, kosztuje 1—1½ franka, a możnaby ją sprzedać w Egipcie po 12—15 franków.

Średnia wartość wołu wynosi 12 franków. Niskość téj ceny daje miarę niedbałości mieszkańców i pozornego ubóstwa kraju, a przekonywa zarazem jak wielki popęd nadaćby musiało przemysłowi miejscowemu ułatwienie odbytu na bydło. Ileż to stepów, które dziś wypalają, dla wytępienia gadów kryjących się pod zielskiem bezużytecznem, mogłoby wtedy zamienić się w bogate posiadłości?

Przypominam sobie iż Mehmet-Ali napisał raz do gubernatora jeneralnego Kurszut-baszy: «Nie pojmuję dlaczego, ilekroć żądam od ciebie haraczu, tłumaczysz się ubóstwem swych poddanych. Wszak oni mają dwa Nile, a ja tylko jeden; każ tym próżniakom pracować, a będą bogatemi..»

Kurszut-basza odpowiedział: «Choćby Sennarczykowie pracowali dziesięć razy więcéj jak dotąd, zawsze nie będą mieć piéniędzy, tylko ziarno i bydło.» Powinien był dodać: Przyślij nam kupców, jakich pełno w twoich portach, a damy ci dziesięć razy więcéj niźli żądasz.

Wice-król Egiptu poprzestać musiał na kilkudziesięciu tysiącach sztuk bydła, które podczas transportu sześcio-miesięcznego wymarło prawie całkiem z głodu, pragnienia i znoju.

Dopóki nie zostanie zniesionym ten rodzaj blokady w którym Etiopią utrzymują katarakty Nilu i Sahara, dopóty Sudan nie będzie mógł rozwinąć w zupełności swych bogactw przyrodzonych.

Zobaczmy teraz korzyści jakie téj krainie zapewniają jéj położenie geograficzne i jéj rzéki. Napotykamy najprzód na północ od Kartum rzékę Atbarah, która nas wiedzie do Tigranii i Gondaru, gdzie znajdujemy piżmo, skóry garbowane, wosk i kawę. Funt téj ostatniéj sprzedaje się tam po 15—25 centymów (4—6 kopiejek).

Nil Niebieski zrobić nas może panami targowisk środkowéj Abissynii, jak Kodiam, gdzie kilka razy do roku schodzą się plemiona afrykańskie dla handlu zamiennego. Na dalszych jego brzegach założyćby trzeba kantory, dokąd Negrowie z gór złotodajnych prowincyi Berta dostarczaliby koni, wosku, kości słoniowéj i złota.

Jeden z oficerów armii egipskiéj, Hamet-Effendi, zajmujący przed kilką laty posterunek wojskowy przy kopalniach Fazolk, zawiązał z krajowcami stosunki handlowe. W niespełna dwóch latach, i z kapitałem wynoszącym zaledwo 2,000 franków, zyskał on tym sposobem 80,000 franków. Plemieńcy Gallah przybywali doń tłumnie karawanami, dla wymiany swych płodów na płótno i wyroby szklanne. Przy użyciu stosownych środków, a mianowi-

cie przy zachowaniu łagodności i dobréj wiary, miejsce to w czasie niedługim niezawodnie zostałoby targowiskiem piérwszorzędném. Lecz Hamet-Effendi wszystko zepsuł gwałtownością; bo kiedy raz przy nadejściu bogatéj karawany znalazł się bez piéniędzy, zabrał ją przemocą, i odtąd Negrowie i Gallahowie nie śmieli już więcéj się pokazać.

Baczną także uwagę rządu egipskiego powinny zwrócić handel i żegluga na Nilu Białym. Od krańców południowych królestwa Kafy możnaby prowadzić z krajowcami obszérny handel zamienny na złoto, żelazo i kość słoniową. Rozciągnąwszy swe osady wzdłuż rzéki Kejlak aż do jeziora Fitry, Egipt mógłby zagarnąć bogaty handel jaki królestwa Burnu, Uadej i Bagarmi prowadzą z Marokiem i Tripoli przez pustynią Sahara. Nie podlega wątpliwości że te królestwa nierównie są bogatsze od Etiopii egipskiéj, handel więc z niemi dźwignąłby niewątpliwie pomyślność téj ostatniéj.

Projekta moje niejednemu może wydadzą się urojeniem: lecz odpowiadam na podobne zarzuty że kiedy w r. 1850 urządziłem kantor handlowy pomiędzy plemieńcami Bary, wszystko co żyło w Kartum nazywało mnie głupcem; a jednak to głupstwo mniemane znalazło późniéj naśladowców, którym siedm podobnych zakładów przyniosło już dotąd zysku 400,000 franków.

Czyż Egipt odleglejszym jest od źródeł wielkiéj swéj rzéki jak Anglia i Francya, które, w ostatnich szczególniéj latach, tyle podjęły usiłowań dla ustalenia tam swego handlu i wpływu swéj oświaty?

Rząd wice-króla w cywilizowaniu krainy Sennar widzieć nadto powinien nietylko kwestyą ekonomiczno-handlową, ale kwestyą polityczną, bo ubezpieczenie granic swych od południa. Zakłady poumieszczane wzdłuż Nilu ku jego źródłom będą czysto egipskiemi; przeciwnie te co się posuną drogą od Tripoli lub po Nigrze należéć będą do narodów które je urządziły; żegluga w głębi kraju stanie im otworem, i niewątpliwie wkrótce czyni ich jego panami.

Handel Anglii, jak piasek pustyni, najodleglejsze zasypuje strony, i zwykle zagarnia je pod swą władzę; idzie tu więc dla Egiptu o kwestyą istnienia. Przez Sennar tylko i przerzynające go rzéki Egipt odzyskać może stanowisko jakie zajmował w świecie starożytnym, a wtedy, z upływem wieków, Aleksandrya, jak dzisiaj Londyn i Paryż, stanie się ogniskiem ruchu handlowego i politycznego. Skoro już Europa ubiegła go, jak się zdaje niepowrotnie, pod względem wpływu na trzy części świata pomiędzy któremi rozsiadł się kraj Faraonów, niechże przynajmniéj pamięta o zachowaniu swéj władzy na granicach południowych. W tym celu potrzeba koniecznie aby Sennar został prowincyą egipską, aby wice król podniósł w nim przemysł i rolnictwo za pomocą kolonij uzbrojonych; potrzeba aby Nubijczykowie w przybyszach białych nie widzieli swych ciemiężców, lecz opiekunów i przyjaciół; potrzeba słowem aby ich przemieniono w Egipcyan, gotowych na każde zawołanie dostawić bitne swe hufce.

Rząd egipski z łatwością cel ten osiągnie, jeśli uciec się zechce do środków jakie przemysł europejski wymyślił ku zniesieniu odległości. Trzeba mu usunąć nieprzebyte zapory rzucone między Nubią i Egiptem: pustynią Saharę i katarakty Nilu. Ale zniszczyć katarakty sposobem mechanicznym byłoby rzeczą prawie niepodobną, a przynajmniéj zbyt trudną i kosztowną; nie są to bowiem pojedyncze rafy podwodne, lecz pasma skał na niewzruszonéj spoczywające podstawie, o które prąd rzéki w bystrym roztrąca się biegu. Wątpić należy czy ręka ludzka zdołałaby skruszyć te pokłady granitowe; a jednak przez ośm miesięcy w roku wstrzymują ony żeglugę.

Zdaniem więc mojém najlepiéj byłoby zbudować drogę żelazną między Assuan i prowincyą Berber, gdyż ta skróciłaby odległość od Sennaru dla podróżnych o dni 15 do 20, a dla transportów towarowych o 5 do 6 miesięcy.

Potrzeba ująć w żelazne szyn kluby te pustynie, w których, jak na morzu, straszliwe panują burze; potrzeba abyśmy lotem jaskółki przebiedz mogli te obszary nieznane, gdzie dotąd wyobraźnia widzieć nam daje tylko kości bielejące i karawany powalone ognistém tchnieniem simunu; potrzeba wezwać pomocy olbrzymiéj dźwigni przemysłu, potrzeba użyć pary.

Droga żelazna, łącząc Sudan z Egiptem, zhołduje mu wszystkie plemiona osiadłe z téj strony Nigru. Kartum odległe będzie od Assuan o dni cztéry, od Burnu o dni sześć, i Afryka środkowa przestanie być nieprzystępną dla nauki tajemnicą.

Projekt ten mniéj jest kosztownym, a niezawodnie bardziéj użytecznym dla Egiptu jak przekopanie między-morza Suez, z którego Europa najwięcéj ciągnąć będzie korzyści.

POLIPY CZYLI ZWIERZOKRZEWY (ZOOPHYTA).

Ze wszystkich tworów przyrody najwięcéj przedstawiają zajęcia dla jéj badacza mieszkańcy wód, tak słodkich, jak słonych. Zadziwia nas ich mnóstwo, oraz niewyczerpana rozmaitość kształtów. Znajdujemy tam wszystkie szczeble życia zwierzęcego; zacząwszy od wymoczków, aż do zwierząt ssących, każdy oddział ma tam swego przedstawiciela.

Po większéj części żywięta (1) te są nadzwyczajnie żarłoczne. Jäger podaje, że *wodnik* (*Wasserkäfer*) w przeciągu kilku minut zjada więcéj, aniżeli całe jego ciało waży; ztąd dziwną zdaje się rzeczą jak wystarczy pożywienia dla tych wszystkich stworzeń, oraz jak w téj miniaturce świata zwierzęcego, gdzie człowiek prawie żadnego wpływu mieć nie może, wciąż stały i niezmienny stosunek istot żyjących się utrzymuje.

Żeby wytłumaczyć tę zagadkę czytelnikowi, musiemy powiedzieć iż twory te, oprócz samych siebie, mają jeszcze nader obfite źródło pożywienia tak w szczątkach istot organicznych, jak w liszkach owadów, których można powiedzieć $^3/_4$ części w wodzie swoje jaja składają. Tym sposobem niéma obawy ażeby kiedykolwiek z braku pożywienia istoty te nawzajem się wyniszczyły, gdy tymczasem z drugiéj strony, przez swoję żarłoczność, stają się ony dla nas i dla zwierząt wielkiém dobrodziejstwem; usuwają bowiem wszelkie istoty gnijące w wodzie, ułatwiają jéj ruch i tym sposobem zapobiegają zarażaniu się powietrza. Nadto, zjadając mnóstwo liszek, przeszkadzają zbytecznemu rozmnażaniu się owadów, któreby z pewnością spowodowało zniszczenie wszelkich owoców naszéj pracy na polach.

Z tych uwag widziémy że badanie polipów, które do żyjątek wodnych należą i to samo co wszystkie twory wodne mają przeznaczenie, i pod względem moralnym nie jest bez korzyćci; skłania ono nas bowiem do większéj czci, wdzięczności i miłości dla Stwórcy, który tak mądrze, tak troskliwie o nasze dobro, świat ten urządził.

(1) Tém nazwaniem obejmujemy i żyjątka i zwierzęta właściwe grzbietne.

Zwierzokrzewy są to istoty żyjące, dowolnym ruchem obdarzone, lub téż stale do przedmiotów martwych przymocowane, posiadające nadzwyczajne podobieństwo do drzewek, krzewów i kwiatów, skutkiem którego wielu najnowszych nawet naturalistów błędnie za rośliny je poczytuje.

Niektóre z nich są bardzo małe, tak że zaledwie pod mikroskopem mogą być widziane; po większéj jednak części 4—5 linij, niektóre zaś gatunki około $^1/_2$ stopy mają średnicy.

Każdy polip, czy on będzie kilka cali długi, wolny i pojedynczy, jak rodzaj *Actinia*, lub téż niezmiernie mały i z innemi zrosły, zawsze ma ciało nieczłonkowate, w kształcie walca, od góry jednym lub kilkoma rzędami *macków*, wewnątrz zaś organem trawienia opatrzone, który niekiedy z krótkim kanałem kiszkowym bywa połączony.

Jednym z najważniejszych organów w ciele polipa są *macki* (Fangarme) służące mu do chwytania zdobyczy. Tworzą ony wieniec naokoło otworu pokarmowego i mogą być okrągłe, krótkie i płaskie, albo téż długie i nitkowate, gładkie, lub téż pókryte małemi brodaweczkami. Zwykle macki te albo ramiona, jak je inni nazywają, są próżne, mogą jednak z wnętrza ciała, w skutek szczególnéj swéj budowy, wypełnić się wodą, a za ściśnięciem znowu się wypróżnić i powrócić do dawnéj objętości. Gdy mają postać długich nitek, mogą się na sąsiednie przedmioty obwijać i służyć za organ ułatwiający zmianę miejsca. Niektórzy nawet uważają je za organa oddychania, lecz to mniemanie nie jest jeszcze dostatecznie wyświecone i ściśle naukowém badaniem poparte. Macki służą także do łowienia zdobyczy. Polip całkowicie wykształcony w czasie głodu wysuwa je naprzód, a ustawiczném poruszaniem *rzęs* (*Wimpern*) na nich znajdujących się tworzy pewien rodzaj wiru w wodzie, skutkiem którego wszystkie przedmioty otaczające do siebie przyciąga.

Bieg processu trawienia jest nader prosty. Piérwiastki pożywne rozdzielają się w komórkach i miejscach wolnych wnętrza ciała, i są w celu jego utrzymania i powiększenia wsysane; części zaś niestrawne, jak oście od rybek, skorupki od muszelek, są napowrót przez otwór pokarmowy wyrzucane,

Fig. 1.

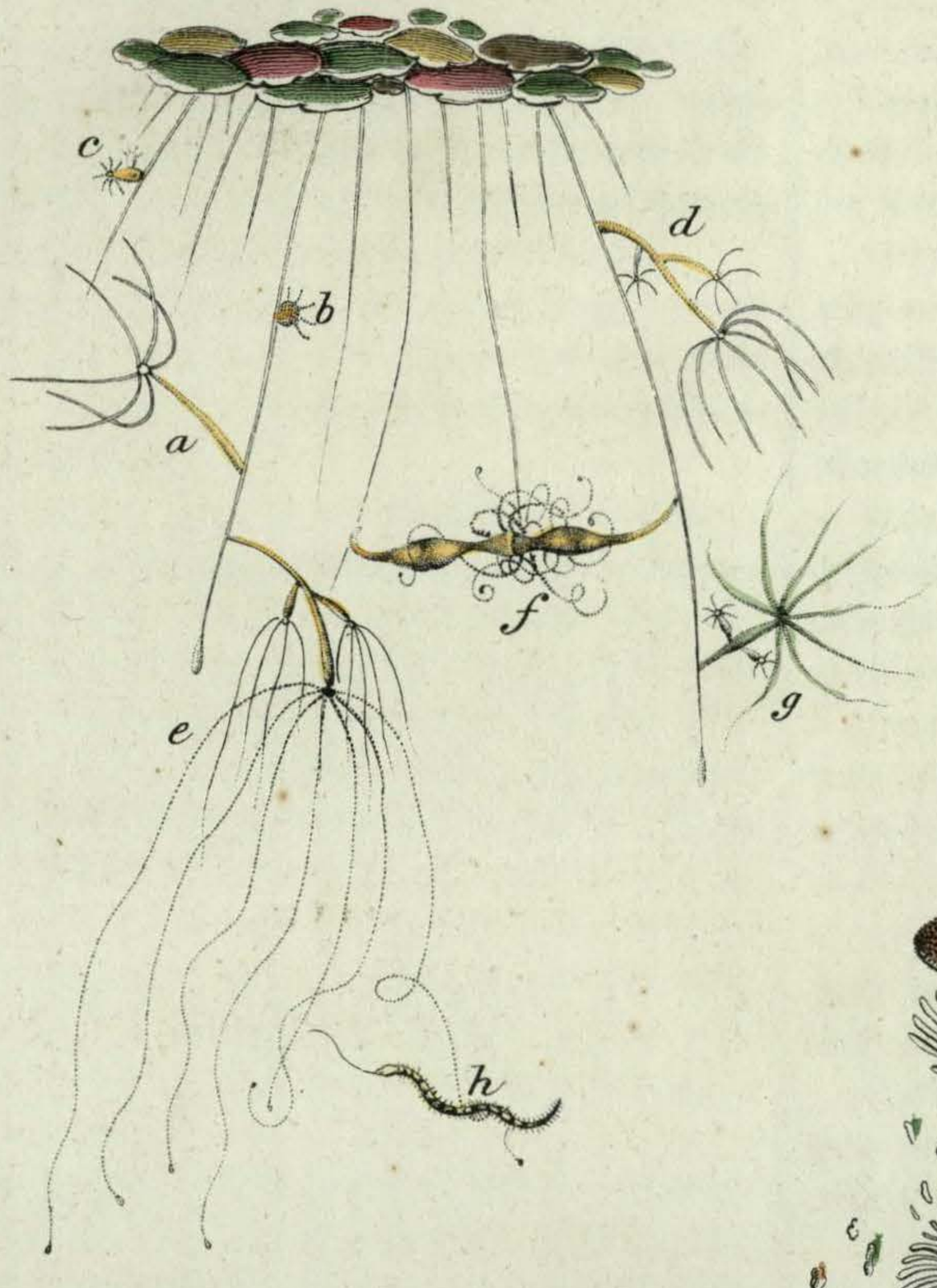

Fig. 2.

Fig. 3.

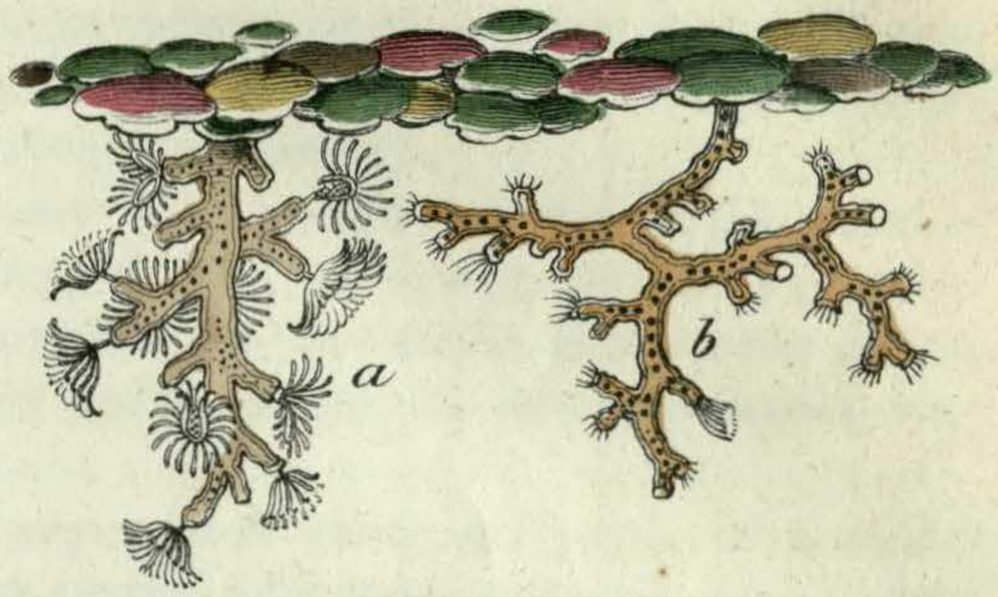

Fig 4.

stych, wodach słodkich; niekiedy w morzu przebywa. Siedliskiem jego są rośliny wodne, mianowicie rzęsa (lemna minor). Dowolnie może przenosić się z miejsca na miejsce, w czém posiłkuje się mackami i tylną częścią swego ciała. Przy silném nawet powiększeniu nie okazuje żadnych muszkułów, lecz ciało jego jest galaretowatém; z tém wszystkiém bardzo łatwo może się kurczyć i rozszérzać, już to sam przez się, już téż za pomocą macków.

Wyciągnięty, wynosi jeden cal długości, skurczony zaś ma podobieństwo do galaretowatéj bryłki wielkości szpilczéj główki. Głodny, wysuwa naprzód ramiona i z łatwością niemi wszelkie małe zwierzątka usidla. Posiada cienką *szczecinkę* (Borsten), wydzielającą silną truciznę, którą za dotknięciem większe nawet robaki zabija w jednéj chwili.

Szybkie trawienie tłumaczy jego wielką żarłoczność; żywi się żyjątkami wodnemi.

Rozmnaża się przez jaja i przez pędy, na tylnym cienkim końcu wyrastające, które bardzo prędko się wykształcają na samodzielne zwierzęta.

Rodzaj hydra obejmie wiele gatunków, z których trzy najznaczniejsze załączona tablica przedstawia:

1) *H. pallens* Fig. 1. *a*) wyciągnięty, *b*) skurczony, *c*) skurczony z dwoma młodemi, *d*) wyciągnięty, równie z dwoma młodemi.

2) *H. grisea* Fig. 1. *e*) w stanie rozszérzonym, kiedy właśnie *węża wodnego* (*Nais proboscidea*) Fig. 1. *h*) chwyta, *f*) dwa indywidua z sobą walczące. Fig. 2. przedstawia ten sam gatunek znacznie powiększony, wraz z połkniętym wężem, którego widać przez cienkie przezroczyste ściany komórki.

3) *H. viridis* z młodemi Fig. 1. *g*.

Wszystkie te gatunki żyją w słodkich, szczególniéj w rzęsę obfitujących wodach. Drugi rodzaj zamieszkujący nasze stawy, o którym chcemy dać wyobrażenie czytelnikowi, jest *pióro* (*plumatella campanulata*). Należy on do rzędu *mchokrzewów*, ciało jego składa się z jednéj gałęzistéj, galaretowéj rurki, w któréj wnętrzu równie galaretowate, mające kształt osi, pojedyncze ciałko się znajduje. Na końcu każdéj gałązki znajduje się pierścieniowate zagłębienie, w którém jest siedlisko właściwego zwierza.

Niezmiernie trudno jest go wyśledzić, gdyż przy nadzwyczajnéj czułości posiada jeszcze zdolność cofania się do rurki i ukrywania we wspomnioném zagłębieniu.

Chcąc go dopatrzéć, należy wziąć pewną ilość rzęsy, umieścić ją w czystém naczyniu szklaném i oblać świeżą wodą. Po niejakim czasie polip zacznie wysuwać naprzód swoje piórka. Wtedy potrzeba wystrzegać się najmniejszego szmeru, nie dotknąć, broń Boże, stołu, nawet chodzić po pokoju nie należy, jeżeli chcemy ażeby obserwacya się udała. Po upływie pół godziny, czasem godziny dopiéro, polip całkowicie się ukazuje. Wkrótce daje się spostrzegać wir około otworu pokarmowego, który prawdopodobnie powstaje przez wciąganie i wyrzucanie wody, gdyż sam polip zupełnie spokojnie się zachowuje. W skutek tego wiru w blizkości znajdujące się przedmioty dostają się do pyska polipa i za pokarm mu służą.

Żywi się *pióro* nasionami rzęsy, które można widzieć w wielkiéj ilości poruszające się wewnątrz rurki. Zwierząt nie zjada, gdyż jeżeli, skutkiem ruchu wody, dostanie się jakie do pyska, to natychmiast wyrzuca je na zewnątrz.

Nadzwyczaj zajmującym i zadziwiającym jest dla badacza sposób rozmnażania się tego polipa. Włóżmy w tym celu piękną koralową łodygę do szklanki, to po upływie pewnego czasu rankiem łodyga zniknie, i tylko dadzą się widzieć w rozmaitych miejscach pojedyncze polipy z kawałkami głównéj łodygi. Część łodygi pozostaje obumarła niejaki czas w wodzie, i w końcu całkowicie się rozpływa. Uważając daléj te pojedyncze polipy, spostrzeżemy że przy łodygach jedna po drugiéj gałązki wyrastają, na których niezadługo młode polipy dają się widzieć. To odbywa się wciąż bardzo prędko, dopóki z pojedynczego żyjątka cały pień się nie utworzy.

Fr. L.....

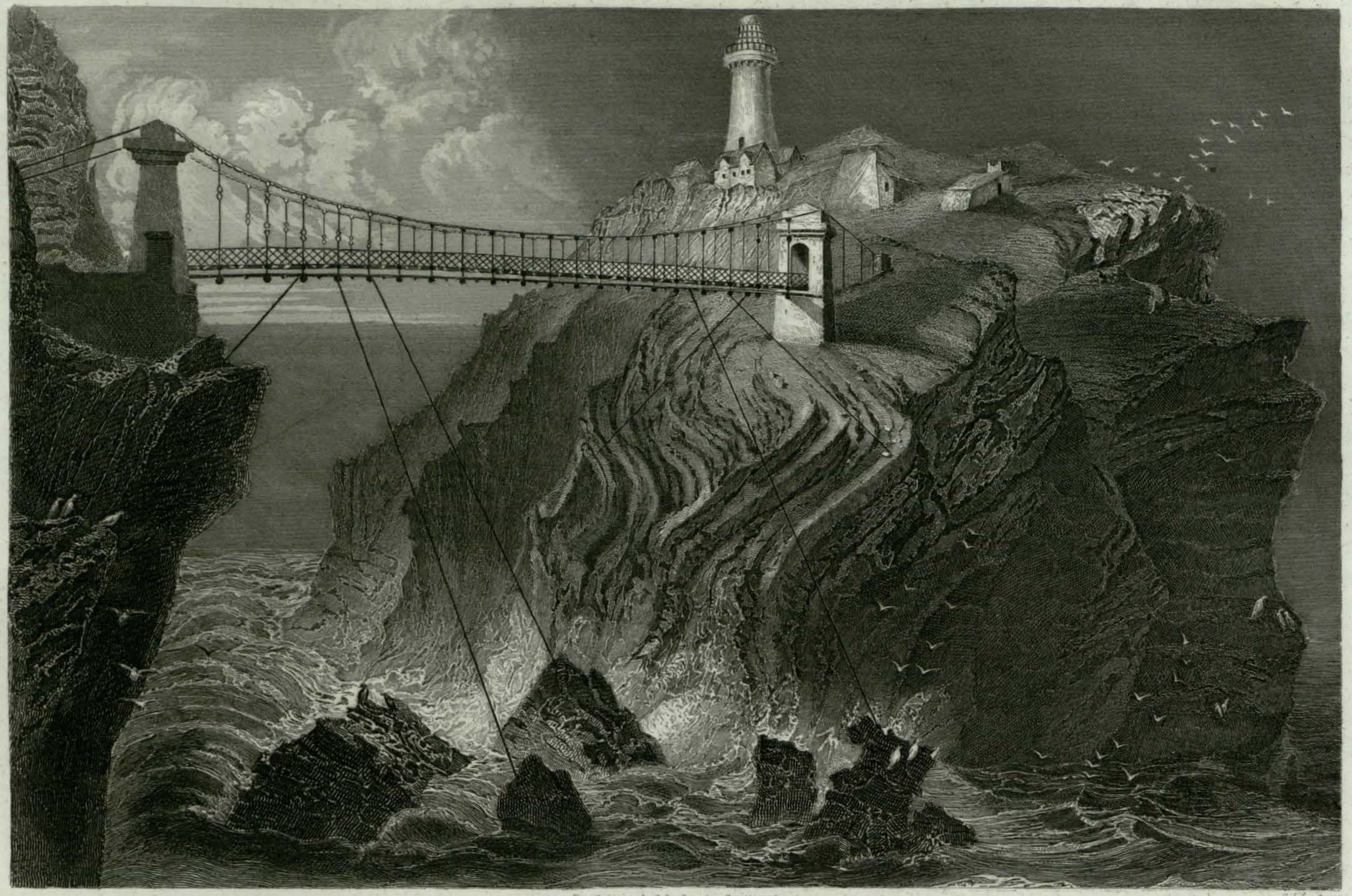

Druck von A. Schuler in Stuttgart. P. Wheeler sc.

Latarnia morska na Southstack

LATARNIA MORSKA NA SOUTHSTACK.

Wyspa Holyhead, na zachód hrabstwa i wyspy Anglesea, przedzielona od téj ostatniéj wązką cieśniną, tworzy część południową wielkiéj zatoki Holyhead i portu tegoż nazwiska, który tém większą ma ważność dla Anglii zachodniéj, że jako najbliższy Dublina, stolicy Irlandyi, jest ogniskiem pośredniém ruchu handlowego między tym krajem i Anglią.

Opasane skalistemi brzegami, w czasie burzy zagrażającemi rozbiciem, port i zatoka Holyhead były długo jednym z najniebezpieczniejszych punktów zachodniego pobrzeża Anglii. Mianowicie dwie strome, urwiste skały: Southstack na południe i Skerries na północ przesmyku prowadzącego do zatoki, przejmowały trwogą żeglarzów wód irlandzkich. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu okręty płynące do Holyhead przemykały się z trudnością pomiędzy rafami, i nieraz ginęły w przeprawie; bo fale morskie z tak wściekłą potegą roztrącały się o grzbiety skał podwodnych, że w ciemnych zwłaszcza i burzliwych nocach nie pomogła i najdokładniejsza znajomość hydrografii miejscowéj. Liczne więc ofiary pochłaniał corocznie żywioł zdradliwy, a żadne światło zbawcze, znak żaden nie wskazywał drogi żeglarzom, którzy przebywszy szczęśliwie ocean, wobec brzegu ojczystego śmierć nieraz znajdywali.

Późno dopiéro rząd angielski uznał konieczność udzielenia staranniejszéj opieki brzegom swym zachodnim i pomyślał jeśli nie o zupełném usunięciu, to przynajmniéj o zmniejszeniu niebezpieczeństw zagrażających tam żegludze i handlowi. Porozsadzano więc prochem skały, pozakładano wszędzie tamy portowe, latarnie morskie i sygnały. Baczność rządu zwróciła się wtedy i na zatokę Holyhead: urządzono obszérny port zewnętrzny, mogący w razie wojny pomieścić oddział floty, dla osłony nieobronnych brzegów; wzniesiono latarnie morskie na Southstack i Skerries, i tym sposobem starano się podnieść handel wyspy Holyhead, ubezpieczyć żeglugę i ułatwić drogę płynącym do portu tamecznego okrętom.

Najgroźniejszym punktem przesmyku prowadzącego do zatoki Holyhead jest właśnie przepływ obok wyobrażonéj na rycinie skały Southstack. Na tém urwisku, rzuconém jakby na pastwę rozhukanemu żywiołowi, w wysokości stóp 140 nad powiérzchnią morza, wystawiono r. 1809 pod kierunkiem kapitana Evans okrągłą latarnią morską, któréj zbawcze promienie szérokim światłokręgiem rozjaśniają zatokę. Aż do roku 1827 jedyną komunikacyą pomiędzy Southstack i przeciwległym przylądkiem Holyhead stanowił most linowy, który nieinaczéj przebyć można było, jak w koszach ciągnionych tam i napowrót. Późniéj dopiéro zbudowano silny, po dziś dzień istniejący most łańcuchowy, rozpięty malowniczo w wysokości stóp 70 ponad najwyższym stanem wody. Wspaniała ta droga napowietrzna, któréj główne łańcuchy głęboko są w skały wpuszczone, bezpieczną teraz i dogodną daje kommunikacyą między przylądkiem Holyhead a mieszkaniami dozorców u stóp latarni Southstack.

Widok ze skały, a bardziéj jeszcze ze szczytu wieży latarniowéj, najmniéj wrażliwą nawet wyobraźnią uderza swą wielkością. Pomimo starań usilnych nie zdołano na tym gruncie opoczystym żadnéj zaprowadzić uprawy. Jedynemi téż mieszkańcami Southstack, oprócz dozorcy latarni i przydanych mu do pomocy ludzi, są chmary ptastwa morskiego, które z krzykiem wrzaskliwym bezustannie siedziby swe okrąża.

KASZMIR.

Dolinę Kaszmiru Persowie w swoim poetycznym języku nazywają ziemią nieporównaną, a Indyanie doliną wiecznéj wiosny. W téj okolicy, niegdyś tak wspaniałéj, Tomasz Moore umieścił raj miłości Lalli-Ruk; z tego kraju pochodzą świetne tkaniny, zapełniające najwystawniejsze europejskie sklepy i zaprzątające my śli tylu młodych główek kobiécych.

Północna ta strona Indyj zwidzoną została przez bardzo małą liczbę Europejczyków. Opisało ją tylko pięciu podróżników, przedstawiając nam ten kraj kolejno w rozmaitych przemianach, w jego dawnéj pomyślności, w niewoli i głębokiém nachyłeniu się do upadku.

Piérwszym z Europejczyków który się przedarł do doliny Kaszmiru przez łańcuch gór otaczających ją ze wszech stron lodowatemi szczytami, był jezuita Piotr Ksawery, krewny świętobliwego missyonarza, któremu kościół nadał przydomek apostoła Indyj. W r. 1572., w dwadzieścia lat po śmierci swego nieustraszonego poprzednika, Piotr Ksawery wszedł do państwa Mogoła. Przyjęty dość łaskawie przez cesarza Akbera W-go zamierzającego wprowadzić nowe wyznanie, któreby połączyło wszystkie indyjskie sekty, wyruszył z nim razem do Kaszmiru; lecz opis jego podróży nie jest zbyt zajmującym.

Bliższą znajomość doliny Kaszmiru winna Europa Francuzowi Bernier. Młody, dręczony niespokojnością umysłu, która wyrywa człowieka z ciasnego koła powszednich losu kolei, odważny i uczony, Bernier posiadał wszystkie przymioty podróżnika, nie wyłączając chciwéj przygód ciekawości.

W 29 roku życia opuszcza Francyą, nie obrawszy sobie stałego kierunku, szczęśliwy podróżą w obce kraje, widokiem nowych miejsc, a oddając się chętce tułaczéj, przebiega najprzód Syryą i Egipt, następnie udaje się do Suraty, która wówczas była znakomitém miejscem handlowém. Ztamtąd dostaje się do Delhi, wchodzi jako lekarz w służbę chana Daneczmeda i w roku 1665 towarzyszy swemu panu do Kaszmiru. W tym czasie dolina Kaszmiru była w całym blasku swéj świetności. Władzcy Delhi wybrali ją sobie na letnią rezydencyą, zdobili ogrodami i wznosili bogate pałace. W corocznych wędrówkach towarzyszył królom nietylko zastęp oficerów i dworzan; postępowała za niemi cała armia i tysiące ludzi należących do służby, kupcy i dostawcy żywności, przewodnicy słoni i tragarze palankinów, rzemieślnicy i służący. Cała ta tłuszcza powoli przebywała wąwozy, spuszczała się z gór i rozléwała na dolinę, niosąc jéj świetność i bogactwa.

Daneczmed, który lubił nauki, ułatwił Bernier'owi sposoby poznania we wszystkich szczegółach miasta Kaszmiru i zwidzenia okolic, a Bernier, który, nie obawiając się zarzutu kłamstwa, mógł był utworzyć fantastyczne opowiadanie swoich wycieczek na téj ziemi nieznanéj, zostawił prosty i bezstronny opis, mający dla nas obecnie wartość historycznego dokumentu.

Smutno pomyśléć o zgonie tego zdolnego podróżnika, który tak użytecznie przepędził swą młodość. W r. 1670 powrócił on do Paryża i odrazu zajął miejsce w ówczesném wytwornem towarzystwie, w gronie ludzi ukształconych. Lecz jego męzki charakter, zahartowany trudami, niebezpieczeństwy dalekiéj podróży, zbyt był drażliwy na małe pociski, rzucane wpośród towarzystwa najogładzeńszego w świecie, wpośród bogatych przepychem salonów. Dwanaście lat przykrych niebezpiecznych podróży nie mogły zachwiać jego energii ani osłabić jego siły, a jeden epigrammat prezydenta d'Harlay, jak mówią, o śmierć go przyprawił.

W roku 1783 Jerzy Forster, urzędnik w służbie cywilnéj kompanii indyjskiéj, zwidził Kaszmir; ale nie znalazł tam już ani śladu owych pysznych uczt, widzianych przez Bernier'a. Raj wiecznéj wiosny, opanowany przez Afganów, jęczał pod jarzmem chciwego i okrutnego rządcy. Forster zostawił zajmujący opis swego pobytu w stolicy tego małego królestwa i ciekawe opowiadanie podróży, jednéj z najśmielszych jakie kiedykolwiek były przedsiębrane. Z Bengalu udał się przez Kaszmir i Kabul do morza kaspijskiego, a ztamtąd aż do Petersburga. W epoce téj północne Indye i Azya środkowa zalane były bandami rabusiów; ze szczątków cesarstwa wielkiego Mogoła utworzyło się mnóstwo państw udzielnych, słabych, niespokoj-

nych i podejrzliwych. Pod wschodnim ubiorem ukrywając swoje cudzoziemskie pochodzenie, zachowując wszędzie jaknajwiększą ostrożność, odważny podróżnik zdołał przebyć zdrów i cały, w ciągu jednego roku, tysiąc mil śród okolic najniebezpieczniejszych w świecie.

W 40 lat po Forsterze pewien angielski doktór weterynaryi, p. Moorcroft, wysłany przez swój rząd z missyą do Tybetu, przepędził dwadzieścia dwa miesiące w Kaszmirze, który właśnie wtedy podbity został przez Rundżit Singa. Ztamtąd wyjechał do Balkh i umarł w drodze. Dziennik podróży jego dopiéro w roku 1841 został wydany. Zawiéra on nader ważne wiadomości geograficzne o tych mało znanych okolicach i szczegóły ciekawe o nowo zaprowadzonym przez Sików w Kaszmirze rządzie.

W r. 1831 do tego odległego kraju, piérwszy raz opisanego przez Francuza, przybywa drugi podróżnik francuzki, Wiktor Jacquemont, którego prace zbogaciły dziedzinę nauki, a żywa i dowcipna korrespondencya słusznie zyskała ogólne powodzenie.

Ostatniém dziełem traktującém o dolinie Kaszmiru jest opis Wiedeńczyka, barona de Hügel, ze wszystkich dotąd znanych najwięcéj szczegółowy i rozwinięty, a tém samém najzupełniejszy. P. de Hügel nie ograniczył się na opowiadaniu rozmaitych wydarzéń swojéj podróży, na opisaniu ze znakomitym talentem miejsc które przebywał; przykładał się on cierpliwie do zgłębienia historyi Kaszmiru i skréślił ją podług kronik indyjskich i muzułmańskich, od niepewnego jéj początku aż do czasów najnowszych. Przeczytał i przejrzał wszystkie księgi dotyczące téj ziemi, zbadał obyczaje, charakter, rolnictwo przemysł narodowy, klimat, geologią i botanikę doliny i gór. Skutkiem téj pracy dobrze skierowanéj jest dzieło rzadkiéj sumienności, wyborna monografia poetycznego Kaszmiru.

Dolina Kaszmiru, położona pomiędzy 33° 40' i 34° 34' szérokości północnéj, a 74° i 75° długości, jest kształtu owalnego, od sześciu do cztérdziestu mil (francuzkich) széroka, a siedmdziesiąt pięć długa; cała zaś jéj powiérzchnia zajmuje tysiąc siedmset mil kwadratowych. Wzniesiona jest nad poziom morza na pięć tysięcy ośmset ośmnaście stóp. Jeden ze szczytów nad nią panujący ma 11,270 stóp wysokości, drugi 13,000, a trzeci więcéj jak 14,000 stóp.

Pochyłości tych gór pokryte są obfitą roślinnością, przecięte dolinami, w których rosną najwyborniejsze drzewa owocowe Europy: jabłonie, śliwy, morele i winokrzew zadziwiającéj wielkości. Tu i owdzie z wiérzchołka stroméj skały spada to huczący wodospad, to przejrzysty strumyk, którego srébrne wody poniżéj skrapiają pola ryżowe. W głębi doliny wznoszą się pałace dawnych królów, domy kupców, chatki rolników. Pałacyki sułtanów, niegdyś tak wesołe a teraz opustoszałe, przeglądają się w wodach jezior; krzewy różane rosną nad brzegami strumyków, a wkoło miast i wiosek rozciągają się pola obsiane ryżem. Niedaleko ztąd, na szczytach gór, panuje głęboka, spokojna samotność; tam lasy jeszcze nietknięte siekierą drwala, spadziste skały na których nie postała stopa ludzka, puszcze, gdzie nic nie słychać tylko szmer wody, brzęk owadów i śpiewy ptastwa.

W olbrzymiéj opasce gór przyległych, dolina Kaszmiru podobna jest do niezmiernéj sadzawki, otoczonéj skalistém cembrowaniem. Królestwo to jak szmaragd ukryte jest w pośród obszernych państw indyjskich. Jest to mały świat oddzielony od reszty świata, jakby dlatego ażeby samotnikowi u podnóża lodowych szczytów nastręczyć spokojny zakącik, a marzeniom miłosnym słodkie schronienie wpośród swych pól kwiecistych. Przybywa się doń przez kilka ciasnych wąwozów, a burze nie mają tam przystępu, tak jak w dolinach Alp i Pireneów. A jednak, gwałtowniejsze od wichru, straszniejsze od burzy, hordy chciwego żołdactwa napadały, niszczyły i zaléwały krwią tę oazę. Dzięki górom zasłaniającym zewsząd Kaszmir, tak że wody jego jezior są zawsze gładkie jak zwierciadło, mieszkańcy doliny mogą zimą i latem bez żadnéj przykrości nosić jednakową odzież. «Jeżeli ta ziemia, mówi p. de Hügel, nie jest według przesadzonego wyrażenia Indyan ziemią wiecznéj wiosny, to przynajmniéj jest jedną z okolic mających najzdrowszy i najprzyjemniejszy klimat.»

Rzecz pewna że dolina ta niegdyś była jeziorem. Wszystko to potwierdza: natura gruntu, rzeczy kopalne i podania ludowe. Starożytna muzułmańska legenda opiéwa, że Salomon kazał się geniuszom zanieść na górę przyległą Kaszmirowi; ztamtąd widząc całą płaszczyznę zalaną jeszcze wodami potopu, rozkazał jednemu ze swych sług magicznych, zwanemu *Kaszef*, osuszyć ją. Na oswobodzonym od wód gruncie drugi geniusz, zwany *Mir*, zbudował miasto, i z imion Kaszef i Mir, powiada legenda, utworzyło się nazwisko Kaszmiru.

Druga legenda powiada, że niegdyś na górze Solimana był pobożny pustelnik, pochodzący od Brahmy, zwany *Kasza*. Pustelnicy, gdy prowadzą życie pobożne, są ulubieńcami bogów i mogą czynić cuda. Kasza pewnego dnia z wielkim zapałem wzywał Matty, małżonki Liwy. Ukazała mu się i spytała czegoby żądał. «Zaklinam cię, odrzekł, ażebyś zamieniła to jezioro w ogród.» Matta prosiła Siwy o sprawienie tego cudu, a bożek, uderzywszy swym trójzębem w głębię jeziora, zrobił otwór, który pochłonął wszystkie jego wody.

Ponieważ trudno przypuścić aby taka massa wody, nie cudem już, ale drogą naturalną, mogła spłynąć, prawdopodobniejszém jest że dolina obeschła skutkiem stopniowego podnoszenia się gruntu. Takie jest zdanie pana de Hügel, a fakt ten potwierdzony został przez naukę i w innych miejscach kuli ziemskiéj. W ostatniém stuleciu Celsius i Maupertuis szukali przyczyny widocznéj zmiany poziomu wód na wybrzeżach półwyspu skandynawskiego. Dzisiaj Berzelius i Lyel spostrzeżeniami swemi dowiedli, że zmianę tę przypisać należy ciągłemu podnoszeniu się gruntu, które wynosi około jednego *aln'a* (półtoréj stopy) na lat sto.

Roślinność małego kaszmirskiego kraiku jest nader urozmaicona i obfita. Na wiosnę cała dolina pokryta jest kwieciem, a wioski, mówi pan de Hügel, znikają rzec można za krzakami róż. Godném jest także uwagi że tu nie widać mchów, co najpewniejszą stanowi oznakę suchości klimatu. Niektóre rośliny przypominają stronę podzwrotnikową, lecz większa ich część właściwą jest Europie, tylko że w silniejszym napotkać je tu można rozwoju. Wspaniałe cedry znajdują się w lasach leżących w bardzo wysokiéj strefie, t. j. na siedm tysięcy stóp nad powiérzchnia morza. Z pni ich wyrabiają belki na 50 stóp długie; a gdy w lecie powypuszczają pędy i pokryją się żółtym kwiatem, wyglądają jak pozłacane.

Jawor tęż samę ma wielkość i wspaniałość. Władzcy mogolscy kazali pozasadzać te drzewa w każdéj wiosce i przy wszystkich drogach, a pielęgnowanie takowych zastrzegli surowém rozporządzeniem.

W prywatnych ogrodach znajdują się owocowe drzewa wybornego gatunku, grusze i jabłonie rozmaitych rodzajów, granaty, brzoskwinie, morele, winokrzewy olbrzymiéj wielkości, wydające grona nieporównanego smaku. W polach uprawiają jęczmień, żyto, szafran, konopie i bawełnę.

Ryż jest głównym płodem krajowym, a Kaszmirczykowie uprawiają go zręczniéj i z lepszym skutkiem niż inne narody indyjskie. Zorawszy trzy razy grunt, rzucają weń nasienie przepłókane ze szczególną troskliwością i złożone w naczyniach glinianych; przez trzy dni potém napuszczają w brózdy wodę. Po tak zmiękczonym gruncie przepędzają woły i bawoły, ażeby nasienie wtratowały w ziemię: gdy się pole zazieleni, powtarzają przepędzenie trzody. W dziesięć dni potém roślina ukazuje się w większéj sile, a rolnicy pielą i wyrywają wszystkie pasożytne zielska. Dwa razy jeszcze przed żniwem ponawia się ta czynność, a skrapianie prawie co tydzień idzie swoją drogą. Mnóstwo strumyków spada z gór, to téż w czasach pomyślności Kaszmiru kanały we wszystkich kierunkach przerzynały dolinę. Większa ich część już teraz zapuszczona; jednak ryż, którego uprawa wymaga tak częstych skrapiań, jest jednym z głównych płodów Kaszmiru, bogactwem zamożnego, jedyném pożywieniem a czasem i schronieniem biédaka. Może kogo zadziwi wyraz *schronienie*, ale zaraz się z tego wytłumaczym. Po zżęciu, kłosy bywają trzy do cztérech dni wystawiane na słońce, potém wiążą je w snopy, a z tych snopów, nagromadzonych jedne na drugie, rodziny rolników budują sobie chaty z oknami i drzwiami zasłanianemi także przez snopy. Tam spoczywają, schronieni przed dészczem i zimnem, biorąc ze ścian swój chléb powszedni, w miarę potrzeby tocząc swoje mieszkanie, jak ów szczur La Fontaine'a swój sér holenderski, aż się zapadnie chata, aż nędza zmusi ich do sprzedania snopów stanowiących podwaliny tych domków.

Przemysł, który niegdyś wsławił dolinę Kaszmiru, popadł dziś w opłakane zdrętwienie. Wyrabiają tam jednak tkaniny jedwabne i bawełniane, słynną broń, papiér, który według p. de Hügel jest najlepszym z wyrabianych w Indyach, prześliczne drobiazgi lakierowane i essencyą różaną, bardzo poszukiwaną na Wschodzie.

Ze wszystkich atoli wyrobów przemysłowych najważniejszym jest kosztowna tkanina któréj Kaszmir nadał swoje nazwisko. P. de Hügel baczną na jéj wyrób zwrócił uwagę i ogłosił w tym względzie szczegóły zasługujące na przytoczenie. Piérwszy warsztat tkacki założył tu sułtan Sejnal-ud-Dien, a lud zachował pamięć o swoim tym dobroczyńcy. Corocznie fabrykanci szalów udają się

z processyą do grobu Sejnala i składają na nim wieńce z kwiatów. Tkaniny które dawniéj wychodziły z warsztatów kaszmirskich bardzo się różnią od teraźniejszych. Za czasów Berniera główną własność szalów stanowiło to, że były tak cienkie i delikatne, iż można je było, skręciwszy, przeciągnąć przez pierścień, ale najcieńszy nie kosztował więcéj jak pięćdziesiąt rupij. Dopiéro w końcu zeszłego stulecia postać ich zupełnéj uległa zmianie, a cena powiększyła się więcéj jak w dziesięcioro.

Materyał do tych kosztownych tkanin otrzymuje się ze szczególnego gatunku małych kóz szarych. Kozy te mają pod pokrywającą je sierścią rodzaj wełny zwanéj *paszmina*, podobnie jak ptaki północne pod piérzem mają puch nader delikatny.

Na wiosnę wyczesują tę wełnę grzebieniami, myją ją, bielą wodą ryżową a potém farbują. Kaszmirczykowie umieją jéj nadawać aż 42 rozmaitych kolorów. Zwykle szale bywają kupowane, albo raczéj zamawiane, przez kupców indyjskich i perskich, którzy wskazują ich rozmiar i kolory, i płacą z góry część jakąś ich wartości. Fabrykant każe wtedy rysownikom skréślić na papierze arabeski i palmy mające być wykonane w tkaninie. Każdy szal składa się z kilku lub kilkunastu oddzielnych części pozszywanych, a tych liczba zależy od komplikacyi rysunku. Po ukończeniu rzucają szal w wielki ceber, i dwóch lub trzech ludzi depce go nogami, skrapiając nieustannie świéżą wodą; potém maczają go w płynie pomięszanym z gummą i w końcu suszą. Gotowy już wyrób władza cechuje i naznacza cło w wysokości siódméj, a czasem piątéj, części jego wartości. Prócz tego fabrykant musi się okupić ludziom gubernatora, a nim przez Persyą lub kolonie angielskie szal taki dostanie się do Europy, nie jeden raz jeszcze ulega opłacie. Zdzierstwo to głównie wpływa na jego cenę, koszta bowiem wyrobu są bardzo nieznaczące.

Dwa zawsze jednakowe szale tkają jednocześnie, mówi p. de Hügel. Najpiękniejsze wymagają pracy dziennéj 24 robotników przez rok. Lecz najlepsi nawet robotnicy płatni są po dziesięć kopiejek dziennie, gdy tymczasem inni zarabiają tylko po trzy do cztérech kopiejek. Tak więc cały ich zarobek roczny wynosi około 800 rupij, (rupia znaczy niespełna 39 kopiejek). Wartość paszminy i malowania czyni 300 rupij, koszta warsztatu zaś można ocenić na dwieście rupij. Cały więc koszt wyrobienia dwóch bardzo pięknych szalów wynosi 1,300 rupij (około 500 rub. sr.), gdy tymczasem w sklepach europejskich cena każdego dochodzi wysokości niemal potrójnéj.

Skutkiem napadu i uciążliwego rządu Sików, którzy zubożyli dolinę Kaszmiru, skutkiem zaraźliwych chorób i głodu, które zdziesiątkowały jego ludność, wyrób szalów jest dziś zaledwo cząstką tego czém był niegdyś. Za czasów panowania Mogołów zajętych nim było sto tysięcy robotników. Dziś liczą ich nie więcéj jak 20,000, a ci dostarczają do handlu około trzech tysięcy szalów. Jednakże, pomimo wszelkich usiłowań zaprowadzenia gdzieindziéj tego przemysłu, nawet przy użyciu téj saméj wełny, tych samych robotników i sposobów, rzeczą jest pewną że tkaniny kaszmirskie zawsze będą większéj wartości od tych które wyrabiają w innych okolicach Indyj. Pan de Hügel przypisuje tę wyższość pewnym własnościom wód kaszmirskich.

Mieszkańcy Kaszmiru prócz szalów wyrabiają jeszcze z paszminy pasy, szarfy, tkaniny namiotowe i delikatne kobierce, ale tak cienkie, że niemogłyby służyć do mieszkania europejskiego. Przystoją ony tylko krajowi gdzie wchodzi się boso do domów, narodowi który bezczynność uważa za rozkosz, który w jedném ze swych przysłowiów powiada:

Lepiéj chodzić niźli biedz,
Lepiéj stać niźli chodzić,
Lepiéj siedzieć niźli stać,
Lepiéj leżeć niźli siedzieć,
Lepiéj spać niźli leżeć,
A najlepiéj w grobie ledz.

Nie każdy co chce może dostać się do samotnéj doliny Kaszmiru. Europejczyk przedsiębiorący taką wyprawę musi łączyć ze stałém postanowieniem silne zdrowie, a do tego zaopatrzyć się dobrze w pieniądze. Wyniosłych płaszczyzn Indyj, gdzie słońce pali żarem, dészcze całemi miesiącami leją bezustannie, góry pokryte są wiecznemi lodami, nie można przebyć bez narażenia się na jaką śmiertelną chorobę.

Raz przekroczywszy granice posiadłości angielskich, trzeba się poświęcić na przebywanie głębokich lasów i skał spadzistych, noga za nogą. Na obszérnéj téj przestrzeni niéma ani śladu drogi, a liche schronienia tylko zdala jedno od drugiego spotykać można. Prawie co wieczór, po utrudzającéj całodziennéj drodze, zniewolonym się bywa przepędzić noc pod gołém niebem, raz w nieznośną spiekotę, drugi raz w przejmujące zimno.

Trzeba się zaopatrzyć w namiot, żywność i prócz

tego mieć kilku służących. P. de Hügel, puszczając się w drogę, musiał wystarać się o tłumacza, kucharza, trzydziestu pięciu służących, sześćdziesięciu tragarzów i siedmiu mułów. Prawda że wynagrodzenie tych ludzi było tak skromne jak tylko być może: sześć do siedmiu franków na miesiąc dla piérwszych, dwa zaś franki dla reszty. (1) Lecz podróżnik długo musi zatrzymać tę gromadę służących, bo dziennie tylko kilka mil może zrobić, już w bambusowym krześle niesiony przez cztérech ludzi, już konno, a czasami i pieszo. Nawet mając dosyć pieniędzy niemógłby odbywać zamierzonéj podróży, nie będąc wspartym przez rozkaz panującego, polecający radżom i naczelnikom okręgów udzielać mu pomocy; gdyż Indyanie, jak tylko odbiorą zapłatę za kilka dni, mogącą ich wyżywić przez tydzień, do niczego nie wzdychają, tylko żeby się wymknąć od pracy i jak filozofowie używać jéj w pokoju. Bez powagi radży, cudzoziemiec mógłby się kiedykolwiek ujrzéć opuszczonym na środku drogi, bez muła do niesienia bagażów, bez człowieka któryby mu służył za przewodnika.

Wyruszywszy d. 10 października od brzegów Sułledży, skrapiającéj granice Sikków, p. de Hügel dopiéro 16 listopada przybył do podnóża gór panujących nad doliną Kaszmiru. W czasie téj pięciotygodniowéj podróży gdzieniegdzie tylko spotykał to nędzną mieścinę, to kilka wiosek zamieszkanych przez ludność biédną i lękliwą.

Na jego przybycie miejscami mieszkańcy wsi uciekali, nie wiedząc o tém że był spokojnym tylko podróżnikiem; to znów gromady młodych dziewcząt przychodziły tańczyć przed nim, żebrząc przychylnego spojrzenia i kilku groszy jałmużny. Mieszkanie, odzież, zwyczaje życia domowego i publicznego, wszystko jest tam jeszcze w stanie piérwotnym. Rzéki przebywają Indyanie siedząc na skórze bawoléj wydętéj powietrzem, jak na koniu, i trzymając się jedną ręką, drugą kierują ten osobliwy statek za pomocą wiosła. Fakiry obiérają sobie mieszkanie przy źródłach, do których zapraszają przechodniów, a żadnemu z panujących ani przez myśl nieprzejdzie przedsięwziąć jaką użyteczną dla kraju pracę.

Zdobywszy dolinę Kaszmiru, Rundżit Sing powierzył ją, według zwyczaju tureckiego, rządcom, którzy się zobowiązali płacić mu ogromną summę corocznie. Jeden z nich, Kirpah-Ram, objąwszy ten rodzaj autokratycznéj dzierżawy, miał płacić swemu monarsze dwadzieścia sześć laków (1) rupij, ale przez zdzierstwo zbiérał pięćdziesiąt. Rundżit-Sing odwołał go i zabrał mu jego skarby; lecz z tych nic się nie dostało nieszczęśliwym mieszkańcom Kaszmiru. Rundżit-Sing umarł, zbrodnia skrawiła jego tron zdobywczy, a niezgody stronnictw otwarły Anglii drogę do jego państwa.

Może ujrzymy kiedyś że Kaszmir podniesie się ze stanu smutnego poniżenia za pomocą kompanii indyjskiéj, i powoli odzyska pomyślność, która mu od losu zdaje się być przeznaczoną.

Ale gdy p. de Hügel zwidzał te strony, były ony nękane rozmaitemi klęskami i gnębione przez rząd nielitościwy. W r. 1827 pustoszyła je cholera, w 1833 głód. Mnóstwo ludzi umarło z wycieńczenia, wiele innych opuściło swe nędzne mieszkania i udało się za góry, w celu wyszukania sobie środków do życia. W takiém położeniu gubernator wymagał jeszcze od ludu opłaty szesnastu laków rupij podatku i kazał żołnierzom ścigać i chwytać wychodźców. Pewnego ranka, gdy siedział otoczony oficerami na tarasie swego pałacu, zkąd można było widzieć trupy leżące na ulicach i bielejące kości, przyszła mu myśl wypełnić miłosierny uczynek. Kazał zwołać ubogich i dać im jałmużnę.

Jedna kobiéta, okryta od głowy do stóp płaszczem, jak śmierć blada i tak osłabiona że zaledwie mogła się utrzymać na nogach, zbliżyła się z kolei. Gubernator podał jéj rupią; lecz biédna, wyciągając po nią rękę, padła zemdlona, a pod płaszczem, który się w téj chwili roztworzył, ujrzano poszarpane członki dziécięcia; było to jéj własne dziécię, które w napadzie głodu do połowy pożarła.

Taka to straszna nędza téj doliny, którą Indyanie nazywają rajem ziemskim. Miasto Kaszmir, niegdyś ulubione miejsce pobytu władzców Delhi, przedstawia ponury i złowieszczy widok. Pałace jego rozsypują się w gruzy, ogrody zarastają opuszczone. Dawniéj w dolinie liczono ośm kroć sto tysięcy mieszkańców; obecnie niéma ich więcéj jak dwakroć. Dawniéj znajdowali się tu ludzie tak bogaci, że podług legendy jeden z nich, gdy miał honor przyjmować u siebie cesarza Mongołów, wiedząc że swąd z oliwy jest dla niego nieprzyjemny, kazał dyamentami swój salon oświecić. Te-

(1) Musiémy tu zrobić uwagę że Indyanin nadzwyczajnie jest wstrzemięźliwy. Trocha ryżu wystarcza na jego pożywienie, a w urodzajne lata dziesięć funtów ryżu kosztuje trzy centymy.

(1) Lak, sto tysięcy rupij.

raz właściciel lub negocyant posiadający jeszcze cokolwiek pieniędzy, troskliwie je ukrywa i udaje ubogiego. Bankier do którego się p. de Hügel udał zmyślił wielki kłopot na widok okazanego mu weksłu i skarżył się że z wielką trudnością przyjdzie mu zgromadzić tysiąc rupij.

Jednakże, skoro tylko spokojny i nieszkodliwy charakter podróżnika zostanie poznany, lubią tu wypełniać względem niego starożytne gościnne zwyczaje. P. de Hügel opisuje drobiazgowo obiad jaki mu w Kaszmirze wydano. Jak w Kanadzie i Ameryce południowéj, tak i tutaj, nieraz mieszkaniec miasta udaje się sam do cudzoziemca i prosi o wyznaczenie dnia w którym będzie mógł miéć zaszczyt przyjmowania go u swego stołu. W oznaczonéj godzinie wysyła doń jednego z członków swéj rodziny, wraz z półtuzinem sług niosących pochodnie. Gospodarz, otoczony mnóstwem służby, przyjmuje go w progu domu i prowadzi przez całe mieszkanie na piérwsze piętro, do sali któréj podłoga zasłana jest kobiercem i białym muślinem. Główniejsi goście siadają na krzesłach, pośledniejsi na podłodze, a wchodząc, każdy z nich nie zapomina zdjąć pantofle. Po długich komplimentach siadają do stołu; najprzód piją kilka filiżanek herbaty, potém następuje obiad, składający się z wielu półmisków ryżu i pieczonéj zwierzyny; daléj stół zakładają mnóstwem świéżych i suchych owoców, melonów i kawonów. Uczta kończy się nową libacyą herbaty, podanéj w prześlicznych chińskich filiżankach.

Gdy gość okaże chęć odejścia, gospodarz daje znak i bierze z rąk służącego podarek który mu ma ofiarować. Bywają nim tkaniny paszminowe lub inne krajowe wyroby. Pewien turecki poeta powiedział: «Podarunki są to sznury i maszyny, które poruszają wszystkie interesa», a zdanie to doskonale da się zastosować do zwyczajów mieszkańców Kaszmiru. P. de Hügel utrzymuje, że aby tylko pochwalić jaki przedmiot, właściciel natychmiast prosi o jego przyjęcie. Za każdemi odwidzinami następują podarunki z jednéj lub drugiéj strony. Podwładny przychodzący do naczelnika ofiaruje mu kilka rupij, ten zaś podobny haracz opłaca swemu przełożonemu. Wspaniałomyślność krajowców tutejszych dla cudzoziemca nie ogranicza się na samém przyjęciu. Kaszmirczyk, któremu jaki podróżnik jest polecony, opłaca jednego ze sług cudzoziemca, aby go zawiadamiał o wszystkich życzeniach swego pana, i robi mu najmilsze niespodzianki. Jeżeli okaże gust do owoców, tegoż samego dnia znajduje je w swojém mieszkaniu; jeżeli przedsiębierze wycieczkę, w miejscu gdzie się ma zatrzymać na obiad zastanie go przygotowanym. Rzekłbyś że to czarodziejstwo, i rzeczywiście jest to czarodziejstwo gościnności, w okolicy która z natury należy do krain *Tysiąca i jednéj nocy*, a którą barbarzyński rząd tylko zubożył i wyludnił.

Kroniki indyjskie naznaczają czas panowania piérwszéj dynastyi królów Kaszmiru na 3714 lat przed Chrystusem. Podług nich kraj ten więcéj jak przez pięć tysięcy lat był pod rządem książąt indyjskich. W 1312 r. podbity został przez Mahometanów i pozostawał w ich ręku aż do r. 1819, w którym stał się zdobyczą Rundżit Singa.

Pięć wieków panowania muzułmanów zniszczyły w téj krainie wszystkie prawie ślady epoki indyjskiéj. Pozostało z niéj kilka tylko pomników odznaczających się ciężką budową, i kilkuset Indyan należących do kasty braminów. Łatwo ich rozróżnić po miedzianéj cerze i szczególnego rodzaju odzieży. Zresztą trzymają się oni piérwotnéj swéj wiary, zwyczajów narodowych, i jeszcze dotąd nader pobożnie wznoszą stosy dla biédnych wdów, poświęcających się na spalenie ze zwłokami swych mężów. Rundżit Sing chciał się oprzéć tym ofiarom kobiét, które przez tę śmierć dobrowolną nabywają honorowego tytułu *suti*, kobiéty cnotliwéj, lecz nie mógł tego dokazać. Jednakże zrobimy tu uwagę, że ofiara ta nie jest skutkiem zaciekłego zabobonu; częstokroć wynika ona z przyrzeczenia danego w pięknych wiosennych dniach miłości i jest rodzajem okupu za nabyte przywileje. Rzeczywiście, z powodu trwającego u Indyan wielożeństwa, żona która obowiązuje się nie przeżyć śmierci męża, otrzymuje przez to wyższość nad innemi żonami, a gdy mąż umrze, musi, pod karą hańby i wzgardy powszechnéj, dopełnić swego zobowiązania. Żadna téż, przyznać należy, nie cofa się przed tą nieszczęsną koniecznością.

Jak tylko mąż wyda ostatnie tchnienie, żona która się z nim związała tym straszliwym ślubem, bierze naczynie z wodą i wyléwa ją sobie na głowę. Jest to znak poświęcenia. Wtedy zgromadzają się u niéj braminowie, krewni i przyjaciele, odmawiają modlitwy i odprawiają rozmaite obrzędy; ofiara otrzymuje przydomek *suti*, i każdy na nią spogląda z bojaźliwém uszanowaniem. Po południu prowadzą ją w processyi do łaźni, skrapiają wo-

niami, malują twarz szafranem, a następnie okrywają muślinową zasłoną, i od téj chwili uważana jest za świętą, nic już z ziemią wspólnego nie mającą. Tylko braminowie mogą się jéj dotykać; każde inne dotknięcie byłoby świętokradztwem. Do godziny w któréj ma wypełnić swą ofiarę siedzi ona nieporuszona przy trupie męża, a lud radzi się jéj jak wyroczni. Ogólném zdaniem braminowie, dla utrzymania jéj w obojętności, dają ofierze opium; ale i to pewna, że nawet bez uciekania się do podobnych sposobów może ona zachować zupełną spokojność umysłu przez uczucie religijne, przez nadzieję szczęścia bez granic oczekującego ją na tamtym świecie.

Tymczasem układają stos ze snopów słomy i robią z nich nad stosem rodzaj baldachinu. O zachodzie słońca *suti* wyrusza w towarzystwie dwóch braminów, poprzedzona huczną muzyką; za nią cisną się niezliczone tłumy. Trzymając pochodnię w ręku, zbliża się do rusztowania na którém umieszczono ciało zmarłego jéj męża pod żółtym kobiercem potrząśniętym kwiatami. Wstępując na stos, sama go zapala; jednocześnie wielu z obecnych, wydając głośne okrzyki, podpala go naokoło. Wkrótce widać już tylko gęste kłęby dymu, potém wybucha ogień, a w kilka sekund ofiara dopełniona. Nazajutrz rano zbiérają szczątki nieszczęśliwéj i składają je pod nagrobkiem na kilka stóp wysokim, wzniesionym przez krewnych.

Oprócz tych kilkuset Indyan, ludność cała jest muzułmańska. Jest to rasa nakazującéj piękności, włosów czarnych, cery rumianéj, zbyt muszkularna jednak aby mogła być wdzięczną dla oka. Znajduje się tam klassa robotników-tragarzów, o sile których p. de Hügel opowiada zadziwiające rzeczy. Ludzie ci, za całe pożywienie mający trochę ryżu, przedsiębiorą najprzykrzejsze pośród gór podróże, niosąc na ramionach ciężary pod któremi i muł by nie wytrzymał.

Podróżnik wiedeński w ogólności chwali przymioty plemienia kaszmirskiego, któremu Bóg dał tak piękną ziemię, a tak nieludzkich zdobywców. «Jest to, powiada on, lud dobry i uczciwy, pojętny i pracowity, przyjmujący chętnie cudzoziemca i pragnący mu być użytecznym. W cierpieniach niewoli zachował on zamiłowanie do śpiewu i tańca. Wrażenie jakie *improvisatore* neapolitański wywiéra na tłum lazaronów, wrażenie bajarza arabskiego na gromadę wielbłądników w czasie odpoczynku ich wieczornego, nie mogą iść w porównanie z uczuciem jakiego doznaje mieszkaniec Kaszmiru gdy *kanczani* (bajaderka) zacznie opowiadać miłostki Andama i Durczani. Powiadają że w takiéj chwili, gdyby mu nawet porywano żonę i dzieci, nieopuściłby swego miejsca przed końcem poetycznéj bajki która go czaruje. Te tradycyjne spiewy, to jego pociecha; te tancerki, co za kilka sztuk drobnéj monety w muślinowych sukniach kręcą się przed nim, to jego zbytek. Zresztą wstrzemięźliwość jego niéma sobie równéj na całym świecie: kawałek strzechy, trocha ryżu wystarczają mu jak ptakowi." P. de Hügel obliczył, że za sto franków rodzina z siedmiu złożona osób może przez cały rok utrzymać się wygodnie.

Jakim sposobem z taką siłą fizyczną jaką go natura obdarzyła, z takiém umiarkowaniem w potrzebach materyalnych, naród ten dał się podejść i podbić w swéj dolinie otoczonéj lodowatemi górami i skałami? Na to pytanie odpowiedzieć chyba można, że męzkie i dumne uczucie niezawisłości nie ożywia ludów na Wschodzie w takim stopniu jak na Północy. Sikkowie nadto, przebywszy wąwozy Kaszmiru, znaleźli naród od pięciuset lat gnębiony przez Mongołów. «Jakkolwiek smutnym jest, mówi p. de Hügel, widok rozsypujących się w gruzy gmachów, które niegdyś zdobiły tę stronę, widok upadku téj nieszczęśliwéj ludności i spustoszenia żyznych równin, radośnie jednak wznosi się myśl ku téj niezmiennéj potędze, co taką obdarzyła je świetnością. Szlachetne piętno, które tu Bóg wycisnął, nie może uledz zniszczeniu. Niech człowiek ukazuje się w łachmanach i nędzy, niech świątynie i pałace w proch się rozsypują, niech żyzne pola będą nieuprawne i opustoszone: doliny i góry zachowają swą piękność wieczną, niezatartą. Snieżyste wiérzchołki wznoszą się w swéj zawsze młodéj wspaniałości, przejrzyste źródła tryskają z podnóża gór, wodospady rozpryskują się na skałach. Człowiek w nieskończoném działaniu natury jest tylko przechodniém narzędziem, a wszelkie zabiegi jego niedojrzanym w księdze wyroków Opatrzności rysem.»

2.

1.

3.

ŻÓRAWIE.

Rodzaj ten obejmuje ptaki znane w najgłębszéj starożytności, odznaczające się wielkością ciała, wyniosłą postawą i długiemi podróżami, które corocznie odbywają.

Cechy tego rodzaju są następujące: dziób zwykle dłuższy od głowy, silny, prosty, ściśniony, w końcu przedłużonym stożkowaty, szczęka nożowata, z obu stron głęboko brózdowana. Nozdrza przyśrodkowe, wklęsłe, jajowate, na przestrzał otwarte, w brózdach umieszczone. Wiérzch głowy u jednych nagi, brodawkowaty, u innych czubem ozdobiony. Nogi podkasałe, przedłużone, kształtne, palce prawie wolne, przy nasadzie wązką błoną spięte, naokoło zaś obrąbione, łuszczkami pokryte. Wielki palec nie dotyka ziemi, pazury dość szérokie, krótkie, przytępione.

Główniejsze gatunki jego są następujące: 1) *żóraw' grzebieniasty* (grus carunculata), 2) *żóraw' łysy* (g. antigone), 3) *żóraw' biały* (g. leucogerana), 4) *żóraw' czarnoszyjny* (g. collaris), 5) *żóraw' białokarczysty* (g. leucauchen), 6) *żóraw' białoszyjny* (g. monacha), 7) *żóraw' pospolity lub popielaty* (g. cinerea), 8) *żóraw' koroniasty* (g. pavonina), 9) *żóraw' rajski* (g. paradisea, 10) *żóraw' stepowy* (g. virgo), 11) *żóraw' amerykański* (g. americana), 12) *żóraw' kędziorzysty* (grus v. heron agami).

Ten ostatni gatunek liczono dawniéj do rodzaju czapli, dopiéro *Chenu* w najnowszych czasach, z tego powodu że posiada on na głowie czub szczeciasty i przód głowy piórkami aksamitnemi kutnerowatemi pokryty, co go zbliża do gatunku *g. pavonina*, przyłączył go do rodzaju żórawi.

Opiszemy tu niektóre tylko gatunki, z zastosowaniem do litografij obok załączonych, a damy najprzód choć pokrótce ogólne wyobrażenie o obyczajach i sposobie życia całego rodzaju.

Żórawie żyją w stadach lub parami, zamieszkują pospolicie miejsca wilgotne i błotniste, szczególniéj zaś ujścia rzék i brzegi mórz. Gnieżdżą się pod krzakami, pomiędzy trawą i sitowiem, a niekiedy nawet pod dachami opuszczonych domostw. Samica znosi dwa elipsoidalne jaja znacznéj wielkości, koloru oliwkowego, jasno-brunatnego, albo rudawo-popielatego, z ciemniejszemi brunatnemi lnb oliwkowemi plamkami. Oboje wspólnie, samiec wraz z samicą, ponoszą trudy wysiadywania i wyżywiania swych dzieci, które nie opuszczają dopóty gniazda, dopóki całkowicie nie usposobią się do lotu.

Pojedynczo lub w parach spotkane nie są zbyt trwożliwe, dają się dość blizko podejść, a nawet gdy im się zdaje że jakie zwiérzę lub człowiek chce wyrządzić krzywdę ich dzieciom, rzucają się nań z wielką odwagą. Lecz w stadach okazują niezmierną bojaźliwość, tak że obecność człowieka, w takiéj odległości iż go zaledwie dojrzéć mogą, skłania je do bezzwłocznéj ucieczki.

Podróże żórawi mają miejsce zawsze w tym samym czasie i w tym samym kierunku, to jest z północy na południe i z południa na północ. Zadziwiającym jest instynkt, którym powodowane przeczuwają najdokładniéj czas zbliżającéj się podróży, a równie godnym jest uwagi porządek jaki panuje w całym ich polocie. Zwykle jeden z najsilniejszych i najroztropniejszych, a więc najstarszych, samców prowadzi całe stado, które pospolicie uszykowane jest w trójkąt. Gdy mu sił zabraknie, zajmuje jego miejsce inny, taki mianowicie, który najgodniéj potrafi go zastąpić. Całe stado okazuje ślepe posłuszeństwo swojemu wodzowi; ten co chwila wydaje głos wezwania, na który mu wszystkie inne odpowiadają. Tęskne te głosy, dochodzące do nas z pod obłoków, przy cichéj i pogodnéj nocy, nader miłe czynią wrażenie na słuchaczu.

W pewnych czasach całe stado spuszcza się na ziemię, dla wypoczynku i posilenia. Wtedy pospolicie jeden ze zgromadzenia stoi na straży i przestrzega swoich towarzyszów o grożącém niebezpieczeństwie.

Niektóre gatunki cechują się szczególnemi obyczajami; weźmiemy za przykład *żórawia rajskiego*. Przybywa on na południe Rossyi w początku marca, w stadach 200—300 sztuk w sobie mieszczących. Stanąwszy u kresu podróży, stada pozostają zwykle jakiś czas razem, a nawet wtedy gdy już się podzielą na pary, zbiérają się wszystkie w jedno miejsce rano i wieczorem, dla wprawiania się do życia towarzyskiego i zabawiania tańcem. Na ten cel wybiérają stosowne miejsce w stepach, najczęściéj płaskie brzegi strumienia. Tam wycią-

gnąwszy się w linią długą i prostą, z jednéj albo z obu stron brzegu, rozpoczynają swoje zabawy i oryginalne tańce, których opowiadanie zdawałoby się bajeczném, gdyby nie było potwierdzoném przez ludzi zasługujących na wiarę. Tańczą ony i skaczą naokoło siebie, kłaniają się sobie nawzajem, podnosząc szyję, prostując pióra otaczające gardło i do wpół rozpuszczając skrzydła. Inna część tymczasem odbywa gonitwy; przybywszy do mety, zapaśnicy wracają poważnie, reszta zaś towarzystwa wita ich krzykiem i ukłonami, które nawzajem od nich odbiéra. Zabawiwszy się przez pewien czas tym sposobem, wznosi się całe stado w powietrze, i zwolna poruszając skrzydłami, zakréśla rozmaitego rodzaju linie krzywe. Po kilku tygodniach te zabawy się kończą, i od téj pory stale pojedynczo lub w parach tylko widziéć się dają.

Można wnioskować że ptaki tak skłonne do towarzystwa, łatwe być muszą do oswojenia. Pod tym względem najwięcéj zasługuje na uwagę *żóraw' kędziorzysty*. Zdaje się on od natury przeznaczonym na towarzysza człowieka, nietylko bowiem łatwo się oswaja, lecz podobnie jak pies może się usposobić do czynienia mu wielu posług. Przywiązuje się on do swego pana, tak że go ani na chwilę nie odstępuje, wszędzie mu towarzyszy, przyjmuje jego pieszczoty i nawzajem mu je oddaje, a nawet okazuje pewną zazdrość ku tym, którzy je z nim dzielą. Nie boi się ani psa, ani kota, i ma szczególną przyjemność drażnić się z niemi. W tym celu, aby uniknąć ich baczności, wznosi się w górę, a potém spuszcza się nagle i silnie uderza je dziobem; okazuje przytém pewien rodzaj zadowolenia, gdy je do ucieczki zmusi. Osoby przez długi czas zamieszkałe w Kajennie zapewniają, że często tam żórawiowi kędziorzystemu powierzają stado młodych indyków lub kaczek, które on zrana prowadzi z mieszkania na pastwisko, czuwa nad niemi przez cały dzień, a na wieczór przypędza do domu. W podobny sposób widziano go w niektórych miejscach dozorującego stada owiec. Na podwórzu folwarczném odgrywa on rolę rzeczywistego i nikomu niepodległego władzcy, a szczególniéj zachowuje swoje zwiérzchnictwo nad wszystkiemi ptakami domowemi Co rano wypędza on je regularnie na pole, a wieczorem znowu zmusza do powrotu.

Mnóstwo mamy dowodów przekonywających o niepospolitéj roztropności tego ptaka, które potwierdzają mniemanie jednego z najznakomitszych naturalistów krajowych, że zwierzęta właściwe, oprócz instynktu, posiadają jeszcze zdolność myślenia i rozumowania, dotychczas samym ludziom przyznawaną.

Prawda to nie małéj wagi, gdyż przyjęcie jéj skłoni nas do uznania, że nie sam rozum, ale miłość i poświęcenie powinny cechować człowieka.

Przystępujemy teraz do opisania po szczególe trzech gatunków na obok załączonéj tablicy przedstawionych.

Żóraw' pospolity (grus cinerea), fig. 1. Jest to ptak bardzo okazały, nietylko ze względu na swą wielkość, ale i z piękności piérza. Dziób ma czarno-zielonawy, źrenicę czerwoną, nogi czarne, stopy szare. Przednia część głowy pokryta mocnemi, czarnemi włosami, tylna zaś przedstawia miejsca nagie, czerwone, brodawkowate, niekiedy rzadkim włosem porosłe. Od oczu przez uszy idą szérokie smugi białe, w tyle karku z sobą połączone. Całe ciało pokryte piérzem popielatego koloru. Długość od końca dzioba do końca ogona wynosi 3'4"—3'8" szérokość zaś 6'6"—6'10," licząc w to i długość skrzydeł.

Jednoroczny ptak ma daleko mniéj piękną barwę; kolor popielaty nie jest tak czystym, czarny nie tak ciemnym jak u starych, dziób blado-żółty. Samica znacznie mniejsza od samca, lecz w piękności mało mu ustępuje.

Żóraw' pospolity zamieszkuje większą część północnéj Europy; rzadko odwidza Anglią, Hollandyą, północno-wschodnią Afrykę, wcale zaś nie pokazuje się w Norwegii. Do nas przybywa w piérwszych dniach kwietnia, a w końcu sierpnia i przez cały wrzesień odlatuje.

Jest on nadzwyczajnie roztropny, a z tego powodu bardzo bojaźliwy. Spoczywające stado, skoro dojrzy, choćby w największéj odległości, człowieka, podnosi się niezwłocznie do takiéj wysokości, że z najdoskonalszéj broni nie może być dosięgniętém. Skoro stado żórawi zapadnie, stawia jednego z pomiędzy siebie na warcie, który przechadza się zwolna, pilnie uważając całą okolicę, a ujrzawszy jakiekolwiek niebezpieczeństwo, wydaje głos przestrogi, którym skłania swoich towarzyszów do rychłéj ucieczki. Z tego to powodu żóraw' za godło czujności bywa uważany. Podanie głosi, że będąc na warcie trzyma on w podniesionéj nodze kamień. Gdy zaśnie ze znużenia, upuszcza ten kamień, który padając przebudza go i tym sposobem przymusza do gorliwego pełnienia obo-

wiązku. Zapewne zwyczaj żórawia spania na jednéj nodze stał się podstawą téj bajeczki, która jest tylko dowodem całkowitego braku znajomości ornitologii ze strony tego co ją piérwszy w świat puścił, jak równie tych co ją powtarzają. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że ścięgna nóg u ptaków, poczynające się przy samém ich wczłonkowaniu i przechodzące aż do palców, posiadają tę szczególną własność, iż samym ciężarem ciała wszystkie palce do kupy ściągają.

Żóraw' ma królewską postawę, tak w chodzie jak w locie. Idąc trzyma się prosto, mało zgina nogi i kroczy z pewnemi przystankami. Zarówno wspaniale przedstawia się w locie; pospolicie wolno porusza skrzydłami i z nadzwyczajną lekkością przerzyna powietrze. Często nawet unosi się bez poruszania skrzydłami, mianowicie wtenczas gdy ciągnące stado ma chęć zatrzymać się, albo gdy spędzone chce tylko niebezpieczeństwa uniknąć i na to samo miejsce powrócić.

Gdy lot jest pospieszny, wtedy trwa dzień i noc, prawie bez odpoczynku, przyczém jednak ważne jakieś zjawisko często przez długi czas całe stado jest zdolne zatrzymać. P. Brehm (ojciec) opowiada, że w czasie pożaru jednéj z przyległych jego miejscu urodzenia wiosek, widziano całe stado żórawi, przez długi przeciąg czasu z krzykiem latające w około płonących chat, tak jakby z przerażającém widowiskiem rozdzielić się nie mogło.

Jako zadziwiający dowód roztropności i czułości tego ptaka może służyć co pisze do przyjaciela baron von Seifertitz na Ahlsdorf o przyswojonym pospolitym żórawiu.

Pan baron von Seifertitz wybrał dwoje młodych żórawi, które starannie wyhodował. Piérwsze opowiadanie o nich jest z roku 1822:

«Para ta (samiec i samica) okazywała niezwykłe do siebie przywiązanie. Skoro przypadkiem przez chwilkę zostały rozdzielonemi, objawiały wielką niespokojność, i jedno wciąż szukało drugiego, dopóki się nie znalazły. Wtedy była tak wielka radość, że opisać jéj niepodobna.» Następne opowiadanie jest z r. 1823; zamieszczamy je tu w skróceniu:

«Pisałem panu w ostatnim liście o zachowaniu się, a szczególniéj o roztropności tych ptaków. Przymioty te dosięgły w krótkim czasie najwyższego stopnia rozwinięcia, tak że wywoływały podziwienie we wszystkich którzy te stworzenia widzieli. Obawa ludzi całkowicie w nich zniknęła. Znały ony dokładnie wszystkie tutejsze domostwa i nie zaniedbywały codziennie oddawać wizyt ich mieszkańcom, za które często dostawał im się jakiś przysmaczek do zjedzenia. Bez trwogi wchodziły do wewnętrznych pokojów naszych mieszkań i jadały z jednego talerza z wielkim kundlem podwórzowym. Kazałem je trzy razy na dzień karmić. Ten czas znały ony doskonale, stawiały się nań punktualnie i przez głośny krzyk oznajmiały swoje przybycie. Gdy zbyt długo nie podawano im pokarmu, szły do kuchni, stawały przy ognisku i czekały dopóki im stołu nie zastawiono. Na przechadzce biegały za mną jak psy, czasem unosiły się na chwilę w górę i znowu powracały, aby mi daléj towarzyszyć.

«Ale wielkie nieszczęście spotkało kochającą się parę: jakiś niegodziwy człowiek złamał skrzydło samcowi. W czasie kuracyi samica smutna przez cały dzień czuwała nad chorym towarzyszem i zaledwie na chwilę, aby przyjąć pokarm, go odstępowała. Jeżeli zaś kto zbliżał się do ich schronienia, stawała przy chorym i nikogo doń puszczać nie chciała.

«Zaledwie samiec wyzdrowiał, podobny, ale daleko okropniejszy, los spotkał samicę, gdyż oprócz złamania skrzydła, wiele innych ran otrzymała, w skutek których, pomimo najtroskliwszych starań, po kilku dniach zdechła. Trudno wyobrazić sobie rozpacz samca po téj stracie. Wydając do głębi poruszające głosy żalu, chodził on naokoło niéj i podejmował wszelkie starania aby ją do życia powrócić. Chcąc skrócić jego cierpienia, kazałem go oddalić i trupa wynieść. Skoro tylko puszczono go na wolność, natychmiast pobiegł do komórki i zaczął wyszukiwać jéj po wszystkich zakątkach, a gdy to było bez skutku wyszedł na pole i przez parę dni nie pokazywał się, tak że uważałem go już za straconego.

«Po trzech dniach téj nieobecności powrócił nareszcie smutny i znękany, i nic go do dawnéj wesołości pobudzić nie mogło. Nieporuszony stał ustawicznie na jedném miejscu, a gdy go postraszono rózgą, ustępował z podwórza i chronił się do komórki, zkąd przy najprzyjaźniejszéj nawet pogodzie nie wychodził.

«Tęsknota tego czułego ptaka jeszcze bardziéj wzrosła za nadejściem zimy. Zamyślałem na wiosnę zastąpić jego stratę, dodając mu młodą samiczkę. Nim jednak zdołałem uskutecznić ten zamiar, spostrzegłem że sam wynalazł sobie nowego przyja-

ciela. Tym, wybrańcem co potrafił zjednać sobie jego współczucie, był poprostu wół roboczy tutejszego folwarku. Jakim sposobem ta przyjaźń powstała, tego niewiem, dość że w krótkim czasie stosunki były bardzo ścisłe. Towarzyszył on wszędzie swojemu rogatemu przyjacielowi i okazywał mu jakiś rodzaj głębokiego poszanowania. Gdy z wiosną przelot żórawi się rozpoczął, objawiał wielką niespokojność, co zwykle daje się widzieć na przyswojonych ptakach. Ciągnące stada wabił swoim silnym głosem, na co ony mu odpowiadały, i często miéwał nawet z niemi wieczorne posiedzenia. Kilkakrotnie widziano go w tém towarzystwie, i co dość dziwna, dzikie spokojnie względem niego się zachowywały. Raz jednak pomiędzy nim a parą dzikich wszczęła się żwawa sprzeczka; zrazu bronił się on odważnie, ale gdy tym dwom trzeci przyszedł w pomoc, znalazł się bardzo roztropnie, porzucając przeciwników i chroniąc się na dziedziniec przed ich pogonią.

«Następnie zaprzyjaźnił się z dziką samicą, która przez kilka tygodni z nim się nie rozdzielała. W krótkim czasie tak się ona oswoiła, że na 40 kroków mogłem się do niéj zbliżyć; kilkakrotnie nawet widziano ją przechadzającą się w tutejszym ogrodzie o 60 kroków od okien. Stosunki te jednak niezadługo się skończyły, gdyż, w skutek rozpoczynających się robót w ogrodzie, dzika samica tak była niepokojoną, że w końcu porzuciła swego przyjaciela.»

Tyle o obyczajach żórawia pospolitego. Moglibyśmy tu jeszcze wiele innych ciekawych opowiadań przytoczyć, ale sądzimy że i te wystarczą aby przekonać czytelnika o wysokiéj pojętności i roztropności tego ptaka.

Żóraw' pospolity jest wszystkożernym, do czego budowa jego żołądka jest odpowiednią. Zjada on trawy błotne, ich korzenie, nadto żaby, salamandry, jaszczurki, owady i robaki, a na wiosnę szczególniéj rośliny groszkowe i świéżo zasiane, albo już wyrastające, zboże. Ztąd téż ogromne na polu wyrządza szkody w miejscach gdzie zimuje, i tylko niezrównana żyzność krajów podrównikowych może pokryć do tyla tę stratę, że ludzie jéj nie czują.

Rozmnaża się na małych wysepkach pomiędzy błotami i bagnami trzciną zarosłemi położonych. Buduje ogromne gniazdo z materyałów roślinnych, w miejscach niedostępnych dla ludzi i składa w niém dwa podłużne, nieco połyskujące jaja, koloru szaro-brunatnego, oleisto-brunatnemi plamkami pokryte.

Polowanie na żórawia pospolitego jest bardzo trudne i tylko przy pokonywaniu wielu trudności, przy użyciu wielu fortelów zaledwie kilka sztuk można położyć.

Nieprzyjaciołmi dla młodych są: orły, jastrzębie i inne drapieżne ptaki; stare, oprócz człowieka, jednego tylko mają nieprzyjaciela, a tym jest krokodyl.

Mięso tego żórawia stanowi w Afryce bardzo szacowny, smaczny i pożywny pokarm.

Żóraw' rajski (grus virgo v. anthropoides virgo), fig. 2. Kolor piérza na całém ciele popielato-czarny; boki głowy, széroki pasek nad uchem, cała przednia i większa połowa tylnéj części gardła są przepysznie czarne. Główną ozdobę ptaka, będącą źródłem jego łacińskiéj nazwy (g. virgo) stanowi warkocz. Ten składa się z piór śnieżnéj białości, wązkich, długich, które tworzą pasek rozciągający się od oka aż na tył głowy.

Długość żórawia rajskiego wynosi 2'8"—9" z czego na ogon 6" a na dziób 2"7"'—9"' przypada. Ojczyzną jego Afryka południowa. W obyczajach swoich, roztropności, sposobie żywienia i rozmnażania się, zupełnie podobny do żórawia pospolitego.

Żóraw' koroniasty (g. pavonina v. balearica pavonina), fig. 3. Całe upiérzenie czarno-popielate, skrzydła białe, barkówki czerwono-kasztanowate, nogi czarne. Długość jego wynosi 3½ stóp paryzkich, szérokość wraz ze skrzydłami 6 stóp. Przednia część głowy czarna, aksamitno-kutnerowatemi piórkami pokryta; policzki nagie, a pod dziobem dwa wyrostki mięsiste, czerwone. Źrenica srébrzysto-biała. Na głowie czub rozpierzchły, z cienkich piórek 4" długich, do szczeciny podobnych, złożony. Stanowi on główną ozdobę ptaka i zapewne stał się powodem do nazwy niemieckiéj *Königskranich*.

Samica jest znacznie mniejsza od samca, lecz mało mu ustępuje w piękności ubarwienia.

Żóraw' koroniasty zamieszkuje środkową Afrykę; różni się wiele w sposobie życia od innych gatunków. Tamte są więcéj błotne i nigdy na drzewach nie siadają, gdy ten przebywa w suchych miejscach, a sypia i gnieździ się na drzewach.

Do wody zbiérają się ony w wielkich towarzystwach, gdzie podobne jak żóraw' kędziorzysty wykonywają tańce. P. Brehm zauważył że je rozpoczynają pospolicie wtedy, gdy jakie niezwykłe zjawisko zwróci ich uwagę, albo gdy nowy towarzysz

do nich przybędzie. Nad wieczorem całe stado odlatuje do lasu na nocleg. Tam niezmiernie łatwo je podejść, zwłaszcza w nocnéj porze, a ponieważ nie lękają się wystrzałów, można więc bić tyle sztuk ile się podoba.

Głównem ich pożywieniem jest zboże; oprócz tego zjadają owady, pączki drzew, owoce, końce traw i muszle.

Fr. L....ki.

MECHANIKA POPULARNA [1].

I. MASZYNY PAROWE.

Czyny człowieka świadczą o jego sile duchowéj, a dzieje jego narzędzi są dziejami jego oświaty. Natura opatrzyła bronią prawie każde zwiérzę: ciało jego albo porośnięte jest włosem, piérzem, uzbrojone rogiem albo łuską; może sobie kopać nory w skorupie ziemskiéj, w drzewie i skałach dla schronienia się przed burzą i słotą, a skutkiem swojéj szybkości może uciekać przed napadającym go nieprzyjacielem; tylko człowiek jest bezbronnym, bez pomocy, bez okrycia i mieszkania! Najkonieczniejsze potrzeby musi dopiéro zaspakajać sobie na drodze sztuki. Jego ręce bezbronne nie są w stanie ani uciąć drzewa na zbudowanie sobie mieszkania, ani wykopać kryjówki w ziemi, ani jéj orać. Biegiem ani siłą nie podoła zwiérzętom, których skórą chce się okryć na zimę. Nie może również wznieść się w powietrze, dla schwytania ptaka na pożywienie. Niéma schronienia ani broni przeciw zwiérzętom jadowitym i drapieżnym na jego czyhającym życie. Wszystko to zatém skłania go do robienia sobie sztucznych narzędzi. Ale metale, najlepszy ku temu środek, głęboko są ukryte w ziemi pod postacią kruszcu, zkąd dopiéro po wielkich zachodach wydobywa się je na wiérzch. Przypadkiem znaleziony kamień, burzą obalone drzewo, oto jest wszystko co skąpa natura zostawiła do obrony człowiekowi!

I ten sam słaby, bez żadnéj pomocy człowiek, podbija dla siebie całe państwo zwiérzęce, zaspakaja bogactwami natury nietylko konieczne, ale i zmyślone swoje potrzeby, buduje olbrzymie gmachy, przepływa szérokie morza i wznosi się ponad chmury; kompilacyi martwych części żelaza i drzewa nadaje życie, i radośnie pogląda, jak to dzieło dogadza koniecznym lub urojonym jego potrzebom. Tworzy sobie nieprzerwany szereg środków i narzędzi z sił i materyj natury, wznosząc je coraz wyżéj, od prostéj pałki lub kostura, do złotem zdobionego miecza; od kamienia rzucanego ręką, do dalekonośnego działa; od czółna z prostych zbitego desek, do żelaznych parostatków; od kamiennéj siekiéry, do delikatnego rylca miedziorytnika; od rybiéj łuski, któréj dziki zamiast igły używa, do świdra górniczego; od prostéj igły sieciarza, aż do zdumiéwającéj maszyny do robienia tiulu; od garnka Papina, do maszyny parowéj, dzisiaj tak ważną rolę odgrywającéj w przemyśle.

Czém jest wynalazek drukarstwa dla kultury umysłowéj, tém samém stała się maszyna parowa dla przemysłu i dobrego bytu narodów.

Maszyna parowa stanowi nową epokę w historyi mechaniki, z zaprowadzeniem jéj poczyna się nowa faza w przemyśle, a koniecznie dobre skutki jakie ten wynalazek za sobą pociągnie, zapewniają mu ważne stanowisko w dziejach ludzkości.

Ważne już bezwątpienia uczynił człowiek postępy, poznawszy obydwie elementarne siły, to jest: wodę i powietrze, i nauczywszy się ich używać stosownie do swoich celów. Z ich bowiem pomocą ulżył sobie w ciężkich pracach, stosując je do handlu i przemysłu; za ich pośrednictwem odbywał wielkie podróże, zwidzając najodleglejsze okolice świata okrętami. Ale wynalazek maszyny parowéj stał się niejako kulminacyjnym punktem

---

[1] Pod tym nadpisem ogólnym umieszczać będziemy w Księdze Świata artykuły traktujące w sposób przystępny najżywotniejsze kwestye teraźniejszości w dziedzinie mechaniki, wynalazków i przemysłu, pióra znanego w zawodzie technicznym *J. Kr. Pietraszka.*

(Przyp. red.)

owego postępu; przezeń albowiem stworzył sobie człowiek siłę, któréj w każdém miejscu i prawie do wszystkich celów przemysłowych używać może.

Jakkolwiek wielka jest siła wiejących wiatrów i płynącéj wody; jakkolwiek przyroda takowéj nie szczędzi, zamiast jednak nad nią panować, człowiek widzi się być od niéj w każdym kroku zależnym. Wiatr porusza wprawdzie młyny, a za pośrednictwem żagli okręty, ale z każdą chwilą zmienia się jego moc i kierunek; czasem zawieje i zaryczy gwałtownie, i znów na długo ucicha. Te same niedogodności przedstawia nam woda.

Najzupełniéj dopiéro tym przeszkodom zapobiegła maszyna parowa. Wszędzie, gdzie tylko materyał opałowy mamy pod ręką, jesteśmy w stanie stworzyć sobie siłę jakiéj potrzebujemy.

Wynalazek prochu strzelniczego dał nam poznać gwałtowność jego działania; ale że siła ta jest tylko chwilową, nie odniósł więc z niéj przemysł wielkiego pożytku. Maszyna zaś parowa pozwala nam korzystać z siły ciągle działającéj, i właśnie takiéj, jakiéj przemysł potrzebuje. Zajęła ona, jakeśmy już powiedzieli, w dziejach ludzkości ważne stanowisko, a cywilizacya przez nią tak wysoko postąpiła, jak wysoko postępuje naród przechodzący ze stanu łowieckiego albo pasterskiego do rolniczego.

Jako prawdy moralne, tak i najważniejsze techniczne wynalazki czekać muszą wieków, nim się ludy na ich wartości poznają i takowe wprowadzą w praktykę. Jakże dawno znano proch strzelniczy, nim go przyjęto do systemu wojennego! Jakże dawno znane już były ziemniaki, nim je za nieoceniony pokarm uznano! To samo powiedzieć można i o maszynie parowéj.

Najpiérwsza maszyna przez *Savery*'ego około r. 1700 wynaleziona, nie miała jeszcze istotnego technicznego zastosowania: używano jéj tylko w ogrodach przy wodotryskach, w którym to celu i Piotr I takową do Petersburga sprowadził. Maszyny *Nevcommen*'a już obszérniejsze przedstawiały korzyści: używano ich bowiem w górnictwie, gdzie koszta na ich opalanie nie były tak znaczne. Siedmdziesiąt lat upłynęło, nim *Watt* i *Boulton* wyrwali je z tego stanu, udoskonalając je więcéj i stosując do różnych operacyj technicznych. Ale nim zostały użyte do nadawania ruchu po warsztatach, nim ich usługa prawie wszystkich w zadumienie wprawiła, uległy jeszcze różnym z kolei odmianom.

W Colebrookdale ujrzano naraz maszynę podnoszącą wodę do 100 stopowéj wysokości; młyn albioński, co do wielkości wszystkie inne przechodzący, wprawiano w ruch za pomocą jednéj tylko maszyny. Z pomocą innéj maszyny, użytéj w mennicy, odbijano 30,000 sztuk metallicznych w jednéj godzinie; wiele zalanych kopalń znowu osuszono. W Cornwalis w jednéj sztolni 4 maszyny dzień i noc z siłą 810 koni pracują (kiedy koń dziennie tylko 8 godzin pracować może) i pracę ich na 2,400 koni ocenić można. W innéj znowu kopalni zbudowano kolosalne maszyny, podług systemu *Woolf*'a, które razem siłę 900 koni stanowią.

To samo zdziwienie obudzają dmiechy (wentylatory) i walcownie, siłą maszyn parowych poruszane; a gdy dawniéj maszyny parowe tylko do ciągnienia wody używane były, pracują dzisiaj: w gorzelniach, piwowarniach, cukrowniach, prządzalniach, tkalniach i pralniach publicznych; świdrowanie, toczenie metali, drukowanie książek z ich odbywa się pomocą. Maszyny przenośne zastępują miejsce żywych koni; inne przy budowie dróg rozbijają kamienie; innych używają w rolnictwie do poruszania młockarń i tłoczenia płynnych nawozów na pola (1).

Czas wynalazku maszyny parowéj, datuje się od lat 150. Już wprawdzie przed r. 1698 rozmaici uczeni mężowie robili próby i doświadczenia z siłą pary wodnéj; jednakże maszyny parowéj nie udało im się wynaléźć.

Hero z Aleksandryi, na 100 lat przed Chrystusem żyjący, ogrzéwał wodę w ruchomém i na osi zawieszoném kulistém naczyniu. *Salomon* de *Caus*

---

(1) W n. 38 *Gazety Rolniczéj* z r. 1855 podaliśmy nowy system gospodarowania pana Kennedy w Szkocyi, na folwarku *Myer-Mill*, niedaleko miasta Ayr. System p. Kennedy zasadza się na przemianie nawozu stałego na płynny. Cztéry wielkie nakryte zbieralniki przyjmują ze stajen wszystkie ekskrementa stałe i płynne, a dla zapobieżenia osadowi, zbieralniki te opatrują się wiosłami. Do nawozu domięszuje się pewna ilość *guana* i w kwasie siarkowym rozpuszczonych kości, a przed użyciem nawozu rozczynia się go, podług tego jak powietrze jest suche lub wilgotne, jedną lub cztérema częściami wody. Siłę potrzebną do poruszenia wioseł w zbieralnikach i do pompowania wody stanowi maszyna parowa, znajdująca się na folwarku, która zarazem pełni inne obowiązki gospodarcze, jak np. młóci i czyści zboże, rozcina głąbie i korzenie, rżnie sieczkę i t. p. Maszyna ta równa się sile 12 koni i zużywa na godzinę, na siłę jednego konia, 10 funtów materyału opałowego. Nawóz tłoczony bywa rurami podziemnemi żelaznemi do miejsc które mają być gnojone.

jeszcze w r. 1615 utrzymywał, iż posiada sposób jak za pomocą pary wodnéj otrzymać siłę poruszającą, ale ówczesny panujący we Francyi, miasto jego wynalazek popiérać, polecił osadzić go w domu obłąkanych.

Margrabia de *Worcester* zastanawiał się nad twierdzeniami swego poprzednika, długo takowe studiował i nakoniec bardzo niejasném pisemkiem ogłosił, co było powodem iż spółziomkowie jego, Anglicy, uznali go za wynalazcę siły pary.

J. Branca, Włoch, w r. 1629 z pomocą pewnego kulistego naczynia, puszczał parę na łopatki koła, które obracając się, rozprowadzało ruch dalszy za pomocą korby na osi jego umieszczonéj.

Dopiéro *Dyonizy Papin*, Francuz, w Marburgu, w księstwie heskiém żyjący, padł na pomysł daleko pewniejszy około r. 1680. Robił on wiele doświadczeń z swoim *dygestorem*, i jemu to przypisać należy wynalezienie tak ważnéj ze wszech miar klapy bezpieczeństwa, nim przyszedł na myśl zamknięcia pary we walcu za pomocą tłoka. Pokrył on cienką warstewką wody dno walca i zamienił ją w parę, stawiając walec nad ogniem, przez co uskutecznił podnoszenie się tłoka do góry. Oddalając ogień, doszedł znów zagęszczania się pary, tak że powietrze atmosferyczne, działając na tłok otwartego z góry walca, takowy oniżać znowu mogło.

Prawie w tymże samym czasie kapitan angielski Savery wpadł na tenże sam pomysł i kilka maszyn zbudował, które w r. 1696 opisał w dziełku: «Sposób pompowania wody za pomocą ognia.« Któremu więc z owych dopiéro co wymienionych mężów należy się piérwszeństwo tego wynalazku, trudno powiedzieć: zdaje się iż obydwom przyznać go wypada.

Savery korzystał z klapy bezpieczeństwa i zrobił jeszcze kilka poprawek w swojéj maszynie parowéj. Wszakże te poprawki nie ochroniły jéj od licznych innych niedogodności, a temi były: że jego maszyna potrzebowała wiele paliwa; że w wielkich wymiarach z trudnością przychodziło ją budować; że za pomocą niéj wodę tylko do niewielkiéj wysokości pompować można było.

Prawie wszędzie zajmowano się udoskonaleniem wynalazku Savery'ego, i starano się wszelkim sposobem pomysł Papin'a maszyny tłokowéj do maszyny Savery'ego zastósować, co dopiéro udało się dwom Anglikom: kowalowi *Tomaszowi Nevcommen* i szklarzowi *Johnowi Cowley*, i im to należy się prawdziwa wdzięczność za zbudowanie maszyny z pomocą tłoka działającéj.

Ponieważ sam tylko Savery posiadał patent na utworzenie próżnéj przestrzeni przez zgęszczanie pary, złączyli się przeto z nim: Nevcommeu i Cowley i w r. 1705 znowu wspólny otrzymali patent na zagęszczanie pary pod tłokiem i uskutecznianie ruchu przemiennego, łącząc tenże tłok z drążkiem.

To urządzenie, Nevcommenskiém także atmosferyczném zwane, nietylko do pompowania wody służyło, ale również do rozprowadzania ruchu w każdéj potrzebie, i dlatego maszyny parowe za pośrednictwem tłoków działające, jako tutaj początek i źródło swoje mające uważać należy.

Doskonałość ich posunął jeszcze daléj niejaki *Humphry Potter*, chłopczyk do poruszania kurków parowych używany, oddając przez lenistwo swoje zatrudnienie maszynie parowéj.

I te, jakkolwiek ważne, poprawki nie doprowadziły jeszcze maszyny parowéj do téj doskonałości, jakiéj dzisiaj od niéj wymagamy. Zgęszczanie pary odbywało się we walcu, przez co ściany jego oziębiały się zanadto, a na ich powtórne ogrzanie, znaczną część ciepła tracić musiano. Był to jeden z najgłówniejszych błędów, nad usunięciem którego 70 lat bezskutecznie myślano.

Dopiéro w r. 1764 genialny *Watt* (1) zbudował model maszyny Nevcommena, dodał jednak do niego naczynie kondensatorem czyli *zgęszczalnikiem* zwane. Odtąd datuje się udoskonalenie maszyny parowéj do takiego stopnia, na jakim ją do dnia dzisiejszego widziémy; dlatego z wszelką słusznością należy uważać Watta za drugiego twórcę maszyny parowéj. «Watt obudził śpiącego olbrzyma i użył go do wszelkich gałęzi ludzkiego przemysłu, jako jedynego motora.»

---

(1) Jakób Watt urodził się r. 1736 w Grenock w szkockiém hrabstwie Renfren, gdzie ojciec jego był kupcem. Jako biegły mechanik, wyrabiał narzędzia matematyczne dla wszechnicy w Glasgowie, a od r. 1764 widziémy go już budującego bardzo uproszczone maszyny parowe. Późniéj był budowniczym i zakładał kanały. W r. 1773 wynalazł maszynę do kopiowania. Po połączeniu się z majętnym i doświadczonym Boultonem, już mu nic na zawadzie nie stało do nadawania życia swoim olbrzymim pomysłom. Umarł on r. 1819 w Heathfield pod Birmingham, zostawiwszy rodzinie wielki majątek. Watt ustalił potęgę człowieka nad materyalnym światem, a od Gangesu aż do Missisippi czczą imię jego, jako prawdziwego dobroczyńcy ludzkości.

Istotne poprawki Watta są następujące:

1) Zastosował *zgęszczalnik* do dawniejszego systemu maszyn parowych i połączył z nim *pompę powietrzną* (Luftpumpe; pompe à air).

2) Dotąd otwarty z wiérzchu walec zamknął *pokrywą* (Cylinderdeckel; couvercle de cylindre), zrobił w jéj środku okrągły otwór dla *trzona tłokowego*, a dla tém większéj szczelności, t. j. dla zupełnego usunięcia ciśnienia powietrza atmosferycznego na tłok, opatrzył rzeczony otwór tak zwaną *buksą* czyli *panwią pionową* (Stopfbüchse; presse-etoupe).

3) Zastosował *korbę* i *tarczę mimośrodkową* (excentrische Scheibe; excentrique), przez co ruch maszyny prostolinijny na ruch kołowy zamienił; jemu także przypisują zastosowanie *koła zamachowego* czyli *szalonego* (Schwungrad; volant).

4) On piérwszy użył tak zwanego *równoległoboku* (parallelogramu), t. j. bardzo dowcipnie połączonych z sobą któtkich drążków żelaznych, przezco trzon tłoka odbywać musi ruch prostolinijny.

5) On piérwszy użył *miarkowacza* (regulatora) dla właściwego i regularnego przepuszczania pary z kotła parowego do maszyny, zaprowadził manometr i inne indikatory, służące do mierzenia sprężystości pary w kotle, walcu i zgęszczalniku.

6) On nakoniec poprawił kocioł i urządził piece tak, że tym sposobem wielką zaprowadził oszczędność w paliwie. Oprócz tego urządził Watt maszyny działające z *rozszérzaniem* czyli ekspansyą.

Piérwsze maszyny Watta były tego rodzaju, iż tylko na oniżanie tłoka działały, zkąd téż nazwane były: *maszynami pojedynczego działania*.

Podnoszenie zaś tłoka odbywało się w ten sposób, że gdy tłok doszedł do dna walca, tamował się przypływ świéżéj pary, a para nad tłokiem będąca, uchodziła pod tłok; a zatém ciśnienie z obu stron tłoka ulegało równowadze. Na końcu wahadła umieszczony przeciwciężar uskuteczniał podnoszenie się tłoka do góry.

Jakkolwiek maszyna Watta pojedynczego działania skutecznie służy do dnia dzisiejszego do pompowania wody, urządzenie to jednak do innych prac mechanicznych niepraktyczném okazało się. W rozmaitych przemysłowych celach ruch prostolinijny tłoka zamienia się na kołowy, co wprawdzie dokonać się da i w maszynach pojedynczego działania, jednakże, jeżeli ruch ten ma być jednostajnym, dokazać tego można tylko za pomocą wielkiéj massy bezwładnéj, t. j. koła szalonego czyli zamachowego; do poruszenia jednak takiéj massy traci się wielką ilość poruszającéj siły, któraby skuteczniéj do innéj pracy użytą być mogła.

Geniusz Watta rozpoznał wkrótce i tę niedogodność i zaprowadżił maszyny *podwójnego działania*. Tutaj para działa na tłok z obu stron naprzemian, a przeciwciężar wahadła jest tu całkiem niepotrzebny; koło zaś szalone, służące do ujednostajnienia ruchu kołowego, może być daleko lżejsze. W r. 1782 otrzymał Watt patent na maszyny podwójnego działania, i od tego téż czasu maszyna parowa, jako wszystkim przemysłowym celom odpowiadająca, weszła w powszechne użycie.

Wynalazek maszyn podwójnego działania musiał już łatwo naprowadzić na myśl urządzenia takich maszyn, gdzieby się para nie zagęszczała, ale albo w powietrze uchodziła, lub téż do innych celów technicznych użytą być mogła. Ponieważ para w maszynach bez zagęszczania posiada wysokie prężenie, dlatego téż takie maszyny zwykło się nazywać: *maszynami wysokiego ciśnienia*. Nazwisko to jednak w dzisiejszym stanie mechaniki jest niewłaściwe, gdyż dzisiaj od maszyny dobréj wymagamy, aby już to z nizkiém, już z wysokiém pracowała ciśnieniem.

W r. 1802 Trevethick i Vivian wynalezieniem maszyny wysokiego ciśnienia stanowią w mechanice ważną epokę.

Leupold jeszcze w r. 1724 projektował maszynę wysokiego ciśnienia, która jednakże, z powodu nowości i nieznajomości siły pary, nie weszła w użycie. Dopiéro dwaj powyżsi mechanicy angielscy zaprowadzeniem odpowiednich kotłów, umieszczeniem w ich wnętrzu ogniska, zaprowadzeniem również pompki zasycającéj kociół, myśl swą do skutku przywiedli.

Maszyny parowe wysokiego ciśnienia były przedmiotem licznych prób i przemian: *Oliwiera Ewansa* w Ameryce, *Dra Albana* w Plau, *Henschla* w Kassel, *Cave*'go w Paryżu, którzy względne prężenie pary do 7-miu, a nawet do 10-ciu, atmosfer doprowadzili i z takowéj korzystali.

W Anglii, z obawy niebezpieczeństwa, długo się obywano maszynami nizkiego ciśnienia.

Liczne robiono próby nad połączeniem maszyn wysokiego i nizkiego ciśnienia, aby korzystać z rozszérzania pary. Już w r. 1782 przewidywał Watt korzyści z rozszérzania pary, ponieważ jednak używał do tego celu pary nizkiego ciśnienia, niemógł więc korzystnych otrzymać wypadków.

Niedługo potém, bo w r. 1799, niejaki *Murray* w Leeds przepuszczanie pary do walca za pomocą klap stożkowych bardzo korzystnie szufladą zastąpił.

Artur Woolf, mechanik w Cornwallis, myśl swych poprzedników o rozszérzaniu pary w r. 1804 przywiódł do skutku, a jego maszynę uważać należy za przedstawicielkę systemu rozszérzalnego. W roku 1810 zaprowadził w kotłach rury 10 cali średnicy mające, przez co otrzymał parę 40 funtów prężenia na cal kwadratowy i takową wpuszczał na tłok małego walca. Maszyna Woolfa uległa licznym poprawkom; zasadę jego starano się także do maszyn parowych jednowalcowych zastosować, ale w tym razie zachodzi potrzeba użycia walca parowego wielkich rozmiarów, takichże rozmiarów kotła i koła szalonego. Szczególniéj korzystnie daje się używać rozszérzanie przy maszynach Watta pojedynczego działania, do pompowania wody służących.

Do nowych ulepszeń należy konstrukcya walców oscylujących albo wahadłowych. Maszyny te są nadzwyczaj proste i zajmują mało miejsca; maszyna bowiem sześciokonna potrzebuje tylko przestrzeni 3 stopy kwadratowe w podstawie, a 6 stóp na wysokość i nie ulega tak częstym zepsuciom jak inne.

Również i w historyi żeglugi z zaprowadzeniem maszyn parowych rozpoczyna się nowa epoka. Od wynalazku żagli, gubiącego się w odległéj przeszłości, wszystkie postępy nazwać tylko można poprawkami; dopiéro maszyna parowa stanowi rzeczywisty postęp i emancypacyą żeglugi. Jak dawniéj tak i dzisiaj korzystać ona może z siły wiatru, lecz gdy ten pomocy odmawia, może się zupełnie bez niego obejść. Dzisiaj statek parowy, z powodu przeciwnych wiatrów, nie marnuje bezczynnie tygodni i miesięcy, a cichy stan powietrza nie przyprawia już więcéj o rozpacz niecierpliwych żeglarzów. Przystań z któréj odbijają, znów ich niedługo z powrotem ogląda.

W r. 1807 po raz piérwszy maszyna parowa użytą była w żegludze. *R. Fulton* urządził w porcie Nowego Yorku piérwszy parostatek «Clermont», który Indyanie uważali za narzędzie piekielne.

Opiérając się na podaniu z *Journal des Débats* wyjętém, już w r. 1781 niejaki *Jouffroy* robił próbę ze statkiem parowym 140 stóp długim, na Sekwanie niedaleko Lyonu, wkrótce jednak wybuchła rewolucya prace jego na niejaki czas przerwała. Po powrocie swoim do kraju wyczytał był Jouffroy w czasopismach, iż patent na budowanie parostatków przyznany został przez rząd panu de Blanc; appellował więc do dyrektoryatu, lecz ten, zatrudniony będąc ważniejszemi sprawami, rzecz tę na późniéj odłożył. W chwili gdy Jouffroy oczekuje pomyślnego rozstrzygnięcia swojéj skargi, zgłasza się Fulton Amerykanin z tymże samym wynalazkiem, który, wedle własnego jego zeznania i wszelkiego prawdopodobieństwa, był tylko owocem szczęśliwego przypadku. «Gotowałem wodę na herbatę» mówi on, «i postrzegłem, że para pokrywę naczynia podnosi i z widoczną gwałtownością usiłuje uchodzić. Naczynie to zamknąłem powtórnie szczelnie pokrywą, ale zjawisko znów się powtórzyło. Nakoniec zawiesiłem na pokrywie ciężar; teraz para nie mogła już wprawdzie pokrywy podnieść, lecz zato rozsadziła naczynie». «Zbudowałem» mówi daléj, «maszynę parową, oraz statek, za pomocą ludzi którzy się tego rodzaju pracą nie zajmowali nigdy. Wszyscy mieszkańcy Nowego Yorku uważali pracę moję jako czyste marzenie. Zmuszony byłem znosić śmiéchy, żarty i szyderstwo widzów, często nawet gorzkie przymówki; a w całém mieście tylko z uboléwaniem o Fultonie mówiono. Nigdy nie usłyszałem ani jednego słowa pociechy. Nareszcie nadszedł dzień w którym miała być wykonana próba; zaprosiłem więc moich przyjaciół. Nie ukrywałem bynajmniéj przed sobą trudności mogących się wydarzyć w czasie wyruszenia w drogę, a moi przyjaciele na pokładzie będący nadaremnie usiłowali wewnętrzną obawę utaić; ja sam zacząłem już wątpić. Na dany znak poruszył się parostatek, lecz się znów zatrzymał, i niepodobna mu było w téj saméj chwili dalszego nadać ruchu. Wszędzie rozległo się głośne szemranie; na wszystkich twarzach malowało się żywe wzruszenie i pewien niespokój. Ja tymczasem śledziłem przyczynę tego zatrzymania, i znalazłem ją w złém przystawaniu pewnych części maszyny do siebie, co usunąwszy, w pół godziny w dalszą puściłem się drogę.»

Czy Fulton był samodzielnym wynalazcą statków parowych, czy miał jakiekolwiek wiadomości o robotach Jouffroy, de Blanc'a lub Millera, już w r. 1794 w Dalswinton budującego model statku parowego, trudno jest z pewnością orzec.

W Anglii ukazał się piérwszy parostatek w r. 1811, we Francyi r. 1816, na jeziorze Boden 1822, na środkowym Renie 1825, a dnia 8 kwietniu 1838 r. odbił «Great Western» z Bristolu, przybył zaś

do Nowego Yorku dnia 21 t. m., czyli za dni 13. Między Nowym Yorkiem a Bremą w Niemczech parostatek «Washington» w r. 1846 piérwszą odbył podróż. Dzisiaj urosła liczba parostatków do kilku tysięcy. Kilkaset przesuwa się po rzékach Stanów Zjednoczonych, tyleż po rzékach Anglii, Francyi, Niemiec i t. d., a od lat kilku i nasz kraj cieszy się zaprowadzeniem żeglugi parowéj, któréj liczba parostatków, oprócz 22 gabar, do 14 dochodzi. Z tych 3 osobowe utrzymują latem ciągłą kommunikacyą między *Nową Aleksandryą* (Puławami) a granicą pruską, t. j. *Ciechocinkiem*.

Że śruba może służyć do podnoszenia ciężarów lub płynów, już Archimedes nauczał. Niektórzy dawniejsi fizycy dowodzili, że z pomocą śruby Archimedesa, przy należytéj chyżości, można poruszać statek pod wodę. Praktycy jednak do tego twierdzenia najmniejszéj nie przywiązywali wartości, choć je nawet w nowszych czasach i Tredgold zalecał. Dopiéro przed kilkunastą laty *Fr. Smith* robił liczne próby, które pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały. W r. 1837 otrzymał Smith patent na parostatki śrubowe. Francuzi wynalezienie ich przypisują panu *Sauvage*. Smith zbudował piérwszy parostatek śrubowy 60-cio konny, o 240 tonach objemu, i dał mu imię «Archimedes»; a piérwszą podróż odbył nim z Dower do Calais r. 1840, w daleko krótszym czasie aniżeli inne parostatki. Podróż z Portsmouth do Oporto (800 mil ang.) odbył w 70 godzinach. Wkrótce nietylko Anglia, ale Francya i Ameryka przyjęły systemat śrubowy, gdyż tym sposobem unikniono częstego psucia się kół łopatkowych. Kolosalny «Great-britain», z maszynami siły 1,000 koni i 3,500 tonów objemu, jest okrętem śrubowym.

Nie wszędzie jednak znajdują się rzéki lub kanały, z którychby ludzie korzystać mogli, a szossy i poczty stały się nadzwyczaj męczące i nudne, gdy się ukazały drogi żelazne i wozy parowe. Tak więc nagle w dzisiejszym wieku, a mianowicie w ostatnich dwóch dziesiątkach lat, siła pary ważne poczyniła odmiany w przemyśle. Drewniane szyny, z żelaza lanego, nakoniec z kutego zaprowadzono w kopalniach Anglii i Niemiec, dla odniesienia większéj z siły koni korzyści. Lecz z czasem i konie za niewłaściwe do pociągu uznano. Stephenson w r. 1814 zbudował piérwszy parowóz do przewożenia węgla na kolei żelaznéj z Darlington do Stokton. Kocioł miał wewnątrz ognisko urządzone podług Trevethick'a, który jeszcze w r. 1802 zbudował parowóz, jednak niepraktyczny. Dyrekcya kolei z Liverpool do Manchester dnia 20 kwietnia 1829 r. naznaczyła 500 funtów szterlingów nagrody za parowóz, któryby przynajmniéj 10 mil angielskich w jednéj godzinie odbywał, przy ciężarze trzy razy większym od swego własnego. Parowóz «Rakieta» Stephensona wygrał tę nagrodę. Korzystając z innych autorów, umieścił on poziomo w wodnéj przestrzeni kotła parowego 25 rur płomiennych, po 3 cale średnicy mających, a tym sposobem powiększył znacznie powiérzchnią ogrzéwalną kotła.

Wypada w końcu nadmienić, iż w budowaniu maszyn parowych współzawodniczą z Anglią prawie wszystkie kraje, i liczba ich z postępem czasu i przemysłu rośnie integralnie; a kiedy w kraju naszym w roku 1823, jak Janicki w dziele swojém o *Maszynach parnych* powiada, przemysł ograniczał się jedynie na trzech maszynach parowych, dzisiaj naliczyć ich można do kilkuset.

Warsztaty Żeglugi parowéj na Solcu budują obecnie dwie maszyny parowe o sile 60 koni, do parostatków również w tychże budujących się warsztatach.

J. Kr. Pietraszek.

ZACHOWANIE CIAŁ ORGANICZNYCH OD ZEPSUCIA,

WEDŁUG METODY DOKTORA FALCONI.

Wobec powtarzających się zbyt często wypadków śmierci pozornéj, nikt już zapewne dziś nie zaprzeczy, że niepodobna ściśle oznaczyć czasu poza który powrót do życia człowieka pogrążonego w letargu staje się niemożliwym; że nieomylną oznakę śmierci stanowi jedna tylko zgnilizna, która niekiedy następuje bezpośrednio po zgonie, lecz w wielu także wypadkach po upływie dopiéro dni kilku; że przeto jedynym sposobem uniknienia nieszczęśliwych wypadków jest zachowanie ciał dopóty, dopóki ich rozkład nie stanie się widocznym. Z drugiéj jednakże strony dłuższe przechowywanie trupów w mieszkaniach prywatnych lub domach pogrzebowych, bez użycia przytém środków zapobiegających szérzeniu się miazm zaraźliwych, niezawodnie stałoby się szkodliwém, narażając zdrowie żyjących, dla urojonego najczęściéj niebezpieczeństwa zmarłych.

Oddawna więc przemyśliwano nad środkiem zachowania ciał od zepsucia, któryby, zapobiegając ich rozkładowi, jednakże w takim zostawiał je stanie, aby nic nie przeszkadzało możliwemu powrotowi do życia. Środek ten, jeśli w zupełności odpowiedzieć ma celowi, powinien łączyć w sobie kilka trudnych do pogodzenia warunków: potrzeba aby nie naruszał całości trupa; aby nie był szkodliwym dla osób otaczających; aby bez wielkich zachodów i kosztów zastosować go można w samém mieszkaniu zmarłego; aby dozwalał użycia właściwych środków lekarskich, w zamiarze ocknienia ukrytego może życia; aby w szczególnych wypadkach nie przeszkadzał badaniom medycyny sądowéj, i t. p. Ani chlor, ani arszenik, ani węgiel, ani dębnik, ani maście i essencye od wieków w tym celu używane, zadania powyższego rozwiązać nie zdołały. W najnowszym dopiéro czasie Włoch Falconi, wynalezieniem mięszaniny złożonéj w większéj części z siarczanu cynku (białego witriolu) wszystkim tym wymaganiom najzupełniéj odpowiedział. (1) Tygodnik francuzki «Cosmos,» wychodzący w Paryżu pod redakcyą księdza Moigno, tak się wyraża o tym ciekawym i ważnym z wielu względów wynalazku:

«Mięszanina doktora Falconi jest proszkiem białym przyjemnego zapachu, ceny bardzo umiarkowanéj, zapobiegającym zgniliźnie bez nadwerężenia organizmu, zobojętniającym szkodliwe wyziewy, jedném słowem opiekuńczym dla zmarłych, a raczéj pogrążonych w letargu, bez narażania żyjących. Najsurowsza hygiena i policya lekarska, najreligijniejsze poszanowanie dla zmarłych, najdrażliwsza delikatność uczuć, wszystkie te względy zaspokoi zupełnie użycie téj zbawiennéj mięszaniny, przeciwko któréj cienia nawet zarzutu wynaléźć niepodobna. Życzyć tylko należy aby ten środek wszędzie się upowszechnił, aby się stał przedmiotem nieodzownéj potrzeby, aby stosowanie jego raz na zawsze za święty poczytano obowiązek. Rzecz to najprostsza w świecie, a jednak iluż straszliwym zapobiedz może wypadkom!

«Wysławszy wnętrze trumny prześcieradłem, sypie się na dno warstwę tego proszku, grubości 5—6 centimetrów, na którą kładzie się trupa; (2) potém dodaje go się tyle żeby ciało, prócz twarzy, mniéj więcéj było nim pokryte; nakoniec, gdy żadnéj już niéma wątpliwości że śmierć istotnie nastąpiła, nie pozostaje jak złożyć prześcieradło i trumnę przykryć wiekiem.

«Lecz ogół wątpiłby może o cudownéj skuteczności metody doktora Falconi, gdybyśmy zapewnić nie mogli że liczne doświadczenia potwierdziły takową w sposób najświetniejszy. Przytoczymy je-

---

(1) W najnowszym czasie pisma francuzkie podały wiadomość o zastosowaniu w tymże samym celu *gliceryny*, substancyi otrzymywanéj przy zamianie tłuszczów na mydło. Doktor Demarquey w Paryżu robił z gliceryną próby w szpitalu św. Antoniego, i przekonał się że ona zapobiega najzupełniéj rozkładowi części organicznych, tak żywych jako i martwych. Który z tych dwóch środków lepiéj odpowiada celowi, jest to pytanie które nauka rozstrzygnąć dopiéro może na zasadzie licznych i różnorodnych doświadczeń. (Redak.)

(2) Rozumié się że ciało w takim razie powinno być bez odzieży.

den tylko przykład, którego świadkiem był dr. Luppi, znakomity lekarz lyoński.

«Wybraliśmy, mówi p. Luppi, trupa 27 letniego mężczyzny, zmarłego przed dwoma dniami na jakąś chorobę gorączkową. Nogi jego przechodziły w stan nabrzękłości, a skóra na brzuchu, silnie wyprężona, pokrytą była zielonawemi plamkami, zapowiadającemi rozpoczynanie się rozkładu.

«Ciało to, złożone w trumnie i zanurzone w mięszaninie zachowawczéj, (któréj siłę powiększyliśmy zdwojeniem ilości soli antiseptycznych (1) będących jéj podstawą), po ośmiu dniach nie wyziéwało żadnéj woni nieprzyjemnéj i nie przedstawiało najmniejszego śladu postępującéj zgnilizny. To samo miało miejsce w dni piętnaście, w trzy tygodnie i nareszcie po upływie miesiąca, czasu, jak się zdaje, aż nadto dostatecznego dla przekonania nawet najniewierniejszych.»

«Dowiadujemy się nadto ze sprawozdania p. Luppi, że świetny ten wynalazek zwycięzko już utorował sobie drogę.

«Wiadomo iż, na mocy rozporządzenia policyi miasta Paryża, trupy przeznaczone do transportu powinny być otoczone substancyami zdolnemi zapobiedz szérzeniu się zgnilizny, a przynajmniéj zobojętnić jéj skutki. Aż dotąd, w braku skuteczniejszych środków, poprzestawano w tym celu na mięszaninie ze sproszkowanego węgla i dębnika, niedostatecznéj bardzo pod względem siły zachowawczéj. Obecnie, po otrzymaniu opinii rady lekarskiéj miasta Paryża, korzystnéj dla wynalazku doktora Falconi, prefekt policyi rozkazał wprowadzić go w wykonanie.

«Rada lekarska miasta Lyonu, idąc za przykładem Paryża, wyrzekła również na mocy niezbitych dowodów, że mięszanina w mowie będąca zachowuje od rozkładu martwe części organiczne, niedopuszczając szérzenia się miazm nieprzyjemnych lub szkodliwych, i skutkiem tego administrator departamentu Rodanu dozwolił jéj użycia.

«W następstwie tych postanowień dyrektorowie przedsiębierstw pogrzebowych w Paryżu, Lyonie, Rouen i Lille wydali do rodzin swych okręgów następujące cyrkularze:

«Zdarza się często że ciała zmarłych, po złożeniu w trumnach, wydają szkodliwe wyziewy, bądź w domach prywatnych, bądź w kościołach, gdzie te wyziewy nieraz stają się nieznośnemi.

Ważną tę niedogodność łatwo jest usunąć, jeśli ciało, w chwili złożenia go w trumnie, otoczymy środkiem zachowawczym, dość silnym do wstrzymania zgnilizny. Użycie w tym celu otrębów okazało się niewłaściwém, bo klejowate ich części przyspieszają owszém rozkład organizmu.

«Dla zapobieżenia wskazanéj niedogodności, przedsiębierca służby pogrzebowéj miasta Paryża zawiadamia mieszkańców, iż na zasadzie rozporządzenia prefekta policyi z d. 11 lipca 1853 r. przygotował do użytku publicznego proszek biały roślinno-mineralny, mający własność wstrzymywania zgnilizny i zobojętniania szkodliwych wyziewów.»

«Możemy więc uzasadnioną miéć nadzieję, że niedaleką jest chwila, w któréj na mocy obowiązujących przepisów, aż nadto w tym razie usprawiedliwionych, użycie proszku zachowawczego stanie się powszechném; w któréj rozporządzenia pogrzebowe dozwolą wszystkim klassom społeczności przystępować do pochowania zmarłych nie prędzéj, jak w chwili kiedy już zniknie wszelka nadzieja powrotu do życia. Łatwo wtedy będzie urządzić domy pogrzebowe, zaopatrzone w potrzebne środki hygieniczne i terapeutyczne, przy pomocy których, bez narażenia zdrowia publicznego, będzie można miéć pewność, że nikogo żywcem się nie pogrzebie, a razem, że nieprzeszkodzi się powrotowi życia, na przypadek śmierci pozornéj.

«Jeżeli postęp ten zbawienny pożądanym jest dla Francyi, nierównie potrzebniejszym jeszcze sądzimy go w Anglii, gdzie w ogólności zwłoki chowają dopiéro w dni kilka po zgonie, gdzie poszanowanie dla zmarłych i obawa do przesady nieraz posunięta, narażają każdodziennie zdrowie żyjących. W Londynie umiéra rok rocznie przeszło 60,000 osób, to znaczy że 60,000 rodzin przez dni kilka bywa wystawianych na szkodliwe wyziewy trupów. Myśl to przerażająca, nawet w czasie zwyczajnym; a cóż dopiéro w porze epidemij i chorób zaraźliwych! Oby ta nasza wzmianka ocknęła baczność publiczną; a jeśli rządy w to się nie wdadzą, oby interes przynajmniéj własny pobudził prywatnych do wprowadzenia w użycie tego środka zbawiennego. Eksploatacya metody doktora Falconi bardzo korzystném stać się może przedsiębierstwem, a jak w tym razie, żądza zysku dobroczynne zarazem dla ludzkości przyniosłaby skutki.»

Tyle dziennik Cosmos; my dodajemy że mięszanina doktora Falconi w kształcie płynu służy do za-

(1) Służących przeciw zgniliźnie.

MIĘDZY-MORZE SUEZ

z linią projektowanego kanału morskiego i kanału posiłkowego do Nilu, według planu

P.P. LINANT-BEJ i MUGEL-BEJ

Jużenierów Wice Króla Egiptu.

MORZE ŚRÓDZIEMNE

Zatoka Peluzy

Taramah (dawna Peluza)

Wielki kanał morski

31°

Uade Tomilat

dawniej Ziemia Gosen

J. Timsah

Kanał posiłkowy do Nilu

Jeziora Gorzkie

Wielki kanał morski

WIDOK PANORAMICZNY MIĘDZY-MORZA SUEZ i PROJEKTOWANEGO KANAŁU

MORZE ŚRÓDZIEMNE

30°

MORZE CZER- WONE

SUEZ

MORZE CZERWONE

chowania wszelkiego rodzaju preparatów anatomicznych, a płyn ten, wpuszczony w system cyrkulacyi, najdzielniejszym staje się środkiem zachowania ciał zmarłych przez długie lata w stanie naturalnym, i korzystnie pod każdym względem zastępować może używane dotąd tak kosztowne, a mało jednak skuteczne, balsamowanie.

POPROWADZENIE KANAŁU

PRZEZ

MIĘDZYMORZE SUEZ.

Z pomiędzy kwestyj całą ludzkość i dzieje jéj cywilizacyi przeważnie obchodzących, a dotąd nierozwiązanych, jest kilka tak żywotnych, tak zdaje się nieuniknionych, że umysł ludzki coraz to je pochwycał w pewnych przestankach, i choć je odraczał chwilowo, przerażony ich wielkością, to znów po jakimś czasie z podwojonym podnosił je zapałem, jak gdyby nowe pokolenia czuły się silniejszemi ku dokonaniu dzieła i lepiéj przygotowanemi ku usunięciu trudności, które wstrzymywały ich poprzedników.

Kanalizacya między-morza Suez, mająca skrócić o połowę drogę z Zachodu na Wschód, należy właśnie do rzędu podobnych kwestyj. Zdaje się jednak iż wiek dziewiętnasty, epoka tylu olbrzymich przedsięwzięć, dokona nareszcie w sposób trwały dzieła o którém przed trzydziestą wiekami marzyli władzcy Egiptu, a późniéj Persowie, Rzymianie i Arabowie, i które miało już nawet chwile zbyt krótkie rzeczywistego istnienia.

Na ośmnaście jeszcze wieków przed erą chrześciańską Sezostrys, czy Psammetyk, powziął piérwszy myśl połączenia za pomocą kanału morza Śródziemnego z Czerwoném, i rozpoczął urzeczywistnienie takowéj. Syn jego Nechao II prowadził daléj roboty, i musiał użyć w tym celu niezmiernych kapitałów i sił, kiedy, podług Herodota, 120,000 robotników znalazło śmierć przy budowie kanału. Zrażony jednak niepomyślną wyrocznią, król ten zaniechał przedsięwzięcia.

Kiedy Egipt przeszedł pod panowanie Persów (525 przed Chr.), Dariusz chciał dokończyć dzieła swych poprzedników; ale go wstrzymała uwaga uczonych, że z powodu wyższego poziomu morza Czerwonego, Egipt mógłby być narażonym na zalanie, z czego widziémy iż mylne to mniemanie o różnicy poziomu obu mórz nie w naszych dopiéro powstało czasach. Rozpoczęty więc kanał pozostał niedokończonym, aż do panowania Ptolemeusza II Filadelfa (284—246 przed Chr.), któremu, podług Diodora z Sycylii, należy się sława jego dokonania. Kanał téż nosił wtedy nazwę *Ptolemaeus amnis v. canalis*. Zdaje się jednak że starożytni Grecy i Egipcyanie nie odnosili z téj drogi zbyt wielkich korzyści handlowych; długość jéj biegu przez obszary piaszczyste (szła bowiem na Bastę, Belbeis i jeziora Gorzkie), trudność ztąd utrzymania, a nadewszystko obojętność i upadek ostatnich Ptolemeuszów, przyczyniły się wkrótce do jéj zniszczenia. Jakoż za czasów już Kleopatry kanał musiał być niespławnym, kiedy królowa ta, po klęsce pod Actium (31 przed Chr.) nie mogła nim przeprowadzić swych galerów, chroniąc się od pogoni Oktawiana.

Za czasów rzymskich cesarz Adryan (117—138 po Chr.) ponowił prace nad oczyszczeniem kanału, któremu nadał miano kanału Trajana, od imienia swego ojca przybranego. Wątpliwą wszakże jest rzeczą, czy wtedy wodna ta kommunikacya łączyła rzeczywiście oba morza; przynajmniéj żadnéj o tém wzmianki nie znajdujemy w historykach współczesnych. Pod panowaniem dopiéro Arabów kalif Omar kazał oczyścić kanał Trajana, i wiadomo że w epoce téj przez lat przeszło sto (od 644—767 po Chr.) otwartym on był dla żeglugi. Wkrótce atoli, śród zamieszek wewnętrznych, zapomniano o kanale, który znów w części uległ zamuleniu, aż wreszcie kalif Abu-Giafar-Al-Mansur, dla źle pojętych powodów strategicznych, kazał go zniszczyć zupełnie od strony Suez; reszty w następstwie wieków dokonały piaski pustyni, tak iż uczeni francuzcy w czasie wyprawy do Egiptu znaleźli już ledwo słabe wklęsłości gruntowe, jako ślad pozostały po pracy i wysiłku tylu zamarłych pokoleń.

W roku 1799, podczas pamiętnéj swéj wyprawy, Bonaparte myślał o przywrócéniu starożytnego kanału. Z rozkazu jego architekt Lepère sporządził plany i kosztorysy, które obliczył na 9 milionów franków, i projekt byłby niezawodnie przyszedł do skutku, gdyby wypadki polityczne nie przyzwały nagle Bonapartego do Europy.

W bieżącém już stuleciu Mehmed-Ali wicekról Egiptu pojął niezmierną ważność tej drogi handlowéj, i zlecił naczelnemu inżenierowi swojemu Linant-bejowi (De Bellefond) przygotowawcze w celu przywrócenia jéj prace. Ulękniono się jednak kosztów i trudności jakie nastręczało wykopanie kanału, i odtąd myślano już tylko o poprowadzeniu drogi żelaznéj do Suez. Następnie śmierć Mehmeda-Ali i późniejsze wypadki polityczne raz jeszcze tę ważną sprawę podały zapomnieniu.

Lecz kwestye tego rodzaju to mają właściwego, że niemogą być nigdy zupełnie zarzucone, że odnawiają się same z siebie, gdy stosowna nadejdzie chwila. Nowy wicekról Egiptu, światły Mohamed Said basza, firmanem z dnia 30 listopada 1854 r. nadał «*przyjacielowi swojemu Ferdynandowi de Lesseps*» pełnomocnictwo do zawiązania towarzystwa w celu przekopania między-morza Suez i eksploatacyi kanału, które nosić ma nazwę: *Towarzystwo powszechne kanału morskiego przez Suez*. Dwa głównie ku temu podawano projekta: jeden kanału nkośnego, który za pomocą Nilu łączyć miał Suez z Aleksandryą; drugi kanału prostego, najkrótszą drogą od Suez do Peluzy. Ten ostatni, wypracowany przez inżenierów wicekróla, Linant-beja i Mugel-beja, i poparty przez p. de Lesseps, stanowcze, jak się zdaje, uzyskał piérwszeństwo, i już z rozkazu Said-baszy trzy brygady inżenierów egipskich, pod kierunkiem pp. Aivas i Hottinger, odbywają na całéj linii projektowanego kanału niwellacye i sondowania do głębokości 10 metrów, aby poznać dokładnie naturę gruntu.

Do grona kommissyi europejskiéj utworzonéj w zamiarze kierowania tém wielkiém przedsięwzięciem należą: ze strony Niemiec tajny radca Lentze naczelny inżenier robót hydraulicznych w Prusach; ze strony Austryi radca dworu de Negrelli, dyrektor robót publicznych; ze strony Włoch p. Paleocopa, minister robót publicznych w Turynie; ze strony Hollandyi p. Conrad, naczelny inżenier; ze strony Anglii, Francyi i innych krajów pp. Rendel inżenier robót morskich, Harry Hewet kommodor marynarki angielskiéj w Indyach, Renaud inspektor jeneralny dróg i mostów i Lieusson inżenier-hydrograf marynarki francuzkiéj.

Nadeszła więc chwila w któréj zadanie tylowiekowe kanalizacyi między-morza Suez wyjdzie nareszcie z krainy teoryi i stanie się czynem. Mniemana różnica poziomu morza Śródziemnego i Czerwonego, któréj lękali się starożytni, i którą nawet jeszcze w czasie wyprawy Bonapartego do Egiptu inżenierowie francuzcy obliczyli na 10 metrów, nie stanie temu na przeszkodzię; najnowsze bowiem badania dowiodły, że poziom morza Czerwonego jest tylko o 0,80 metra wyższy od poziomu morza Śródziemnego, a i tę małą różnicę przypisać raczéj należy silnym przypływom morskim w piérwszym z tych wielkich wodozbiorów. Pozostają więc tylko trudności gruntowe, które, dzięki potężnym środkom jakiemi rozrządza dziś nauka, niezawodnie zostaną pokonane. Wielkie to przedsięwzięcie nosi całkiem charakter ogólno-narodowy, i nazwa *Towarzystwa powszechnego* dla kierującego niém grona bardzo właściwie jest wybraną. Neutralność właśnie stanowić będzie jego siłę; bo wszystkie narody całego świata interesowane są zarówno w wykonaniu téj przeważnéj rewolucyi żeglarskiéj, która zmniejszyć ma o połowę odległość Europy od wschodnich brzegów Afryki, od Indyj i Chin, a o jednę trzecią część przynajmniéj od Australii i Japonii.

Dla wyjaśnienia szczegółów rozpoczętego obecnie dzieła kanalizacyi, którego koszta mają być poniesione przez stowarzyszenie akcyonaryuszów wszystkich krajów, podajemy czytelnikom Księgi Świata w skróceniu sprawozdanie o niém p. de Lesseps (pisane w Paryżu w miesiącu sierpniu r. z. 1855, a ogłoszone w zeszycie wrześniowym pisma francuzkiego «*Nouvelles annales des voyages*»), i dołączamy mappę wskazującą kierunek projektowanego kanału.

*

«W miesiącu październiku 1854 r., mówi p. de Lesseps, wyjechałem do Egiptu, dokąd wezwany zostałem przez nowego wice-króla, Mohamed-Saida, zaszczycającego mnie od lat dwudziestu swą przyjaźnią.

«W czasie podróży odbytéj z wice-królem przez pustynią libyjską, z Aleksandryi do Kairu, po raz piérwszy mówiliśmy z sobą o przekopaniu międzymorza Suez. Said-basza, przejęty ważnością tego przedsięwzięcia, zażądał wtedy odemnie napisania dotyczącego téj kwestyi memoryału.

«Możliwość poprowadzenia kanału łączącego oba morza żadnéj nie podlegała wątpliwości. Wykonano go już trzykrotnie: za czasów Faraonów, pod panowaniem Ptolemeuszów i pod rządami kalifow. Trudność więc zadania leżała jedynie w wyborze między kanałem prostym lub ukośnym.

«Piérwszy przerzynać miał międzymorze w kierunku mniéj więcéj prostym od południa ku północy, czyli od Suez do Peluzy; drugi, zwracając się od Suez ku Nilowi, miał przebiedz znaczną część Egiptu i dosięgnąć portu Aleksandryi.

«Należało przeto nasamprzód rozstrzygnąć któ-ry z tych dwóch systemów zasługuje na piérwszeństwo, tak pod względem łatwości wykonania, jak i z uwagi na szybkie i korzystne rozwinięcie się żeglugi.

«Dla wielu i ważnych bardzo powodów, po ocenienie których odsyłam czytelników do Monitora z d. 6 lipca r. b., oświadczyłem się za kanałem prostym, i w duchu tym podałem wice-królowi memoryał.

«Jego Wysokość, przychylając się do przełożeń moich, raczył wydać firman, i zakommunikował go wszystkim konsulom mocarstw zagranicznych.

«Firman ten nadaje mi władzę wyłączną utworzenia kompanii kapitalistów wszystkich narodów, w celu przekopania międzymorza Suez i eksploatacyi kanału łączącego oba morza, która to kompania nosić ma nazwę: *Towarzystwo powszechne kanału morskiego przez Suez.*

«Powinności kompanii są:

1. «Wykonanie własnym kosztem wszelkich robót konstrukcyi.

2. Wypłata indemnizacyi wywłaszczonym posiadaczom gruntów.

3. «Oddzielanie 15% czystego zysku przedsiębierstwa na korzyść skarbu egipskiego, i 10% na korzyść członków założycieli kompanii.

4. «Pozostawienie rządowi egipskiemu prawa zatwierdzenia ustanowionéj przez kompanią taryfy spławu i jéj statutów.

5. «Obowiązek zachowania w taryfie zupełnéj równości pomiędzy banderami różnych narodów i nieprzyznawania na korzyść któréjkolwiek oddzielnych przywilejów.

«Korzyści zaś kompanii firman zapewnia następujące:

1. «Prawo użytkowania z kanału przez lat 99, licząc od dnia otwarcia go dla żeglugi.

2. «Ustąpienie bezpłatne zajmowanych pod roboty gruntów, będących własnością rządu.

3. «Podział pomiędzy akcyonaryuszów 75% czystego zysku.

4. «Ustąpienie bezpłatne gruntów rządowych, aż dotąd nieuprawnych, nawodnionych i uprawionych kosztem lub staraniem kompanii, za pomocą poprowadzonego od Nilu kanału irrygacyjnego.

5. «Pobór opłaty od prywatnych właścicieli gruntów, pragnących korzystać z nawodnienia przez kanały będące w posiadaniu kompanii.

6. «Prawo bezpłatnego wybiérania z kopalń rządowych wszelkich materyałów potrzebnych do budowy kanału.

7. «Wolny dowóz materyałów i maszyn w tymże celu z zagranicy sprowadzanych.

8. «Wynagrodzenie na rzecz kompanii za majątek jéj ruchomy, który po upływie lat 99 przejdzie na własność rządu.

9. «Nakoniec uroczyste zapewnienie pomocy, tak ze strony samego wice-króla, jako téż wszystkich urzędników egipskich, w wykonaniu całego przedsiębierstwa i eksploatacyi przywileju.

«Firman wice-króla przedstawiał więc cechę zupełnéj bezstronności i dążenia ku dobru powszechnemu, które jedynie zapewnić mogły pomyślność zamierzonego dzieła.

«Oddawał on nowo-projektowaną kommunikacyą na wspólny dla wszystkich pożytek, i wzywał kapitalistów wszech narodów do przyjęcia udziału w korzyściach tego przedsięwzięcia.

«Po zrobieniu tym sposobem piérwszego kroku, potrzeba było przystąpić do rozpoczęcia wykonania. Odebrałem więc rozkaz wice-króla abym raz jeszcze zbadał miejscowość międzymorza, celem sprawdzenia poczynionych już dawniéj badań.

«Przeznaczono mi do pomocy dwóch inżenierów znanych oddawna w świecie naukowym, którzy wykonali już w Egipcie ogromne roboty hydrauliczne: p. p. Linant-bej i Mugel-bej.

«Zbadanie miejscowości nastąpiło w grudniu i styczniu upłynionym (1854—1855). Po złożeniu wice-królowi tymczasowego sprawozdania, potrzeba była zgłębić praktycznie i rozwinąć korzyści lub niekorzyści dwóch przedstawionych projektów, kanału prostego i ukośnego. Pracę tę powierzono dwom wspomnionym inżenierom, którzy się oświadczyli za kanałem prostym.

«Wice-król z swojéj strony, jako dokładnie z tą rzeczą obznajmiony, podzielał w zupełności zdanie

swoich inżenierów, i zlecił mi wydanie im w téj myśli instrukcyi.

«P. p. Linant-bej i Mugel-bej ukończyli w miesiącu marcu swój projekt przygotowawczy, w którym wyjaśniają szczegółowo podane sobie do rozbioru kwestye.»

W tém miejscu p. de Lesseps daje obszérny rozbiór tego projektu. My ograniczyć się musimy na wskazaniu ogólnéj jego treści.

Inżenierowie wice-króla zwracają najprzód uwagę na wielkie ułatwienie jakie w poprowadzeniu kanału nastręczają dwa wodozbiory naturalne: jeziora Gorzkie i jezioro Timsah. Następnie zbijają zwycięzko niektóre zarzuty, już ogólne przeciwko całemu przedsięwzięciu, już szczególne przeciwko projektowi kanału prostego od Suez do Peluzy. Ważniejsze z tych zarzutów są:

1. Że kanał wykopany w gruncie piaszczystym ulegnie zasypaniu, przez co utrzymanie jego stanie się nadzwyczaj kosztownem. Inżenierowie odpowiadają na to, że na całéj linii projektowanéj niéma nigdzie ruchomych piasków, tylko w okolicach jeziora Timsah, a i te łatwo będzie utrwalić w sposób sztuczny, przez zasianie szybko rozrastających się roślin.

2. Że pod Peluzą trzeba będzie na 6,000 metrów posunąć się w morze, dla napotkania głębokości 7—8 metrów, potrzebnéj dla okrętów większego rozmiaru. Inżenierowie przyznają tę okoliczność, ale na dowód że nie nastręczy ona trudności niepodobnych do pokonania, przytaczają groblę lyońską, na 8,000 metrów długą a na 16 głęboką, i zbudowaną w warunkach daleko nieprzyjaźniejszych.

3. Że morze w okolicach Peluzy osadza muł w takiéj ilości, iż utworzone przez to nasepy zatamują wkrótce ujście kanału. Inżenierowie w swym projekcie zbijają i ten zarzut, dowodząc że brzegi Peluzy od wieków żadnéj przez naniosłości piasku lub mułu nie uległy zmianie.

Przystępują potém pp. Linant-bej i Mugel-bej do wykazania sposobów połączenia Egiptu z wielkim kanałem kommunikacyjnym.

Z jeziorem Timsah, położoném w równéj odległości między Suez i Peluzą, graniczy pas ziemi nieuprawnéj, zwany dziś Uade Tomilat. Pusty ten obszar stanowił kiedyś słynną z urodzajności ziemię Gosen, którą jeden z Faraonów, za wstawieniem się Józefa syna Jakubowego, oddał na mieszkanie Hebrajczykom. Inżenierowie projektują poprowadzenię przez tę dolinę aż do Nilu kanału posiłkowego, mającego posłużyć zarazem do użyznienia gruntów i do żeglugi wewnętrznéj.

Obliczają daléj w sposobie przybliżonym spodziéwane koszta i korzyści całego przedsiębierstwa w cyfrach następujących:

Koszta.	*franków.*
Roboty ziemne.....	72,000,000
Roboty hydrauliczne.....	84,233,200
Koszta administracyi, licząc po 2 ½ % od użytego rocznie kapitału.....	3,905,830
Wydatki nieprzewidziane.....	2,410,970
Opłata 5% od kapitału w miarę jego wpływu aż do ukończenia robót	22,450,000
Razem.....	185,000,000

Zyski roczne.	*franków.*
Opłata przepływowa od 3 milionów beczek, po 10 franków od beczki	30,000,000
Opłata po jednym franku za beczkę od okrętów które się zatrzymają w porcie środkowym, urządzić się mającym na jeziorze Timsah (połowa, t. j. 1,500,000 beczek).....	1,500,000
Opłata od spławu na kanale kommunikacyjnym do Nilu.....	1,560,000
Dochód z użyznionych gruntów	6,996,000
Razem.....	40,056,000

Koszta powyższe, jak zapewnia p. de Lesseps, można było bez uchybienia zasadom naukowym zmniejszyć o jakie 20 milionów franków; ale inżenierowie wice-króla woleli podać za wiele jak za mało.

Tak więc na wykonanie dzieła którego następstwa nieobliczone są w skutkach, dosyć będzie summy 160 do 180 milionów franków, czyli połowy tego co kosztowała droga żelazna z Paryża do Lyonu, albo z Londynu do York.

Co się tyczy spodziéwanych korzyści eksploatacyi, cyfry projektu, a szczególniéj piérwsza, bardzo skromnie także zostały obrachowane.

Otwarcie kanału olbrzymi niewątpliwie nada popęd i tak już corocznie wzrastającym stosunkom ze Wschodem, zbliżając do Europy okolice dotąd obce jéj ruchowi handlowemu. Abissynia, Yemen, Hedjas, Maskata, krainy obfitujące w kawę, gummę arabską, wosk, skóry, kość słoniową, wełnę, indigo i t. d., wejdą w bezpośrednie z nią zetknięcie. W Abissynii wół kosztuje 10 franków, baran 5 fran-

ków, a lasy ogromne wyborowego drzewa, nietknięte nigdy siekierą, czekają ręki przemysłowców. Wzdłuż brzegów morza Czerwonego rozciągają się kopalnie siarki i ołowiu, łomy marmuru i porfiru.

Widoczna więc że kommunikacya przez międzymorze Suez sprawić musi przewrot niezmierny w handlu i żegludze, którego skutki przewyższą niezawodnie najśmielsze przypuszczenia.

Dla przekonania wszakże kapitalistów należy raczéj brać za podstawę to co jest obecnie, niż to co być może lub będzie prawdopodobnie, a i w tém jeszcze liczyć na wszelkie najmniéj korzystne wynikłości przypadkowe. Zobaczymy do jakiego stopnia uczynili to autorowie projektu przygotowawczego.

Podług wykazów statystycznych wartość handlu przywozowego i wywozowego między Europą i Ameryką północną z jednéj, a Indyami, Kalifornią, Australią, Chinami, Jawą, wyspami filipińskiemi i t. d. z drugiéj strony, handlu który dotychczas odbywał się naokoło przylądka Dobréj Nadziei i przylądka Horn, wynosi obecnie 100 milionów funtów szterlingów. Nie licząc na żadne powiększenie się téj ilości, skutkiem otworzenia nowego kanału morskiego, (choć ona może i powinna podwoić się przez to lub potroić), summa stu milionów funtów reprezentuje ładunek mniéj więcéj 6,000,000 beczek, (licząc beczkę średnio po 16 funtów szterlingów).

Możnaby przypuścić bez przesady że prawie cały ten ładunek obróci się na międzymorze Suez; autorowie jednak projektu za zasadę w obliczaniu zysków przyjęli, jak widziémy, tylko jego połowę, to jest 3,000,000 beczek.

Bardzo skromnie także obrachowane są korzyści z żeglugi po kanale posiłkowym do Nilu i z uprawy gruntów użyznionych nawodnieniem, które rząd egipski oddał na własność towarzystwu.

Przy takiéj więc pewności świetnego procentowania się wyłożonego kapitału, nie bacząc już na ważność dzieła dla losów całego człowieczeństwa, wątpić nie można iż finansiści wszystkich narodów chętny w niém wezmą udział.

Nadmieniamy jeszcze iż według projektu przygotowawczego pp. Linant-bej i Mugel-bej roboty rozłożone zostały na lat sześć. Kanał główny mieć będzie długości 120 kilometrów (około 16 mil geograficznych), szérokości 100 metrów i głębokości 8 metrów.

Wracamy się teraz do sprawozdania samego pana de Lesseps, i przytaczamy własne jego słowa:

«Po dokładném zbadaniu miejscowości międzymorza Suez, mówi nasz autor, udałem się do Konstantynopola i przekonałem się tam że sułtan przychylny jest projektowi.

«Wróciłem następnie do Europy, w zamiarze zwrócenia na ten przedmiot uwagi światłéj powszechności i zapewnienia sobie potrzebnéj pomocy.

«Mohamed-Said udzielił mi szczegółową instrukcyą, w któréj objawił chęć poddania projektu przygotowawczego swoich inżenierów pod roztrząśnienie właściwych sędziów w Anglii, Francyi, Hollandyi i Niemczech, ażeby powaga naukowéj Europy przedsięwzięcie jego uświęciła.

«Piérwszym moim krokiem w téj mierze była podróż do Anglii, gdzie, jak wiedziałem, istniały pewne uprzedzenia przeciw projektowi wice-króla. Starałem się więc oświecić opinią publiczną, i wydałem w Londynie broszurkę obejmującą główniejsze w tym przedmiocie dokumenty.

«Przekonałem się wtedy że w ogólności ludzie myślący nie przypuszczają tam wcale aby przedsięwzięcie korzystne dla całego świata mogło szkodzić interesom handlowym Anglii. Dalecy od potępienia z góry tego projektu, zapewniają oni owszém że łatwo go wykonać, i niepokoją się myślą że ktokolwiek posądzić ich mógł o wsteczne pod tym względem zamiary.»

Tu p. de Lesseps przystępuję do kolejnego odpiérania posłyszanych w Anglii zarzutów:

1. Że wykopanie kanału opóźnić może tak konieczną dla stosunków Anglii z Indyami Wschodniemi budowę drogi żelaznéj z Aleksandryi do Suez.

2. Że stosunki handlowe i żeglarskie Wielkiéj Brytanii ucierpić mogą na otwarciu téj nowéj drogi, która, jakkolwiek posługiwać będzie i własnym tego kraju okrętom, ale ułatwi zarazem żeglugę dla wszystkich narodów europejskich i dla Ameryki północnéj.

3. Że skrócenie drogi na Wschód średnio o 1,800 mil geograficznych dla Europy północnéj, a o 2,000 mil dla miejsc położonych na morzu Śródziemném, mogłoby w razie wojny zagrozić bezpieczeństwu Indyj angielskich.

Co do piérwszego p. de Lesseps utrzymuje iż kanał przez międzymorze i droga żelazna z Aleksandryi do Suez, dalekie od przeszkadzania jedno drugiemu, wzajemnie się owszém dopełniają;

gdyż droga żelazna po ukończeniu dopiéro kanału uzyskać może prawdziwe żywioły ruchu.

Co do drugiego autor nasz odpowiada, że jeśli wszyscy zyskają na wykonaniu tyle pożądanego przedsięwzięcia, to niezawodnie najwięcéj sama Anglia, jako dzierżąca Gibraltar, Maltę, wyspy jońskie, Aden, znakomite zakłady na wschodnich brzegach Afryki, Indye, Singapore i Australią.

Trzeci nakoniec zarzut p. de Lesseps usuwa myślą zawrzéć się mającéj pomiędzy narodami żeglarskiemi konwencyi, któraby zapewniła neutralność przepływu przez Suez, równając ją w tym względzie z ciaśniną dardanelską.

Autor sprawozdania obszérną i gruntowną pracę swoję, któréj ustępy wybitniejsze przytoczyliśmy w niniejszym artykule, zakończa temi słowy:

«Po wszystkie czasy najdzielniejszemi narzędziami ku rozniesieniu cywilizacyi były wojna i handel, Wojna, po wielkiém wysileniu którego jesteśmy świadkami, na długo zapewne ucichnie: jeden tylko handel nie przestanie coraz nowych czynić zdobyczy. Otwórzmy mu więc nową drogę; zbliżmy do Europy narody Oceanii, Australii, Chin, Indyj i Afryki, aby i ony uczestniczyć mogły w dobrodziejstwach oświaty.«

«Wzywamy do wielkiego tego dzieła wszystkich ludzi serca i rozumu, bo ono godném jest zaiste szczérego ich współdziałania. Wzywamy pomocy wszystkich znakomitości politycznych, gdyż zaprowadzenie tak dogodnéj kommunikacyi między dwiema półkulami wszystkie zarówno obchodzi narody. Wzywamy nakoniec do udziału kapitalistów całego świata; uznana bowiem przez sędziów kompetentnych wykonalność i korzystność zamierzonego przedsięwzięcia zapewnia im zyskowne procentowanie się summ zaliczonych.»

L. J.

MUZEUM PESZTEŃSKIE. (1)

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY ODBYTÉJ W ROKU 1854.

...Oddawna miałam zamiar być w muzeum peszteńskiém. Nie łatwo mi to przyszło, gdyż tylko letnią porą wolny tam jest wstęp dla publiczności; za usilném jednak staraniem dopięłam celu. Dyrektor muzeum, radca dworu Kubini, uprzejmie dozwolił mi zwidzić ten przybytek nietylko ojczystych pamiątek, lecz także drogocennych osobliwości i zabytków po Etruskach, Egipcyanach, Rzymianach, Sławianach i innych narodach odległéj przeszłości. Jakże nauczającém jest takie dotykalne poznanie rzeczy, o których po większéj części miało się wyobrażenie tylko z opisów, a rzadko kiedy z dokładnego rysunku! Piérwszemi przedmiotami na które przewodnik zwrócił moję uwagę były utwory dziecięcéj jeszcze sztuki, poczętego rozwoju intelligencyi. W istocie, czémże są te kamienie wygładzone przez tarcie, a może piérwiastkowo tak utworzone, okrągławe, w jednym końcu zaostrzone, w drugim przewiercone pośrodku, jakby zdjęte z toporzyska młoty i siekiery, czémże są, mówię, w porównaniu do dzisiejszych naszych narzędzi podobnego użytku? Potém przejście do cegły rzymskiéj, spójnéj dachówki i drobnéj mozaiki z foremnych cegiełek na posadzki ułożonéj, było potężnym skokiem. Na każdéj tafli ceglanéj znajduje się napis łaciński wyrażający liczbę i nazwę centuryi i legionu; są to tafle znajdowane w termach czyli łaźniach rzymskich, do dziś dnia rozsianych po odwiecznéj Panonii. Szły daléj pomniki grobowe z marmuru wykowane, niektóre zdobne w napisy, na innych mniéj więcéj wyraźne postacie ludzi i zwiérząt, z pod grubego wyszłe dłuta. Dwie tablice granitowe zapełniają hieroglify Egipcyan, na kilku innych odbite są bożki Ozyrys i Izys. Najwydatniéj przedstawia się taje-

---

(1) Zamieszczamy chętnie w Księdze Świata ten wyimek ze wspomnień podróży córki zmarłego niedawno i zasłużonego w piśmiennictwie naszém ś. p. Eustachego Leśniewskiego, byłego professora nauk przyrodzonych, którego prace w dziedzinie historyi naturalnéj przez kilka lat w każdym zeszycie pismo to drukowało. Podajemy ten urywek bez zmiany, tak jak go skréśliła autorka, nie wchodząc w rozbiór jéj domysłów archeologi cznych, do których i ona sama zapewne nie przywiązuje wartości ściśle naukowéj. (Przypisek redakcyi.)

mnica mitologii perskiéj: słońce w postaci silnego młodzieńca, pokonywającego byka; jedna rzeźba nieco uszkodzona i nieforemna, druga w całości prześliczna. Przedmioty te wszystkie zostały znalezione i zebrane na węgierskiéj ziemi, gdzie wojownicze syny Marsa z sobą je przyniosły i zostawiły. Przeszłam potém do sali popielnic starożytności: jest ich tam bez przesady do tysiąca, począwszy od najmniejszych, aż do urn bajecznéj wielkości, począwszy od niezgrabnych, krzywych, spłaszczonych, aż do wykwintnych, a nadewszystko zalecających się napowietrzną prawie lekkością. W niektórych są jeszcze kości, szczątki znikoméj siły i wielkości człowieka; przewodnik mój potrząsał niemi, brząkał o gliniane ściany naczynia: mnie zdjął jakiś niewyraźny smutek i święte poszanowanie. O! jak błogo temu kto ma potężną wiarę i przekonanie o szczęśliwszéj wieczności!

Obok popielnic mieszczą się gliniane lampki, razem znajdowane; przewodnik mój utrzymywał, że przy wydobywaniu ich z ziemi jeszcze goreją płomieniem gasnącym w zetknięciu z powietrzem: byłby to więc ogień żywy, wieczysty, którego tajemnica dzisiaj zaginęła. Od urn glinianych idzie się do urn ze szkła. Jak wyroby gliniane górowały nad naszemi, tak w zamian szkło porównać się nie da z naszém ani co do koloru i czystości, ani co do wykwintu formy. Tu widziałam bardzo wiele amfor i łzawnic; łzawnicami nazywam cienkie i podłużne flaszeczki, w które płaczki najęte przedajne łzy swoje, idąc za ciałem nieboszczyka, zbiérały. Amfory zawiérały w sobie miód, oliwę, albo mléko, bo trzy te napoje mieścili Rzymianie w grobach swoich, aby nawidzający ich bogowie mieli się czém posilić w gościnie. Zaszczytne te nawidziny nieczęsto widać się wydarzały, albo téż bogowie gardzili ziemskim napojem, gdyż w kilku amforach pozostało jeszcze nieco przestarzałéj do niepoznania cieczy. Czas i leżenie w ziemi pokryło szkło barwą opala, albo perłowéj macicy.

Wyroby z bronzu i miedzi zajmują niemało miejsca: są tam narzędzia do pisania, przytém woskowane tabliczki, daléj fibule czyli spinki do togi, druty skręcane spiralnie na osłonę ramienia walczących, albo téż zwite w płaskie krążki, chroniące boki głowy; różne kółka, klucze, kłódki, obrobione kawałki ostre, tępe, kręcone, niepodobne do żadnego z narzędzi dziś ogólnie znanych i używanych. Miedź dawniejsza tém się różni od naszéj że nie śniedzieje, czyli nie zniedokwasza się. Rzymianie nie znali żelaza, (?) innych metalów używali tylko w stanie rodzimym. O parę kroków daléj napotyka się cały poczet bożków brzydkich i powabnych, groźnych, strasznych albo nęcących do siebie, z ludzką, zwiérzęcą i mięszaną postacią, większych i mniejszych, czarnych, zielonych, żółtawych, mienionych, prawie we wszystkich kolorach. Nie są to tylko bogowie mitologii rzymskiéj, o nie, jest to mitologia ludów całéj przeszłości zbratanych z Rzymianami, albo téż ich potęgą ujarzmionych. Dwa bożki przedchrześciańskich barbarzyńskich Sławian wyrobione są z mosiądzu, w postaci zwiérząt, niby wołów. Wydrążone na wylot, przepuszczały przez się wlaną ciecz, co zapewne było cudotwórczym mistycyzmem religii prostodusznych bałwochwalców.

Licznie zebrane naczynia etruskie dziwnie są piękne pod względem lekkości i kształtu; wzory na nich coraz doskonalszego rysunku. Najdawniejsze na tle czerwoném mają figurki czarne, późniejsze na tle czarném malowane są czerwono. Wzięłam jeden puhar do ręki. Mierząc objętość oczyma, myślałam że go nie utrzymam: bynajmniéj, był lekki jak pióro! Zdjęłam pokrywkę z drugiego i znalazłam pod nią ażurowe sitko, w piękne drobniuchne arabeski wycięte; byłaż to tylko zabawka, czy rzecz na użytek przeznaczona? Obok tych pamiątek starożytności rzymskiéj, obok mumij egipskich, większych, mniejszych i miniaturowych rozmiarów, wyrobionych z kamienia, jest w muzeum peszteńskiém mnóstwo zabytków średniowiecznych, najwięcéj w zbrojach i puharach, któremi całe ściany zawieszono. Tu są bułaty różnokolorowe, podług epoki i wodza, tu tarcze, łuki, strzały i sajdaki z całym przyborem do naciągania cięciwy; tu buzdygany, włócznie, spisy, ostrze, kopije, halabardy; tu przyłbice, hełmy, karabele, koszule pancerne; tu całe armatury, kryjące rycerza od stóp do głowy, jakby skorupa żółwia, a na nich ślady odbitego cięcia i razów, ciężar na siły olbrzyma. W istocie, jakże tu dźwigać taką zbroję, a przytém wywijać oburęczną sztabą żelaza, spłaszczoną, obosiecznie w ostre zęby pokarbowaną, długą najmniéj na nasze dwa łokcie, dosiąść rumaka i spiąć go potężnemi ostrogami, co sterczą na dobre ćwierć łokcia? Dziś te pomniki po atletycznych przodkach naszych pokrywają lalki drewniane, z woskową albo papiérową twarzą, i straszą ciekawych szperaczy wieków minionych swą ponurą, martwą postacią. Do nowszych należą czasów całe

szeregi strzelb, pojedynek i dubeltówek, wielkich i coraz mniejszych, z polerowanéj stali, bogatych w srébro, złoto i drogie kamienie. Widziałam dwie szable: na jednéj ślicznie wyrobiony korab' Noego i dążące doń parami zwiérzęta, z jednéj strony ptastwo, a z drugiéj czworonogi. Na stalowéj szabli Karola V wyryty kalendarz z całorocznym poczтem Świętych. Widziałam szablę naszego króla Stefana, jatagany, sztylety, puginały, krzywe pałasze tureckie, purpurowy czaprak z siodłem, dar Solimana I dla Ludwika XII; oprócz tego dwa siodła Ludwika, wykładane kością słoniową, a na nich całe homerowe boje. Z pamiątek polskich są jeszcze iglice do włosów Elżbiéty Łokietkównéj, łyżka stołowa króla Stefana Batorego, naszyjnik złoty zdobny drogiemi kamieniami, praca Zygmunta I z rodu Jagiellonów. Przez Barbarę, piérwszą małżonkę tego króla, przeszedł on w posiadłość rodziny siedmiogrodzkiéj Zapolia, a następnie do narodowego Madziarów muzeum. Niepodobna aby tam niebyło więcéj tych pamiątek, zwłaszcza po Jadwidze, Warneńczyku i innych osobach historycznych; nieświadomość mego przewodnika mogła je pominąć, a brak katalogu miejscowego wątpliwości nie wyjaśnił.

Tak więc mało znalazłam polskich pamiątek; natomiast wiele innych. Każda znakomita rodzina węgierska i siedmiogrodzka zapisała tu swe nazwisko dotykalnemi pomnikami; co chwila brzmi wyrazy: Zapolia, Batory, Zrini, Karoli, Huniady, Rakoczy, Zichy, Marczypany, Jankowicz i wiele innych jeszcze, bo każdy w szlachetném uniesieniu i w chęci podniesienia narodowości, spieszył złożyć posiadane skarby na ołtarz dawnéj chwały i przyszłych nadziei!

Ślicznym jest zbiór puharów, czar, roztruhanów różnoczesnych, z kryształu, konch morskich, srébra, złota, drogich kamieni i porcelany; obok tego wiele dawnych bardzo farfur i przyrządów stołowych. Duchowieństwo złożyło tu cząstkę swoję w kielichach, monstrancyach i pysznych okładzinach książek do nabożeństwa; szkoda że to są tylko okładki, choć bardzo wiele na nich srébra i złota. Nader powabnie wygląda mały ołtarzyk złoty, zdobny ametystami, a w nim wyobrażenie Matki Zbawiciela, piastującéj na ręku nadzieję ludów, Jezusa, całość z jednéj perły prawdziwéj, cudotwór przyrody i sztuki!

Po środku sal muzeum stoją oszklone płaskie skrzynie, a w nich rozgatunkowane zbytkowne stroje, począwszy od egipskich i rzymskich, aż do nowoczesnych; wiele sygnetów, pierścieni z kamienia i metalu. Rzymskie prawie wszystkie zdobne są kameami; sygnet Juliusza Cezara ma swój napis, wszystkie dziwnie są wielkie i grube. Kolczyki dam rzymskich szczérozłote, z perłami, koralami, kamieniami, bursztynem i szklanemi paciorkami. Niektóre są małe, inne potwornéj wielkości; myślę że je damy rzymskie tylko zawieszały na głowie, tak jak niedawno jeszcze czyniły to polskie żydówki w rąbek strojne. Są tam i bransoletki, i kolie czyli naszyjniki, łańcuchy złote, nawet dosyć delikatnie wyrobione, ale nie tak po mistrzowsku, jak za dni naszych. Po większéj części są to wyroby massif ukute; nierzadko każdy z osobna po funcie złota czystego waży, jak naprzykład owe krążki z wyobrażeniem popiersia panujących, albo owe nawpół roztwarte pierścienie, zdające się służyć ku ozdobie ramienia, gdy tymczasem brak ułatwiających rozwarcie zawiasów naprowadza na domysł, że te pierścienie służyły do utrzymania zebranych razem fałdów togi zarzucanéj na ramię.

Wszystkie te rzeczy znalezione były w ziemi, w starych grobowcach, w zawalonych kopalniach, na miejscach gdzie stały obozem legiony rzymskie, lub się toczyły krwawe boje. Obok szpilek dam rzymskich, mieszczą się iglice Węgierek, ich naszyjniki, kolce i długie do ziemi, ciężkie od srébra złota i drogich kamieni pasy węgierskiego stroju. Obok bogatych fibul Rzymian, leżą zapinki Madziarow wypukłe, jak odwrócone do góry dnem dzisiejsze filiżanki. Każdemu zwidzającemu muzeum pokazuje przewodnik nożyczki Elżbiéty Batorównéj, a zgrozą przejęty powiada, że ta okrutnica w zamku Czachtice, tam gdzie Nitra płynie, zabijała czyste dziewice, aby się we krwi ich skąpać, a przez to ożywić więdnące swe wdzięki.

Czépeczki, manele dawniejsze, śmiésznie i nędznie wyglądałyby przy naszych barwistych stroikach, choćby nie paryzkich; natomiast cóż wyrówna piękności tych odwiecznych koronek, co ich ani czas, ani wilgoć grobowców dotąd nie strawiła. Niektóre mają już więcéj jak lat trzysta: gdzież jest czarodziejka Arachne, coby je dziś naśladować mogła? Daninę w butach, pantoflach i trzewikach przekazała jeszcze przeszłość teraźniejszości. Wyznać trzeba że zawiłą była szewca robota, i kiedy odrobił atłasowe, safianowe z haftami, na wysokich korkach, podgiętych ku środkowi podeszwy, trzewiki, to tak, jakby rozwiązał węzeł gordyjski. Patrząc na to obuwie mówiłam: takie to korki Sarmatowie nasi ustrzeliwali odważnym dziewojom,

a potém pili wiwat z trzewika. Węgrzy nie znali tego obyczaju.

Jeszcze nowsze sale przedstawiają znajome nam przedmioty: piękne mozaiki, wyroby stolarskie, biurka, jak to które Jan Sobieski dostał od papiéża po ocaleniu Wiednia, fortepiany z komarowym brzękiem, zapewne piękne w swoim czasie, teraz już śmiészne. Kto wié jak nasze kiedyś się wydadzą? Tu są roboty znakomitych mistrzów Albrechta Dürer, Benvenuto Cellini, zwłaszcza z kości słoniowéj, jakby puszkiem przysypane, niby mróz na szybach. Do nich należy piękny kubek chiński ze srébra filigranowéj roboty, nakształt zkrzyżowanéj pajęczyny, owoc dziwnie cierpliwéj drobiazgowości dzieci państwa Niebieskiego. Równie pięknie odrobioną jest ćma i szarańcza przez jednego z dziś żyjących jubilerów w Peszcie.

Dwa starodawne malowidła przedstawiają dawniejsze miasto Buda z królewskim zamkiem i dworem, gdzie, za podstępném knowaniem dumnego Wojewody Gara, spadła pod cięciem topora szlachetna głowa Huniady, małżonka Maryi Gara. Fakt ten historyczny stanowi treść tegoczesnéj opery w narodowym madziarskim teatrze przedstawianéj, do któréj znakomity talentem maestro Erkel, dyrektor orkiestry peszteńskiéj, muzykę utworzył. Drugi obraz łączy się z historyą Rossyi: wyobraża salę posłuchalną w Kremlu; w niéj monarcha na tronie, pośród siedzących bojarów i duchowieństwa. Deputacya Węgrów przyprowadza rzemieślników i ludzi talentu, o których Jan I prosił Macieja Korwina króla Madziarów. Do najnowszych pamiątek należy złocona harfa Maryi Antoniny i butelka z któréj Napoleon pił węgrzyna w Raab.

Płodna przyroda węgierskiéj krainy dostarczyła młodym rzeźbiarzom białego marmuru, z którego umiejętne dłóto wyciosało piękną Wenerę pieszczącą się z Amorkiem i popiersia znakomitych nauką mężów tego kraju. Damy węgierskie złożyły się i wzniosły wśród sali muzeum marmurowy obelisk z napisami, a na nim skrzydlatego orła, na cześć ulubionego swego rymotwórcy.

W ogóle nie można jak tylko wielbić Węgrów za ich starania o wszystko co jest narodowém, ojczystém: nie szczędzą darów, zabiegów i kosztów na zbogacenie świętego przybytku swéj chwały. Kilkanaście sal obszérnych nie wystarcza na pomieszczenie zebranych dotąd szczegółów, liczba ich wciąż się pomnaża, już to pojedynczemi darami, już świéżemi wykopaliskami i znalezinami; trudno jest zrobić wybór rzeczy ciekawych, trudno spamiętać co się widziało. A cóż dopiéro powiémy dołączywszy gabinet medalów i monet, oraz galerye obrazów!.....

Bronisława Leśniewska.

KROKODYL GANGESOWY.

Krokodyl gangesowy (Gavialis gangeticus), od Malajów *Mudela* zwany, zamieszkuje wybrzeża i wyspy wschodnich Indyj, jak równie wschodnie brzegi Afryki. Głównem jednak miejscem jego pobytu są brzegi Gangesu i rzék do niego wpadających.

Podamy tu kilka szczegółów dotyczących tego zwiérzęcia, które sądzimy że nie będą bez interesu dla czytelnika.

Krokodyl jest jedném z najdrapieżniejszych i najniebezpieczniejszych zwiérząt Azyi i Afryki. Pożywienie jego bywa bardzo różnorodne; zjada wszystkie bez różnicy zwiérzęta tak żywe jak martwe, nawet w najwyższym stopniu zgnilizny znajdujące się. Najpospoliciéj jednak służą mu za pokarm ryby i zwiérzęta wodne. Na lądowe poluje on na sposób kota: kładzie się nad brzegiem rzéki i czatuje bez najmniejszego poruszenia, dopóki zdobycz nie zbliży się tak, że jednym skokiem może ją dosięgnąć. Wtedy rzuca się na nią z nadzwyczajną szybkością i pewnością, obejmuje zębami i wciąga pod wodę.

Nawet ptaki nie są od niego bezpieczne. Jeden z podróżujących po wyspie Borneo widział tego rodzaju polowanie krokodyla. Leżał potwór rozciągnięty na szlamistym lecz wystawionym na słońce brzegu rzéki, nie okazując żadnego życia. Dopiéro gdy wyszukujący sobie pożywienia kulig znalazł się w blizkości jego paszczęki, rzucił się nań i połknął go w mgnieniu oka. Podobnym sposo-

bem udaje mu się nieraz schwytać psa, kozę, małpę, a nawet człowieka. Pies tylko, bardzo przewidujący, niełatwo da się podejść udaną jego bezwładnością. Jeżeli spostrzeże krokodyla nad brzegiem rzéki, zbliża się pomaleńku, ze skowyczeniem, zatrzymuje się co chwila, i tylko silne pragnienie potrafi jego strach przezwyciężyć.

Poruszenia krokodyla przy schwytaniu i unoszeniu zdobyczy są tak szybkie, że często podróżni nie spostrzegą nawet co się stało z ich towarzyszem. Jeżeli zdobycz jego jest małą, zjada ją natychmiast, jeżelizaś większych rozmiarów, ukrywa ją w mule rzecznym, a wieczorem dopiéro lub w nocy wynosi na brzeg i tam pożera.

Przypadki porwania ludzi przez krokodylów są częste, a przesąd że kąpanie się w Gangesie jest religijnym obowiązkiem, jeszcze bardziéj ich liczbę powiększa. Krajowcy są tak zabobonni, że śmierć przy dopełnieniu tego obrzędu uważają za dopuszczenie Bozkie, i nie odwodzi to ich bynajmniéj od kąpania się nazajutrz w tém samém miejscu, gdzie dziś krokodyl pożarł jednego z ich towarzyszów.

Niekiedy krokodyl, chcąc łatwiéj dostać swą zdobycz, uderza silnie ogonem w małe czółenko, jakich pospolicie krajowcy używają, przewraca je, i nieszczęśliwi wioślarze stają się jego łupem. Niekiedy znowu podsuwa się pod łódkę, i lotem błyskawicy chwyta jednego z wioślarzów. Tego rodzaju przypadek miał miejsce na rzéce Sungej-Karan, na kilka miesięcy przed przybyciem tamże holenderskiego towarzystwa badaczów natury.

Niedawno zaślubiony Malajczyk ze wsi Ketap popłynął ze swoją młodą małżonką na małém czółenku, dla odwidzenia krewnych. W powrocie noc ich zaskoczyła, byli więc niezmiernie strwożeni; krokodyl bowiem, podobnie jak gatunki kota pomiędzy ssącemi, jest więcéj nocném aniżeli dziennem zwiérzęciem. Już prawie do ujścia rzéki przybyli i nadzieja wstąpiła w ich serce, bo potwór ten niechętnie wypływa na środek szérokich wód, gdy nagle łódka się zachwiała, a przestraszona kobiéta, na przodzie bacika siedząca, już tylko ramię swego męża nad wodą dostrzegła.

Bakal Bodien, naczelnik téj okolicy, a stryj nieszczęśliwie zginionego, kazał przedsięwziąć wszelkie środki ku zgładzeniu potworu, co tak bolesną wyrządził mu krzywdę. Użył do tego Pangeeransów, klassy ludzi wyćwiczonéj w łowieniu krokodylów. Ci wypełnili rozkaz najstaranniéj, wybijając bez różnicy wszystkie krokodyle, tak że holenderscy badacze natury, przybywszy w te strony, znaleźli z tego względu sposobność wzbogacenia swoich zbiorów mnóstwem czaszek z ubitych krokodylów, w skutek czego nawet niektóre gatunki dawniéj już opisane dokładniéj odróżniono. Nakoniec i potwór który przez swoję drapieżność tę krucyatę wywołał został schwytanym i ubitym, a jego ogromna czaszka ozdabia dziś gabinet zoologiczny w Lejdzie.

Polowanie na krokodyle jest niezmiernie trudne, są ony bowiem bardzo bojaźliwe i ostrożne. Jeżeli wyjdą na brzeg, to za najmniejszym hałasem rzucają się w wodę i natychmiast nikną w jéj toniach. Słuch mają tak wyborny, że zbliżającego się człowieka czy to lądem, czy wodą na 40, niekiedy na 100 kroków odkrywają.

Kulą krokodyl może być ugodzony tylko pod okiem i za uchem; reszta ciała, z powodu silnego pancerza, jest dla strzałów nieprzystępną. Lecz nawet gdy zostanie dosięgniętym w oznaczone miejsce, niełatwo go jeszcze schwytać, bo choć śmiertelnie raniony, ma jeszcze dość siły ażeby dostać się do wody, a jeżeli to mu się uda i krzaki nie przeszkodzą wykonaniu ucieczki, już wtedy dla myśliwego zupełnie jest straconym.

Krajowcy mają rozmaite sposoby łowienia krokodylów. Pospolicie używają wędy, która składa się z powrozu starannie z trzciny wyrobionego i kawałka drzewa 4 cale długiego a 1 i pół cala średnicy mającego, zaostrzonego na obu końcach. Na ten kij zaciągają kawał świéżego mięsa, a na wiérzchu okręcają go trzciną, aby nie dozwolić krokodylom obgryzać mięsa po kawałku. Przygotowaną tym sposobem wędę przymocowywują do pnia, tak ażeby przynęta na 2 stopy pod wodą się znajdowała.

Skoro krokodyl połknie przygotowany dla siebie kąsek, Indyanie chwytają za wolny koniec powroza i silném targaniem starają się wędę głębiéj w miękkie ciało krokodyla wcisnąć. Następnie, nie bez trudu wyciągnąwszy go na brzeg, zarzucają mu na szczęki i na nogi powrozy z włókien kokosowych, i mocno je krępują. Jeżeli polowanie miało miejsce w blizkości wioski, zbiérają się wszyscy mieszkańcy i wszelkiemi sposobami dręczą bezbronnego nieprzyjaciela, mszcząc się za krzywdy sobie wyrządzane. Jednakże i w tym stanie jest on jeszcze bardzo niebezpiecznym, i trzeba zdaleka się trzymać żeby nie dostać razu silnym jego ogonem, którym miota na wszystkie strony.

Pangeeransi zajmujący się łowieniem kroko-

dylów odznaczają się nadzwyczajną odwagą i przytomnością umysłu, która często w junakieryą przechodzi. Opowiadają o jednym z nich, że zobowiązał się dosiąść grzbietu żywego krokodyla. Trzymając nóż w zębach, a w ręku sztabę żelaza, po któréj końcach były umocowane dwa rzemienie, przyczołgał się do brzucha śpiącego z otwartą paszczą krokodyla. Następnie, stojąc przy boku zwiérzęcia, wsunął mu w paszczę ową sztabę żelaza, a sam żwawo go dosiadł, trzymając w ręku jak lejce dwa rzemienie po końcach sztaby umieszczone. Przestraszony krokodyl szybko sunął do wody, lecz nim ją zdołał dosięgnąć, Indyanin utopił mu nóż w serce i zręcznie odskoczył na bok, unikając niebezpiecznego uderzenia ogonem.

W wielu okolicach Indyj krokodyl jest przedmiotem czci religijnéj. Na Jawie, gdzie stanowi on jednę z najokropniejszych plag miejscowych, ażeby go przebłagać corocznie czynią mu ofiary, które z wielką wystawnością i przepychem bywają urządzane. Ofiary te składają się z owoców, wieńców, bukietów i najpyszniejszych potraw, a szczególniéj cukrów. W innych miejscach matki własne dzieci krokokodylowi ofiarują, ażeby bogów przebłagać i od przyszłych nieszczęść się uwolnić. W oznaczonych dniach zbiérają się ony licznie z ofiarami na małych łódkach, w towarzystwie kapłanów i muzyki.

Łodzie przyozdobione są kwiatami, a wesołość panująca przy tym pochodzie zdaje się zapowiadać, że zebrani na najprzyjemniejszą uroczystość, a nie na krwawą i zabobonną ofiarę pospieszają. Krokodyle, jakby uprzedzone o czasie i miejscu, zbiérają się w niesłychanej liczbie, i skoro tylko ofiara zostanie wrzuconą, chwytają ją i rozrywają. Krzyk tłumu, zachęcające wołania kapłanów, bolesny jęk niewielu, pluskanie i walka żarłocznych potworów przy rozrywaniu na kawałki nieszczęśliwych dziatek w oczach ich wyrodnych rodziców, cała powiérzchnia wody krwią zarumieniona i zasypana kwiatami: oto obraz godny wstrętu i obrzydzenia, który przy tych zabobonnych i fanatycznych obrzędach oczom widza się przedstawia!

Naoczny świadek takich ofiar opowiada następujące zdarzenie. Jakaś kobiéta, chcąc wybłagać sobie błogosławieństwo u swojego bóstwa, ofiarowała mu nowonarodzone dziécię; lecz miłość macierzyńska wstrzymywała ją od spełnienia ofiary tak długo, że dziécię na słuszną dziewczynkę wyrosło. W tym właśnie czasie, zbiegiem rozmaitych okoliczności, całą rodzinę dotknął szereg nieszczęść. Radzono się wyroczni, i kapłani uznali że to skutek gniewu bożego za niedopełnienie ślubu i że dziewczynkę poświęcić należy. Przesądni rodzice zezwolili na wszystko. Wzięto więc nieszczęśliwą na małe czółenko, obdarto z niéj ozdoby, odzienie nawet, i zepchnięto ją do wody. Biédna ofiara padła na nogi i zdołała uciec do brzegu, wpiérw nim ją krokodyl dosięgnął. Lecz to jéj nie ocaliło. Wykonawcy okrutnego obrzędu wysiedli z łódki i błagającą o łaskę dziewczynkę wpędzili długiemi kijami napowrót do wody. Wielki krokodyl szybko ku niéj podpłynął, i z krzykiem przestrachu zniknęła ona w bałwanach.

Szkodliwe więc i niebezpieczne są krokodyle dla ludzi, ale i przysługa jaką im czynią niemałéj jest wagi. Oczyszczają ony wody rzeczne od ciał gnijących, które nie będąc usuwane zaraziłyby powietrze. Wiadomym jest bowiem zwyczaj Indyan, że skoro który z nich zachoruje, wynoszą go krewni na brzeg świętéj rzéki, a gdy stan jego się nie polepsza, rzucają go w jéj nurty. Podobnież zwłoki każdego zmarłego w domu wrzucają do świętéj rzéki, gdzie przez krokodyle, lub téż, po wyrzuceniu ich na ląd, przez sępy i szakale bywają pożerane.

CHOROBA GÓRNA.

Tę nazwę Hiszpan Acosta nadał chorobliwym przypadłościom jakich doznają organizmy zwiérzęce w bardzo znacznych wysokościach, przypadłościom zwanym przez Peruanów *Puna* albo *Soroche*, przez Hiszpanów *Veta* lub *Mareo*.

Jak większa część podróżników-żeglarzy podpada morskiéj chorobie, tak prawie każdy co w którymkolwiek punkcie naszéj ziemi wzniesie się do znaczniejszéj wysokości doznaje pewnych zatamowań, mniéj więcéj ważnych, w swych sprawach

żywotnych. W istocie miano *Mareo* przypomina chorobę morską, bo nawet dosłownie *Mareo de la Puna* znaczy choroba morska Puny, to jest płaszczyzn górnych Peru. Acosta (około r. 1600) piérwszy doświadczył i opisał tę chorobę. Wchodząc na wiérzchołek Pariacaca, dostał on łkania połączonego z boleściami, krztuszenia i krwawych wymiotów. Towarzysze jego podobnymże podlegali cierpieniom, a niektórzy z nich tak silnie zostali dotknięci, że do dalszéj podróży zupełnie byli niezdolnemi.

W ogólności najwyraźniéj objawia się ta choroba na Andach peruańskich, mianowicie na drogach prowadzących do wiérzchołka srébrodajnéj góry Cerro de Pasco, tak licznie przez Europejczyków uczęszczanych. Zaledwo przybysz postąpi kilkaset kroków na Cerro de Pasco, uczuwa nieopisaną jakąś ociężałość, a jeśli wyżéj wspinać się zacznie stromemi ścieżkami, doznaje zatamowania oddechu, lekkiego bólu głowy i kongestyj, znak niezawodny że nieuniknie zgubnego wpływu puny. Chociażby silném postanowieniem oprzéć się usiłował coraz rosnącemu cierpieniu, wkrótce przecież ciało bierze górę nad duchem. Podobnie jak w gwałtownych napadach morskiéj choroby, i w punie następuje moralne odrętwienie, zły humor i w końcu hipochondryczne zrozpaczenie. Nie mniéjszéj wagi są cierpienia fizyczne, których objawy bywają cięższe lub lżejsze, stosownie do organicznego ustroju chorego.

W niższym stopniu przypadłość ogranicza się na zatamowaniu oddechu. Idąc, co kilka kroków czuje się potrzebę odpoczywania. Chory stara się bezskutecznie przez głębsze oddychanie i rozszérzanie ile możności klatki piersiowéj napełnić płuca powietrzem; zdaje mu się że odycha w próżni. Uczucie osłabienia wzrasta coraz bardziéj; nogi drżą pod idącym, który chwyta się skwapliwie przedmiotów w drodze napotykanych, dla wsparcia zachwianych swych kroków. Tylko w stanie zupełnego spoczynku zmniejszają się cierpienia fizyczne; lecz przekonanie o nieuchronności złego wzmaga rozstrojenie moralne, tak iż najsilniejszy wolą mężczyzna staje się słabym jak dziecko.

W wyższych swych stopniach puna sprowadza omdlenia, kongestye do głowy i płuc, sprawiające przykrość niewypowiedzianą, cierpnięcie rąk i nóg i przyspieszone uderzenia pulsu, od 108 do 110 na minutę. Pomimo nieprzezwyciężonéj ospałości, chory usnąć nie może; noc owszém staje się dla niego porą prawdziwie męczeńskich dolegliwości. Nie mogąc znieść położenia poziomego, szuka on ulgi w zmianach coraz nowych, i podobno najskuteczniéj znajduje ją przy ogniu kominkowym, w powietrzu napełnioném wyziewami węglowemi. Oczy tak stają się draźliwemi że czytać niepodobna, przyczém jedni doznają mniéj więcéj silnego bólu głowy, inni nieznośnych ckliwości i różnych cierpień organów trawienia, zupełnie jak w chorobie morskiéj. Niekiedy na wargach powstają strupy, które przy mówieniu zakrwawiają się w sposób bardzo bolesny.

W najwyższém rozwinięciu chorobie górnéj towarzyszy spluwanie krwią i majaczenie. Po 6—12 dniach cierpienia większa część chorych zaczyna przychodzić do zdrowia, ale tygodnie upływają zanim ustąpi ociężałość i trudność oddychania.

W podobny sposób puna objawia się i na innych wyniosłościach ziemi, czepiając się jednak szczególniéj twarzy. Przy wnijściu r. 1787 na Montblanc, słynny naturalista szwajcarski Saussure zasłonił twarz krepą i tym sposobem zachował ją zdrową; lecz służącemu jego, który zaniedbał téj ostrożności, nabrzmiały policzki i wargi, a późniéj bolesne na nich potworzyły się strupy. Uczony Zumstein, powracając r. 1819 z Monte-Rosa, z wysokości 14,428 stóp, miał głowę niekształtnie nabrzękłą, zupełnie o tém niewiedząc. Przypadłość ta zdarza się niekiedy i w podróżach napowietrznych. Tak np. aeronauta Robertson, kiedy w r. 1803 wzniósł się z Hamburga, nie mógł w końcu włożyć kapelusza.

Z wyliczonemi przypadłościami łączy się zwykle brak apetytu i senność niepowściągniona. Uczonym którzy w celach naukowych na znaczne wstępują wysokości, z trudnością nieraz przychodzi czynić potrzebne na narzędziach matematycznych i fizycznych spostrzeżenia. Jednakże Saussure zapewnia że czuł się w górze lżejszym, chciwszym badania i bardziéj wynalazczym jak w równinie. Usposobienie to u kapitana Sherwill na górze Montblanc do tego wzmogło się stopnia, iż zdawało mu się że nogami niedotyka ziemi.

Jako fakt szczególniejszy przytoczyć tu jeszcze wypada że z siedmiu Anglików którzy w nowszych czasach weszli na wiérzchołek Montblanc, trzech późniéj dostało pomięszania zmysłów.

I u zwiérząt podobne objawiają się oznaki. Na Cerro de Pasco koty w krótkim czasie zdychają

Stahlstich v. Carl Mayer's Kunst-Anstalt in Nürnberg.

Lawina.

w bolesnych kurczach, lubo w stanie zupełnego spoczynku, naprzykład w balonie, znieść ony mogą daleko większe wysokości. To samo na sobie uważali aeronauci, z których Green w wysokości 27,136 stóp niedoznawał żadnéj dolegliwości; wtedy tylko gdy się poruszył dla wyrzucenia ballastu, uczuwał przyspieszenie pulsu i oddychania.

Przyczyny tych dziwnych przypadłości badacze tegocześni szukają w nieprawidłowém tworzeniu się krwi, skutkiem zmniejszonéj ilości kwasorodu i silnego parowania, tudzież w działaniu światła na organa mózgowe. Tym sposobem nietrudno będzie wytłumaczyć przyspieszone oddychanie i krążenie krwi, kongestye, senność, a szczególniéj niezmierne znużenie podróżnych. Zbyt nagłe parowanie, w połączeniu ze zmianą temperatury, sprowadza zapalenie skóry i oczu, przyczém naturalnie i rażący blask śniegu niepoślednią gra rolę. Uczucie nakoniec lekkości, obok braku siły, duszność i cklwość przypisać należy zmniejszonemu ciśnieniu powietrza.

Jeżeli tłumaczenie powyższe uznamy za prawdziwe (a niéma powodu wątpić o jego zasadności), to najskuteczniéj będzie ubezpieczyć skórę za pomocą ciepłéj odzieży, twarz przez pokrycie jéj krepą, a oczy przez noszenie niebieskich okularów. W zapobieganiu innym przypadłościom choroby górnéj stosować się wypadnie do indiwidualności.

Następstwa puny w rzadkich tylko wypadkach zagrażają życiu chorego. Doświadczenie nawet uczy że człowiek przywyknąć może zwolna do stref w których kondor tylko swobodną oddycha piersią. Znędznienie jednak fizyczne w takich wysokościach dowodzi iż natura nie przeznaczyła człowiekowi na mieszkanie przestrzeni nadobłocznych, że owszém wszechwładna jéj ręka zakréśliła pewne granice, których bezkarnie przekroczyć mu nie wolno.

LAWINA W SZWAJCARYI

PRZEZ

Doktora T. T.

I.

Na najszlachetniejszym gruncie Szwajcaryi, w saméj kolébce tego kraju, leży nad brzegami uroczego jeziora Lucerny miasteczko Altdorf, zwane także Uri, dlatego że jest stolicą tego kantonu.

Oto klassyczna ziemia Helwecyi!

Niedaleko ztąd o pół milki w wiosce Burglen rodził się lat temu sześćset ów dzielny wieśniak Wilhelm Tell, który razem z dwoma innemi wieśniakami założył dnia 17 października 1307 roku konfederacyą szwajcarską, do dziś dnia istniejącą, codziennie mocniejszą i szczęśliwszą.

Samo miasteczko Altdorf, lubo pięknie położone, nie jest ani świetném, ani okazałém, ani bogatém. W roku 1799 zniszczył je straszliwy pożar, i w tym samym roku wojna tocząca się pomiędzy Francyą i Europą przeniosła się na spokojną i szczęśliwą ziemię Szwajcaryi. Wtargnęły wojska francuzkie, rossyjskie i austryackie; kolébka konfederacyi nieraz została zalaną krwią i pożogami i zupełnie zniszczała pod kulami przyjaciół i nieprzyjaciół.

Dopiéro w piętnaście lat potém, gdy się stępiły oręże i bóg wojny zaklętym został na skale Atlantyku, dopiéro wtedy wrócił błogi pokój i rozlał dary swoje na obolałą Europę. Biédny kanton Uri wziął się do odbudowania stolicy swojéj, z któréj nic prawie nic pozostało, prócz starożytnéj wieży Tella i dwóch historycznych fontann, wzniesionych na miejscu z którego dzielny łucznik szwajcarski strzelał do jabłka postawionego na głowie syna swojego.

Ale szlachetna ta ziemia nie jest bogatą ani żyzną; mieszkańcy tutejsi żyją jedynie z mleczywa, z owoców niebardzo urodzajnéj ziemi i z rybołóstwa. Żaden tu przemysł ani handel nie kwitnie; to téż wszystko tchnie patryarchalną prostotą i dobrocią, układem zaś i ubiorem mieszkaniec tutejszy, do jakiegokolwiek stanu należy, niewiele się różni od owych dawnych wieśniaków szwaj-

carskich, którzy kiedyś założyli rzeczpospolitą. Zresztą oświata ludności tutejszej pozostała na stopie patryarchalnéj; wierzą tradycyom przeszłości dawno miniętéj. Wprawdzie każdy z mieszkańców, chcący używać praw obywatelstwa i zyskać sakrament małżeństwa, musi umiéć czytać i pisać, i oprócz karłaków, to jest kretynów, wydarzających się tutaj, wszyscy umieją czytać i pisać, tyle katechizmu i rachunków ile w elementarnych szkołach można się nauczyć; ale téż rzadko kto umié więcéj, i nawet władze rządowe i sądowe kantonu Uri wcale jeszcze nie uznały potrzeby jakiéjś wyższéj oświaty.

«Kiedy wszystko idzie jakoś bardzo dobrze i przy tym nizkim stopniu oświecenia, więc pocóż pragnąć większego, mogącego wprawić poczciwe głowy nasze w jakieś obłędy?»

Tak sobie tutaj rozumują ludzie, ojcowie zaś jezuici, opiekujący się tak czule ich szczęściem i oświeceniem, wcale nie nalegają na podwyższenie skali nauk w szkołach, tylko je odwidzają od czasu do czasu, i skoro w bakalarni zoczą jakiego zdolniejszego ucznia, to go zabiérają z sobą i wychowują w własnych szkołach, najczęściéj w Fryburgu, na jezuitę.

A kto nie może być jezuitą, ten musi pozostać rolnikiem, rybakiem, pasterzem, ogrodnikiem, ten musi ciężko pracować, płacić dziesięciny i służyć ojcom jezuitom na każde skinienie, podczas pokoju i wojny.

I tak rok po roku i wiek po wieku schodzą dla kantonu Uri i przyległych pierwotnych kantonów w błogiém i skromném szczęściu i w miłéj niewiadomości wyższego lub przestronniejszego życia. Stan ten już trwa sześćset lat i może sobie potrwać jeszcze....

II.

Nie! ja się mylę, stan ten już nietrwa od lat kilku i nigdy niepowróci więcéj; los wiszący nad kantonem Uri już został odwróconym, siła trzymająca jego przyszłość w zaklęciu już zniszczona: jedném słowem jezuici ustąpili z kraju, rozjaśnił się pomrok, zakwitły nauki, obudziła się estetyczność w prostym i rubasznym ludzie, zerwał się przemysł i handel, dotychczas za niemożliwy uważany, i sprowadził dobry byt do kraju, dotąd tylko w piérwsze potrzeby życia, i to nader miernie, obfitującego. Miasteczka Altdorf już niepoznasz, jeśliś go nie widział od dziewięciu lat; stanęły w niém: gmach szkólny, mały ale bardzo piękny teatr, prześliczna apteka, kilka chat i fabryk; miasteczko przeciągnęło się pięknemi ogrodami i domkami wiejskiemi aż ku brzegom jeziora, na którego falach kołyszą się dwa parostatki, należące do kantonu Uri, ułatwiające handel przewozowy i kommunikacyą z Lucerną i z innemi miastami na brzegu wielkiego jeziora cztérech kantonów położonemi.

Nowy zupełnie tu nieznany cieplik życia rozgrzał te ogromne i silne ciała, w których tkwiły dobre, pojętne, ale nieokrzesane i fanatyczne dusze, i powiedzieć można że kanton Uri należy do oświaty dopiéro od chwili, jak z niego ustąpiło owo czarne robactwo, przeciwko któremu sam ojciec święty pozwolił wytoczyć w r. 1847 sprawę.

III.

Oddajmy także sprawiedliwość szlachetnemu cudzoziemcowi, bez którego zapału, rad, pomocy i przykładu to dziwne przebudzenie się z umysłowego letargu pewnieby tak szybko w kantonie Uri nie było nastąpiło. Ten cudzoziemiec, wysoki, przystojny, z smętném i szlachetném obliczem, oczywiście syn dalekiéj północy, ale nie Niemiec, założył tutaj w Altdorf piérwszą szkółkę, w któréj uczono mówić poprawnie po niemiecku. Dotychczas bowiem wyżsi i niżsi zadowalniali się owém szkaradném szwabskiém narzeczem, którém lud prosty mówi w Niemczech południowych i w starych kantonach Szwajcaryi. Dziwnych musiał doświadczyć kolei losu ten cudzoziemiec, który w lat kilka tak się wzniósł u Szwajcarów w powagę, że mu rząd powierzył inspektorstwo nauk w trzech kantonach: Szwyc, Uri i Unterwalden; dziwnych musiał doświadczać kolei losu, bo już sama osobistość jego to okazuje: prawéj nogi wcale niéma, a lewą rękę nosi w temblaku.

Ale nie w walce z ludźmi pan Bronisław postradał nogę i poszwankował na ramieniu, tylko w boju z rozhukanym śniegiem Szwajcaryi; a że warto znać szczegóły nieszczęśliwego zdarzenia, które naszego ziomka zrobiło kaléką i zarazem obywatelem Szwajcaryi, więc przysłuchajmy się jego własnemu opowiadaniu.

IV.

W jesieni roku 1851 powracałem do zagród rodzinnych nad brzegi Warty. Powracałem z myślą frasunkiem ciężką, wszystkie bowiem zawiodły mnie nadzieje.

We Włoszech chciałem się wykształcić na malarza; potém usiłowałem na inném polu służyć ludzkości; ale brakło talentu na jedno, szczęścia na

drugie, i zniechęcony powracać musiałem do domu, w którym wiedziałem że zastanę tylko biédę.

Więc wracałem smutny, i żal mi było siebie, żal nawet energii i siły, którą posiadałem jeszcze wówczas po tylu cierpieniach i pracach; przenikała mnie myśl okropna, że ony może się nie zdadzą nikomu.

Już jesteśmy na pograniczu Włoch i Szwajcaryi. Jadę dyliżansem, z kilką młodemi wesołemi ludźmi, których pędziła po świecie chciwość wrażeń i zysku materyalnego. Nie wchodziłem z niemi w żadną rozmowę; oni, widząc żem w smutnych myślach pogrążony, nie zaczepiali mnie także, a dowiedziawszy się zkąd i dokąd jadę, ruszyli złośliwie ramionami i dali mi pokój.

Spostrzegłem nawet że towarzystwo człowieka w smutku pogrążonego niewygodném jest dla szczęśliwych synów ziemi. Korzystam tedy z nieobecności konduktora dyliżansu, i pomimo dotkliwego zimna zasiadam samotne miejsce na wiérzchu naszego ciężkiego powozu.

Jedziemy więc, ale wolno, tak jak się podróżuje w górzystych krajach. Pniemy się ku źródłom rzéki Tessino, już przebyliśmy Airolo, jesteśmy u stóp góry świętego Gotharda, i po spadzistych na dziesięć piątr połamanych drogach dążymy na szczyt góry, gdzie owo sławne hospicyum.

Z każdym krokiem większe zimno, rozpaczliwsza dzikość, straszliwsza pustynia i okropniejszy chaos.

Przybywamy nareszcie pode drzwi starego hospicyum. Ogromny to, do zamku podobny gmach, zawiérający w sobie kościół, pokoje gościnne i kilku braci zakonnych, poświęcających się służbie ludzkości.

W kościele na rzewnych modłach przepędziłem godzinę odpoczynku. Jakieś lepsze nadzieje wstąpiły w serce moje. Wracam na wiérzch dyliżansu. Ruszamy z miejsca, wjeżdżamy pomiędzy labirynt niebotycznych gór, pokrytych grubą warstwą śniegu. Pod naszemi stopami, pod drogami wijącemi się gzygzakiem po ścianie gór, grożą przepaści do tysiąca i więcéj stóp głębokie, a tak przepadziste i obszérne, że całe miasta z domami i kościołami pochłonąćby mogły.

Rzéka Reuss toczy swe wściekłe nurty pomiędzy temi górami, raz się strącając jak szalona z wysokich skał w przepaści, głębiéj znów wytryskując jak więziony gejzer z łona ziemi i obryzgując wszystko w koło siebie gęstą pianą.

Wichry rozhulały się po górach i wznoszą tumany śniegu w powietrze, rzucając je, jak swywolne chłopaki, z góry na górę.

Z zachwyceniem patrzyłem na te widoki natury, nigdy jeszcze nie widzianéj piękności, i całkiem zajęty czarującą rzeczywistością, nie mniemałem żebyśmy byli tak blizcy najstraszniejszéj sceny, jaka kiedykolwiek w tych górach przez rozdąsaną przyrodę odegraną została.

Naraz bowiem wszystkie szczyty gór zatlały mocnym purpurowym ogniem, jak gdyby odbłyskiem jutrzenki; straszliwy świst i jęki, jak gdyby miliona wyjących Eolów, dał się słyszéć z tych wszystkich szczytów, a mianowicie z góry Windgelle, téj piramidy na 6,000 stóp wysokiéj, u któréj podnóża właśnie pięliśmy się ponad straszliwą przepaścią.

Teraz cała ściana téj piramidy zadrżała w swych skalistych podstawach, i przeraźliwe mruczenie rozniosło się po wszystkich echach.

«Boże! zlituj się nad moją duszą!» krzyknie woźnica, wznosząc ręce do nieba. W téj saméj chwili wicher zrywa dyliżans, konie i woźnicę, i o kilkanaście kroków rzuca nas wszystkich jednym zamachem tuż ponad przepaść.

Konie padają, woźnica nie odstępuje ich, ja jeden chronię się pod ogromną opokę. Teraz dopiéro zbliża się lawina; głazy prawie tak duże jak nasz dyliżans spadają na niego i gruchoczą go razem z podróżnemi, z końmi i z woźnicą na najdrobniejszą miazgę: nadchodzi lawina z rykiem miliona dział. Jest to bryła śniegu, wielka jak dom trzypiętrowy; obwija ona około siebie całą warstwę śniegu, od szczytu góry aż do jéj podnóża, zabiéra w swoję substancyą dyliżans, konie i podruzgotanych ludzi, i stacza się jak wściekła w przepaść trzy tysiące stóp głęboką, roznosząc echo swojego przejścia na mil trzydzieści w około.

Ja leżę pod głazem z potrzaskaną nogą prawą, i z ręką lewą strasznie nadwerężoną. Jestem pokryty wysoką warstwą, na szczęście miałkiego, śniegu.

Krzyczę co mam głosu.

Dopiéro w dziesięć godzin potém wydobyto mnie na pół zmarzłego i prawie nieżywego.

Z dyliżansu, z koni, z innych passażerów, z woźnicy ani z pakunków najmniejszego nigdzie nie pozostało śladu.

Wszystko na wieki pochowane w niezgruntowanéj przepaści, która w swych otchłaniach zawiéra kości niejednego człowieka.

Zaniesiono mnie do Altdorf, miasteczka leżącego o dwie mile od sceny tego straszliwego wy-

padku. Miejscowy lekarz dał mi w domu swoim przytułek, amputował mi zdruzgotaną nogę i wstawił złamaną rękę w łupki.

Wszyscy mieszkańcy kantonu, bogatsi i biédniejsi, ale wszyscy dobroczynni, zajmowali się losem moim i szli w pomoc tak cudownie ocalonemu. W swéj religijnéj prostocie uważali mnie oni za człowieka szczególną łaskę u Boga posiadającego i na to zasługującego.

Przychodząc do zdrowia, zatrudniałem się z własnego popędu wychowaniem dzieci mojego gospodarza, dobroczyńcy i lekarza, a ten, widząc że posiadam pewne zdolności pedagogiczne, nakłonił mnie do założenia szkółki, a następnie i pensyjki.

Malarstwo także przychodziło mi w pomoc. Malowałem portrety, dekoracye i znaki w potrzebie. Późniéj, dzięki ciągłéj usilności i spółczuciu tych dobrych ludzi, zyskałem posadę nauczyciela miejskiego i prawo obywatelstwa w Altdorf.

Moje ograniczone zdolności, któreby się, zwłaszcza przy kalectwie i innych utrudnieniach, krajowi mojemu wyżéj oświeconemu na nic nie przydały, znalazły jednak dobre zastosowanie tu w tym zakątku ziemi, pomiędzy mniéj oświeconemi, ale dobremi i z sercem ludźmi.

Pozostałem tutaj, sprowadziłem do siebie brata o kilkanaście lat młodszego, i kształcę go, razem z synami staréj Szwajcaryi, w religii, w historyi i w naukach przyrodzonych.

Bóg raczył pobłogosławić pracy mojéj. Kalectwo swoje znoszę cierpliwie, jako przyczynę zmuszającą mie do spokojnego życia i odwodzącąmnie od dążności śmielszych, aż nadto często zawodzących.

Poddaję się woli Boga, i uznaję że poczciwa praca i w najcięższéj niedoli może pogodzić człowieka z jego losem.

RODZINA PEEL'ÓW.

Majątek szczęścia nie daje, złoto to marność światowa, którą mędrzec pogardza, za którą goni tylko próżność lekkomyślna! Piękne to są zdania i często słyszymy je powtarzane; a jednak w życiu praktyczném dzieje się zupełnie przeciwnie. Majątek bywa tam dźwignią wszechwładną, potężniejszą od dźwigni Archimedesowéj, która ziemię podnieść miała; bo téj brakowało punktu oparcia, gdy tymczasem tamtéj ułomność ludzka służy za podstawę. Dziś dosyć być bogatym, aby, zewnętrznie przynajmniéj, przez ogół być poważanym.

Trudno jednak zaprzeczyć iż nagromadzenie w ręku jednostek wielkich kapitałów, jeżeli te są owocem poczciwéj pracy i dobrze zostaną skierowane, może nietylko stać się korzystném dla ich posiadacza, ale nadto dobroczynném dla sprawy powszechnéj. Wymowny tego dowód przedstawia życie jednego z najzamożniejszych kupców i fabrykantów Wielkiéj Brytanii, Roberta Peel, ojca zmarłego przed kilką laty znakomitego męża stanu.

Dziś jeszcze pokazują w hrabstwie Lancashire, w pół drogi prawie pomiędzy miasteczkami Accrington i Blackburn, niewielki budynek, podobny dosyć do chłopskiéj chałupy: jest to szczątek folwarku Peel-Fold, gniazda rodzinnego plebejuszowskiéj niegdyś, a obecnie tak wysoko postawionéj familii Peel'ów. W tém skromném domostwie urodził się dziad późniejszego baroneta i ministra, i w niém przepędził większą część swego życia.

Przemysł bawełniany, który teraz tak ogromnéj dla Anglii nabrał ważności, że czyni blizko $^2/_5$ części całego obrotu handlowego, mało jeszcze wtedy był rozwinięty. Bawełnę przędzono ręcznie, bo wielkie przędzalnie mechaniczne, w których dziś na godzinę kilka centnarów tego płodu zamienia się w nici, nie były jeszcze wynalezione. Olbrzymie fabryki, nadające dziś hrabstwu Lancashire tak odrębną fizyognomią, jeszcze nie istniały, a ludność wiejska, mężczyzni, kobiéty i dzieci, we własnych chałupach zajmowali się przerabianiem surowéj bawełny. Rodzina Peel'ów, uboga i nieznana, nie odróżniała się wcale ani zamożnością, ani rodzajem pracy od włościan sąsiednich, dzieląc czas między uprawę roli i przędzenie bawełny. Lecz Robert Peel, dziad ministra, człowiek obrotny i przemyślny, wynalazł maszynę do grępłowania bawełny, w tym samym prawie czasie (około roku 1758) kiedy Arkwright wystawił swą przędzalnią hidrauliczną. Nie znano jeszcze wtedy dobroczynnych skutków jakie wynalazek maszyn przynosi dla ludzkości, a tłum przesądny ślepą powodował się nienawiścią przeciw wszelkim narzędziom zastępu-

jącym pracę ręczną. Jednéj więc nocy zgraja pospólstwa z Blackburn napadła na mieszkanie Peel'ów, zniszczyła szkodliwą w swém mniemaniu maszynę i zmusiła nawet wynalazcę do opuszczenia na czas jakiś hrabstwa Lancashire.

Syn tego Roberta Peel, urodzony r. 1750, ojciec owego męża stanu, któremu dotąd mieszkańcy Wielkiéj Brytanii zawdzięczają taniość chleba, śród takich okoliczności nie wykwintne wprawdzie, lecz rozsądne i praktyczne odebrał wychowanie. Nauczono go pracować, nauczono że pilność tylko, wytrwałość i rozwaga zapewnić mogą w świecie powodzenie. W godzinach wolnych chłopiec prządł bawełnę, i przez lat kilka codziennie rano nosił mléko na sprzedaż do Blackburn. Obok tego wszakże ojciec nie zaniedbywał kształcić go według możności: młody mléczarek uczęszczał do szkoły łacińskiéj w Blackburn i został wkrótce jednym z najzdolniejszych jéj uczniów.

Przeniesienie się starszego Peel'a do Burton, skutkiem wzmiankowanego wyżéj napadu nocnego, stanowiło epokę w jego życiu. Z początku wprawdzie gręplarnia jego nie znalazła jeszcze powszechnego uznania; musiał zrazu pracować dla innych. Powoli jednak obstalunki zaczęły mu tyle przynosić dochodu, że mógł zakupować sam małą ilość surowego materyału, który potém przegręplowany sprzedawał, biorąc w zapłacie gotówkę albo nici. Po nagromadzeniu tym sposobem jakiegoś zapasu przędzonéj bawełny, oddawał ją tkaczowi, i tak w krótkim czasie z wyrobnika został fabrykantem i handlującym. Pilność, oszczędność i wytrwanie przysparzały mu zarobku, a w miarę rosnącéj jego zamożności, rosło i zaufanie współobywateli. Zaczynano coraz więcéj przekonywać się o użyteczności wynalezionéj przez niego maszyny, na któréj wyrabianie uzyskał od rządu przywilej. Sprzedawał tedy gręplarnią po gręplarni, ciągnął zyski znakomite i ani się spostrzegł jak został zamożnym, powszechnie poważanym fabrykantem.

Pomyślna ta zmiana w położeniu majątkowém Peel'a wpłynęła naturalnię i na los jego dzieci, dla których staranniejszego wychowania żadnych nie szczędził już ofiar. Syn jego Robert, ojciec późniejszego ministra, wysłany na ląd stały, dla nabycia potrzebnych w swym zawodzie wiadomości i poznania świata, z większym już zasobem nauki i doświadczenia, a nadewszystko majątku, wstępował w zawód przemysłowy. Młodzieńczy jego umysł bogaty był w zarody ambicyi, owego zespolenia przedsiębiorczości i męzkiéj energii, będącego częstokroć zwiastunem przyszłéj wielkości. W cztérnastym już roku układał nieraz plany wyniesienia się na wyższy szczebel towarzyski, a w latach późniejszych wspominał niejednokrotnie, że wtedy już uczuł się przeznaczonym na założyciela potężnéj pod względem bogactwa i dostojeństw rodziny. Zamiary podobne, jakkolwiek nie zawsze uwieńczane skutkiem, dowodzą jednak że ten co je powziął miał cel stanowczo wytknięty i silną wolę dopięcia go pracą i wytrwałością.

W dwudziestym trzecim roku życia (1773) młody Peel opuścił dom rodzicielski, i z kapitałem niespełna 4,000 funtów szterlingów przesiedlił się do Chambers Hall pod Bury, gdzie wszedł w kompanią z panami Yates i Howard. Urządziwszy sobie stosowne zabudowanie, współka rozpoczęła czynności rękodzielnicze pod firmą Howarth, Peel i Yates. Z początku fabrykacya ograniczała się na drukowaniu kartunów; wkrótce atoli zakład zaczął wyrabiać własne tkaniny i wywozić drukowane kartuny, łącząc tym sposobem handel hurtowy z produkcyą fabryczną. W przeciągu lat kilku podobne zakłady staraniem téjże firmy powstały w Hinds, Ratcliffe, Burs, Gig, Makin Hill, Bolton i Warrington. Aby choć w przybliżeniu dać miarę olbrzymiości tych przedsiębierstw, dosyć będzie przytoczyć że wspólnicy w jednym roku zapłacili podatków skarbowych 60,000 funtów szterlingów, z których na same cła wypadało 40 tysięcy, i że zatrudniali 15,000 robotników.

Kilkanaście lat pracy usilnéj, obok dobrze pojmowanéj oszczędności, wystarczyło Peel'owi na zebranie kolosalnego, jak wówczas, majątku. Roku 1788 nabył od hrabiego Bath klucz Drayton Manor pod Tamworth, gdzie w czasie późniejszym ciągle prawie przemieszkiwał. Kiedy w r. 1817 usunął się od zawodu przemysłowego, majątek jego wynosił 2¼ milionów funtów szterlingów (przeszło 14 milionów rubli srébrem).

Ale oprócz tak ogromnych korzyści piénięznych, niezbywało Peel'owi i na powodzeniu w życiu publiczném. Roku 1790 wszedł do parlamentu jako reprezentant miasta Tamworth. W roku 1797 przyłożył się summą 10,000 funtów szterlingów do składek dobrowolnych jakie w Anglii zbiérano dla energicznego prowadzenia wojny przeciw Francyi, któréj terroryzm nietylko oburzał zamiłowanych w tradycyjnym porządku obywateli Wielkiéj Brytanii, lecz nadto stawał na zawadzie przedsięwzię-

ciom ich przemysłowym i handlowym. Roku nakoniec 1800 mianowany został baronetem. Za życia jeszcze ustalił zaszczytnie los wszystkich swoich dzieci, łącząc je z rodzinami należącemi do wysokiéj arystokracyi angielskiéj. Tak na przykład jeden z jego synów ożenił się z siostrą lorda Mountcashel, drugi z córką markiza of Ailsa, trzeci z siostrą księcia de Richmont. Po śmierci jego, nastąpionéj r. 1830, spadkobiercy za stempel i koszta potwierdzenia testamentu opłacili 15,000 funtów szterlingów, rzecz niesłychana w dziejach sądownictwa. Drugie tyle wyniosły opłaty od legatów.

Rzuciwszy okiem na zawód prywatny i publiczny starszego Roberta Peel'a, mimowolnie zadajemy sobie pytanie jakiemi środkami mąż ten, pochodzący z rodziny plebejuszowskiéj, umiał sobie w arystokratycznéj Anglii zdobyć tak wysokie stanowisko. Że talizmanem otwiérającym mu drogę do podwoi magnackich był majątek, to rzecz aż nadto widoczna; ale jakim przymiotom umysłowym, jakiemu postępowaniu winien on był nagromadzenie tak niezmiernych zasobów materyalnych?

Już to zaprzeczyć niepodobna iż wywyższenie się pod jakimbądź względem nad mierność, a więc i zrobienie wielkiego majątku, wymaga intelligencyi i bystrości rozumu, opartéj na znajomości ludzi i staranném wychowaniu piérwiastkowém. Wprawdzie i ludzie mało ukształceni umieją częstokroć dobrze wychodzić w interesach, posiadają nawet dar drobiazgowéj spekulacyi; lecz w przedsięwzięciach na wielką prowadzonych stopę potrzeba koniecznie pojęć rozjaśnionych i w pewnéj mierze nauki. Tu coraz nowe zamiary i pomysły snują się po głowie przemysłowca, który rozważając je, oceniając i porządkując, powinien poznać dokładnie związek ich między sobą, przewidzieć ich skutki bezpośrednie i pośrednie, domyśleć się całéj ich, pod wszelkiemi względami, doniosłości. Żeby zaś w ten sposób zapatrywać się na rzeczy, umysł powinien być wolnym od illuzyj i uprzedzeń zaciemniających zwykle pojęcia nieoświeconych prostaków. Gdyby Peel mało rozwiniętą posiadał intelligencyą, byłby zapewne do śmierci pozostał zasobnym może lecz nieznanym drukarzem kartunów. Z drugiéj znów strony, przy najświetniejszych zdolnościach, bez gorliwości i wytrwania niewiele byłby dokonał. Ale niepospolity ten człowiek w samę właśnie miarę przyswoić sobie umiał wszystkie wyliczone tu warunki. Niezmordowany w pracy, każdą swoję czynność wykonywał nie znagła i jakby z chwilowego popędu, lecz równo i jednostajnie, jak dobrze urządzona maszyna parowa. Zdarzało się prawda że w ważniejszych wypadkach ani dniem, ani nocą nie dawał sobie odpoczynku; dla zwykłych jednak zajęć nie poświęcał swych wygód i przyjemności osobistych.

Jednym z przeważnych także środków które Peel'owi dopomogły do szybkiego zbogacenia się, było hojne i prawdziwie wspaniałomyślne wychodzenie z robotnikami i officyalistami swych zakładów. Podwładni jego wiedzieli że osobisty ich interes związany jest najściśléj z powodzeniem firmy. Miejsce w zakładach jego, chociażby odźwiernego lub parobka, byle tylko otrzymujący je okazał się wiernym i gorliwym, było szczeblem do coraz większéj, w miarę zasług, pomyślności. Wielu z najzamożniejszych dziś fabrykantów w hrabstwie Lancashire pod bezpośrednią opieką Peel'a dorobiło się majątku. Jedna ze znakomitszych osad rękodzielniczych, Halliwel Lane pod Manchester, zawdzięcza powstanie swoje i nazwisko człowiekowi który wstąpiwszy w służbę Peel'a za chłopca do posyłek, został późniéj podróżującym w jego interesach, a w końcu nawet częściowym wspólnikiem firmy.

Jeżeli, pomimo zasług i przymiotów niezaprzeczonych piérwszego i drugiego Peel'a, imiona ich chyba w rocznikach handlu i przemysłu zostały przechowane potomności, to zato najstarszy syn ostatniego, Sir Robert Peel, minister i przetwórca finansowy Wielkiéj Brytanii, należy już całkowicie do historyi. Urodzony r. 1788 w zamku Tamworth, niedawno przez ojca nabytym, otrzymał on nader staranne pod każdym względem wychowanie. Wpływ ojca już w r. 1809 wyjednał mu miejsce w parlamencie, gdzie r. 1817, skutkiem osobistéj zasługi, został reprezentantem uniwersytetu oxfordzkiego. Niezwykła przenikliwość polityczna, świetna wymowa i zapał z jakim młody dyplomata występował na trybunie, zrobiły go wkrótce jednym z najznakomitszych członków stronnictwa torrysów. Roku 1822 otrzymał tekę ministerstwa spraw wewnętrznych, i pozostał na téj posadzie, z niewielką przerwą, lat ośm.

Szczegółowe przebieżenie zawodu Sir Roberta Peel'a nie wchodzi w zakres tego artykułu. Przeciwnicy nawet polityczni uznali i uznają świetne jego zasługi w najważniejszych gałęziach administracyi krajowéj. I rzeczywiście, gdyby nic więcéj nie był uczynił dla Anglii, jak zniesienie monopo-

lu wielkich posiadaczów gruntowych, jak przeprowadzenie prawa zbożowego, które ubogim zapewniło chléb tańszy, jak nałożenie podatku od dochodów, przerzucające część znakomitą ciężarów publicznych na barki klass zamożniejszych, i nakoniec utrwalenie handlu i przemysłu przez systematyczne przytłumianie rozruchów robotniczych, to i tak już imię jego po wszystkie czasy na wdzięczne zasługiwałoby wspomnienie.

Z naszego jednak punktu zapatrywania się życie młodszego Peel'a inne jeszcze ma znaczenie. Widziémy w niém dowód że majątek skrzętnie i uczciwie zdobyty, w ręku zdolnego człowieka, błogi wpływ wywrzéć może na losy całego kraju; że znaczenie jakie on nadaje w społeczeństwie otwiéra drogę do zbawiennéj działalności nie w saméj tylko dziedzinie przemysłowéj, ale i w wyższych sferach zawodu publicznego. Dzieje rodziny Peel'ów świetnym, zaprawdę, tego są przykładem.

KOLONIZACYA NOWÉJ KALEDONII.

Niedawno, bo w r. 1854, kapitan okrętu francuzkiego *la Constantine*, p. Tardy de Montravel, założył na brzegach Nowéj Kaledonii osadę, a raczéj warownią, któréj nadał nazwisko *Port-de-France*. W ostatnim raporcie swoim do ministra marynarki z d. 19 września 1854 donosi on że roboty około umocnienia tego zakładu postępują szybko, i że dziś już warownia nowo wzniesiona oprzéćby się mogła znacznym siłom morskim. Wszystko to dokonane zostało w niespełna dwóch miesiącach przez osadę Konstantyny, która, pomimo panujących w niéj chorób, zdołała zwalczyć niezmierne trudności gruntowe. Francya tym sposobem zyskała miejsce obronne bez żadnego prawie kosztu, bo trochę tylko tytuniu i fajek rozdano między krajowców, w zamiarze zachęcenia ich do udziału w robocie.

W dopełnieniu tych faktów urzędowych podajemy czytelnikom Księgi Świata wiadomość o geografii Nowéj Kaledonii, o jéj zasobach naturalnych, o zwyczajach i obyczajach jéj mieszkańców, czerpaną ze sprawozdania kapitana Lascazas, który półczwarta miesiąca przepędził na wielkiéj téj wyspie i miał sposobność zebrania zajmujących o niéj szczegółów.

Nowa Kaledonia, wyspa w Oceanii, na wschód Nowéj Hollandyi, a na południe Nowych Hebryd, na oceanie Spokojnym, leży pomiędzy 20° i 22°30' szér. płd., a 161°45' i 164°30' dług. wsch. Szérokość jéj przecięciowa wynosi około 20, a obwód około 150 mil francuzkich, nie licząc w to wysp tworzących kraniec jéj południowy i północno-zachodni. Piękna ta ziemia otoczona jest rafami, tworzącemi rozległy w około niéj wieniec. Niesłusznie jednak na dotychczasowych mappach morskich rafy te oznaczone są jako tworzące jedno pasmo nieprzerwane, bo rzeczywiście są to tylko pojedyncze pokłady madreporowe, które, gdy dostatecznie zostaną zbadane, posłużyć owszém mogą téj wyspie, tak osławionéj przez żeglarzów, za bezpieczne przepływy. Poznawszy raz ten labirynt krętych przesmyków, łatwo już będzie dostać się niemi do portów Nowéj Kaledonii, uważanych przez kapitana Lascazas za piérwszorzędne.

Kaledonia w całéj swéj długości przerzniętą jest pasmem gór bardzo wysokich; możnaby więc, przez stopniowe wznoszenie się nad poziom, otrzymywać w niéj płody nawet strefy umiarkowanéj, jak to oddawna ma miejsce na wyspach kanaryjskich. Posiada kilka rzék większych, mniéj więcéj spławnych, i mnóstwo strumieni. Powietrze jéj tak jest zdrowe, że dotąd nie uważano tam żadnéj choroby epidemicznéj. Obfitość wybornéj wody źródlanéj wszędzie jest wielka, a zwiérząt drapieżnych lub szkodliwych niéma ani śladu. Z królestwa roślinnego Nowa Kaledonia zawiéra w niesłychanéj bujności wszystkie płody podzwrotnikowe, obok niektórych przyswojonych z klimatu umiarkowańszego, jak: banany, kokosy, drzewa oliwne i sandałowe, olbrzymie sosny, trzcinę cukrową, tytuń, bawełnę, abakę czyli konopie filipińskie, indigo i gatunek migdałów oleistych. Z królestwa zwierzęcego: mnóstwo żółwiów, których skorupy wysoko są cenione w Sydnej, i miejscami po brzegach muszle perłowe. Z rzeczy kopalnianych: żelazo, miedź, ołów' węgiel kamienny, kwarc złotodajny, a nawet

bryłki rodzimego złota, co przy zupełném podobieństwie pokładów ziemnych Kaledonii i Nowéj Hollandyi naprowadza na wniosek że w górach jéj bogate ukrywać się mogą kopalnie.

Wymieniwszy znakomitsze porty Nowéj Kaledonii, jak: Balade, Hienghen, Kanala, Kwawa, St. Vincent, Morare, z których kilka, jak utrzymuje p. Lascazas, należy do najlepszych w świecie, oraz wykazawszy ich ważność i pożytek pod względem wojennym, handlowym i żeglarskim, sprawozdawca przechodzi do etnografii zamieszkujących tę wyspę pokoleń. Przytaczamy odtąd własne jego słowa:

«Kaledończycy są szczepem typu indyjskiego, pomięszanym z rasą negrów afrykańskich. Wzrost mają zwykle wysoki, kształty smagłe i zgrabne, cerę czekoladową, włosy i twarz afrykańską, to znaczy nos przypłaszczony, kości policzkowe wystające, zęby białe i mocne, brodę wklęsłą, czoło szérokie, mocno ku tyłowi podane, włosy wełniste. Obojętni i leniwi, nie lubią oddawać się ćwiczeniom wymagającym ruchu, chyba w wojnie i w tańcu. Ociężałość ta wszakże nie jest u nich wadą wrodzoną; za dobrą bowiem zapłatę można ich widzieć pracujących pilnie i wytrwale. Odważni przytém i pojętni, ludożercy z zamiłowania, mało bardzo przystępni dla przywiązania rodzinnego, ale namiętni w swych żądzach, a przez to łatwi do pokonania: takiemi, zdaniem mojém, są Kaledończycy. Kobiéty u nich bywają obarczane najcięższemi pracami, zabijane za małe przewinienia. Nieszczęśliwe te istoty przepędzają życie w usłudze swoich mężów, którzy obchodzą się z niemi jak panowie nieograniczeni. Ony to dźwigają zapasy żywności gdy pokolenie wybiéra się na wojnę, i łupy gdy powraca, ony uprawiają pola i przygotowują strawę dla wszystkich. Powiérzchowność ich dosyć jest przyjemną aż do lat dziesięciu lub dwunastu, lecz po tym wieku, a zwłaszcza gdy zostaną matkami, stają się brzydkiemi. U Kaledończyków niechrześcian panuje wielożeństwo. Mężczyźni dobremi są ojcami tylko dla swych synów; kobiéty, mniéj wyłączne, kochają z równą czułością wszystkie swoje dzieci.

«Z tego co wyżéj powiedziałem łatwo wyprowadzić wniosek iż wielożeństwo ważną jest przeszkodą w nawracaniu Kaledończyków na wiarę katolicką, bo całkowite zwalenie pracy na kobiéty utrzymuje ich w stanie fizycznego i moralnego odrętwienia. Pomimo téż usilnych i nieustających starań czcigodnych ojców missyonarzów, na ludność mniéj więcéj 60,000 jest tylko 600 chrześcian. Jedynym, jak mniemam, sposobem przezwyciężenia téj ociężałości krajowców byłoby obudzenie w nich nowych żądz i potrzeb, dla dogodzenia którym chętnieby pewnie zajmowali się pracą zarobkową. Za kilka fajek zjednałem sobie ręczną pomoc kilkunastu indiwiduów, i uważałem że pracują dość zręcznie, a szczególniéj roztropnie; zastanawiają się nad tém co robią, i jeśli robota dziś się nie uda, to pewnie jutro powiedzie się lepiéj. Wnoszę z tego że silne ramiona Kaledończyków mogłyby bardzo być użyteczne w mozolnych pracach przyszłéj kolonizacyi, wymagających koniecznie ludzi krzepkich, przyzwyczajonych do klimatu miejscowego. Z drugiéj strony i katolicyzm niezawodnieby na tém zyskał; pod wpływem bowiem zbawiennego zatrudnienia dzikie umysły tuziemców najprędzéjby się uszlachetniły i uzdolniły do przyjęcia wzniosłych zasad chrystyanizmu.

«Kaledończycy, chociaż wyspiarze, nie są narodem żeglarskim: widać to po budowie ich czółen, rodzaju tratew ułożonych dosyć niezręcznie na dwóch pniach wydrążonych i pospajanych postronkami z kory drzewnéj. Płaskie te statki mają jeden lub dwa żagle trójkątne z plecionéj słomy, i obejmują niekiedy do dwudziestu ludzi. Kaledończycy puszczają się niemi na morze tylko z pomyślnym wiatrem; w przeciwnym razie płyną wzdłuż brzegów, popychając się wiosłami. Z tego jednak com widział na kilku angielskich okrętach kupieckich, wnoszę że gdyby ich brano do naszéj marynarki, prędkoby się nałożyli i mogliby stać się bardzo użytecznemi w pracach hydrograficznych.

«Mieszkańcy Kaledonii, co rzadko nawet u dzikich, nie wyznają żadnéj religii, a tém samém nie czczą bałwanów. Mają wprawdzie tak zwane *tabu* czyli przedmioty poświęcone, lecz ustanawianie takowych zależne jest zupełnie od woli naczelników świeckich, nakładających zwykle *tabu* na wszystko to co pragną zachować dla siebie. Taki naczelnik pokolenia jest panem życia swych podwładnych; na jedno słowo, na jedno skinienie jego nieposłuszni śmierć ponoszą, a mienie ich przechodzi na własność naczelnika.

«Po naczelnikach największą władzę w Kaledonii posiadają czarnoksiężnicy, posłuszne najczęściéj narzędzia woli swoich panów. Zaklinają oni złe duchy, wróżą i urzekają, i przez to stają się przed-

miotem zgrozy i postrachu dla krajowców. Niekiedy jednak czarnoksiężnicy drogo opłacać muszą swe rzemiosło, bo gdy mieszkańcy zdybią którego samotnie, duszą go bez litości i wrzucają w przeznaczony na to lasek, który uważają za *tabu* i do którego za nic w świecie nie wszedłby żaden Kaledończyk. Czarnoksiężnicy ci są zarazem lekarzami; tylko że w praktyce swojéj dziwnych częstokroć trzymają się zwyczajów. I tak, gdy który z mieszkańców zachoruje, przybywa lekarz i jedną ręką zatyka mu nos, drugą usta, tak żeby oddech zupełnie był zatamowanym. Jeżeli chory ma dosyć siły aby odepchnąć duszącą go rękę, wtedy otrzymuje pomoc lekarską; w przeciwnym razie duszą go do reszty. Łatwo zgadnąć że ci których śmierć pożądaną jest dla naczelnika nie zdobędą się nigdy na tę siłę.»

Kapitan Lascazas kończy sprawozdanie swoje uwagą że Nowa Kaledonia, właśnie z powodu otaczających ją ław koralowych, wielkie dla żeglugi przedstawia korzyści. Nie ulega bowiem wątpliwości że w labiryncie tych skał istnieją drogi przystępne dla okrętów wszelkiego rozmiaru; idzie tylko o wyszukanie ich i dokładne oznaczenie. Tym sposobem handel wewnętrzny i żegluga nadbrzeżna niezmiernie byłyby ułatwione, bo statki, zamiast płynąć na otwartém morzu, mogłyby krążyć spokojnie po przesmykach, zasłonięte od burzy i prądów morskich, podczas gdy w zwykłych warunkach na liczne narażaneby były niebezpieczeństwa, z przyczyny zwłaszcza panujących tu często uraganów.

LIS SIWY (CZYLI) WIRGINIJSKI.

Lis siwy (Vulpes virginianus) wyrównywa co do wielkości europejskiemu; z postaci jednak więcéj jest podobnym do amerykańskiego lisa czerwonego (Vulpes fulvus), aniżeli do europejskiego. Różni się od czerwonego szérszą i krótszą głową, krótszym mniéj ostrym pyskiem, cokolwiek dłuższemi uszami i słabszemi zębami. Nogi dosyć długie, pazury mocne, cokolwiek zakrzywione, podeszwy gołe; ogon długi, kiściasty, okryty krótszemi wełnistemi i dłuższemi tęgiemi włosami. Od głowy do osady ogona długość jego wynosi 2½ stóp, długość zaś ogona 1 stopę. Głowa brunatno-szara, pysk czarny, od oka do nosa széroka ciemno-brunatna plama; włosy brody czarne; konchy uszowe wewnątrz brudno-białe, zewnątrz też konchy i boki szyi czerwone; broda i wargi ciemno-brunatne. Policzki, pierś i brzuch brudno-biało-żółtawe. Członki wewnątrz żółto-brunatne, zewnątrz czarne biało upstrzone. Włosy na odzieży dwojakie: jedne krótsze, miększe, drugie dłuższe i tęgie. — Krótsze włosy na grzbiecie dochodzą długości 1½ cala; w dolnéj połowie są koloru ołowianego, w górnéj żółtawo-białe; długie zaś włosy, nadające odzieży barwę, u spodu białe, w środku czarne, w górze znów białe, w całości swojéj mają kolor srebrzysto-szary; najciemniejsza barwa na ramionach i wzdłuż grzebu. Ogon jest więcéj żołtawy, włosy na nim mają część czarną dłuższą. Gdy włosy leżą gładko, to można spostrzedz na górnéj powierzchni ogona czarną linią. Jedne indiwidua są jaśniejsze, inne ciemniejsze, a u niektórych znajduje się plamka czarna pod konchą uchową.

Zamieszkuje południowe części Stanów Zjednoczonych, szczegolniéj téż Floridę, Missisippi i Luizyanę.

Lis siwy jest lękliwém, chytrém i chciwém łupu zwierzęciem, jednakże nie tak zuchwałém jak lis czerwony; nie odważa się jak ten ostatni wpadać do kurników i unosić codziennie po jagnięciu z trzody, pomimo to wszakże jest niebezpiecznym rabusiem. Z przebiegłością umié wynaléźć gniazda dzikich indyków, którym wypija jaja. Wyszukuje schronienia kuropatw, a podszedłszy je, jednym susem zapewnia sobie zdobycz.

«Przejeżdżając przez Karolinę—opowiada Audubon, miałem sposobność uważać jak lis siwy podczas zimnego, dżdżystego dnia wietrzył jak wyżeł; postanowiłem więc śledzić jego obroty. Lis zatrzymywał się, przytulał, postępował naprzód, lecz rozważnie i ostróżnie, czasami nos w górę podno-

sił i wietrzył na prawo i lewo. Nareszcie, gdy zdawał się być pewnym swéj zdobyczy, poczołgnął się kilka kroków naprzód, co chwila przysiadując, aż wkońcu stanął, z uszami naprzód podanemi i nosem o kilka cali od ziemi oddalonym. W tém położeniu pozostał z pół minuty, i wkońcu jednym skokiem pochwycił swoję zdobycz. W téjże chwili doszedł mię szelest zrywających się kuropatw i pisk, a wkrótce potém widziałem lisa wynoszącego w pysku z trawy kuropatwę, i szukając ego bezpiecznego schronienia do spożycia spokojni e wyśmienitéj uczty."

W południowych Stanach Zjednoczonych lis siwy znajduje wiele i różnorodnego pożywienia. Niszczy gniazda chróściela nadobnego (Rallus elegans), łowi króliki i zające błotne, pożéra mnóstwo myszy i szczurów; nie dziw więc że na jesieni jest tłustym i dobrze wypasionym. Lis siwy jest nocném drapieżném zwierzęciem, jednakże i dniem robi wycieczki z kryjówek. Głosem jego jest prędkie i jednostajne szczekanie.

Szczególnym przymiotem lisa siwego jest to, że z łatwością wdrapuje się na małe drzewa, niemając przytém budowy nóg odmiennéj od właściwéj wszystkim lisom. Czyni to zawsze gdy jest goniony przez psy i ujść się niespodziéwa, lecz w takim razie staje się jeszcze łatwiejszą zdobyczą strzelca.

Gniazdo lisa siwego znajduje się zwykle w wywróconym i wydrążonym pniu lub pod korzeniami wielkiego drzewa. Rzadko kopie sobie nory, lecz chętnie wyszukuje od natury w skałach utworzone. W marcu lub kwietniu ma od 3—5 młodych.

Lis siwy nie posiada téj nieprzyjemnéj woni co europejski i czerwony amerykański, jednakże z przyczyny swych przymiotów trudny do oswojenia; nie zdołano go dotąd tyle ułaskawić, aby, skoro się sposobność przytrafi, nie starał się oswobodzić.

Polowanie na lisa siwego w Luizyanie i Karolinie odbywa się zwykle następującym sposobem.

Puszczają psy na miejsca gdzie spodziéwają się napotkać lisa. Psy po krótkiém szukaniu wynajdują ślady lisa, pozostałe po jego nocnych wycieczkach, i idą za nim przez gęstwiny. Pędzą więc śladem, który się zwraca w różne strony, dopóki lisa nie odszukają, a wtedy puszczają się za nim w pogoń. Lis nacierany, daje z początku skoki w bok, potém ze wszech sił rzuca się ku najbliższym gęstwinom. Psy po długiém szukaniu znowu wypędzają go z zarośli. Jeżeli las jest wolnym od krzaków, jak to ma miejsce w wielu okolicach Karoliny, wtenczas strzelcy postępują konno za lisem; jeżeli zaś nie, to kierują się głosem psów. Gdy się lis zmęczy, zaczyna uciekać się do wybiegów, przemyka się przez krzaki, czyni skoki w różnych kierunkach, biegnie przez wodę, jeżeli takowa znajduje się w blizkości, skacze na mur, leci po nim kilkaset kroków, ztąd robi rozpaczny skok i z największym pośpiechem stara się ujść pogoni. Nareszcie, zmęczony i ciągle wypędzany z ukrycia, skacze na małe drzewo. Tu obstąpiony przez psy naigrawa się z nich w niedostępném stanowisku. Strzelcy, zbliżywszy się do tego miejsca, jużby go ubić mogli; lecz zwykle sforują psy i lisa z drzewa strząsają, lub téż zmuszają go do ustąpienia rzucaniem kamieni, a to w tym celu żeby przedłużyć sobie zabawę. Polowanie ciągnie się więc daléj, ale tym razem trwa już krótko, bo psy z łatwością doganiają zmęczonego lisa i dobijają po odważnym i rozpacznym oporze.

WSPOMNIENIA STAREGO SZLACHCICA MNOŻYSŁAWA PRZEKORY.

(Obrazek społeczny).

Za życia mojego jużci ja potrafię ustrzedz od ciekawości ludzkiéj te moje wspomnienia, ale po śmierci?—Oh to nie w mojéj mocy, zwłaszcza jeżeli śmierć uderzy od czoła, niepozwalając ściągnąć ręki do rozpalonego ognia na kominku. Żeby więc na ten przypadek nazwisko moje niewywoła-

ło sporów, zdaje mi się nie od rzeczy będzie napomknąć o mojéj genealogii. Pamiętam bowiem że trzydzieści sześć, a może siedm, lattemu, w roku w którym niesłychana miotła zaległa pszenicę a tatarki zupełnie chybiły, właśnie jakoś na przednówku, gdy kończono sianozbiór, pojawiła się gdzieś tam w krzemienieckiéj kancellaryi jakaś oryginalna o oryginalności rozprawa, przez nieznanego podówczas autora napisana, który przecież niewstydził się wymienić swojego nazwiska. Jeden z uczonych warszawskich literatów, spojrzawszy na tytuł, (boć uczeni literaci nie potrzebują czytać dzieła, by je osądzić)—otóż więc z samego tytułu, a był zaprawdę szumny, posądził innego uczonego o autorstwo, podpis mieniąc zmyślonym. Jakże ów biédny rzeczywisty autor utyskiwał na to sponiewiéranie swojego nazwiska, a bardziéj podobno na odmówienie sobie tym sposobem rozumu, o który z natury rzeczy tém bardziéj się każdy upomina, im mniéj do niego ma prawa.

Nie bojęć ja się wprawdzie aby miało komuś wpaść do głowy drukować te moje wspomnienia; tém mniéj aby się miał zdarzyć jaki uczony coby mi zaprzeczył mojego nazwiska; bo najprzód dzięki Bogu nietrzeba się lękać tak prędkiego pojawienia się uczonych, a powtóre o rozum wkrótce nikt dbać nie będzie, bo geniusze coraz więcéj w modę wchodzą i podobno niedługo rozsądek wyrugują. Niechcąc wszakże aby i ktoś z genialnych ludzi wykrzywiał się nad mojém imieniem narodowém, powiem z góry kto jestem i jaka moja rodzina, a jest przecie czém się pochlubić.

Najprzód dobrze i to dla pamięci zapisać: matka moja, jako dobra katoliczka, chciała aby mi dano imię patrona w którego uroczystość przyszedłem na świat, to jest Pankracyusza, ale nie tego co Fryderykowi II cytryny i pomarańcze zmroził; mojego patrona święto przypada dnia 3 kwietnia. Ojciec dawniéj był za tym chwalebnym zwyczajem; wtedy, niewiem co mu się stało, koniecznie obstawał za sławiańskiém imieniem, a choć podówczas nie było ich jeszcze w naszych kalendarzach, jednak szczęśliwie natrafił na imię Mnożysława. Czy mu się podobało mnożenie, czy tylko sława, czy może z przeczucia był Sławianofilem, tego wcale niewiém: dość że się tak uparł przy tém imieniu, że choć ksiądz proboszcz, którego wielce poważał, przekładał mu iż takiego świętego niéma w całém *martyrologium*, on przecież nie ustąpił, póki go proboszcz choć na drugiém miejscu w metryce nie zapisał, bo podobno przy ceremonii chrztu świętego wcale go niewymówił.

Cóżkolwiek bądź, zawiódł się srodze ojciec mój w widokach względem mnie; bo mnożenie mi się niepowiodło, a sławie i tak ledwie trąba nie pękła przy roztrąbywaniu mnóstwa wysokich naszych talentów. Chociaż więc niebyłem paniczem, zrobiłem jednak tak jak nasi panicze, nadałem się sławą przodków i żyłem wygodnie z tego co ojciec przymnożył.

Jakaż to sława tych przodków? ozwie się nie jeden. Przekora! o takiéj rodzinie nikt nie słyszał. Niesiecki, co to wiele rodzin odgrzebał o których się Paprockiemu ani marzyło, przecież o Przekorach ani bąknął. I cóż ztąd? to tylko dowodzi, że ci szanowni autorowie nie znali mojéj rodziny, ale nie zaprzecza jéj bytności, bo przecie ja żyję i z dziada pradziada nazywam się Przekora. Żałuję żem się nie urodził spółczesnym Niesieckiego, byłbym mu oczy wykłuł mojemi dokumentami; teraz niémam innego sposobu, tylko naprawić jego nieświadomość.

Otóż najprzód mam najstarszy dyplom w większéj połowie przez myszy zgryziony, a to dowód niemylny że jeszcze przed królem Popielem wydany. Ja na nim wprawdzie ani litery dojrzéć nie mogę, ale sławny jeden palestrant z Osieku, jeszcze za nieboszczyka mojego pra-pra-dziada, wyczytał *Scepan Pssekorra* i wniósł że to jest jakieś nadanie obszérnych włości przez piérwszego naszego króla Lecha. I musi to być niezawodnie, boćby wówczas czego innego na pargaminie nie pisali.

Mam następnie dowód że *Śmieszko Przekora* był pachołkiem Piasta, i on to właśnie wyrabiał ten miód, którym tak hojnie dynasta sławnych królów naszych częstował i rozweselał panów w Kruszwicy. Że zaś miód ów w czółnie z za Gopła przywoził, dlatego uzyskał łódź za herb. Od tego czasu idzie szereg nieprzerwany moich antenatów wysokie godności piastujących i w różnych powołaniach sławnych; o niektórych wspomnieć muszę. Za Bolesława W. *Junak Przekora* głównie się gdzieś tam przyczynił do zwycięztwa, i dlatego tém imieniem zaszczycony. Obowiązkiem jego było prowadzić za obozem podwodne konie; kiedy więc żołnierze z przeciwnych sobie brzegów rzéki swarzyć się zaczęli, on spostrzegł że się na bójkę zanosi: chociaż więc śmiały i waleczny, przecież o powierzone sobie rumaki troskliwy, zmykał czém prędzéj, a spotkawszy króla, podał mu konia,

bez czego Bolesław nie byłby zyskał przydomku Chrobrego, a on podkowy w herbie.

Pod Płowcami, gdzie Władysław, choć małego wzrostu, lecz wielkiej głowy i mężnego serca, niepospolitego wojaka zyskał sławę, *Wściborz Przekora* siadającemu na koń królowi nadstawił swojego grzbietu, bo masztalerz ze stołeczkiem gdzieś się zawieruszył. Tym sposobem zwycięztwo jemu się właściwie należy.

Na zjeździe Wiślickim, gdy król Kaźmirz ogłaszał nową ustawę, *Niemyśl Przekora* trzymał kałamarz i pióro. Do czego? nie wiem, i on zapewne niewiedział, ale to dowodzi że należał do ciała prawodawczego.

W epoce złotéj literatury naszéj, za Zygmunta Augusta, *Swietlik Przekora* był naczelnikiem pałacowego oświetlenia. Niech będzie jak chce, zawsze miał związek ze światłem. I literatów w mojéj rodzinie niebrakło. Jeden z Przekorów z wielkim trudem i mozołem połatał urywki z różnych dzieł i zdań, i skleił ważne dzieło historyi literatury. Dzisiejsze Kondratowicza, Wiszniewskiego, to fraszka obok niego: ale cóż, ówczasowi księgarze, nie tak dbali o oświatę jak dzisiejsi, kupić rękopismu za marny nawet grosz niechcieli, swoich zaś pieniędzy marnować nie mógł, bo mu ledwie na węgrzyna i na psiarnią starczyło. Zresztą nie było podówczas litografii, żeby choć wizerunkiem potomności przekazanym mile wynagrodziła przykre trudy.

Dziad mój wysokie także zajmował miejsce w rzędzie ludzi oświeconych, czego dowodem jest sowa w herbie jego umieszczona, co i ja zatrzymałem. Nie był on wprawdzie ani mówcą, ani poetą, ani historykiem, ani geometrą, ani chemikiem, ale był bardzo *uczonym*. Spisał, czyli ściśléj mówiąc kazał przepisać, mnóstwo powiastek, które już podeszła w wieku kobiécina piastunka ś. p. starszéj siostrze mojéj przy kolébce prawiła. Mam ten rękopism gotowy do druku, nawet ozdobiony popiersiem autorki, które miało być na blasze ryte, *in perpetuam rei memoriam*, bo nieboszczyk ojciec mój był wielki skrupulat, powtarzał zawsze: *suum cuique*.

To krótkie napomknienie pokaże światu, czém to była rodzina Przekorów; a cóż dopiéro gdybym wszystko wielosłownie wypisał, dopiéro byłoby co czytać! niejedenby pożałował że o tak sławnéj rodzinie nic nie słyszał.

Co do mnie, już powiedziałem żem bogini sławy wcale nie trudził, czy że zdolności brakło, czy okoliczności nie sprzyjały, tego sam odgadnąć nie mogę. Uczyłem się w bardzo zalecanych szkołach, nauczyciele mnie wychwalali, mam nawet prawo zwać się mistrzem nauk jakich zechcę. Kiedym był za granicą, ofiarowano mi patent doktorski za błahe trzysta złotych; ale cóż z tego wszystkiego, kiedy mi jakoś w zawodzie literackim wcale się nie powodziło. I tak: nazbiérałem z różnych dzieł rozmaitych urywków, przepisałem starannie; licho mnie podkusiło pokazać to przyjacielowi, który mi w oczy powiedział, że to ni w pięć ni w dziewięć. Stropiłem się więc; aż ktoś inny z tém samém wystąpił i z wielkim moim żalem sławę potężnego literata zyskał. Oho! pomyśliłem wtedy, już ja drugi raz dzieła mojego nie pokażę nikomu, póki nie będzie wydrukowane. Jakoż wkrótce napisałem powieść historyczną, zupełnie na wzór Walter Skotta, nawet większą połowę opisów od niego pożyczyłem. Bohatérem powieści był *Żupan Wilkołak*, hetman Popiela II, ale powieść sięgała nawet czasów Leszka Białego. Rzecz nowa, ciekawa, starannie wystudiowana; charaktery osób, widoki miejsc, nawet fizyognomie z natury brane. Cóż się stało? księgarz pochwalił, ramionami ruszył, i nietylko zapłacić, ale nawet drukować swoim kosztem niechciał. Co gorsza, żarciki sobie ze mnie stroił, kazał mi się starać o przyjaźń wielkich literatów, o względy redaktorów gazet, a skoro ci wykryją we mnie geniusz, wtedy, choćbym głupstwo wierutne napisał, to będzie dobrze przyjęte: boć redaktorowie umieją chwalić kiedy zechcą i co zechcą.—Jeszcze gorzéj mi się powiodło z powieścią moralno-obyczajową, pod tytułem *Zys Szafraniec*. Czytałem ją rozmaitym, nawet bardzo uczonym, osobom, wszyscy uwielbiali, kobiéty nadewszystko unosiły się nad wyrafinowaną przebiegłością bohatérki powieści, z jaką umiała szlachetnie osłaniać przed mężem swoję cnotę. Jeden tylko ksiądz proboszcz był przeciwnego zdania. Coś upatrzył w powieści, i niewiem na jakiéj zasadzie rzekł: *Biada gorszącym!* Napróżno wyjaśniałem mu że są dwa sposoby zaszczepiania moralności, dodatni i ujemny. On mi na to: „Toć ja wiem, mój panie, że ten wiek oświecony we wszystkiém coś nowego wynajduje, albo przynajmniej niezwykłemi drogami idzie; z tym wszakże ujemnym sposobem, zdaje mi się, jest coś podobnego, jak gdyby kto chcąc młodemu człowiekowi obmierzić pijaństwo, podawał mu w obfitości najponętniejsze wi-

na i likwory. Możeby to i niezły był sposób, gdyby tylko w końcu nie obudził ciekawości do doświadczenia smaku prostéj wódki, jak się zwykle dzieje."

I cóż powiedzieć na takie *dictum acerbum?* Nie siląc się na dłuższą rozprawę, powieść nad którą przez cały tydzień ślęczałem, puściłem na próbę ogniową, któréj nie wytrzymała.

Doświadczywszy tylu zawodów, rzuciłem literaturę i zabrałem się do gospodarstwa, zwłaszcza że ojciec, upadający na siłach, zdawał się potrzebować mojego wyręczenia, bo mi kazał porzucić wszystkie widoki, zatkać uszy na podszepty dumy i wracać do domu. Gdybym się był urodził w dziewiętnastym wieku, potrafiłbym się wykręcić staremu, a przynajmniej nie byłbym tak skory w wykonaniu jego rozkazu, zwłaszcza że nowe miałem zamiary. Ale znowu fatalność miéć chciała żem choć kilką chwilami zaczepił ośmnastego wieku; posłuszeństwo i uszanowanie dla ojca przemogło; siadłem natychmiast na wózek, i daléjże w drogę. Byłem w wieku który szynkarz w sąsiedniém miasteczku, wielce od młodych paniczów okolicznych poważany, nazywał pospolicie: ot tak, młody, niemłody. Ojciec przyjął mnie z rozczuleniem i powagą. „Cóż, odezwał się, waści żal zapewne téj kochanéj Warszawy? Wywietrzeje to, skoro się zajmiesz pracą." To rzekłszy, zaczął mi pokazywać gospodarstwo, choć ja wolałbym był piérwéj spotkać się ze śniadaniem, do którego spieszyłem, ujechawszy w tym dniu od rana przeszło trzy mile. Gdyśmy już wszystkie zabudowania dworskie w najdrobniejszych szczegółach obejrzeli, przy stosownych objaśnieniach, ojciec, odwracając się nagle, rzekł: »Zobaczno waść która godzina na waści zegarku, jaka téż różnica z naszym, jeżeli tylko regularny». — «Niémam zegarka, odpowiedziałem; w Warszawie wcale nie był mi potrzebny, gdyż na każdéj ulicy można widzieć godzinę».— «Alboż to waść ciągle na ulicy bawił? Próżne wybiegi! powiedz waść lepiéj żeś niedbał o życie porządne. Ja to zawsze powtarzam, że chłopiec w tym wieku, nie mający zegarka, jest prostym marnotrawcą».— Trzeba wiedzieć że ojciec mój nie był ani Franklinem, ani Anglikiem, a jednak wielką wagę przywiązywał do czasu, i dlatego, prócz pokojowych i kieszonkowych zegarków, zaprowadził własnym kosztem wielki zegar na wieży parafialnego kościołka. Może téż to robił na przekorę innym dziedzicom, którzyby radzi wytępić wszystkie zegary, a nawet i słońcem rządzić według swojéj woli, czyli raczéj stosownie do potrzeby.

Wtém odezwał się dzwonek kościelny na *Anioł pański*, a zarazem dał znak obiadowéj godziny. Zaczęli się ludzie schodzić od roboty na posiłek i jaki taki przystąpił dla przywitania pana Mżysława, bo tak mnie pospolicie zwali wieśniacy. Radość ich rozrzewniła mnie, a przekręcone imię smutkiem przejęło: ja spodziéwałem się że sława padać będzie na mnie jak ulewa, a tu uczułem że nawet ani mży.

Skoro czeladź skończyła swoję ucztę i rozeszła się na stanowiska dla chwili wytchnienia, myśmy zajęli miejsce przy stole. A było nas ze wszystkiém sześć osób: z ciotecznych cioteczna siostra ojca mojego, pełniąca obowiązki gospodyni domu, ksiądz wikaryusz, razem nauczyciel dzieci wiejskich, stary rezydent, zastępujący urząd nadzorcy lasów, młody pisarz prowentowy, ojciec i ja. Nie będę opisywał nakrycia stołu, ani potraw, ani służby, bo nic w tém wszystkiém nie było osobliwego; wszystko po staropolsku, począwszy od modlitwy przed obiadem, aż do podziękowania Panu Bogu po obiedzie, co mi się dziwne wydawało, bom tego w Warszawie nie widział.

Przy obiedzie ojciec w te do mnie odezwał się słowa: «Waść, tyle lat spędziwszy w Warszawie, już zapewne niepotrafisz rozróżnić tatarki od prosa, trudno ci więc będzie pojąć te dziwne przewroty jakie się u nas robią w gospodarstwie. Po wszystkich stronach głoszą gospodarstwo poprawne, wyrozumowane, przemysłowe, gospodarstwo pięcio-siedmio- ba nawet aż cztérnasto-polowe; nie wiem zkąd u licha biorą te pola. Ale co najgorsza, mówią że kto po staremu będzie dłużéj gospodarował, to musi umrzéć z głodu. Hola! dreszcz mnie przejmuje: to nie fraszka śmierć z głodu! to coś zdaje się jakby przed śmiercią umierać. Postanowiłem więc zabezpieczyć się od tego głodu; a przytém myślę że możeby i dobrze było na tych polach zarobić; choćbyśmy tylko podwoili liczbę włók, to i tak już wiosczyny nasze nieźleby wyglądały. Ot moglibyśmy je od biédy nazwać dobrami, choć to już dzisiaj lada folwarczyna tym tytułem się szczyci; bo że dziedzice lada kawałka gruntu każą się tytułować *Jaśnie panami*, to bardzo sprawiedliwie, gdyż u takich najczęściéj i w głowie i w kieszeni świta. Koniec końców, takie dziwy o tym oświeconym dziewiętnastym wieku prawią, że już i

w czary wierzyć poczynam i wstydzę się zaprawdę żem się dawniéj urodził. Chętka mnie bierze nieraz zaprzéć się ośmnastego wieku; ale na nieszczęście coraz dobitniéj mi się przypomina. Już to ja nie ten co dawniéj. Bywało niegdyś od rana do wieczora na koniu lub na nogach; teraz jak się konno pojeździ ze cztéry z pięć godzin, albo pochodzi od rana do południa, tedy wróciwszy do domu czuję dobrze że się dziewiąty krzyżyk zbliża.

«Pominąwszy to wszystko, wracam do swojego, i powiadam waści, że wolałbym umrzéć z niestrawności niż z głodu, i dlatego radbym jąć się tego poprawnego gospodarstwa. Z tego co tu widzę koło siebie, nienajlepsze mam o niém wyobrażenie. Naprzykład p. kasztelanic odziedziczył po ojcu sześć wsi i cztéry folwarki w naszym powiecie, a gdzieś tam na Wołyniu tysiąc dusz. Dopiéro czwarty rok poprawnie gospodaruje, a już na Wołyniu majętności swoje sprzedał, na hipotekę dóbr tutejszych dużo cyfr się wcisnęło, a Lajbuś podobno pełny ma pugilares rewersików ręcznych.

«Drugi mój sąsiad miał czyściuteńki mająteczek. Syn jego, jakiś radca honorowy, objąwszy dziedzictwo po ojcu, jak zaczął przemyślać, poprawiać gospodarstwo, tak zasmarował hipotekę, że podobno dochód na procenta nie starczy. I tak daléj. Prawda że teraz aż miło patrzéć: wioski wyglądają jak miasta, pałace murowane, gorzelnie jak pałace, browary, cukrownie, dystylarnie, wszystko z cegły, jakby warszawskie kamienice; ale cóż ztąd kiedy dochód nie dopisuje, okowita nie odpowiada cenie, już nietylko zboża, ale nawet kartofli; buraki w przeszłym roku chybiły, w tym mniéj soczyste, nie wydają tyle iżby koszta produkcyi pokryły. Tego już wcale pojąć nie mogę. Słyszałem że niedaleko Magdeburga w wielkiéj cukrowni uważają spekulacyą za bardzo pomyślną, gdy cena cukru fabryczna wynosi na naszę monetę groszy polskich 24 na funt. Ja sam w nadgraniczném miasteczku pruskiém najpiękniejszy cukier płaciłem po złotemu funt; dlaczegoż więc u nas produkcya się nie opłaca, przy cenie cukru mniéj pięknego po groszy 40, a nawet i wyżéj? zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę że około Magdeburga dwie morgi magdeburskie gruntu mało co mniéj kosztują, jak u nas włóka chełmińska najpiękniejszéj ziemi.

«Otóż słuchaj waść, ja umyśliłem waści wysłać do tych Niemców, u których to agronomów, czyli po prostu mówiąc rolników, doktorami robią; zkąd to nasi panowie ryczałtem zwożą administratorów, rządców, ekonomów, włodarzów, gorzelanych, piwowarów, cukrowników, leśniczych, gajowych i Bóg wié nie jakich oficyalistów, a wszystko wielkich mistrzów. Ja już za stary żebym się miał uczyć tego ich szwargotania, waści to łatwiéj przyjdzie. Przypatrzysz się waść na miejscu tym niemieckim wyrozumowanym gospodarstwom, a wróciwszy, poprawiaj nasze tak, żebym ja z głodu nie umarł».

Trzeba być młodym żeby pojąć radość jaką serce moje zawrzało przy takowém oświadczeniu ojca. Oh! nieraz ciężko ja westchnąłem, że brak funduszów nie pozwalał mi zwidzić obcych krajów; a osobliwie wtedy, gdy jaki młody panicz w mojéj obecności rozwodził się nad wykwintnością restauracyj paryzkich, nad okazałością kawiarń, wdziękami subretek i t. p., wtedy serce mi się krajało, że się nie mogę poszczycić tak ważnemi wiadomościami. Dlatego téż w chwili objawionego zamiaru ojca, jakby w odurzeniu jakiém, myślałem: oho! i ja niedługo będę mógł powtarzać co trzeci wyraz, *kiedym był w Paryżu!* Co to za rozkosz!

Zaraz bowiem w piérwszéj chwili za cel podróży założyłem sobie Paryż; o Paryżu więc jedynie marzyłem i we śnie i na jawie. Zdawało mi się że już mnie dochodzi zapach cytrynowych i pomarańczowych drzew z lasku bulońskiego, że się zbliżam do pól elizejskich, w których rozciągnięty na przepysznéj sofie, dumać będę pod cieniem daktylowéj palmy, zwidziwszy piérwéj, a nawet najpiérwéj, *Café du Foi*, lub którą z uroczych kawiarń bulwarów, albo *La petite bourse*, albo lekkie jak zefir huryski, co wdzięcznemi pieszczotami obraz istnego raju Mahometa przedstawiają. I zaiste, pytam się, dokądże przyzwoiciéj zdążać na naukę, jeżeli nie do miasta w którém bez mozołu, wśród zabaw i rozkoszy, wszystkiego nauczyć się można? *Byłem w Paryżu!* to jest to samo, jak gdybym powiedział: jestem wszechstronnie, wykwintnie ukształcony, wszystko umiem. Magister uniwersytetu, doktor, to ma znaczyć ciężko uczony, wielce mądry; skoro zaś powiedzą: był w Paryżu, to coś jeszcze wyżéj. A więc cóż ja winien że w tym względzie myśl moja zgodną była ze zdaniem ogółu? *Vox populi, vox Dei*, to prawda odwieczna. Wreszcie, pytam się, dokądże biédny Polak nieokrzesany, niemający sposobności

wykształcenia się wśród swoich dzikich lasów, ma się udać, żeby się jako tako okrzesał i przyjemnie puścił część mienia skrzętnie przez rodziców uzbiéranego? Może do Anglii? do kraju kupców i fabrykantów, gdzie lud od rana do wieczora jak mrówka za zyskiem goni; gdzie każdy być musi kupcem, fabrykantem lub rękodzielnikiem, i gdzie czasem parlamentowy deputat w przedsionku sali obrad narodowych spostrzega że zapomniał odpasać warsztatowy fartuch. Ach! tam wszystko wyrachowane, zamyślone, ponure, niebo nawet posępne. Może do Niemiec? gdzie duch filozoficznéj spekulacyi na obliczach mieszkańców poważne wyrył piętno gdzie każde stąpnięcie pod regułę podciągnięto, gdzie ukłon kapeluszem na czas i stopień kąta mniéj więcéj ostrego lub roztwartego wyrachowany. Tam wszystko ciężkie, osowiałe. Do Włoch niech jedzie malarz i śpiewak; do Hiszpanii droga niezręczna i niebezpieczna; a więc tylko do Paryża!

Ponieważ nie piszę romansu, ani powieści bohatérskiej, tylko po prostu dla pamięci zapisuję to, co mnie w życiu więcéj interesowało, więc prosty wniosek że mi wcale nie chodzi o to, czy te zapiski moje dwa lub trzy tomy, większym czy drobniejszym drukiem, z interliniami lub bez nich, zajmą, ponieważ wcale nie myślę poruczać tego prasie drukarskiéj; dlatego téż opuszczam wszystkie bohatérsko-poetyckie opisy dworów, chałup wiejskich, karczem, dziedzińców, drzew, i t. p., bo to już po tysiąc razy opisane, odmalowane, odbite w naszych genialnych powieściach, od p. Rozbickiego począwszy, aż do... do... Oto co jedynie radbym odmalować, to chléwki i kurniki wybornie urządzone we wsi mojego ojca, a o czém jeszcze żadnéj wzmianki we wzorowych powieściach nie znalazłem; lecz i z tém wstrzymać się muszę, bo może w Paryżu, w ogrodzie roślinnym (jardin des plantes), zapewne dlatego tak zwanym że w nim utrzymują zwierzęta, wspanialsze, a któż wié czy nie dogodniejsze zobaczę.

Otóż więc dla pamięci zapisać muszę, że od chwili w któréj mi ojciec o podróży napomknął, aż do wieczora, nic nie widziałem, nic nie słyszałem, o niczém nie myśliłem, tylko o podróży. Udawszy się na spoczynek, całą noc przemarzyłem o podróży, rano zaś, równo ze świtem, już mnie ojciec wezwał do siebie.

Zaledwie przestąpiłem próg pokoju w którym ojciec się znajdował, gdym natychmiast usłyszał pytanie: «A czy téż waść wstawszy przeżegnał się przynajmniéj, bo o pacierz to niéma się co pytać nawet, pewnieś go już i zapomniał". Nie oczekując zaś mojéj odpowiedzi, dodał z głębokiém westchnieniem: «Tak, zapomnieliśmy o Bogu, i Bóg się téż od nas odwrócił i już więcéj jak na Egipcyan plag zesłał; boć sama cholera za wszystkie egipskie plagi stanie. Ja waści proszę i na błogosławieństwo ojcowskie zaklinam, nie słuchaj rozumowań tych niedowarzonych mędrków, co to dla dogodzenia swoim bydlęcym chuciom depczą prawa świętéj naszéj religii, osobną dla siebie wyrozumowaną tworząc moralność, którą zręcznie umieją przykrawać do każdego stanu, widoku i położenia. Dla przekonania się o istocie téj ich moralności, przejrzyj waść w aktach więzień naszych biografie ukształceńszych winowajców. I cóż tam znajdziesz? Nie zbrodniarzy w ścisłém znaczeniu, ale ludzi których wyrozumowana moralność zbłąkała i do tego opłakanego stanu przyprowadziła. Trzymaj się więc waść religii, bo ta jest nieomylną; rozumowi i największemu niedowierzaj, bo ten jest ułomny. Obrządków naszéj religii nie wstydź się, bo w nich ukryta jest myśl wielka, wzniosła; a ci co z nich dowcipkują, albo ich nieznają, albo na światło patrzéć niechcą, albo jak nietoperze niemogą. Jeżeli za granicą nie znajdziesz gdzie kościoła naszego, co ci się u tych tam Niemców często zdarzyć może, tedy w kąciku swoim, jaki tam miéć będziesz, pomódl się szczérze, poleć się Bogu; a to cię pokrzepi na wszelkie przygody życia. Niech będzie co chce, ja zawsze powiadam: kto z Bogiem, Bóg z nim".

Po takowéj nauczce rannéj wyszliśmy obydwa w pole. Zdumiałem się patrząc na rozległy obszar pięknéj nad podziw pszenicy; czém ucieszony ojciec, w te odezwał się słowa: «Widzę że może będziesz miał ochotę do gospodarstwa, nie żałuję więc swojego postanowienia. Żebyś wszakże wiedział po co jedziesz za granicę, na co tam masz baczyć, musisz piérwéj poznać to co tu jest i jak jest. Pragnąłbym więc abyś się dobrze rozpatrzył w mojém gospodarstwie, wszystkie jego szczegóły poznał, skutki moich zabiegów obrachował, i wtedy dopiéro ruszył w drogę w imię boskie".

Wśród téj rozmowy zbliżyliśmy się do pola na którém już woły były w robocie. Uderzyło mnie że zamiast sochy ujrzałem pługi, z niejaką odmianą jarzma. Nie mogłem się wstrzymać od zapytania o przyczynę téj nowości.

Uśmiéchnął si ę ojciec i rzekł: «Wy młokosy uważacie starych za upartych i przesądnych, za nieprzyjaciół wszelkiego postępu; a oto widzisz, że ja choć stary, a jednak postępuję. Znajdziesz w mojém gospodarstwie niejednę nowość, tak dalece że gdyby nieboszczyk ojciec mój, a dziad twój, wstał z grobu, możeby i nie poznał rodzinnych kątów. Pokażę ja waści i książki gospodarskie w mojéj biblioteczce, i rachunki, i rozmaite zapiski z własnego doświadczenia zebrane. Co do pługów, otóż ci powiem. Zdarzyło się żem był w towarzystwie jedném, do którego się zaplątał jakiś Wielkopolanin. Wszczęła się rozmowa o gospodarstwie. My obliczaliśmy plon na kopy, on na ziarna; a lubo mnie się zdawało że nasze kopy łatwo zredukować na ich ziarna, on się jednak na to niezgadzał. Wśród takowych rozpraw uchwycił na język naszę sochę: nuż z niéj dowcipkować. Między innemi mówił że Noe, potępiwszy Chama, kazał mu sochą uprawiać ziemię, a Jafetowi i jego potomkom dał pług. Hola! panie Wielkopolaninie, pomyślałem sobie, toć ja szlachcic Podlasianin, ale nie potomek Chama; sprobuję ja waszego pługa. Jakoż upatrzywszy czas dogodny, pojechałem w Lubelskie do p. starosty, który oddawna miał już pługi. Przypatrzyłem się dobrze temu jafetowskiemu narzędziu, nauczyłem się jego użycia i na wzór kupiłem jeden pług u miejscowego kowala. Wybrałem parobka, który się wnet zapoznał z nowém narzędziem; bo muszę ci powiedzieć że nasz lud nie tak głupi jak go okrzyczano, ja to mówię nie bez zasady. Byłem ja w Płockiém u pana wojewody, naszego powinowatego, widziałem tam całą osadę Szwabów, których wojewoda parę tuzinów zapisał gdzieś tam z Niemców: a cóż to za niezdary! Boże zmiłuj się! A toć ja na moje oczy widziałem, jak jednemu ułamały się dwa szczeble u drabi, i on szukał majstra żeby mu je wprawił. Nasz chłop oś sobie sam zrobi, koło naprawi i zgoła do wszystkich swoich sprzętów i narzędzi żadnego majstra nie potrzebuje. I cóż waść na to powié, moi wieśniacy oglądali na wszystkie strony pług sprowadzony przezemnie, patrzyli nań jak na raroga; probowali, kiwali głową i w końcu dorobili do swojéj sochy odkładnice, ciesząc się że mają narzędzie równie dogodne jak pług, a daleko tańsze.—Zdaje się że oni mają słuszność, ale ja, raz zaprowadziwszy pługi, niechcę ich zarzucać, żeby nie zostać Chamem w oczach Wielkopolanina.

«Muszę téż dodać że mam u siebie Macieja parobka, tak sprytnego, jak gdyby terminował u jakiego mechanika; mam także niezłego kowala. Otóż widzisz waść w całém mojém gospodarstwie, nie znajdziesz żadnego pospolitego sprzętu, któryby za granicą wsi mojéj był zrobiony. Brony drewniane i żelazne, pługi, radła i tym podobne narzędzia, wszystkie są roboty Macieja i kowala, a tak dogodne, że i mechanik Szwaba dogodniejszych zrobić nie potrafi. Jużcić młockarnią, młynek do czyszczenia zboża, sieczkarnią wielką sprowadziłem z Warszawy mospanie, i kontent jestem z nich. Mój Maciej powiada że pomału i takieby machiny zdłubał, a może i prawda, bo cichaczém, nic mi nie mówiąc, zabrał się z kowalem i zrobili sieczkarnią wielką, trochę niezgrabną, to przyznać trzeba, ale dogodniejszą od warszawskiéj, a ledwie połowę tego kosztującą co tamta.

«Kilka lat temu w całéj naszéj okolicy straszliwe panowały choroby: całe wsie pokotem leżały; a tu żniwa za pasem, zboża najpyszniejsze; wszystko prześlicznie obrodziło. Cóż robić, niéma komu sprzątać; serce się krajało. Ale w téj biédzie przypomniało mi się że w Płockiém będąc widziałem u Szwabów jakieś kosy z grabkami do koszenia żyta, jak mi powiadano w snop. Ale cóż, przez głupi przesąd uważałem to za niemiecki figiel i nieprzypatrzyłem się należycie. Zawsze jednak tyle skorzystałem, żem postanowił użyć kosy, choćby téż tylko dla uratowania paszy. Wołam więc Macieja, włodarza starego i kowala na radę. Opowiadam im o owéj niemieckiej kosie, opisuję jak mogę i kończę że czy tak czy owak, wszystko zboże trzeba wziąć na kosę; jeżeli będzie mniéj ziarna, tedy przynajmniéj niezbraknie paszy. Moi radcy do roboty: jak zaczęli strugać, krajać, próbować, zrobili wyborne grabki. Zboże moje w snopach poszło do stodoły; miałem i ziarno i słomę. Odtąd mało sierpu używam, wszystko niemal biorę na kosę, i prócz oszczędności na żniwiarzach, mam niezmierny zysk w czasie. Otóż widzisz co to są nasi ludzie. Ale przy téj sposobności muszę dla waści i tę wyprowadzić jeszcze moralną naukę, iż wybiérając się za granicę, na to pamiętać powinieneś, że w gospodarstwie żadnym drobiazgiem gardzić nie należy, wszystko dokładnie zbadać trzeba; bo trudno zgadnąć jak dalece błahy na pozór szczegół może się stać przydatnym w danym przypadku. W papiérach moich pokażę ci mnóstwo drobiazgów którem pochwytał przypadkowo».

Takim sposobem odbywałem z ojcem praktyczny kurs gospodarstwa wiejskiego. Nie powiem aby takowe rozmowy miały być dla mnie bez interesu; lecz mając ciągle na myśli Paryż, radbym był na skrzydłach jaskółki dostać się do niego. Nieraz więc opowiadania ojcowskie zdały mi się niesłychanie rozwlekłe, i mimowoli napadało mnie gwałtownie ziéwanie, które, ma się rozumiéć, rozmaitemi przebiegami przed okiem ojca ukrywałem.

Tymczasem schodziły tygodnie i miesiące, i zima wreszcie nadciągnęła. O mojéj podróży nic; ojciec zawsze cóś nowego wynalazł, czém mnie zajmował, a często niecierpliwił. I tak: z tak nanazwanym pisarzem prowentowym ułożyłem całoroczny rachunek gospodarski, według buchhalteryi ojca mojego, a z tego rachunku musiałem następnie układać rozmaite bilanse. Na przykład co korzystniéj dla gospodarza, czy konie robocze utrzymywać, czy woły? W odpowiedzi trzeba było wyrachować na monetę wszystkie względy: koszt zakupu, długość czasu użycia, dogodność i szybkość roboty, koszt utrzymania, zaprzęgi, korzyści poboczne z nawozu, przewidziane i trafowe przygody, korzyści po wyjściu z użycia i t. d., i to wszystko należało obracać na ceny zwyczajne, a nie urojone. Takież same porównawcze rachunki musiałem ułożyć co do produkcyi zbóż rozmaitego gatunku. Bo naprzykład ojciec mój w dwóch tylko polach siał jęczmień, tatarki zaś od wielu lat ani ziarna nie powierzał ziemi; a ponieważ to opiérało się na jego doświadczeniu, kazał mi więc z rachunków swoich starych wybadać przyczynę takowego postępowania. Musiałem obrachować korzyści chowu owiec z grubą wełną i porównać chów owiec z chowem krów. Nawet trzoda chlewna, gęsi, kaczki, kury, indyki, gołębie dostały się pod moje pióro. Słowem nie było najmniejszego drobiazgu w gospodarstwie wiejskiém, żebym go nie obrachował na wszystkie boki.

Wszystko to było zatrudnieniem godzin dorywczych, bo zwyczajnie musiałem doglądać wszystkich szczegółów gospodarstwa i ojcu zdawać sprawę jak ekonom. Wśród takowego zajęcia tak zasmakowałem w gospodarstwie, że już jedynie o poprawie jego marzyć począłem. Paryż mi znacznie zobojętniał; myślałem jedynie o lepszych gospodarstwach za granicą.

Żeby się jednak komuś nie zdawało iż całe życie nasze upływało na chodzeniu od obory do stodoły, od stajni do spichrza, a wreszcie do stolika rachunkowego, muszę napomknąć że choć po większéj części tak bywało, boć to było nasze powołanie, jednakże mieliśmy i chwile rozrywki. Bawiliśmy się, osobliwie w święta, to u nas, to u sąsiadów; bywały czasami i skrzypki, i basetle, wywijało się to mazura, to krakowiaka. Panienki były i śliczne i cudnie postrojone, choć bez wielkich ceregielów; bo dzięki Bogu wówczas kuryer czy nieżył, czy téż o modach zapomniał. Dlatego téż ówczasowe panie i panny ubiérały się tak jak któréj było do twarzy, nie bacząc na stroje bogatszych. Ale bo téż podówczas, przy tanności pszenicy, musiałaby niejedna, chcąc dzisiejszéj mody ubiór sprawić, około dwudziestu korcy najpiękniejszego ziarna dźwigać na sobie. Tak uciążliwe nasze zabawy nie bywały; dlatego mile je wspominano, nikt po nich nie wzdychał, Lejbusiowi się nie kłaniał, ani szeptano po kątach, zkąd ta lub owa takie fioki bierze.

Karnawał zszedł na zabawach i pracy, post przepędziliśmy na pracy i pogadankach, w mniejszych lub większych zebraniach sąsiadów. Wielkanoc dość późna, była piękna i wesoła. W niedzielę przewodnią ojciec zapowiedział mi blizki wyjazd, dodawszy nawiasowo kilka przestróg. «Przedewszystkiém, rzekł ojciec, musisz mi waść przyrzec że udasz się tam głównie, gdzie ci wzorowe wskażą gospodarstwa, że nie pojedziesz do Paryża, zkąd wielu zaledwie ducha w skórze przywłóczy. Gdziekolwiek będziesz, nie graj roli pana; zgóry na Niemca skoro ci powié *Herr Graf*; o wszystko się pierwéj targuj, bo ja słyszałem że to Niemcy między sobą mają być niby rzetelni, ale niemają skrupułu odrzéć cudzoziemca. W każdéj fabryce interesującéj cię nie wstydź się jąć pracy, choćby téż i najprostszéj, bo tym sposobem lepiéj poznasz jéj bieg. Nadewszystko staraj się wszelkiemi sposobami dociekać sekretów fabrycznych, które majstrowie skrzętnie ukrywają, nietylko przed obcemi ale i swojemi. Na głowie waści niezbywa, byleby ochoty niebrakło".

Zapewniłem ojca że o Paryżu nie myślę, jednakże niechciałbym opuszczać północnéj Francyi, a osobliwie Normandyi, w któréj mają być niezłe gospodarstwa w pewnych względach. «Ba! rzekł ojciec, ja ci o Francyi nic nie mówię, tylko niechcę żebyś się uczył gospodarstwa w Paryżu, bo my u siebie nigdy takiego niezaprowadzimy. Umieją i w Warszawie skubać paniczów, ale tylko swoich; żaden zagraniczny nie przybędzie z pie-

niędzmi, tylko po pieniądze, któremi go na wyścigi obsypujemy, aby się potém u siebie mógł swobodnie naigrawać z naszéj głupoty i rozprawiać o naszém barbarzyństwie. Prawdę mówiąc, jest ci to niejakie barbarzyństwo ubożyć siebie, dla spanoszenia obcego wałęsy.

W parę dni po téj rozmowie już byłem na wózku. Odbywałem podróż w rozmaity sposób, to pieszo z tabołkiem na plecach, jak pospolity w Niemczech *Wanderbursche*, to na furmańskiéj bryce, kiedy niekiedy pocztą. Takim sposobem przewędrowałem całe północne Niemcy, część Hollandyi, Belgią, zawadziłem nawet i o Francyą. Brała mnie wprawdzie pokusa zwidzić Paryż; ale żądzę moję hamowało przyrzeczenie dane ojcu. Prócz tego spotkałem w drodze biédnego panicza zdebankowanego, który cichaczem zmykał z tego czarodziejskiego miasta, co jednych panoszy, a drugich w żebraki przemienia, i to w mgnieniu oka: *va banque*, i jużci skończona metamorfoza. Boże! wróć wieki barbarzyństwa, aby takich czarowników pławiono!

Trzy lata przeszło spędziłem na téj wędrówce. Tu się bawiło miesiąc, tam dwa i trzy, w miarę jak się powiodło pojąć przedmiot który pojąć chciałem, i który dla dalszych widoków pojąć trzeba było. Byłbym ja zajrzał koniecznie i do Anglii, lecz nieznając języka, nie ma się po co puszczać w celu naukowym; prócz tego ojciec naglił bym wracał czémprędzéj.

Tęsknił stary. Wszyscy bliżsi sąsiedzi przegospodarowali swoje włości w ręce nowych posiadaczów, którzy, choć się tu porodzili, zawsze przecież z uczuciem wspominają Spreę lub Jordan. Nie było więc towarzystwa w blizkości, a dalszego niechciało się szukać staremu i zdrowie niepozwalało. Przywitał mnie więc ze łzami w oczach, tém radośniejszy, że mnie ujrzał czerstwym i zdrowym.

Pragnął stary w jednéj chwili dowiedzieć się odemnie gdziem był, com widział, czegom się nauczył, a tu było na cały rok co do mówienia. «No! i jakże tam, jednym wyrazem, te mądre niemieckie gospodarstwa?"—«Oj! co mądre to mądre, odpowiedziałem; ależ w jednym wyrazie trudno objąć ten rozum gospodarczy Niemców. Zdaje mi się wszakże iż możnaby go głównie, w porównaniu z nami, oprzéć na téj zasadzie: Niemcy dlatego jedzą i piją żeby żyli,—my zaś zdajemy się żyć dlatego żebyśmy jedli i pili. Ta zasada, zapewne dziecinna w oczach niejednego, ważne za sobą prowadzi następstwa, o którychby wiele dało się rozprawiać".

Niebardzo to podobało się ojcu, który pragnął usłyszéć odemnie potwierdzenie ulubionego swojego przysłowia: ot mospanie, wszędzie kotka bura! Dlatego przerwał mi mowę zapytaniem, czy mi jaka Niemka nie zawróciła głowy i na panegirystę Niemców nie wystrychnęła. «Bynajmniej, odpowiedziałem, nie udałem się do Niemiec po żonę, tylko po naukę: mając więc cel wytknięty, prosto do niego zdążałem, nie zbaczając z drogi. Zbliżałem się i do Niemek, ale to tylko wtedy, gdy mi szło o rozpoznanie gospodarstwa kobiécego. Zresztą Niemki, choć są czułe i wrażliwe, przecież do miłostek z cudzoziemcami nie tak skore jak Polki".—«A to skaranie Boskie! zawołał ojciec, z widoczném uniesieniem, a toć widzę żeś się waść w Niemca przedzierzgnął i już własne gniazdo plamisz!"—«Ależ ojcze zlituj się, odpowiedziałem, wszakże i największemu wrogowi sprawiedliwość wymierzyć należy; a oprócz tego ja nie plamię swojego gniazda, ale radbym je z całego serca oczyścić z tego brudnego kału, którym powoli załazi. Toć nas to właśnie gubi, że niemożemy sobie w oczy wytknąć przywar i usterków; wszystko w sobie dobrze widziémy. Że mamy wiele przymiotów bardzo pięknych, tego nikt nie zaprzeczy; ale téż mamy i za co uderzyć się w piersi! Jest w nas silne uczucie prawości, obstajemy wszędzie za prawem, ale gniewamy się skoro to prawo samowolności naszéj zawadza. Wszystko co tylko ogranicza naszę wolę, przymusem, ciężarem nieznośnym zowiemy. Nie chcemy znać, nie czujemy wcale tego co Niemcy zowią *Pflichtgefühl*, uczucie obowiązku, co przecie jest gruntem cywilizowanéj społeczności i że tak nazwę moralności towarzyskiéj.

«Ztąd pochodzi że każdy u nas wzdycha do niezależności, to jest do stanowiska w którémby żadnych względem nikogo nie miał obowiązków, a tém samém mógł żyć według swojéj fantazyi.—Młodzieniec, tylko co się wyzwolił z lat dziecinnych, jeszcze niepoznał dobrze różnicy między czasem teraźniejszym a przeszłym, przyszłego uformować wcale nie umié, a już marzy jakby się prędzéj wymknąć ze szkoły; dlaczego? oto żeby żyć swobodnym, niezależnym, wykluczyć z gramatyki życia swojego tryb rozkazujący. Jeżeli jest jaka taka folwarczyna, na któréj rodzice mają ty-

tuł własności, panicz, niewdając się w hipotekę, tworzy plany gospodarstwa na niéj. Nauczyciel prawi z katedry o górach, rzékach, kanałach, a panicz w imaginacyi swojéj hasa na człapakach po łąkach, polach, przesadza rowy, płoty, strzela kuropatwy, chartami szczuje zające, lub się po gaju ugania za nimfami wiejskiemi; a gdy się z tego snu fantazyi przebudzi w końcu roku szkolnego, daléjże do różnych brać się fortelów, by ustrzelić promocyą, Przecież nic nie pomogło, spudłował! Być drugoletnim uczniem klassy czwartéj czy piątéj nie może, nie żeby się nie miał czego uczyć, ale że wstyd dla niego, wstyd dla rodziców. Cóż więc robić? panicz wyrostek, ciemny jak tabaka w rogu, drze się gwałtem do gospodarki; rodzice niepozwalają, bo wiedzą że nie ma ani na czém, ani czém gospodarować. Durząc więc syna, mamią świat, wreszcie sami się łudząc, pod pozorem młodego wieku, dla dokończenia edukacyi. wysyłają go za granicę, choćby aż do Wrocławia lub Torunia, i tam puszczają samopas.

«Tu dopiéro młodzieniaszek, w chwili budzących się namiętności, bez najmniejszego rozwinięcia władz umysłowych, rozpoczyna próbę swobodnego życia, trwoniąc szczupły grosz, Bóg wié z jakim trudem przez rodziców dostarczany, powiększając go nieuiszczaniem należności za piérwsze potrzeby życia; płaci radośnie tak zwany dług młodości w świątyni Cytery, i po trzech lub cztérech latach zagranicznéj w jedném mieście wędrówki, wraca z przedsionka Eskulapa dojrzałym mężczyzną, na twarzy i w całéj postawie obraz cztérdziestu lat najmniéj przedstawiając."

«Teraz już koniecznie trzeba się czegoś jąć, ale czego? Nauka cała kończy się na nędzném czytaniu i nędzniejszém jeszcze pisaniu; ukształcenie na zewnętrznéj ogładzie światowéj polega; wiadomości gruntownych w żadnym przedmiocie niéma: cóż więc przedsięwziąć? oto zabrać się do gospodarstwa. To jedyne powołanie! najprzód niezależne, a powtóre żadnéj niepotrzebuje nauki; boć przecie chłop, bez najmniejszego ukształcenia, a najlepszy gospodarz. Zniknął wprawdzie przesąd że kto z książki gospodaruje, ten chleba niéma; ależ książka gospodarska, to nie filozofia, zrozumiéć ją łatwo, a obejść się bez niéj jeszcze łatwiéj. Daléjże więc myśléć o gospodarstwie. Ponieważ funduszów niéma, więc szukać trzeba żony z odpowiednią szkatułką. Zawiéra się ślub dla formy w kościele, a istotny u regenta: posag liczy się z miłosném uczuciem, a żonę mieści się między meblami przy fortepianie, lub dla ozdoby kanapy".

—«Dosyć już tego, przerwał ojciec z żywém uniesieniem, toż ja dlatego odłożyłem niemało grosza na podróż waściną za granicę, żebyś wróciwszy szydził ze wszystkiego co jest krajowe, a nawet i na ojca nie miał względu? Ja także nie byłem za granicą, bom nie miał do tego sposobności; znam wielu szanownych obywateli co takąż jak ja odebrali edukacyą, a jednak są zaszczytem kraju, i gdyby tylko..... Ale co tam, żal się Boże i czasu i atłasu: at, już mi więcéj nie rozwódź się waść z tym swoim zagranicznym rozumem".

—«Ależ daruj ojcze, rzekłem, alboż ja niepowiedziałem już że u nas jest wiele dobrego. Ja wiem że mamy dzięki Bogu wielu szanownych mężów we wszelkich powołaniach; wielu miałem szczęście poznać osobiście, bardzo wielu znam z nazwiska, a bez wątpienia daleko więcéj jest jeszcze których odgłos niedoszedł uszu moich. Zwidzając kawałek obcéj ziemi, gdym zwracał myśl do rodzinnych kątów, przekonałem się że *wszędzie się znajdzie rozum, byle tylko szukać*, i u nas go wcale nie braknie. Ale niechże mi ojciec powié, czy nieprawda że ten rozum powoli coraz rzadszym się staje? Niechże się ojciec po swoich bliższych sąsiadach obejrzy, co się z niemi stało i dlaczego? Ojciec niebył za granicą, ale z chlubą skończył szkoły ks. Pijarów; a byłyż to wówczas szkoły! niech sobie mówią co chcą. Parę lat ojciec strawił w akademi krakowskiéj; a że okoliczności krajowe niepozwalały dosiadywać na ławie szkolnéj, to takie było przeznaczenie Opatrzności; jednakże z tém co ojciec zebrał na niwie naukowéj, jest się dobrze z kim podzielić".

—«No! odezwał się ojciec z westchnieniem, a toć prawda że złe coraz się wzmaga. Przykro patrzéć jak młodzi kręcą się jak muchy w smole, chcą zakasować starych, poprawiają gospodarstwa, murują, budują, zaprowadzają fabryki, trwonią grosz pożyczany, i w końcu majątki krwawo przez rodziców zapracowane puszczają w ręce wychodźców z nad Sprei, Wezery i Bóg wié nie zkąd, co się tu rozpisują ze swoją przylepką *won*, co u nich, jak słyszę, ma znaczyć szlachcica, chociaż podobno niejeden z nich, jak cichaczem szepcą, poszedł *won* od pociągla. Toćby to jeszcze znośniejsza była, gdyby wprost wychodźcy z Bambrów lub Szwabów przybywali tu z pieniędzmi; tacy niech-

by się pawili. Ale to gorsza, że to są po większéj części wanderbursze, co z tabołkiem na plecach przybywszy, na naszym chlebie utyli, naszym groszem się zapomogli, a zostawszy panami *won*, naigrawają się z tubylców. Jest wprawdzie i na nich kara boska; bo już niejeden zjechał z gospodarki i wrócił do stanu w jakim przybył, niemogąc się już ratować, z przyczyny podeszłego wieku. Otóż to niezłe przysłowie: szewcze! nie rzucaj kopyta. Drudzy przecież nie baczą na to i na oślep rzucają się w tę przepaść: zdawałoby się że mania gospodarstwa wiejskiego jest u nas zarazą endemiczną. Ale proszę cię powiedz że mi, za granicą jak się też biorą do gospodarstwa?"

—«Na to odpowiedź niełatwa, rzekłem, bo co kraj to inny obyczaj. Główna atoli różnica zdaje się na tém polegać, że nigdzie niéma tego przekonania, aby gospodarstwo wiejskie miało być pewnym rodzajem dyplomu szlacheckiego, cu u nas po większéj części nęci szewców, krawców i t. p. W niektórych krajach szlachta wcale po wsiach nie mieszka, i ci co się gospodarstwem rolném zajmują od ogółu nie są uważani za szlachtę, choćby nawet wywiedli prawa herbowe. W innych krajach szlachta i nieszlachta wiejskie prowadzi życie; ale syn szynkarza, krawca i t. p., biorąc się do roli, ani pomyśli żeby przez to miał nabywać prawa do herbu. Wogóle wszakże warunki gospodarstwa sprowadzając do jaknajkrótszych terminów, powiedziałbym że ich jest trzy: najprzód zamiłowanie, powtóre przyzwoite usposobienie, potrzecie odpowiedni fundusz; bo Niemcy tak dobrze wiedzą jak i my że z piasku bicza nie ukręci, a wilkiem orać nie można.

«Kiedym był w Myśnii dla obejrzenia fabryki porcelany, powiadano mi że niedaleko mieszka niejaki p. Oberwitz, zawołany gospodarz w całéj Saksonii. To było dla mnie dostateczną pobudką by go odwidzieć. W istocie znalazłem gospodarstwo we wszystkich szczegółach usprawiedliwiające sławę jaką zyskało; ale co mnie szczególniéj uderzyło, to rozporządzenie przeznaczeniem trzech synów, których mi p. Oberwitz przedstawił. «Karl, mówił mi, ma niespełna lat 12; głowa tępa, ale jak wół pracowity; to będzie filozof i wielki literat. Gottlieb średni jest poczciwy, mało mówiący, i choć miernych zdolności, może być przecież dobrym pastorem. Fritz najstarszy, przebiegły, zdolny, skrzętny, ten musi być gospodarzem».

Takowa kwalifikacya pokazuje, że Niemcy nie uważają wiejskiego gospodarstwa za pewny rodzaj *siesty*, za jakieś *dolce far niente*. W rzeczy saméj są to mrówki skrzętne, zajęte od rana do wieczora, a pracy téj nieuważają wcale za karę Ixyona, ale za obowiązek od powołania ich nieodłączny. Nie idzie zatém żeby Niemcy nie lubili, nie używali wcale rozrywek; owszém, w chwilach wolnych od naglejszych zatrudnień gospodarskich bawią się przyjemnie, ale po swojemu.

«Niedaleko Boizenburga w Meklemburskiém poznałem niejakiego p. Sparsama, którego ojciec jako Amtmann w nowowschodnich niegdyś Prusach dorobił się znacznego majątku i wróciwszy do ziemi rodzinnéj, kupił dwa folwarki, u nas na miano kolonii zasługujące. Syn jego, a teraźniejszy dziedzic, spędziwszy kilka lat młodocianych w Polsce, nie zapomniał jeszcze zupełnie po polsku, a że był meklemburczykiem, mile więc wspominał Polaków i mnie przyjął z radością. Gospodarstwo jego zalecało się hodowlą bydła i koni, i to właśnie sprowadziło mnie do niego. Pokazał mi z ochotą swoję oborę i stajnią, ale zarazem dodał: «Zbyt młody jeszcze byłem opuszczając Polskę, nie mogę więc stanowczo rozumować o gospodarstwie waszém; z tego wszakże co sobie przypominam, równie jak z potocznych rozmów ojca, zdaje mi się iż nie bez zasady wyprowadziłbym wniosek, że gospodarstwo wasze nie może być ani niemieckie, ani angielskie, ale powinno być czysto polskie. Wiele ulepszeń wypada wam zaprowadzić, ale wszystkie ze względem na miejscowość. Folwark mój jeden obejmuje około cztérech włók waszéj miary; toć mnie łatwo taki kawałek gruntu uprawić jak ogród. Ale niechże który z waszych dziedziców włości zabierze się do takiéj uprawy swojego folwarku pięć lub sześć razy rozleglejszego. Dla mnie rosłe moje konie są bardzo dogodne, u was byłyby ciężarem dla gospodarza. Wam potrzeba koni miernych, lekkich, zwinnych, bo i gatunek i obszérność gruntu tego wymaga. Nie skupować więc u nas, ale własne poprawiać przez stosowne hodowanie winniście.

«Kiedy niekiedy odwidzając krewnych w Polsce, z żalem widziałem że młodzi gospodarze wasi rzucają się do wyrozumowanego gospodarstwa, ale bez wyrozumowania. Nie oglądają się wcale czy i kiedy ujrzą korzyści swojego wyrachowania. Piękny to zaiste widok tego ruchu, musi on bez wątpienia tu i owdzie piękne wydawać owoce;

w massie jednak spełznie na niczém. Przyjdzie czas niezawodnie, gdy miasta wasze zaludnią się, przestaną być rolniczemi; wtedy gospodarstwa wasze zrównają się z zagranicznemi, bo nie będziecie hołdownikami obcych rękodzielni, ani uniżonemi sługami zagranicznych kupców.

«Pospolite u was wyrażenie: bez pieniędzy nie podobna brać się do gospodarstwa. Prawda i wielka prawda, skoro idzie o zakupienie gruntu, inwentarzy, sprzętów, zasiewów i tym podobnych rzeczy na piérwszy zakład; lecz z temi warunkami wprowadzone w ruch gospodarstwo własnemi już siłami trzymać się i dźwigać powinno; do tego wszakże potrzeba cierpliwości i rozważnego wyrachowania.

«Znam ja u was jednego obywatela, który po rodzicach odziedziczył dwa rozległe folwarki z hipoteką jak kryształ czystą, bo nawet bez listów zastawnych. Będąc zamożnym, chciał po waszemu zostać jaśnie panem. Zakupił znaczne dobra w sąsiedztwie, jednę czwartą szacunku zapłacił długiem zaciągniętym na hipotekę ojcowizny, trzy czwarte rozłożono na raty, a rewersa lichwiarskie dostarczyły funduszów na zakupienie inwentarzy. Zapytany przezemnie sąsiad jego o zasadę tego rachunku, oświadczył mi iż to wszystko opiéra się na zbiegu szczęśliwych dla tego pana okoliczności. Najprzód żeni się z panną krociowego posagu; powtóre jest jedynym spadkobiercą stryja, po którym same kapitały aż nadto dostateczne będą na oczyszczenie hipotek. Późniéj dowiedziałem się że krocie po ślubie skradziono, a stryjaszek na starość ożenił się i zostawił aż dwóch sukcessorów. Dla naszego jaśnie pana w nadziei pozostał ratunek chwilowy w sądach, a ostateczny w służbie za ekonoma. Wtedy przekonałem się że niemieckie przysłowie dobre jest: «Talar który mam, lepszy od stu które mógłbym mieć».

«U nas, mój panie, grosze składają się na złotówki, a złotówki na talary; wy zaś w imaginacyi obliczacie tysiące na miliony. Macie przysłowie «nie od razu Kraków zbudowany», a wcale nie baczycie na nie. Dlatego nigdzie tyle ciągłych skarg na złe czasy nie usłyszysz ile u was. Ustawicznie obracacie się w wilczych opłotkach. Pszenica obrodziła, coż ztąd kiedy tania! pszenica dobrze płaci, ba! kiedy jéj mało! My szczęśliwi kiedy nam gospodarstwo przyniesie sześć procent; wam piętnaście za mało. Prawda że wydatki wasze najmniéj o sto procent wyższe są od naszych, bo my żyjemy po niemiecku. Wy się śmiejecie z nas, a nam z tém bardzo dobrze. Dlatego, jak z jednéj strony cieszę się że mi los zdarzył pana na świadka naszéj familijnéj uroczystości, tak z drugiéj żałuję że nie potrafię panu sprawić téj przyjemności, jakąbyś w podobnym razie znalazł w Polsce».

Właśnie odwidzając p. Sparsam trafiłem na obrzęd zaręczyn córki jego Laury. Zebrało się z sąsiedztwa podobnychże właścicieli około dwadzieścia osób, mężczyzn i kobiét zarazem. Na obiad dano coś nakształ zupy migdałowéj, potrawkę z gołąbków i pieczonego jędora z sałatą. Było parę butelek wina czerwonego kwaskowato-cierpkiego, weissbier i woda. Kobiéty zajmowały miejsca przy stole bardziéj do siebie zbliżone; mężczyzni osobną tworzyli gruppę. Chcąc pochwycić rozmowę i jednych i drugich, na obiedwie strony nadstawiałem ucha, lecz tyle tylko powziąłem, że między kobiétami głównym przedmiotem były choroby drobiu podówczas panujące i nowy jakiś sposób prania materyi; mężczyzni zaś rozprawiali o Boliwarze, *libertadorze* Wenezueli, i obrachowywali skutki wyswobodzenia Ameryki pod względem handlu i przemysłu.

Po obiedzie młodzież zabrała się do tańca; mężczyzni starsi w przyległym pokoju, przy oszczędnych fajkach, daléj ciągnęli rozmowę geograficzno-statystyczną, któréj słuchałem jak uniwersyteckiéj prelekcyi, z większém zajęciem i upodobaniem, jak niegdyś ś. p. ekonomii politycznéj w naszéj warszawskiéj szkole głównéj. Czas tak szybko a przyjemnie upływał, że niespostrzegłem kiedy zapalono lampy i przystąpiono do obrzędu.

Po skończonéj ceremonii zgrabne Niemeczki przyniosły na tacach w kieliszkach niewielkich wino mozelskie, i mniéj kwaskowe jak przy obiedzie czerwone, i wcale nie cierpkie. Tu nadmienić winieniem, że choć dwór p. Sparsam był murowany, obszérny i pięknéj wcale budowy, choć właściciel tego dworu był rzeczywiście *von* i miał około dziesięciu tysięcy talarów dochodu czystego rocznie, przecież liberyi u niego ani poświéć; nie było ani kuchtów, ani masztalerzów, ani kredencerzów, zgoła nic z téj licznéj nomenklatury służących, jaką się napotyka po lichych nawet naszych folwarczynach. Dwie Niemeczki usługiwały do stołu; też same w ciągu zabawy obnosiły puterszniki, ciastka, owoce, i rozmaite, i w rozmaity sposób zaprawione, ale wszystko w domu. O godzinie jedenastéj skończył się cały bal; wszyscy

goście rozjechali się, a nazajutrz rano i ja byłem w Boizenburgu».

— «Dziwne rzeczy mi waść prawisz, przerwał w tém miejscu ojciec; jać to dawno słyszał, że to tam Niemcy bardzo skromnie żyją i niemal samą wasserzupką się obywają. Ale zdarzyło mi się raz z przypadku trafić na obiad u jednego z moich sąsiadów, także jakiegoś rzeczywistego *von*: obiad był suty, wina dosyć, i wyśmienite, nie kwaskowe, wcale *de bono grano*, choć nie było żadnéj uroczystości. Waść wiész że ja zawsze byłem za oszczędnością i dobrze grosz obejrzę, nim się z nim pożegnam, a jednak na taką oszczędność wcale się nie zgodzę, zwłaszcza téż przy takiéj uroczystości. Bez zbytku, bez tych tam nowych wymysłów, ale dobrze zjeść lubię. Nie cierpię léj, przeléj, nienawidzę przynuki; ale kieliszek wytrawnego węgrzyna i jeden i drugi, to nie zawadzi, zwłaszcza kiedy się znajdzie bez uszczerbku na potrzebniejsze wydatki. Tfy! a pocóżby téż człowiek i żył na świecie, żeby się nie miał kiedy niekiedy przyzwoicie zabawić z dobrym sąsiadem!»

— «Wszystko, mój ojcze, rzekłem, zależy od wyobrażenia i nałogu. Niegdyś u nas godów, uczt, odpustów, jarmarków zasadą była pijatyka i bijatyka: teraz świat polerowniejszy, wykwintniejszy; przy lada okazyi cichuteńko się bawią... przy zielonym stoliku. Bez halasu przesuwają się tysiące z rąk do rąk. Czasem się przemknie po stoliku ślubna kareta, dzielna czwórka kasztanków, niekiedy się i wańtuchy przewalają, i pszenica w snopie: ale to wszystko grzecznie, pięknie, wesoło. Prawda że potém idą skargi na ciężkie czasy, na nieurodzaj, na brak kapitałów, na lichwę, na ogromne koszta edukacyi dzieci, i t. d.

«Niemcy inne mają wyobrażenie zabawy. Przez ciąg mojego pobytu za granicą w różnych bywałem towarzystwach; a w żadnym prywatnym domu nie zdarzyło mi się spotkać z asem lub kralką. Wszędzie rozmowa jest gruntem zabawy. Ale téż przyznać potrzeba że między gospodarzami niemieckiemi mnóstwo jest ludzi z wszechstronném naukowém ukształceniem, którego pod skibę nie zagrzebują».

— «Stój waść, zawołał ojciec, gniewają mnie te pochwały cudzoziemczyzny. Waść jeszcze nieznasz naszych gospodarzy; są między niemi ludzie z sercem i głową, a znajdą się i tacy, coby twoich Niemców z całą ich nauką w kozi róg zapędzili. Późniéj ich wymienię, a teraz pomówmy o czém inném, bo niechcę żeby Przekora Przekorze na przekorę gadał».

Przypisek. Ponieważ tych wspomnień pełną mam tekę, więc będę mógł niekiedy udzielać czytelnikom jaki z nich wyjątek.

Tomasz Dz.....ski.

BERZELIUS.

Jan Jakub Berzelius urodził się 26 sierpnia 1779 r. w Wafersunda, wiosce leżącéj niedaleko Linkoeping w Ostgothland, téj saméj prowincyi szwedzkiéj, która na początku XVII stulecia wydała nieśmiertelnego prawodawcę nauk przyrodzonych, Linneusza. Ojciec jego zajmował urząd przewodniczącego w miejscowéj szkole parafialnéj, stanowisko które w Szwecyi dosyć wysokie, a przynajmniéj wyższe nierównie jak gdzieindziéj, ma znaczenie. Z lat jego dziecinnych i piérwszéj młodości mało posiadamy szczegółów; wiadomo tylko że ojciec sam mu udzielał początkowe nauki, i że młodzieniec, mając lat 17, udał się na uniwersytet do Upsali, dla słuchania kursów medycyny. W Upsali uczył wtedy chemii Afzelius; adjunktem jego był Ekeberg.

Nauki przyrodzone, a mianowicie chemia, nie doszły jeszcze w owym czasie do wysokiego stopnia rozwoju. Odczyty professorów były w ogólności suche, czysto teoryczne, nie poparte dowodzeniami i doświadczeniami, któreby ułatwić mogły uczniom poczynającym pojęcie prawd wykładanych. Afzelius i Ekeberg bynajmniéj téż pod tym względem nie odróżniali się od swoich współkolegów; raz tylko na tydzień słuchacze ich mieli wstęp wolny do laboratoryum chemicznego. Berzelius jednak umiał sobie wyjednać pozwolenie bywania tam codzień, a widząc że niewiele się nauczy od swo-

J. J. BERZELIUS.

ich professorów, zaczął tém gorliwiéj poświęcać się studiom prywatnym i na własną rękę prowadzić doświadczenia.

Po upływie dwóch lat, złożywszy wstępne egzamina, opuścił Upsalę jako assystent przy lekarzu dozorującym wody mineralne w Medevi. Znakomity talent badawczy młodzieńca zwrócił się wtedy ku analizie: przedsięwziął i wydał, wspólnie z Ekebergem, dokładny rozbiór źródeł medewskich, a dzieło to piérwszém było ogniwem długiego pasma prac naukowych, które w późniejszym czasie tak rozgłośną zjednać mu miały sławę.

W roku 1804 powrócił do Upsali i otrzymał tam 24 maja t. r. stopień doktora medycyny. Kilka publikacyj naukowych, a mianowicie ogłoszenie «Spostrzeżeń nad galwanizmem», tak już wysoko stawiły młodego medyka w opinii powszechnéj, że ofiarowano mu w zastępstwie katedrę medycyny, botaniki i chemii farmaceutycznéj w Stokholmie, którą po śmierci Spaurnau'a r. 1806 objął jako rzeczywisty professor.

W epoce téj uniwersytet stokholmski miał tylko trzech professorów, którzy naturalnie przeciążeni byli prelekcyami. Berzelius oprócz tego, dla chleba, musiał jeszcze zajmować się praktyką lekarską. Później dodano cztéry nowe katedry, i to postawiło go w możności poświęcania się wyłącznie chemii i farmacyi. Laboratorium miejscowe bardzo było niedokładne, zbywało prawie na wszystkiém czego potrzeba do chemii eksperimentalnéj. Nie zraziło to jednak młodego adepta nauki; sam sobie, z żelazną wytrwałością, sporządził większą część narządów, i wkrótce odczyty jego, tłumnie uczęszczane, stały się wzorem dla innych uniwersytetów europejskich.

W roku 1806 Berzelius, wspólnie z Hisingerem, zaczął wydawać publikacyą peryodyczną pod tytułem: «Rozprawy o fizyce, chemii i mineralogii». Niezmierne zasługi jakie to pismo, szczególniéj pod względem analizy, położyło dla nauki, skłoniły królewską akademią w Stokholmie do wyznaczenia mu 200 dollarów rocznéj pensyi. W tym także czasie wyszło jego dzieło «O chemii zwierzęcéj». Roku 1807 Berzelius, zostawszy professorem medycyny i farmacyi, założył przy pomocy kilku innych znakomitych mężów towarzystwo lekarskie, kreacyą która do dziś dnia najzbawienniejsze przynosi owoce i główną jest podporą fakultetu medycznego w Stokholmie.

Powołany w r. 1808 na członka królewskiéj akademii, niezadługo (1810), licząc nie więcéj jak lat 31 wieku, mianowany został prezesem téjże akademii. Roku 1818 został dożywotnim sekretarzem akademii nauk, i urząd ten piastował aż do śmierci. W roku 1822 rozpoczął wydawnictwo swoich «Sprawozdań rocznych o postępie nauk fizycznych», które przez lat 20 regularnie wychodziły. W sprawozdaniach tych Berzelius roztrząsał i oceniał prace chemiczne ubiegłego roku; bo czytał wszystko i powtarzał u siebie ważniejsze doświadczenia. Oceny te naturalnie wielu mu robiły nieprzyjaciół; krytyka jego, jakkolwiek sprawiedliwa i łagodna, musiała ubośdź miłość własną tych, przeciw którym była wymierzoną. Mimo to wszakże publikacya rzeczona przez długi lat szereg była punktem centralnym chemii, któréj wszelkie postępy i odkrycia pilnie notowała, wskazując zarazem na próżnie jakie zapełnić należało.

Wielki przewrot w chemii, mineralogii i metalurgii spowodowała jego książka pod tytułem: «Zastosowanie dmuchawki w analizach chemicznych i mineralogicznych». Berzelius udowodnił w niéj, że przez zwrócenie rozdmuchanego płomienia na pojedyncze części minerałów położonych na węglu, rozpoznać można ich skład po sposobie w jaki topnieją.

Berzelius oprócz tego napisał w 8 tomach obszérną «Naukę chemii». Pomnikowe to dzieło kilku doczekało się wydań, z których każde było więcéj jak przedrukiem, bo całkowitém przerobieniem poprzedniego. Piąte wydanie, opracowane przez samego autora, jest z roku 1842, i zdaje się że Berzelius, przygotowując je do druku, przeczuwał iż nie doczeka się szóstego, bo napisał w przedmowie: «Nie mogę zataić przed sobą, że jeśli Najwyższy udzieli mi życia i siły potrzebnéj na wykończenie téj pracy, to przecież będzie ona ostatnią". Artrytyzm, połączony z lekkiemi napadami apoplektycznemi, na kilka lat przed śmiercią nadwerężył jego zdrowie. Jak pracowity robotnik, przed zbliżającym się wieczorem pragnący ukończyć dzienne swe zadanie, Berzelius pod schyłek żywota spieszył się z doprowadzeniem do końca dzieł rozpoczętych. Prócz wymienionych powyżéj, napisał kilka mniejszych książek, w których złożył wypadki główniejszych swoich odkryć naukowych. Z piérwiastków odkrył *selen* i *thorium*, a *calcium*, *baryum*, *strontium*, *tantal*, *silicium* i *zirconium* on piérwszy otrzymał w stanie metalicznym. Chemia zawdzięcza mu nadto zbadanie systemu

elektro-chemicznego i nauki stechiometrycznéj, tudzież rozbiory krwi, mléka, uryny i łez, w których wykazał obecność kwasu mlécznego, rzecz ważną niezmiernie pod względem fizyologicznym.

Czytając tytuły długiego szeregu dzieł napisanych przez Berzelius'a, trudno zaiste pojąć jakim sposobem jeden człowiek tyle ich mógł natworzyć, jak tyle wielkich rzucić mógł pomysłów, tyle ciekawych i ważnych wykonać doświadczeń! Rozwiązania téj zagadki szukać należy w prostéj bardzo, choć trudnéj, sztuce dobrego używania czasu, którą Berzelius w najwyższym posiadał stopniu. Z polecenia jego jakiś chemik otrzymał katedrę, lecz od lat kilku, oprócz obowiązków professorskich, niczém się więcéj nie zajmował. «Tłumaczył się zawsze przedemną, pisze Berzelius, że niéma czasu. Ale jam mu odrzekł że chyba nie czuje potrzeby pracy; bo kto umiłuje pracę, ten znajdzie zawsze sposób zadosyć uczynienia swojéj chęci".

Niezawiśle od własnych swoich odkryć i teoryj, których liczba bardzo jest znaczna, Berzelius w ciągu lat 40 powtórzył, sprawdził i potwierdził lub sprostował, jakeśmy wyżéj już wspomnieli, wszystko prawie co Europa w tym czasie wydała na polu badań chemicznych. Niezmierna przenikliwość, wytrwanie, ostrożność, zadziwiająca jasność pojmowania i dokładność w części technicznéj przedsięwziętych dociekań, nadawały jego pracom charakter niezachwianej pewności, która czyniła je niemal wyrocznią w świecie naukowym. Zarzucano mu wprawdzie że urzędowe te oceny niewiele przynoszą pożytku, że obalanie zdań cudzych, będących rezultatem mozolnego nieraz i długoletniego ślęczenia, ujemną tylko stanowi zasługę. Niechętni nawet twierdzili że sprawozdania Berzelius'a nie wszystkie jego są dziełem, że często do nich używał pomocy niedoświadczonych uczniów-kompilatorów. Ale te wszystkie zdania bezzasadne nie zdołają przyćmić wielkości znakomitego badacza. Sumienna krytyka, wbrew zaprzeczaniu potwarców, zbawienną zawsze i korzystną staje się dla nauki, jeśli tylko nie jest wynikiem próżności osobistéj, albo ubocznym nie posługuje celom. Na przodownikach w rożnych gałęziach wiedzy największa w tym względzie cięży odpowiedzialność; do nich to właśnie należy wyświecenie prawdy, wyniesienie hipotez naukowych do potęgi pewników, jeśli są dobre, a przeciwnie potępienie ich bezwarunkowe, ilekroć opiérają się na błędzie. Ze śmiercią Berzelius'a umilkła prawie krytyka chemiczna, któréj on najczujniejszym był strażnikiem; dla dobra jednak nauki życzyćby należało aby wkrótce ktoś z poświęconych uchwycił jéj berło, i za przykładem zgasłego mistrza powołał do porządku zbłąkanych pracowników, przewodnicząc im zarazem na drodze prawdziwego postępu.

Umarł Berzelius 1 sierpnia 1848 r. Na lat 13 przed śmiercią (1835) wstąpił w związki małżeńskie, a w dniu zaślubin wielkiego męża król szwedzki Karol XIV Jan, który dawniéj jeszcze nadał mu szlachectwo i order Wazy, napisał doń list własnoręczny, mianując go baronem i wyrażając mu wdzięczność Szwecyi i całego świata naukowego. Wszystkie prawie uczone towarzystwa zagraniczne wezwały go w skład swego grona, a rządy francuzki i belgijski mianowały go piérwszy kawalerem legii honorowéj, drugi orderu Leopolda. Dyrekcya fabryk żelaznych w Szwecyi udzieliła mu pensyą dożywotnią, z powodu wielkich jego zasług w zawodzie technicznym. W roku 1843 obchodził 25 letnią rocznicę piastowania urzędu sekretarza akademii, i w dniu tym na cześć jubilata wyprawiono ucztę, w któréj następca tronu szwedzkiego osobisty miał udział. Książę wniósł zdrowie Berzelius'a i wynurzył mu w pełnych życzliwości wyrazach swoję wdzięczność za odebraną od niego w wieku młodzieńczym naukę.

Przebiegliśmy w rysach szérokich życie wielkiego męża, wspomniawszy zaledwie o najważniejszych jego zasługach, których dokładne ocenienie oddzielnego dzieła i specyalnego wymagałoby pióra. Na zakończenie tego szkicu przytoczymy jeszcze wyjątek z dziennika podróży angielskiego professora Johnston, który r. 1829 odwidził Berzelius'a w Stokholmie, i w zajmującym opisie przekazał nam żywy obraz indiwidualności i życia naukowego prawodawcy tegoczesnéj chemii.

«Przybyłem do Stokholmu, mówi Johnston, 6 września, i zaraz nazajutrz poszedłem do akademii, dla widzenia się z Berzeliusem. Zastałem go w pracowni, zajętego nowém wydaniem swojéj «Nauki chemii». Nie czekając aż mu doręczę listy polecające, przyjął mnie z uprzedzającą uprzejmością. Berzelius ma około lat 50; twarz jego jest łagodna i przyjemna, lubo rysów niebardzo regularnych; szczególniéj usta mają wyraz niewypowiedzianéj dobroci. Nic jednak w powiérzchowności jego nie zdradza wielkiego człowieka. Pełen prostoty w postępowaniu, na pozór nie odróżnia się on niczém

od ludzi pospolitych; nie stara się ani błyszczéć nauką, ani jéj téż nie ukrywa.

«Jako sekretarz dożywotni akademii nauk, Berzelius ma w gmachu téj instytucyi mieszkanie swoje i laboratorium. Ofiarował się zaraz wykonać w mojéj obecności kilka doświadczeń, co nastręczyło mi sposobność pożądaną poznania jego metody i robienia ciekawych spostrzeżeń. W ciągu doświadczeń Berzelius zwracał moję uwagę na drobne owe środki ostróżności, konieczne w celu otrzymania dokładnych rezultatów. Pokazywał mi także swoje zbiory, z których szczególniéj mineralogiczny bardzo jest bogaty i mnóstwo zawiéra rzadkości. Uczniów, jak wtedy, miał niewielu, bo zaledwie ośmiu do dziewięciu. Zdrowie jego zdaje się być silne; jednakże narzekał przedemną że czuje zbliżanie się starości. Od kilku już lat używa okularów i pamięć nie tak wiernie posługuje mu jak dawniéj, bo preparaty naznaczać musi napisami, czego przedtém czynić nie potrzebował.

«Laboratorium Berzelius'a, skutkiem trafnie urządzonéj wentilacyi, wolne jest od wyziewów nieprzyjemnych, właściwych zwykle miejscowościom tego rodzaju. Na prawo pod oknem stoi naczynie z żywém srébrem; daléj stolik porcelanowy z galeryjką, na którym pełno rozmaitych naczyń, flaszek i słoików; obok stolika umieszczona lampa z mieszkiem i kilka innych narządów. Niéma tam pieców murowanych, które Berzelius uważa za niewłaściwe do subtelnych rozbiorów. Aparat jego składa się z pieca żelaznego 3 stopy wysokiego, z kominem i kapą.

«W przyległym pokoju piérwszym przedmiotem uderzającym wzrok przybysza jest waga stojąca na stole pod szklaną pokrywą. Ileż to proste narzędzie rzuciło światła na nauki przyrodzone, ile objaśniło zjawisk, ile prawd wydobyło z ukrycia! Któż zdoła wyliczyć spory jakie ono wywołało i rozstrzygło, hipotezy które rozwiało? Obok wagi znajduje się mnóstwo ciężarów ołowianych, dokładne przeciw-wagi, czyli tak zwane *tary*, wszelkich naczyń porcelanowych i platynowych całego laboratorium. Dokoła w małych skrzyneczkach ustawione są porządnie różne preparaty chemiczne.

«Zwracając się ztamtąd na lewo, znajdziesz nareszcie w trzecim pokoju samego Berzelius'a. Zajęty jest pisaniem. Na biurku przy którém pracuje, i obok na małych stoliczkach, pełno książek i pism periodycznych. Po lewéj stronie niewielki gabinecik, *sanctissimum* nauki, w którém najciekawsze i najrzadsze przechowuje preparaty.

«Berzelius pracuje dziennie 12—14 godzin, więcéj jednak piórem jak w laboratorium. Zdarza się niekiedy że, zajęty pisaniem, przez miesiąc cały i dłużéj wcale w niém nie postanie; ale gdy w ciągu pracy napotka jaką wątpliwość, rzuca natychmiast pióro i spieszy do laboratorium, dla sprawdzenia jéj doświadczeniem. Mieszkanie jego urządzone jest bardzo praktycznie i dogodnie: biblioteka, biórko, preparaty i piec chemiczny, wszystko to blizko siebie, skupione w małym obrębie. Laboratorium odznacza się czystością i porządkiem; każda rzecz ma tam swoje miejsce przeznaczone, i każdy narząd na zawołanie gotowy jest do użycia. Sprzęty lub naczynia drewniane Berzelius sam sobie struga i toczy. W ogólności wszystko co go otacza nacechowane jest sumienną ową skrupulatnością, która rozbiorom jego tak wielką nadaje wartość.

«Mało zapewne uczonych cieszy się tak powszechną popularnością jak Berzelius. Nie znajdzie w Szwecyi ani jednego człowieka ukształconego, coby się o nim nie wyrażał z najwyższém poważaniem. Jeden z naczelników oppozycyi w szwedzkiéj izbie parów mawiał o nim: „Szanuję go i szczycę się tém że jestem jego ziomkiem. W polityce różniliśmy z sobą, bo on, będąc członkiem izby, głosował zawsze za ministerstwem; lecz nie ubliżył żadnemu stronnictwu i sam téż od wszystkich był czczonym".

Wpływ Berzelius'a za granicą, a szczególniéj w Berlinie, równie był wielkim jak w Stokholmie. Najznakomitsi chemicy, jak Mitscherlich, Gmelin, Henryk i Gustaw Rose, Wöhler, Magnus, Arfwedson, Mosander i inni, byli jego uczniami, i wszyscy dla pamięci wielkiego mistrza swojego głębokie zachowują poważanie. Śmierć jego cały świat uczony pogrążyła w smutku i wywołała liczne demonstracye. Między innemi kongres aptekarski w Lipsku przesłał akademii stokholmskiéj na uczczenie zgasłego srébrny wieniec dębowy misternéj roboty, z dołączeniem stosownéj do okoliczności poezyi. Dar ten złożono w sali posiedzeń akademii, obok miejsca gdzie zmarły zwykł był zasiadać w czasie zebrań publicznych.

BOŻE NARODZENIE U ANGLIKÓW.

(Szkic obyczajowy).

Od najdawniejszych czasów Anglicy, uroczyściéj nad inne święta, obchodzili święto Bożego Narodzenia, z właściwą temu narodowi ekscentrycznością. Dziś cywilizacya zmieniła i zatarła piérwotne piętno obrzędów i zabaw, które dwa wieki temu istniały jeszcze w całéj barwie oryginalności. Zamiast, jak to u innych narodów ma miejsce, zajęcia się uczynkami pobożnemi i modlitwą do Najwyższego, oddawano się wesołości i zabawom bez granic. Kilka dni przed świętem ustawały roboty i zapominano o wszystkich troskach, dla śpiewu, śmiechu, tańca i pijatyki. Każda familia szlachecka wybiérała z swego grona przedstawiciela nieporządku, zwanego *Lord of misrule*, którego panowanie trwało od Wszystkich Świętych, do Bożego Narodzenia; obowiązkiem zaś jego było na czele swoich poddanych używać wszystkich najwymyślniejszych i najszczególniejszych zabaw. W dzień Bożego Narodzenia miasta przybiérały barwę wiosenną, gałęzie bluszczu i różnych drzew pokrywały ściany domów, a młodzież obojéj płci tańczyła około altan wybudowanych na ulicy umajonéj zielonością. Wieczorem biesiada zgromadzała każdą rodzinę około wspólnego stołu, a między mnóstwem potraw właściwych Bożemu Narodzeniu zawsze figurował na piérwszém miejscu wytwornie przyprawiony łeb dzika, podawany na srébrnym półmisku, przy odgłosie muzyki. Ludzie najpoważniejsi dawali sami przykład tych uciech charakterystycznych. Król bawił się jak ostatni z jego poddanych, a professorowie uniwersytetów dzielili szaleństwa swoich uczniów. Zabawy zakazane w innych porach roku, były wtedy tolerowane wszędzie.

Pewien pisarz, purytanin Stubbs, pozostawił opis swięta Bożego Narodzenia, który tu przełożony z angielskiego, jako najlepiej malujący swój czas, zamieszczamy. «Przedewszystkiém, powiada on, członkowie jednéj gminy, zebrawszy się, wybiérają wielkiego mistrza *nieszczęścia*, którego uszlachetniają tytułem *Mylord of misrule*; następnie koronują go solennie i przyjmują za swego króla. Król, zaledwie namaszczony, wybiéra dwudziestu, cztérdziestu, sześćdziesięciu lub stu ludzi obowiązanych do służby przy jego osobie. Każdy z nich przywdziéwa liberyą zieloną, żółtą, lub jakiego innego jaskrawego koloru, i jak gdyby ten ubiór niebył dość krzyczącym, przystrajają się jeszcze szarfami, wstążkami, koronkami, które na sobie zawieszają wraz z pierścionkami, drogiemi kamieniami i innemi marnościami światowemi; w dodatku przywiązują do nóg po kilkanaście głośnych dzwonków. Przyodziawszy się w taki sposób i zaopatrzywszy w figury tekturowe i instrumenta muzyczne, jak bębny i trąbki, na placu publicznym wyprawiają taniec zwany *diabelskim*; poczém cała ta zgraja udaje się do kościoła i na cmentarz, gdzie trębacze i dobosze wygrywają rozliczne sztuki, tłum zaś tańcując, dzwoniąc, wśród powszechnych okrzyków, wyrzuca figury tekturowe i inne z tego materyału wyrobione straszydła na otaczających. Przybywszy do kościoła, choćby się tam odbywało nabożeństwo, nie zaprzestają swego tańca, bębnienia i dzwonienia, i robią taki hałas, że nic słyszéć nie można. Wtedy wierni z kolei tracą rozum, odwracają oczy od ołtarza, śmieją się i włażą na ławki, żeby lepiéj widziéć paradę odprawianą w taki sposób szkaradny.

«Z kościoła Lord of misrule prowadzi swoich poddanych na cmentarz. Tam zwykle mają już przygotowane stoły w wybudowanych na prędce altanach; tam téż dopiéro na dobre się bawią, bankietują i tańczą cały dzień, a nawet czasem całą noc".

Pisarz oburzony opisuje w tym tonie cały obchód świąt Bożego Narodzenia. Opowiada w jaki sposób Lord of misrule przymusza przechodzących do kupowania obrazów które sprzedaje, pod karą 20 razów lub pogrążenia głowy nieposłusznego w wodę. I kończy słowami:

«Inni znowu szaleńcy przynoszą tym błaznom to chléb, to piwo, to świéże masło, ciasto, torty, śmietanę, i t. p."

Boże Narodzenie nic nie straciło dziś na popularności w Anglii, tylko sposób jego obchodzenia się zmienił. Co rok dyrektorowie teatrów angiel-

skich ogłaszają szumnemi afiszami widowiska nadzwyczajne pantomiczne, które sprowadzają do ich sal, często próżnych, napływ publiczności. Motłoch, nie mogący już wybiérać Lorda of misrule, niemogący również tańczyć, jeść i pić po placach, ulicach, kościołach i cmentarzach, jak za czasów Stubbs'a, stanowi tego dnia największą część widzów, i sceny które sala przedstawia badaczowi bywają nieraz daleko ciekawsze od tych co się odgrywają na deskach teatralnych. Jedynym zwyczajem świąt Bożego Narodzenia który czas uszanował, są zebrania familijne. Najsławniejszy tegoczesny romansopisarz angielski, Karol Dickens, przedstawia nam w następującym obrazku *Ucztę święta Bożego Narodzenia*.

«Człowiek któremu powrót Bożego Narodzenia nie sprawia uczucia radości, nie przypomina jakiéjś chwili przyjemnéj, musi być złym albo mizantropem. Są ludzie którzy wam powiedzą że święto Bożego Narodzenia nie jest tém dla nich czém było dawniéj, że teraźniejsze święta przypominają im tylko nieprzyjemne zmniejszenie dochodów i liczne nieszczęścia familijne. Odpędźcie te smutne wspomnienia. Między ludźmi co długo żyli na świecie bardzo mała jest liczba takich, którzyby nie mogli powiedziéć coś podobnego o każdym dniu bez wyjątku. Dlatego nie powinniście wybiérać najweselszego z 365 dni w roku dla przypomnienia sobie przeszłych smutków i obecnych utrapień. Przysuńcie krzesło do kominka, na którym pęk drew pali się z trzaskiem, nalejcie szklanki i rozpocznijcie piosnkę Bożego Narodzenia; a jeśli zajmujecie dziś pokój mniejszy jak temu lat kilka, i jeśli wasza szklanka, zamiast musującém winem, dymiącym jest napełniona ponczem, bierzcie rzeczy z dobréj strony, wypijcie ją jednym łykiem, napełnijcie poraz drugi, powtórzcie wrotkę jaką zwykle śpiewaliście i podziękujcie Bogu że nie jesteście nieszczęśliwszemi. Spojrzyjcie po twarzach swoich dzieci siedzących naokoło ognia: może tam jakie małe krzesełko będzie niezajęte; ale nie myślcie o przeszłości; nie myślcie o tém że rok dopiéro temu ładne dziécię, dzisiaj w proch zamienione, siedziało tu przed wami, mając kwiat zdrowia na twarzy i wesołość niewinną w oku. Myślcie o szczęściu obecném—każdy człowiek ma go wiele, a nie o nieszczęściach przeszłych,—których każden ma także swoję część na téj ziemi. Napełnijcie znów szklanki; z twarzą wesołą a sercem zadowoloném przepędźcie wesoło dzień Bożego Narodzenia, a rok który się rozpocznie może będzie dla was rokiem szczęśliwym. Czy podobna być nieczułym na oznaki wspólnéj miłości które wznawia to święto? Uczta familijna w Boże Narodzenie! Nie znamy nic przyjemniejszego w rodzinnych stosunkach; zdawałoby się że same wyrazy *Boże Narodzenie* mają w sobie coś magicznego. Nędzne zazdrostki, małe nieporozumienia są zapomniane; uczucia zgody i miłości powstają w sercach którym przez długi czas były obce; ojciec i syn, albo brat i siostra, co na kilka miesięcy przed Bożém Narodzeniem spotykając się odwracali głowę, albo zimném zaledwo spojrzeniem pokazywali że się znają, całują się wtedy serdecznie, zagrzebują niezgodę przeszłą w szczęściu teraźniejszém. Wszystko tchnie miłością, a widząc to zanosimy życzenie: dałby Bóg aby Boże Narodzenie trwało cały rok, i aby przesądy i skłonności brudzące nie wywiérały nigdy wpływu na tych którym powinny być obce!

«Uczta familijna w Boże Narodzenie nie jest prostém zgromadzeniem członków familii, sproszonych etykietalnie przed 8 lub 15 dniami; jest to zebranie coroczne młodych i starych, bogatych i ubogich, którego powrotu z gorączkową niecierpliwością oczekują szczególniéj dzieci. Dawniéj miewało ono miejsce u dziadzi, lecz dziadzia zestarzał się, i babcia zestarzała się także; wyrzekli się więc oboje prowadzenia domu i przenieśli obchód Bożego Narodzenia do wujaszka Grzegorza; ale babka dlatego nie przestaje przyczyniać się do uczty najlepszemi rzeczami, a dziadzia trzęsąc się idzie piechotą na targ Newgate dla kupienia indyczki i każe ją nieść za sobą w tryumfie przez najętego człowieka, któremu nie omieszka dać, oprócz zgodzonego wynagrodzenia, kieliszka wódki, mówiąc mu żeby wzniósł toast:« Wesołego Bożego Narodzenia i szczęśliwego nowego roku cioci Grzegorzowéj.» Co do babci, jest ona bardzo dyskretną i tajemniczą ostatnich dni święta poprzedzających, tylko że nie jest nią dosyć, gdyż domownicy szepcą sobie po cichu że kupiła po kapeluszu z różowemi wstążkami dla każdéj służącéj i parę książek, scyzoryków i ołówników dla najmłodszych członków rodziny, oprócz różnych dodatków do obstalunków zrobionych piérwiastkowo przez ciocię Grzegorzową u piekarza, jakoto: pół tuzina ciastek *minced pie* na obiad i kolosalnéj baby dla dzieci.

«W wilią Bożego Narodzenia babunia jest zawsze wesołą. Zatrudniwszy dzieci przez cały dzień wyjmowaniem pestek z rodzenków korynckich i

innemi robotami, co rok regularnie prosi wujaszka żeby poszedł do kuchni i mięszał pudding mniéj więcéj przez pół godziny, co wujaszek Grzegorz robi zawsze z właściwą sobie wesołością humoru i z hałaśliwém zadowoleniem wszystkich dzieci i służących. Wieczór kończy się ogólną ślepą babką, na samym początku któréj dziadzia daje się złapać, aby miéć potém sposobność pokazania swéj zgrabności.

„Nazajutrz rano stare stadło, otoczone tylą dzieci ile ławka objąć może, udaje się do kościoła w wielkiéj gali, pozostawiając w domu ciotkę Grzegorzową, oczyszczającą z kurzu butelki, napełniającą karafki, i wujaszka Grzegorza przenoszącego je do pokoju jadalnego, złajanego kilkakrotnie przez żonę, a nawet przez starą Ketty służącą, ale pomimo tego w wybornym będącego humorze. Kiedy dziadzia, babcia i dzieci wracają z kościoła dla zjedzenia podwieczorku, dziadek z pompatyczną miną wyjmuje z kieszeni gałązkę jemioły 1) i zachęca małych chłopców aby sprobowali pocałować swoje małe kuzynki gdy pod gałązką przechodzić będą. Usiłowania te sprawują młodym chłopcom i dziadzi niewypowiedzianą przyjemność, ale obrażają myśli o *decorum* babci, póki dziadzia jej nie przypomni że miał trzynaście lat i trzy miesiące kiedy ją piérwszy raz pocałował pod jemiołą. Na te słowa dzieci, bijąc w ręce, śmieją się z całego serca, jak również wujaszek Grzegorz i ciocia Grzegorzowa. Babcia zdaje się być zadowoloną i mówi z uśmiechem, że dziadek był zawsze ladaco; a dzieci znów w śmiéch serdeczny, wraz z dziadzią, który z nich wszystkich śmieje się najgłośniéj.

«Lecz wszystkie te zabawy są niczém w porównaniu z ożywioną sceną która po nich następuje, kiedy babcia w dużym czepcu i w jedwabnéj sukni koloru szarego, a dziadzia w żabocie doskonale wyprasowanym i w białym krawacie, siadają w salonie z obu stron kominka, a przy nich dzieci wujaszka Grzegorza z niezliczoném mnóstwem małych kuzynków, oczekując z niecierpliwością przybycia gości upragnionych. Nagle słychać że powóz zatrzymał się przede drzwiami; wujaszek Grzegorz, który wyjrzał za okno, woła: «Joanna przyjechała". Na te słowa dzieci wybiegają na schody, a wujaszek Robert i ciotka Joanna z małém dziecięciem i z mamką wchodzą po schodach, pośród hałasu dzieci i przestróg powtarzanych przez rodziców, żeby nie zrobić szkody małemu noszonemu przez mamkę. Dziadek bierze na ręce dziecko, a babka całuje córkę. Zaledwie wrzawa piérwszego wejścia ucichła, przybywają inne ciotki i inni wujaszkowie z większą liczbą kuzynów, i nic już nie słychać prócz mięszaniny wyrazów, wybuchów śmiechu i głośnych oznak radości.

„Podwójne uderzenie młotka, zmierzone nieśmiałą ręką we drzwi od ulicy, dało się słyszéć w salonie podczas chwilowego milczenia. Każden się pyta: «Kto to?" a dwoje lub troje dzieci będących blizko okna oznajmują cichym głosem: «Biédna ciocia Marya". Natychmiast ciotka Grzegorzowa opuszcza salon dla przyjęcia nowoprzybyłéj, a babcia przybiéra minę surową i ceremonialną, ponieważ Marya poszła za człowieka biédnego, bez jéj zezwolenia, i jakby ubóstwo nie było już dostateczną karą za jéj nieposłuszeństwo, została odepchniętą przez rodziców.

«Ale Boże Narodzenie wróciło, i zaślepienie biorące dotąd górę nad dobremi naturalnemi skłonnościami musiało ustąpić jego wpływowi, jak lód zaledwie utworzony w nocy topi się pod promieniami wschodzącego słońca. W chwili gniewu ojciec lub matka może się obejść bez przyjemności oglądania nieposłusznéj córki; lecz odpędzić ją w chwili radości, w chwili ogólnéj zabawy, od kominka około którego miała swoje miejsce w tylu podobnych rocznicach, przechodząc stopniowo błogie chwile niemowlęctwa, młodości, i stając się prawie od razu ładną, silną kobiétą, to rzecz zupełnie inna.

„Mina cnoty trochę zarozumiałéj i zimnego przebaczenia, którą szanowna matrona stara się przybrać, bardzo jéj nie do twarzy. Biédna Marya, podprowadzona przez siostrę, zbliża się; na blade jéj lice występuje rumieniec i serce bije gwałtownie. Głębokie milczenie panuje przez chwilę; potém młoda kobiéta wyrywa się z rąk siostry, i pada łkając w objęcia matki. Ojciec spieszy uścisnąć ręce męża i płaczącą utulić córkę: przyjaciele winszują im serdecznie, i jedność zupełna powraca znowu szczęście rozłączonéj dotąd rodzinie.

«Co do obiadu, jest on ze wszech miar doskonałym, wszystko idzie jaknajlepiéj, i każdy czuje najszczérsze chęci podzielenia się ze współbiesiadnikami własném zadowoleniem. Dziadek szczegółowo opisuje kupno indyczki, ale zapędzając się

---

1) W dzień Bożego Narodzenia zawiesza się gałązkę jemioły w salonie, i wszystkie osoby które pod nią przechodzą muszą dać się pocałować.

Fig. 1.

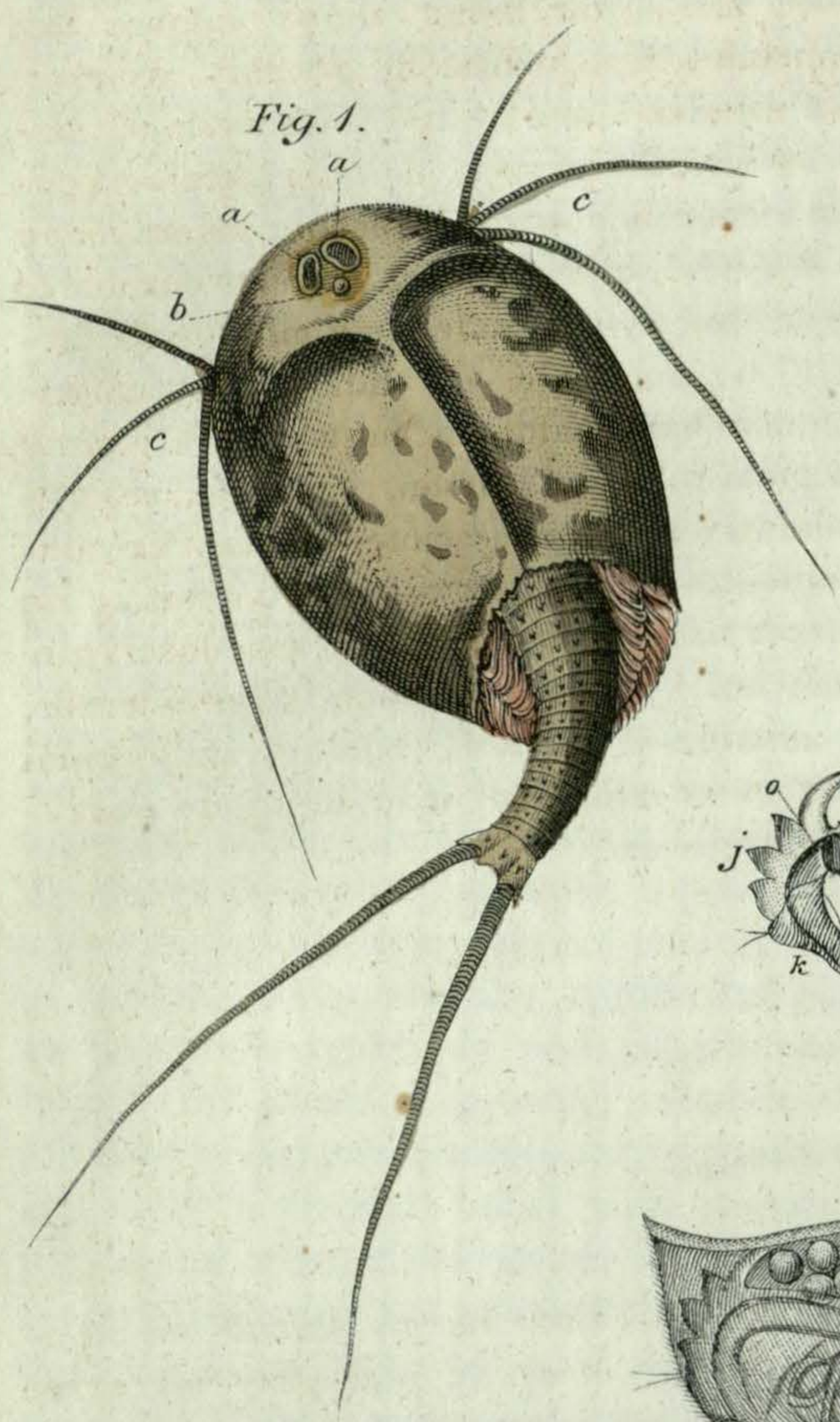

Fig. 3.

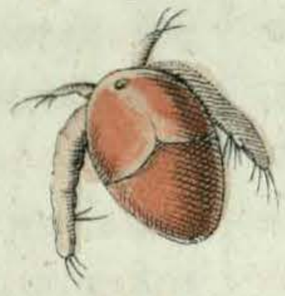

Fig. 2.

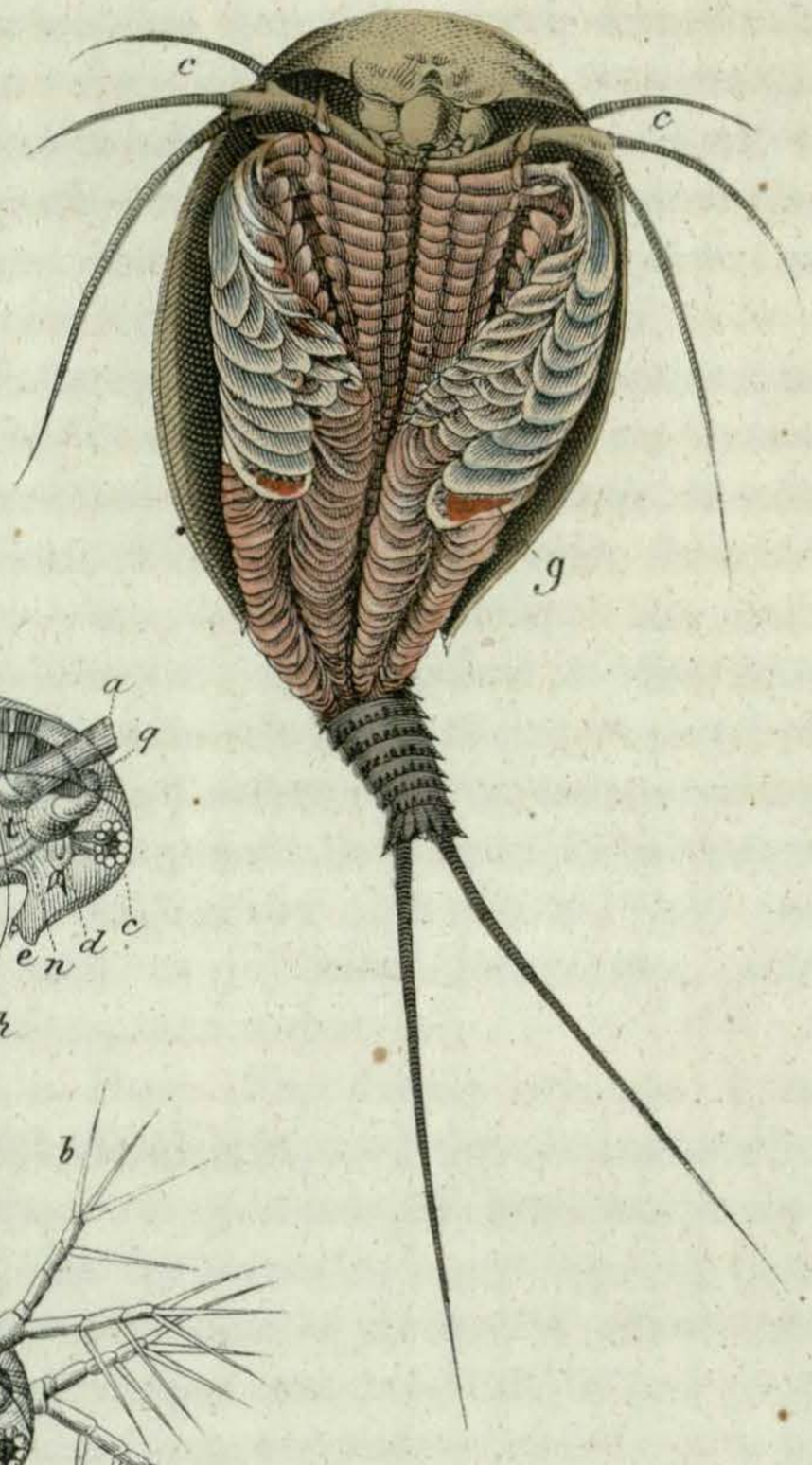

Fig. 6.

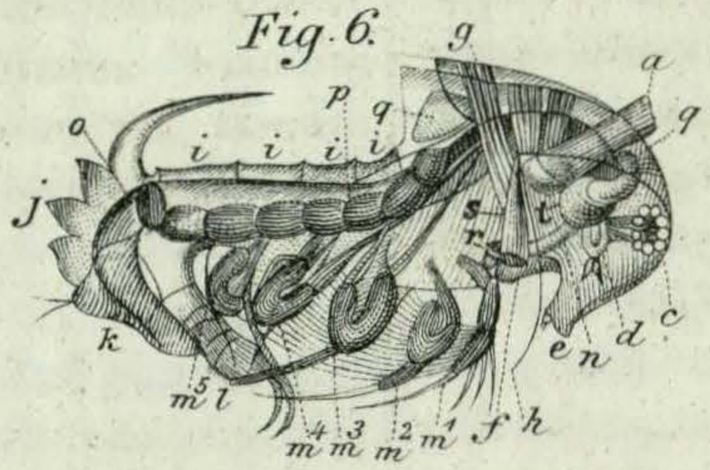

Fig. 5.

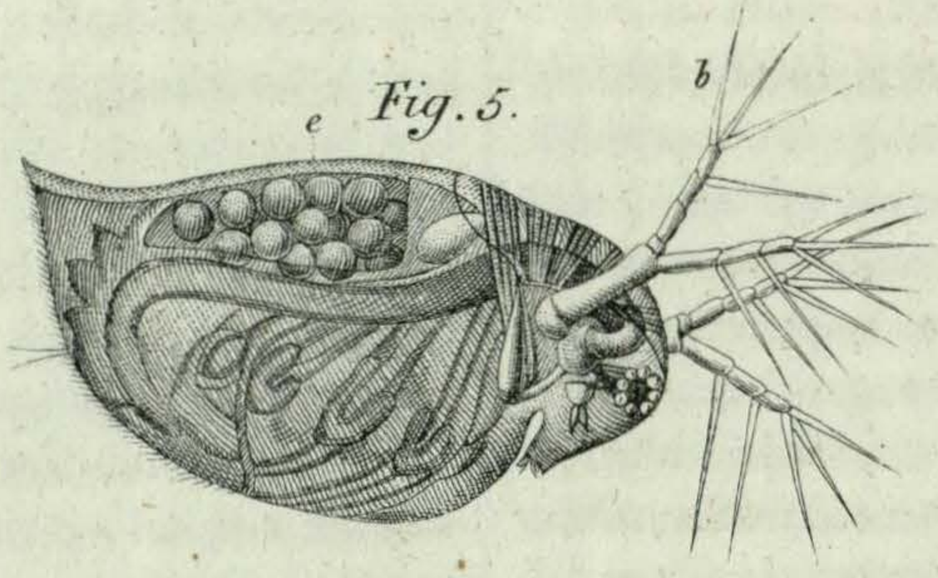

Fig. 8.

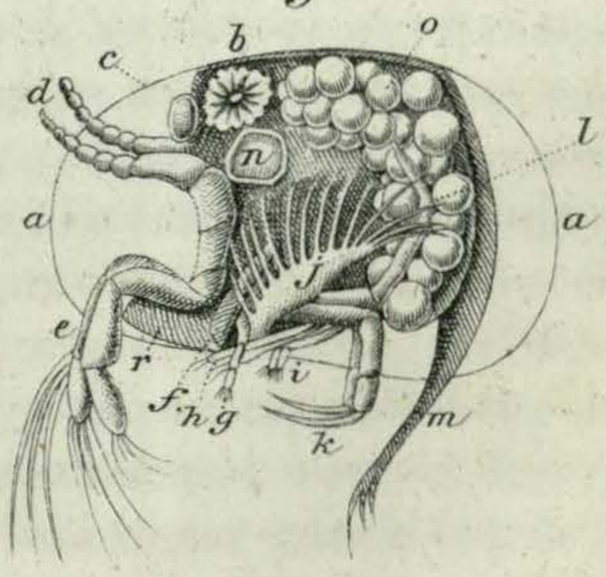

Fig. 9.

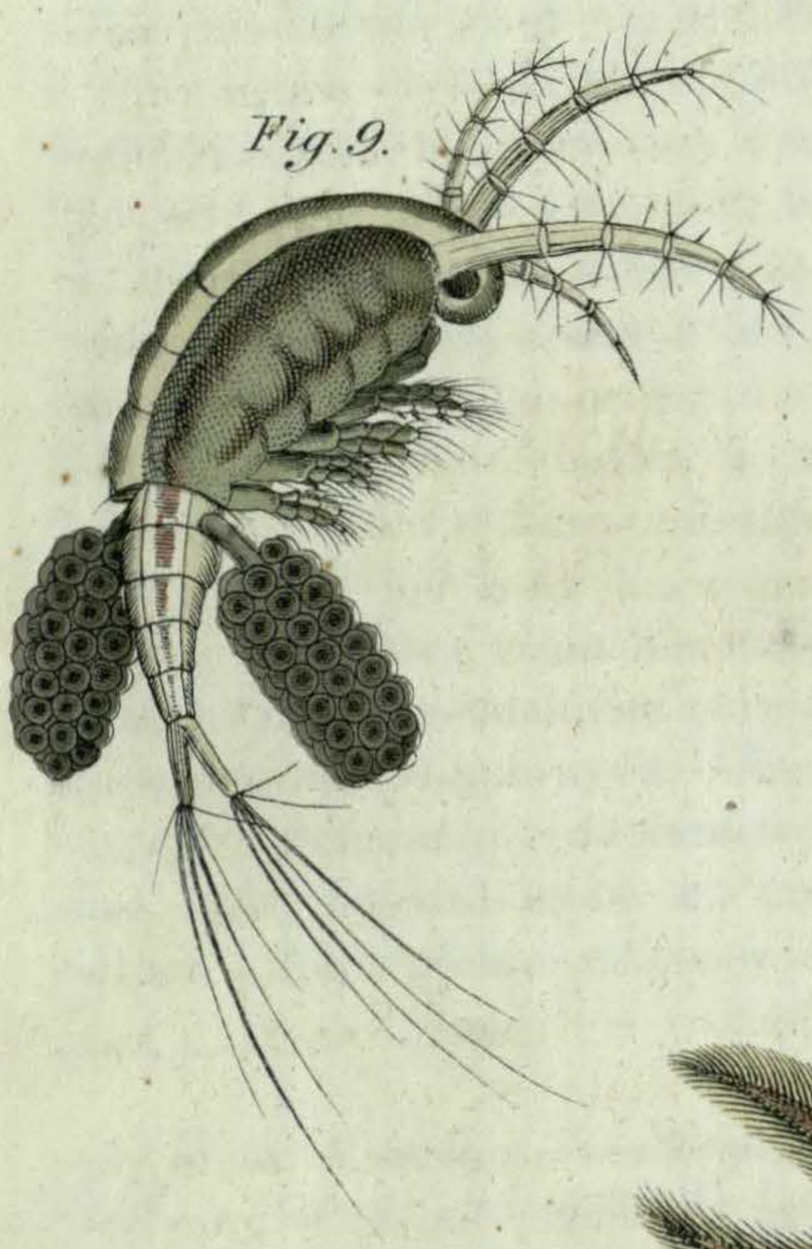

Fig. 7.

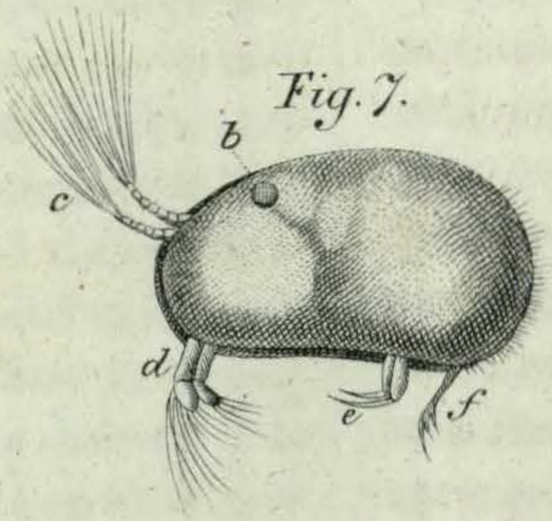

Fig. 4.

w coraz ciekawsze ustępy co do kupna podobnego dawniejszych świąt Bożego Narodzenia, pływa coraz bardziéj bez wody, a babcia potakiwaniem stwierdza najdrobiazgowsze okoliczności. Wujaszek Grzegorz opowiada zabawne dykteryjki, rozbiéra drób', zapija wino, żartuje z dziećmi siedzącemi przy mniejszym stole, rzuca wyśmiewające spojrzenia na kuzynów palących koperczaki do swych kuzynek, i na kuzynki przyjmujące hołdy kuzynów; rozwesela wszystkich biesiadników swą wesołością i gościnnością, a kiedy nareszcie barczysty James wchodzi chwiejąc się pod ciężarem *pudding*'u, wybuchy śmiechu, wykrzykniki małych różanych usteczek, oklaski małych tłustych rączek, i tupotanie krótkich nóżek o stół sprawiają prawie tyle hałasu, co oklaski dawane wazie zapalonego ponczu wylanego na ciasto Bożego Narodzenia.

Przybywają nareszcie wety i wino, przybywają i żarty coraz żywsze. Pokazuje się że mąż Maryi jest człowiekiem bardzo miłym; tak pełen grzeczności dla babci, tak ładnie mówi i śpiéwa tak piękne piosnki, że słuchanoby go cały wieczór, gdyby nie dziadzia zajął uwagę towarzystwa. Naiwny ten i poczciwy starzec nie poprzestaje na odśpiéwaniu z energią corocznéj pieśni; zaszczycony ogólném *bis! bis!* śpiéwa nową, któréj prócz babci nikt jeszcze nie słyszał. Jeden z młodych kuzynów, wielki trzpiot, dość źle widziany przez starych za zaniedbanie oddania im wizyty i trwanie w uporze picia piwa w Burton, zadziwia wszystkich biesiadników, śpiéwając nieproszony kawałki najkomiczniejsze jakie kiedykolwiek o ich uszy się obiły, a przez to wyciskając im łzy wesołości i głośnego śmiechu. Takim sposobem mija wieczór, wieczór niewinnéj radości, zdolny skuteczniéj od wszystkich morałów pobudzić do zgody i przywiązania rodzinnego".

SKORUPIAKI. *(Crustacea).*

Skorupiaki mają ciało pokryte puklerzem (testa v. crusta); u jednych puklerz ten jest natury wapiennéj, u innych ma budowę rogowatą, organiczną i jest bezpośredniém przedłużeniem skóry. Nogi podobnież u jednych są opatrzone pazurkami, u innych takowych niéma. Wszystkie skorupiaki posiadają wyraźne narzędzia zmysłowe, serce i organa trawienia.

Po téj ogólnéj wzmiance o skorupiakach przystępujemy do opisania gatunków zamieszczonych na załączonéj tablicy, które należą do rodziny *Nanożnych* (Branchiopoda).

Przekopnica okazała (Apus cancriformis), ma ciało pokryte puklerzem odstającym, owalowatym, koloru ruciano-zielonego. Skorupa ta składa się z dwóch stale z sobą połączonych części: z przedniéj i tylnéj albo grzbietowéj tarczy. Na piérwszéj znajdują się oczy, (Fig. 1 a, b,) z których dwa przednie są wielkie, nerkowate, trzecie zaś poza temi umieszczone okrągłe. W saméj tarczy leży mózg, z którego nerwy widzenia wychodzą, i szczególny organ zielonawy, ząbkowany, gruczołkowaty, będący w związku z kanałem kiszkowym, który bez wątpienia odpowiada narzędziom żółciowym u owadów. Cała tarcza składa się z podwójnéj rogowatéj skóry, a pomiędzy jéj przedziałami znajduje się mięsna tkanka.

W grzbietowéj łódkowatéj tarczy widziémy najprzód pysk, który się składa z górnéj wargi rogowéj mającéj kierunek pionowy, i dolnéj składającéj się z jednéj pary górnych szczęk, przy których nasadzie dwa krótkie macki są umieszczone, i z dwóch par płaskich, obok siebie leżących dolnych szczęk. Przy ich nasadzie jest umieszczona druga para macków. Pomiędzy temi szczękami leży głęboko wykrojony języczek. Ciało zwierzęcia składa się z 30 pierścieni. Dziesięć piérwszych mają na grzbiecie zupełnie miękką skórę, pozostałe są rogowate i pokryte mocnemi kolcami. Ostatni pierścień jest wielki, czworokątny; z niego wyrastają dwa członkowate ogony, pomiędzy któremi znajduje się ujście kanału odchodowego. Na spodniéj stronie tych pierścieni znajdują się nogi w liczbie 120. Są ony bardzo ściśnione, płaskie i każda składa się z trzech członków.

Przekopnice żyją tylko w stojących, mętnych i szlamistych kałużach i fossach; nawet w gnojówkach niekiedy natrafić je można. Zdarza się często

napotkać je w miejscach, gdzie przed rokiem ani jedna sztuka się nie znajdowała, i przeciwnie na długi czas znikają z kałuży którą przed rokiem zamieszkiwały. Jeżeli woda z niéj wyschnie, to wszystkie przekopnice zdychają; lecz jaja ich przez wiele lat, pomimo braku wody, nie tracą zdolności zalężenia się, i skoro woda powróci, to w krótkim czasie cała jéj powiérzchnia pokrywa się przekopnicami.

Łatwo je można w wodzie wyszukać, gdyż zwykły brodzić w czasie ciepłym przy brzegach kałuży, a nad wieczorem, zwłaszcza kiedy słońce dobrze wodę ogrzało, lubią pływać po jéj powiérzchni, z brzuchem do góry zwróconym. W chłodnych jednak dniach napróżno staralibyśmy się je znaléźć, gdyż wszystkie kryją się w szlamie. Pokazują się ony na wiosnę, jak tylko powietrze się ogrzeje, i od téj chwili można je nieprzerwanie widzieć przez całe lato, dopóki woda nie wyschnie.

Gdy pora nie jest sprzyjającą do pływania, pogrążają się w szlamie z głową na dół zwróconą, a ciałem podniesioném do góry. Szczególniéj czynią to w celu wyszukania sobie pożywienia, które się składa z małych żyjątek wodnych, lub téż aby uchronić się przed skwarem słonecznym, zwłaszcza gdy woda w kałuży zaczyna wysychać. Błędném jest mniemanie iż na zimę i w celu doczekania się powrotu wody w tenże szlam się kryją; wiadomą bowiem jest rzeczą że jak tylko szlam wyschnie, wszystkie bez wyjątku zdychają.

Pożywienie ich składa się z kijanek, maleńkich żółwi i niektórych innych wodnych żyjątek.

Rozmnażają się przez jaja, które pozostają przez pewien czas w jajeczniku znajdującym się przy jedenastéj parze nóg, a następnie bywają składane w szlamie, gdzie pozostają do zupełnego wylęgnięcia się, które następuje w ciągu dwóch lub trzech tygodni. Młode po wylęgnięciu są bardzo żywe i szybko pływają po wodzie; są ony koloru czerwonego (fig. 3 mocno powiększone), nie mają ogonka, posiadają jedno tylko oko, a tarcza pokrywa tylko połowę ich ciała; po kilku godzinach, przez wylenienie zmienia się ich kształt i kolor. Zrzucania te staréj skóry szybko następują jedno po drugiém, tak że po pięciu dniach przekopnica swój właściwy kształt otrzymuje i sama znosi jaja. Jednak wzrastanie ciała nie ustaje, i po każdém wylenieniu, które dwa razy na tydzień ma miejsce, stają się większemi. Zrzucona skorupa tak jest doskonałém odbiciem zwierzęcia, że widząc ją piérwszy raz, można ją wziąć za zdechłe zwierzę. Silnie opiéra się ona gniciu, i dlatego można widzieć nieraz mnóstwo skorup zalegających kałużę, w któréj zaledwie kilka przekopnic mieszka.

Długość przekopnicy wynosi około 3 cali, a ilość stałych części składowych jéj ciała tak jest niewielką w stosunku do płynnych, że po wysuszeniu na słońcu zaledwie 24 część swéj wagi zatrzymuje. Nieprzyjaciół ma bardzo wielu: w młodym wieku przekopnice bywają zjadane przez gąsienice owadów, wodnika, salamandry i żaby, w stanie zaś dojrzałym przez ptaki błotne, mianowicie pliszki. Trudno téż znaléźć całkowity egzemplarz, gdyż salamandry pospolicie obgryzają im nogi lub ogony. W niewoli bardzo krótko można je utrzymywać, najwyżéj kilka dni tylko; jednakże gdy świéżo zniesione jaja włożymy do wody i pozwolimy im wylęgnąć się, to można kilku dochować się pokoleń.

Blizko spokrewniony z wyżéj opisanym, a jednak bardzo różny od niego z pozoru, jest *Nastrzęp' jeziorny* (Branchipus stagnalis). (fig. 4). Ciało tego żyjątka jest cylindrowo przedłużone, nieznacznie w ogon przechodzące, łukami chrząstkowatemi pokryte. Oczy dwa duże, kuliste, gronowate, na długich ruchomych słupkach do boków głowy przytwierdzone. Na głowie oprócz tego znajdują się cztéry miernie długie rożki (d, e), a pomiędzy niemi dwa długie, grube wyrostki, u samców mające podobieństwo do nożyc. Pysk składa się z dwóch par ząbkowanych górnych szczęk (k), górnéj wargi, języka i pary dolnych szczęk. Tułów jest złożony z 11 pierścieni; na każdym znajduje się jedna para nóg. Ogon ma 9 pierścieni, a na końcu jest opatrzony dwoma pletwowatemi pokrytemi delikatnym włosem wyrostkami. Piérwszy z tych pierścieni ma otwór kanału odchodowego (q) a drugi narzędzi rodzajnych. (r.) Długość zwierzęcia wynosi zaledwie 1 cal.

Nastrzęp', podobnie jak przekopnica, pływa na grzbiecie za pomocą ogona. Nogi są w ustawicznym ruchu i służą mu do przyciągania małych zwierzątek na pokarm, i świéżéj wody do oddychania 1). Żyje w mętnéj, szlamistéj wodzie i bywa napotykany w miesiącach sierpniu i wrześniu. Na zimno jest bardzo czuły i zdycha niezwłocznie gdy termometr zniży się do 4 stopni pod zero.

---

1) Nie wodą jednak oddycha, lecz powietrzem w niéj zawartém.

Następujące z kolei żyjątko *Dafnis przezroczysta* (Daphnis cristallina) jest jedném z najdokładniéj poznanych, chociaż z przyczyny swéj małości zdaje się chronić przed wzrokiem badacza. Jest ono umieszczone w skorupie składającéj się z trzech części, któréj budowa podobna do skorupy nastrzępia. Skorupa ta jest zupełnie przejrzystą i przez nią można znaczną część wewnętrznéj organizacyi obserwować.

Żeby jednak i tę wewnętrzną budowę lepiéj poznać, będziemy ją uważać po zupełném oddzieleniu skorupy, tak jak fig. 6 przedstawia.

We środku głowy leży mózg (d), z którego wychodzi nerw prowadzący do oka (c). Pysk składa się z poziomej wargi (f), z dolnéj szczęki (r), opatrzonéj dwoma haczykowatemi zębami i małym wyrostkiem, i z górnéj szczęki prostopadłéj (s). Pod literą *g* są przedstawione muskuły służące do poruszenia części pyska, z którego wychodzi kanał pokarmowy, prowadzący do żołądka leżącego ku przodowi głowy i opatrzonego dwiema kiszkami ślepemi. Z żołądka wychodzi ku tyłowi kanał odchodowy który przy *o* na dół się zwraca, a przy *l* wychodzi na zewnątrz. Nad kanałem kiszkowym leży woreczkowate serce; bezpośrednio za niém ciało staje się nagle siodełkowato wyciętém, wązkiém i na 8 pierścieni podzieloném. Na tylnym końcu znajduje się pięć wyniosłości w kształcie zębów, z których piérwsza jest ku przodowi ponad siodełkowatém zaklęśnięciem wygięta, ostatnia (k) dwiema szczecinkami opatrzona. Po obu stronach kanału kiszkowego znajdują się do pereł podobne jajeczniki, wypełnione jajami znacznéj objętości.

Dafnis, która tu na rysunku bardzo jest powiększona, ma długości 1½ linij. Żyje w każdéj wodzie, tak stojącéj jak i bieżącéj, świéżéj lub mającéj w sobie materye gnijące, czystéj lub mętnéj; można ją nawet w twardéj wodzie utrzymywać, gdzie jest w ustawicznym ruchu i skokach. Poruszenia te wykonywa za pomocą rożków, po których odcięciu staje się zupełnie spokojną i nieruchomą. Nadzwyczaj lubi światło. Jeżeli postawimy szklankę z dafnisami na oknie, to w czasie dnia wszystkie pływają od strony okna, przeciwnie wieczorem, gdy się zapali swiécę, zwracają się ony ku pokojowi. Nawet w nocy poruszają się żwawo na wszystkie strony i ani chwili nie są spokojne. Zbytek ciepła jest dla nich nieprzyjemnym, i dlatego w czasie południa kryją się na dno wody. Przy zbliżającéj się zimie wszystkie zdychają.

Ciekawym jest sposób rozmnażania się tych zwierząt. Jednokrotne parzenie zapładnia samicę na kilka generacyj; jaja wtedy przechodzą z jajeczników do siodłowatego wygięcia, które ze skorupą tworzy wewnątrz próżne miejsce. Tam pozostają przez 5 dni, co wystarcza do zupełnego wykształcenia się młodych; gdy już gotowe do wyjścia, matka odchyla skorupę i wypuszcza je na zewnątrz. W dzień potém matka wylenia się, a w zrzuconéj skórze można znaléźć skorupki jajek. Młode lenią się przez całe życie co 5 lub 6 dni. Po trzeciém wylenieniu zdolne już są do rozpłodu. Najprzód znoszą jedno jaje, potém dwa, trzy i t. d, aż w końcu ich liczba dochodzi do 58. Zadziwiającém jest że wszystkie młode jednego porodu są téj saméj płci, to jest albo samce albo samice. Samca łatwo odróżnić od samicy, ma bowiem krótszą głowę, macki większe i dwie na dół skierowane, rogowe przysadki. Na tablicy (fig. 7 i 8) wyrysowane żyjątko *Cypryda nerkowata* (Cypris detecta) jest pokryte skorupą z dwóch części składającą się. Ma ona kształt podobny do bobu i u niektórych gatunków włoskami jest pokryta. Stanowi, podobnie jak u poprzedzających gatunków, przedłużenie skóry żyjątka, ale zdaje się zawiérać więcéj części wapiennych, gdyż jeżeli ją polejemy kwasem, to powstaje wzburzenie w skutek wydzielania się kwasu węglanego. Z téj przyczyny jest ona mocniejszą i nieprzejrzystą, a nim ją oddzielimy od całego ciała zwierzęcia, można tylko widziéć: dwa rożki (Fig. 7 c), oczy (b), piérwszą parę nóg (d), drugą parę nóg (e) i ogon (f).

Po oddaleniu skorupy zwierz przedstawia się tak jak go na fig. 8 widziémy. Pysk leży na jednéj stronie z brzuchem; składa się on z wielkiéj wargi (r), z jednéj pary szczęk górnych ząbkowanych, opatrzonych mackiem i dwóch par dolnych szczęk. Piérwsza para ma na górnym brzegu wielką grzebieniastą dychawkę (j), a kończy się cztéréma ruchomemi mackami; podobnie i druga para (i) jest opatrzona dwoma krótkiemi szczeciniastemi mackami.

Cypryda ma trzy pary nóg. Piérwsza para jest pod mackami osadzona i szczecinkami opatrzona, druga (k) kończy się haczykowatemi pazurami, ku przodowi skierowanemi, trzecia jest z dołu ku górze skierowana, zawsze pod skorupą ukryta i służy do podpiérania jajecznika (o).

Ciało zwierzęcia kończy się długim cienkim ogonem (m). Przy *n* widziémy początek ostrokręgowego ciała, które zapewne kiszkę ślepą przedstawia: *b* wyobraża miejsce w którém skorupa jest odciętą, a *c* oko.

Równie często jak cyprydę, a może częściéj nawet, zwłaszcza w wodach stojących, można napotkać *Cyklopa zmiennego* (Cyclops quadricornis) (f. 9). Ciało jego jest mniéj więcéj jajowate, miękkie lub galaretowate, składające się z dwóch części: z tułowu i ogona. Gatunek ten ma jedno tylko oko umieszczone w piérwszéj części, w któréj znajdują się dwa krótkie i dwa długie macki, para górnych i jedna dolna szczęka i dwie pary nóg. Reszta nóg, których całkowita liczba 8 dochodzi, na tułowie jest umieszczona.

Zwierzątka te pływają na grzbiecie, szybko, w skaczących i drgających poruszeniach, przy czém zarówno w tył jak naprzód mogą się kierować. Żywią się małémi żyjątkami, szczególniej wymoczkami i częściami roślin, piérwsze jednak przekładają nad drugie.

Samica nosi jaja w worku do tego przeznaczonym, aż do wylęgnięcia. Wydaje płód 16 razy do roku, a za każdym razem rodzi do 40 młodych. Pobyt jaj w worku trwa przez 10 dni. Po wylęgnięciu się młode mają tylko dwie pary nóg i są pozbawione ogona. Po piętnastu dniach przybywają im następne pary nóg, a po piérwszém wylenieniu mają już kształt dorosłych żyjątek. Wiele jest gatunków cyklopów; tu przedstawiony ma 2 linie długości, jest najpospolitszy i największy. Najmniejsze gatunki mają ½ linij długości.

Można bardzo łatwo zaopatrzyć się w gatunki. cyklopa:—dosyć wziąć garść szlamu i nalać nań wody. Po krótkim czasie, jak tylko woda się ustoi, spostrzegamy w niéj mnóstwo tych żyjątek, które poprzednio w szlamie były ukryte. Pospolicie zowią je wymoczkami, dlatego że otrzymujemy je przez nalanie wody na szlam, lecz nazwisko to nie jest ścisłém, gdyż nie ze szlamu się ony utworzyły, ale poprzednio były już w nim złożone jaja tych żyjątek.

PLAMY SŁONECZNE.

Wszystko na świecie ma swoje plamy, nawet i słońce; tylko że oblicze tego króla nieba tak jest olśniewające, iż patrząc nań bez użycia szkieł, najczystszém wydaje nam się światłem. Nie podobna na słoncu odróżnić gołém okiem, tak jak na księżycu, właściwości jego tarczy, tém bardziéj że znajdujące się na niéj plamki są nierównie mniéj liczne i stosunkowo drobniejsze od plam księżycowych. Za pomocą jednak zwyczajnego teleskopu, opatrzonego w szkło kolorowe, dostrzedz je można bez trudności, a niekiedy plamy bywają tak wydatne, iż dosyć przewiercić okiennicę zaciemnionego pokoju i padające przez otwór wyobrażenie słońca uchwycić na papiér, aby je widzieć najwyraźniéj.

Plamy te nie są rozrzucone po całéj tarczy, jak plamy księżycowe; owszém mieszczą się ony zawsze w dwóch strefach oznaczonych, które naokręgu słonecznym odpowiadają prawie naszym strefom zwrotnikowym. Ponieważ słońce obraca się około swéj osi, o czém astronomowie przez te właśnie plamy nasamprzód się przekonali, więc widzieć je można zjawiające się na jednym brzegu, posuwające się zwolna ku środkowi, potém ku drugiemu brzegowi, i nakoniec, po upływie mniéj więcéj 12½ dni, niknące po stronie przeciwnéj.

Plamy słoneczne w ogólności składają się z dwóch różnych od siebie działów: z części środkowéj, tworzącéj ciemne plamy, i z części skrajnéj otaczającéj piérwszą nakształt frenzli, która, choć znacznie jeszcze odbija od światła tarczy słonecznéj, jest tylko półcieniem o wiele już jaśniejszym od części wewnętrznéj. Obie te części nie przechodzą stopniowo jedna w drugą, lecz odrzynają się od siebie wyraźnie, tak iż oznaczyć można z dokładnością który punkt należy do cienia, a który do półcienia. Jednakże linia oddzielająca nie bieży po jednostajnéj krzywiznie, tylko w licznych gubi się wyzębnieniach, a ztąd część ciemna z półciemną łączy się mnóstwem jakby promieni, po większéj części zestrzelonych ku środkowi. Astronomowie téż porównywają plamy

słoneczne do oka; część ciemna podobna jest do źrenicy, jaśniejsza zaś do tęczy. Niekiedy, a szczególniéj na krótko przed nastąpić mającém zniknieniem plamy, część światlejsza, zbliżając brzegi swoje i promienie coraz bardziej ku środkowi, pokrywa niemi całkowicie część ciemną; lecz nigdy prawie druga nie pokazuje się bez piérwszéj, będącéj, jak się zdaje, naturalném jéj otoczeniem.

Część ciemna podlega oprócz tego znikaniu peryodycznemu, które ma miejsce wtedy, gdy plama w obrocie swoim naokoło osi słonecznéj zbliża się ku brzegowi tarczy. Widać wówczas jak półcień rozszérza się coraz bardziéj od strony w którą ruch się odbywa, a cofa od przeciwnéj; część zaś wewnętrzna plamy zwęża się i nakoniec niknie. Zjawisko to jest stałe i powtarza się w sposób zawsze jednostajny, a wielokrotnie i z największą dokładnością badane, na ważne astronomów naprowadziło wnioski. Przekonano się że plamy na słońcu spostrzegane są to otwory czyli przerwy świetlanéj powłoki tego ciała niebieskiego. Część ciemna jest samém jądrem słonecznem; część półciemna otaczającą to jądro atmosferą; i nakoniec reszta powierzchni słońca jest to pokład ognistych obłoków, nagromadzonych poza granicą zewnętrzną téj atmosfery. Gdy obłoki światłodajne rozstąpią się w którémbądź miejscu, wtedy oko nasze przenika aż do tła słonecznego. Tym sposobem łatwo sobie wytłumaczyć zmiany postaci tych niby kraterów, podług tego jak na nie patrzymy prosto lub ukośnie. Weźmy naprzykład spodek od filiżanki i postawiwszy go na krawędzi, zacznijmy go zwolna poruszać po linii kulistéj od prawéj strony ku lewéj. Z początku, dopóki spodek stać będzie w ukośném do oczu naszych położeniu, ujrzymy tylko bok jego i małą cząstkę powierzchni wewnętrznéj; późniéj, w miarę posuwania go ku środkowi krzywizny, odsłoni nam się stopniowo całe jego wnętrze, a kiedy spodek dojdzie do położenia prostego, natenczas zobaczymy dno jego całe (które tu wyobraża ciemną część plamy słonecznéj), otoczone kręgiem krawędzi; nakoniec, przy dalszém posuwaniu spodka ku stronie lewéj, to samo się powtórzy w sposób odwrotny.

Przypatrując się plamom słonecznym przez teleskop, możnaby sądzić że ony rzeczywiście są ciemne, ponieważ oko widzi je czarnemi, i tym sposobem doszłoby się do wniosku, że słońce, które na inne ciała niebieskie zléwa potoki jasności, jest samo światła pozbawione: badania jednak naukowe domysł ten obalają. Wszak nawet światło elektryczne niknie obok światła słonecznego; więc choćby jądro słońca było tak jasne, jak najsilniejsze nasze światło sztuczne, to zawsze przerwy w nierównie jeszcze jaśniejszéj powłoce jego obłocznéj wydałyby się oczom naszym plamami. Ciemność przeto tych plam jest względną i pochodzi nie z braku światła, ale z niezmiernéj jego siły w punktach przyległych.

Rozmiar geograficzny plam słonecznych, nawet takich które w teleskopie czarnemi tylko wydają się punktami, jest ogromny; rozciągłość bowiem 108 mil na powierzchni słońca, daje tu na ziemi kąt tylko jednéj sekundy. Jedna z plam obserwowanych w r. 1828 przez p. Pastorff miała 11,228 mil długości, na 6,900 szérokości, a sama średnica części ciemnéj wynosiła mil 4,428, tak iż kula ziemska byłaby mogła wygodnie przejść przez ten otwór kolosalny, zostawiając jeszcze po bokach przedziały po tysiąc kilkaset mil. Cała więc powierzchnia téj plamy, nie będącéj zresztą wcale wyjątkowém w rocznikach słońca zjawiskiem, wyrównywała mniéj więcéj pięć razy wziętéj powierzchni ziemi, a summa powierzchni plam jednocześnie w tym roku na tarczy słonecznéj pojawionych czyniła 110 milionów mil □, czyli około dwunastu powierzchni naszego globu. Wszystkie te plamy po 24 maja (1828) zaczęły się zmniejszać i znikać stopniowo, a od 13 czerwca w miejsce dawnych pojawiały się nowe, które po upływie dni ośmiu doszły już do największego rozmiaru. Najobszerniejsza z nich miała 7,000 mil długości na 3,400 szérokości.

Szybkie te zmiany dają miarę rączości z jaką się porusza świetlana powłoka otaczająca jądro słońca. W przytoczonym przykładzie główna plama powiększyła się w przeciągu dni ośmiu o 3,600 mil, co czyni dziennie mil 450, a na godzinę blizko mil 19; w wielu zaś wypadkach szybkość bywała jeszcze większą.

Plamy więc słoneczne różnią się od księżycowych nietylko tém że są mniéj liczne i stosunkowo mniejsze, ale głównie zmienną ruchliwością swoją. Niekiedy na tarczy słońca w ciągu kilku miesięcy ani jednéj niéma plamy; niekiedy znów pojawiają się ony massami, to wielkie, pojedynczo rozrzucone, to małe, w nieregularnych gromadkach, a czasami razem jedne i drugie. Trwanie ich nie da się także podciągnąć pod żadne stałe prawidło.

Bywają plamy znikające w 24 godzin; inne po pewnym czasie z większych rozpadają się na maleńkie, albo przeciwnie z drobnych łączą się w jednę wielką; inne nareszcie bez żadnéj prawie zmiany trwają po kilka miesięcy. Jednakże ostatni ten wypadek zdarza się tylko wyjątkowo, bo w ogólności cechą ich jest zmienność.

Tak znaczną szybkość ruchów trudnoby było wytłumaczyć, gdybyśmy z dawnemi astronomami przypuszczali, że światłodajną powłokę słońca tworzy materya płynna, niby ocean lawy. Najprawdopodobniéj więc jasną osłonę pokrywającą przed wzrokiem naszym samo jądro tego ciała niebieskiego składa ognista atmosfera, coś nakształt obłoków płomiennych. Doświadczenia zresztą p. Arago mniemanie to w zupełności potwierdziły. Wiadomo że światło bijące ukośnie od przedmiotów stałych lub płynnych posiada pewne własności, zwane przez fizyków polaryzacyą, których światło ciał lotnych zupełnie jest pozbawione. Otóż światło słoneczne we wzmiankowanych doświadczeniach p. Arago nie okazało żadnego śladu polaryzacyi, z czego wypływa wniosek że ono pochodzić musi od materyi lotnéj.

Z tego punktu widzenia plamy na słońcu, które w pojęciu dawniejszych spostrzegaczów uchodziły za massy piany pływające po ognistéj lawie, będą po prostu otworami w pokładzie świetlanych obłoków, zupełnie tak jak kiedy białe chmurki pokrywające nasz widokrąg rozstępują się miejscami, odsłaniając modre tło nieba. Te zmiany w otoczeniu słoneczném powstają zapewne skutkiem nieznanych nam działaczów, które genialny Herschel (z powodu że plamy słoneczne zjawiają się najwięcéj w szérokościach zwrotnikowych) porównał dosyć trafnie do naszych uraganów, panujących głównie w tych samych także strefach globu ziemskiego. Lecz jeśli rzeczywiście wiatr ma być przyczyną takiego rozpędzania i nagromadzania obłoków słonecznych, to pozostałoby do wytłumaczenia dlaczego w tém zjawisku niéma, tak jak w naszych uraganach zwrotnikowych, stałego ruchu od zachodu na wschód, ruchu któryby szybkością znacznie przechodził ruch zpowodowany samym tylko obrotem słońca około swéj osi. Kształt lejkowaty tych otworów zdaje się zresztą świadczyć że ony powstały raczéj z wybuchu gazów z wewnątrz na zewnątrz, gdy tymczasem prądy powietrzne jakiegobądź rodzaju działaćby musiały właśnie w kierunku przeciwnym, to jest od brzegu ku środkowi.

Pozostałoby tylko rozstrzygnąć jaka przyczyna fizyczna utrzymuje otoczenie słońca w tym stanie jednostajnéj zawsze jasności. Gdyby to było, jak mniemano dawniéj, palenie się gazów wydzielanych z jądra słonecznego, w takim razie prędzéj lub późniéj musiałoby koniecznie nastąpić wyczerpanie materyału palnego i ogieńby zagasł. Dziś jednak, kiedy elektryczność odkryła nam tyle nieznanych ojcom naszym tajemnic, szukać możemy prawdziwszéj przyczyny w tym działaczu powszechnym, i uważać największe w naszym systemie ciało niebieskie za ogromne ognisko elektryczne, umieszczone pośród planet w potrójnym celu oświecania ich, ogrzewania i przyciągania.

OSADNICY KANADY.

Staréj Europie duszno jakoś i ciasno w swych granicach; usiłuje ona rozlać na zewnątrz coraz wzbiérające fale swéj ludności, a ogromnym zbiornikiem, który Opatrzność przeznaczyła na przyjęcie liczbowego nadmiaru wielkiéj rodziny europejskiéj, jest Ameryka. Tam się zwracają wychodźcy zmuszeni niedostatkiem do opuszczenia ziemi ojczystéj; tam, gnani żądzą szybkiego zbogacenia się, zdążają awanturnicy wszystkich krajów. Zasoby materyalne i przemysł Stanów Zjednoczonych, czarowny klimat okolic zwrotnikowych, placery kalifornijskie zwabiają ciągle nieprzeliczone tłumy na zachodnie naszéj ziemi półsferze. I Kanada także, jakkolwiek niebogata w ponęty przyrodzone, jakkolwiek osadnik na przebój zdobywać sobie musi schronienie w jéj lasach nieprzebytych, dla wielu staje się ziemią obiecaną; bo grunta jéj niezmiernéj urodzajności obfi-

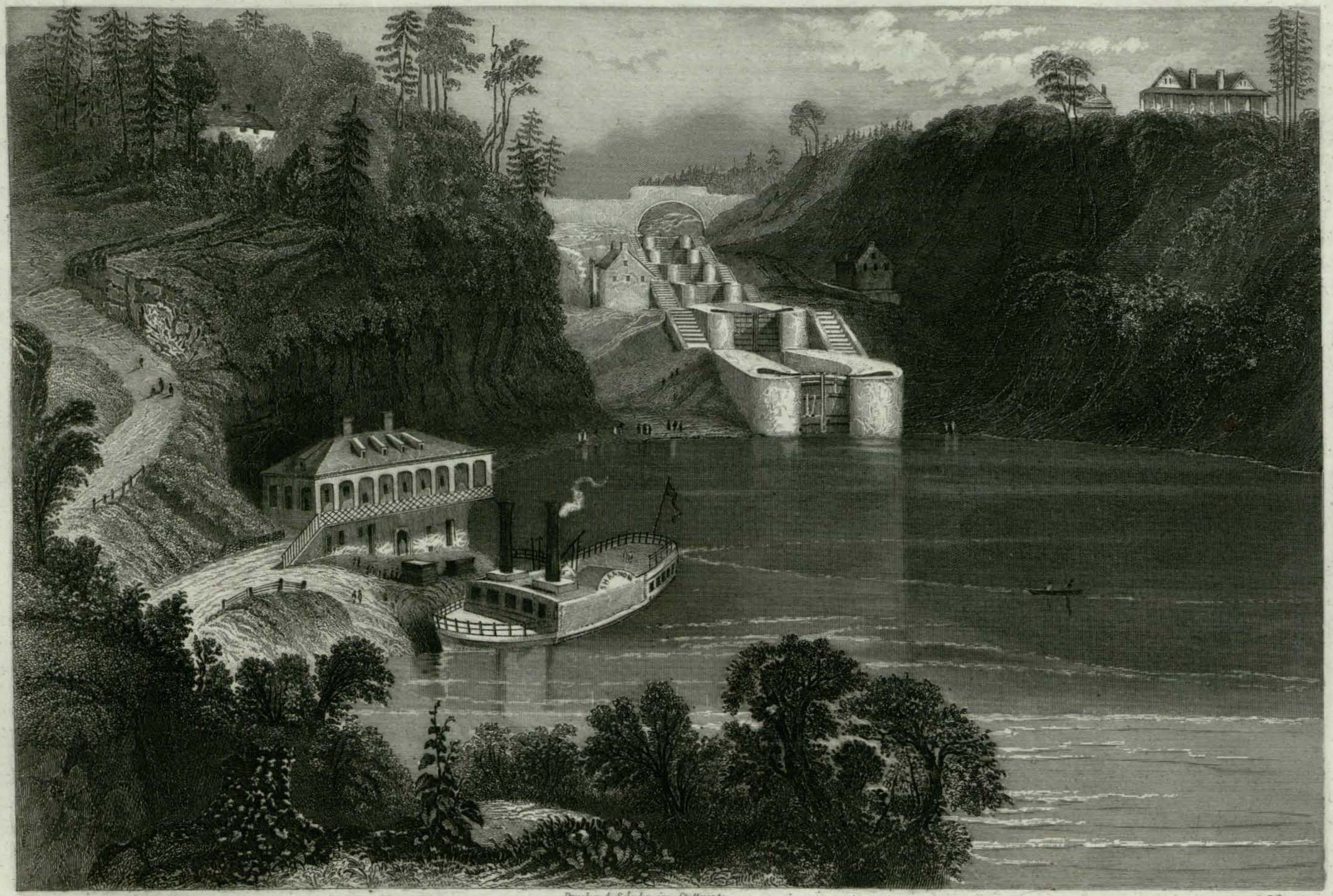

Druck v. A. Schuler in Stuttgart. sc. P. Wurster.

Kanada

cie wynagradzają pracę uprawiacza, a przerzynające ją rzeki i strumienie obszerne dla handlu i przemysłu przedstawiają pole.

Podróżnik opuszczający Stany Zjednoczone, znużony kupiecką ich atmosferą, w któréj umysł nie pojmuje, ucho nie słyszy, oko nie widzi nic prócz potęgi cyfr i uroku dollarów, odetchnie swobodniéj w niezarażonéj tém gorączkowém zaprzątnieniem Kanadzie. Tam ludność pracowita i poczciwa nie wyrobiła jeszcze w sobie samolubnego przekonania, że podstawą szczęścia ziemskiego jest wyłącznie dobry byt materyalny, że najważniejszą zaletę człowieka stanowi przezorna rachuba i trafnie obmyślona spekulacya. Tam, pod opieką czcigodnych kapłanów, przechowały się dawne podania rycerskości i ducha religijnego; tam znaleźć jeszcze można w całéj prostocie dziewiczéj cnoty rodzinne i ewangeliczne, zaszczepione przez missyonarzów francuzkich; tam nakoniec, pomimo długoletniego władania Anglików, przeważnie dotąd panuje katolicyzm, panują język i obyczaje francuzkie. Zdaje się nawet jakoby pod rządem angielskim większéj ony nabrały żywotności, podobne do owego wspaniałego drzewa Indyj, którego gałęzie zniżając się ku ziemi nowe w niéj zapuszczają korzenie, i tak odradzając się bezustannie, tworzą nakoniec las cały z jednego pnia pierwotnego.

Pomiędzy nowszemi dziełami o Kanadzie jedno szczególniéj zasługuje na uwagę, jako nacechowane prawdą i prostotą, jako dające dokładne wyobrażenie o życiu tamecznego osadnika, od chwili rozpoczęcia karczunku, aż do czasu w którym wolno mu już używać spokojnie owocu poniesionych trudów. Jestto zbiór listów pisanych przez żonę oficera angielskiego i ogłoszonego pod tytułem: *The backwoods of Canada.*

Pani N. opuściła z mężem brzegi rodzinne, aby z tamtéj strony Atlantyku doświadczyć życia osadników. Lada kawałek lądu, chociażby najzupełniéj ogołocony z piękności natury, wdzięcznie się uśmiécha podróżnikowi po kilkotygodniowéj żegludze; a cóż dopiéro gdy po cierpieniach i jednostajności długiéj przeprawy przybywa się do miejsca tak wspaniałego jak ujście rzeki ś. Wawrzyńca, gdzie poza zielonemi wysepkami amfiteatralnie rozpostarło się miasto Quebec! Dużo zapewne jest na świecie okolic powabniejszych, lecz trudno znaleźć bardziéj imponującą i malowniczą.

Jak wszyscy którym podziwiać przyszło tę magiczną panoramę, pani N. mówi o niéj z uwielbieniem. Ale nie tutaj kres jéj podróży; płynie daléj ku Montreal, zachwycając się po drodze widokiem majestatycznych lasów dębowych i jodłowych, wieńczących oba brzegi rzeki ś. Wawrzyńca, widokiem domków wiejskich, kęp tu i owdzie rozrzuconych, kędy na wiosnę mieszkańcy nadbrzeżni przewożą swoje trzody, łodzi i tratew wiedzionych po toniach silną ręką kanadyjskich wioslarzów.

Montreal zajmuje znaczną część wyspy utworzonéj w miejscu gdzie rzéka Ottawa, (wystawiona na rycinie), łączy się z rzeką ś. Wawrzyńca. Z jednéj strony miasto opiéra się o wzgórze lesiste, z drugiéj budowle jego, pełne smaku i wykwintności, rozciągają się ku brzegowi. W czasie zajęcia Kanady przez Anglików liczyło ono zaledwo parę tysięcy mieszkańców; dziś ma ich przeszło pięćdziesiąt tysięcy. Piérwszym jego gmachem była kaplica katolicka, piérwszą instytucyą publiczną zakład dobroczynny.

„Nieznam miasta, mówi pani N., gdzieby współczucie dla biédnych tak było powszechném jak w Montreal. Tu w całém znaczeniu tego wyrazu dobroczynność uprzedza potrzeby cierpiących, zarówno starców i siérot, chorych i podupadłych, krajowców i cudzoziemców."

I w Montreal jednakże podróżna nasza, pomimo chęci najszczérszéj, długo gościć nie może. Daléj ku zachodowi, w lasach Wyższéj Kanady, mąż jéj zamierza obrać sobie mieszkanie. Państwo N. siadają na statek parowy płynący do Kingston, a ztamtąd inny paropływ przewozi ich do Peterborough, nad rzeczką Otanabe.

Peterborough jest stolicą okręgu niegdyś milczącego i pustego, teraz miejscami ożywionego pracą rolników. Rodzaj to stacyi i punkt niejako pożegnalny dla osadników mających wkrótce zapuścić się w głąb' lasów. Za lat kilkanaście Peterborough będzie może wielkiém miastem handlowém, bo w Stanach Zjednoczonych, pod względem wzrostu pomyślności materyalnéj, rok jeden znaczy więcéj jak gdzieindziéj dziesięć; ale dotychczas jest ono tylko miejscem składowém, gdzie dawniéj już osiedli uprawiacze okoliczni zwożą swoje płody, a nowoprzybyli zaopatrują się w potrzeby przyszłego powołania. Ileż to marzeń snuło się tutaj po głowach przybyszów wstępujących w nowe zupełnie i nieznane sobie życie! Ileż nadziei, częstokroć ułudnych, powzięto na tém

ostatniém rozdrożu, ileż tu serc bolesną ścisnęło się tęsknotą!

Za miastem jest plac obszerny, zabudowany drewnianemi domkami, rodzaj karawanseraju zamieszkałego przez tłumy emigrantów. Jedni, nabywszy w ustanowioném na to biurze bilety gruntowe, osiedlają się tu czasowo, zanim w miejscu które losem na nich przypadło urządzić zdołają siedzibę dla swych rodzin; drudzy odprzedają kupione dawniéj i już po części uprawione posiadłości; każdego zaprzątają zajęcia odpowiednie dalszym jego widokom.

Rząd angielski za nizką bardzo cenę, bo tylko po 4 szylingi (1 rs. kop. 20) za akr, odstępuje grunta kanadyjskie; ale téż jaki ogrom pracy czeka tam osiedleńców! Pyszne lasy dębowe i jodłowe, któreby u nas stanowiły źródło nieprzebranego bogactwa, stają się w tych okolicach, oddalonych od wszelkich kommunikacyj, tylko trudną do usunięcia przeszkodą. Obejmując w posiadanie przeznaczony sobie kawał lasu, osadnik musi najprzód siekierą utorować sobie doń drogę, musi ścinać olbrzymie drzewa pokrywające gęsto jego ziemię; potém, za pomocą wołów które przyprzęga do kłód pościnanych, musi je zebrać na kupę i spalić; daléj potrzeba wykarczować i spalić także pozostałe pieńki i korzenie. Dziwny, wspaniały jest widok tych niezmiernych stosów płomiennych, szeroką łuną rozświecających ciemności pustyni! Niekiedy, gnany wichrem, ogień przerzuci się na drzewa nietknięte jeszcze siekierą, i czołgając się z gałęzi na gałąź, z pnia na pień, ogarnie znaczną przestrzeń lasu. Ale nikt na to nie zważa. W dziewiczych obszarach Ameryki zachodniéj dużo jeszcze upłynie czasu, zanim uczuć się da potrzeba oszczędzania drzewa.

Po wytrzebieniu gruntu i oczyszczeniu go przez ogień, nowonabywca ogradza swą posiadłość i rozpoczyna uprawę, szczęśliwy jeśli o własnych siłach dokonać jéj potrafi; najęcie bowiem robotnika niezmiernie tu jest trudne i kosztowne. W najkorzystniejszém pod tym względem położeniu znajdzie się ojciec rodziny, przyprowadzający ze sobą grono czerstwych i pracowitych dziatek.

Mieszkanie osiedleńca, dzięki powszechnie w Kanadzie przyjętemu zwyczajowi, staje szybko i z niewielkim zachodem. W dniu w którym przystąpić zamierza do budowy domu, przybysz zwołuje do pomocy sąsiadów, to znaczy wszystkich osiadłych już uprawiaczów na kilka mil wokoło. Ci przybywają z wołmi, z wozami, z narzędziami, i gromadnie biorą się do dzieła. Jeden zwozi pnie mające stanowić ściany przyszłego mieszkania; drugi zaokrągla je i przyrzyna; trzeci wykrawa w nich fugi. Potém to wszystko zestawia się, dopasowywa, i nieraz tym sposobem, przy współdziałaniu tylu ludzi doświadczonych, zdarza się iż rodzina biédnych przybyszów, która ostatnią jeszcze noc przepędziła pod wiotkim namiotem, wieczorem spocząć może pod bezpiecznym już dachem.

Osadnik tym miłosiernym budowniczym nie płaci nic za ich pracę, daje im tylko życie. Ale przysługę którą dziś odbiéra, i on nawzajem odda jutro drugiemu. Każdy tu pojmuje że rodzina szukająca przytułku aż w innéj części świata, nie posiada zapewne skarbów kalifornijskich, a ztąd ma sobie za obowiązek przychodzić jéj w pomoc w kłopotliwych zaprzątnieniach pierwiastkowych. Zresztą przybycie emigranta dla samotników kanadyjskich szczęśliwém jest zdarzeniem. To jeden sąsiad więcéj, to nowy przyjaciel. W wielkich ogniskach ludności próżność i duma wyradzają zawiść i konkurencyą: w odosobnieniu człowiek potrzebuje człowieka.

Dom taki, wzniesiony bratniém sąsiadów staraniem, jest naturalnie budowlą pod względem sztuki niezmiernie pojedynczą. Podobne okoliczności w najodleglejszych od siebie miejscach podobne téż wyradzają zwyczaje. Większa część tych mieszkań, bez podłóg a niekiedy i bez szyb, zbliżoną jest dosyć do chat wieśniaków szwedzkich.

Pani N. z pełną wdzięku wesołością opowiada jakim sposobem wzniesiono jéj siedzibę. „Dla posilenia po pracy dobrych sąsiadów naszych, mieliśmy znaczny zapas *whiskey*, słoniny i kartofli, a ja przygotowałam nadto ogromny budeń ryżowy. Obiad zastawiono pod gołém niebem; siedliśmy wszyscy w kółko na ziemi i śmieliśmy się serdecznie z zaimprowizowanego tym sposobem pikniku na pustyni. Wszyscy moi goście zupełnie byli zadowoleni. Pomimo różnicy stopnia, wieku i majątku tych naszych ochotników, najlepsza między niemi panowała zgoda. Mąż mój piérwszego dnia zaraz wychwalał mi rozpoczętą budowlę. Wybrałam się nazajutrz aby ją obejrzéć, i rzeczywiście zostałam zdziwioną, ale w sposób niebardzo przyjemny. Był to ni mniéj ni więcéj, tylko czworobok podłużny, zestawiony z belek ułożonych jedna na drugiéj, bez drzwi i okien, jakby olbrzymia klatka. We dwa dni późniéj i drzwi i okna były

już wykrojone od frontu, dach starannie pokryty i szpary pomiędzy belkami mchem pozatykane. Mąż mój powstawiał sam okna, a ja uśmiéchnąć się musiałam na myśl o piérwszém wrażeniu jakiego doznałam na widok niekształtnéj budowli."

Po ukończeniu domu, osadnik ma już bezpieczne przed burzą i zimnem schronienie; ale dopiéro na rok przyszły spodziéwać się może plonu z rzuconego w rolę ziarna, a w takiém ustroniu niemała to trudność zaopatrywać się w dostateczne zapasy. Jedyne miasto gdzie dostać ich można odległe jest o mil dwanaście, i to po drodze najgorszéj przez lasy, którą przebyć tylko można noga za nogą.

„Korzysta ktoś, pisze pani N., z odchodzącéj okazyi aby sprowadzić sobie niektóre potrzeby życia codziennego, i... otrzymuje paki z ryżem i cukrem porozrywane, pomięszane z pieprzem i musztardą. Jak wam się zdaje budeń na wpół z pieprzem, albo komput z solą zamiast z cukrem? Jeśli się uskarżycie, korzennik składa winę na niedbalstwo woźnicy, a ten zastawia się złą drogą, z któréj, jak mówi, dobrze iż kości wyniósł całe.

„W tym piérwszym roku osiedleńcy na większą jeszcze przykrość narażeni są w porze dészczów; bo wtedy kommunikacya z miastem całkiem jest przerwaną. Uczuwać się daje szczególniéj brak mięsa solonego i mąki, po które udawać się trzeba do łaskawych sąsiadów, albo téż poprzestawać na kartoflach. Wyczerpnąwszy już cały swój zapas herbaty i kawy, uciec się musiałam do herbaty Yankee'sów, to jest do odwaru z jakiegoś ziela trochę gorzkiego, lecz bogatego podobno w własności hygieniczne.

„Ale nadchodzi pora w któréj osadnik kanadyjski nie potrzębuje się już lękać żadnego niedostatku. Hoduje sobie bydło, zbiéra zboże i kukurydzę, posiada w obfitości cukrodajne klony. Ogród dostarcza mu jarzyn, jeziora i rzéki sąsiednie ryb przewybornych, lasy zwierzyny, a miejsca nieuprawne porzéczek i innych owoców. I otóż nareszcie pod własną strzechą widzi się niezawisłym, otoczonym dostatkiem, niewymyślnym wprawdzie, lecz wystarczającym dla pomiernych wymagań, widzi się szczęśliwym w użyciu dóbr które zdobył pracą i cierpliwością."

W czas jakiś po pierwszém urządzeniu się, pani N. pisze do swéj matki: „Mieszkanie nasze składa się z ładnego saloniku na dole, z obszernego gabinetu, ze spiżarni i kuchni; na piętrze są sypialnie. Co za ciasnota! zawołacie pewnie. Prawda, odpowiadam, ale jak tylko dostaniemy deski zamówione w tartaku, przystawimy galeryą, rodzaj *werandy*, gdzie w lecie będziem mogli jadać. Zresztą okna nasze wychodzą na jezioro, i wszędzie naokoło przyjemne mamy widoki. Umeblowanie nasze nie jest wykwintne, ale staramy się je ulepszać. Salon nasz przyozdabia kominek *à la Franklin*, kanapka w razie potrzeby służąca za łóżko, tuzin lekkich krzesełek kanadyjskich z malowanego drzewa i mata indyjska na podłodze. Przy jednéj ze ścian téj paradnéj komnaty stoją półki z mojemi książkami, drugą pokrywają mappy geograficzne i ryciny."

Na wiosnę Angielka nasza zachwyca się widokiem kwiatków rozwijających się w polu i roślin wschodzących bujnie w jéj ogródku. Dzika wegetacya Kanady po części całkiem dla niéj jest nową. Przy pomocy więc kilku Indyan koczujących w sąsiedztwie stara się ona obznajmić z ich własnościami, z użytkiem jaki krajowcy robią z tego lub owego ziela. Z dziecięcą także ciekawością przygląda się faunie: ptaszkowi o czerwoném pierzu, słowikowi Wirginii; ptaszkom błękitnym jak niebo, czarnym jak heban, i ortolanom, których skrzydła śnieżnéj białości dziwnie w nocy odbijają od ciemnych gałęzi jodeł; to znowu wypatruje szczura-piżmowca, wiewiórkę czarną i wiewiórkę latającą, która za pomocą błonek, tworzących jakby skrzydła, unosi się w powietrzu.

Usłużni Indyanie przynoszą jéj tytuń, kawę i ryby złowione nocą przy świetle pochodni, a żony ich haftują jéj mokasyny [1]) i splatają koszyki. „Są ony bardzo zręczne w tego rodzaju rękodziełach, mówi pani N. Robią cebrzyki z kory brzozowéj, służące do przechowania wody i mléka, a niekiedy zdobywają się nawet na przedmioty zbytkowne, jak pugilaresy i skrzynki do robót kobiécych, ozdobione haftami w najświetniejszych barwach i dosyć poprawnego rysunku."

Zima kanadyjska, podług opisu pani N., nie jest bynajmniéj tak straszną jak sądzą w ogólności mieszkańcy południowéj Europy; owszém to pora może najweselsza i najbardziéj ożywiona. Pani N. pisze do matki: „Obawiasz się żeby zima nie stała się dla mnie szkodliwą; ale zapewnić cię mogę że nigdy lepszém nie cieszyłam się zdrowiem. W téj porze roku powietrze czyste i jędrne wléwa

[1]) Rodzaj obuwia.

w żyły cudowną jakąś rzeźwość, a widok pól osypanych błyszczącym śniegiem wcale jest różny od tego co przedstawia nasza zima mglista i ponura. Tylko że odblask śniegu osłabia trochę oczy, czemu, jak sądzę, zaradzićby można noszeniem zielonych okularów. Po miastach i ludniejszych okręgach nietylko że tu nie lękają się zimy, lecz ją witają radosnie, jako czas odpoczynku po pracy, zabaw i wesołych wycieczek w dalsze okolice. Zaledwo też piérwsze śniegi zaścielą ziemię, zaraz pudła powozów wszelkiego rodzaju przestawiają się na sanie, i wszystko co żyje, otulone we futra bawole, przy odgłosie dzwonków ślizga się ochoczo po drodze gładko ujeżdżonéj."

Ostatni list pani N. opisuje z naiwnym wdziękiem szczęśliwe położenie osiedleńców po kilku latach pracy i zmiennych kolei. „Téj wiosny byliśmy bardzo zatrudnieni; najprzód przygotowaliśmy więcéj jak innych lat cukru klonowego; potém mieliśmy robotę z powiększeniem swego domu. Przystawiliśmy obszérną kuchnią, a dawną obróciliśmy na pokój sypialny. Stanęła daléj cieplarnia i stodoła, w któréj oddzieliłam miejsce osobne dla drobiu. Mam kury, kaczki, indyki, niestety dość często napastowane przez krogulców. Ogród nasz został rozprzestrzeniony i poprzerzynany drogami. Jesteśmy zdrowi, a dziecko nasze rośnie, biega wesoło i swywoli cały dzień boży. Samotność naszę ożywiło kilka rodzin emigrantów, z których przyjemne mamy towarzystwo. Słowem po licznych trudach i mozołach, dzięki łasce Najwyższego, zaznaliśmy szczęście prawdziwe. Jesteśmy względnie nawet bogaci, gdyż nasza posiadłość, przez usilną pracę, dość znacznéj nabrała wartości. Nie zapomniałam wprawdzie o kraju ojczystym, ale kocham i tę ziemię, w któréj umieliśmy sobie stworzyć tak roskoszne schronienie."

SŁÓW KILKA

O WODACH SIARCZANO-GORZKICH, SŁONYCH I ŻELAZNYCH

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Szczodra ręka natury w ogólnym szafunku swych darów i na nasz kraj również nieskąpą się okazała: bogate pokłady rud użytecznych kruszców, wysoką praktyczną wartość mających, obfitemi żyłami przerzynają formacye kraju naszego; uzdrawiające źródła wód mineralnych wydobywają się z twardego skał łona, ku pomocy cierpiących. Poznanie tych wszystkich darów natury winniśmy ostatnim czasom, a skutki tego poznania najlepiéj się okazują ze wzrostu przemysłu krajowego.

Zajęcie się lekarzów krajowemi wodami mineralnemi, spowodowało rozpowszechnienie ich użytku, i wyznać szczerze musimy na pochwałę i pociechę, że od niejakiego czasu coraz to mniéj owych modnych wędrówek w obce kraje, niby po zdrowie; a Busk, Solec, Ciechocinek coraz to więcéj zwolenników znajdują.

Kraj nasz nie posiada wprawdzie ani gorących wód, jak Cieplice i Karlsbad, ani szumiących, jak Wiesbaden i t. p., tylko skromne źródła siarczano-gorzkie, słone, żelazne; — ale i te mają siłę uzdrawiającą, zbawienną w wielu słabościach.

W krótkim niniejszym rysie nie zamierzamy uważać źródeł naszych pod względem lekarskim, ale ogółowo skreślić ich położenie, własności chemiczne, fizyczne i dzieje.

Już powiedzieliśmy wyżéj że kraj nasz posiada tylko źródła siarczano-gorzkie, słone i żelazne.

Z siarczano-gorzkich najznakomitsze są w Busku, Solcu i okolicach tych dwóch miejsc.

Zakład Buski w najprzyjaźniejszém znajduje się położeniu. Okolice romantyczne, wygody miejskie i luba jakaś sielskość niemało wpływają na publiczność szukającą tam pomocy w swych cierpieniach.

Znajomość lekarskich własności wód Buskich niedawnego sięga czasu. Być może że ich skuteczność znaną była ludowi tamtejszemu i że z niéj w domowym zakresie użytkował; ale nikt oto nie dbał, nikt na to nie zwracał uwagi, nikt faktu

naukowo nie ocenił. Dopiéro po utraceniu bogatych salin Wieliczki i Bochni zwrócono uwagę na wody Buskie, jako sól w sobie zawierające. W r. 1776 ksiądz Ossowski, przy współdziałaniu miejscowych obywateli, uczynił piérwsze próby wywarzania soli z wody Buskiéj. Wypadki tych prób korzystnie przedstawionemi zostały Stanisławowi Augustowi, który wysłał kapitana Carosi, z rozkazem zbadania okolic Buskich, czyli przypadkiem nie zawierają pokładów soli. Stanisław August silnie zajął się Buskiem; lecz było to zawsze czynione tylko w celu wyszukania soli.

W roku 1780 wybito tu kilka szybów, zapewne z niejakim skutkiem, skoro król sprowadził z Saksonii tamtejszego dyrektora salin, barona Beust, który zawiązał towarzystwo akcyonaryuszów w celu eksploatacyi soli. Kompania ta istniała do roku 1796 i wywarzyła około 4,000 centnarów soli.

Ustała produkcya soli ze źródeł Buskich, ale raz zwrócona uwaga, coraz nowemi przykładami skuteczności tych wód podbudzana, skłoniła nakoniec chemików i lekarzów do baczniejszego niemi zajęcia się.

Formacya na któréj miasto Busk jest zbudowane składa się z gipsu trzeciorzędnego i marglu, nic więc dziwnego że i woda z nich wypływająca gips także zawiéra.

W roku 1830 Werner rozbierał wodę Buską.

Następnie Fischer uskutecznił (w r. 1841) rozbiór, który okazał:

Części stałych 104,01 w funcie aptecznym.

Części lotnych 2,15.

Część stała zawierała:

Chlorku sodu	79,3512
Chlorku potasu	0,1173
Chlorku magnezyi	0,4500
Jodku magnezyi	0,0659
Siarczanu sody	10,4503
— magnezyi	1,9500
— wapna	5,9122
Węglanu wapna	1,4100
— magnezyi	0,3502
Siarku sodu	0,7120
Ciał organicznych	3,2165
Fosforanu glinki, żelaza, manganezu i krzemionki	0,5010
W części lotnéj zawierały się:	
Siarko wodor	0,95
Kwas węglany	0,56
Azot	0,64

Rozbiory professora Kitajewskiego znacznie się różnią tak co do ilości, jako i co do jakości soli część stałą téj wody składających. Pozwalamy sobie tu je przytoczyć, gdyż ścisłość wykonania i imię znakomitego uczonego mówią za ich prawdziwością.

Professor Kitajewski w samym Busku badał aż 4 źródła, i wypadki jego doświadczeń były następujące:

	N. 1. W źródle głównem c. g. wody = 1,0154, temperatura = + 8,56 R. w 16 uncyach wody zawiera się:		N. 2. W blizkości głównego będące c. g. wody 1,0150; temperatura = 8,2 R. w 16 uncyach wagi aptekarskiéj zawiera się:
Kwasu węglanego.	0,439 c.s.fr.	—	0,411 c.s.fr.
Azotu	0,493 „	—	0,490 c.s.fr.
Części stałych	113,794 gran.	—	104,7769 gr.
to jest:			
Chlorku sody	106,3944	—	72,9360
— magnezynu	4,7080	—	4,6333
Jodku sodu	0,1695	—	0,1671
Bromku sodu	0,0597	—	0,0588
Węglanu wapna	0,6501	—	0,5948
Siarczanu wapna	9,3270	—	9,1853
„ magnezyi	16,5270	—	16,3650
Siarku magnezynu.	0,5860	—	0,5832
Zródlanów i pozródlanów	0,2688	—	0,2534

Trzecie źródło znajdujące się w ogrodzie ma c. g. 1,0180, a temperaturę +7,2 R. — Czwarte źródło, zwane Winterfelda, c. g. 1,0137, a temperaturę + 9,12 R. — Oba te źródła w 16 uncyach zawierają:

	N. 3.		N. 4.
Kwasu węglowego	0,409	—	0,340 c. s. f.
Azotu	0,519	—	0,599
Części stałych	100,8846 gr.	—	88,1392 gran.
to jest:			
Chlorku sodu	70,3306	—	61,4252
„ magnezynu	4,4485	—	3,8667
Jodku sodu	0,1602	—	0,1402
Bromku sodu	0,0565	—	0,0493
Węglanu wapna	0,5913	—	0,5035
Siarczanu wapna	8,8012	—	7,6992
„ magnezyi	15,6015	—	13,5921
Siarku magnezynu	0,6068	—	0,5942
Zródlanów i pozródlanów	0,2880	—	0,2688

Z tych rozbiorów widziémy jak wielka różnica zachodzi w zdaniach uczonych. I tak, w piér-

szym rozbiorze professora Fischera spostrzegamy w częściach lotnych siarko-wodor, którego nie znajdujemy w rozbiorze professora Kitajewskiego. W części stałéj znajdujemy u Fischera chlorek magnezyi i znakomitą ilość siarczanu sody, któréj u Kitajewskiego wcale niéma. Przypuszczenia Kitajewskiego względem stanu w jakim się znajduje sod, są zgodne z nauką. Dodać tu jednakże winniśmy, że przy wadze siarczanu wapna znajduje się pewna ilość siarczanu stroncyanny, i że wszystkie te wody zawierają ślady stroncyanny, sody, lityny, potażu, węglan amoniaku i chlorek glinu.

Brom w wodzie Buskiéj po raz piérwszy przez prof. Kitajewskiego wskazanym został. Nakoniec źródlany i pożródlany amoniaku, wapna, żelaza, zostały pod jedną pozycyą obrachowane.

Utworzona kompania akcyonaryuszów, pod przewodnictwem doktora Enoch, wszystko poczyniła co tylko dla wygody i przyjemności szukających ulgi u wód Buskich zrobić należało. Łazienki pomieszczono w wspaniałym gmachu na ten cel zbudowanym. W budowli téj mieści się wielki salon; z niego wchodzi się do łazienek po obu stronach urządzonych, dla dam przeznaczonych; w dwóch zaś galeryach bocznych znajdują się obustronnie łazienki, i prócz tego 10 wanien dla biédnych.

Za gmachem łaziennym w niewielkiéj odległości wznosi się ozdobna rotunda, z któréj woda wydobyta pompami ze źródła za odkręceniem kurka wypływa.

Pijący wodę mają do spaceru ładny ogród w guście angielskim, założony przed główną budowlą; oprócz tego pięknie zacieniane ulice stanowią miłą przechadzkę. Przed zakładem znajduje się obszerna sadzawka, a w niéj urządzono wodotrysk, który puszczają często dla przyjemności spacerujących.

W dniach słotnych pijący wodę przechadzają się w sali głównéj, przed którą inny wodotrysk ze zbiornikiem marmurowym chłodzi powietrze w czasie upałów.

Pobyt w Busku uprzyjemniają chorym to wieczory muzykalne, to teatr przez prowincyonalne truppy odgrywany, to nakoniec koncerty, jeżeli jaki artysta miejsce to odwidzi.

Wspomnieliśmy wyżéj o romantycznych okolicach Buska, które najwięcéj uprzyjemniają cierpiącym pobyt w tém miejscu. Rozkoszne okolice Skorocic, Pinczowa i t. p. miejsc, jak również starożytne miasta Wiślica, Nowe Miasto Korczyn, mieszczące mnóstwo historycznych godnych zwidzenia pamiątek, stanowią dla wielu pełne poetycznego uroku zajęcie.

Opisując wody Buskie, nie należy nam zapominać o wodach okolicznych. Z tych naukowo zbadanemi zostały źródła w Owczarach, Baranowie i Godawie. Rozbiorem ich chemicznym zajmował się professor Kitajewski.

W Owczarach znajdują się dwa źródła bardzo do siebie zbliżone składem. Piérwsze z nich badane pod względem fizycznym okazało c. g. wody =1,0147, a temperaturę +9,2 R. Drugie źródło temuż badaniu poddane miało wodę c. g. 1,0149, a temperaturę + 10,664 R. Wody te w 16 uncyach wagi aptekarskiéj zawierały:

	Źródło piérwsze		drugie
Kwasu węglanego ...	0,420 c. s. f.	—	0,352 c. s. f.
Azotu	0,505	—	0,559
Części stałych gran ..	103,4893	—	104,3422 gr.
to jest:			
Chlorku sodu	72,1390	—	72,6163
— magnezynu..	4,5874	—	4,6071
Jodku sodu	0,1176	—	0,1328
Bromku sodu	0,0450	—	0,0437
Węglanu wapna	0,6226	—	0,5217
Siarczanu wapna.	9,0628	—	9,3312
— magnezyi ..	16,6034	—	16,1208
Siarku magnezyi	0,5122	—	0,4502
Zródlanów i pożródlanów	0,3993	—	0,5184

Nadto, jak wyżéj już nadmieniliśmy, zbadano także źródła w Baranowie i Godawie, i te wydały wypadki następujące:

	W Baranowie c. g wody =1,0175 — temperatura =+10,8 R.		W Godawie c.g. wody=1,0130, temperatura =+9,34 R.
	W 16 uncyach zawierały:		
Kwasu węglanego ...	0,373 c.s.f.	—	0,425 c. s. f.
Azotu	0,446 c.s f.	—	0,622 c. s. f.
Części stałych	132,7154 gr.	—	84,8446 gr.
to jest:			
Chlorku sodu	92,8332	—	58,7213
— magnezynu..	10,4563	—	3,7213
Jodku sodu	0,2058	—	0,1396
Bromku sodu	0,0583	—	0,0476
Węglanu wapna	0,5530	—	0,6296
Siarczanu wapna.....	13,0406	—	7,5801
— magnezyi ..	14,7887	—	13,1179
Siarku magnezyi.....	0,5438	—	0,5642
Zródlanów i pożródlanów	0,2357	—	0,2995

Podobneż źródła, nawidzane coraz częściéj, posiada i Solec. Za staraniem tutejszego gospodarza, pana Godefroi, urządzono źródło i łazienki, przygotowano mieszkania wygodne dla chwilowo Solec odwidzających. Troskliwość w najmniejszych szczegółach, tak co do zaspokojenia potrzeb, jako téż uprzyjemnienia pobytu leczącym się, coraz więcéj ich przyciąga nawet z odległych stron kraju, i może wkrótce wzrastająca wziętość wód Soleckich postawi ten zakład na równi z zagranicznemi. W porze letniéj, prócz stale bawiących kilkudziesięciu rodzin, zjeżdżają się tu z Buska i okolic, już dla zabawy, już dla zwidzenia pięknych miejsc, w które nadwiślańskie strony obfitują. Przyjemności polegające na wspólnych wycieczkach, widowiskach teatralnych, koncertach, balach, miejscowéj czytelni, po niejakim czasie całe towarzystwo zbliżają do siebie, zamieniając je niejako w jedno familijne grono, które z nastaniem zimniejszych miesięcy z żalem się rozstaje, ale zwykle z ulgą wraca do ognisk domowych.

Woda Solecka odznacza się stosunkowo mniejszą ilością siarczanu magnezyi, a znaczniejszą soli kuchennéj i jodku sodu.

Dwa źródła tamtejsze badane były przez Kitajewskiego, i ten uczony znalazł w nich:

	Nowe źródło c. g. 1,0190 temperatura = 15,36 R.	Dawne źródło c. g. 1,0135, temperatura = 13,2 R.
Kwasu węglanego ...	0,450 c. s. f.	— 0,387 c.s.f.
Azotu	0,328 c. s. f.	— 0,364 c.s.f.
Części stałych	131,4095	—127,0111 gr.
to jest:		
Chlorku sodu	111,3044	—107,5995
— magnezynu..	4,5946	— 4,4420
Jodku sodu	0,2543	— 0,1479
Bromku sodu	0,0548	— 0,0497
Węglanu wapna	0,6678	— 0,5739
Siarczanu wapna	10,5216	— 10,1683
— magnezyi...	3,1609	— 3,0571
Siarku magnezynu ...	0,6131	— 0,4966
Zródlanów i pozródlanów	0,2380	— 0,4761

Nakoniec woda Szczerbakowska, do téjże kategoryi należąca, zawiéra najwięcéj części stałych i w nich stosunkowo najwięcéj soli gorzkiéj, najmniéj siarków. Ma c. g. 1,0373, temperaturę +10 R.

W 16 uncyach, według Kitajewskiego, zawiéra:

Kwasu węglanego	0,392 c. s. f.
Azotu.....	0,145 c. s. f.
Części stałych	334,1535 gr.
to jest:	
Chlorku sodu	246,6280
— magnezynu	15,5928
Jodku sodu.....	0,1563
Bromku sodu.....	0,1509
Węglanu wapna	0,5809
Siarczanu wapna	15,3676
— magnezyi.....	55,0119
Siarku magnezynu.....	0,2758
Zródlanów i pozródlanów	0,3893

Woda ze wszystkich tych źródeł świéżo czerpana wydaje małe perełki, jest zupełnie czystą, z zapachem nieprzyjemnym jaj zgniłych, od siarkowodoru pochodzącym. Smak jéj, oprócz tego jaki jéj nadaje siarkowodor, jest jeszcze słonogorzkawy. Nieprzyjemny jéj zapach i smak są powodem że wielu chorych, szczególniéj w początkach, wielki wstręt do niéj uczuwa.

Lubo nie mamy zamiaru rozbiérać wód Buskich pod względem ich skuteczności lekarskiéj, zdaje się jednak iż nie od rzeczy będzie wymienić choć znaczniejsze słabości, w których wody te stają się pomocnemi. W ogólności we wszystkich słabościach chronicznych najwięcéj chorzy doznają ulgi; tu można policzyć: skrofuły, zatkanie trzewiów brzusznych i nieregularne krążenie krwi, wysypki chroniczne, przypadłości kołtunowe i nakoniec artrytyzm i reumatyzm. Doktor Grygowicz podaje jeszcze, iż wody z tych źródeł skuteczne są i na robaki.

Skład wyżéj wspomnianych wód nadaje im pod względem terapeutyczno-chemicznym osobne miejsce. Dałyby się ony najwłaściwiéj porównać z Akwisgrańską, od któréj różnią się tylko słabą alkalicznością, i z wodami Kreuznach, od których jednak odróżnia je siarek magnezynu. Zawsze są to silne jodowe solanki, tém się od innych odznaczające, że zawiérają więcéj jodu jak bromu, którego ilość tak jest mała, że nawet uszedł uwagi niektórych analityków.

Ciechocinek jeszcze jest późniejszym jak Busk; wzrost bowiem tego zakładu dopiéro datuje od zaprowadzenia stałéj żeglugi parowéj na Wiśle.

Minąwszy kilka kolonij rozciągających się wzdłuż brzegów Wisły, natrafiamy najprzód na osadę złożoną z zabudowań fabrycznych, składów soli i mieszkań prywatnych: to warzelnia soli ze wszystkiemi przynależnościami. Jedna brama dziedzińca otaczającego fabrykę wychodzi na dro-

gę wysadzoną drzewami, którą otaczają z obu stron łąki pokryte bujną roślinnością. Po prawéj stronie téj drogi w odległości małéj wersty od warzelni znajdują się *gradernie*, po polsku doskonale nazwane *tężniami*. Przy tych tężniach szeregiem na werstę długim ustawione białe domki zajmują przybywający na kuracyą. Po lewéj stronie jest plac targowy i poczta. Opodal, równolegle do poprzedzającéj alei, ciągnie się druga, młodemi drzewami wysadzona, przeznaczona na przechadzkę i wiodąca do źródła. Samo źródło otacza spory ogródek, a w nim rozwesela chorych przybywająca z Warszawy muzyka. Prostopadle do powyżéj wzmiankowanéj alei rozciąga się galerya, służąca dla leczących się za miejsce pobytu w słotnych godzinach. W końcu wystawki jest mała kapliczka z obrazem Najświętszéj Maryi Panny.

W blizkości źródła znajdujemy mieszkanie Dr. Ignatowskiego i trzy numera łazienek; daléj szeregiem idą ozdobne pałacyki, należące do zamożniejszych rodzin, które tu przez czas picia wód i kąpieli przemieszkują. W kierunku alei służącéj do przechadzek ciągnie się droga prowadząca do starego Ciechocinka; przy niéj jest hotel p. Müller i druga oberża; daléj rzędem stoi kilka porządniejszych domów, a wprost nich szereg białutkich dworeczków, mieszczących największą liczbę chorych. Ta dzielnica nazywa się krzywdą. Za krzywdą długi i biały budynek jest miejscem gdzie truppa wędrownych aktorów przedstawia niczne widowiska ku uprzyjemnieniu chwil goszczącym. Daléj znowu wznoszą się rzędy domów stanowiących stary Ciechocinek.

Wody Ciechocińskie nie zostały dotąd należycie zbadane. Rozbiór chemiczny podaje następujący w 1,000 częściach skład tutejszéj wody:

Wody czystéj	946,86889
Chlorku sodu (soli kuchennéj)	37,63593
— wapna	7,67723
Chlorku magnezynu	5,91496
Bromku magnezyi	0,09280
Siarczanu sody	1,13477
— potażu	0,14600
Dwuwęglanu tlenku żelaza	0,02563
— sody	0,50379

Kwasu źródłowego i krzemionki ślady.

Smak tych wód jest nader przykry, bo słonogorzki.

Oddychanie powietrzem nasyconym solą jest jednym ze środków któremi chorzy pozbywają się swoich dolegliwości; dlatego téż po południu następuje przechadzka pod tężniami. Tu jedni schodzą się nad zbiornikiem solanki, drudzy pod tężniami, a inni, wyszedłszy na wierzch tężni, lubują się widokiem okolicy. Przechadzkę pod tężniami uprzyjemnia muzyka.

Monotonią Ciechocińskiego towarzystwa przerywa tylko przybycie statku parowego, wiozącego mu nowe zasoby życia.

Poniedziałki i piątki przeznaczone są tutaj na zabawy w hotelu Müllera, i tak, jeśli nie wesoło, to znośnie przynajmniéj ubiega czas letnich miesięcy.

Oprócz źródeł któreśmy wyżéj wymienili kraj nasz posiada jeszcze wiele innych, lecz te nie są dotąd dostatecznie rozpoznane ani chemicznie, ani lekarsko, choć niewątpliwie przyjdzie czas że to nastąpi.

Należy nam jeszcze tylko wspomnieć o wodzie Goździkowskiéj, która rozbiérana przez professora Kitajewskiego następujące w 100 częściach pokazała wypadki:

Kwasu węglanego	45,2
Azotu	33,2
Tlenu	41,0
Węglanu żelaza	3,9
Krzemionki	2,4
Węglanu wapna	0,2
— sody	1,5
Chlorku wapna i potażu	0,4

Istot organicznych ślad.

A. W.... cki.

SEN LETNI ZWIERZĄT.

Podobnie jak wielu zwierzętom strefy umiarkowanéj i zimnéj opiekuńcza natura dała sen zimowy, utrzymujący je przy życiu podczas mrozów zbyt tęgich, tak w strefie gorącéj znajdujemy to samo zjawisko, ułatwiające zwierzętom przebycie posuchy i skwaru letniego. Wpływ promieni słonecznych pomiędzy zwrotnikami tak jest przeważny, że niszczy częstokroć życie roślinne, wysusza rzeki, i warstwę ziemi rodzajnéj zamienia w gorący i popękany pokład gliniasty. Ztąd w krajach zwrotnikowych upały mniéj więcéj podobny wpływ wywierają na świat roślinny i zwierzęcy, jak zimna w krajach więcéj ku północy położonych. Wiele téż zwierząt strefy gorącéj, podczas największego skwaru, wpada w stan odrętwienia, zwany snem letnim (aestivatio).

Znany naturalista angielski Darwin, w zajmującém sprawozdaniu swojém o podróży okrętów „Adventure" i „Beagle," skréśla żywy i malowniczy opis ciszy jaka w tych krajach panuje w porze gorącéj. Krokodyle i węże drętwieją i chowają się w głąb' ziemi; czworonogi po części wpadają w stan letargiczny, jak np. *tenrek* na wyspie Maurycego, zwierzę ssące, pokrewne naszemu jeżowi. Zdaje się jakby zamarły wszelkie życia objawy. Lecz za nastaniem pory dészczów scena zmienia się w sposób prawie czarodziejski. Wszystko co dotąd było uśpione, rozbudza się i ożywia: oblicze przyrody nową przybiéra postać. Niekiedy ziemia poruszy się nagle i rozstąpi, a z łona jéj wydobywa się na wiérzch wąż lub alligator. I Aleksander v. Humboldt przytacza iż, według opowiadań krajowców, ponad bagnami zwilżona glina częstokroć rozpada się w bryłki i podnosi wzgórkowato, poczém, jak przy wybuchu wulkanów szlamowych, nagromadzona ziemia zostaje gwałtownie w powietrze wyrzuconą. Mieszkańcy, obeznani ze znaczeniem tego zjawiska, uciekają wtedy, bo wiedzą że niezawodnie z tego miejsca wylézie olbrzymi wąż wodny albo łuszczysty krokodyl, ockniony z odrętwienia piérwszém spadnięciem dészczów.

Dla dopełnienia w sposób dosadny i prawdziwy obrazu tego przejścia, podajemy tu słowa męża, który w opisywaniu przyrody umié być razem uczonym, poetą i malarzem.

„Gdy pod działaniem prostopadłych promieni słońca, nieprzyćmionego najlżejszą chmurką, zwęglona darń *Llanów* [1]) w proch się rozsypie, mówi Aleksander v. Humboldt, ziemia rozpada się miejscami, jak od silnego trzęsienia, a gdy się jeszcze zdarzy iż dwa przeciwne prądy powietrza zetkną się z sobą, sprawiając ruch wirowy, wtedy step dziwny przedstawia widok. W lejkowatych chmurach, których węższe końce przesuwają się po ziemi, piasek wznosi się w powietrze, na podobieństwo trąb wodnych, owego przestrachu żeglarzów. Niepewne, blado-płowe światło rozléwa się po niwach opustoszałych. Krąg nieba zdaje się spuszczać coraz niżéj, ścieśniając granice stepu i umysł wędrowca niepojętym ogarniając smutkiem. Porwana wirem ziemia, delikatnym pyłem przejmuje atmosferę i powiększa jeszcze duszność powietrza. Wiatr wschodni, przechodząc przez niezmiernéj rozciągłości obszary rozpalonego gruntu, zamiast ochłody, nową tylko przynosi spiekotę Znikają nawet kałuże, które dotąd utrzymywały się pod cienistą osłoną palm wachlarzowych. Jak w krajach północy zwierzęta drętwieją od zimna, tak tutaj w wyschłéj glinie spoczywają nieruchomie krokodyle i węże *Boa constrictor*. Wszędzie martwość jednostajna, i wszędzie ściga spragnionego owo złamanie promieni światła, wywołujące ułudne zjawisko oddalonéj wody. Owiane gęstą kurzawą, dręczone głodem i pragnieniem, błąkają się konie i bydło, wietrząc z wyciągniętą szyją, aby przeczuć gdzie w pobliżu niezupełnie wyparowaną kałużę.

„Rozważniéj i przebiegléj muły innym sposobem starają się ugasić trapiące ich pragnienie. Kulista i rowkowana roślina amerykańska, kaktus melonowy, w kolczatéj swéj osłonie zawiéra rdzeń wodnisty. Muły najprzód kopytami rozbijają ostre kolce, a potém ostrożnie wylizują chłodny płyn roślinny. Ale czerpanie z tego zdroju ożywczego bywa dla nich niebezpieczne; bo częstokroć kolce kaktusowe szkodliwie ranią je w nogi.

„Nawet i wtedy, gdy po doskwiérającym upale dziennym następuje chłód nocy, konie i bydło nie

[1]) *Llanos*, wyraz hiszpański, oznaczający bezdrzewne równiny Ameryki południowéj.

mają odpoczynku. Ogromne nietoperze ścigają je we śnie, czepiają się ich grzbietu i wysysają krew, zostawiając jątrzące rany, w których potém gnieżdżą się moskity, hippoboski i inne kolące owady; a wszystkie te cierpienia męczeńskie sprowadza niedostatek wody.

„Gdy wreszcie po długiéj posusze nastąpi pora dészczów, step cały inne nagle przybiéra wejrzenie. Ciemny błękit niezachmurzonego dotąd nieba zaczyna się rozjaśniać. Nocą zaledwo rozpoznać można czarniawą przestrzeń w gwiazdozbiorze południowego krzyża. Znika coraz bardziéj łagodny fosforyczny blask magellańskich obłoków. Nawet stojące w zenicie gwiazdozbiory połyskują światłem drżącém i mniéj planetarném. Nakształt łańcucha gór oddalonych zjawiają się na południu pojedyncze chmury. Mgławe wyziewy rozciągają się po widokręgu, i słychać zdala grzmoty, zapowiednią ożywczego dészczu.

„Zaledwo powierzchnia ziemi zostanie zwilżoną, step bujną pokrywa się roślinnością. Ocknione światłem, rozwijają się mimozy, witając z ptastwem świegocącém wspaniały wschód słońca. Konie i bydło pasą się teraz swobodnie. W wysokiéj trawie ukrywa się pysznie centkowany jaguar, i nagłym skokiem chwyta przeciągające zwierzęta."

Zaprawdę, mistrzowski to obraz, jak wszystko co wychodzi z pod pióra wielkiego Humboldta! Przedstawia on przejmująco zabójczy wpływ jaki upał i posucha wywierają na życie organiczne. Z niektórych roślin zwrotnikowych w porze gorącéj, podobnie jak u nas w zimie, opadają liście. Płazy ukrywają się w ziemi, a zwierzęta ssące czas największego skwaru przepędzają w senném odrętwieniu. Ślimaki chowają się w swe skorupy; żaden owad nie brzęknie w powietrzu; nawet ryby, po wyschnięciu rzek, zapewne w szlamie szukają schronienia, bo znikają gdzieś bez śladu.

Ostateczności zwykle w naturze podobne wywołują zjawiska: dotknij się rozpalonego do czerwoności żelaza, lub dotknij go się przy mrozie 28 – 30 stopniowym, a doznasz jednakowego prawie uczucia. Jak w naszéj strefie umiarkowanéj zima, tak w krajach międzyzwrotnikowych letnie upały są porą wypoczynku organicznéj przyrody; tylko że tam miejsce naszego śniegu, lodu i mrozu zastępuje wiatr ogniem zionący, spiekła, wypalona ziemia, wyschnięcie wód i t. p. Nadmiar gorąca, tak samo jak nadmiar zimna, rozstraja istoty organiczne, przyczém i to jeszcze zasługuje na uwagę, że odrętwienie świata zwierzęcego i roślinnego, w najzupełniéj przeciwnych sobie klimatach, przypada niemal jednocześnie; wiadomo bowiem iż kraje położone na południe od równika właśnie wtedy mają lato, kiedy my mamy zimę, i naodwrót. Widoczna więc że Stwórca nie przywiązał téj potrzeby wypoczynku do żadnéj oznaczonéj pory, ale do współczesnego mniéj więcéj na całéj kuli ziemskiéj periodu. Dlatego, zamiast niewłaściwych wyrażeń *sen zimowy*, *sen letni*, należałoby raczéj nżyć orzeczenia *życie senne* (Hypnobion); boć nie ustaje życie w téj pozornéj martwości, i nie jest to żaden stan chorobliwy, jak letarg, lecz jeden z nieodzownych objawów czerstwéj całkiem, a tylko chwilowo wyczerpanéj, siły żywotnéj.

LIRNIK PYSZNY (MENURA SUPERBA).

Dawniejsi naturaliści, uwiedzeni znaczną jego wielkością, policzyli tego ptaka do rzędu kur, pod nazwiskiem bażanta lirowego. Cuvier i Temminck, przez wzgląd na kształt nóg, w których palce są zupełnie wolne, i dziobu, w którym okazuje wielkie podobieństwo do drozdów, policzyli go do wróblowatych (Passares).

Gould, który zebrał bardzo wiele spostrzeżeń nad sposobem życia lirnika, mniema że on, wraz z dwoma amerykańskiemi rodzajami (Pteroptochus i Scytalopus) tworzy oddzielną, charakterystyczną gruppę. Wielkość tylko i kształt ogona różni go od tych dwóch ptaków, lecz ponieważ wspólnie z niemi ma przy nasadzie dzioba sztywne szczecinki, nadto ponieważ odznacza się tąż samą łatwością w biegu a nieudolnością w locie, słusznie więc do jednego z niemi pokrewieństwa mógłby być policzonym.

Cechy lirnika są następujące:

Dziób prosty, przy nasadzie rozszerzony; górna szczęka lekko zgięta, wystająca końcem nad dolną, szczerbata, z wyraźnym szczytem; nasada

dzioba i podbródek rzadkiemi szczecinami opatrzone. Nozdrza poboczne, przyśrodkowe, jajowate, błoną przymknięte. Nogi poskoczne, wysokie, cienkie; pazury prawie tak długie jak palce, tylny od ksiuka o połowę od innych dłuższy. Skrzydła krótkie, zaokrąglone; piérwsze lotki stopniowane, następne od 6—9 włącznie jednostajnéj długości. Ogon u samca bardzo długi, z 16 sterówek utworzony, z których skrajne lirowato na zewnątrz są zakrzywione, wewnętrzne zaś połączone włóknami. Sterówki samic tak są pospolicie ułożone, że tworzą ogon klinowaty. Lirnik co do wielkości ciała nie ustępuje bażantowi, głowę ma małą, a na jéj tylnéj części znajduje się pierzasty grzebień.

Pokrycie jego jest gęste, miękkie, puszyste, na grzbiecie brunatne, w oliwkowy kolor wpadające, na skrzydłach i podgardlu rdzawe, na brzuchu i piersiach popielato-zielone. W ogonie dwie skrajne sterówki bardzo długie, esowato wygięte, z chorągiewkami wewnętrznemi, w poprzek brunatno i rudawo-żółto pręgowanemi, plamą czarną zakończonemi. Pozostałe w liczbie 12 są dłuższe od skrajnych, powiewne, strzępiaste; z nich dwie środkowe z jednostronnemi wązkiemi chorągiewkami, nawzajem się krzyżując, w półkole na boki się rozwijają; cały ogon najwyborniéj kształt liry wyobraża, i z tego téż powodu ptak ten lirnikiem został nazwany.

Mieszka w Nowéj Hollandyi w tak zwanych górach Modrych. Gould zapewnia że lirnik jest najbojaźliwszym ze wszystkich znanych mu ptaków, i najtrudniéj jest go podejść. Dodaje on że często przez całe dnie błąkał się po górach za jego głosem, a jednak nie mógł go dostrzedz. Polowanie na lirnika uznaje ten badacz za niezmiernie trudne i prawie niemożebne. Ptak ten bowiem przebywa pospolicie na niedostępnych, urwistych skałach, nad brzegiem niezgłębionych parowów położonych, w gęstwinach wijących się roślin, albo cienistych drzew, pomiędzy któremi przedrzéć się jest niezmiernie trudno. Tylko najostrożniéj czołgając się, można go podejść, najmniejszy bowiem szelest, złamanie suchéj gałęzi, potoczenie się kamienia, przestrasza tego ptaka i skłania go do ucieczki. Niezawsze jednak jest on tak bojaźliwym; niekiedy można go spotkać w miejscach dostępnych, w nizkich krzakach, i wtedy, zwłaszcza na koniu, którego się mniéj obawia niż człowieka, można się łatwo do niego zbliżyć. W Illavara polują na lirnika z psami, które tak są ułożone, że dostrzegłszy go przy ziemi, rzucają się gwałtownie, w skutek czego ptak wskakuje na wyższą gałęź, i sądząc się zupełnie bezpiecznym, spokojnie się im przypatruje. Tymczasem myśliwy, korzystając z hałasu jaki psy robią swojém szczekaniem, szybko się przybliża i kulę mu posyła.

Inne równie skuteczne postępowanie, w celu zbliżenia się na strzał, polega na tém, że strzelec, usłyszawszy głos lirnika, przymocowywa do swego kapelusza ogon samca, a poruszając głową, zwolna posuwa się w stronę z któréj głos wychodzi. Lirnik, gdy go dostrzeże, sądzi że widzi przed sobą rywala; zrazu siedzi spokojnie i zazdrośnie tylko spogląda, lecz wkońcu zniecierpliwiony i rozgniewany jego ciągłém zbliżaniem się, zapomina o swojéj bojaźliwości i sam do walki występuje. Jednak i tu przezorność go nie opuszcza, a lękając się jakiéj zasadzki, przy przeskakiwaniu z gałęzi na gałęź stara się wciąż być ukrytym przed okiem mniemanego rywala. Chcąc go dojrzéć, myśliwy wydaje niezwykły głos, czy to za pomocą piszczałki, czy téż jakimś innym sposobem. W skutek przestrachu, a być może ciekawości, lirnik szybko wskakuje na wyższą gałęź, i jest widziałnym przez tę tylko chwilkę, przez którą chce zbadać przyczynę niezwykłego szelestu. Z téj chwilki winien strzelec korzystać, gdyż skoro ptak dojrzy twarz człowieka, nieochybnie znika w najbliższéj gęsto zarosłéj przepaści. Prawie nigdy nie stara się on lotem uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa, tylko chroni się przed niém równie szybkim jak zręcznym biegiem.

Przy tych polowaniach słyną z powodzenia krajowcy, którzy sunąc zcicha jak węże, potrafią do tego stopnia zbliżyć się do ptaka, że pomimo niedokładnéj broni, jaką pospolicie posiadają, prawie nigdy ich strzał nie chybia. A jeżeli który z nich przypadkiem, lub przyjąwszy obowiązki strzelca u białego, dostanie dobrą strzelbę, to o zakład iść można że każdy strzał da mu ptaka w plonie.

Lirnik nie pozostaje wciąż w jednéj i téj saméj okolicy, lecz zmienia miejsce swego pobytu, na sposób naszych przelotnych ptaków, stosownie jak tu lub owdzie znajduje dla siebie pożywienie. Okolica w któréj wykonywa swoje wędrówki zdaje się być niezbyt rozległą; ograniczą się zapewne na gęstwinie, która nieprzerwanie góry pokrywając, wązkim tylko pasem granicznym dotyka równin, a rozciąga się na 1—2 stopni szerokości.

Z łatwością wstępuje on na skaliste, niedostępne dla ludzi wzgórza, gdyż budowa jego nóg i muskułów jest tego rodzaju, że ułatwia mu pokonanie wszelkich trudności. Gdy napotka na swéj drodze pionową skałę, skacze na nią, a ściany wysokiéj na 10 stóp dosięga prostym rzutem, bez użycia skrzydeł.

Głos jego jest bardzo urozmaicony i może przechodzić wiele modulacyj. Zrazu brzmi on jak głośne wołanie, które z wabieniem może być porównane, i które niekiedy przez kwadrans odbija się w górach poprzedzielanych przepaściami; następnie zmienia się, słabnie i przechodzi w śpiew przytłumiony, który zaledwie o kilkanaście kroków słyszéć można. Pospolicie przy tych modulacyach głosu lirnik zachowuje się zupełnie spokojnie, lecz niekiedy śpiew swój przerywa i po chwili dopiéro rozpoczyna go na nowo, z szelestem który można przyrównać do trzeszczenia gnieconych orzechów, i żywém poruszaniem ogona. Oprócz tych naturalnych i do jego wewnętrznego usposobienia zastosowanych głosów, lirnik często naśladuje inne ptaki, jakoby chcąc je wyszydzić, niekiedy nawet wyje jak dziki pies nowoholandzki, zwany dingo. Wczesnemi rankami i wieczorami najchętniéj probuje on mocy i giętkości swego głosu, i wtedy téż najłatwiéj można go odszukać.

Za pokarm służą mu rozmaite owady, jak chrabąszcze, stonogi i t. p. Gould znalazł w silném i muskularném jego wolu szczątki ślimaków dość mocną skorupą pokrytych.

Nie wiemy nic pewnego o sposobie jego rozmnażania się. Gould, pomimo najstaranniejszych poszukiwań, znalazł tylko jedno gniazdo, a że takowe na nieszczęście było już po wypierzeniu się młodych, nie mógł więc zebrać zadowalniających wiadomości.

Strzelcy miejscowi zapewniali że gniazdo lirnika zawsze jest umieszczone na szczycie skały, przy ziemi, na drzewie lub na pniu jego. Rębacze drzewa, którzy w skutek zajęcia swego częściéj jak ktokolwiek inny znaleźć mogą jego gniazdo, utrzymują że jest podobne do gniazda sroki i że w niém zwykle jedno tylko jaje samica składa. Inni jednak krajowcy twierdzą że dwa jaja jasne, z czerwonemi plamkami pospolicie w niém znajdywali.

Przez Gould'a odkryte gniazdo było na wierzchołku skały, w miejscu dostatecznie osłonioném i tak wysoko umieszczone, że wysiadującemu ptakowi, pomimo iż sam był ukryty, dozwalało widzieć najmniejsze poruszenie w całéj okolicy. Gniazdo to było wielkie, głębokie, z góry zasklepione, z kształtu podobne do miednicy; z wierzchu składało się z chrustów, a wewnątrz było wyłożone łykiem i korzeniami.

Tyle tylko możemy powiedzieć o sposobie życia tego ptaka, który, pomimo iż coraz rzadszym obecnie się staje, mało jest jeszcze poznanym.

HISTORYA I STATYSTYKA KAWY.

Drzewo kawowe, zwane w języku naukowym od czasu Linneusza *coffea arabica*, odmienne w różnych epokach i u różnych narodów nosiło miana. Arabowie nazywali je *cahvah*, Egipcyanie *cahava* albo *coava*, Persowie *cahvoe*, Turcy *cahveh*, Kochinchińczycy *cày càphe*. Rośliny kawowe należą do wielkiéj familii *rubiaceów*, tworząc w niéj oddzielną gromadę *coffeaceów*, w któréj skład wchodzą także znane z własności lekarskich: *cephaëlis ipecacuanha*, *ronabea emetica*, *chiococca anguifuga* i t. p.

Kawa, któréj użycie po całym dziś rozpowszechniło się świecie, należy do liczby niewielu roślin użytkowych pochodzących z Afryki; badania bowiem Rittera przekonały że ojczyzną jéj nie jest Arabia, jak mniemano dawniéj i jak dziś jeszcze wskazuje nazwisko naukowe (coffea arabica), lecz Etiopia. O ile wnosić można z bardzo niedokładnéj jeszcze znajomości tych okolic, uważać należy górzyste okręgi Enarea i Kaffa w Abissynii za kolébkę roślin kawowych; zdaje się nawet że ostatni nadał im miano rodzajowe. Ztamtąd, to

jest od 10° szér. półn., drzewo kawowe rozkrzewia się w poprzek Afryki aż do Timbuktu, do źródeł Nilu i do Senegalu; potém na zachód aż do Sierra Leony i na południe do Angoli, czyli w całéj prawie przestrzeni od indyjskiego do atlantyckiego oceanu, jakkolwiek centralnym jego punktem jest Sudan właściwy. Z tego téż powodu Ritter radzi zamiast *coffea arabica* nazwać go *c. sudanica.*

Jakkolwiekbądź, powszechnie używana nazwa naukowa ma to przynajmniéj za sobą, że nam wskazuje miejsce z którego kawa najprzód rozeszła się po świecie. Arabia, a zwłaszcza Arabia Szczęśliwa, czyli kraina Jemen, jest rzeczywiście miejscem najdawniejszéj uprawy téj rośliny, a stacya Mochha albo Mokka, przy połączeniu morza Czerwonego z Arabskiém, aż dotąd zachowała sławę dostarczania wyborowego jéj ziarna.

W połowie 17 wieku Hollandczycy przenieśli drzewo kawowe z Mokki do Jawy, która odtąd została jednym z najgłówniejszych punktów jego uprawy. Dziś Indye niderlandzkie posiadają do 80 milionów drzew, których zbiór przecięciowy daje około 130 milionów funtów kawy.

Drugi kontyngens dostarczyła Mokka w r. 1717 wyspie Bourbon, która obecnie po Mokce najlepszą rodzi kawę.

Inne przesiedlenia téj rośliny nastąpiły już z Jawy. Roku 1710 szczep jéj posłano do Amsterdamu, a ztamtąd przeszła ona nietylko do ogrodów całéj Europy, lecz nadto w rozległych plantacyach rozszérzyła się po Indyach Zachodnich, a potém po Gujanie, Venezueli, Brazylii i t. d.

Obecnie drzewo kawowe liczy przeszło trzydzieści znakomitych ognisk swéj uprawy, mianowicie: *w Afryce* Abissynią, Sierra Leonę, Port Natal na przylądku Dobréj Nadziei, wyspy Madagaskar, Bourbon i Maurycego; *w Azyi* Arabią, wyspy Filipińskie, Sunda (Jawę, Sumatrę i Celebes), półwysep Malakkę, pobrzeże Malabaru i wyspę Cejlon; *w Ameryce* Antylle (Barbadoes, Kubę, Domingo, Dominikę, Guadelupę, Martinikę, Portoriko, Jamaikę, św. Łucyą i Trinidad), Kosta Rikę, Venezuelę, trzy Gujany, Brazylią, Nową Grenadę, Peru i Quito. Próby przyswojenia kawy we Włoszech i w Hiszpanii niepowiodły się.

Według kronik arabskich patron Mokki, szeik Szedeli, w 15 stuleciu wprowadził piérwszy kawę do Arabii Szczęśliwéj. Napływ pielgrzymów do Mekki, dokąd kawa dostała się w r. 1467, rozszerzył wkrótce po Wschodzie sławę nowego przybysza. Tu także powstały piérwsze kawiarnie, które tém większą pozyskały wziętość, że uczuć się dawała potrzeba zastąpienia wzbronionego przez proroka wina innym jakim napojem.

W połowie 16 wieku kawa utorowała sobie drogę do Konstantynopola, zkąd wkrótce całą ogarnęła Turcyą, wprzód jeszcze rozgościwszy się w okręgach Aleppa i Damaszku. W miastach tych liczne pozakładano kawiarnie, które niesłychanego doznawały powodzenia. Turcy znajdowali w nich, oprócz orzeźwiającego napoju, miękkie poduszki lub dywany i spokojność, słowem wszystkie warunki potrzebne ku rozkosznemu odbywaniu *kefu*, owego *dolce far niente* mieszkańców Wschodu. Niektórzy w tych zakładach zajmowali się poważną grą w szachy, inni nauczającą rozmową: nic dziwnego więc że kawiarnie stały się wkrótce dla Konstantynopola ogniskami życia umysłowego, prawdziwemi szkołami mądrości, do czego niepomału zapewne przyczyniały się i drażniące własności nowego odwaru. Kawa stała się współzawodniczką kościoła islamskiego: czém dawniéj meczety, tém teraz były kawiarnie. Poznało się na tém duchowieństwo tureckie, i mufti wydał rozkaz zamknięcia wszystkich tego rodzaju lokalów; ale następca jego cofnął zakaz i uwolnił kawę od ciążącéj na niéj klątwy.

Sprzeczne te postanowienia władzy kościelnéj, do których kilkakrotnie mięszała się i zwierzchność polityczna, dowodziły wielkiego wpływu jaki już sobie pozyskał przybysz afrykański; o ile zaś wpływ ten wzmagał się i w czasie późniejszym, dowodzi pocieszne dosyć prawo tureckie, stanowiące iż odmówienie kawy żonie ze strony męża staje się punktem do rozwodu. Od epoki téj zaczyna się także zwyczaj udzielania *bakszisz*, czyli datku *na piwo*, a raczéj dosłownie *na kawę*. Widziémy więc że kawa, pomimo doznawanego prześladowania, urosła już wtedy na Wschodzie w potęgę religijną, polityczną i obyczajową.

Podobnego prawie losu doznała kawa i na Zachodzie, dokąd kilkoma dostała się drogami. Zdaje się że Wenecyanie piérwsi sprowadzili ją jako środek lekarski z Lewantu do Europy, i Mokka podobno była najdawniejszą jéj stacyą handlową. W Niemczech najwcześniéj poznano ją w Wiedniu, zaraz po odsieczy téj stolicy przez Sobieskiego w r. 1683. Po słynném w dziejach zwycięztwie

nad Turkami, znaleziono w ich obozie ogromne zapasy cukru, oliwy, ryżu, miodu i kawy. Zdobycz ta stała się kamieniem węgielnym przyszłéj konsumcyi kawy w całych Niemczech, i tegoż jeszcze roku Jerzy Kulczycki Polak, za ważne usługi wyświadczone sprzymierzonym podczas oblężenia, otrzymał przywilej na założenie piérwszéj kawiarni w Wiedniu. Na początku atoli 18 stulecia funt kawy kosztował w Lipsku $1^2/_3$ talara, a następnie Fryderyk Wielki nałożeniem monopolu przyczynił się jeszcze bardziéj do podniesienia jéj ceny.

W Europie najpóźniéj poznały kawę kraje skandynawskie. W Paryżu za to już r. 1669 była ona w używaniu, i Sycylijczyk Prokop tegoż roku otworzył tam istniejący po dziś dzień *Café Procope*, zakład który pod Ludwikiem XIV został punktem zebrania najznakomitszych pisarzów i artystów. Za Ludwika XV liczono już we Francyi około 600 kawiarń.

Wpływ kawy na stosunki społeczne i intellektualne dziwnie był podobny u narodów całkiem różnych charakterem i oświatą. Widzieliśmy jak naWschodzie kawiarnie stały się „szkołami mądrości", a prawie to samo powtórzyło się i w główniejszych miejscowościach europejskich. W Paryżu do *Café Procope* uczęszczali Voltaire i Fontenelle; w Lipsku do tak zwanéj „kawiarni arabskiej" przybywał co wieczór sławny myśliciel Leibnitz. W Londynie piérwszą kawiarnią założono pod Cromwellem, i w krótkim czasie mnóstwo ich tam powstało. „Dogodność, mówi historyk angielski Macaulay, jaką nastręczały te zakłady pod względem schadzek i przyjemnego przepędzania wieczorów z małym bardzo kosztem, rzeczywiście była wielką. Ludzie klass wyższych i średnich uczęszczali codziennie do kawiarń dla gawędy i posłyszenia nowin. Każdy lokal posiadał jednego albo kilku mówców, będących tém niemal dla ówczesnéj społeczności, czém dzisiaj są dziennikarze." Poeta Dryden, przesiadując wieczorami przy kominku w ulubionéj swéj kawiarni, otoczony kołem licznie zgromadzonych słuchaczów, rozbierał krytycznie najnowsze utwory literatury angielskiéj; fakt dowodzący że towarzyskie te nawyknienia znakomicie działać musiały na wyrabianie się pojęć i ducha narodowego.

Przystępując teraz do statystyki kawy, i mając na uwadze że początkowo cena jéj wynosiła w Paryżu 40 talarów za funt, przyznać musiémy że, obok przyjemnych dla smaku własności nowego napoju, moda i wiara w przymioty jego lekarskie przeważnie utorowały mu drogę. Nie mogła jednak kawa w powszechniejsze wejść użycie, dopóki cena jéj pozostała wygórowaną. Jeszcze w czasie kiedy Napoleon rozciągnął nad Europą swój system kontynentalny, ciążyło na niéj cło wynoszące 400 franków za 100 kilogrammów czyli około 200 funtów. Późniéj dopiéro, kiedy zdrowsze zasady ekonomii politycznéj znalazły zastosowanie w stosunkach finansowych i handlowych, cena jéj szybko spadała, a konsumcya rosła coraz bardziéj.

Jak znakomity był ten przyrost, już nawet w ostatnich kilkunastu leciech, przekonają poniższe tabelle produkcyi i konsumcyi kawy.

Produkcya.

	W roku 1830.	*W roku 1850.*
Brazylia	60 mill. funtów.	240 mill. funtów.
St. Domingo.....	40 „ „	30 „ „
Kuba, Portorico ..	50 „ „	44 „ „
Indye zachodnie angielskie	22 „ „	$4^1/_4$ „ „
Indye zachodnie niderlandzkie	10 „ „	$8^1/_4$ „ „
Costa Rica	— „ „	7 „ „
Laguajra (Venezuela)	6 „ „	21 „ „
Jawa, Sumatra...	52 „ „	104 „ „
Manila	— „ „	$2^1/_2$ „ „
Madras, Mokka, Arabia	20 „ „	23 „ „
Indye wschodnie angielskie i t. d..	$7^1/_2$ „ „	44 „ „
Razem..	$267^1/_2$ mill. funt.	528 mill. funtów.

Nadmienić tu należy że produkcya kawy w Indyach zachodnich angielskich zmniejszyła się tylko przez zaprowadzenie tam emancypacyi niewolników, która pozbawiła te kolonie ogromnéj massy sił roboczych; nowy dowód że nie przedwczesne zniesienie niewoli, tylko odpowiednie jéj przekształcenie leży w interesie materyalnym rządów i samychże ludów.

Konsumcya.

	W roku 1830.	*W roku 1849.*
Wielka Brytania ..	21 mill. funtów.	$34^1/_2$ mill. funtów.
Holandya i Belgia.	81 „ „	68 „ „

Niemcy, Austrya, Szwajcarya ...	64 mill. funtów.	142	mill. funtów.
		7	„ „
Rossya.....		16	„ „
Szwecya i Dania .		16	„ „
Francya	70 „ „	61	„ „
Kraje nad morzem Śródziemném .		32 1/2	„ „
Hiszpania i Portugalia		13	„ „
Stany Zjednoczone.	41 „ „	152	„ „
Razem.	277 mill. funtów.	526	mill. funtów.

W Anglii wypada na głowę 1,13 f., we Francyi 1,85 f., w związku celnym niemieckim 3,10 f., w Austryi 0,50 f., w Stanach Zjednoczonych 7,20 f.

Jeśli zważymy że ogólna konsumcya kawy, wynosząca 526 milionów funtów, licząc przecięciowo po 25 kop. za funt, wprowadza rocznie w obieg ogromny kapitał 131,500,000 rsr., to trudno nieuznać w niéj jednéj z najznakomitszych dźwigni handlowych; a że dziś, lekko licząc, 100 milionów ludzi używa jéj za napój, a konsumcya ta idzie w stosunku ciągle rosnącym, więc i pod względem zarówno sanitarnym jak moralnym urość ona może w potęgę, która kiedyś, wespół z herbatą, usunąć zdoła w wielkiéj części zgubne upowszechnienie napojów spirytualnych.

PERSPEKTYWA POWIETRZNA.

Perspektywa w znaczeniu ogólném jest nauką ściśle matematyczną, nie mającą nic wspólnego z wyobraźnią, bo podciągniętą pod stałe prawidła, względem których nie ma już ani sprzeczności w zdaniach, ani żadnego powątpiewania. I tak, każdy przedmiot blizki wydaje nam się większym: domek sąsiedni zasłania odleglejszy kościół; księżyc, którego średnica jest cztéry razy mniejszą od średnicy ziemi, pokrywa nam jednak w czasie zaćmień całkowitych słońce, sto dwadzieście razy większe od ziemi powierzchnią, a to z powodu że księżyc jest cztérysta razy bliższym naszego globu od słońca, i tą blizkością swoją wynagradza brak wielkości. Skutkiem podobnież perspektywy zdaje nam się że drzewa długiéj alei w miarę oddalenia swojego, coraz bardziéj ku sobie się zbliżają. Nikt zatém nie zaprzeczy iż naprzykład w jakim krajobrazie krzak, postawiony na piérwszym planie, może być tak wielkim jak drzewo w znacznéj odległości; albo że kanał naprost widziany powinien być węższym ku końcowi, jeżeli na patrzącym sprawiać ma wrażenie natury.

Wprawdzie i teraz jeszcze zdarzają się malowidła i rysunki, których twórcy jakby żartować sobie chcieli z elementarnych zasad perspektywy; ale zawsze wypadki takie pomiędzy malarzami z powołania należą dziś do wyjątków. Przypominamy tu sobie satyryczną odezwę, którą poeta francuzki Piron w wieku ośmnastym uczynił „do p. p. rysowników, rytowników, malarzów, dekoratorów i t. p." Uprasza on ich najpokorniéj, aby w razie postawienia obok siebie wołu i owcy, raczyli owcę zrobić mniejszą od wołu; aby kogut na wiejskiém podwórzu nie przenosił głową szczytu sąsiedniéj stodoły; aby ptaki nie były dziesięć razy większe od gniazda w którém zmieścić się mają i t. d.

Wiadomo że malarze krajobrazów używają niekiedy ramek ponaciąganych dosyć gęstą kratką z jedwabnych nici, i patrząc przez nie na okolicę, widzą każdy niemal szczegół w osobnym kwadraciku; co naturalnie wielką jest pomocą mechaniczną w zdejmowaniu rysunku, bo na papierze znajduje się kratka zupełnie podobna do téj przez jaką się patrzy. Znaném jest także zastosowanie w tymże samym celu wielkich kul szklanych, wylanych wewnątrz merkuryuszem albo bizmutem. Drzewa, domy, obłoki odbijają się w tém wypukłém zwierciedle z zadziwiającą dokładnością i z całym przepychem kolorytu. W najnowszym znów czasie obrazy fotograficzne wielkiém dla malarzów stały się ułatwieniem. Otóż przy użyciu wskazanych tu sposobów rysownik potrzebuje tylko wiernie kopiować to co widzi przed sobą, a nie popełni ważnych błędów, chociażby wcale nieznał zasad perspektywy linearnéj.

Innéj zupełnie natury jest perspektywa powietrzna. Każdy malarz utrzymuje że właśnie skutkiem zachowania téj perspektywy przedmioty

bliższe odskakują od tła, chociażby niebardzo oddalonego; mówią oni na przykład że pomiędzy figurą ich obrazu a murem odległym o parę kroków jest *powietrze*, i że dlatego figura ta od muru odstaje.

Prawda że jest tam powietrze, ale jest go tak mało, że fizycy, którzy sprawdzili doświadczeniem iż kilkaset stóp odległości żadnego nie wywiéra wpływu na siłę promieni światła, przyczyny odstawania figury od muru nie mogą przypisywać powietrzu. I rzeczywiście, pod dzwonem maszyny pneumatycznéj, podobnie jak w przezroczystéj wodzie, słowem tam gdzie powietrza wcale niéma, istnieje ten objaw optyczny, przez malarzów powszechnie na karb powietrza składany.

Czyż jednak niéma w naturze perspektywy powietrznéj? Jest, ale tylko w znaczniejszych odległościach. Gdy z wyniosłego punktu patrzymy na oddalone wierzchołki gór, wtedy wierzchołki te, skutkiem wielkiéj ilości przedzielającego nas od nich powietrza, wydadzą się sinemi. Lecz powtarzamy że jeśli odległość kilkowiorstowa może sprawić podobne złudzenie, to przeciwnie paręset kroków nic pod tym względem nie znaczy. Weźmy obraz przedstawiający dwóch nagich walczących z sobą szermierzów: ciała ich, splecione uściskiem muskularnych ramion, zdają się stanowić jednę całość i trudno powiedzieć że między niemi jest powietrze, skoro przystają do siebie bezpośrednio; a jednak odróżniamy je najdokładniéj. Jakaż więc tego przyczyna? Oto szukać jéj należy nie w żadnéj mniemanéj perspektywie powietrznéj, ale po prostu w fizyczném działaniu naszego oka.

Dwa przedmioty na jednéj umieszczone płaszczyznie oko patrzącego z jednaką widzi dokładnością, bo wszelkie warunki optyczne w tym razie dla obu są równe; lecz niechże jeden z tych przedmiotów będzie choćby cokolwiek tylko odleglejszym od drugiego, to wzrok nasz najprzód spotyka bliższy, a z niego dopiéro przenosić się musi na dalszy. Co więcéj, jeśli zwrócimy uwagę na jeden przedmiot, wtedy oko ułoży się w sposób ku temu właściwy, a drugi przedmiot stanie się mniéj wyraźnym, i ta właśnie niewyraźność da nam uczuć różnicę oddalenia. Łatwo się o tém przekonać, trzymając na przykład koniec pióra mniéj więcéj w środku pomiędzy naszém okiem a papierem na którym piszemy. Jeżeli patrzyć będziemy na pióro, wtedy pismo stanie się migotliwém; jeśli przeciwnie baczność swoję zwrócimy na pismo, to znowu pióro w niewyraźnych przedstawi nam się zarysach.

Gdy zatém przedmiot jaki umieszczony będzie przed drugim, który mu służy za tło, wtedy, chociażby odległość między niemi była bardzo mała, oko widzieć je będzie z niejednakową dokładnością, a tém samém odróżni je od siebie. Wrażenie zmysłowe ostrzeże nas że przedmiot bliższym jest oka od tła, a więc ten przedmiot odstanie, w czém jednak otaczające go powietrze żadnego niéma udziału. Frazes przeto malarski: między przedmiotem a tłem jest powietrze, przemienićby należało na wyrażenie logiczniejsze: między przedmiotem a tłem jest *odległość*. Objaśnijmy tę teoryą przykładami.

1. Postawmy przed sobą miniaturę w stosownéj odległości. Widziémy ją obydwoma oczami i podziwiamy jéj wykończenie i prawdę; a jednak to malowidło nie może na nas wywiérać wrażenia takiego jak natura, bo wszystkó tu na jednéj mieści się płaszczyznie. Otóż artysta, dla zaradzenia téj nieuniknionéj ułomności swojéj sztuki, nadał częściom odleglejszym koloryt nieco ciemny, i sprawił tém że oko, podobnie jak w naturze, widzi je mniéj wyraźnie; tylko że to co w naturze wydałoby się niewyraźném ale jasném, tutaj przeciwnie przedstawia się wyraźnie ale ciemno.

2. Spojrzyjmy teraz na krajobraz Berghem'a z tak zwanym *forgrundem* czyli piérwszym planem, z planem głównym zajmującym środek obrazu i z tłem odległego widokręgu: znajdziemy w nim zastosowanie całéj teoryi powyższéj.

Przedmioty piérwszego planu, które powinny być widziane niedokładnie, ponieważ oko patrzącego zwraca się głównie na część środkową obrazu, są niewyraźne, lecz wielkie i światłe, ponieważ widziémy je zblizka. Przedmioty planu głównego są miernie oświecone, a bardzo wyraźnie oddane, z powodu że się znajdują w najdogodniejszém dla oka oddaleniu. Dalsze jeszcze przedmioty malowane są lekko, a przytém nieco ciemniéj i w zmniejszonych rozmiarach. Nakoniec przedmioty stanowiące tło obrazu mają barwę niebieskawą, jeżeli powietrze jest czyste, a białawo-szarą, jeżeli jest mgliste, bo tu już massa przedzielającego powietrza wywiéra wpływ niezaprzeczony.

Takie są zasady optyczne, któremi sztuka bezkarnie pomiatać nie może, a które łatwo zastosować do wszelkich kompozycyj malarskich. Po-

znanie ich i zachowywanie nie stanowi wprawdzie artyzmu, podobnie jak w literaturze wystrzeganie się błędów grammatycznych nie stanowi dobrego pisarza; ale jak pisarz w utworach swoich kréślić niepowinien charakterów do prawdy niepodobnych, tak i w malarstwie pomijanie prawideł ugruntowanych na zbadaniu przyrody niewybaczoném staje się uchybieniem.

ŁAZIENKI.

Łazienki biorą swoje nazwisko od łaźni, która tutaj w dobrach ujazdowskich znajdowała się od niepamiętnych czasów, obok zwierzyńca ogrodu i pałacu, jako prywatnéj własności książąt mazowieckich. Pałac wznosił się wspaniale na górze, łazienka i zwierzyniec leżały u spodku góry. W różne ręce potém przechodziła cała majętność; ostatnio dzierżawili ją od Lubomirskich królowie z saskiego domu. Łazienka czy łaźnia naturalnie podrzędną ciągle odgrywała rolę w Ujazdowie, i dopiéro Stanisław August stworzył jéj świetność, nazwiskiem nawet odróżnił. Dzisiaj Łazienki nie są w Ujazdowie, ale obok Ujazdowa, któremu odebrały piérwszeństwo.

Stanisław August, kiedy przed samą swoją elekcyą kupił od Lubomirskich ziemie ujazdowskie, myślał pierwiastkowo przebudować zamek, tylą wypadkami historycznemi upamiętniony, na letnie dla siebie pomieszkanie. Ale prędko zniechęcił się dla Ujazdowa, bo pomimo najszczerszéj chęci, niczego stanowczo dokazać sam niepotrafił. Wpływało na to wiele okoliczności, i mury stare, i chimery królewskie. Chciał Stanisław August cacko zrobić ze swego letniego pomieszkania, drugi Wilanów, któryby, jak piérwszy, był historycznym, a nowemi ku sobie i królewskiemi pociągał pamiątkami. Ciągle więc kreślił plany, zmieniał zamiary, i wszystko co było najpiękniejszego za granicą tutaj do Ujazdowa chciał przenieść. Raz wraz przebijano stare mury, raz wraz któraś elegancka wielkiego świata pani, świéżo co powróciwszy z zagranicy, rozpowiadała dziwy to o pałacach monarszych, to o willach włoskich i zamkach, i poddawała myśli królowi, że to a to wartoby jeszcze zrobić, że tego a tego braknie do majestatyczności pałacu. Król młody i zalotny stosował się często do chimer i zachęt kobiécych; więc na nowo pokoje, chociaż już zupełnie ukończone, kazał przerabiać, dostawiał pawiliony i plany rozbiérał z budowniczemi. Wreszcie skończyło się na tém, że stracił moc piéniędzy i rzucił Ujazdów, bo mu ktoś doradził przerabiać lepiéj tak na swój ład Łazienki, jako daleko wdzięczniejsze zadanie, zwłaszcza że park i ogrody były pod bokiem. Uchwycił się król gorączkowo téj myśli, i odtąd przez całe swoje panowanie buduje, stroi, jak jaka kokietka, ozdabia i złoci lasek i pałac, wreszcie różnemi uroczystościami upamiętnia w dziejach swoje ukochane, najukochańsze Łazienki.

Było i tutaj jeszcze wiele kłopotu; ale chęć szczera przezwyciężyła trudności. Król zwołał swoich budowniczych i udał się na radę; poczém zaraz wygotowali i przedstawili mu plany Dominik Merlini i Antoni Fontanna. Miejsce to w którém była królewska łazienka w Ujazdowie, ogromnie podówczas opustoszało i podupadło; kanały i sadzawki, zarosłe dzikiém wodném kwieciem i pleśnią, przedstawiały obraz istnego zapuszczenia i nędzy. Nikt się téż o utrzymanie jego nie troszczył, a najmniéj król August III, który zawsze gościem bawił w Polsce, a podróżującemu panu dosyć było pałacu w mieście, bo i kupno czy dzierżawa Saskiej kępy była bez celu. Ogród i park ujazdowski służył więc za tego króla za pastwisko dla hodowanych tam zwierząt; zresztą był to las bagnisty, wysadzony olchami. Pod samą stolicą nikt się zapewne niespodziéwał znaleźć takiéj pustki, w jakiéj była ta cała zarosła lasem okolica. Dla dobitniejszego odmalowania stanu jéj dzikości dodamy, że kaczki dzikie zbiérały się tutaj na bagnach, jakby w ostępach leśnych, i swobodnie ulatywały ponad wodami. Przy jednéj z tych sadzawek stała dawna, bo jeszcze z czasów Lubomirskich pochodząca budowla, a w niéj owa łaźnia, stiukiem i małziami zdobna, która miejscu temu nadawała nazwisko.

Szło się do niéj przez kilka pokojów. W téj budowli latem niegdyś wspaniałe wyprawiano wieczory, które potém opisywała i sławiła gazeta warszawska. W ogóle panowie lubili dosyć to odludne miejsce, ognie sztuczne tutaj zapalali i lasek rzęsistém światłem nieraz rozjaśniali; była nawet jakiś czas moda na wycieczki do Łazienek ujazdowskich. Korzystał z tego strzelec czy łowczy dworski Montresor, i zamieszkawszy w małym domku obok Łazienek, otworzył kawiarnią, a potém i jadalnią dla wygody gości, i tak powoli zarabiał sobie pieniądze.

Ale na początku 1767 r. król Stanisław przerwał cichość tego ustronia. Najprzód postanowił oczyścić powietrze Łazienek i usunąć wyziewy z bagien i wód stojących w zapleśniałych kanałach. Trudna to rzecz była, i rok za rokiem schodził, bo napróżno probowano rozmaitych sposobów: wody świéżéj jak nie było tak nie było. Król się zapalał teraz tak samo do Łazienek, jak wprzód do Ujazdowa. Była chwila nawet że zwątpił o swojém przedsięwzięciu. Ledwie po kilkunastu latach usiłowań potrafili inżenierowie skierować do parku łazienkowskiego strumień wody z pod Rakowca, z którym połączyli drugi płynący prosto z Szopów, to jest ze wsi klasztornéj księży karmelitów bosych, a wtedy okolica odżyła powietrzem zdrowém i świéżém. Wyrąbano więc wszystkie stare a spruchniałe olchy, i zasadzono na to miejsce w lasku drzewo iglaste sosnowe rozmaitego rodzaju. Park cały podzielono na kwatery: klomby i aleje powstawały na skinienie ręki królewskiéj. Pokopano stawy i sadzawki w nowych miejscach, na nizkie nawieziono ziemi, żeby je podnieść, usunięto wilgoć, powyrębywano w pośród drzew ulice i aleje do przechadzki i wygody. Dla otwarcia pięknych na okolice widoków, król kazał powycinać w lasku ulice na Mokotów, Czerniaków, Willanów. Pokazała się niedługo potrzeba rozszerzenia samego zakresu Łazienek, a gdy na ten cel wybornie posłużyć mogła część poblizkiego Solca, wszedł król w układy z magistratem staréj Warszawy, i miastu, za niewiele gruntu Łazienkom przyległego, odstąpił na własność wszelkich praw swoich, jakie miał do dwóch dziedzicznych juryzdykcyj w stolicy, to jest do Maryensztadu i Stanisławowa (układy od 10 marca do 7 maja 1781). Cała ta nowo nabyta okolica, zaokrąglająca Łazienki, musiała przybrać na siebie stosowny charakter; więc zarosła téż drzewem. Tak w jednéj chwili całe opuszczone to miejsce zamieniło się w park rozkoszny, prawdziwie królewski, jakiego stolicy polskiéj dotąd niedostawało.

Jednocześnie król stawiał pałac. Stary gmach Łazienek królewskich został na miejscu jak dawniéj, ale go rozszerzono, naprawiono, przerobiono na pałacyk, i pokoje wewnątrz przybrały się stosownie, żeby mieszkaniem były królewskiém. Nowo dobudowane skrzydła powiększyły pałac, który stanął zupełnie w przeciągu lat trzech (1781—1784). W lecie 1784 kończono ostatnie w Łazienkach roboty. Nową z ciosu wystawę pałacu, ozdobiono korynckiemi słupami, toż samo i skrzydła. Nie mogąc się król swojém dziełem nacieszyć, przez całe życie, a raczéj przez całe panowanie swoje, budował ciągle w pałacu łazienkowskim; zawsze albowiem coś znalazł do poprawy, coś do uzupełnienia, upiększał, przerabiał, stroił. Wszyscy artyści polscy, a nawet celniejsi za granicą, jako to malarze, snycerze, rzeźbiarze z marmuru i z kamienia, pomagali pomysłami swojemi królowi, który ich rady ciągle zasięgał. Stanisław August zajmował się Łazienkami, tak jak kto inny zajmuje się młodą narzeczoną, którą lada dzień ma prowadzić do ślubu. Królowi w całéj téj robocie pomagali dwaj ulubieńcy jego, Kiccy stryj i synowiec, Jan i Onufry, obydwaj jeden po drugim koniuszowie koronni. Onufry, ale to już w późniejszych czasach, był można powiedzieć drugim gospodarzem i właścicielem Łazienek, a przynajmniéj zarząd pałacu od niego zupełnie zależał.

Długoby opisywać potrzeba przepych wewnętrzny pałacu, a my tutaj głównie opowiadamy historyą całych Łazienek, nie samego pałacu. Pożądany jednak byłby szczegółowy opis tych piękności, chociażby dla zachowania pamiątki, jakto bywało w Łazienkach za czasów króla właściciela. Obrazy sławnych malarzów, wyroby, rzeźby, popiersia znakomitych mężów, stały w pokojach, a najwięcéj polskich. Podróżni podziwiali szczególnie dwie osobliwości: były to posągi Franklina i Woltera, na 7—8 cali wysokie, pod szkłami umieszczone. Piérwszego artysta wystawił siedzącym u stolika, na którym stała machina elektryczna i mały imbryczek do herbaty; drugi pisał, także na stoliku. Odzież, twarz, guziki wszystko było u nich jak w naturze, i ztąd owo zajęcie jakie te posążki obudzały. Chińczyzna łazienkowska także zwracała uwagę. Król Stanisław August miał szczególne do niéj upodobanie; w samym gabine-

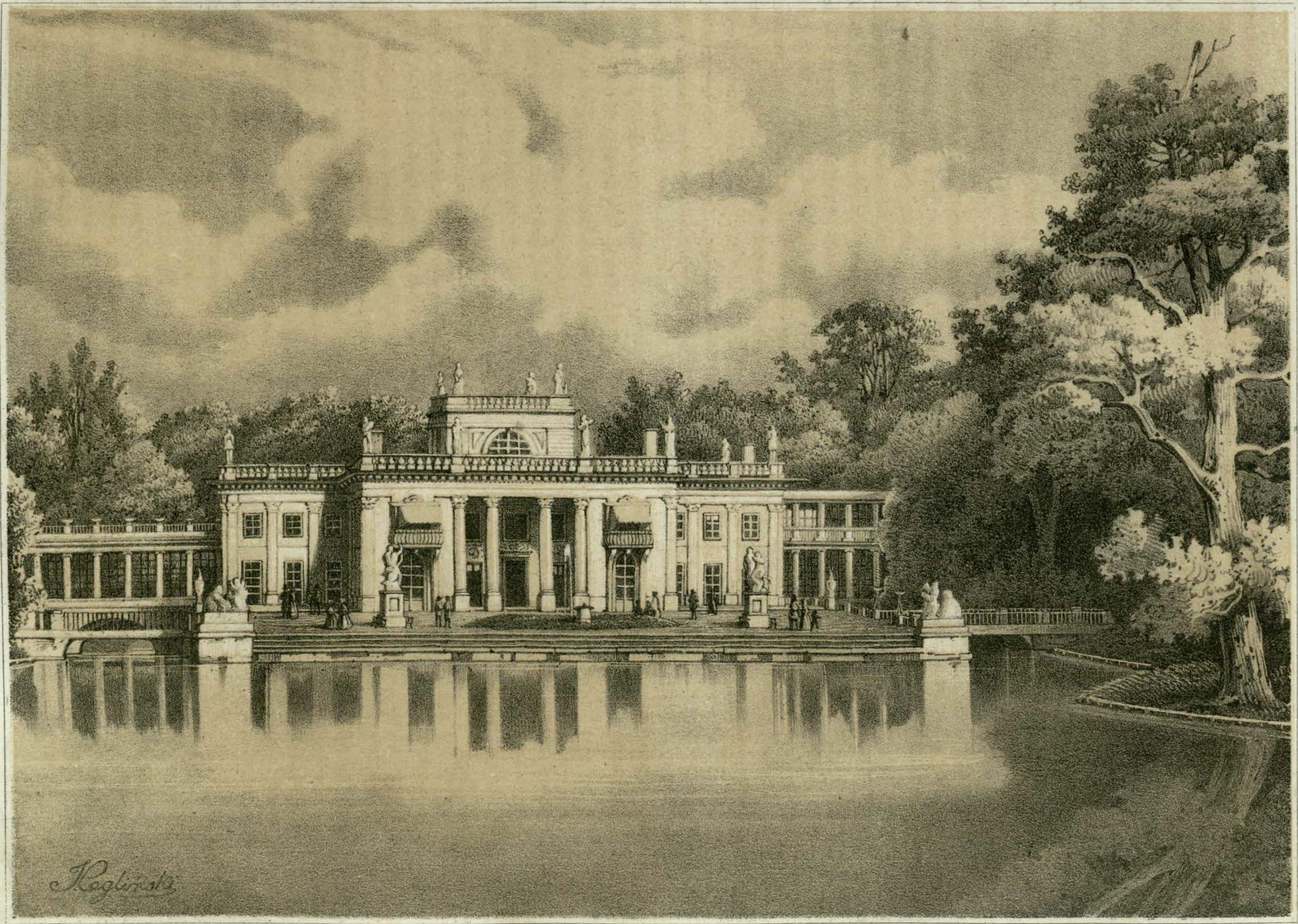

Wydawca i rys. J. Ceglinski.

w Lit. M. Fajans w Warszawie N° 59.

cie swoim całą tylną ścianę kazał wyłożyć i ustroić widokami Pekinu.

Żeby lasek ubrać, król rozrzucił po całéj przestrzeni Łazienek domy i chałupki różnego nazwiska, tak żeby wszystko pod szumną stolicą cichość i spokojność wiejskiego mieszkania przypominało. Domki te były przeznaczone dla gości codziennych łazienkowskich, których król często zapraszał, żeby ich uraczyć w swoim pałacu. Romantyczne nazwiska powymyślał dla tych chałupek: jedna się nazywała *Białym domem*, druga *Mysłowicami*, trzecia *Lepianką* i t. d. Potém, dla ozdoby miejsca, gęsto kazał kopać kanały, do których wodę zgromadził z Wisły i z gór sąsiednich. Spadki, wodotryski pluskające pod oknami, ożywiały lasek, a wody spokojnie płynące w kanałach odbijały w lazurach swych niebo i okolicę. Stada łabędzi puszczono na te piękne wody. Gdy te łabędzie pływały, po lasku przechadzały się pawie, a z poza żerdzi wyglądały strusie, które do Łazienek sprowadzono, a które były w ciągłym ruchu, niepojmując co się to dzieje koło nich. Na drzewach wisiały klatki, z których wyglądały ospałe mormoty. Jedném słowem król zrobił wszystko co mógł, zeby zainteressował swojemi Łazienkami, i dlatego serdecznie się cieszył, kiedy z upływem czasu widział że publiczność warszawska srodze przywiązała się do jego ulubionego ustronia. Najprzód szli wszyscy oglądać roboty, potém chodzili oglądać skończony pałac i kanały, wreszcie przyzwyczaili się Warszawianie i chodzili do Łazienek na spacer, rzadziéj w dnie powszednie, ale coraz gromadniéj w święta. W istocie było co widzieć; Warszawa jeszcze nieprzywykła do zbytków wersalskich, do wspaniałości eskurialskiéj, niewiedziała nawet co to jest wiejski pałacyk królewski. W Willanowie gościło się jakby u możnego obywatela, nie u króla, którego tutaj po niczémby poznać nie było można. W Łazienkach piérwszy raz Polacy oglądali wspaniałość królewską; tam, w cieniu roskosznego lasku, poza drzewami pomarańczowemi i posągami alabastrowemi, spotykali pałac już nie willanowski, skromny, suchy, ale wspaniały, obstawiony kolumnami, samą okolicą w jakiéj go wzniesiono objawiający przepych monarchiczny. Kiedy więc publiczność tak chodziła po lasku i oglądała cudy tego przepychu, tymczasem król jegomość wychodzi z pałacu i spaceruje po nad wodami, najczęściéj sam jeden z paziem. Czasem spotka jaką młodą piękność, zatrzymuje się przez minutę i posyła pazia dowiedzieć się o nazwisko. Król roskoszował się naturą i cudami które stworzył; odtąd więc wszelkie dworskie na lato widowiska w Łazienkach się odbywały: teatr grano i na lądzie i na wyspie, i częste koncerta miały miejsce w sali chińskiéj.

W roku 1786 wystawił król tutaj w Łazienkach osobny teatr czyli pomarańczarnią. Plersch przyozdobił salę teatralną dekoracyami.

W roku 1788, postawiwszy pomnik Janowi trzeciemu tratującemu Turków, za kanałem naprzeciw pałacu, król wyprawił na cześć jego świetny karuzel, o którym wiele w swoim czasie było gadania, a niedawno w naszych czasach pisaniny. Po rycersku, średniowiecznym obyczajem, gonili tutaj na ostre młodzi kawalerowie, a damy, jako boginie piękności, rozdzielały pomiędzy walecznych rycerskie nagrody. Ostatni świetny teatr jaki grano w Łazienkach był w dzień ostatniéj rocznicy elekcyi króla, którą także po raz ostatni obchodzono w Warszawie (7 września 1793 r). Grano wtedy balet Kleopatrę.

Upadał pałac łazienkowski razem z tym, który cał jego stanowił życie, to jest razem z królem Stanisławem. Kiedy Poniatowski, złożywszy koronę, mieszkał w Grodnie, w Łazienkach zastępował go zupełnie Onufry Kicki. Pomiędzy nim a królem było wiele, bardzo wiele serdeczności, a nawet pokrewieństwo przypadkowe z sobą ich łączyło; koniuszy miał bowiem za żonę wojewodziankę płocką Szydłowską, rodzoną siostrę tajnéj żony Stanisława Augusta, pani generałowéj Grabowskiéj. Ale więcéj niż te związki rodzinne, spółczucie jakieś, wzajemny pociąg ku sobie, pana i sługę połączyły. Kicki był marszałkiem dworu królewskiego, to jest najbliższym z urzędu powiernikiem, stróżem osoby pańskiéj, a więcéj jak to wszystko, był prawdziwym przyjacielem Stanisława Augusta, bo gotowym dla niego nawet na poświęcenie się, czego dawał częste dowody w owych czasach, kiedy gospodarzył sam w Łazienkach. Król zaplątał się w okropne przesilenie finansowe, i ani sposób było wybrnąć z niego. Kicki dniem i nocą pracował, przemyślał, żeby panu ciężkich trosk ulżyć. Złośliwi ludzie korzystali z tego nieprzyjemnego stanu rzeczy i plotkami swojemi zachwiewali kredyt. Nie myślał np. król o sprzedaży Łazienek, swojéj własności prywatnéj, a tymczasem latały pogłoski po mieście, że Łazienki będą wystawione na sprzedaż. Niemiłe

to były rzeczy królowi, bo pokazywały mu na oczy upadłą jego wielkość, bo to już ostatkiem niezawodnie się goniło, kiedy z musu marnować na teraz przychodziło tyle nakładów, i sprzedawać pałac zbudowany z takiemi trudami, jedyną pamiątkę królowania w Warszawie.

Tém przykrzejsze były królowi takie pogróżki, że w nich z początku nic a nic prawdy nie było. Jednak powtórzyły wieści o sprzedaży Łazienek i gazety zagraniczne. Kicki, dla uspokojenia pana, postarał się, że zaraz te wieści w gazecie francuzkiéj i berlińskiéj odwołano, tak iż król po chwilowém zmartwieniu doznał prawdziwéj radości, kiedy dostał gazetę berlińską. Podobnież złośliwe wieści roznoszono i o zamku królewskim. Ale Stanisław August owszem z Grodna jeszcze upiększał swoje Łazienki. W jednym z listów jego do Watsona kontrolera kassy swojéj, mieszkającego wtedy w Warszawie, (listów tych łaskawie nam do przejrzenia pozwolił, półkownik Hauke, krewny Watsona) czytamy następne rozporządzenie, którego tutaj treść przywodzim. „Gdybyś mógł, pisze król do Watsona, uskrobać z jakie 100 złotych z wydatków, byłbym ci bardzo wdzięczny, oddałbyś je Baciarellemu na prędką reperacyą wód łazienkowskich, która im późniéj nastąpi, tém więcéj kosztów za sobą pociągnie; a jeżeli nie możesz uskrobać co, pisze daléj król, to przynajmniéj awansuj co będziesz mógł.” Zdaje się że król myślał wtedy nawet o powrocie do Łazienek. Stanisław August cieszył się w Grodnie każdą wieścią o Łazienkach. Był wtenczas ogrodnikiem w parku niejaki Tytz. Córka jego poświęcała się wyłącznie jedwabnictwu i słynęła z tego w Warszawie. Późno już wzięła się do tego, tak że król osobiście za postępem jéj sprawy śledzić nie mógł; lecz jakież było jego zdumienie, gdy nagle w podarunku dostał od ogrodniczki próbkę delikatną własnego jedwabiu, którego się ze swoich robaczków doczekała. Król uradowany posłał jéj za to w podarunku prezencik piękny (w sierp. 1795). I ten szczegół mamy z listów Watsona. Z parkiem łazienkowskim otwiera się historya jedwabnictwa polskiego.

Pod naczelnym kierunkiem Kickiego, rządził w pałacu królewskim, jak widzieliśmy, Baciarelli, który stale mieszkał w Warszawie i majątku pańskiego pilnował, bo Kickiemu jeździć często przychodziło. Król, który honorowie płacił długi i miał skrupuł sumienia korzystać z prywatnego dobra, na ręce Baciarellego nadesłał 50 dukatów wynagrodzenia księżom karmelitom bosym, za wodę z Szop, „bo bez tego z Łazienek byłoby bagno” pisał król do swego nadwornego malarza (we wrześniu 1795). Posyłka ta 50 dukatów miała związek z ową reperacyą wód łazienkowskich, na które Watson miał awansować pieniądze.

Król umarł, a Kicki wciąż jeszcze gospodarzył w Łazienkach. Przyjmował tutaj w pałacu Stanisława Augusta królestwa pruskich, którzy odebrawszy hołd od stanów księstwa, piérwszy raz do Warszawy zjechali (w roku 1798). Był wtedy świetny bal w Łazienkach na przyjęcie króla i królowéj; bo Kicki ustąpił na ten cel pałacu, za wiedzą księcia Józefa, nowego dziedzica Łazienek, który był zresztą jeneralnym spadkobiercą Stanisława Augusta. Straciły wiele Łazienki na téj przemianie pana, bo książę niebardzo się zachwycał swoim zamiejskim pałacykiem, i kiedy mieszkał w Warszawie, ciągle siedział w pałacu *pod blachą*. Tam ściągał wybór towarzystwa za czasów pruskich; a potém, zajęty to organizacyą wojska, to sprawami rządu, to wreszcie wyprawami rycerskiemi, ani miał czas myśléć o swoich Łazienkach. Pożyczał jednakże ze wszelką gościnnością pałacu każdemu kto go o to prosił. Wyższe towarzystwo, które ton nadawało dawnéj stolicy polskiéj za czasów pruskich, a które dosyć liczne było, nie miało się gdzie bawić po za granicami miasta. Kilka tylko domów w okolicy posiadało pałace, które stały otworem dla towarzystwa, ale nie każdy był tyle szczęśliwy, żeby miał pod samemi murami Warszawy taki np. Willanów. Ztąd zamiejskie wycieczki na śniadania, obiady, podwieczorki, zabawy opierały się wtedy zwykle o Łazienki. Kochał się kto, a chciał ulubionéj swojéj małą wyprawić niespodziankę: zapraszał cały ton wyższy do Łazienek. Imieniny kto chciał obchodzić jakiéj osoby poważnéj, zasługującéj na powszechny szacunek: gości swoich zapraszał także do Łazienek. Kobiéty stroiły się naturalnie w co miały najdroższego, a mężczyzni ubiegali się wtedy na wyścigi o względy kobiét, i jeden drugiego chciał zaćmić. Jechało się na te wycieczki do Łazienek rozmaicie, stosownie do zaproszenia i stosownie do tego czém kto raczył w pałacu, śniadaniem lub obiadem. Ale biesiada zwykle trwała długo. Na śniadanie np. goście zjeżdżali się o drugiéj w południe, a rozjeżdżali się o dziesiątéj wieczorem. Obfitość była

wszystkiego i uczta zaimprowizowana wydawała się nieźle. Kobiétom zwykle grzeczny gospodarz rozdawał bukiety, które poprzednio zamawiał u ogrodników. Sławne były biesiady już pod koniec czasów pruskich wyprawiane w Łazienkach dla panien Kickich (1806).

Stary marszałek królewski Onufry żył jeszcze, i raz wraz o Kickich słychać w Łazienkach. Dwie były podówczas siostry w Warszawie tego nazwiska: w jednéj z nich kochał się Uryski, młody elegant i bogacz, który umiał około siebie, kiedy tego była potrzeba, roztaczać przepych; w drugiéj zaś kochał się młody książę Jabłonowski. Zawsze po takich ucztach i wycieczkach dużo było gadek i opowiadań w Warszawie, dużo było i przed zabawą, kiedy mówiono o niéj jeszcze jako o projekcie. Potém jedna z tych Kickich poszła za księcia Sułkowskiego, sławnego jenerała wojsk warszawskich. Jak panną będąc odbierała hołdy od swoich czcicieli, tak teraz, wielką zostawszy panią, nieraz gospodarzyła w zebraniach łazienkowskich. Już wtenczas książę Józef nieżył.

Czasami poezya uświęcała tutejsze pikniki: Molski układał wiérsze dla pani Zofii Zamojskiéj, któréj dawał w Łazienkach piękny, jak mówiono, festyn Bieńkowski sędzia apellacyjny, potém kasztelan. Molskiego wiérsze wystarczały potrzebie ówczesnego poezyą zajmującego się świata. Czasy się zmieniały. Solenizantkę otaczało grono przyjacielskie, w którém i obce jéj zupełnie znajdowały się osoby (1814).

Książę Józef testamentem przekazał Łazienki dla rodzonéj siostry swojéj, Teressy Tyszkiewiczowéj, któréj mąż Wincenty był za czasów polskich referendarzem litewskim. Testament ten spisany był dnia 28 marca 1812, przed wojną rossyjską. Kiedy się uspokoiło na świecie, a burze ucichły, pani Teressa nie chciała trzymać na barkach swoich świetnego ciężaru, który jéj nic nie przynosił. Dlatego sprzedała piękne Łazienki z gruntami, pałacem, ze wszystkiemi sprzętami, i ruchomościami, obrazami, rzeźbami, z przyległemi budowlami i ogrodem NAJJAŚNIEJSZEMU CESARZOWI WSZECH ROSSYI ALEKSANDROWI I., za summę: milion ośmdziesiąt tysięcy złotych polskich. Kontrakt spisany był na dniu 15 października 1817 r. Stary Onufry Kicki, który za czasów księstwa był kasztelanem, a świeżo wtedy został wojewodą królestwa polskiego, przeżył niewiele czasu tę sprzedaż; umarł albowiem w czasie piérwszego sejmu, dnia 10 kwietnia 1818 roku w Warszawie.

Poniatowscy więc posiadali Łazienki przez pół wieku (lat 53, 1764—1817). Z tych lat pięćdziesięciu najdłużéj tytuł własności miał król Stanisław (lat 34), krócéj książę Józef (lat 15), najkrócéj zaś siostra księcia Józefa, pani Tyszkiewiczowa (lat 4).

Julian Bartoszewicz.

CZERWONE SKÓRY.

(Wyjątek z dziennika podróży).

Za każdym razem gdy, będąc w Ameryce, mówiłem o łagodności i prostoduszności Indyan, przytaczano mi przykłady barbarzyńskich postępków z ich strony, nawet względem ludzi z któremi byli w przyjaznych stosunkach. Zapewniano mnie że ich okrucieństwo skierowane jest szczególniéj ku bialym handlującym futrami, a teatrem ich rozbojów są okolice Saint-Louis, głównego ogniska zamiany towarów. Kiedym chwalił powierzchowną ich piękność, przyjaciele moi ukazywali mi dzikich biegających po ulicach miasta, tłum istot rzeczywiście godnych politowania, bezkształtnych i nieporządnych. Wyobraźnia moja przedstawiała sobie ich strój malowniczym, oryginalnym, a wzrok nie spotykał nic prócz widoku brudnych łachmanów.

Teraz tylko pomiędzy pokoleniami nie mającemi żadnéj styczności z białemi i mieszkającemi w głębi pustyń dają się jeszcze spotykać ślady pierwotnéj oryginalności i piękności fizycznéj, tak poetycznie przedstawianéj przez tylu pisarzów.

W każdym razie mogę zaręczyć, że pierwotnéj prostoty przypisywanéj Indyanom amerykańskim teraz niéma nawet i śladu, jeśli ona rzeczywiście kiedy istniała. W naszych czasach piją porządnie wódkę, czasem nawet aż do utraty zmysłów; okru-

cieństwa zaś ich i dzikości przytoczę zaraz jeden przykład. Zdaje mi się że o podobnym wypadku wspomina w swoich pismach Washington Irwing, który tak dokładnie zbadał obyczaje Indyan i po mistrzowsku opisuje ich swém żywém i biegłém piórem.

Saint-Louis, jak to już wyżéj powiedziałem, jest ogniskiem handlu futrzanego. Indyanie przynoszą tu skóry i zamieniają je na rozmaite przedmioty, szczególniéj zaś na gorące napoje, tytuń i t. p. Futra są jedyném źródłem ich bogactwa, i dlatego dzicy ustanowili jakiś rodzaj nadzoru celnego nad białemi którzy odważają się puszczać w ich stronach na polowanie. Systemat ich zależy na tém, aby bez litości zabijać myśliwców przyswajających sobie prawo polowania, które według nich wyłącznie należy do Czerwonych skór. Pomimo to jednak w lasach ukazują się niekiedy ludzie odważni, gardzący wszelkiemi niebezpieczeństwami. Do liczby ich należalo dwóch przyjaciół, Daniel i Dawison.

Pewnego rana płynęli oni z biegiem rzéki Canzas, jednéj z licznych odnóg Missisippi, z zamiarem zdjęcia zastawionych w poprzedzającym dniu sieci. Rzéka w tém miejscu była dosyć wązka, a kręte jéj brzegi porosłe wysoką trawą i olbrzymiemi drzewami, za któremi ukryć się mogła cała horda Indyan, nie będąc sama widzianą. Tylko ostry słuch naszych odważnych myśliwców mógł odróżnić kroki ludzi od stąpania zwierząt.

Prawie trzy kwandranse płynęli w dół rzéki, nie słysząc nic coby zasługiwało na uwagę i ciesząc się z uniknienia Indyan. Już dosięgali prawie celu swojéj wycieczki, gdy nagle Daniel przestał robić wiosłem, i wychyliwszy się z łódki, zaczął się przysłuchiwać.

— Co to? zapytał Dawison.

W tamtéj stronie, odrzekł Daniel, wskazując na lewy brzeg rzéki pokryty lasem, słyszałem kroki i szelest w trawie.

I pochwyciwszy za wiosło, skierował pirogę na środek rzéki.

— Głupstwo! rzekł Dawison, tyś jeszcze fryc w naszém rzemiośle. Gotów jestem założyć się że to łoś, co chce się zapoznać z lufami naszych karabinów. To rzekłszy, wziął strzelbę do ręki.

— A ja ci powiadam że to Indyanie, odpowiedział Daniel, dosięgając środka rzéki.

Nagle w tém samém miejscu które Daniel pokazywał rozległo się straszne wycie, i około cztérdziestu Indyan wysypało się z pomiędzy krzaków z naciągniętemi łukami i strzałami wymierzonemi w naszych myśliwców

— A co, nie mówiłem? zawołał Daniel drżący i blady. Cóż teraz począć?

— Dobijaj do brzegu, odpowiedział Dawison. Jeśli zechcemy uciekać, to będą do nas strzelać jak do celu, i w dwie minuty naszpikują nas strzałami.

— Jeśli wysiądziemy, to nas także zabiją, odparł Daniel, a z dwóch rodzajów śmierci...

— To muszą być Black-Fith'y wracający z Saint-Louis, przerwał Dawison; znam język tego plemienia i może przekonam ich że nie jesteśmy ich nieprzyjaciołmi. Przynajmniéj niéma innego środka ocalenia.

Podczas gdy nasi myśliwcy tak rozmawiali, Indyanie dawali im znaki aby przybili do brzegu, a gdy Daniel, pomimo rady Dawisona, nie przestawał robić wiosłem, jedna strzała świsnęła mu koło uszu, a druga trafiła go w sam środek pleców. Nieszczęsny wydał bolesny krzyk i upadł na dno łódki. Wtedy Dawison wziął wiosło i przybił do brzegu. Indyanie pochwycili go w mgnieniu oka, i pomimo zapewnień przyjaźni, związali mu ręce. Co zaś do biédnego Daniela, który oblany krwią leżał w łódce, podnieśli go i rzucili w rzekę, gdzie po kilku bezskutecznych usiłowaniach wydostania się na brzeg, znalazł grób dla siebie.

Dawison, świadek tego barbarzyńskiego postępku, domyślił się jaki go los czeka.

Zauważył jednakze iż Indyanie niewprzód rzucili Daniela do rzeki, aż po baczném obejrzeniu jego rany, i z tego wyprowadził wniosek iż dlatego tak okrutnie postąpili z nieszczęśliwym, że byłby im ciężarem w podróży na północ, ku podnóżu gór Skalistych.

Dwóch Indyan wzięło jeńca na ramiona i zaniosło o dwieście lub trzysta kroków w głąb' lasu, gdzie w obszernym wąwozie był ich obóz. Rzucono go u nóg wodza, nazwiskiem Stu-Miks-o-Suks (tłustość z garbu bawoła), niedbale siedzącego przed wigwamem i palącego fajkę z ociężałością mieszkańca Wschodu.

Wysłuchawszy opowiadania o pochwyceniu Dawisona, Stu-Miks-o-Suks pomyślił z minutę, a potém wstawszy tak spojrzał na jeńca, że go mróz przeszedł po całém ciele.

Dawison wszakże, znając zwyczaje Czerwonych-skór, powziął niejaką nadzieję ocalenia z téj

okoliczności, że natychmiast nie przeznaczono go na ofiarę; bo rzeczywiście cóż przeszkadzało wodzowi wziąć tomahawk i w jednéj chwili zakończyć sprawę.

— Lecz może to tylko odwłoka, pomyślił jeniec;—ha, w podobném położeniu dobra i odwłoka.

Potém, nieokazując żadnego pomięszania, Dawison pewnym głosem zaczął znowu przekonywać wodza indyjskiego o swéj przyjaźni dla jego pokolenia.

Wódz, spojrzawszy nań z uwagą, wszedł do wigwamu, a za nim główniejsi wojownicy w liczbie dwunastu. Pozostali, usiadłszy w kuczki, otoczyli kołem jeńca siedzącego również na ziemi z mocno skrępowanemi rękami.

Za kwadrans wódz wyszedł z wigwamu, przystrojony w najparadniejszy ubiór.

Ubiór ten składał się z tuniki ze skór łosiowych, na szwach ozdobionéj różnokolorowemi sznurkami; u dołu jéj wisiały nakształt franzli włosy zdobyte w różnych walkach na nieprzyjaciołach przez Stu-Miks-o-Suks'a. Na wiérzchu miał płaszcz ze skóry bawoléj. Mokassiny, również z łosiowéj skóry, ozdobione były tak jak i tunika włosami nieprzyjaciół. Głowę pokrywał rodzaj hełmu z futra gronostajowego, z dwoma bawolemi rogami, przywilej służący wyłącznie najwaleczniejszym z walecznych; u pasa wisiało z pół tuzina nagich czaszek. W prawym ręku trzymał włócznią od 10 do 12 stóp długą, u któréj zawieszone były dwa worki ze skór zwierzęcych. Te tajemnicze worki mają wielkie znaczenie w życiu Indyan.

Indyanie są nader zabobonni; tajemniczość jest główną osnową ich życia. Każdy téż z nich posiada swój talizman. Składa się on ze skóry jakiego zwierzęcia czworonożnego, ptaka lub płazu, i bywa przystrajanym tysiącem fantastycznych ozdób. Indyanie wielką cześć oddają téj *tajemnicy*, obchodzą na jéj uczczenie oddzielne święta, i karzą się bez litości jeśli w swojém mniemaniu czém ją obrazili.

Nabycie takiego worka jest jedną z ważniejszych epok w życiu Indyanina. Chłopiec po dojściu trzynastu lat opuszcza wigwam ojca, i wyszukawszy jakie samotne ustronie, pości i wznosi myśli do Wielkiego Ducha. To trwa tak długo, póki nie ujrzy we śnie jakiego zwierzęcia, ptaka lub płazu, obrońcy swego przez całe życie, który mu nadać ma siłę i męztwo w bitwach i doprowadzić go po śmierci na wielkie łowy w przyszłém życiu.

Przebudziwszy się, chłopiec bierze broń, puszcza się w drogę i nieprędzéj wraca do domu, aż po zdobyciu skóry z widzianego we śnie stworzenia.

Taki talizman nabywa się raz tylko w życiu. Dlatego téż Indyanin broni go do ostatniéj kropli krwi, tak jak żołnierz europejski swojéj chorągwi; gdy zaś worek dostanie się w ręce nieprzyjaciół, wtedy przepada dobra sława wojownika, i chociażby był najwaleczniejszym, wytykają go palcem jako człowieka bez talizmanu. Dobrą sławę powrócić sobie może tylko zdobyciem takiegoż worka na nieprzyjacielu.

Tak więc Stu-Miks-o-Suks trzymał w prawéj ręce włócznią z dwoma workami, z których jeden był trofeem wojennym i należał kiedyś do wodza nieprzyjacielskiego. W lewéj ręce trzymał fajkę na sążniowym cybuchu, okręconym różnokolorowym jedwabiem i piórami. Fajka, wyrobiona z miękkiego kamienia, wyobrażała człowieka siedzącego w kuczki, ze zdjętą czaszką; w wydrążoną głowę nakładało się tytuń. Był to wyrób Stu-Miks-o-Suks'a, a kamień pochodził ze świętéj kopalni, gdzie Indyanie zbierają się na modły, i gdzie, według praw Wielkiego Ducha, nawet nieprzyjaciele powinni się z sobą obchodzić po przyjacielsku.

Widząc że Indyanin wyszedł z wigwamu w paradnym stroju i orszaku wojowników, Dawison domyślił się że los jego zostanie rozstrzygniętym na walnéj naradzie, któréj wyroki bywają bezzwłocznie wykonywane.

Wódz usiadł przy wchodzie do wigwamu i zapalił fajkę. Zaciągnąwszy się, wypuścił dym najprzód w górę ku niebu i ku ziemi, a potém na cztéry strony widokręgu.

Sąd się rozpoczął. Biédny myśliwiec zrozumiał tyle, że zguba jego nieodzownie była postanowioną, i że już tylko rodzaj śmierci stanowił przedmiot narady.

Stu-Miks-o-Suks wysłuchał zdania wszystkich, poczém zbliżył się do Dawisona i rozwiązał krępujące go sznury.

— Życie twoje w moich rękach, rzekł, lecz za to żeś usłuchał rozkazu i przybił do brzegu, podam ci jeszcze jeden środek ocalenia.

— Dziękuję, odpowiedział Dawison, niech ci Wielki Duch wynagrodzi.

— Według zwyczaju naszego pokolenia będziesz przedstawiony rodzinom. Jeśli cię która z nich przyjmie za syna, lub jeśli dziewica jaka

wybierze cię na męża, życie twoje ocalone, jeśli zaś nie, musisz umrzéć.

— Zgoda, przerwał Dawison.

— Tu tylko część pokolenia naszego zebrana, mówił daléj Indyanin, więc sprawa ta będzie rozstrzygniętą we wsi do któréj udasz się z nami.

W godzinę obóz był zwinięty i pięćdziesięciu składających go Indyan puściło się w drogę. Psy, konie i kobiéty, wszyscy mieli część pakunku do dźwigania; mężczyźni bowiem tylko broń nieśli. Do boków koni poprzyczepiano długie drągi służące namiotom za podpory; drągi te połączono poprzecznemi kijami, i na tym pokładzie umieszczono sprzęty, żywność i t. p. rzeczy. Tu także dzieci miały swoje schronienie. Cała karawana podobną była do obozu cyganów zmieniających koczowisko; konie kolejno prowadziły kobiéty, a po obudwu stronach karawany biegły psy, również objuczone drobniejszemi przedmiotami.

Dawisona umieszczono w środku karawany i obarczono takim ciężarem, że ani mógł pomyśléć o ucieczce. Na noc, dla większéj pewności, wiązano mu ręce i nogi.

Tym sposobem gromada Indyan podróżowała dni kilka, to przerzynając rozległe równiny, to trzymając się brzegu Missuri, aż nareszcie dotarła do wzgórza zwanego mogiłą Czarnego Ptaka.

Dawison, który nigdy nie zapuszczał się tak daleko na zachód, z jednego zadziwienia wpadał w drugie, i byłby nawet bardzo uradowany tą podróżą, gdyby nie myśl o tém co go czekało po przybyciu na miejsce. Wszedłszy na szczyt mogiły Czarnego Ptaka, nie mógł się wstrzymać od wykrzyku podziwienia.

Miejsce to jest punktem odpoczynku dla wszystkich podróżnych, tak Białych jak Czerwonych: tamci zatrzymują się w niém dla odpoczynku i nasycenia się zachwycającym widokiem, ci dla uczczenia szczątków spoczywającego tu wojownika.

Rzeczywiście na szczycie tego wzgórza pochowany został znakomity wódz pokolenia Omahaws'ów, zwany Czarnym Ptakiem, zkąd i wzgórze otrzymało tę samę nazwę. Mogiła ta usypaną została przed 30 laty. Czarny Ptak, w powrocie z Washingtonu, zachorował tu na ospę, i umierając objawił życzenie żeby go pochowano w tém miejscu, chociaż wieś należąca do pokolenia Omahaws'ów odległą jest ztąd tylko o mil dwanaście.

Według rozporządzenia swego Czarny Ptak pochowany został siedzący na swym ulubionym koniu, ubrany w najbogatszą odzież; u pasa miał zawieszone zdobyte czupryny nieprzyjaciół, w ręku łuk, a na plecach kołczan i tarczę. Nie zapomniano również o jego talizmanie i fajce, przedmiotach które każdy Indyanin musi wziąć z sobą do grobu.

Mogiła ta, którą widać o trzy mile naokoło, służy podróżnym za drogowskaz.

Dawison wdzięcznym był prawie Indyanom za sprawioną mu przyjemność; lecz jeszcze tego samego wieczora o mało drogo za nią nie zapłacił, i winien był tylko szczególnym względom wodza indyjskiego, iż nie padł ofiarą wściekłości dzikich wojowników.

Indyanie, opuściwszy mogiłę, około godziny postępowali płaszczyzną, na któréj wysoka trawa zakrywała jeźdźców i konie.

Szli krętą ścieżką wijącą się po pustyni, pomiędzy stadami bawołów i łosi, gdy nagle sześciu Indyan tworzących straż przednią zawróciło napowrót, i przybiegłszy do wodza, zaczęli mu coś opowiadać z wielką żywością. Ten zsiadł z konia i przyłożywszy ucho do ziemi zaczął słuchać, poczém rzekł do wojowników:

— Tentent koni przebudził ducha ognistego!

Wszyscy niespokojny i zapalczywy wzrok skierowali na Dawisona, a jeden z Indyan, pochwyciwszy za tomahawk, z gniewem krzyknął:

— Przeklęta Blada-twarzy! tyś to przebudził ducha!

Obecność Dawisona nie podobała się Czerwonym-skórom; nie byli oni bardzo kontenci z wyrozumiałości swojego wodza. Słowa wojownika obudziły ich wściekłość, i tylko energiczna obrona Stu-Miks-o-Suks'a mogła zachować jeńca od zguby.

— Stójcie! zawołał wódz, jeszcze dość czasu na odebranie mu życia gdy ogień nas będzie doganiał; lecz ufam że nas obroni „duch walecznego."

Wskoczył na konia, a cały tabor, idąc za jego przykładem, puścił się lotem wichru po równinie. Przebywszy jéj całą szerokość, dopadli do mogiły górującéj nad miejscowością i weszli na jéj wierzchołek.

Podczas gdy Indyanie dosięgali tego bezpiecznego od pożaru miejsca, wódz pozostał z Dawisonem u stóp wzgórza. Rozsunął wysoką trawę i znowu przyległ na ziemi, przysłuchując się oddalonemu szumowi.

— Słuchaj Biały, rzekł do jeńca, to ty przebudziłeś ognistego ducha; wiatr dyszy jego nozdrza-

mi. Patrz na tę małą chmurkę, która kręcąc się bieży nad płaszczyzną: to ogień przezeń zesłany! Lecz twoje szczęście że jesteśmy już bezpieczni, w przeciwnym bowiem razie najmniejszy wypadek przypłaciłbyś życiem. Duch nię lubi ludzi waszego plemienia; dwanaście księżyców temu, jak w tém samém miejscu nieszczęście spotkało syna Wa-Czu-Tona i jego wojowników, z przyczyny jednéj Bladéj twarzy która była z niemi.

To rzekłszy, Indyanin połączył się ze swemi na wierzchołku wzgórza, a w téj saméj chwili szum jakby wzburzonego potoku zaczął się przybliżać. Głuszce stadami zrywały się i ulatywały daléj, stada dzikich kóz przebiegały szybko jak strzała. Wkrótce z pośrodka gęstego tumanu zabłysły ogniste bałwany, a od jednego do drugiego końca płaszczyzny unosiła się czarna chmura dymu, wspaniale rozścielając się nad morzem ognistém.

Dawison piérwszy raz w życiu widział ów straszny, a razem wspaniały, widok pożaru pustyni, tak pięknie opisany przez Fenimora Cooper.

Różne bywają powody takich wypadków. Czasem przyczyną ich są Biali, czasem Indyanie, a często piorun lub inny jaki działacz naturalny. Jeśli pożar ma miejsce na początku wiosny, to powodem jego są niezawodnie Indyanie, mający w tém dwojaki cel: dostarczenie koniom świéżéj trawy i utorowanie sobie wygodniejszéj drogi.

Płomień, pędzony od wiatru, ogarnia trawę tak szybko, że czasem dogania Indyanina, uciekającego na najlepszym biegunie. Rzeczywiście bieg płomienia nie jest tak szybki jak konia; lecz trzeba mieć na uwadze że uciekającemu bardzo przeszkadza gęsta, wysoka trawa. Jeśli wypadkiem w tym biegu napotka jeźdzca dym zwykle niosący się przed ogniem, wtedy przestraszony koń nagle się zatrzymuje, i płomień pochwyca go z jeźdzcem w swoje objęcia.

Po ugaśnięciu pożaru Indyanie puścili się znowu w drogę, i po długiéj nużącéj podróży Dawison przybył do siedziby swych nieprzyjaciół.

Wieś zbudowana była pośród obszernéj płaszczyzny, na wzgórzu oblaném z trzech stron rzeką, a z czwartéj bronionym silną palisadą. Wioska ta przedstawiała dziwny widok: chaty skupione jedna przy drugiéj zbudowane były częścią z drzewa, częścią zaś z gliny; dachy ich miały podobieństwo do płaskich kopuł, i w czasie pogody służyły za miejsce zebrania rodzin. Nad wejściem do wigwamu wisiały czaszki zabitych na wojnie nieprzyjaciół, a po bokach na długich drągach powiewały bawole skóry, kawałki sukna lub jakiéj innéj tkaniny; były to ofiary składane Wielkiemu Duchowi. Wnętrze chat łączyło wygodę z pewnym nawet zbytkiem; łóżka miały firanki, a przy każdém z nich na wysokiéj żerdzi zawieszone były w porządku talizmany, broń, fajki i t. p.

Chaty Indyan, jakkolwiek powierzchownie jednéj formy, nie są jednak zupełnie do siebie podobne. Niektórzy budują wigwamy nakształt namiotów ze skór bawolich pozszywanych z sobą i rozpiętych na drągach. Wysokość takiego namiotu, mającego u wierzchu otwór do wypuszczania dymu i wpuszczania światła, wynosi około dwudziestu pięciu stóp. Najlepsze mieszkania buduje pokolenie Krowsów. Wybiérają oni na ten cel najbielsze skóry, i zdobią je jedwabiem, różnokolorowemi piórami i innemi jaskrawemi przedmiotami, co im nadaje pozór dosyć malowniczy. Wigwamy te bywają tak obszerne, że mogą w sobie pomieścić 40 osób; słupów używanych do nich na podpory dostarczają stuletnie drzewa z gór Skalistych. Na przedniéj ścianie umieszczone zwykle bywa wyobrażenie dobrego, a na tylnéj złego ducha.

Przybywszy na miejsce, Dawison był świadkiem zabobonnego obrzędu, którego następstw o mało znów życiem nie przypłacił. Od niejakiego czasu w okolicy téj panowała susza i groziła zupełném zniszczeniem zasiewów kukurydzy i pszenicy. Mędrcy, uradziwszy że trzeba wzywać dészczu, wszystkim mającym pretensyą do ważnéj godności czarnoksiężnika pozwolili robić próby swéj sztuki.

Obrzęd ten odbywał się w następującym sposobie. Każdy kandydat wchodził na dach świętego wigwamu, i poruszeniami, krzykiem, groźbą, słowem wszelkiemi środkami, starał się przywołać chmurę z któréj miał upaść dészcz dobroczynny. Na dokonanie tego cudu każdemu wyznaczono 24 godzin, a gdy po upływie tego czasu wezwania pozostały bezskuteczne, sława kandydata upadała i jego miejsce zajmował drugi. To trwało dopóty, dopóki dészcz nie upadł.

Przybycie wodza z Dawisonem przerwało na chwilę obrzęd, któremu Indyanie wierzą z całéj duszy. Wprzód miano rozstrzygnąć los więźnia.

Dawison był chłop pokaźny, z szeroką piersią i silnemi muskułami. I Europejka niebardzo by się wzdragała, gdyby go przyszło wziąć za męża, a témbardziéj nie mogła tego odmówić wybrana

przez niego dziewczyna indyjska. Winniśmy jednak nadmienić że Dawison był wybrednym w swych żądaniach. Wreszcie wybór jego padł na młodą dziewczynę zwaną Ba-Sti-Wa-Na (dziewica z pozłoconemi przez słońce włosami).

Dawison, pogodziwszy się z teraźniejszością, nie myślał o przyszłości. Wszelako wolność miał odzyskać dopiéro po zawarciu związków małżeńskich, które zostały odłożone aż do spadnięcia dészczu; tymczasem zaś przywiązano go do słupa wigwamu.

W pięć minut zaczął się znowu obrzęd przyzywania dészczu. Już przeszło tydzień szafirowe bezchmurne niebo napełniało wszystkich rospaczą, gdy wreszcie Wak-a-Da-Ha-Hu (grzywa białego bawołu) wszedł na dach świętego wigwamu, i w napuszonéj mowie usiłował przekonać słuchaczów, że on sam jeden jest w stanie góry rozwalić; poczém wypuścił na zachód kilka, jak utrzymywał, zaczarowanych strzał. Zdawało się że traf będzie mu przychylnym; na krańcu bowiem widokręgu ukazału się śnieżna chmurka, która nieznacznie się zbliżając rosła i stawała się gęstszą, a wkrótce dał się słyszéć huk podobny do odległego grzmotu. Tłum radosnie uderzył w dłonie, lecz za chwilę pokazało się że chmura była tylko dymem z parostatku płynącego po jednéj z rzek sąsiednich, a mniemany grzmot sprawiała maszyna parowa.

Czarnoksiężnik jednak utrzymywał że siła jego jest rzeczywistą, bo za jéj pomocą wyzwał, jeśli nie dészcz, to przynajmniéj łódź piorunową; tak Indyanie nazywają statek parowy.

Zresztą Wak-a-Da-Ha-Hu odniósł zupełny tryumf, téj saméj bowiem nocy upadł ulewny dészcz.

Na nieszczęście towarzyszyła mu straszna burza, i piorun zabił młodą narzeczoną Dawisona. Wszyscy jednozgodnie obwinili o to czarnoksiężnika, i ten już prawie gotów był wynagrodzić ojca dziewczyny za stratę trzema najlepszemi końmi, gdy nagle przyszła mu myśl zwalić całą winę na Dawisona.

— Ja przywołałem dészcz, a zatém jawny ztąd dowód przychylności dla mnie Wielkiego Ducha; skoro więc doznałem od niego takiéj łaski, nie jestem winien wydarzonemu nieszczęściu.

Dowodzenie takie trafiło do przekonania słuchaczów, będących świadkami pozornéj jego władzy nad pogodą i tajemniczych stosunków z Wielkim Duchem.

— Rzeczywistym winowajcą, mówił daléj tryumfujący magik, jest ta Blada-twarz. Obecność jego między nami przebudziła ognistego ducha na łąkach, a piorun zabił jego narzeczoną, na dowód że on nie powinien żyć między nami.

Takie zakończenie mowy zdawało się słuchaczom również słuszném jak jéj początek; groźne spojrzenia obecnych utkwiły się w Dawisona, a wieszczek odszedł dumnym krokiem, zadowolony z oszczędzenia swoich trzech koni.

Ze wszystkich stron rozległy się teraz przekleństwa. Biédny Dawison poznał że nikt nie udzieli mu pomocy, że już nie poradzi i sam wódz, który zresztą zdawał się nie miéć do tego żadnéj ochoty, gdyż natychmiast zebrał radę celem wybrania rodzaju śmierci dla białego jeńca. Kobiéty, które przed chwilą uśmiechały się do niego, teraz uciekały z przestrachem i wstrętem. Człowiek który sprowadził dla narzeczonéj śmierć przedwczesną nie był godzien w ich oczach żadnego współczucia. Dawison, rozciągniony na ziemi, był obecnym naradzie. Jedni wnosili aby z nim skończyć natychmiast uderzeniem tomahawku, drudzy aby go postawić w pewnéj odległości i strzelać do niego jak do celu. Ten rodzaj śmierci, często używany u Indyan, jednozgodnie został przyjęty.

Lecz wódz, pomyślawszy przez chwilę, powstał w milczeniu, zbliżył się do Dawisona, a rozwiązawszy krępujące go sznury, rzekł:

— Wstawaj!

Dawison wykonał rozkaz; wtedy wódz z wielką uwagą obejrzał jeńca, pomacał wszystkie jego muskuły, słowem odbył z nim prawdziwy kurs anatomii. Skończywszy, kiwnął głową na znak zadowolenia i uśmiéchnął się.

— Musisz dobrze biegać, rzekł do jeńca.

Ten zrozumiał myśl dzikiego. Znając zwyczaje Indyan, domyślił się że go będą szczuć, tak jak to Europejczycy robią z dzikiemi zwierzętami. Dawison z natury miał wiele zimnéj krwi; i w tém więc krytyczném położeniu nie stracił przytomności, lecz odrzekł bez wahania:

— Mylisz się, nie tęgo biegam.

— Przecieżeś silny, odrzekł wódz, kolana masz giętkie i pierś wysoką.

— Być może, odpowié Dawison, lecz oto przeszkoda do biegania,—i okazał bliznę od kuli w lewéj nodze.

— Więc cię wypuszczę naprzód, twoje szczęście jeśli uciekniesz.

I wziąwszy go za rękę, odszedł z nim jakie pięćdziesiąt kroków.

Dawison, poczuwszy że jest wolny, zaczął ze wszystkich sił uciekać.

Słysząc za sobą wycia przerażające, nie wątpił że go ściga cała horda dzikich.

Dawison nie biegł lecz leciał; sam dziwił się swojéj lekkości. Trzeba było przebiedz około półtoréj wersty po płaszczyźnie, aby się dostać do odnogi Missuri, którą miał nadzieję przepłynąć. Lecz czy zdąży ją dosięgnąć? Przebycie takiéj przestrzeni biegiem wytężonym zdawało mu się nad siły ludzkie. Na domiar nieszczęścia płaszczyzna pokrytą była kolczystemi roślinami, które za każdym krokiem kaleczyły mu nogi. Co chwila słyszał świst dolatujących go strzał, i zdawało mu się że już niemi jest naszpikowany. Nie chcąc utracić ani jednéj sekundy, nie śmiał się obejrzéć, bo każda chwila stanowiła o jego życiu.

Wreszcie krzyki Indyan zaczęły słabnąć, nadzieja wstąpiła w jego serce, i odważył się nakoniec rzucić okiem za siebie.

Tłum nieprzyjaciół pozostał w znacznéj odległości, i tylko najlepsi szybkobiegacze poprzedzali innych, wódz zaś był nie daléj jak o sto kroków; w ręku jego błyszczała długa włócznia, którą gotował się przeszyć Dawisona.

Nieszczęsny w rozpaczy wytężył wszystkie siły, krew lała mu się strumieniem z ust i nosa. Czém więcéj zbliżał się ku rzece, tém wyraźniéj słyszał kroki ścigającego. Obejrzawszy się jeszcze raz, zobaczył że nieprzyjaciel oddalony nie więcéj jak na pięćdziesiąt kroków. Postanowiwszy drogo przynajmniéj sprzedać swe życie, Dawison stanął.

Zdziwiony tym niespodzianym wypadkiem, Indyanin zatrzymał się, z zamiarem rzucenia włóczni na Dawisona, lecz nogi zaplątały mu się w roślinach, potknął się i upadł. Zebrawszy ostatek sił, Dawison jak lew rzucił się na niego, i nim zdążył powstać, pochwycił własną jego włócznią, przygwoździł go do ziemi i puścił się daléj.

Horacyusz nie mógł lepiéj sobie poradzić.

Przybiegłszy do umierającego wodza, Indyanie zatrzymali się na chwilę, wydając dzikie wycia. Dawison, korzystając z téj okoliczności, zdołał dobiedz do krzewów bawełnianych rosnących na brzegu rzeki, i przedarłszy się przez nie, skoczył w wodę. Wkrótce dopłynął do małéj wysepki, na któréj jednym krańcu drzewa naniesione pędem rzeki utworzyły rodzaj wału, daléj zaś poplątane gałęzie krzewów z olbrzymią trawą tworzyły nieprzeniknione dla oczu Indyan schronienie.

Zaledwie ukryć się zdążył, gdy na brzegu dały się słyszéć dzikie krzyki Indyan. Przez krzaki widział jak niektórzy ze ścigających go rzucili się w wodę i płynęli ku wysepce.

Po bezskuteczném szukaniu wrócili na brzeg i przepędzili tam resztę dnia, opłakując stratę wodza, którego ciało unieśli z sobą.

Za nadejściem nocy, gdy Indyanie zgasili ognie, Dawison wyszedł ze swego schronienia, rzucił się w rzekę, dopłynął do jéj środka i puścił się z biegiem wody. Gdy znaczna już przestrzeń oddzielała go od dzikich. postanowił wreszcie wyjść na brzeg.

Szybkim krokiem szedł noc całą, aby jeszcze więcéj oddalić się od miejsca które o mało co nie było widownią jego śmierci.

Na drugi dzień, upadając ze znużenia, zimna i głodu, doszedł do koczowiska myśliwców, którzy udzielili mu wszelkiéj pomocy.

Przywiedziony tu wypadek, któremu podobnych zdarza się bardzo wiele, nie jest przesadzonym lub nieprawdziwym. Przedstawia on rzetelnie obyczaje Indyan, o których smutnym losie tak wiele rozprawiają filantropowie, jak gdyby ludy oświecone nie powinny starać się wpłynąć na zniesienie barbarzyństwa, z przesadą przez niektórych nazywanego świętém prawem obrony swéj ziemi i narodowości!

Dawison odtąd wyrzekł się rzemiosła myśliwca.

Znajomi mu z téj przygody Indyanie spotykali go późniéj w Saint-Louis; lecz nie śmieli zemścić się na nim za śmierć swojego wodza.

PCHŁY ZIEMNE.

Pchły ziemne, charakteryzujące się łatwemi i szybkiemi skokami, oddzielono od rodzaju *Chrysomela*, ponieważ odróżniają się od innych gatunków tego rodzaju równowązkiemi mackami, znacznie grubszemi tylnemi udami i łatwością swych skoków; nadano im nazwisko rodzajowe *Haltica*. W nowszych czasach rodzaj ten podzielono na kilka, a nazwanie Haltica podniesiono do nazwania familii. Gatunków do tego rodzaju należących znajduje się około stu dziesięciu w Europie; odznaczają się ony drobnością, a gatunek na rycinie wyobrażony nie bywa dłuższy od 2 linij, pomimo, że należy do największych tego rodzaju.

Pchła ziemna żyjąca na winorośli (Graptodera vitis) figura 10—13, odznacza się pomiędzy innemi gatunkami swoją wielkością, niebieskawo-zieloną, metalicznie błyszczącą barwą, i zmarszczką idącą wpoprzek przed tylnym brzegiem tułuwu. Skrzydła tego owadu, uważane gołém okiem, zdają się być zupełnie gładkiemi, jednak patrząc przez lupkę dostrzegamy na nich mnóstwo drobnych bardzo i nieregularnie rozrzuconych punkcików.

Owad ten pierwotnie pochodzi z Hiszpanii, gdzie od najdawniejszych czasów znany pod nazwiskiem *Pulgon*, jest postrachem plantatorów winorośli. W roku 1819 okazał się ten gatunek po raz piérwszy we Francyi w winnicach parafii Gendres, w departamencie Hérault, zkąd rozszedł się po całéj południowéj Francyi. W Niemczech i w Polsce, o ile dotąd wiadomo, jeszcze się nie pokazał, jednakże hodownicy winorośli słusznie się obawiają że niezadługo przeniesie się on i do nich ze swemi spustoszeniami.

Gatunek ten pchły ziemnéj zimuje w stanie doskonałym w korze drzew, w szparach murów, i tym podobnych miejscach. W środku lub przy końcu kwietnia, skoro się powietrze tyle ociepli że się okazują pączki na winorośli, pchły ziemne opuszczają zimowe ukrycie i nagryzają wczesne pączki, w skutek czego takowe usychają, lub przynajmniéj zostają wstrzymane w swém rozwinięciu. Później utworzone pączki, będąc znacznie silniejszemi, nietyle cierpią od tych owadów, jednakże noszą na sobie ślady zniszczenia, będąc mocno podziurowionemi. Oprócz wczesnych pączków, owad ten rzuca się i na delikatne nieustrojone włoskami części winorośli.

W maju, mianowicie w piérwszéj jego połowie, samica znosi jaja i składa je na dolnéj powierzchni liścia w kupki, w liczbie od 8—50 sztuk (fig 1—3). Jaja te są mniéj więcéj pół linii długie, pięknego ochrowatego koloru, charakteryzujące się czarną plamką w środku. Po 8 lub 10 dniach wychodzą z jaj gąsienice, zostawiając skórkę bezfarbną z małym otworem. Liszka po wyjściu z jaja jest koloru ochrowatego, lecz po upływie dnia nabiera ciemniejszéj barwy i staje się brunatną. Następnie w przeciągu 15—20 dni, po dwukrotném zmienieniu skóry, dochodzi téj wielkości, jaką fig. 4 przedstawia. Na figurze 5 i 6 widziémy tęż gąsienicę w powiększeniu, ze strony grzbietu i brzucha. Przed każdém zrzuceniem skóry pozostaje przez kilka dni nieruchomą, a ogrodnicy uważają ją w tym stanie za nieżywą. Przy trzeciém wylenieniu wychodzi z okrycia jako poczwarka, pomarszczona skórka pozostaje na liściu, a poczwarka spada na ziemię. Jest ona (fig. 7—9) koloru ochrowatego i ma podobieństwo do ziarna zboża. W tym stanie pozostaje na ziemi, dopóki się nie zamieni w owad doskonały (fig. 10—13), co następuje po 8 lub 9 dniach.

Całe rozwijanie się tego owadu trwa od 30—35 dni. Liszki pojawiają się najobficiéj pod koniec maja i w piérwszych dniach czerwca, poczwarki od połowy czerwca do połowy lipca, a owad doskonały przez cały lipiec. W tym czasie niewiele już zrządzają szkody starym winoroślom, gdyż liście ich są tęgie i twarde; tém niebezpieczniejszemi jednak stają się dla młodych latorośli, których delikatne listeczki są dla nich przyjemném pożywieniem.

Owad ten po raz drugi znosi jaja od końca lipca do połowy sierpnia, tak że w piérwszych dniach września pojawia się druga generacya, kiedy właśnie, przy sprzyjających okolicznościach, i młode z piérwszego wylęgu znoszą także jaja, w skutek czego w późnéj jesieni okazuje się trzecia gene-

1

2

3

a

a

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

a

a

18

19

k

20

21

22

23

b

a

24

a

25

26

d

e

b

c

racya. Dwie ostatnie generacye mniéj są szkodliwe w tym samym roku, gdyż wtedy winorośl silnie już się rozwinęła.

Środki służące do wytępiania tych owadów jedne są naturalne, drugie sztuczne. Mniemanie że zmiany powietrza mogą przeszkodzić rozwijaniu się tych owadów nie może być zaprzeczoném, jednakże zbyt wielkiéj nadziei nie należy w tém pokładać, gdyż lubo wielu utrzymuje że wszystkie pchły ziemne po silnych mrozach zdychają, nie jest to jednak zupełnie dowiedzione, a w każdym razie spodziéwać się należy iż owady które przy życiu całą zimę pozostają, są zdolne przetrzymać mniéj znaczne zmiany temperatury. W żadnym przypadku ogrodnik nie powinien liczyć na powyższy środek, bo nim rozrządzać nie jest w stanie.

Do zwierząt wytępiających te owady mogą być policzone kaczki, które z chciwością zbiérają pchły ziemne; ale i ony nie wiele pomagają, bo zebrać mogą tylko nizko siedzące, i zresztą potrzebaby wielkiego stada aby małą winnicę mogły oczyścić.

Głównym nieprzyjacielem pcheł ziemnych jest modra pluskwa polna (Pentatoma coerulea) fig. 20 i 21. Owad ten żywi się na wiosnę pchłami ziemnemi, właśnie w tym czasie w którym ony są najszkodliwsze. Pluskwa chwyta przedniemi nogami pchłę ziemną, zapuszcza ryjek albo pomiędzy tułuw i odwłok, lub téż pomiędzy pierścienie odwłoku, wysysa z nich soki a pozostawia wysuszony owad. Fig. 22 przedstawia pluskwę polną wysysającą pchłę ziemną. Pluskwa ta znosi jaja w tym samym czasie co i pchła ziemna. Jaja jéj (fig. 17, a—e) łatwo można odróżnić od jaj pchły ziemnéj; są ony większe, regularniejsze, inaczéj ubarwione, a przy jednym końcu opatrzone obrączką rzęsowatą. Po 8—10 dniach gąsienica (fig. 18) opuszcza jaje, odwłok jéj jest koloru czerwonego, a tułuw niebieskawo-zielony. Jakkolwiek jest mała w tym stanie, jednakże żywi się wyłącznie tylko gąsienicami pcheł ziemnych, wylęgających się w tymże samym czasie (fig. 10), a ciało jéj z każdym dniem się powiększa. Po każdém zrzuceniu skóry coraz bardziéj zbliża się postacią do owadu doskonałego: na tylnym brzegu tułuwu wyrastają skrzydła, liczba stawów podymu czyli pazurków po każdém zrzuceniu skóry powiększa się, a cały owad nabiéra niebieskawo-zielonéj barwy. Podczas tego okresu żywi się jedynie gąsienicami i poczwarkami pcheł ziemnych. Z tego się okazuje jak korzystném jest dla ogrodników zajmujących się hodowaniem winorośli ochraniać te owady od wyniszczenia i używać takich środków do wytępiania pcheł ziemnych, przy którychby, o ile to być może, pluskwy były ochraniane. Toż samo stosuje się nietylko do tego gatunku pluskwy polnéj, lecz i do wszystkich należących do tego rodzaju, gdyż ony żywią się tylko owadami szkodliwemi, tamującemi bujne rozwijanie się roślin uprawianych.

Również zaciętego nieprzyjaciela posiada pchła ziemna w gatunku Gąsienniczka, bliżéj jeszcze nie poznanego. Ten bowiem znosi jaja swe w gąsienice i doskonałe owady pcheł ziemnych, a z nich wylęgające się liszki żywią się ich ciałem, przez co je zabijają.

Niewątpliwą jest rzeczą że owadożerne ptaki są główną tamą przeszkadzającą rozmnażaniu się nietylko tego, ale i innych owadów, i dlatego byłoby bardzo korzystném zakładać w około winnic gaiki.

Ze środków sztucznych zalecano odwary ostrych i cuchnących materyj, np. tytuniu, liści orzechów włoskich, bzu pospolitego i t. p. Środków tych używano z powodzeniem w ogrodach, lecz wątpić należy aby mogły być skutecznemi w winnicach. Używano także w ogrodach posypywania popiołem, sadzami lub polewania uryną, lecz i te środki trudno zastosować do winnic. Wapno gaszone może byłoby jeszcze najlepszém, gdyby zarazem rośliny od niego nie cierpiały; najskuteczniéj używać go wtenczas, kiedy poczwarki leżą na ziemi.

Wszystkie podane tu sztuczne środki mają tę wadę, że zarazem wyniszczają tyle pożyteczne pluskwy polne. Zalecane wykadzanie ostremi roślinami może być dobre dla pól obsianych rzepą i rzepakiem, ale nie w winnicach. Sadzenie pomiędzy winem takich roślin, które chętniéj bywają spożywane przez pchły ziemne aniżeli winorośl, byłoby nader korzystném, lecz na nieszczęście takich roślin nie znamy i znać zapewne nie będziemy. Najskuteczniejszym więc środkiem pozostanie staranne wyszukiwanie i chwytanie tych owadów. Odbywa się to najlepiéj w porze porannéj, gdyż owady wtedy są mniéj ruchliwemi niż w południe. Używa się w tym celu żelaznego lejka, jak fig. 23 i 24 przedstawia. Ma on w środku otwór opatrzony krótką rurką, do któréj przymocowany jest wo-

rek. Na boku lejka znajduje się wycięcie takiéj wielkości, aby się w nim pomieścił pień winorośli. Przy użyciu narzędzie to tak się ustawia, że pień wchodzi w wycięcie lejka, a drzewem się wstrząsa, przez co pchły opadają na lejek, a przez otwór do worka, z którego wyjść już nie mogą. Tego sposobu używa się na wiosnę, skoro tylko pączki okażą się na winorośli; potém w maju i czerwcu wyszukują się i palą liście pokryte jajkami pcheł ziemnych, poczwarki zaś z łatwością mogą być choć w części wygubiane przez przekopanie gruntu.

Figura 14 przedstawia nam inny owad *Bromius vitis*, który także w podobny sposób, lubo w mniejszym stopniu, zrządza zniszczenie w winnicach środkowych Niemiec (fig. 15 i 16). Owad ten nie skacze, i dlatego jeszcze łatwiéj daje się wyławiać.

KOMITET BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO

W SAN FRANCISCO.

Niezmierny napływ awanturników ze wszystkich części świata do złotodajnéj ziemi Kalifornii, rozpasane namiętności tylu ludzi goniących zdala od od kraju rodzinnego za zyskiem łatwym i pewnym w spodziéwaniu, ale zwodniczym często w rzeczywistości, musiały tam stworzyć i stworzyły społeczność zupełnie wyjątkową, nieujętą jeszcze w karby bezpieczeństwa prawnego, otwiérając tém samém rozległe pole dla zbrodni wszelkiego rodzaju. Stolica Kalifornii, San Francisco, stała się naturalnie ogniskiem gorączkowych tych zabiegów, a razem widownią najstraszniejszych występków, popełnianych przez motłoch wyuzdany, który wiedząc że wszystko ujdzie mu bezkarnie, korzystał z każdéj sposobności, aby kradzieżą, pożogą i morderstwem nieprawe zapewnić sobie zyski. Szczególniéj po wielkim pożarze z 3 na 4 maja 1851 r. bezczelność tych band rozbójniczych do najwyższego doszła stopnia, a obojętność władzy okazała się tak wielką, że obywatele podobnego stanu rzeczy znosić dłużéj nie mogli; bo rzeczywiście sprawa toczyła się już o to, czy nadal podpalacze i złodzieje, czy ludzie uczciwi i spokojni mają rej wodzić w mieście.

Pod przewodnictwem więc znakomitszych kupców i bankierów, jak Brannan, Argenti, James King, Macandray i inni, utworzył się w San Francisco komitet bezpieczeństwa publicznego, mający na celu dopomożenie władzy w utrzymaniu porządku prawnego, a w razie potrzeby samowolne nawet chwytanie, sądzenie i karanie złoczyńców.

W krótkim bardzo czasie komitet liczył przeszło ośmiuset członków, odbywających po dwa razy na tydzień ogólne posiedzenia, do których obcym wstęp był wzbroniony. Przyjmowano na członków wszystkich ludzi uczciwych, *z wyjątkiem adwokatów*. Wchodzący do towarzystwa obowiązywali się przez lat 50, czyli mniéj więcéj przez całe życie, majątkiem i osobą stawać jeden za wszystkich, i wszyscy za jednego.

Uformowano zaraz kompanie po dwudziestu ludzi z dowódzcą; patrole towarzystwa dniem i nocą krążyły po mieście; aresztowano i badano przestępców, a wszystko to z własnego upełnomocnienia, bez zdawania komubądź sprawy. Podejrzanych włóczęgów wezwano na piśmie, aby w przeciągu dni dziesięciu miasto opuścili. Wielu usłuchało wezwania, — resztę uwięziono i trzymano pod ścisłą strażą, a potém kosztem towarzystwa wywożono okrętami.

Odbyte po całém mieście przetrząsania wykryły mnóstwo kryjówek złodziejskich, i wkrótce cele więzienne, urządzone obok sali posiedzeń komitetu, w których mieszczono po 4—5 ludzi, były zapełnione. Strzegły ich we dnie jedna, a w nocy dwie kompanie straży.

Członkowie zarówno na wartę jak i na posiedzenia przybywali uzbrojeni; kto nie miał broni, otrzymywał ją kosztem ogólnym.

Komitet wykonawczy, złożony z członków stowarzyszenia, kierował przesłuchiwaniem więźniów, a komitet jeneralny, po przejrzeniu akt, uznawał ich niewinnemi lub winnemi i wymierzał kary.

Piérwszy akt sprawiedliwości towarzystwo wykonało na niejakim Jenkins, schwytanym na gorącym uczynku przy gwałtownéj kradzieży. Po-

nieważ w ciągu prowadzonego zeń śledztwa okazał się winnym innych jeszcze zbrodni, skazano go jednomyślnie na powieszenie. Godziną późniéj, o piérwszéj rano, wyrok został wykonany na placu publicznym. Policya wprawdzie usiłowała go odbić, ale odparto ją przemocą.

W sześć tygodni późniéj ta sama kara spotkała niejakiego Stuart, który w ciągu badania przyznał się do kilku morderstw i kradzieży. Tym razem wymierzono ją o godzinie drugiéj po południu, w obec kilkunastu tysięcy widzów.

Około pięciuset członków z nabitemi rowolwerami towarzyszyło zbrodniarzowi, i pomimo ponawianych usiłowań, policya nie zdołała przełamać ich szeregu, aż po spełnieniu wyroku.

Godną uwagi jest rzeczą że improwizowany ten trybunał posiadał sympatyą całéj ludności, tak dalece iż skoro dwukrotnie uderzono w dzwony, (co było znakiem dla członków że kwestya życia lub śmierci ma być na posiedzeniu roztrząsaną), wszyscy najemni woźnice pospieszali zaraz z wózkami swojemi przed gmach komitetu, aby go zasłonić nieprzebytym taborem i zapobiedz tym sposobem wszelkiemu wdaniu się władzy.

Komitet jeneralny rozesłał deputacye i do innych miast Kalifornii, w celu urządzenia tam komitetów posilkowych, co było koniecznem choćby dlatego, żeby zbiegłych winowajców chwytano po całym kraju i odstawiano do stolicy.

Zeznania Stuarta naprowadziły na ślad dwóch innych jeszcze zbrodniarzów, imieniem Whittaker i Mc. Kenzie, których również uwięziono. Śledztwo trwało przeszło cztéry tygodnie. W czasie tym szeryf przedstawił komitetowi akt *habeas corpus*, uzyskany od sądu przez jednego z adwokatów. Niepodobna było opierać się takiemu wezwaniu, bez otwartego już zerwania z wszelkim porządkiem prawnym, czego stowarzyszeni najstaranniéj unikali. Szczęściem atoli dowiedziano się wcześnie o kroku zamierzonym, i skutkiem tego przez parę dni obwożono więźniów, pod ścisłą strażą, w okolicach San Francisco.

Po przybyciu szeryfa, wpuszczono go do więzienia, lecz zaprzeczono bytności więźniów. Przejrzawszy więc cele, szeryf, razem z swym aktem *habeas corpus*, wyniosł się nic nie wskórawszy.

Nareszcie po ukończoném badaniu, które niejednę wykryło zbrodnią, obu winowajców skazano na powieszenie. W przeddzień egzekucyi gubernator Mc. Dougal upraszał komitetu o pozwolenie zwidzenia lokalu. Otrzymał je snadnie i wyraził się bardzo pochlebnie o instytucyi, dodając że, jako człowiek prywatny, popierać ją będzie wszelkiemi siłami, a tymczasem o godzinie drugiéj w nocy wysyła szeryfa z oddziałem milicyi, który napada znienacka na straż komitetową, złożoną tylko z sześciu czy ośmiu ludzi, i uprowadza zbrodniarzów do więzienia powiatowego.

Téj saméj jeszcze nocy dzwonienie na alarm zwołało członków komitetu, i w ciągu niezmiernie burzliwego posiedzenia już prawie zapadła uchwała, aby natychmiast rzucić się szturmem na więzienie powiatowe, gdy szczęściem przeważyły głosy kilku rozważniejszych, i posiedzenie odroczono.

Było to we czwartek. Nazajutrz dwudziestu członków zobowiązało się pod przysięgą odbić przestępców podejściem albo siłą. Miano najprzód sprobować fortelu, i to w taki sposób, żeby w razie niepowodzenia nikt o tém nie wiedział.

W niedzielę pomiędzy dziesiątą a jedenastą przed południem, podczas odbywanego w więzieniu powiatowém nabożeństwa, związkowi zbliżyli się kilką oddziałami, tak aby wzajemnie porozumiewać się mogli znakami. Najtrudniejszym był początek, to jest usiłowanie dowódzcy z trzema towarzyszami dostania się do kaplicy.

Dowódzca zasztukał do drzwi. Uchylono je nieco, ale nie chciano wpuścić więcéj jak jednego. Podczas cichego targowania się o to, stojący w tyle związkowi silnie drzwi popchnęli; jeden z nich odźwiernemu przykłada pistolet do piersi, a inne oddziały, za daném hasłem, szybko nadbiegają.

Udało się schwytać obydwóch więźniów, nie bez oporu wszakże z ich strony. Szczególniéj Mc. Kenzie, chłop silny i barczysty, bronił się rozpaczliwie. Wsadzono ich związanych do przygotowanego w tym celu powozu i odstawiono do więzienia komitetowego.

Dwa tylko strzały padły przy tém śmiałém przedsięwzięciu, i te nikogo nie raniły. Na kilku punktach wyniosłych rozstawione były warty, które gdy tylko ujrzały odjeżdżających winowajców, dały znak umówiony, i zaraz bicie w dzwony zwołało członków komitetu na posiedzenie ogólne.

Zebranie było tłumne, a w godzinę późniéj obaj zbrodniarze wisieli już przed domem komitetu przy ulicy Battery, otoczeni niezliczoną zgrają poklaskującego narodu.

Energiczne to postępowanie na długi czas przywróciło bezpieczeństwo w San Francisco; kilku

nawet sędziów niesumiennych z obawy złożyło urzędowanie i zastąpiono ich lepszemi.

Ustanowienie komitetu bezpieczeństwa publicznego w San Francisco było rzeczywiście naglącą całego kraju potrzebą. Ciągła obawa pożarów i rozbojów, szerzonych przez hałastrę któréj władza powściągać nie umiała czy nie chciała, zmusiła w końcu mieszkańców do działań samowolnych. Ale téż taki tylko stan wyjątkowy usprawiedliwić może środek sam z siebie naganny, bo przeciwny prawu i należnemu zwierzchności poszanowaniu. W tym razie jednak, przyznać trzeba, użycie go było nietylko dozwoloném, lecz nawet obowiązkiem względem siebie i drugich.

IGRZYSKA HISZPAŃSKIE

W 1847 ROKU.

Przez Dra T. Tripplin.

Cały Madryt wrzał radością. Ulice, niedawno krwią zbroczone, pokryły się kwiatami; postrzelane domy przybrały się w drogocenne kobierce i jedwabie; parę tysięcy lwów kastylijskich powiewało w oknach i na balkonach stolicy; całe Prado, ulica podobna do paryzkich pól elizejskich, było w płomieniach. A te płomienie jaśniały wszelkiemi barwami i przybierały rozmaite kształty, to katedr gotyckich i zamków maurytańskich lub chińskich, to girland, słońc i olbrzymich ruchomych bukietów.

Od wież do wież, wysoko w powietrzu, ciągnęły się na mocnych drutach różnokolorowe lampiony, i gorejącym szlakiem wzbijały się pod niebo tysiące rac kongrewskich, lub téż ognistym deszczem ziemię zalewały.

Wszędzie muzyki grające narodowe hymny, wszędzie huk dział, którego odgłosem drżało całe miasto i jęczały wszystkie echa gór okolicznych aż do Somo-Sierry, sławnéj z tego że w niéj Polacy odnieśli zwycięztwo, którego otrzymać nie mogli Francuzi.

Długi czworobok, opasany illuminacyą, przebiega pieszo, konno i w powozach tysiące przecudnych Hiszpanek i tysiące oficerów, w haftami i szlifami błyszczących mundurach. Ach, jak są piękne te Hiszpanki, i ile jest tych pięknych! Prawdziwie, tylko brzydkie kobiéty zwracają tutaj uwagę i wpadają w oko, bo bardzo rzadko która brzydka.

Wszystkie teatra otwarte dla ludu, a w wielkim cyrku oświetlonym sześcią tysiącami lamp, królowa, król i kilkadziesiąt tysięcy narodu oczekuje widoku walki, trzystu toreadorów oczekuje saméj walki, oczekuje boju z zapalczywym bykiem.

Na tak zwanych igrzyskach *królewskich*, to jest na tych które mają miejsce z okoliczności zaślubin panujących, urodzin infantów lub zaprzysiężenia jakiéj konstytucyi, dość często powtarzającego się w Hiszpanii, obowiązków matadora przebijającego byka szpadą albo włócznią nie pełnią toreadory z powołania, lecz kawalerowie z ubogiéj ale dobréj szlachty. Ci którzy te igrzyska przeżyją, zdobywają sobie tym sposobem prawo do posad pałacowych koniuszych, a tém samém bardzo dostatni sposób utrzymania. A że tych koniuszych wyginęło kilkunastu w ostatnich zamięszaniach, więc się otworzyły wakanse, i ciśnie się do nich uboga i waleczna szlachta Kastylii i Arragonii.

Szkoda! Na próbie wczoraj w tym cyrku odbytéj, oprócz kilkunastu koni i byków, zginęło pięciu banderillerów i trzech szlachciców. Ale nie zabraknie rycerskiéj Hiszpanii zwinnych banderillerów i ubogiéj szlachty, dopóki tam ogół nie polubi pracy uczciwéj.

Więc wstępujemy w wielki amfiteatr, zwany *El Tendido*, w którym w téj chwili pali się sześć tysięcy lamp i wre ciekawością kilkadziesiąt tysięcy ludu; w którym loże, pięcią piętrami jedne nad drugiemi wzniesione, wybite są szkarłatem, i parę tysięcy złotem kapiących mundurów skupia się około loży królewskiéj, błyszczącéj diamentami, jak rydwan słońca.

Hiszpania nie żałuje krwi ani złota dla swéj

Druck v. A. Schüler in Stuttgart.

Jgrzyska hiszpańskie

zabawy: szkoda tylko że ci co tę krew przelewają czasami bardzo skąpo są żywieni; szkoda także iż to złoto nie pochodzi z kopalń ani ziemi, tylko z kieszeni Żydów, którzy już zahaczyli kopalnie i grunta, pod gwarancyą Anglii.

Więc już królowa, król, infanty i infantki zasiedli na królewskim balkonie, zwanym *Casa real de Panadeira*, pod bogatym baldachinem z aksamitu, złota i strusich piór, a wokoło nich grandowie Hiszpanii, marszałkowie, szambelanowie, majordomusy, członkowie ciał prawodawczych i damy honorowe: słowem, obok konstytucyjnych panów, jaknajliczniejsza, feodalizmem pachnąca służba.

Pod samym balkonem królowéj ustawili się kawalerowie wszystkich orderów Hiszpanii, od Kallatrawy aż do Alkantary, z heroldami i z kompanią halabardników, w średniowieczne suknie przystrojonych.

Teraz niewinna Izabella raczyła dać znak że krwawe widowisko rozpocząć się może.

Ukazuje się bramą toledańską najprzód półpluton alguazilów konnych, w kapeluszach z czarnemi strusiemi piórami, w ogromnych wykrochmalonych fryzach, w czarnych płaszczykach, opiętych spodniach i przy rapirach z czerwonemi pochwami.

Za niemi cztéry sześciokonne powozy, otoczone chmarą pikadorów, banderillerów i kapeadorów.

W tych powozach, w przepysznym staro-hiszpańskim stroju, siedzieli owi szlacheccy matadorowie, którzy zdobywać sobie mieli miejsca koniuszych pałacowych *szpadą przeciw bykom*. Byli niemi: don Alberto de Manzano, don Inigo de Villareal, don Ildefonso de Cordoba i don Teodoro de Artaiz.

Obok tych młodych, pięknych i szlachetnych rycerzów siedzieli ich patronowie.

Trzeba wiedzieć że matadorowie szlacheccy mają prawo wybierać sobie chrzestnych ojców turniejowych pomiędzy naczelnikami najznakomitszych rodzin. Ojcowie ci, aby godnie odpowiedzieć tak zaszczytnemu wyborowi, sprawiają swym protegowanym przepyszną odzież, andaluskiego konia i ponoszą wszelkie koszta turnieju, kuracyi i, w razie potrzeby, pogrzebu.

Nadto każdy rycerz ma swojego sekundanta, jakiego głośnéj sławy toreadora, który powinien podprowadzić byka tak umiejętnie, aby go włóczni rycerza skutecznie dosięgła, lub oddalić go, w razie gdyby się nań zanadto zapalczywie rzucał.

Wspomnijmy że dostojnemi patronami szlachetnych kaballerów byli: książęta de Florida Blanca, de Frias, da Alba i del Infantado.

Gdy powozy, frontem się zbliżając, przybyły przed lożę królewską, grandowie i rycerze zsiedli i skłonili się przed monarchinią.

Grandowie nie zdejmowali kapeluszów, rycerze nie zginali kolan; ale reszta toreadorów, wraz z cztérema po 50 głów liczącemi hufcami wolantów, padła na kolana, jak przed obrazem Boga.

Każdy hufiec wolantów, czyli gońców, inaczéj był ubrany: piérwszy po rzymsku, drugi po staro-hiszpańsku, trzeci po maurytańsku, czwarty po indyjsku.

W téj saméj chwili ozwało się ze sto trąb, tyleż bębnów, tyleż armat, a tysiąc gołębi w długie wstążki przystrojonych wzleciało w powietrze, wszystko dla uwielbienia kochanéj monarchini.

A potém książęta protektorowie, udzieliwszy swe błogosławieństwo pupillom, wsiedli znów do pojazdów i ujechali z areny; rycerzom podano konie, rumaki andaluzyjskie nadzwyczajnéj piękności; hufce wolantów ustawiły się po bokach; czereda banderillerów rozproszyła się, i jeszcze zabrzmiały jerychońskie trąby przeraźliwym jękiem.

Zapadają się w ziemię drzwi królewskiéj *torilli*, to jest stajni: wypada z nich ogromnéj siły i wściekłéj zapalczywości bawół, i olśniony blaskiem rzęsistego światła, nie patrzy ani na prawo ani na lewo, tylko bieży wprost aż na środek areny, gdzie stoi hufiec konnych alguazilów.

Rozprysnęli się na wszystkie strony, jak stada kruków; a teraz następują z włóczniami w ręku, z sekundantami przy boku kawalerowie.

Piérwszy wystąpił don Alberto de Manzano, poparty przez cztérech pieszych matadorów.

Ha! niedługo trwała walka! Już rycerz mierzy włócznią w szyję byka, już ostrze wpadło głęboko w gardziel zwierzęcia; ale szlachetny rumak, nadziany na rogi, odleciał na bok, a rycerz ze strzaskaném udem leży pod zdychającym koniem.

Jakaś niemłoda zakwefiona kobiéta, jakaś młoda dziewczyna i jakiś sędziwy ksiądz, siedzący w loży księcia de Florida Blanca, jęknęli przeraźliwie, wołając: *Povero Adalberto!* Mój synu! Mój bracie! Mój siostrzeńcze!

Młody rycerz ze strzaskaném udem, był to biédny dwudziesto-dwu-letni młodzieniec, który znudzony ciągłym widokiem nędzy swéj matki i siostry, jakiéj mimo wszelkich starań zapobiedz nie-

mógł, postanowił narazić własne życie, dla zapewnienia im bytu znośniejszego.

Żadne przedstawienia nie pomogły; zresztą ksiądz wujaszek dał mu relikwie jakieś, i przyrzekł modlić się podczas walki.

Nie pomogły tym razem relikwie i modlitwy; byłaby pomogła siła i wprawa; ale téj nie posiadał biédny, często zgłodniały, szlachcic, i uległ w boju: zostanie kaléką na całe życie.

Książę de Florida Blanca wydał ośmnaście tysięcy realów na wyekwipowanie rycerza, na konia i ubiór. Połową téj kwoty byłby mógł wydźwignąć całą rodzinę z nędzy.

Ale Hiszpania chce się przedewszystkiém bawić, a jéj magnaci pragną rozgłosu za dobrodziejstwa *całemu narodowi* wyświadczane.

Niech żyje książę de Florida Blanca, za uprzyjemnienie Hiszpanom zabawy!

NOWY ORLEANS.

Nowy Orleans, olbrzymie targowisko niezliczonych plantacyj i osad całéj Unii, stanowiący niejako przejście z klimatu zimniejszego do rozkosznych stref podzwrotnikowych; Nowy Orleans, miejsce zapasów modnego świata, gdzie śnieżna cera ognistéj Hiszpanki, obok lekko przyćmionego kolorytu czarnowłoséj Kreolki, gdzie żywa, z figlarném spojrzeniem Francuzka, obok poważnéj Amerykanki z oczami gazelli nie pozwalają przechodzącemu przez Prado śledzić wzrokiem za jedną pięknością, boby się przez to pozbawił widoku trzech innych; Nowy Orleans, punkt środkowy całego handlu południowego, przystań tysiąca statków różnéj narodowości, zasługuje rzeczywiście na dany sobie przydomek *królowéj południa*.

Niéma kraju na świecie któryby tu nie posiadał swoich przedstawicieli. Jak przy budowie głośnéj pamięci wieży babylońskiéj, cudzoziemiec, nieprzywykły jeszcze do chaotycznéj téj mięszaniny, słyszy w dziwném pogmatwaniu głośne rozmowy Hiszpanów, Anglików, Francuzów i Niemców, przerywane krzykiem i klnięciem irlandzkich taczkarzów, śmiechem i śpiewami pracujących Negrów, obwoływaniem roznosicieli mléka i owoców i turkotem niezliczonych powozów, obok nieustannego szumu i dyszenia przybywających ciągle lub odbijających paropływów.

„Ileż to wieków złożyć się musiało na ten ruch, to bogactwo niesłychane?" zapytuje mimowoli przybysz nieświadomy, obejmując zdumionym wzrokiem rozpostarty przed sobą krajobraz, „iluż to lat potrzeba było na utworzenie tego oceanu zabudowań w przestrzeni siedmiomilowéj, tych olbrzymich składów, doków i grobli?" I zadziwienie jego wzrasta, gdy mu opowiedzą z jak bajeczną szybkością kwitnące to miasto wyrosło, w całém znaczeniu tego wyrazu, z błota i bagnisk.

Roku 1718 p. Bienville, ówczesny gubernator posiadłości francuzkich w Ameryce, szukał nad brzegami Missisippi punktu dla nowo założyć się mającego grodu, i zostawił w miejscu obraném pięćdziesięciu ludzi, którzy tam wystawili piérwsze swe chaty osadnicze.

W cztéry lata późniéj, r. 1722, Nowy Orleans, licząc nie więcéj jak 200 mieszkańców, obrany został stolicą rządu kolonialnego.

Roku 1733 król francuzki odstąpił Hiszpanii Nowy Orleans wraz z obszarami leżącemi na zachód od rzeki Missisippi, a r. 1766 w imieniu króla hiszpańkiego zajął go Ulloa. Prowincya miała wtedy 5,000 białych i tyleż kolorowych mieszkańców.

Do roku 1798 ludność Nowego Orleanu wzrastała dosyć słabo: miasto w tym czasie liczyło nie więcéj jak 5,300 mieszkańców. Dopiéro od roku 1803, kiedy Luizyana na mocy zawartego w Paryżu układu przeszła pod jurisdykcyą rzeczypospolitéj północno-amerykańskiéj, miasto wzmagać się zaczęło w sposób zadziwiający.

Roku 1810 ludność jego wynosiła 17,241, r. 1820 27,176, a r. 1830 46,310 głów. Obecnie, w porze zwłaszcza zimowéj, dochodzi ona do 200,000.

Jak pośród zimy i wiosny ulice Nowego Orleanu wrzącém tchną życiem, tak w drugiéj znów połowie lata i w jesieni stają się ony opustoszałemi. Zaraźliwa febra żółta rozpościéra wtedy nad miastem ołowiane swe skrzydła, a mieszkańcy uciekają nad brzegi sąsiednich jezior, albo daleko ku północy, dla uniknienia straszliwéj klęski. Pusto wszędzie i ponuro; na mosiężnych rączkach dzwonków przy domostwach wiszą złowrogie czarne krepy: to znak że zaraza w ich wnętrzu obrała sobie mieszkanie.

Jeżeli rzadkim trafem spotkają się gdzie dwaj samotni wędrowce, to wymijają się zdaleka, nie śmiąc odetchnąć, aby razem z zaczerpniętém powietrzem nie wciągnąć w siebie śmierci. Wszystkie sklepy pozamykane, bo któżby teraz kupował? Wszak razem z nabytym przedmiotem mógłby wnieść chorobę w łono swéj rodziny. Kiedy niekiedy tylko odezwie się na ulicach głuchy turkot karawanów, wiozących w olbrzymich trumnach po kilka razem ofiar epidemii na miejsce ostatniego spoczynku.

Ale rozstańmy się z tym obrazem trwogi i żałoby! To co widziémy obecnie, zupełnie odmienny ma charakter. Te tłumy gwarne i wesołe, snujące się ponad brzegiem majestatycznéj rzeki, to zaprawdę nie ludność miasta dziesiątkowanego zarazą. Tu wszędzie pełnia życia i zdrowia; z każdego oka błyska radość tak czysta, jak lazur nieba rozpiętego nad tym czarownym krajobrazem, jak powietrze co z dalekiéj północy ożywczém teraz tchnieniem przenika Orleańczyków.

Tam w miejscu wylądowania przybija właśnie paropływ świéżo przybyły z Cincinnati, z trudnością torując sobie drogą pomiędzy mnóstwem innych stojących na kotwicy. Majtkowie uwijają się z linami i bosakami, aby statek uchronić od uderzenia. Stanął nareszcie w miejscu zkąd można na brzeg założyć deski, i zgraja luźnych szlifibruków, po wązkiéj kładce ciśnie się tłumnie na pokład, dla dowiedzenia się czém prędzéj co tam słychać na północy.

Zostawmy ich tłoczących się zapamiętale, i udajmy się daléj, w celu obejrzenia miasta, a mianowicie najprzód tak zwanéj *Levée*,

Wyraz *Levée*, pochodzenia francuzkiego, oznacza w Ameryce groblę ciągnącą się przez całą Luizyanę wzdłuż brzegów Missisippi i wpadających doń rzeczek pomniejszych. Jest to olbrzymia robota ziemna, mozolnie wykonana i zarazem użyteczna, bo ubezpiecza od wylewów obszary najżyzniejsze, okolicę którą, według wyrażenia Kreolów, „Pan Bóg stworzył właściwie tylko dla alligatorów, żab i muskitów.” Te ostatnie bardzo téż rozciągłą za to wkroczenie ludzi w ich siedzibę wymierzają sobie zemstę, pobiérając bezustannie sowitą z krwi ich daninę.

Olbrzymią, powtarzamy, jest grobla Luizyany, utrzymująca w karbach posłuszeństwa potężnego „ojca wód”, zmuszająca go toczyć swe nurty na cztéry do sześciu, a niekiedy do dziesięciu, stóp ponad mieszkaniami ludzkiemi; ale równie zajmującym, jeżeli nie równie wspaniałym, jest widok grobli Nowego Orleanu.

Miasto z przedmieściami w przestrzeni siedmiomilowéj rozsiadło się nad brzegami Missisippi, a cały ten obszar, okolony groblą, pokrywają tysiące paropływów, okrętów trzymasztowych, szonerów, bark, tratew i łódek, zostających w ciągłéj kommunikacyi z lądem, ładujących lub wyładowujących towary, wśród wrzasku, śpiewu i wołania prawdziwie ogłuszającego.

Śród napiętrzonych towarów, pomiędzy krociami pak kawy, indigo, bawełny i cukru z południa, ołowiu, whiskey, mąki, tytuniu i solonéj wieprzowiny z północy, przeskakują jak gazelle ładne dziewczęta Mulatki, niosąc na głowach blaszanki z mlékiem, albo w ręku koszyczki ze świéżemi kwiatami; biegną obdarte chłopcy z gazetami i powiastkami, Żydzi niemieccy z pistoletami i nożami, marynarze północy z jajami i sérem, częstując przechodniów swym towarem. Na rzéce nawet, pod samemi prawie kołami paropływów, gdzie tylko choć najwęższy smug wody dozwala przecisnąć się wioslarzom, krążą łodzie hiszpańskich Meksykanów, rozwożąc ananasy, orzechy kokosowe, figi, granaty i pomarańcze. Obok, na Prado, razem z chłodem wieczornym, zbiera się arystokracya Nowego Orleanu, stek piękności ze wszystkich części świata i wszystkich kolorów, obwodząc jakby czarowną opaską skrzętny tłum kupczących. Tam pośród tłuszczy znienacka niekiedy rozlega się trzaskanie bicza strażników, odpędzających kobiéty irlandzkie i niemieckie, które z właściwym sobie przemysłem przewiercały faski z cukrem, lub przecinały worki kawowe, dla zdobycia ukradkiem kilku garści tych towarów. Tu wreszcie dwóch bokserów, w zbitém kole ciekawych, ciężkie, a czasem i śmiertelne, wymierza sobie ciosy.

Przyznać jednak należy że ten ostatni rodzaj rozrywki, i w ogólności bójki, zdarzają się coraz rzadziéj, pomimo napływu tak różnorodnéj zbieraniny, złożonéj ze wszystkich klass i narodów, począwszy od gorąco-krwistego Hiszpana, aż do flegmatycznego Hollendra; policya bowiem w Nowym Orleanie nadzwyczaj jest czujną, i cudzoziemiec wychodzący wieczorem na ulicę od stóp do głowy uzbrojony, bo się co chwila spodziéwa napadu, przekonywa się wkrótce że miasto to, lubo ruchliwsze od miast północy, nie ustępuje jednak tym ostatnim pod względem bezpieczeństwa.

Był wprawdzie czas gdy w Nowym Orleanie istniało to wszystko, co tylko najsilniéj rozkołysana wyobraźnia wymarzyć sobie może z bezprawiów: dniem i nocą stały wtedy na ulicach w pogotowiu zielone stoliki, i nieraz zdarzało się że zrana przy nich ziemia zbroczona była krwią, zasłana szkaradnie pokaléczonemi trupami. Lecz czas ten minął bezpowrotnie. Dziś liczne poczty straży przebiegają zbrojnie najodleglejsze dzielnice miasta, a w razie potrzeby odgłos grzechotki zwołuje w oka mgnieniu pomoc, tak iż złoczyńca, raz odkryty, nie może już mieć nadziei ratowania się ucieczką.

Całe miasto podzielone jest na trzy cyrkuły, zwane municypalnościami. Narodowości amerykańska i francuzka dosyć tu wybitnie odróżniają się od siebie, co zresztą przyczyniło się dzielnie do zaprowadzenia wielu ulepszeń w zarządzie miejskim, bo każdy naród w téj municypalności w któréj przeważną stanowi większość urządza się według swych potrzeb i zwyczajów. Język atoli francuzki z angielskim tak ściśle w Nowym Orleanie są zespolone, że nawet adwokaci w obronie spraw używają ich naprzemian. W samém mieście usłyszéć można języki całego świata; handlarze zwłaszcza niemieccy szczególną posiadają zręczność w mięszaniu mowy Anglików, Hiszpanów, Francuzów, Niemców i Włochów, sposobem takokropnie łamanym, że tylko człowiek znający doskonale wszystkie te języki rozróżnić może pojedyncze wyrazy i zdania, któremi z nadzwyczajną biegłością towar swój zachwalają. Zapewne czynią to oni w wyrachowaniu aby każdy z przechodniów, zkądbykolwiek był rodem, posłyszał coś swojego, a tém samém zachęcił się do kupna.

Ale nie opuszczajmy *Levée* bez zwidzenia tych oto budek z ostrygami, lodami i sorbetem, a szczególniéj nie pomińmy namiotów z owocami i chłodnikami, gdzie kupiec lub plantator luizyański, chroniąc się przed upałem, popija orzeźwiającą limoniadę z lodem i przypatruje się zdala ruchowi portu. Miejsca te nader licznie bywają uczęszczane; i rzeczywiście cudzoziemiec, chcący swobodnie nacieszyć się widokiem życia miejskiego, nie może sobie w tym celu lepszego obrać kącika, jak namiot usłużnego Włocha, w którym przy szklance chłodzącego napoju, nie będąc sam widzianym, żywą i wspaniałą dokoła otoczony jest panoramą.

Charakterystyczne także są sklepy targowe Nowego Orleanu, zbudowane w arkady spoczywające na kamiennych filarach, z osobnemi działami dla rzeźników, rybaków i ogrodników, pomiędzy któremi przekupnie koczujący roznoszą na śniadanie gorącą herbatę, kawę i czekoladę, gdyż te napoje zapobiegać mają szkodliwemu wpływowi mgły w porze rannéj kłębiącéj się od rzéki.

Targ, jeden z najbogatszych w świecie, bo jednoczący w sobie płody wszystkich stref ziemi, kończy się około południa; zostają tylko sprzedający napoje, po większéj części młode i przystojne dziéwczęta. W godzinach popołudniowych nadbrzeże zwykle mało bywa ożywione, bo każdy przed doskwierającym upałem szuka schronienia po domach. Zaledwo jednak słońce dosięgnie nieboskłonu, zjawiają się tłumy przekupniów i zaczynają rozkładać swoje kramy na dzień następny. Towary przykrywają oni na noc wielkiemi bawełniami derami, i pomieściwszy się jak można najwygodniéj, sypiają przy nich do świtu.

Jedyne téż to stworzenia ludzkie którym wolno tu przepędzić noc pod otwartém niebem; każdy inny śmiertelnik, zdybany gdzie przypadkiem przez strażników, musi rad nie rad powędrować do ciupy i pozostać resztę nocy w miłém towarzystwie pijaków i włóczęgów. Niedawno właśnie takiemu wypadkowi uległ biédny Francuz, nauczyciel tańca, który tylko co przybywszy z Paryża, nie mógł wytrzymać w nocy w dusznéj swéj izbie, i w najzupełniejszym negliżu wyszedł sobie na ulicę, dla odetchnięcia świéżém powietrzem. Drzwi jego mieszkania wychodziły na Levée; usiadł więc na ławeczce i rozkoszował się widokiem magicznie oświeconych szczytów okrętowych.

Podumawszy tak z godzinę w zbyt lekkiém ubraniu, uczuł chłód nocny, i właśnie miał powrócić do łóżka, gdy nagle z poza rogu ulicy zabłysnął przy świetle gwiazd czarno lakierowany kask strażnika. W jednéj chwili barczysty urzędnik policyi żelazną dłonią uchwycił struchlałego Francuza za kołnierz od koszuli, i zawołał rubasznie, dialektem irlandzkim:

— To ty, ptaszeczku, szukasz sobie noclegu przed cudzém pomieszkaniem? Chryste Jezu, ja cię nauczę szanować wyższe rozkazy!

Biédny tancmistrz nie zrozumiał ani słowa z téj energicznéj przemowy syna „zielonéj wyspy". Chciał się tłumaczyć, a gdy to nie pomogło, usiłował wyrwać się gwałtem. Ale strażnik nie dobrze to jakoś przyjął.

— Oto masz, kiedyś taki! krzyknął z oburzeniem, i sztuknął go tylko w głowę swym kijem

sękatym, ale tak delikatnie, że Francuz padł odurzony.

Gdy odzyskał przytomność, znalazł się w więzieniu na twardym tapczanie. Szczęściem dyżurny umiał po francuzku, i na usilne prośby posłał przynajmniéj po odzież dla dzwoniącego zębami tancmistrza. Po przesłuchaniu i spisaniu protokułu puszczono go na wolność, z zastrzeżeniem jednak aby w przyszłości ostrożniejszym był w wyborze swych noclegów.

Szczególniejsze wrażenie robi na Europejczyku różnobarwność skóry mieszkańców Nowego Orleanu, któréj nigdzie podobno znaleźć nie można w stopniu tak wysokim. Z trzydziestu ludzi których tu spotkasz na ulicy, zaledwo dwóch będzie jednakowego koloru. Od hebanowéj czarności Afrykanina, aż do świetnie białéj cery niedawno przybyłéj Angielki, wszystkie tu odcienie przesuwają się przed wzrokiem, a ciągłe mięszanie się Białych, Negrów, Mulatów, Mestizów, Indyanów, Kreolów, Hiszpanów i t. d, mogłoby przywieść do rozpaczy etnografa chcącego rozwikłać pochodzenie téj różnolicéj ludności.

Wspomnieć tu należy iż, skutkiem błędu dosyć rozpowszechnionego, cudzoziemcy rozumieją zwykle pod Kreolami mięszańców z Białych i Indyan. Jest to mylne pojęcie; bo w Luizyanie nazywają Kreolem każdego rodowitego krajowca, i wyraźnie to odnosi się nawet do zwierząt i przedmiotów nieżywotnych. Tak naprzykład *Creol-Poney* znaczy tu mierzynka krajowego, a w r. 1843, po zimnéj bardzo nocy, jeden z dzienników Nowego Orleanu donosił jako osobliwość, że w którymś hotelu sporządzono limoniadę z *kreol*-lodem.

Odrębną jeszcze właściwość Nowego Orleanu stanowią cmentarze, w których pieczary grobowe mieszczą się nie pod ziemią, ale nad ziemią; na kilka bowiem stóp głębokości zjawia się już woda, i to także jest powodem że niéma tu po domach piwnic, których miejsce zastępują szczelnie zakitowane cysterny. Miasto posiada pięć cmentarzów otoczonych murem, w którym mieszczą się katakumby. Ubogich wywożą na tak zwane *Potters-Field*, i grzebią płytko w bagnistym gruncie tego miejsca.

Rzéka Missisippi pod Nowym Orleanem ma blizko $1^{1}/_{2}$ mili angielskiéj szérokości i przecięciowo 200 stóp głębokości. Miasto leży na wschodnim czyli lewym jej brzegu, o czém na zakończenie wspomnieć tu nie zawadzi; większa bowiem część podróżnych szuka go właśnie na brzegu przeciwnym, z powodu iż rzéka w tém miejscu, zamiast płynąć głównym swym kierunkiem od północy na południe, skręca się nagle wstecz, i tym sposobem w błąd nieświadomych wprowadza.

SAMUEL HAHNEMANN,

TWÓRCA SYSTEMU HOMEOPATYCZNEGO.

(Szkic biograficzny).

Pod koniec upłynionego stulecia żył w Lipsku lekarz bardzo uczony, a bardziéj jeszcze oryginalny. Młody, a posiadający zasłużoną już wziętość, blizkim był osiągnięcia dwóch głównych zwykle celów ludzkiego żywota: majątku i sławy. Lecz wyjątkowy ten człowiek nie poprzestawał na pomyślności materyalnéj; dręczyła go niedostateczność używanych dotąd środków lekarskich, omylność całéj medycyny; cierpiał razem z cierpiącemi, którym nadaremnie nieraz starał się przynieść ulgę, i bolał ciężko gdy śmierć niezbłagana z pod rąk wyrywała mu ofiary.

Pewnego wieczoru młody lekarz powrócił do domu smutny i zaniechęcony. Opuścił właśnie łoże śmiertelne młodzieńca, którego zgon zagadkowy obalał całą budowę teoryi medycznéj, niweczył wszelkie pewniki dotychczasowéj nauki. W pokoju wstępnym zastał mnóstwo klientów oczekujących jego powrotu. Hołd ten publiczny złożony jego biegłości zawierał razem rękojmią dobrego bytu licznéj jego rodziny (nasz lekarz był ojcem siedmiorga dzieci); on jednak na widok tego tłumu z większą tylko goryczą uczuł bezsilność swojéj sztuki.

— Panowie, rzekł do zebranych, nie mogę was dziś przyjąć.

— A więc zgłosimy się jutro.

— Ani jutro.

— Więc kiedyż każesz nam się stawić?

— Niewiem... Chyba wtedy gdy terapia, która jest kłamstwem, stanie się prawdą, gdy uwierzę w jéj środki zwodnicze, słowem... gdy będę wam mógł dopomódz skutecznie.

I lekarz, wszedłszy do swego gabinetu, zamknął drzwi za sobą.

Nazajutrz całe miasto mówiło o tém dziwném zrzeczeniu się praktyki. Napróżno robiono mu przedstawienia i starano się przekonać go o bezzasadności jego skrupułów: nic nie zdołało przytłumić głosu przekonania; postanowienie jego było niewzruszoném.

Nadzwyczajnym tym człowiekiem, skazującym dobrowolnie, dla wyegzaltowanych może lecz szlachetnych pobudek, siebie i rodzinę na niedostatek, był Samuel Chrystyan Fryderyk Hahnemann.

Urodzony 10 kwietnia 1755 r. w Meissen w Saksonii, gdzie ojciec jego w fabryce miejscowéj był malarzem porcelany, Samuel Hahnemann chował się w ubóstwie i pracy. Ukończywszy nauki w szkole prowincyonalnéj, młodzieniec byłby zapewne, wstępując w ślady ojca, został prostym rękodzielnikiem, gdyby niepospolite jego zdolności nie zwróciły uwagi doktora Müller, dyrektora rzeczonéj szkoły. Zacny ten mąż wziął na siebie dalsze wychowanie młodego Samuela, otworzył mu wstęp do swego księgozbioru i sam kierował jego ukształceniem przygotowawczém.

W dwudziestym roku życia Hahnemann obrał sobie zawód lekarski, i udał się na uniwersytet lipski, gdzie utrzymywał się z tłumaczenia dzieł francuzkich i angielskich, poświęcając mozolnéj téj pracy, oprócz wolnych od studyów godzin dziennych, co drugą noc całkowicie.

Roku 1777 udał się do Wiednia, potém do Leopoldsztadu, gdzie otrzymał miejsce przy szpitalu, następnie do Hermansztadu, gdzie został bibliotekarzem i prywatnym lekarzem, a nakoniec do Erlangen, gdzie 10 sierpnia 1779 r. bronił publicznie swéj rozprawy na stopień akademicki.

Talenta jego i prace naukowe zjednały mu wkrótce rozległą klientelę i zaszczyty urzędowe. Zostawszy naczelnym lekarzem szpitalów lipskich, otoczony opieką możnych przyjaciół i zaszczycany powszechném zaufaniem, Hahnemann był na drodze, jak to mówią, zrobienia świetnéj karyery, gdy stanąwszy u szczytu nauki, ujrzał w niéj próżnią niezmierną; dostrzegł że sztuka leczenia, według dotychczasowéj metody, była mniéj więcéj chimerą, że zwykle, macając tylko, ograniczała się na środkach zapobiegających, zamiast dotrzéć do siedliska choroby i na zawsze ją wykorzenić.

Wyrzekł się więc, jak widzieliśmy, zrobienia majątku kosztem bliźnich, i z rzadkim heroizmem powrócił do ubóstwa, do ciężkiego zarobku tłumacza, dawszy sobie słowo że nie napisze żadnéj recepty, dopóki nie wynajdzie pewniejszéj dla medycyny podstawy.

Było to to samo co przeistoczyć, a raczéj stworzyć na nowo, całą terapią.

Łatwo sobie wyobrazić jakie utarczki niezłomny w postanowieniu Hahnemann staczać musiał z przyjaciołmi, kolegami i publicznością. Ale najsroższe walki czekały go we własném kole rodzinném. Żona jego, Henryka Kuchler, córka aptekarza z Gommern, niezdolna pojąć szlachetnych pobudek męża i wzniosłego poświęcenia z jakiém wyrzekał się tego co ona szczęściem nazywała, zamiast ulżyć mu ciężaru odwagą i czułością, obarczała go wyrzutami, i biédny doktór doznawał jednocześnie katuszy prześladowania naukowego i nieustannéj wojny domowéj.

Zniósł oboje z wiarą apostoła i z cierpliwością męczennika.

Gnany z miasta do miasta nienawiścią szkolarstwa medycznego, pracując w pocie czoła na chléb powszedni dla siebie i dla rodziny, codziennie zagrażany niedostatkiem, przecierpiéć przytém musiał piekło waśni domowych, a wszystko to bez innéj pociechy, prócz téj jaką mu dawało silne przekonanie wewnętrzne; cel bowiem do którego zmierzał, w miarę podwajania usiłowań, coraz daléj zdawał się go odbiegać. Dźwigając krzyż swój z wytrwaniem, Hahnemann doszedł tym sposobem do kresu poza którym albo ciało uledz musi, albo duch odnieść zwycięztwo.

W téj to stanowczéj chwili znajdujemy go znów w Lipsku, pochylonego niedolą i cierpieniem. Bezsenność i troska przedwcześnie poorały mu czoło i złamały męzką jego postać. Choroba dzieci, któréj zaradzić nie może, pognębia do reszty ojcowskie jego serce.

Wtedy Hahnemann rzuca się na kolana i woła z głębi rozranionéj piersi, wznosząc ręce ku niebu:

— Czyż podobna, Panie, abyś odmówił człowiekowi środków *niezawodnych* ku uśmierzeniu tylu cierpień? [1]). Wszak jesteś wszechmądrym i wszechłaskawym! Dozwoliłeś geniuszowi ludzkiemu zliczyć gwiazdy, przebywać morza, zapanować piorunowi! czemużbyś ojcu kochającemu odmówić miał środków ocalenia swoich dzieci?

Nową ukrzepiony nadzieją, Hahnemann powstaje i w namiętném uniesieniu przytula dzieci do serca.

— Pomogę wam, pomódz muszę! Bóg łaskaw na mnie! czuję to po téj sile jaka mnie przenika!

I niezmordowany pracownik bierze się znów do roboty, z tą wiarą która góry przestawia.

Przekładał dnia tego *Materyą medyczną* Cullen'a, i doszedł właśnie do rozdziału o chinie. . . .

O zrządzenie Opatrzności, które my ślepi śmiertelnicy nazywamy przypadkiem! Hahnemann, w chwili szczęśliwego przejrzenia, poczyna zastanawiać się nad działaniem anti-febryczném chiny i nad rzuconemi w tym przedmiocie uwagami Cullen'a.

— Sprawdzę to działanie na sobie, woła jakby w natchnieniu. Tak jest, prawdziwa terapia „może dlatego tylko nie została dotąd znalezioną przez lekarzów, że mieli ją zbyt blizko, że była zbyt przystępną dla ich zarozumienia, że dla jéj zdobycia nie potrzeba było ani świetnych sofizmatów, ani ułudnych teoryj. Więc dobrze! poszukam pod ręką tego środka, o którym nikt dotąd nie pomyślał, dlatego pewnie że tak prosty: zbadam wpływ leków na organizmy będące w stanie zdrowia. Zmiany w tym stanie przez nie wywoływane nie mogą być bez znaczenia, i w nich to może ukrywa się ów język tajemniczy, którym jedynie sztuka leczenia przemawiać zdoła do swych adeptów." [2]). Połączę we własnéj osobie lekarza i chorego, wykonawcę i . . . . ofiarę, jeśli tego będzie potrzeba. Zaczynam dziś jeszcze od chiny!

Pięć minut późniéj Hahnemann zażył znaczną dozę chiny, i w kilka godzin zadrżał z radości, czując piérwsze przystępy febry. W dniach następnych powtórzył dozę, i febra stała się peryodyczną. Daléj kombinowane dozy gubiły ją lub wywoływały w oznaczonych godzinach. I doktór nasz zawołał, jak Archimedes:

— *Eureka!* Znalazłem czegom szukał!

Znalazł rzeczywiście zasadę homeopatyi: *Similia similibus curantur*, leczenie środkami powinowatemi.

Hahnemann miał jeszcze przyjaciół; błagał ich aby zażyli chinę, i prawie wszyscy jednakowego doznali skutku.

Ów lekarz co dobrowolnie niegdyś wyrzekł się swéj sztuki, teraz radby zatrzymać każdego przechodnia i wmusić w niego chinę.

A z jaką skwapliwością wypytuje się o skutki tych których namówić mu się udało!

— Czy miałeś febrę?

— Miałem.

— To dobrze. Bogu dzięki!

Po chinie poprobował i innych substancyj.

Zażył siarki, i dostał świerzby; zażył merkuryuszu, z tym samym skutkiem; zażył naparstnika (digitalis), i oto własne jego spostrzeżenia:

„Działanie nieustanne przez dni siedm. Ziębnięcie rąk i nóg, a potém wszystkich członków. Upadek sił żywotnych. Bicie serca. Smutek i płacz. Obawa śmierci. Mania milczenia. Puls o połowę wolniejszy. Bolesne, duszące ściskanie w piersiach. Dojmujący ból w stawach. Nudności. Wymioty. Cierpienia oczu i t. d."

Pewnego dnia wreszcie naraża więcéj jak życie, naraża intelligencyą swoję, i mówi do dzieci:

— Jeśli jutro majaczyć będę i gadać od rzeczy, słowem jeśli odejdę od zmysłów, bądźcie spokojni i dajcie mi to oto lekarstwo.

Zażył pokrzyku (belladonna), i geniusz jego rzeczywiście zdawał się zagasłym, rozum na zawsze zniszczonym; ale środek dzieciom zostawiony wrócił mu przytomność.

Więc niéma już wątpliwości; doświadczenie jest zupełne, stanowcze i zawsze te same sprowadza następstwa.

Jeżeli china leczy febrę, siarka świerzbę, naparstnik choroby serca, pokrzyk pomięszanie zmysłów, to dlatego tylko że ony powinowate są tym cierpieniom, że wywołują je w stanie zdrowym; to dlatego że natura uzdrawia drogą podobieństwa.

Hahnemann znalazł nakoniec owę pewność terapeutyczną któréj szukał od tak dawna, prawdziwy stosunek lekarstwa do choroby i choroby do lekarstwa, który wyraził sławném swém zdaniem: *Similia similibus curantur*.

Nieprzychylni nawet metodzie jego koledzy mimowoli przekonywać się musieli o jéj skuteczności, jak dowodzi następujące zdarzenie, istna scena

[1]) Études de médecine homoeopathique, t. I, p. 403.
[2]) Tamże p. 404, 405.

z komedyi, która, według świadectw wiarogodnych, nie była jedyną w swym rodzaju.

Doktór X. żartował z Hahnemanna i z jego systemu dawania doz nieskończenie drobnych.

— Przyznaj, rzekł do niego, że twoje atomy chiny ani sprowadzić ani uleczyć febry niemogą, że działasz raczéj na wyobraźnią i uzdrawiasz chorych przez wiarę.

— Sprobuj, odpowiedział Hahnemann, i podał mu parę gałeczek zaledwo dostrzegalnych.

— Chętnie, zawołał doktór, i połknął je ze śmiechem.

Po upływie dni kilku doktór śmiał się jeszcze głośniéj, bo rzeczywiście nie doznawał żadnych symptomatów febry.

Ale jednego poranku przybiegł pomięszany do Hahnemanna, i pokazując mu ręce pokryte świerzbą, zawołał:

— Co to znaczy?

— To znaczy że zamiast chiny dałem ci siarki, i że zamiast dostać febry, o któréj myślałeś, dostałeś świerzby, któréj pewnie nie spodziéwałeś się wcale, odrzekł spokojnie wynalazca homeopatyi. Czy i teraz jeszcze będziesz utrzymywał że w moim systemie działa tylko wyobraźnia, i czy wierzysz nareszcie w moje dozy rozdrobnione?

Doktór uznał się pokonanym, i prosił już tylko o szybkie uzdrowienie, które otrzymał za pomocą nowych gałeczek siarki.

Hahnemann odkrycie swoje zastosował do własnych dzieci, do przyjaciół, sąsiadów i ubogich, a zawsze prawie z najpomyślniejszym skutkiem.

Wtedy wziął się na nowo do praktyki, podług stworzonéj przez siebie metody powinowactwa; lecz ileż walk staczać masiał na téj drodze, ile znosić prześladowań!

Rzecz naturalna że chcąc uniknąć zawodu, zmuszony był sam przygotowywać swoje leki, których pierwiastkowo nikt nawet zrobićby nie umiał. Ale wtargnięcie takie w dziedzinę farmacyi sprzeciwiało się prawu, i prawo to stało się bronią straszliwą w ręku tradycyi, zagrożonéj w swych monopolach i przywilejach.

Napróżno w Georgenthalu uzdrowił Klokenbrinka, który postradał zmysły z powodu głośnego paskwilu Kotzebuego „Bahrd z czołem żelazném"; napróżno zasłynął w Brunświku, Königslutter, Hamburgu, Torgawie (Torgau) i t. p.: wszędzie traktowano go jako szarlatana, i wszędzie lekarze, jątrząc przeciw niemu aptekarzów, umieli go się pozbyć.

Dziwna wtedy i opłakana w wielu miastach niemieckich powtarzała się scena.

Hahnemann przybywał na wózku, jak kramarz koczujący, z rodziną, książkami i zapasem swoich lekarstw, obierał mieszkanie w pokątném jakiém domostwie i rozpoczynał praktykę. Ale zaledwo rozgłos szczęśliwych jego kuracyj rozszedł się po mieście, już władza policyjno-lekarska kazała mu udać się do aptekarzów i zaprzestać dowolnego sporządzania leków. Hahnemann niechciał naturalnie powierzyć się najzaciętszym swym wrogom, i tak w parę dni po przyjeździe musiał znów siadać na wózek i puszczać się w dalszą tułaczkę.

Pośród tych bolesnych zawodów Hahnemann zarabiał na chléb, jak dawniéj, po większéj części tłumaczeniem z obcych języków, a przytém znalazł jeszcze dość czasu do napisania kilku dzieł własnych, nieprzestając doświadczać na samym sobie skutku najniebezpieczniejszych substancyj.

Trudno zaprawdę pojąć jakim sposobem fizyczne i moralne jego siły wyjść mogły zwycięzko z tak ciężkich zapasów.

A przecież, mimo nieustannych prześladowań, rok rocznie powiększał liczbę swoich odkryć, i pracując ciągle naukowo, ogłosił „Organon medycyny racyonalnéj" i „Traktat o materyi medycznéj".

Rzecz dziwna! podczas gdy autora obluzgiwano urąganiem i pogardą, dzieła jego szybko się rozchodziły, i tam gdzie lekarzowi zawiść stawała na zawadzie, nauka sama torowała sobie drogę.

„*A jednak się obraca*" mógłby był Hahnemann zawołać, jak Galileusz.

Lecz biédny doktór niemiał jak Galileusz koronowanych obrońców, sędziów olśnionych potęgą swego geniuszu.

Niezachwiany apostoł i męczennik nauki, znosił z godną uwielbienia wytrwałością najnikczemniejsze prześladowanie razem prawne, pokątne i niby-filantropijne, które pod pozorem ogólnego dobra umié zręcznie zastawiać się opinią jak tarczą, i samo zostając w ukryciu, jawnie przecież dosięga przeciwnika.

W ten sposób Hahnemann pracował, walczył i cierpiał aż do roku 1811.

Wrócił wtedy do Lipska, z otuchą reformatora powołanego aby światu nową objawił prawdę.

Ale nie nadszedł jeszcze dzień jego tryumfu. Spotkany i teraz prześladowaniem, schronić się

musiał do Anhalt-Koethen, gdzie panujący książę Ferdynand przyjął go gościnnie.

Tam wreszcie po raz piérwszy znalazł możność swobodnego oddawania się praktyce. Jednakże przerażeni powodzeniem jego współzawodnicy, nie mogąc już uciec się do środków legalnych, i tu znaleźli sposób zakłócenia mu spokoju, poduszczając przeciw niemu pospólstwo.

Zaczęto od docinków urągliwych rzucanych mimochodem Hahnemannowi lub komuś z jego rodziny; późniéj szyderstwa zamieniły się w obelgi; w końcu zaś ani doktór, ani żona jego, ani żadne z jego dzieci nie mogli się już pokazać na ulicy bez doznania najdotkliwszéj obrazy.

Raz Hahnemann powrócił do domu, ścigany wrzaskami pospólstwa. Rozjątrzona zgraja obległa jego mieszkanie, potłukła mu szyby w oknach i z krzykiem domagała się wypędzenia szarlatana, szaleńca, truciciela i t. d. Wdanie się władzy policyjnéj rozproszyło wprawdzie zbiegowisko; lecz doktór nasz, sprzykrzywszy sobie tę walkę bezustanną, postanowił nie opuszczać już mieszkania. I rzeczywiście przez piętnaście lat następnych zaledwie kilka razy widziano go na ulicach Koethen.

Jednakże z głębi dobrowolnego więzienia nieprzestawał on rozsyłać wymowne orędowniki, broniące dzielnie jego sprawy w obliczu całéj Europy. Były to jego dzieła, których wydania mnożyły się corocznie; był to rozgłos cudownych kuracyj dokonanych w zaciszném ustroniu; były to tłumy cierpiących opuszczone przez lekarzy-rutynistów, chorzy przybywający z Niemiec, Francyi i Włoch, którzy znalazłszy uzdrowienie lub ulgę nadspodziéwaną, roznosili wszędzie jego sławę; byli to wreszcie i sami lekarze dobréj wiary, którzy oceniwszy jego pomysły, odprzysięgali się dawnéj metody.

Hahnemann tym sposobem, potęgą jedynie talentu, z nędzy, poniżenia i złorzeczeń doszedł do zamożności i zaszczytów, z wyklęcia do powszechnéj popularności.

Przewrot ten opinii świetną demonstracyą objawił się w samém nawet mieście Koethen r. 1835.

Rozeszła się wieść że stary doktór (Hahnemann miał wówczas rok ośmdziesiąty, i przyznać trzeba że nagroda spotkała go trochę późno) ma wyjechać do Francyi. I otóż człowiek którego przed piętnastą laty chciano ukamieniować, okrzyczany został aniołem opiekuńczym kraju. Mieszkańcy uważali się za zgubionych jeżeli ich opuści, i ci którzy niegdyś miotali nań obelgi i żądali wydalenia go z miasta, spiknęli się teraz na zatrzymanie go, choćby przemocą.

Hahnemann, który rzeczywiście miał wyjechać, zmuszony był użyć wybiegu aby uniknąć czujności tych swoich dawniéj prześladowców, a teraz zbyt gorących wielbicieli: opuścił Koethen nocną porą w największéj cichości i ukrywając starannie kierunek swojéj drogi.

Był już daleko, gdy w mieście dowiedziano się o jego téj ucieczce. Żal był powszechny, i z podwojonym zapałem, chcąc powetować niejako stratę, rzucono się do szérzenia jego nauki.

Szczęściem że w Koethen i w całych Niemczech zostawił uczniów zdolnych podtrzymywać sławę homeopatyi.

Sam Hahneman osiadł we Francyi, z drugą swoją żoną, rodem Francuzką.

Henryka Kuchler umarła r. 1827, doczekawszy się rehabilitacyi męża.

W ośm lat późniéj panna Melania d'Hervilly, dziedziczka znakomitego imienia, udała się do Koethen dla zasięgnięcia jego rady. I zacna pacyentka tak się przejęła zasadami Hahnemanna, że wkrótce została gorliwą jego uczennicą, a nakoniec małżonką szanownego starca.

Ona to sprowadziła go do Paryża 25 czerwca 1835 roku.

Leczył i tam z powodzeniem dopełniającém miary jego sławy, i umarł otoczony poważaniem r. 1843.

Zakres tego pisma nie pozwala nam wchodzić w rozbiór doktryny Hahnemanna, którego życie tylko prywatne i publiczne zamierzyliśmy tu skreślić. Jest ono niezawodnie jedném z najbardziéj zajmujących w rocznikach medycyny, i obfituje w szczegóły zarówno nauczające jak ciekawe.

Winniśmy jednak uczynić ogólną uwagę, że homeopatya ze śmiercią wynalazcy swego nietylko że nieupadła, lecz owszém krzepko się rozrasta, i dziś, we Francyi przynajmniéj, oniemal że równoważy już terapią oficyalną. Fakt to niezmiernéj wagi, jeśli pomyślimy że nowy system o własnych tylko postępuje siłach, obok współzawodnika popartego powagą akademij, katedr, szpitalów i rozsiadającego się széroko na wygodném stanowisku legalności.

Może wkrótce nadejdzie chwila że dwa przeciwne dziś sobie systemy, allopatya i homeopatya, odrzuciwszy na bok przesądy i stronnicze nienawi-

ści, podadzą sobie ręce, otrząsając się każdy z tego co w nim błędne, a przyjmując od drugiego co dobre. Nauka tradycyjna niech poda skarby wiekowych teoryj młodéj swéj siostrzycy, a ta niech ją wesprze odkryciami praktycznemi. Tym sposobem zdobycze naukowe przeszłości pozostaną nietkniętemi; lecz teraźniejszość niech do nich dorzuci wypadki swych spostrzeżeń, aby przyszłość z obojga zbiérać mogła owoce.

Wielkim błędem Hahnemanna, mimo poświęcenia jego i geniuszu, pozostanie to właśnie, że się uważał za apostoła rdzennéj reformy medycznéj, że chciał obalić całą budowę istniejącéj przed nim nauki, a system swój własny postawić na jéj gruzach, zaprzeczając tym sposobem użyteczności dwóch zasadniczych podwalin medycyny, fizyologii i patologii, a poprzestając na saméj tylko terapii.

ŻÓŁWIE BŁOTNE.

Charakterystyczną cechą tych zwierząt są dwie tarcze, w których kryje się całe ciało.

Tarcza górna, zwana *puklerzem*, utworzona jest z kościstych płatków, połączonych ze sobą szwami. Uważając ją ze strony wewnętrznéj, widziémy że powstaje ze zrośnięcia się rozszerzonych żeber i kręgów grzbietowych.

Część dolna tarczy, zwana po prostu *tarczą*, jest utworzona z mostka, który przybiera nadzwyczajny kształt i rozmiary, i rozciąga się od podstawy szyi, aż do początku ogona.

Puklerz równie jak tarcza pokryte są tylko skórą, żaden więc muskuł należący do szyi i członków nie przyczepia się do ich zewnętrznéj powierzchni;muskuły te są przymocowane wewnątrz kadłuba.

Kości łopatek tworzą pomiędzy puklerzem i tarczą rodzaj pierścienia, łącząc się z jednéj strony ze stosem kręgowym, z drugiéj z mostkiem.

Miednica bardzo jest podobna do pierścienia jaki tworzą łopatki. Składa się ona: z kości biodrowéj, która się przyczepia do poprzecznych wyrostków kręgów grzbietowych, z kości łonowéj i kulszowéj, które się zwracają ku skorupie spodniéj.

Kości łopatek u wszystkich zwierząt grzbietnych wiszą na plecach albo na bokach ciała nad żebrami; tymczasem u żółwi są ony przekręcone wraz z obojczykami i przytwierdzone do wewnętrznéj strony tarczy. Podobnie jest u nich, jak widzieliśmy przekręcona miednica. Z powodu tak wielkiéj sprzeczności kościoskładu żółwi z innemi zwierzętami, niektórzy naturaliści nazywają je zwierzętami *wspacznemi*.

Zasługuje także na uwagę sposób oddychania żółwi. Wprawdzie płuca ich są bardzo obszerne, lecz w skutek zrośnięcia żeber z kośćmi piersiowemi, ruch dowolny piersi nie może miéć miejsca; oddychanie więc odbywa się za pomocą poruszeń języka i kości podjęzykowéj, a to w następujący sposób. Zwierzę, chcąc odetchnąć, zamyka pysk i wciąga powietrze nozdrzami, następnie zatyka językiem otwory nozdrzowe, i łykając wprowadza powietrze do płuc. Chcąc więc żółwia udusić, dosyć jest na kilka minut pysk mu otworzyć; śmierć niechybnie nastąpi, gdyż widoczną jest rzeczą że przy otwartym pysku oddychać on nie może.

Naturaliści dzielą pospolicie żółwie na: lądowe, błotne i morskie. Żółwie błotne mają płaską tarczę grzbietową, długą szyję i ogon, a palce u nóg wyraźne, błoną połączone; lądowe przeciwnie mają nogi niezgrabne, nakształt nóg słonia zaokrąglone, i bardzo krótkiemi, wolnemi palcami opatrzone. Jednakże różnice te nie są stałe, i nie można na nich polegać, bez znajomości sposobu życia jednych i drugich.

Żółwie błotne zamieszkują wody słodkie, niektóre tylko gatunki żyją nad brzegami mórz w wodzie słonéj. Można je napotykać zarówno w stojącéj jak w bieżącéj wodzie; są jednak gatunki które przekładają pobyt w stojącéj wodzie. Podobnieżjedne chętnie wychodzą na ląd, drugie wcale tego nie czynią; jedne lubią wygrzewać się na słońcu, przyczepione do skał lub przewróconych pni drzew, inne żyją wciąż pogrążone na dnie wody.

Żółwie mają w ogóle słuch wyborny, a przytém są niezmiernie lękliwe i ostrożne, najmniejszy szelest skłania je do ucieczki; dlatego téż prawie niepodobna jest schwytać żółwia błotnego. Często

1a.

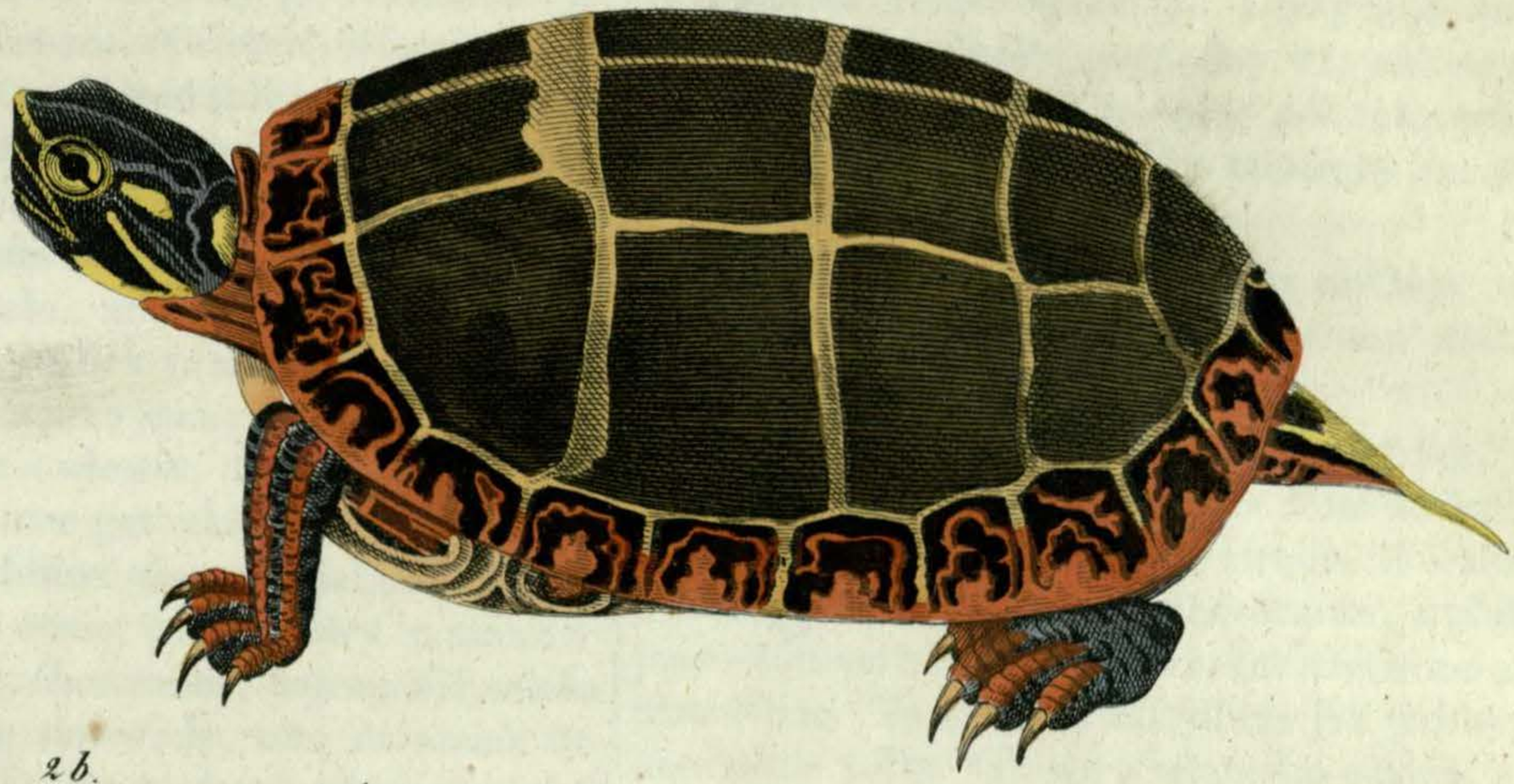

2b.

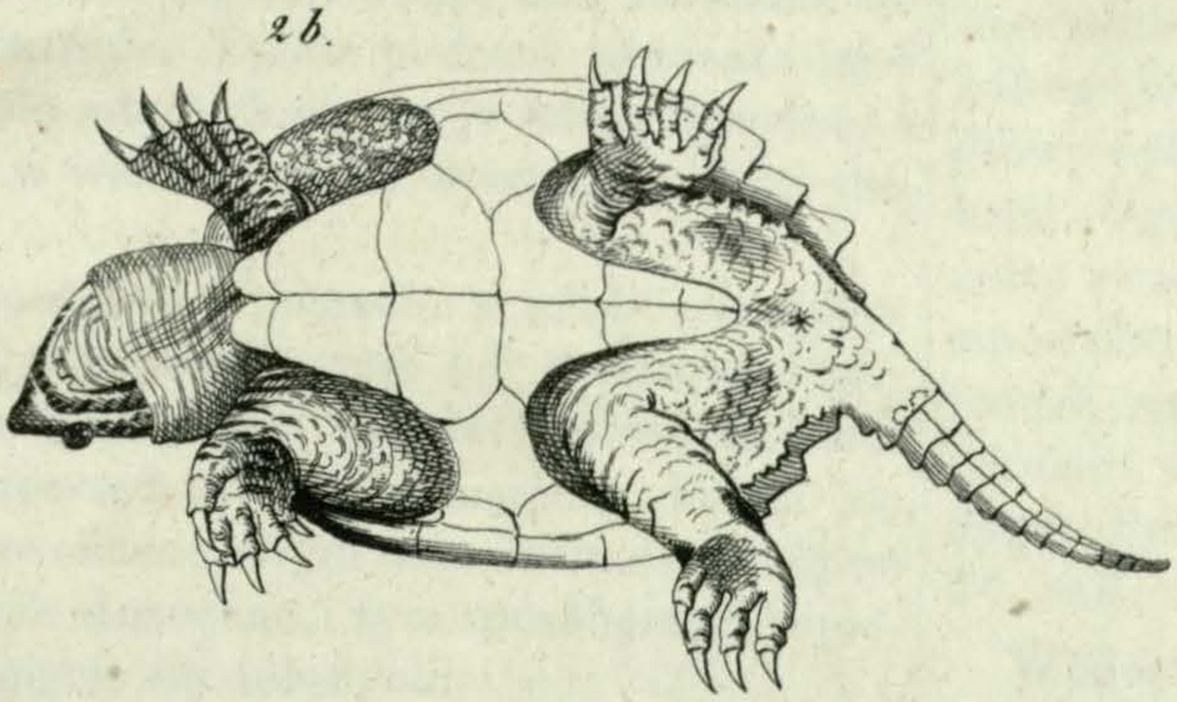

1b.

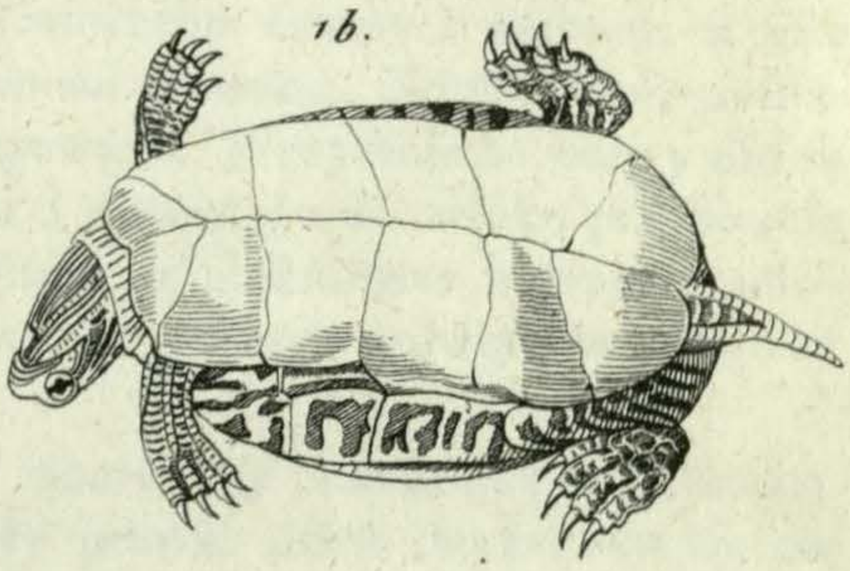

2a.

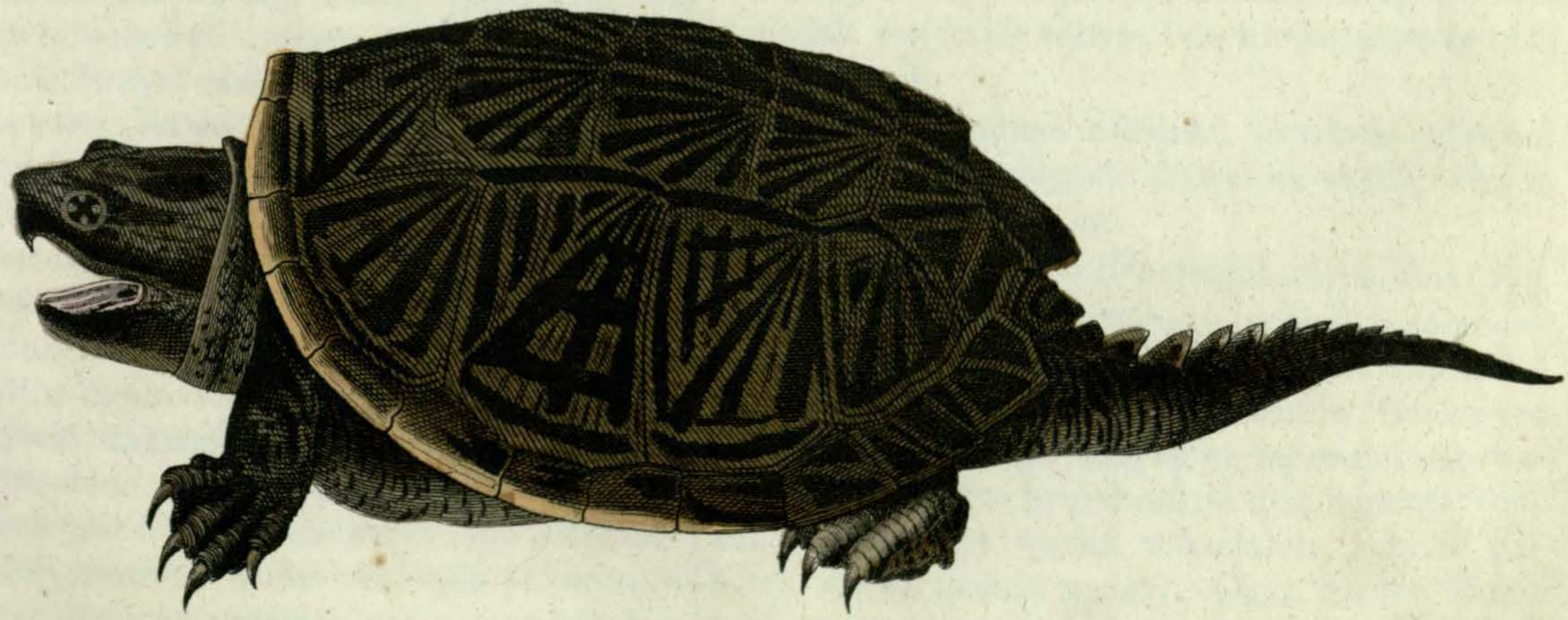

zdarza się badaczowi natury że ujrzy go śpiącego nieruchomie na słońcu; zbliża się więc jaknajostrożniéj; oddech prawie wsobie zatrzymuje, chciwém okiem spogląda na swą zdobycz; lecz przestrzeń kilkudziesięciu kroków od niéj go rozdziela: jeszcze więc ciszéj, jeszcze ostrożniéj postępuje naprzód. Wtém niebacznie nastąpił na gałązkę, która strzaskała się pod jego nogami, lub zawadził o kamień, który się kilka kroków z góry potoczył, i wszystkie usiłowania stracone, żółw', przedmiot tak wielkiego mozołu, zniknął natychmiast pod wodą. Jedyny więc środek w takim razie pozostaje, uprzedzając tak nieprzyjemny rezultat, uciec się zawczasu do prochu i ołowiu, lecz i to się nie zawsze udaje, bo niektóre gatunki tak są trwożliwe, że na strzał nawet zbliżyć się człowiekowi nie pozwolą, a w ostatnim razie, jeżeli który z nich zostanie ugodzony kulą, choć ranny, najczęściéj zdoła piérwéj schronić się do wody, nim człowiek do niego przybiegnie. Tylko podczas niesienia jaj i wylęgania się młodych można je łatwo chwytać, i wtedy téż w wielkiéj ilości bywają na targi dostarczane.

Samica znosi jaja w jamach, w miejscach wilgotnych, i dopóty nieodstępnie ich dozoruje, dopóki się młode nie wylęgną. To dało powód do śmiesznego mniemania, które pomiędzy ludem się utrzymuje, że samice swym wzrokiem zwracają na jaja promienie słoneczne, i tym sposobem przyspieszają wylęgnięcie się młodych.

Niektóre gatunki, zwłaszcza większe, łatwo dają się poławiać na wędkę, należy tylko przynętę dobrze przymocować i sznur dać bardzo silny, gdyż w przeciwnym razie żółwie, mając ostre zęby i mocne pazury, łatwo przynętę obgryzą, a sznur porwą przedniemi nogami.

Za pokarm żółwiom błotnym służą prawie wyłącznie materye zwierzęce; i tak, żywią się małemi rybami, salamandrami, owadami wodnemi, a większe gatunki nawet młodém ptastwem wodném. W niewoli w ogólności są wszystkożernemi, i można je żywić siekaném mięsem, chlebem, kartoflami i rozmaitemi odpadkami. Ponieważ ciepło ich wewnętrzne jest nizkie, a skutkiem tego oddychanie powolne, niewiele zatém zużywają pokarmu, a nawet przez znaczny przeciąg czasu zupełnie bez niego obejść się mogą. Niektóre gatunki wychodzą czasem na ląd, zwłaszcza w porze wilgotnéj, i pożerają glisty ziemne, ślimaki, szarańcze. W ogólności żółwie są zwierzętami drapieżnemi, a niektóre z nich dla człowieka nawet niebezpiecznemi. Wiele gatunków okazuje nadzwyczajną złośliwość; jeżeli podamy im jakikolwiek przedmiot, chwytają za niego i tak mocno się trzymają, że w górę je podnieść z nim możemy. Utrzymują że życie ich jest najtrwalszém pomiędzy wszystkiemi zwierzętami. Jäger podaje że żółw' pół roku może żyć bez pokarmu, a przez kilka miesięcy po wyjęciu mu mózgu.

Rzeki, jeziora i błota Ameryki obfitują w mnóstwo gatunków żółwi, my opiszemy ciekawsze ich gatunki.

Wodożółw' ubarwiony (Emys picta) *Fig.* 1. Puklerz owalny, składający się z 5 tablic grzbietowych, 4 bocznych i po każdéj stronie 25 brzeżnych. Płatki grzbietowe są brunatno-czarne, z pięknemi jasno-żółtemi obwódkami; brzeżne czerwono-czarno ubarwione. Tarcza jest tak długa jak puklerz i jednostajnie żółta. Głowa z wierzchu czarna, z boku żółtemi liniami pręgowana. Gardło i spodnia część głowy cytrynowo-żółta, z licznemi czarnemi prążkami. Ogon z wierzchu czarny z żółtemi, z dołu żółty z czerwonemi plamami. Nogi czarne, podłużnie żółto pręgowane. Wszystkie te barwy nie są jednak stałemi, i stosownie do wieku przybierają rozmaite odcienie; najpiękniejsze bywają u młodych. Puklerz u wyrosłego żółwia ma długości $6\frac{1}{2}$ cali.

Wodożółw' ubarwiony zamieszkuje północną Amerykę. Cały prawie dzień wygrzewa się na słońcu, jest bardzo lękliwy, na zimę zasypia, podobnie jak wszystkie żółwie, i na wiosnę najwcześniéj się pokazuje.

Żywi się młodemi żabkami, owadami, glistami ziemnemi i łatwo daje się złowić na wędkę. Mięso jego bardzo jest cenione.

Żmijożółw' alligator (Chelonura serpentina) *Fig.* 2. Jest to gatunek największy pomiędzy żółwiami amerykańskiemi żyjącemi w wodach słodkich, dochodzi 4 stóp długości i waży 20 funtów. Głowę ma wielką, obie szczęki uzbrojone mocnemi rogowatemi haczykami, a przy brodzie dwa mięsiste włoski. Tarcza jest wązka w kształcie krzyża, puklerz z tyłu mocno wcięty. Ogon bardzo długi, tęgi, na stronie grzbietowéj opatrzony grzebieniem w postaci piły. Głowa z wierzchu ciemna, szczęki koloru rogowego, szyja i cała część spodnia zwierzęcia żółtawo-biała, puklerz ciemno-brunatny, czarno-porysowany.

Żmijożółw' przebywa w wielkich jeziorach i wolnopłynących rzékach Stanów Zjednoczonych. Pospolicie ukryty na dnie rzek, które chętniéj niż jeziora zamieszkuje, niekiedy tylko wypływa na wierzch, lecz kryje się za najmniejszym szelestem. Jest nadzwyczaj żarłocznym i łatwo daje się poławiać. Za pokarm służą mu tak żywe jak zdechłe zwierzęta, a szczególniéj młode ptastwo wodne. Niekiedy wychodzi na ląd, mianowicie na łąki przybrzeżne, lecz tu poruszenia jego są bardzo powolne; idąc, głowę i ogon ma wyciągnięte, i ustawicznie podnosi się na przednich nogach (ztąd powstało jego nazwisko *Alligator*), czego na innych żółwiach nie spostrzegamy.

Jest on bardzo złośliwy, i w Stanach Zjednoczonych obawiają się zbliżać do błot które on zamieszkuje. Szczególniéj niebezpieczném jest spotkanie ze staremi indywiduami, które ukryte w krzakach, czyhają na zdobycz, i nawet niedraźnione rzucają się na samotnego rybaka lub strzelca, którego czy to potrzeba, czy téż namiętność polowania zaprowadziła w te przykre, przez wiele innych zjadliwych gadów zamieszkałe miejsca.

Z egzemplarzami sprowadzonemi do Europy trzeba się jeszcze bardzo ostrożnie obchodzić, gdyż nie do uwierzenia z jaką złośliwością rzucają się na upatrzony przedmiot.

Żmijożółw' posiada wielką muskularność w szyi, i łatwość zwracania nią na wszystkie strony, co go czyni tém niebezpieczniejszym dla zwierzęcia na które się rzuci.

Pływa bardzo szybko, goni zapalczywie za rybami i pospolicie je dosięga. Ze zdobyczą wychodzi na ląd albo pogrąża się na dno wody, i tam ją swemi szczękami i silnemi pazurami rozdziera. Za dowód jego siły w pysku może służyć to, że kij z twardego drzewa, pół cala średnicy mający, jedném cięciem przegryza. Mięso jego ma zapach piżmowy, i nie przez wszystkich chętnie bywa jadane.

KOŚCIÓŁ PAMIĄTKOWY W WIEDNIU.

(VOTIV-KIRCHE).

przez

LUCYANA FALKIEWICZA.

Wpływ sztuki na postęp ludzkości.—Tęsknota człowieka za stanem natury. — Belweder w Wiedniu. — Zbiór Ambraski starożytności. — Przegląd zbioru starożytności. — Rzut oka na starożytną sztukę. — Sztuka indyjska, perska, egipska, grecka, Dedal i Fidiasz.—Wiedeń.—Przegląd obrazów w Belwederze. — Szkoła wenecka: Ticyan. — Szkoła rzymska: Rafael Sanzio di Urbino. — Szkoła bolońska i lombardzka: Francesco Francia; Michał Anioł.— Dwie allegorye. — Program do pamiątkowego kościoła. — Pogląd na rozwój architektury. — Styl gotycki. — Plany do kościoła pamiątkowego uwieńczone nagrodą.— Architekci warszawscy. — Plan P. Radziszewskiego. — Ołtarz sztuki.

Od trzech przeszło lat znane jest powszechnie gorliwe zajęcie się najpiérwszych znakomitości austryackiego państwa zbieraniem składek na *pamiątkowy kościół* (Votiv-Kirche) w Wiedniu, mający być niejako pomnikiem tegoczesnéj budowniczéj, malarskiéj i rzeźbiarskiéj sztuki. Summy na ten cel zebrane, wynoszące przeszło sześć milionów złotych polskich, doprowadziły zamiar ten do skutku; a dzisiaj znane już i miejsce gdzie ta budowla ma stanąć, i plan wedle którego ta najmłodsza świątynia naszego wieku budować się będzie.

W téj chwili, kiedy odpowiednie materyały dotyczące wspomnionego przedmiotu, z listu nadesłanego nam z Wiednia, mamy pod ręką, poczytujemy sobie za miły obowiązek podzielić się niemi z czytelnikami niniejszego pisma, a dołączając pobieżnie kilka własnych wspomnień o Wiedniu, cechując artykuł obecny ciekawszemi określeniami co do jego miejscowości, pochlebiamy sobie iż się takowy tém pożądańszym naszéj publiczności wyda, jeżeli zaglądniemy do sąsiednich przybytków sztuki, obok których pomienioną świątynią wystawić zamierzono.

Pobudka do wzniesienia rzeczonego kościoła zbyt dokładnie jest znaną [1]) aby ją tu obszernie

[1]) Ocalenie cesarza Franciszka Józefa w zamachu z d. 18 lutego 1853 r.

cytować, nadmienić tylko należy iż, oprócz znajomego już powodu, jeszcze jeden się przyczynił, a tym jest: osobliwsze zamiłowanie niemieckiego narodu do sztuki. Cichą i piękną ojczyznę znalazła sztuka po dziś dzień w szczepie germańskim; mile bowiem przebywa ta posłanniczka niebios w gronie takiego ludu, który jéj stawia ołtarze, i pomiędzy takiemi kapłanami, którzy ją więzami miłości umieją spoić ze sobą. Bo i czegoż boski geniusz artysty niedokaże, gdzie świątynie sztuki wyposażone są bogactwami wykształcenia, i upiększone wieńcami nauki.?... Dla kraju, czyż obok religii i oświaty jest co ważniejszego nad sztukę?.. Nauki rozszerzają światło, przemysł ustala byt narodu, mądrość praw gruntuje bezpieczeństwo, sprawiedliwość narody poprawia; ale religia, ale sztuka serca ludów wspólną spaja miłością, a powolną i pewną swą władzą prowadzi ludzkość do pojęcia nieskończonego ideału!... ostateczném zaś jéj zadaniem jest wychowanie i zbliżenie człowieka do raju utraconego.

Kształcenie jest piérwszeństwem, które tylko człowiek, ale, z przyczyny różnorodnych stosunków i okoliczności, nie każdy człowiek miéć może. Mnóstwo wewnętrznych i zewnętrznych pobudek i środków pomocnych musi się połączyć ze sobą, ażeby człowieka, surowy utwór boski, dopiéro uczynić człowiekiem w całém znaczeniu tego pojęcia, wyzwolić go z ciężkiej niewoli przyrodnich konieczności, a tém samém do samodzielnéj przysposobić wolności. Tam, gdzie szczęśliwy zbiór żywiołów odpowiednich ciału ludzkiemu dodał giętkości, a przytém lekkości polotowi duchowemu, tam natrafiamy najwykształceńsze starego i nowego wieku narody. Rolnictwo przywiązało człowieka do stałego miejsca, potrzeba wyuczyła uprawiać ziemię, popęd naśladowania nauczył go formować postacie, dźwięki przyrody wywołały z serca jego muzykę, cierpienia i rozkosze, miłość i wdzięczność przelewał on w pomniki, wynurzał w uroczystościach religijnych i głosił je w pieśniach i dziejach, a przeczucie boskiego życia w naturze doprowadziło go do odwzorowania ciał widomych w symbolice, w piśmie, a nakoniec w sztuce. Tym sposobem odzyskało uczucie i myśl odpowiednie sobie wyrazy, społeczeństwo ludzkie narzędzie łatwego porozumienia się, sztuka materyały i popęd do ciągłego ćwiczenia się, czyn wiecznie trwałą sławę a religia panowanie nad człowiekiem samym. I tak człowiek, wyszedłszy z łona natury, wykształciwszy się na jéj zjawiskach, wyrywa się nakoniec z jéj objęcia, a w samodzielności swéj wyzwolonéj wypowiada jéj dawne dziecinne posłuszeństwo; kocha on ją wprawdzie i wzdycha do niéj, ale już nie dla materyalnych potrzeb, które z rąk jéj niegdyś odbierał, lecz dla téj swobody i roskoszy, jakich w uścisku jéj miłosnym doznawał dawniéj. Za owym nadzmysłowym tęskni on obrazem, który z pojęcia piękna przeszedł w niedościgniony ideał. Ztąd więc może wypływa ta tkliwa tęsknica, to troskliwe i niezmordowane ubieganie się za nowością, ta wieczna skarga za utraconym rajem niewinności i prostoty serca. Ztąd zapewne wynika owa zgryźliwa rozwaga i krytyka zatruwająca wszelkie czyste użycie, to dręczące rozumowanie, które się w planach i teoryach samo wyczerpuje, usiłując piękność przyrody miękkością dzisiejszego życia gdzie może przesadzić. Nadaremne usiłowanie!... ani harmonijna piękność greckiego wykształcenia, ani średniowieczna rozmarzona romantyka, ani dzisiejsza poważna filozofia niepowróci niewinności praświata na wieki!.. Odwieczna kształcicielka rodu ludzkiego w postępie swym nie powtarza się nigdy; każda epoka pod jéj przewodnictwem wprowadza epoki nowe na porządek dzienny; bo forma nowego wykształcenia, ów wiecznie płodny feniks, objawia się wrozwoju ludzkości we właściwym sobie sposobie.

Wszystkie te niemiłe przeciwstawienia, w których nowocześni, patrząc naprzód, oglądając się za siebie, a zawsze za czémś niedosiężoném goniąc, sami ze sobą się plączą, mogą być rozwiązane zgodliwym sposobem i przejść w pewne, pocieszające, siłom człowieka odpowiednie dążenie, jeżeli pociechy w téj idei szukać zechcemy, którą nam chrzescijaństwo w odwiecznych swych prawdach za jedyne wykształcenie i uszlachetnienie ludzkości wskazuje.

Takie zbliżenie się do ideału pokazuje się dość wyraźnie w nowszych, lepszych utworach geniuszów. Gruntowne i głębokie badanie, niezmordowana pilność, wszechstronna ciekawość wiedzy, bystry rozum i wyobraźnia władająca najodleglejszemi i najwyższemi pojęciami, wyszczególniają dzieła nowszéj sztuki i umiejętności, obok których starzy, wyjąwszy plastykę, tylko niedostateczne początki swéj wiedzy postawić mogą. Spinoza, Leibnitz, Kant, walczą z Platonem i Arystotelesem o pierwszeństwo w gruntowności i głębokości po-

jęć;... stara lira zamilkła w instrumentalnéj burzy symfonii Haydena: a Zeuxisa winogrona ustępują przed Madonnami Rafaela i dzisiejszemi kompozycyami Kaulbacha.

Ale nieco za daleko zboczyliśmy z wytkniętéj sobie drogi, chociaż ten mały ustęp odnoszący się do sztuki i umiejętności, a tém samém do jéj skutków, nie może znaleźć stosowniejszego miejsca, jak tu, gdzie przed oczyma mamy świątynią, w któréj, jak w arce przymierza, złożone jest to, co dla ludzkości, jéj wykształcenia i historyi jest najdroższém i najświętszém.

Na wzgórzu od wschodu panującém nad całym okazałym Wiedniem wznosi się cichy, prawie samotny, ale wspaniały, wieńcem alegorycznych postaci ustrojony przybytek sztuk pięknych: godło pokoju, korona geniuszów ludzkości, siedziba wszystkich prawie warunków do podniesienia myśli i uszlachetnienia serca, zwany *Belwederem* [1]).

Budowa ta, będąca niegdyś pałacem cesarskim, wzniesiona przez księcia Eugeniusza z Sabaudyi, składa się z dwóch części obejmujących ogród w smaku francuzkim, gdzie mniéj natury, ale za to więcéj sztuki rzeźbiarskiéj się mieści. Wodotryski przyozdobione grupami mitologicznéj treści: niksy, ondyny, syreny, trytony w najpoetyczniejszych kompozycyach rozrzucone po tym artystycznym ogrodzie, podnoszą wodny żywioł do zachwycającéj piękności. Allegorye cztérech pór roku, wyobrażenia wszystkich miesięcy w dwanaściorgu dzieciach, z atrybutami swych zjawisk i płodów, misternej roboty rzeźbiarskiéj, zatrzymują widza, wynagradzając swą sztuką brak przyrodniéj piękności, ktora dopiéro w sąsiednim, do Belwederu przyległym ogrodzie księcia Schwarzenberga niejako w przeciwległym obrazie przedstawia się oku w całej swéj okazałości.

Niższe zabudowanie Belwederu mieści w sobie sławny zbiór tak zwany *Ambraski*. Zbiór ten jest najznakomitszym skarbem miasta, i najobfitszém zródłem dla historyi i sztuki średniowiecznéj, w ogólności można powiedzieć wszystkich państw Europy. Nazwisko tego zbioru pochodzi od zamku Ambras z 13 stulecia, ulubionego mieszkania Ferdynanda II, syna Ferdynanda I arcy-księcia tyrolskiego, u którego Wallenstein w młodym swym wieku był paziem. Skarby sztuki i zabytki starożytności tego księcia przeniesiono do Wiednia i ustawiono w Belwederze.

Wchodowa sala tego zabudowania mieści dzieła starożytnéj sztuki, między któremi szczególnie ciekawy jest wizerunek Minerwy z kruszcu, znaleziony w Karyntyi przy Maria-Sahl, zabytek z najlepszych czasów greckiéj sztuki. Drugi równie ciekawy przedmiot starożytności jest tak zwany Fugger'a sarkofag, sprowadzony w 16 wieku z Grecyi, z płaskorzeźbą wyobrażającą bitwę amazonek. Obok tego znajduje się kilka hełmów rzymskich, znalezionych w Styryi około Marburga. Między rozlicznemi osobliwościami tu nagromadzonemi, i przeszło 143 zbrojami różnych cesarzów i znakomitych mężów historycznego znaczenia od 14 do 16 wieku, znajduje się 1,200 obrazów słynnych mężów średniego wieku, płaskorzeźby z kamienia i drzewa, rękopisma, księgi rzadkiéj osobliwości i ciekawe przedmioty z państwa przyrody.

W piérwszéj sali na samym wstępie wpada w oczy pancerna koszula Albrechta Niedźwiedzia Brandenburczyka, daléj zbroje Maksymiliana I i Karola V; przyłbica Franciszka I króla francuzkiego i miecz Zryniego. W drugiéj sali trofea zwycięzkie zdobyte 1683 r. na wielkim wezyrze pod Wiedniem, maczuga Montezumy z Meksyku, czarna stalowa, złotemi prążkami poprzecznemi ozdobiona zbroja Stefana Batorego i łuskowata, zielono z różowém emaliowana pancerna koszula Radziwiła. Trzecia sala mieści zbroje używane przy turniejach sławnych rycerzów włoskich, mianowicie: Książąt Farnese, Visconti, Doria, Sforza i innych. Czwarta sala przyozdobiona więcéj stoma portretami rozmaitych książąt europejskich, między innemi małym portrecikiem Stefana Batorego; Rudolfa z Habsburga, Maksymilia, na Karola V, Filipa II, Don Juana austryackiego, Franciszka V, Maryi Stuart i pięknéj Filipiny Welser, żony arcyksięcia Ferdynanda założyciela pierwotnego tych rzadkich zbiorów, Anny królowéj angielskiéj i wielu innych. Piąta sala zawiera starożytności rzymskie znalezione w Tyrolu, przepyszne rzeźby Collin'a

[1]) Belwederem (Bellevue) nazywa się we Włoszech zabudowanie przeznaczone do użycia pięknego widoku. Campe tłumaczy ten wyraz: „*Sieh dich um*" (*oglądnij się*). Tak nazywają się téż małe wieżyczki wznoszące się nad domami, do których się wchodzi dla użycia świéżego powietrza i pięknego widoku. Takiemi wieżyczkami opatrzona jest większa część domów w Rzymie, ale właściwe Belwedery znajdujemy tylko przy pałacach możnych panów. We Francyi zowią Belwederami małe zabudowania sielankowéj struktury i prostéj ozdoby, albo téż aleje łuczystego kształtu na końcu ogrodu lub parku, gdzie się pokrzepia chłodem i chroni przed upałem słońca.

z Mecheln, mistrza grobowca cesarza Maksa z Insbruku, i wiele osobliwości natury. W szóstéj sali znajdują się rozmaite prace wielkich mistrzów niemieckich z wieku średniego, przedmioty sztuki z drogich kamieni, puhary i rzeźby Albrechta Dürer'a, naszyjnik wielkiéj wartości ozdobiony drogiemi kamieniami, popiersia, począwszy od cesarza austryackiego Rudolfa, aż do Ferdynanda III. Ale najznakomitszą osobliwością jest sławna solniczka złota, sporządzona przez Benvenuta Cellini dla Franciszka I króla francuzkiego, o któréj to misternéj pracy sam mistrz często w swojém życiu z największém zadowoleniem wspominał. Wszystkie te rzadkie przedmioty i pomniki ubiegłych czasów, rozmaitego rodzaju i sposobu obrazy, monety, zbroje, pisma i sprzęty zamierzchłych i przebrzmiałych wieków, przenoszą nas w krainę dawnych narodów i ich władzców, i dają nam, lubo niedostateczne, ale żywe wyobrażenie o czynach ich, zwyczajach i obyczajach, o ich religii i umiejętnościach, o sztuce i jéj stopniach doskonałości, o ich prawach i życiu prywatném, o przemyśle i rękodziełach, które przed okiem widza obrazowo się przesuwają, wyświecając postęp wszechwładczego ducha czasu przeszłych narodów po widowni świata.

W tém samém zabudowaniu znajduje się też muzeum egipskie mieszczące w sobie mumie, zwoje papirusów, narzędzia i sprzęty Egipcyan i t. p. Między innemi spostrzegamy sfinksa z białego marmuru o trzech głowach.

Rzućmy choćby przelotnie okiem na kolébkę sztuki pra-pra-ludów, a ujrzymy ją u najdawniejszych mieszkańców Azyi i Afryki w powolnym rozwoju, w nieśmiałym wprawdzie pojawie, ale poważną i głęboką czcią nacechowaną. U narodów biblijnych, patryarchalnych natrafiamy już na 23 wieki przed narodzeniem Chrystusa na bożyszcza domowe, a świątynie indyjskie wyciosane w skałach widziémy przyozdobione rzeźbami. W pagodzie Elefantyny około Bombaj znaleziono posąg *Bramy* olbrzymiéj postaci. Posąg ten spoczywa na postumencie, z założonemi na piersiach rękami, z podwójną twarzą: z przodu z męzkiém obliczem i téj saméj postaci, z odwrotnéj zaś strony z twarzą i kształtem kobiéty. Na prawéj piersi wyobrażone jest słońce, na lewéj zaś księżyc, gwiazdy, wody, góry, zwierzęta i rośliny. Indyanie wierzyli że ten posąg darował bóg swemu synowi, ażeby był wzorem do naśladowania dla ludzi. Ztąd widziémy że najstarsze narody już pojmowały tę prawdę, że się sztuka na naturze kształcić powinna, aby się stała godną swego Pana i Stwórcy. Tak jak wyobraźnia indyjska, była téż i sztuka równie płodna i bogata; a chociaż nadzwyczajnie wyrazista i pełna znaczenia, była ona tajemnicza, skłaniająca się do allegoryi i symboliki.

Rzeźbiarstwo ich, bo tylko o tym rodzaju sztuki może być mowa, bez zmysłu piękna modelowane, wydaje się niejako mozaiką pojęć. Persowie, miłośnicy przepychu i okazałości, posiadali równie wielką liczbę dzieł sztuki, o czém ruiny miasta Persepolis dostatecznie świadczą; ale że nigdy nagich nie wyobrażali postaci, ztąd brak pojęcia głębszego o kształcie harmonijnym ludzkiego ciała jest tak widoczny i rażący. Pewniejsze i doskonalsze pojęcie sztuki i jéj stylu objawia się dopiéro u Egipcyan. Posępna i poważna jak sam ten naród, pełna głębokiéj treści, tajemniczym płaszczem hieroglifów osłonięta, spokrewnia się już z poezyą i historyą, a z mumiów przemawia pojęcie o nieśmiertelności duszy. Ale równie jak państwo śmierci, w mumiach urzeczywistnione, zdawało się dla Egipcyan prawdziwym być nieśmiertelności bytem, tak téż i sztuka ich więcéj podobna do śmierci jak do życia. Martwe i bezwładne są ich postacie w wyobrażeniach bóstw, jak to widziémy w posągach Izydy, ale w téj odrętwiałości myśli spostrzegać się daje głęboka treść idei, dla któréj czci nie starano się nawet większéj uwagi zwracać na formę, ani na jéj wydoskonalenie. Postępując za tym wątkiem daléj, przejdźmy do Grecyi, gdzie z początku na te same pojęcia indyjskie i egipskie natrafimy. Posągi dwugłowe Janusa, odnoszące się do wyobrażenia słońca i księżyca, równie jak ich Hermy, niczem inném nie są, jak tylko naśladowaniem indyjskiego Bramy i bożków drogowych starych Fenicyan, z małemi tylko odmianami, jak np. w Hermeraklach, Hermatenach, Hermeotach i t. p. W tych posągach, w których z początku ani rąk ani nóg nieodznaczano, widziémy najbliższe podobieństwo do tych mumiowych postaci z cedru i hebanu, gdzie ręce i nogi przylegały do ciała, a oczy i usta prostém tylko cięciem były oznaczone. Późniéj rozwiązano posągom ręce i nogi, a bóstwu dano miecz albo dzidę do ręki. Tak powstały piérwsze posągi Pallady z owéj pieluchowéj Hermety. Dopiéro na trzy wieki prawie przed wojną trojańską piérwsza epoka sztuki zaczyna się od Dedala, o którym Grecy allegorycznie mówili, że jego posągi chodziły, widziały i mówiły, a Pery-

kles podniósł sztukę do idealnéj doskonałości, bo Ateny zyskały w dwudziestu latach rządu tego wielkiego męża więcéj i kosztowniejszych dzieł artystycznych, niż Rzym przez siedm prawie wieków od początku swego istnienia. Największy wpływ na ówczesną sztukę grecką wywierali poeci, którzy do plastycznego ideału dostarczali najwznioślejszych wzorów. Fidiasz stworzył podówczas dwa główne ideały: Minerwę i Jowisza; piérwszą dla Partenonu w Atenach, drugi zaś był ów sławny olimpijski Jowisz w Elis. Obadwa te posągi były wypracowane w złocie i w kości słoniowéj; bożek był zachwycającéj piękności, wymodelowany z wdziękiem i powabem, chociaż kolosalnéj wielkości, bo 40 stóp wysoki. Wielkość jego najtrafniéj wyraził jeden z greckich epigrammatyków w tych słowach: „Posąg ten zrzuciłby dach świątyni jak cienką skorupę, gdyby tylko powstał ze swego złotego tronu."

Spowodowani widokiem mumij i zabytków sztuki egipskiéj spoczywającéj w pieluchach wyobraźni, wyprowadziliśmy ją z téj historycznéj kolébki; a teraz, po postawieniu jéj pod dłutem Fidiasza na szczycie idealnéj doskonałości, opuszczamy ją na tym stopniu, na jakim ją świat tegoczesny we wzorowych podziwia antykach, a po którym geniusze następnych wieków do nieśmiertelnéj wzbili się sławy. Aby im należną cześć oddać, wróćmy się do miejsca z któregośmy wyszli, to jest do Belwederu, a mianowicie do drugiéj części téj świątyni, gdzie jéj kapłani poustawiali ołtarze wiekopomnéj czci i uwielbienia.

W wyższém zabudowaniu Belwederu z obszernéj sali marmurowéj piérwszego piętra przedstawia się oku najwspanialszy widok na całe rozległe miasto, z jego zachwycającemi okolicami. Stańmy na chwilę w tym przybytku pokoju i spojrzyjmy przed siebie na daleką przestrzeń najeżoną wieżami, napiętrzoną budynkami i kościołami, poprzerzynaną ulicami, których gwar głuchy, jak szum oddalonéj kaskady, obija się o ucho spostrzegacza. Dzieje ludów i czynów ich, mianowicie narodu rzymskiego, przesuwają się w pamięci na widok Windobony, gdzie legiony cezarów od Augusta do Wespazyana miały swe stałe załogi. Tu największy z władzców rzymskiego imperium, Marek Aureliusz, życie swe świetne zakończył, kiedy Germanowie, przekroczywszy granice Dunaju, posiadłości Rzymu niepokoić zaczęli. Groźny Allemanów związek, Gotowie, Allarych zdobywca stolicy świata, Attilla bicz boży, Longobardowie, Awarowie nawidzali i pustoszyli stare naddunajskie miasto, a uprowadzając łupy, kreślili pochód swój straszliwy śladem krwi i pożogi. Gdzież są te hordy najezdników, synów wojny i zaburzeń, których przeznaczeniem było wszystko niszczyć, co w trudzie i pracy ludzki duch zbudował? Zaledwie pamięć blada po nich pozostała w dziejach świata! Wszystko przebrzmiało, sława i świetność starodawnych władzców świata upłynęła z falami Dunaju, który teraz, jak dawniéj, poważnie i spokojnie unosi przeszłość niepowrotną w milczących swych nurtach i zlewa ją w morze czasu i pamięci. A dziś na ruinach potęgi, na zburzonym kolosie niszczycielów oświaty i sztuki, wznoszą się kolumny nowéj świątyni, a w niéj dzieła wszechtwórczego geniuszu, który swobodnym lotem wzbija się do piękniejszego historycznego wspomnienia! Wejdźmy więc między nieśmiertelne mistrzów cienie, i uczcijmy ich pamięć podziwieniem!!...

Nie będziemy się zatrzymywać przy pojedynczych mistrzach i ich dziełach, do tego bowiem potrzeba obszerniejszego rozmiaru pisma; ograniczymy się tu tylko na wyszczególnieniu szkoły włoskiéj i wymienieniu mistrzów którzy ją w téj galeryi tak świetnie reprezentują.

Na prawém skrzydle piérwszego piętra znajduje się szkoła włoska, a mianowicie szkoła wenecka, w piérwszym pokoju. Początek świetnego peryodu téj szkoły dał Andreo Mantegna w 15 wieku. W tym czasie natrafiamy w Wenecyi na trzy klassy malarzów. Do piérwszéj należeli ci, którzy się surowo starożytnych trzymali wzorów; do drugiéj, którzy się nieco od sztywności i pierwotnego chłodu oddalili, przelawszy lepszy smak w swe dzieła z wierniejszego naśladowania natury; do trzeciéj zaś ci, którzy się zupełnie wyrzekli starego smaku i maniery. Do tych ostatnich należy Paweł Veronese, Palma Vechio, Giorgione i inni, których arcydzieła w pomienionym znajdujemy pokoju, mianowicie: Chrystus i Magdalena, Zwiastowanie Najświętszéj Panny Maryi; trzej królowie w Betlehemie, Najświętsza Panna Marya z dziecięciem, wszystkie Pawła Veronese penzla. Giorgione, będąc jeszcze młodzieńcem, założył osobną szkołę, którą mienią być niektórzy piérwszą właściwie wenecką. Obrazy tego mistrza są dla jego wczesnéj śmierci nader rzadkie, i jeden z nich tylko znajduje się w galeryi wiedeńskiéj.

Drugi pokój zapełniony jest najcelniejszemi pracami Ticyana, między któremi najsławniejszy

jego: „*Ecce homo*" na którym Karol V, Soliman, Aretyn i sam mistrz są przedstawieni. Daléj widziémy siedm jego obrazów: Diana w kąpieli, złożenie Chrystusa do grobu, Danae, Madonna między świętymi, święta rodzina, jawnogrzesznica i własny portret mistrza, w których podziwiać możemy tę szczególną właściwość penzla, z jaką tylko Ticyan malował ludzkie ciało, owe nieporównane stopniowania tonów, które wtenczas tylko rozróżnić się dadzą, kiedy się jedne z drugiemi, przy najbystrzejszém wpatrywaniu i uwadze, porównywa. Zdaje się jakby wszystko jedną było malowane farbą, bo nieskończona rozmaitość tonów podwładną jest jednemu ogólnemu tonowi, z którego harmonia wszystkich, a z niéj dopiéro życie przemawia. Daléj są oryginały: Pardinonego, Cateny, Belliniego i Baraitego.

W trzecim pokoju są dzieła szkoły rzymskiéj a między niemi nieśmiertelne dwa oryginały największego mistrza nowego czasu, Rafaela Sanzio de Urbino. Madonna i rodzina święta są temi klejnotami, któremi galerya wiedeńska wieńczy swe nagromadzone skarby malarskiéj sztuki. Cóż tu da się powiedzieć o tém, co jak świętość jaka wyższém jest nad wszelką ziemską pochwałę?.. Potrzeba widzieć,... wpatrzyć się duszą, aby pojąć i uczuć cudowne natchnienie mistrza, zdumiewać się i uczcić tę niepokalaną czystość duszy, która tak boskie wydała utwory. Kompozycya Madonny jest tak szlachetna, wyraz tak wzniosły i poważny a zarazem święty, koloryt tak silny i prawdziwy, że tych zalet wszystkich niepodobna prawie w innych obrazach w jedném połączeniu znaleźć. Rafael, wykształciwszy się na antykach i naturze, stworzył sobie sam własny ideał, który przez swe zbliżenie się do natury ludzkiéj tém bardziéj uczucie człowieka porywa za sobą; gdy tymczasem w greckich utworach wzniosłość idealna przeważa. W dojrzalszym męzkim wieku zyskał rysunek Rafaela więcéj samodzielności, a wtedy stawało się już wszystko pod jego czarodziejskim penzlem życiem i ruchem w postaciach. Draperye jego są skromne, lekkie i tak ułożone, że okrywają, ale nie zakrywają ciała. Kompozycya i wyraz, oto są właściwości w których Rafael wyłącznie był nieporównanym. Obrazy jego są zupełnie uczuciem i duszą, zlanemi w takiéj harmonii, do jakiéj wszyscy inni mistrzowie nadaremnie dążyli. Goethe o nim pięknie powiedział, że robił to, co sobie inni życzyli aby było zrobioném.

Mnóstwo widzów przechodzi od pokoju do pokoju i zachwyca się okazałością scen obrazowych, porozwieszanych po ścianach salonów; tylko przed Rafaela obrazem rzadko kto stanie, ale jeżeli się zatrzyma, to już stoi jak przykuty i nie idzie daléj, lecz w zamyśleniu odchodzi do domu. Są to prawdziwi wielbiciele sztuki, którzy spojrzawszy na obrazy Rafaela, napoiwszy do nasytu duszę z czystego źródła, najwyższéj już doznali roskoszy duchowéj, i wszystko już widzieli, nawet to, co innym jeszcze do widzenia pozostało. W tym samym pokoju są dwa obrazy Perugina, piérwszego mistrza Rafaela, i dwa Salvatora Rosy.

W czwartym pokoju umieszczona jest szkoła florentyńska, któréj założycielem był sławny Cimabue, od swych ziomków uważany za cud, za zjawisko jakieś, ponieważ on piérwszy odważył się tak zwaną grecką manierę zarzucić, nadawszy figurom swoim więcéj ruchu i życia. Do téj szkoły należy téż nieśmiertelny Leonardo da Vinci, którego najznakomitszém dziełem w dziedzinie malarstwa jest wieczerza Pańska. Obraz ten podczas wojen francuzkich we Włoszech do tego stopnia został uszkodzonym, iż go Napoleon pod przewodnictwem sławnych artystów w takim samym rozmiarze co oryginał w mozaikę przenieść, a cesarz Franciszek po odebraniu dzieł sztuki z Paryża rozpoczęte dzieło ukończyć i w kościele Augustyanów w Wiedniu umieścić rozkazał.

W piątym pokoju przedstawiona jest szkoła bolońska i lombardzka w sławnym Francesco Francia, Guido Renim, braciach Carracio i wielu innych. W połowie piętnastego wieku, kiedy we Florencyi Leonardo da Vinci, a w Wenecyi Bellini słynęli, był Francesco Francia głową szkoły bolońskiéj. Chociaż licznym jego kompozycyom zbywa nieco na ogniu i wyrazistości, za to rysunek jego jest poprawny, a koloryt lepszy niż Perugina. Francia był ulubionym przyjacielem Rafaela, który mu portret swój w dowód szczeréj przyjaźni ofiarował. Szkoła ta, wierna naśladowniczka natury i jéj prawdy, doznała bolesnego ciosu przez zgubny wpływ Michała Anioła, bo uczniowie jéj nietylko że naśladowali manierę tego mistrza, ale usiłując własnemi doświadczeniami poprawić styl jego, na błędną zeszli drogę. Ztąd ówczesne malarstwo bolońskie okazało się po części słabém i niedoskonałém w rysunku, po części zbyt efektowém albo zamgloném w kolorycie. Ten zwodniczy smak, z mniejszém lub większém

powodzeniem, szerzył się na nieszczęście sztuki coraz bardziéj we Włoszech, aż nareszcie Carracym udało się sztukę podźwignąć i sprowadzić na drogę prawdy i sumienia. Między innemi zabytkami téj szkoły najcelniejszy jest wizerunek Chrystusa w cierniowéj koronie, Annibala Carracego, ś. Jan dziecięciem, oryginał jednego z najznakomitszych malarzów hiszpańskich Murilla, i tryumfalny wyjazd Cezara przez Andrea Mantegna. W szóstym pokoju znajdują się różne szkoły pojedynczych mistrzów, mianowicie Antonellego di Messina, Spagnoletta, i Lucca Giordana.

Gdybyśmy chcieli tym sposobem przechodzić z piętra na piętro, od Włochów do Niemców, Niderlandczyków i Flamandczyków, do Hiszpanów i Francuzów, od staroniemieckiéj do średnio i nowoniemieckiéj szkoły, od pokoju do pokoju, od mistrza do mistrza wybierać ich dzieła kolejno, zachwycać się cudownością kolorytu Rembrandta, podziwiać zapamiętałą śmiałość i płodność penzla Rubensa, rozpływać się nad słodyczą Murilla, porównywać świętą prawdę rysunku starych mistrzów, jak Van Dyka, Holbeina, Cranacha, z wyidealizowaną pięknością utworów nowszych mistrzów, minęlibyśmy się z założonym celem tego artykułu, którego treścią miał być *kościół pamiątkowy w Wiedniu*. Z żalem więc opuszczamy ten przybytek sztuki, gdzie się zapomina o wszystkiém, patrząc na świat w arcydziełach ludzkiego geniuszu przybóstwiony. Ten przelotny rzut oka na szkołę włoską powinien nam wystarczyć do ocenienia skarbów które w téj galeryi w 32 pokojach i dwóch gabinetach w systematyczném uporządkowaniu są umieszczone. Na inném miejscu, jeżeli mi się opis mojéj wycieczki z Galicyi do Wiednia powiedzie, wstąpimy jeszcze raz do tego zaczarowanego pałacu, i przejdziemy się swobodniéj po jego labiryncie, a zabawiwszy w nim dłużéj, wysnujemy kilka scen ciekawszych z obrazów, w których, jak w dramacie, życie ludzkie ze wszystkiemi jego charakterami w najrozmaitszym stosunku do prawdy i fantastyczności w szatę poezyi obrazowéj dało się przystroić.

Wychodząc z pałacu galeryjnego od strony południowéj za belwederską rogatkę, mamy przed sobą w niejakiéj odległości drugie przepyszne zabudowanie, a tém jest: *arsenał*. Najnowszy ten gmach wydaje się jak małe miasto w mieście, ale jakże odmiennego charakteru od tego gmachu, któryśmy dopiéro opuścili!... Tam cisza uroczysta pod opiekuńczém skrzydłem pokoju przenosi myśli nasze w przeszłość swobodnych czasów, dozwalając patrzéć na ubiegłe szczęście świata, którego miłe obrazy różowy ogród teraźniejszości swemi płodami zdobią, i jak stafaże pięknego pejzażu do nas się wdzięczą; a tu gwar i nieustanny brzęk tętni surowém echem pod zasłoną groźnych murów, gdzie jak w kuźni Wulkana kuje się hart żelaznéj zbroi dla bojowego życia, płomienistéj sławy i męzkiéj odwagi. Pokój i wojna spoglądają na siebie godłami właściwemi swéj naturze w tych dwóch przeciwstawieniach. Otóż na tém miejscu, między symbolem pokoju i wojny, założonym będzie kamień węgielny pamiątkowego kościoła w Wiedniu. Religia z rószczką oliwną zgody i miłości chrześciańskiéj, niby na górze Syonu, postawi swe godło nadziei i wiary.

Arcyksiążę austryacki Ferdynand Maksymilian, za porozumieniem się i poradą Ludwika króla bawarskiego, ogłosił odezwę do wszystkich architektów krajowych i zagranicznych, ażeby się zajęli wypracowaniem planu, podług którego pomieniony kościół ma się zbudować. Treść téj odezwy jest następująca: Budowa rzeczonéj świątyni ma być w stylu gotyckim, dwiema przyozdobiona wieżami, takiego rozmiaru ażeby 5,000 ludzi pomieścić mogła. Oprócz wielkiego ołtarza, ustawione będą tymczasowo tylko dwa ołtarze, w planie wszakże ma być miejsce na więcéj pobocznych ołtarzów, a przy chórze dwa oratorya oznaczone. Na wybudowanie przeznaczona jest summa 1,500,000 zł. reńskich, (6,000,000 zł. polskich), koszta ołtarzów, jakotéż przyozdobienia wewnętrznego, nie są objęte pomienioną summą. Plany winny być sporządzone w stosunku jak 9 linij, czyli 2 centimetrów, do wiedeńskiego sążnia, czyli jak 1: 89, w czystych konturach, słowem tak, ażeby ze wszystkiemi bocznemi widokami i przekrojami w każdym względzie były zrozumiałemi. Każdy z tych planów ma być oznaczony jakiémś godłem, i do komitetu zajmującego się kierowaniem téj budowli, mianowicie do konsystoryalnéj kancellaryi w Wiedniu, nadesłany. Planowi ma towarzyszyć osobno opieczętowane pismo, opatrzone podobném godłem jak plan, mieszczące wewnątrz nazwisko i miejsce zamieszkania konkurenta. Wybór planu zostawiony jest wyłącznie arcyksięciu Ferdynandowi Maksymilianowi; wybrany nakoniec, mający posłużyć do wykonania rzeczonéj budowli, ma być uwieńczony nagrodą 1,000 dukatów w złocie; oprócz tego

Fig: 1.
Pecopteris aquilina.

Fig: C.

Fig: A.

Fig: 3.
Ammonites Brongniarti.

Fig: 4.
Terebratula digona.

Fig: 5.
Terebratula globata.

Fig: 6.
Tereb: spinosa.

Fig: 7.
Tereb: Thurmanii

Fig: 8.
Tereb: sella.

Fig: 15.
Turritella imbricataria.

Fig: 14.
Tereb: Defrancii.

granica głazów narzutowych.
utwór miocenowy.
utwór eoceniczny
utwór kredowy
utwór jurajowy
utwór permski
utwór triasu
utwór dewoński
utwór węglowy
utwór sylurski

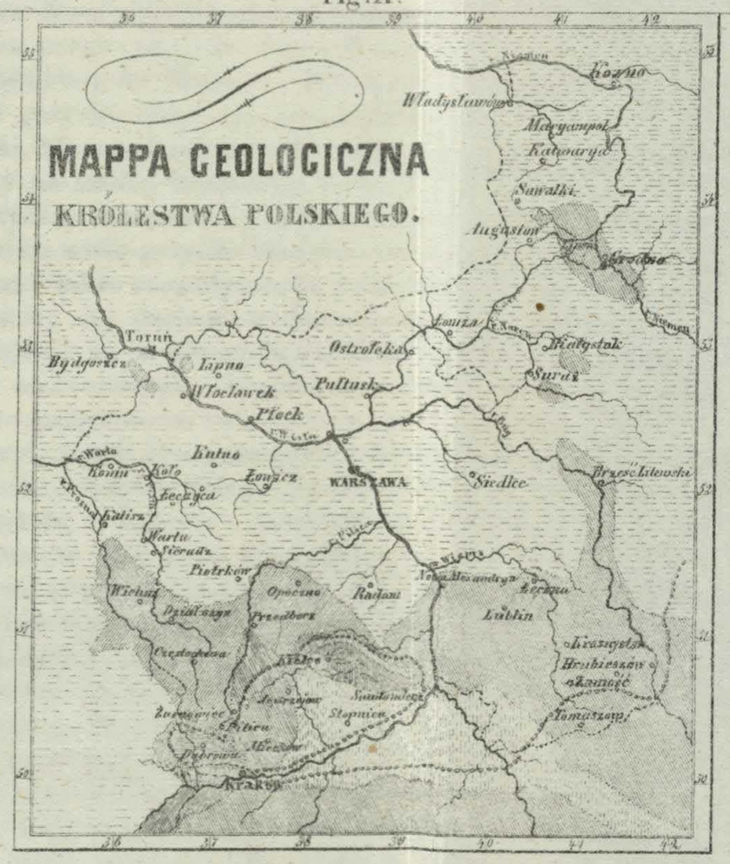

Fig: B.

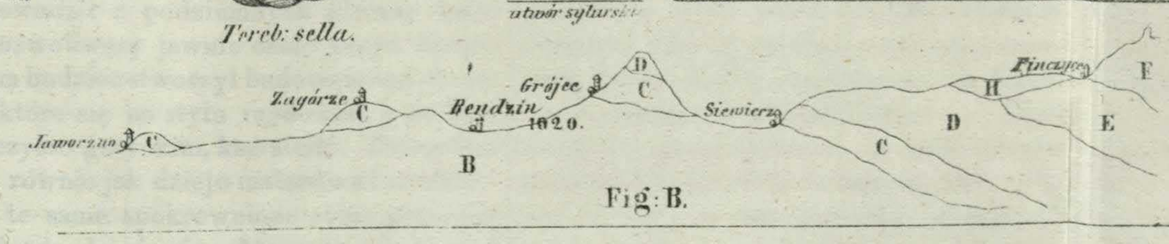

Fig: D.

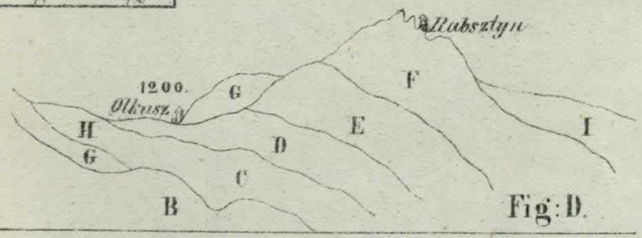

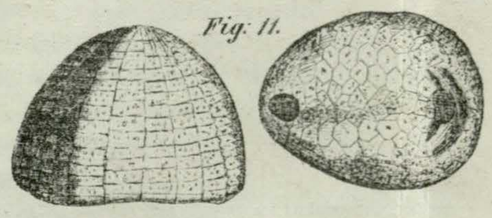

Fig: 11.
Ananchites ovatus.

Fig: 18.

Bos primigenius.

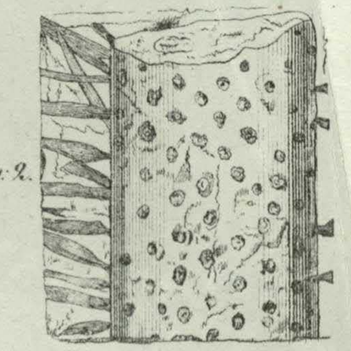

Fig: 2.
Stigmaria ficoides.

Fig: 9.

Cyathophyllum turbinatum.

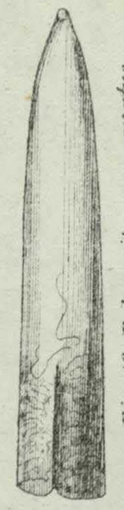

Fig: 10. Belemnites mucronatus.

Fig: 12.

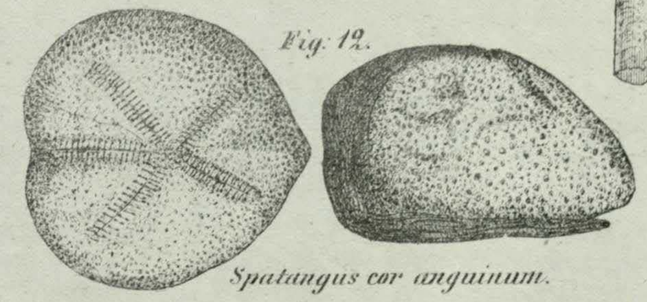

Spatangus cor anguinum.

Fig: 13.

Catillus Cuvieri.

Fig: 16.
Pleurotoma rotata.

Fig: 17.
Inoceramus concentricus.

lit: A. Meller

przeznaczone będzie honorarium po 1,000 zł. reńskich (4000 zł. polskich) za kilka innych szczęśliwiéj wykończonych planów, które wszakże pozostaną własnością swych autorów.

Na takie ogłoszenie wzięli się znakomici architekci do ołówka i cyrkla; komponowano plany nie tak dla zysku, jak raczéj dla osiągnienia palmy zwycięztwa na polu tego artystycznego zawodu; bo téż nielada czém można było zbywać, kiedy ta najmłodsza córka budowniczéj sztuki stanąć miała obok tak licznego rodzeństwa twórczéj matki, która z dziećmi swemi na nią spoglądać miała z belwederu. Obiedwie te przedstawicielki rozwoju ludzkiego, malarstwo i architektura, a z niemi plastyka, równie jak historya, były od najdawniejszych czasów najwyraźniejszemi świadectwami postępu i czynów świata; wszakże ony wskazują potomności czém jéj przodkowie byli, co zdziałali i co umieli, ony wyświecają dążenia różnych ludów, jak jeden od drugiego się uczył i postępował, w miarę jak inny ustawał albo się cofał. Jeszcze w dzieciństwie ludzkości, kiedy rozum człowiekowi wlał w serce przeczucie Najwyższéj Istoty, któréj swoje życzenia, dziękczynność, swe pokuty i ofiary składać pragnął na poświęconych ołtarzach, wznosiły się już świątynie pełne symbolicznych wyobrażeń i własności przyznawanych bóstwu swemu; późniéj zaś, z poczuciem w sobie samodzielnych władz umysłowych, wytężały narody całą siłę swego twórczego geniuszu, wznosząc gmachy swych świątyń z wytwornością i okazałością, których potężne ruiny jeszcze po dziś dzień wzbudzają podziwienie. Ten sam bodziec, stosownie do pojęć i wyobrażeń ludów chrześciańskich, począwszy od Konstantyna Wielkiego, który chrześciaństwo wyprowadził z podziemnych pieczar katakombów, dozwoliwszy jawnie czcić krzyż Zbawiciela, ten sam bodziec stworzył budownictwo chrześciańskie, które się na stylu rzymskim, a za Teodoryka na czysto gotyckim, kształciło. Dzieje budownictwa, równie jak dzieje malarstwa i rzeźbiarstwa, mają te same spokrewnione sobie przejścia w upadku i odrodzeniu się. Mężowie jak Michał Anioł, Rafael i ich współcześnicy, usiłując sprawiedliwie odwrócić mistrzów swego wieku od niewolniczego naśladownictwa starożytnego stylu, starali się tém samém nadać budownictwu smak nowy, oczyszczony z ciężkości romanizmu, odpowiedni duchowi czasu i miejscowości; ale ten, przez nieumiarkowaną gorliwość nowatorów, którzy dla źle zrozumianéj oryginalności wszystko lubią przesadzić, zamiast pójść drogą *wykształcenia*, zeszedł na ścieżkę *przekształcenia*, a oddaliwszy się od czystego studium najlepszych wzorów, zaniechał go nareszcie zapełnie, stworzywszy sobie tak zwaną architekturę nowo-włoską, która zbytecznością drobnostkowych ornamentów nie zastąpiła wcale szlachetności i powagi w formie, ani pięknéj harmonii w całości, jaka z klasycyzmu starożytnego przemawiała.

Do czasów Karola Wielkiego było budownictwo dla Niemców prawie nieznane. Karol Wielki sprowadził architekturę do Niemiec z Włoch, ale nie był to styl gotycki, tylko tak zwany podówczas nowo-grecki. Nieco późniéj wpłynął smak arabskiéj architektury na sztukę zachodnią, którą Niemcy nieco z gotyckim zmięszawszy stylem, utworzyli sobie właściwe nowo-gotyckie budownictwo. Styl ten, nazywany także romantycznym, podniosłszy i wykształciwszy się duchem średniowiecznéj romantyki, objawił się w szczególnym, do klimatu i religijności zastosowanym charakterze, a znalazłszy mnóstwo naśladowców i miłośników, przeniósł się do Francyi, Anglii, Hiszpanii a nawet do Włoch. Wieże Münsteru strasburgskiego, kościół ś. Szczepana w Wiedniu, w Erfurcie i wiele innych można nazwać koronami tego stylu niemiecko-gotyckiego, który we wszystkich prawie staroniemieckich kościołach jest widoczny. W górę wspinające się wysmukłe kolumny, ze swemi krzaczystemi łukami zbiegającemi się ze sobą u podniebia sklepienia, podobne są do pni gajowych dębów, które ocieniały ołtarze starych Teutonów. W takiém półświetle świątyni odrywa się uczucie człowieka od wszelkiego doczesno-ziemskiego roztargnienia, a podnosząc myśli swoje ku promienistym łukom świątyni, gubi się modlitwą w nieskończoności bóstwa, gdzie odbiéra namaszczenie na dziedzica życia wyższego, nieśmiertelnego!... Dlatego téż wszystkie przyozdobienia w tych starych chrześciańskich kościołach wydają się jakby przypadkowe; są ony, że tak powiemy, religijno-obrazową mową świątyni; a tam gdzie monstrancya spoczywa, cała architektura przybytku powtórzoną jest allegorycznie w miniaturze. W takich budynkach każdy uczcić i podziwiać musi ten głęboki i odpowiedni pomysł planu, śmiałe i zrozumiałe uporządkowanie wszystkich części, niezmierną i niezmordowaną pilność w wykonaniu, to wrażenie wielkie, uderzające z olbrzymich mass zewnętrznéj budo-

wli, a najbardziéj owę wysoką powagę wnętrza, zbudzającego pobożne uczucia w tym, kto w progi takiego przybytku wstępuje.

Taki więc styl wybrano, podług którego miały być wykonane plany do pamiątkowego kościoła w Wiedniu, w którymby może nie piękność budownictwa, gubiąca się w wymownéj dziwaczności przyozdobień, ale raczéj symbolika religii i powaga historyczna architektury niemieckiéj wyobrażoną była.

Gazeta Wiedeńska z dnia 10 czerwca 1855 rozwiązała nakoniec gordyjski węzeł, podając do wiadomości orzeczenie sądu co do najlepszego planu, i przyznanie nagrody 1,000 dukatów w złocie autorowi onego, a nim był, jak się pokazało po otwarciu adresu opieczętowanego i białym krzyżem w niebieskiém polu oznaczonego, *Henryk Ferdynand Ferstel z Wiednia*. Między 80 z różnych stron cesarstwa i z zagranicy nadesłanemi planami następujący otrzymali nagrodę po 1,000 zł. reńskich, (4,000 złp.), wszyscy bez wyjątku Niemcy: 1. pod dewizą „*Ich's*" (to ja) przez *Wincentego Statz* z Wiednia; 2. pod cyframi: „*A, C, J, O, U,*" przez *Schmidt'a* z Kolonii; 3. pod dewizą: „*In Treue fest*" (stały w wierności) p. *G. G. Ungewitter* z Kassel; 4. pod godłem: „*Lobe den Herrn meine Seele, und vergiss nicht, was er dir Gutes gethan hat*". (Wielbij Pana, duszo moja, i niezapominaj, co ci wyświadczył dobrego), przez *Jakuba Fryderyka Schmitt'a*; 5. pod napisem: „*Ob auch stumm und todt der Stein, flösst die Kunst ihm Leben ein*" (Kamień choć niemy i martwy, sztuka życie mu wlewa); przez *Ferdynanda Kirschner'a* z Wiednia; 6. pod dewizą: *Jehova, Herr des Weltalls, wer gleicht dir, du schlaegst den Uebermuth zu Boden*". (Jehowo, Panie wszechświata, kto tobie zrówna, Ty pychę obalasz na ziemię), przez *Karola Rosner'a* z Wiednia; 7. „*Gott zu Ehren, Sr. k. Hoheit dem Kaiser zum Andenken*" (Bogu na cześć i Jego Ces. Mości na pamiątkę), przez *Aleksego Langer'a* z Wrocławia. Wszystkich innych, między któremi znajdowało się 4 Warszawianów, bez podziękowania im przynajmniéj za ich fatygę i za poniesiony koszt w tém artystyczném zawodnictwie, zawezwano do odebrania swych nadaremnych prac. Przekonywamy się że i Warszawa nie zaspała gruszek w popiele; bo architekci téj stolicy, mianowicie: p. p. *Radziszewski, Fridrich, Podczaszyński* i *Idźkowski*, pomni na świetną sławę swoich rodaków, którzy w najznakomitszych pomnikach budowniczéj sztuki, w średnich i nowszych czasach uwiecznili swe imiona nawet poza granicami swéj rodzinnéj ziemi, nie chcieli się dać zawstydzić tam, gdzie chodziło o dowód że się ma dość odwagi i siły aby wejść w szranki i stanąć do walki, chociażby z najzuchwalszemi zapaśnikami na polu sławy. A wszakże to kościół ś. Szczepana w Wiedniu z najwyższą wieżą w Niemczech, jedno z najśmielszych dzieł budowniczéj sztuki, wykonał *Oktawian Wolcner Krakowianin*. Sławny tunel dla kolei żelaznéj w Semmering, nad którego planem za naszych już czasów najznakomitsi technicy nadaremnie łamali sobie głowy, wykonali nareszcie Polacy, i dowiedli, że nietylko do poezyi, jak powszechnie za granicą głoszą, ale i do nauk ścisłych, kiedy oto chodzi, mogą miéć uroszczenie. Pan Idźkowski, znany ze swego talentu budowniczy warszawski, za wykonany plan pałacu kryształowego w Londynie został zaszczycony medalem. Pole naukowości pod względem sztuki budowniczéj i u nas odłogiem nie leży; p. Bolesław Podczaszyński, syn znakomitego budowniczego i byłego professora, uprawia je troskliwie, pracowicie i umiejętnie, czego dowodem jego „*Pamiętnik sztuk pięknych*". Nareszcie, kiedyśmy się już rozgadali o zasługach naszych rodaków na niwie architektonicznéj sztuki, nie od rzeczy będzie przy téj sposobności przytoczyć plan p. Radziszewskiego wypracowany do rzeczonego kościoła pamiątkowego w Wiedniu, a rozebrawszy go szczegółowo, damy zarazem poznać z jak gruntowną znajomością sztuki, w połączeniu z poezyą, był wykończony.

Stosownie do ogłoszonego programu, trzymał się p. Radziszewski ściśle stylu gotyckiego z XIII wieku, któremu starał się nadać cechę religijno-narodową, jaką rzeczywiście kościół ten miéć powinien. Autor tego planu, mając przed oczyma wszystkie narodowości austryackiego państwa, niosące w ofierze pieniężne datki do wybudowania pomienionéj świątyni, nie zapomina ofiar tych uwiecznić pamięcią w tym religijnym pomniku, a przytém symbolicznie wyobrazić państwo składające się z różnych narodowości, skupionych około panującego. Plan więc p. Radziszewskiego przedstawia kościół, którego nawa, stanowiąca główny przybytek świątyni, otoczona jest 14 kaplicami, odnoszącemi się do 14 prowincyj składających austryackie cesarstwo. Jeden silny filar stojący w środku nawy utrzymuje całe jéj sklepienie, a tém samém cały gmach budowy. Filar ten wznosi się ponad

dach kościoła i służy za podstawę aniołowi stróżowi, wyobrażającemu opiekę nad całą tą symboliczną myślą. Ażeby zaś słup ten niezasłaniał wielkiego ołtarza i prezbiterium, główne wejście do kościoła urządzone jest o dwóch arkadach, tak iż nie przypada we środku kościoła na przeciwko filara głównego, ale po dwóch stronach onego. Po obu stronach obszernego prezbiterium umieszczone są zakrystye, a nad niemi loże dla familii cesarskiéj. Chór nad głównem wejściem mieści wygodnie nietylko organy, ale i orkiestrę kościelną. Dwie główne wieże u frontu, wysokości 44 sążni, z ośmioma mniejszemi wieżyczkami stanowiącemi niejako skarpy przeciw parciu sklepienia, a z dwiema od ostatnich nieco wyższemi, odznaczającemi loże cesarskie, zdobią cały ten gmach kościelny. Podług dołączonych uwag p. Radziszewskiego miał być filar środkowy z kolorowego marmuru, rzeźbą przedstawiającą świętych patronów państwa, albo posągami monarchów cesarstwa z białego marmuru ozdobiony. Kaplice, odpowiednio do narodowości jaką przedstawiają, miały być przybrane w herby i godła dotyczące każdéj prowincyi. Cały ten plan z przekrojem podłużnym i poprzecznym, razem z widokiem bocznym, wypracowany był na osobnych arkuszach po mistrzowsku.

Nie dziwi nas jednak iż żaden z Polaków nieosiągnął palmy zwycięztwa: wszakże każdy naród przenosi talenta własne nad cudze, a wieńcząc takowe nagrodą, wieńczy zarazem swój własny kraj lub miasto sławą tych mistrzów, których jest ojczyzną; nagroda wdzięczności należy się pomienionym mężom od własnych ziomków, bo stali się godnemi zastępcami budowniczéj sztuki w stolicy austryackiego państwa, złożywszy bezkorzystny trud w ofierze dla sławy swéj rodzinnéj ziemi, która wyższą i piękniejszą jest nagrodą od wszelkich materyalnych korzyści.

Kończymy może nieco za rozwlekły nasz artykuł o pamiątkowym kościele w Wiedniu tą jeszcze uwagą, iż taki pomnik wspaniały tegoczesnéj sztuki, taki świadek religijnego uczucia jakiegokolwiek bądź kraju, jest dla chrześciańskiego narodu w ogólności rzadkiém i pożądaném, zaś dla artystycznego świata w szczególności wielkiém i ciekawém zjawiskiem. Tu bowiem, obok poświęconych Bogu ołtarzów, uwieczni sztuka tryumf swego wieku, a geniusze jego, z eterycznéj krainy nieśmiertelności przynęcone słodkiemi tonami sławy i wdzięcznéj pamięci, w tém promienistém dziele przyszłym pokoleniom wskażą gdzie zwolennicy cnoty, piękna i prawdy szukać mają urzeczywistnienia różowych swych marzeń!!!

WĘDRÓWKA GEOLOGICZNA

PO

KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Część płaszczyzny spływającéj ze strony wschodnio-północnéj wielkiego Karpat łańcucha, zamknięta między rzekami Bugiem, częścią Narwi i Niemna, a Wartą z Prosną i Nidą, w ogóle mil kwadratowych 2232, stanowi osobny górutwór, przez Puscha [1]) górutworem Polski środkowéj nazwany.

Tę to właśnie część skorupy ziemskiéj obecnie naszym czytelnikom przedstawić zamyślamy. Zdaje się że pomimo systematycznych dzieł temu przedmiotowi poświęconych, krótki rys niniejszy bez korzyści nie będzie, a może wywoła obszerniejsze prace w tym rodzaju, prace, które tak dla nauki jak i dla praktycznego przemysłu mogą stać się nieskończonéj ważności. Geologia i mineralogia bowiem w swych poszukiwaniach poczyniły wiele ważnych i pożytecznych odkryć i wynalazków; im to zawdzięczamy odszukanie wielu ciał będących podstawą fabrykacyi i bogactwa narodów, jak np: węgla ziemnego, cynku i t. p. minerałów; ony służą górnikowi, w jego zawiłych pracach przy za-

[1]) Jerzy Pusch, znakomity nasz geolog, radca górniczy, członek kilku uczonych towarzystw, zmarł w 1847 r.

głębieniu się, za wskazówkę gdzie i w jakiéj obfitości znajdować się mogą cenne i pożyteczne już to metale, już materyały budowlane; ony nakoniec wskazują właścicielowi, czy to rolnikowi, czy fabrykantowi, wszystkie wielostronne użytki, które ciągnąć może z gleby posiadłości jego zajmującéj. Opisanie więc kraju z tego stanowiska obchodzić powinno każdego, któremu wiadomość o ziemi przez siebie zamieszkanéj nie jest obojętną.

Ziemia nasza, lubo nie posiada nadzwyczajnych ciekawości, ani lawą buchających wulkanów, ani skał pierwotnych, ani złotonośnych żył i kryjących dyamenty rozsypów, niemało jednak przedstawia zajęcia, szczególniéj w południowéj stronie kraju, bo tam napotykamy wyraźne przykłady wielu formacyj ziemską składających skorupę, i wiele pożytecznych ciał, na których opiéra się cały przemysł tych pięknych okolic.

Królestwo polskie leży, jak to powiedzieliśmy, w obszernéj płaszczyznie stoczonéj z karpackiego grzbietu. Część téj płaszczyzny przytykająca do samych Karpat, pofałdowana jest pasmami niewielkich gór. W ogóle biorąc, postać fizyczna naszego kraju odpowiada w wielu szczegółach geologicznemu ukształceniu północno-wschodnich Niemiec. Kierunek gór zalegających Krakowskie, oraz kierunek pokładów też góry składających, jest z Z. Pn. Z. ku W. Pd. W. [1]); tenże sam kierunek mają pasma gór sandomiérskich i pagórków położonych z prawéj strony Wisły. Do kierunku gór i pokładów stosuje się kierunek rzek, jak: Warta, San, Wisła, Bug, Niemen i t. p. Całą płaszczyznę królestwa, pod względem wieku formacyj składowych i fizycznego ukształcenia, można podzielić na dwie części geologiczne, a mianowicie: 1ód na część północną czyli nowszą, złożoną z pokładów tworzących się obecnie (aluvium), potopowych (diluvium), miocenicznych i eoceniczных, sięgającą po linią głazów narzutowych (przez Częstochowę, Przedbórz, przy stopie gór sandomiérskich, za Wisłą przez Lublin, Lubartów ku Pińszczyznie i daléj) i tworzącą dolinę Wisły niższéj; 2re na część południową, złożoną z pokładów osadowych dawnych i metamorficznych, które zajmują południową część kraju, poza linią głazów narzutowych, pofałdowaną wzgórzami.

W południowo więc zachodniéj stronie kraju ciągną się wzgórza od Z. Pn. Z. ku W. Pd. W. przedstawiające ciekawe szczegóły. Wzgórza te pod względem kierunku i położenia można rozdzielić na dwa pasma: jedno (jak pokazuje figura B) ciągnie się od Opola (w Wielkiém ks. poznańskiém) przez Wieluń, Częstochowę ku Krakowowi, i to Pusch zowie gromadą formacyi wyżyny południowo-zachodniéj; drugie pasmo, którego przecięcie pionowe przedstawione jest na figurze C) [1]) składa rząd Łysic najwyższych gór w Polsce i wzgórz do nich należących, ciągnących się między Pilicą (od Przedborza) aż do środkowéj części biegu Wisły (do Sandomiérza). O piérwszéj części kraju, jako złożonéj z formacyi nowszych okresów, powiemy przy końcu naszéj wędrówki; część zaś południową, zaczynając od pokładów wyżyny południowéj, zwidzimy najprzód, wskazując miejsca oraz rozległości, użytki i t. p. okoliczności formacyj napotykanych.

1. Najniższe poznane pokłady wyżyny południowo-zachodniéj należą do formacyi *węgla kamiennego*, którego głównemi ogniwami są wapienie węglowe zwykłe czyli tak zwane kruszconośne, tudzież piaskowiec węglowy z gliną i łupkami bitumicznemi [2]).

Najgłówniejszą część składową téj formacyi stanowią ogromne pokłady węgla kamiennego będące częścią ciągu poczynającego się od Hulczyna (w Szląsku), a kończącego się w okolicach Krzeszowic. Przykłady jéj najlepiéj się odkrywają w kopalniach: Tadeusz pod Strzyżowicami, Ksawery pod Bendzinem, Reden w Dąbrowie, Feliks w Niemcach, i w Niwie.

Badania nad układem téj formacyi u nas pokazały, iż najdawniejsze warstwy tego górutworu składają się z łupku ilastego, zmieniającego się niekiedy w szarowakę, powstałą z przemiany wapienia czarnego (marmuru z Krzeszowic i Szklar), i która właśnie stanowi zasadę całego kształto-wzgórza. Daléj, warstwami, spotyka się grubo-ziarnisty, kruchy piaskowiec węglowy. Lecz w formacyi téj, podobnie jak w Sudetach, brakuje pośrednich ogniw.

Liczne skamieniałości, a szczególniéj odciski

[1]) W. wschód, Pn. północ, Pd. południe, Z. zachód.

[1]) *a* krzemieniec, kwarcyt i wapień sylurski; *b* piaskowiec czerwony; *c* wapień triasowy; *d* piaskowiec biały lias; *e* wapień juraski; *g* kreda; *i* warstwy utworów najnowszych.

[2]) Przecięcie téj grupy przedstawiają figury *B* i D.; *B* formacya węgla kamiennego, *C* i *D* wapienie formacyi getingskiéj, *E* marglowy jura wapień, *F* dolamitowy jura wapień, *G* jura wapień z rudą bobową, *H* ił z węglem ziemnym i piaskowcem żelazistym.

roślin przedpotopowych, cechują u nas formacyą węglową, podobnie jak w innych krajach. Na szczególną uwagę zasługują z paprociowych: rozmaite gatunki *Sphenopteris*, (jak *Sph: laxa*, *Sph: elegans*, *Sph: Schlotheimii*, *Sph: distans)*, *Nevropteris tenuifolia*, *Pecopteris* [1]) *arborescens*, *Pec. muvicata*, *Pec: aquilina* (Fig: I) i t. p.; z sagowych (cycadeae) wspomnieć można: *Sigillaria pentagona*, *Sig: oculata*, *Stigmaria ficoides*, (Fig: 2) *Stig: melocactoides*, napotykana w kopalni Ksawery pod Bendzinem; z włóczęgowych (Lycopodiaceae) gatunki *Lepidodendron undulatum*, *Lep: tetragonum*, i z iglastych (caniferae) gatunki *Valchia*.

Spotykane tu gatunki, należące do skrzypowych, (equisetum) noszą nazwiska *Calamitów*, u nas znajdujemy *C. ramosus*, w Strzemieszycach, Bobrku i Niemcach; z roślin wodnych (najades) *Sphaenophillum dentatum* i *Sph. quadrifidum* około Przemszy, i *Annularia fertilis*.

Najważniejszą zawartością téj formacyi są ogromne składy węgla kamiennego. Rozważając kierunek tych pokładów i porównywając go z kierunkiem pokładów we Francyi, Belgii i Anglii, nie można zaprzeczyć iż ony są tylko częściami ogromnych pokładów utworzonych w morzach, a porozrywanych skutkiem rozlicznych wstrząśnień. Na téj formacyi spoczywa wapień warstowy, kruszconośnym zwany, gdyż mieści w sobie rudy ołowiane, żelazne i cynkowe; dawniéj zwano go wapieniem getyngskim, dziś powszechnie nadają mu nazwę triasu. Wierzchnie warstwy stanowi wapień żółtawy, dziurkowaty, z magnezyą zmięszany, zatém w dolomit przechodzący. Formacyą tę szczególniéj odznaczają *Encrinity* jak *E. liliiformis*, około Bendzina, Czeladzi i Olkusza napotykany, i po raz piérwszy występujące *Trigonie*, a mianowicie *Tr. curvirostris*, i *Tr. vulgaris* [2]) natrafiane około Bobrownik, nadto *Turbo gregarius*, *Turbo helicites* około Siemonii, *Terebratula angusta* przy Strzemieszycach i t. p. Z roślin możemy napomknąć o rodzajach *Mentalia* z Sagowych.

Z kolei przystępujemy do następnego pokładu, najbardziéj rozwiniętego w téj części Polski, to jest do utworu wapienia juraskiego, którego spodnich warstw u nas brakuje, a zatém na triasie bezpośrednio się pokłada.

W Polsce gromadę juraską zaczynają margle wapienne, daléj zaraz następuje wapień dolomit juraski [1]). On to tworzy wzniosłe pasmo wzgórz ciągnące się (jak widziémy na dołączonéj mapie Fig. A.) od Wielunia aż do mogiły Krakusa. Wapień ten tworzy właśnie owe fantastyczne skały, jakich przykłady znajdujemy w romantycznych okolicach ciągnących się między Częstochową i Krakowem, przez Mstów, Olsztyn, Suliszewice, Złoty Potok, Trzebniów, Łutowiec, Mirów, Bobolice, Kroczyce, Smoleń, Złozenice, Ogrodzieniec, Niegowonice, Rabsztyn, Pieskową-Skałę, Grodzisk, Ojców, Prądnik, Wierzchowie, Bębło, Jerzmanowice, Szklary, Morawice, Bielany-krakowskie i górę Wawel w Krakowie. W tych to skałach znajdują się sławne groty czyli jaskinie, pięknemi soplami czyli stalaktytami okryte. Groty te prawdopodobnie powstały w skutek rozsunięcia się, rozsypania i wymulenia części wapienia dolomitowego, z natury swojéj bardzo dziurkowatego. Najznakomitsze z tych grot są: 1. *Ciemna* w Ojcowie; 2. *Króla Łokietka* na gruntach wsi Czajowice; 3. *Zbójecka* tamże; 4. *Wierzchowskie*; 5. *Księża* w Jerzmanowicach; 6. *Zegar* blizko Smolenia i Pilicy; 7. Dwie groty między Trzebniowem i Ludwinowem, blizko Złotego Potoku; 8. Dwie w samym Potoku; 9. Dwie w Olsztynie i 10. Grota we wsi Kusięta. W wierzchnich pokładach téj formacyi, a mianowicie w okolicach Żarek, Mrzygłoda, Włodowic, Złotego Potoka, mieszczą się ziarnka rudy żelaznéj, zwanéj grochowcową, wraz z ziarnami piasku, których ilość coraz więcéj wzrastając, zmienia dolomitowy wapień w zlepieniec piaskowy.

Formacya juraska zawiera kilka warstw. Jedna z nich, według przypuszczenia geologów, utworzoną została ze szczątków korali zwapniałych. W niéj téż wielką napotykamy liczbę skamieniałości rozmaitego rodzaju. Między innemi zasługują na uwagę: ogromny poczet korali, tudzież znacznéj

[1]) Synonimia łacińska z małym wyjątkiem podana jest w téj rozprawce podług „Spisu systematycznego skamieniałości zwierzęcych i roślinnych, odkrytych w krajach dawnéj Polski, według formacyj ułożonego.” Spis ten dołączony jest do „Geologii do łatwego pojęcia zastosowanéj,” wyszłéj w Krakowie w r. 1856. Zejszner rodzaj Pecopteris rozdziela na trzy osobne, podług Göpperta, i dlatego skamieniałości o których mowa u niego noszą nazwy: Alethopteris muvicata, Al. aquilina i Cyatheites arborescens. My pozostaliśmy przy dawnym rodzaju Brongniarta.

[2]) Zejszner rodzaj ten zowie, podług Bronn'a, Myophoria.

[1]) Jest to pokład należący do gruppy *oxfordskiéj*, ogniwa wapienia *koralowego* (Coralrag).

wielkości (osobliwie przy Częstochowie i Wieluniu) ammonity, jak *np: Ammonites Brongniartii*, (Fig. 3) *Am. planulatus*, *Am. vulgaris*. (mianowicie w bliz-kości Częstochowy, Wielunia, Wysokiéj, Olkusza, Szklar), i wyłącznie cechujący pokład gąbkowy *Am. perarmatus*, w egzemplarzach nader pięknych znajdowany około Częstochowy, także *Am. biplex* w Mirowie, Żuradzie pod Olkuszem, Sułoszowy przy Pieskowéj Skale. Belemnity, jak *Belemnites paxilo-sus*, bardzo pospolity między Kromołowem i Pilicą, Wieluniem, Żarkami i Ładowicami; *Belemnites has-tatus* w wapieniu Pieskowej Skały, Przegini i w ooli-cie żelazistym przy Pomorzanach, Jaworzniku pod Żarkami; *Echinity* i różne *Trigonie*; *Terebratule*, jak *Terebratula vulgaris*, *T. digona* (fig. 4), *T. globata* (fig. 5), *T. spinosa* (fig. 6), *T. Thurmanii* (fig. 7), *T. impressa*, *T. sella* (fig. 8) i t. p. w okolicach Ol-kusza, Częstochowy, Mstowa, Kromołowa, Pilicy napotykane. Nadto znajdujemy jeszcze w tym u-tworze wiele charakterystycznych skamieniałośc i, jak rzadką i tylko przy Wieluniu pojawiającą się *Pecten discites*, i inne, które z powodu pobieżności niniejszego artykułu opuścić musiémy.

Z drugiéj strony wapień juraski idzie nie ciągle, ale przerywanym sposobem, od samego Wielunia zacząwszy, kryje się w równinach Wielko-Polski, wydobywając się na powierzchnią około Widawy, Sieradza, Kalisza, tudzież w okolicach Ciecho-cinka.

Nad formacyą juraską napotykamy utwory spo-dnio-kredowe, czyli pokłady neokomskie (Beu-dant), w Anglii zwane iłami weldskiemi (Weald-Clay).

U nas formacya ta jest nader ważną z tego względu, iż zawiera rudy żelaza bulaste. Składa się z warstw gliny wapnistéj i żelazistéj, która naj-obszerniéj przedstawia się, wypełniając doliny Czarnéj Przemszy, aż do Siewierza, Warty, od jéj źródła przy Kromołowie aż do Częstochowy, i do-linę Liszwarty.

Na glinie pokłada się twardy zlepieniec, nosz ą-cy na sobie warstwy piaskowca brunatnego i żela-zistego, i nakoniec mięsza się naprzemian z war-stwami sypkiego piasku. Pokład ten, w okolicach Siewierza, Kromołowa, Poręby i Krzepic, zawie-ra wiele skamieniałości, jak pięknie dochowane *Ammonites bifurcatus*, osobliwie w Kostrzyniu nie-daleko Panek, Jaworzniku przy Żarkach, tudzież wiele z rodzajów *bucarditów*, *venulitów*, *trigonii* jak *Tr. costata*.

Na wschód pokładów juraskich ciągnie się spo-dnia formacya kredy, składająca się z marglu wa-piennego. O téj formacyi pomówimy obszerniéj przy gromadzie gór sandomiérskich, tam bowiem najdobitniéj się okazuje. Nakoniec na saméj po-wierzchni leży napływ złożony z sypkiego piasku, który tamtejszą glebę czyni nieurodzajną.

2. *Gromada gór sandomiérskich* ma za podstawę krzemieniec, kwarcyt czyli skałę kwarcową (Quarz-fels), szarowakę należącą do górutworu kambryj-skiego, oraz wapień przechodowy z formacyi sy-lurskiéj (1). Pokłady składające te dwie formacye, będące u nas w kraju najdawniejszemi, zaczynają się od strony zachodniéj przy Miedzianogórze pod Obłągórkiem, a ciągną się ku wschodowi przez o-kolice Kielc, Chęcin, Daleszyc, Cisowa, Bodzen-tyna, Ś. Katarzyny, Ś. Krzyża, Łagowa, Iwanisk, Ujazdu, Opatowa, Klimontowa, Ossolina, Koprzy-wnicy i Sandomiérza przy górach Pieprzowych. Krzemieniec, który między innemi okolicami naj-lepiéj się przedstawia na wschodnim i zachodnim wierzchołku gór Łysych, stanowiących górę Św. Krzyża i Św. Katarzyny, jest podobny, według Puscha, do szwedzkiéj skały Tjollsandstein, i skła-da się z białego, szarego i zielonawego kwarcu, mającego w sobie gdzieniegdzie cząstki łyszczy-ku i kryształu górnego.

Skała szarowakowa obfituje w kwarc, często je-dnak zmienia się w łupek gliniany, np. pod Kli-montowem, Miedzianogórą, Swiętomarzem blizko Bodzentyna, Nową Słupią i w górach Pieprzowych pod Sandomiérzem. Niekiedy, ale bardzo rzadko, pokazuje ta skała przechód w skały trapowe, za-wierające amfibol, jak np. pod Słaboszowicami poniżéj Opatowa.

Wapień przechodowy czyli sylurski, rozwinię-ty najlepiéj około Kielc i Chęcin, obfituje w piękne skamieniałości, a mianowicie *Phacops Hausmanni*, *Gomphoceras Kielcensis*, *Trohus turris*, *Pleurotomaria Ullmani*, *Melania Kielcensis*, *Atrypa reticu-laris*, *Spirifer speciosus*, *Sp: laevicosta*, *Cyathophyl-lum turbinatum* (fig. 9.) *Cya. ceratiles Favastrae* i *hexagonum*, (mianowicie około Słupca, Niewachlo-wa, Kielc, Chęcin), *Alveolites spongites*, *Cladocora antiqua* i w wiele innych. Z rodzaju Ammonitów

(1) Góry Kieleckie podług Murchisona należą do forma-cyi dewońskiéj.

spotykamy *A. Humboldti*, *Am. comprimatus* w kilku rzadkich egzemplarzach koło Kielc, wiele terebratul, jak *Terebratula prisca*, (*Atripa reticularis*) *T. curvata*, *T. planitiata*, mianowicie około Karczówki, Białogona, Chęcin, Łagowa i Kadzielnéj góry w okolicach Kielc, *Orthoceras conica* i t. p.

Ten to właściwie wapień formuje owe piękne marmury chęcińskie (1). Zawiéra on rudy: miedziane, pod Miedzianką i Chęcinami, ołowiu (błyszcz ołowiu, galena) w Jaworznie.

Drugi ciąg daleko ważniejszy zawiera rudy żelaza, jakoto żelazo brunatne, hematyt, tlennik wodnisty żelaza, lepidokrolit, pyrosiderit, i rudy manganu, tudzież rudy miedzi, a mianowicie: miedź rodzimą w drobnych ziarnkach rozsianą w czerni miedzi, która w stanie czystym do 30% miedzi wydaje i która stanowi główną massę rud miedzianych, malachity i zielenie rozmaitéj wielkości, lazury promieniste, pręcikowate lub bulaste różnych rozmiarów, służące do wytapiania miedzi, szczególniéj na blachy; siarczyk miedzi w kryształach ośmiościennych różnéj wielkości, i wiele innych jeszcze minerałów.

Na zbitym wapieniu po raz piérwszy napotykamy w Polsce utwór permski, który tu okazuje się jako piaskowiec czerwony. Piaskowiec ten, tu i owdzie pokrywający wapień sylurski, widzieć się daje najdobitniéj około Miedzianogóry, Niewachlowa, Miedzianki i Rykoczyna, tudzież na południowéj stronie gór, począwszy od Podzamcza pod Chęcinami, przez Brzeziny, Morawice, Pierzchnicę, aż do Drugni. Najobszerniéj rozpościera się w zachodnio-północnéj stronie, a mianowicie około Piekoszowa, Fanisłowic, Łopuszna, Obłągórka, Ćmińska, Samsonowa, pomiędzy Zagdańskiem a Suchedniowem, między Bodzentynem, Wąchockiem a Wierzbnikiem ku Kunowowi, i daléj przez Kosowice i Garbacz do Opatowa. Formacya ta w Polsce składa się z warstw białego i czerwonego drobno ziarnowego piaskowca, poprzekładanego czerwonym iłem łupkowym. Środkowych ogniw wapienia zwanego cechsztejnem właśnie tu niedostaje, a na piaskowcu odrazu pokładają się pstre piaskowce triasowe z czerwonym iłem łupkowym, tudzież wapień i zlepieniec, stanowiące przechód do wapienia triasowego czyli kruszcorodnego. Wapień ten na północnéj pochyłości gór tworzy niewielkiéj grubości pokłady, ciągnące się licznemi przerwami w okolicach Radoszyc, Mniowa przez samsonowskie lasy, daléj przez dolinę Swiśliny ku Bukowiu, Mnichowu i Kossocicom, aż do Opatowa. Na południowéj stronie stanowi on daleko ważniejsze pokłady, a mianowicie sadowi się na czerwoném piaskowiu pod Łopusznem, Rudą, Sławczynem, Promnikiem, Międzygostem, Gnieździskami i Piekoszowem, i znowu po znacznéj przerwie pokazuje się niedaleko Włoszczowy i ciągnie się między Małogoszczem a Miedzianką, między Chęcinami a Sobkowem, Morawicą a Chomentowem, Piotrkowicami a Pierzchnicą.

Układ wapienia triasowego uważaliśmy już w formacyi południowéj kraju. Tutajszy wapień niczém się nie różni od wyżéj wzmiankowanego. Wszystkie te wapienie wyraźnie są warstwowane, a ich warstwy po największéj części leżą płasko, tworząc wiele wklęsłości i pagórków, w samym zaś końcu pochylają się znacznie (między Pierzchnicą a Małogoszczem), bo tworzą kąt 40—70°. Skamieniałości tego wapienia wymieniliśmy już wyżéj; tu tylko dodać nam wypada iż w nim szczególniéj znajdują się *Terebratule*, jak *Ter. clavalata*, napotykana, chociaż rzadko, w okolicach Małogoszcza, Iłży, Szydłowca, oraz obfite *Pecten discites* i *Gryphaea dilatata* przy Szczerbakowie.

Z kolei idziemy do górutworu juraskiego; lecz w pasmie gór sandomiérskich utwór ten najpotężniéj przedstawiony jest piaskowcem białym drobnoziarnistym, zwanym piaskowcem lejasowym, który rozciąga się niekiedy w ogromnych pokładach, a mianowicie w okolicach Przedborza, Falkowa, Żarnowa, Końskich, Radoszyc, Odrowąża, Szydłowca, Wąchocka, Wierzbnika, Kunowa, Ostrowca, Denkowa, Chmielowa. Spodnia część téj formacyi składa się z warstw drobno-ziarnistego piaskowca, ułożonych naprzemian z łupkami piaskowemi i wapiennemi czarnemi, między któremi mieszczą się cienkie warstwy węgla smolnego. Te spodnie warstwy najlepiéj ukazują się w Podolu, Ptkanowie pod Opatowem, przy Grocholicach,

(1) Marmurołomy chęcińskie zawierają bardzo wiele gatunków marmuru; z tych główniéjsze są: w górze Zamkowéj w dwóch odmianach: jedna koloru wiśniowo-różowego żyłkowana, druga jaśniejsza przechodzi w popielato-wiśniową barwę; w Podzamczu jednostajny różowawy; w Sosnówce popielato-wiśniowy z białemi żyłkami, w Zelejówce na tle ciemném są pasy białe i żyłki koloru różowego; w Okrąglicy na tle ciemno-popielatém plamy ciemniejsze tegoż koloru; w Dobrzączce lila; w Zygmuntówce, w Starochęcinach ciemno-wiśniowy; w Miedziance jasnawo-biały i t. p.

Sadowie, Rzuchowie, Gromadzicach, Miłkowie, aż do Kunowa, i daléj w dolinie Kamionny przy Nietulisku, aż do Starachowic, ku Szydłowcowi i Chlewiskom.

Wiérzchnie warstwy téj formacyi składają się z białego piaskowca, (który niekiedy zmienia się w skały kwarcowe), podobnie jak warstwy niższe poprzedzielanego gliną i płomykowatym marglem. Ten to piaskowiec zawiera warstwy rudy żelaznéj, które mogą dostarczyć rocznie 560,000 centnarów żelaza. Te rudy są wielorakiego gatunku; poznamy je kiedyś bliżéj w wędrówce mineralogicznéj. Nadto formacya ta dostarcza piaskowca, który szczególniéj wydobywany pod Kunowem i Szydłowcem, ma sławę w całym kraju.

Wapień juraski, właściwy gromadzie gór sandomiérskich, należy do ikrowca (oolit) i kamienia litograficznego. Pasmo jego zaczyna się wązką smugą od Małogoszcza, idzie przez Brzegi nad Nidą, w okolicy Sobkowa, Korytnicy, Kij, aż do Tarnoskały; nadto znajduje się przy Przedborzu nad Pilicą. Ze strony północnéj posuwistości gór leży kolorowy wapień juraski, poczynając od Sulejowa po nad Pilicą, i ciągnie się na dół do Piekła i Inowładza; daléj daje się widzieć pod Opocznem przy wsi Orońsko, pomiędzy Szydłowcem a Radomiem, pod Wierzbicą i Iłżą, a w końcu ukazuje się nad rzeką Kamionną pod Bałtowem i Podgrodziem, gdzie tworzy podobnie sterczące skały jak między Częstochową i Krakowem.

Z kolei rzeczy przystępujemy teraz do opisania formacyi kredowéj, która w Polsce najobszerniéj jest rozwiniętą. Ten górutwór, uważając teoretycznie i idąc do dołu, składają:

Gromada kredowa spodnia	Pokłady neokomskie (Wealdclay) Piaskowiec ciosowy (Quadersandstein) Kreda zielonkowata (craie verte) Martwica kredowa (craie tuffeau)
Gromada kredowa wierzchnia (opoka)	Margiel szary kredowy (craie marneuse, plaenermergel). Opoka kredobiała (craie blanche, plaenerkalk).

W kraju naszym formacya kredy składa się z dwóch głównych ogniw, to jest ze spodniéj zielonkowatéj czyli chlorytowéj i z właściwéj kredowéj, do któréj należy kreda, opoka i margiel opoczysty czyli kredowy. Margiel kredowy jest u nas w téj formacyi skałą przemagającą, i tém się szczególniéj znamionuje, że w przystępie powietrza łupie się na tafelki lub rozpada na nieforemne bryłki, dając zasadę mineralną rędzinie, to jest gruntom najurodzajniejszym krakowskim, sandomiérskim i lubelskim, jakie się znajdują szczególniéj w powiecie miechowskim między Skalbmierzem i Słomnikami, tudzież w Krasnostawskiém koło Chełma i Rejowca. W wielu okolicach margiel kredowy bywa piaszczystym, jak np. około Czarkowa, Szczerbakowa, Solca i Kazimiérza; w innych przybiéra kolor zielony, z powodu domięszania krzemianu żelaza, i tworzy kredę zielonkawą, jak np. około Kazimiérza i Szczerbakowa, i wtedy stanowi on właściwą dolną część formacyi kredowéj.

Obszerne pokłady kredowe wypełniają dolinę pomiędzy zachodnią wyżyną, a sandomiérskiemi górami, mianowicie zaś rozciągają się od Włoszczowy, Koniecpola, Secymina, Szczekocin, Jędrzejowa, Wodzisławia, Książa, Miechowa, Żarnowca, Iwanowic, Proszowic, Skalbmierza, Wiślicy, Buska, i Stopnicy. Daléj ciągną się od Pacanowa po nad Wisłą na dół, około Ożarowa, Lasocina, Tarłowa, Sienny, Solca nad Wisłą i Janowca. Następnie formacya kredowa przerzuca się na prawy brzeg Wisły, gdzie pokrywa Lubelskie pomiędzy Kazimiérzem, Nową Aleksandryą, (Puławami), Rakowem, Szczebrzeszynem, Tomaszowem, Hrubieszowem, Krasnymstawem, Łęczną, Lubartowem, i łączy się z takąż formacyą górutworu wołyńsko-podolskiego. Nadto znajdujemy ślady tegoż górutworu pod Toruniem nad Wisłą i Włocławkiem, jakotéż w okolicy Łęczycy i Konina.

Wierzchnie ogniwo opoki kredowéj i kredy właściwéj tém różni się od innych części téj formacyi, iż zawiera potężne pokłady gipsu, który najobszerniéj rzpościera się nad Nidą między Buskiem, Pińczowem, Stopnicą i Wiślicą. Nadto w odosobnionych płatach około Skalbmierza, Staszowa, Chmielnika i pod Czarkowem, w którém to właśnie miejscu znacznéj grubości pokład zawiéra siarkę.

Te to pokłady gipsu, wraz z marglem kredowym, w okolicach rozciągających się na lewym brzegu Nidy, jak np. przy wsi Skorocicach, tworzą wiele pięknych pieczar, a w Busku i Solcu wydają siarkowe zródła.

Białą kredę napotyka się szczególniéj we wschodniéj części Lubelskiego, około Zamościa, Rejowca, Chełma; spoczywa ona na formacyi zielonego piaskowca. Pokłady kredowe obfitują w wielką ilość

muszli, tudzież zawiérają szczątki roślinnego i zwierzęcego pochodzenia.

Opokę cechują: *Belemnites mucronatus* (fig. 10.) napotykany najobficiéj we Włoszczowie na wschód Koniecpola, w Kazimiérzu, w całéj gubernii lubelskiéj, a mianowicie koło Zamościa; *Ananchites ovatus* (Fig. 11) znajdowany blizko Czarkowy w szybie szczerbakowskim, niedaleko Michałowic, w Pietrzejowicach, i Proszowicach; *Ananchites striatus* tamże; *Spatangus cor anguinum* (Fig. 12) (Micraster cor testudinarium) w Szczerbakowie, Pietrzejowicach, Busku; *Inoceramus Cuvieri* (Fig. 13) w Złotowie przy Wiślicy i w okolicach pomiędzy Turobinem i Gorajem w Lubelskiém; *Inoceramus Brongniartii* około Szczerbakowa, Czarkowa, Buska, Skalbmierza, Wodzisławia, Jędrzejowa, Proszowic, Działoszyc i t. d.; tudzież *In. cordiformis*, *In. mytiloides* w Czarkowy i Wodzisławiu; *Cidaris Brongniartii* w Czarkowie, Busku, Skalbmierzu, Wodzisławiu, między Jędrzejowem i Żarnowcem, niedaleko Proszowic, między Pinczowem i Działoszynem, w Iwanowicach, Słomnikach i wielu innych miejscach; *Cidaris varietaris* około Solca, Nowego miasta-Korczyna; *C. papillata* w szybie szczerbakowskim i w Czarkowy; *Pecten excisus* znajdujący się w wielkiéj liczbie w Busku, Kazimiérzu, Zamościu, a w ogóle w Lubelskiém; *Terebratula Defrancii* (Fig. 14) (Terebratulina striata) bardzo rzadko napotykana niedaleko Kazimiérza w chlorytowéj kredzie, i wiele innych, które w obszerném swém dziele wzmiankowany geolog Pusch przytacza.

Na utworze kredowym spoczywa formacya plastycznéj gliny i węgla brunatnego; składa się ona z gliny tłustéj, zwanéj zwykle garncarską, i zawiéra w sobie drobne muszelki morskie oraz ułamki bitumicznego drzewa czyli drzewiaku albo lignitu, któremu często bursztyn towarzyszy. Formacya gliny plastycznéj ukazuje się tu i owdzie w kraju, jak *np.* w dolinie rzeki Nidy, łącząc się tam z pokładami zawiérającemi węgiel brunatny i ciągnącemi się nad Wisłą koło Winiar, Opatowca i Koszyc. Daleko obszerniéj rozpościérają się te ogniwa nad Wartą około Konina i Koła, a nawet ciągną się pod Kalisz i Łęczycę.

Pokłady te obejmują także piaskowiec, jak *np.* koło wsi Brzeźno blizko Konina i pod Paprotnią. Niebieska glinka wyciskowa rozciąga się nad Wisłą od Dobrzynia przez Płock, Wyszogród, Czerwińsk aż do Zakroczymia. Formacya ta w okolicach Raciążka zawiéra piryt żelazny, z chemicznego rozkładu którego powstał gips w pięknych kryształach często znajdywany.

Nakoniec należą do téj formacyi pokłady szaréj piaskiem przejętéj gliny, które rozciągają się w Płockiém od Mławy do Augustowa, a szczególniéj w lasach około Łomży. Powiedzieliśmy iż formacyą tę szczególniéj cechuje lignit, czyli drzewiak, wraz z bursztynem.

W istocie obie te zawartości napotykamy w formacyi plastycznéj gliny w kraju naszym rozpostartéj, i tak: lignity widzieć można około Dobrzynia nad Wisłą, tudzież około wsi Brzeźna, przy Koninie na prawym brzegu Warty, gdzie znajdujący się lignit jest na wpół zwęglony, na wpół skamieniały, tak iż rurki pnia środkowe, napoiwszy się krzemionką, skamieniały, co jednak nie zaszło w słojach ku obwodowi posunionych, które tylko przewęgleniu uległy. Bursztyn najobficiéj wydają: w powiecie ostrołęckim wsie: Zebry, Wierzchlas, Słowki, Żabin, Olszewka, Dylewo, Wolkowo, Wydmusy, Wach i wiele innych; w powiecie pułtuskim: Chełchy, Sałki, Majki, gdzie znaleziono bryłę 2 funty ważącą, Rawy, Przystań, Chojniki, Zawady, Sypniewo; w powiecie przanyskim: Drutówka, Kopaczyska, Przyłaje, Ruzich i t. d.

Lecz wrócić się nam jeszcze należy w południowe okolice kraju naszego, żeby w całkowitości obejrzéć formacyą wyżéj rozbiéraną. Jedną z najważniejszych skazówek gromady eocenicznéj jest wapień cerytowy czyli paryski. W górach sandomiérskich zajmuje on przestrzeń 20 mil, w kilku osobnych ciągach. Widzieć go można pod Korytnicą, niedaleko Sobkowa na górach pinczowskich, aż do Szańca między Buskiem i Szydłowem, na płaskowzgórzu Stopnicy około Skotnik, Kikowa i Sułkowic. Nadto idzie ciągiem na Raków, Szydłów, Kurozwęki, Staszów, Rytwianny, tudzież na zachodniéj krawędzi płytu Zamościa, od Turobina, przez Goraj, Frampol, Trzęsiny, Lipowiec, w lasach ordynacyi zamojskiéj między Krasnobrodem, Józefowem i Tomaszowem, oraz w wielu innych okolicach.

Formacya ta powstaje z wapienia, który we względzie złożenia części swoich rozdziela się na dwa gatunki: gruby piaszczysty wapień, zmieniający się w okolicach Pinczowa i Kikowa w piaskowiec wapienny, i wapień grochowcowy. Większe ziarna, złożone także z wapienia twardszego, są

bez wątpienia pozostałościami zwierzokrzewów: *Nulipora Lamarhii* i *Nulipora byssoides*, najobficiéj znajdujących się około Rakowa, Osowic i Szydłowca. Prócz tych dwóch gatunków wapienia cerytowego, znajdują się w utworze tym warstwy:

1. Zielonkawego piasku pod Pinczowem i Staszowem.

2. Warstwy ziemiste, ciemno-zielonawe od domięszanego iskrzyku żelaznego, między Gorajem i Frampolem.

3. Wapnisty piaskowiec miękki pod Pinczowem i Janikowem; nadto w okolicach Staszowa ziemia folarska, a pod Pinczowem wapień dziurkowaty z manganezem.

Wapień piaszczysty téj formacyi odznacza się wielką liczbą skamieniałości. Miejscem w nie najbogatszém jest Korytnica pod Sobkowem, a po niéj Pinczów. Między temi skamieniałościami najobficiéj znajduje się *Cerithium giganteum* (?), muszla do 2½ stóp dochodząca; tudzież *Cer: pictum* przy Chmielniku, Szydłowie, Masłowicach, Sandomiérzu; *C. rubiginosum* między Opatowem i Sandomiérzem; *Turritella imbricataria* (Fig. 15) *Turritella indigena* w Lipiu, Chomentowie, Skotnikach, Stopnicy i między Kurozwękami a Staszowem; wiele gatunków *Ostrea*, jak *np*: *O. spatulata* około Trzęsin i Frampola; wreszcie *Pecten nodosiformis*, *Pleurotoma costata* (Fig. 16), *Pl. reticulata* około Korytnicy i Pinczowa, *Inoceramus concentricus* (Fig. 17) około Kazimiérza; *Pleurothomaria*, a osobliwie *Pl. tuberculosa*, *monite*, *linearis*, *Crasatella truncata* przy Zamościu i t. p.

Nadmienić nam jeszcze pozostaje że do téj formacyi należą skały piaskowca cerytowego, które napotykamy w okolicach Tarnoskały, Pinczowa, Szydłowa, Kurozwęk i między Buskiem a Stopnicą. Też skały pokazują się na wschodniéj pochyłości gór sandomiérskich, a mianowicie od Malic i Słoboszczowic aż do Wisły pod Sandomiérzem, przerzucają się na drugą stronę Wisły i tworzą pokłady między Modliborzycami, Janowem, Gorajem i Frampolem.

Za główne ogniwa téj formacyi uważać można: czysty biały piasek, a pod Zagrodami poniżéj Opatowa szary wapnisty piaskowiec, zawierający różnéj wielkości ziarna kwarcowe, ułamki małych cerytów, słabiéj (jak pod Szydłowem, Chmielnikiem, Sandomiérzem) lub mocniéj (jak pod Gnojnem między Chmielnikiem a Szydłowem i pod Kurozwękami) połączone. Piaskowiec ten powoli się zmienia w kwarcyt, a nakoniec przechodzi w czysty kwarc, jak to widzieć można pod wsią Grabowem niedaleko Zawichosta. W innych okolicach nad poprzednim pokładem pokazuje się piaskowiec gruboziarnisty w odosobnionych bałwanach, jak *np:* w okolicach Chełma i Lublina. Po wapiennym piaskowcu z muszlami następuje bezpośrednio i najczęściéj młodszy od niego grochowcowy zlepieniec, złożony z wapnistych ziarn wielkości grochu lub soczewicy, nieznacznie cementem spojonych, tworzący ogromne pokłady albo osobne skały, jak pod Ossówką niedaleko Szydłowa. Zlepieniec ten łatwo się daje obrabiać w ciosy i z niego to układają się łomy między Frampolem i Józefowem. Nakoniec ponad wapiennym zlepieńcem występuje skała złożona z grubych ziarn i zawierająca zaokrąglone ułamki szarego wapienia, łupku jaspisowego i kwarcytu, tudzież ułamki wielkich skorup muszlowych. Skała ta najłatwiéj może być uważaną pod Młynami między Chmielnikiem i Buskiem, tudzież między Buskiem a Stopnicą, Staszowem a Klimontowem, Frampolem a Józefowem. Wszystkie rodzaje tego piaskowca, stosownie do wielkości ziarn i do spojności, wydają mniéj więcéj dobry kamień młyński. Formacya którąśmy wyżéj przeszli jest ostatnią osadową formacyą morską.

Tak tedy, zastanawiając się nad formacyami osadowemi morskiemi, ze względem na ich wiek, doszliśmy do pokładów formacyi potopowéj (diluvium), które przedstawiają glina potopowa i wielkie zaspy piasków. Glina potopowa żółtawa, w suchym stanie rozsypująca się, zawiérająca znaczną ilość wapna, tworzy pokłady na 30, a nawet na 100 stóp grube, i sadowi się na marglu kredowym i na łupku szarowakowym w Sandomiérskiém. Główne jéj pasmo ciągnie się wzdłuż Wisły, co wskazują urwiste brzegi téj rzeki i głęboko wyżłobione w niéj przez potoki wąwozy, jak to widzieć można koło Proszowic, Działoszyc, Opatowca, Pacanowa, Klimontowa, Sandomiérza, Opatowa, Kunowa, aż do Kazimiérza, odkąd z jednéj strony idzie przez środkową i południową część Lubelskiego, a z drugiéj, pomięszana więcéj z piaskiem, ku Warszawie, i daléj przez Warszawę, Zakroczym, Wyszogród, Płock, Dobrzyń i Chełmno ciągnie się ku północy. Piasek potopowy pokrywa większą część powierzchni gubernii warszawskiéj, płockiéj, augustowskiéj i północną stronę lubelskiéj. Przy tym piasku w jednym okresie naniesione zostały ułam-

ki skał tak zwanych piérwotnych, a mianowicie granitowych i syenitowych. Granica południowa tych naniesionych ułamków, stanowiących zwyczajne kamienie polne czyli brukowe, idzie po linii łączącéj Częstochowę, Przedbórz, przy stopie gór sandomiérskich, za Wisłą przez Lublin, Lubartów ku Pińszczyźnie i daléj.

Najczęściéj spotykane gatunki tych skał są: ciemno-czerwony granit, z małą ilością kwarcu, miki i amfibolu pomięszany, ciemno-czerwony porfir, szary granit z wielką ilością amfibolu, granit zawierający w sobie granaty, i najważniejszy, albowiem najobfitszy, pod Warszawą, grubo-ziarnisty granit, z pięknym zielonkawym i szarym feldszpatem, czarną miką i granatem trapezoidalnym. Oprócz różnych odmian granitu znajdują się jeszcze często między naszemi kamieniami polnemi czyli brukowemi ułamki skał syenitowych, dyorytowych, porfirowych, melafirowych, czerwono-piaskowcowych i innych.

Pochodzenie tych skał dzisiaj już dostatecznie objaśniono. Są to narzuty z pierwotnych gór Finlandyi i Szwecyi, rozsypane po naszych polach; tylko że dowodzić tego twierdzenia tu nie możemy, z powodu krótkości artykułu.

Ostatnie miejsce w rzędzie utworów geologicznych naszéj ziemi zajmują pokłady napływowe rzeczne, czyli, jak je nazywa szanowny professor Jastrzębowski, powodziowe (1).

Do pokładów tych rzecznych powodziowych należy głównie muł czyli mada nadrzeczna, stanowiąca u nas grunta nizinne, nadrzeczne, nazywane powiślami albo w ogóle nadrzeczami, jakich przykład przedstawiają sławne powiśla rozciągające się na prawym brzegu Wisły między Piotrowiną, Opolem i Kazimiérzem w powiecie lubelskim, a na lewym między Nowém-miastem-Korczynem i Sandomiérzem, tudzież koło Sieciechowa i Kozienic w powiecie radomskim. Żuławy także, czyli rozległe niziny rozciągające się szczególniéj nad Nogatem, winny są swą głośną urodzajność temu gatunkowi napływów rzecznych.

Drugim utworem należącym do formacyi napływowéj powodziowéj, (która tém się różni od formacyi napływowéj potopowéj, że nie objawia w sobie ułamków skał pierwotnych skandynawskich), są piaski nadrzeczne, które, szczególniéj po opadnięciu rzek, znaczne zajmują nad niemi przestrzenie, i nawet stanowią niekiedy dość żyzne pola, jak to widzieć się daje np. między Warszawą i Jeziorną, gdzie właśnie pola czerniakowskie, wilanowskie i powsińskie liczyć się powinny do tego rodzaju napływów rzecznych.

Do najnowszych formacyj geologicznych należy jeszcze formacya napływowa wietrzna, tém się różniąca od napływowéj powodziowéj, że składa się tylko z samego, i to bardzo miękkiego, piasku, jaki stanowi u nas najlżejsze grunta żytnie i pszenne, np. między Pragą i Białołęką, tudzież między Marymontem i Puszczą kampinoską. W formacyi téj napotykamy niekiedy znacznie wysokie góry, jakich nigdy nie widziémy w formacyi powodziowéj.

Do utworów geologicznych najnowszych policzyć jeszcze wypada utwór martwicy czyli tufu wapiennego, jaki tworzy się jeszcze dotąd przy sławném źródle Kadłubka, przy wsi Karwowo w powiecie opatowskim, i powstaje z osadzającego się węglanu wapna, który jest rozpuszczony w wodzie tegoż źródła, z przyczyny że ta woda zawiéra dużo kwasu węglanego. Ostatni nareszcie geologiczny utwór stanowią pokłady torfu i ruda żelazna bagienna, co oboje możnaby nazwać formacyą organiczną, bo tak torf jak ruda o któréj mowa formują się z gnijących roślin, owadów i innych tworów organicznych, żyjących na błotach i bagnach. Torf znajduje się wszędzie w miejscach nizkich i bagnistych, na których się ukazuje Wełnianka, zwłaszcza pochewkowata (*Eriophorum vaginatum*); ale największe jego pokłady zdają się obejmować bagna kujawskie i augustowskie, utworzone z zarosłych dawnych jezior i ich odnóg, czego przykład wskazuje sławne bagno Bachorze w Kujawach, powstałe z zarośniętéj wschodniéj odnogi Gopła, i dwa inne podobne do niego, ale jeszcze większe, to jest jedno zwane Pulwami blizko Pułtuska, a drugie Białém-błotem, między Łomżą i Tykocinem.

W dawnych pokładach torfu napotykamy już to pnie lignitowe, już małe muszelki rzeczne, już nakoniec znakomite szczątki wielu ssących zwierząt, które zamieszkiwały owe okolice. W naszych torfach znajdujemy kości, a mianowicie czaszki wołu

(1) Nazwiska poniżéj wymienionych formacyj, jak również wiele wiadomości do całego artykułu, łaskawie udzielić nam raczyli: pp. Hieronim Łabęcki i professor Wojciech Jastrzębowski.

kopalnego (Bos primigenius) (1) i żubra kopalnego (Bos priscus), które z wielu miejsc odszukane, wzbogacają gabinet zoologiczny warszawski.

Próchnica czyli ziemia leśna, stanowiąc zasadę naszych gruntów podleśnych, łąkowych, pastwiskowych i czarnoziemów polnych, zwanych w Lubelskiém borowinami, a na Wołyniu i Ukrainie ziemią stepową, jest podobnym utworem jak torf, bo tak jak on powstała i dotąd powstaje z rozkładu roślin łąkowych, pastwiskowych, stepowych i polnych, a zatém podobnie jak torf liczyć się powinna do formacyi organicznéj i uważać za najnowszy utwór geologiczny, dotąd niesłusznie liczony do utworów napływowych, bo niéma w nim nic napływowego, to jest przez wodę naniesionego, ale wszystko z miejscowego rozkładu roślin powstałe. Szlamu czyli stawiarki, tworzącéj niekiedy w nowych i starych stawach pokłady grube na kilka stóp, nie można także uważać w całkowitości za utwór napływowy, bo tylko w części złożony on jest z naniesionych cząstek żyznych przez wodę, a głównie powstaje ze zgnicia roślin i innych tworów wodnych miejscowych, tudzież z odchodów rybich i ptastwa wodnego, przez co stanowi on, (tak jak próchnica, torf i sławne guano zamorskie) jednę z głównych części formacyi organicznéj, któréj nigdy nie można brać za jedno z formacyą napływową powodziową, a tém mniéj z wietrzną, źródlaną i potopową, stanowiącemi nasze grunta nadrzeczne, wydmy, tuf wapienny, źródlany i pola z kamieniami narzutowemi.

A. Wiślicki i *S. Löwenhard.*

(1) Fig. 18; czaszka ta znalezioną została w 1840 roku we wsi Pruszkowo w Płockiém.

SZKOCYA I JÉJ MIESZKAŃCY.

Szkocya dla badawczego postrzegacza przedstawia wiele godnych najwyższego zajęcia rysów obyczajowo-politycznych. Zewnętrzna fizyognomia kraju i jego mieszkańców, ich zwyczaje i obyczaje, sympatye i antypatye, których nie zmieniło i trzywiekowe blizko połączenie z Anglią, wszystko to niezmiernie jest ciekawe. Studyowanie ludu co zachować umiał niezatarte piętno narodowości, a przytém podążył za postępem oświaty, co łączy w sobie rzewne wspomnienia przeszłości i podaniowe przywiązanie do dawnych swych królów, z wiernością dla władzców teraźniejszych, słowem co pozostał samym sobą, pomimo że utracił byt samodzielny, studyowanie to, powtarzamy, wysoki dla badacza przedstawia interes.

Na piérwszy zaraz rzut oka Szkocya różni się zupełnie od Anglii nawet cechami fizycznemi. Przybywając od południa, po lesistych wzgórzach Nortumberlandu następują przestrzenie prawie całkiem bezdrzewne, w których rzadko tylko napotkać można jaki folwarczek dzierżawny, a rzadziéj jeszcze pałace wielkich właścicieli gruntowych. Puszczając się drogą od Berwik do Edinburga, widać na prawo morze, które w oddaleniu zacieśnione dwoma łańcuchami gór, przepyszną tworzy perspektywę.

Edinburg nie posiada wprawdzie tak słynnych piękności malowniczych jak Lozanna albo Neapol, ale z tém wszystkiém zachwycającą przedstawia panoramę. Stojąc na szczycie krzesła Arturowego, ogarnia się jednym rzutem oka stare i nowe miasto, kręty bieg Lejty i modrą wstęgę Frity upstrzoną zielonemi kępami; daléj po wzgórzach budowle w stylu gotyckim i horyzont złotą siecią opasujący łańcuchy gór Portland, Braid i strome wyniosłości Salisbury; na ostatnim wreszcie planie hrabstwa Fife i Lotian.

Zwracając się ku północo-zachodowi, wstępujemy w świat Walter Scott'a, spotykamy romantyczne pledy i czapki z sokolemi piórami. Minąwszy zamek Stirling, wchodzi się w chaotyczny labirynt urwisk, strąconych burzą ze skał przyległych, przez które z trudnością tylko wędrowiec toruje sobie drogę. Na szczytach niebotycznych Ben-An i Ben-Venue gnieżdżą się orły, a stopy ich myje jezioro Katrin, podziemnemi zasilane zdrojami.

Ztąd, śladem krętego strumyka, dochodzi się do

brzegów Loch Lomand, najpiękniejszego jeziora Szkocyi, z mnóstwem wysepek po części uprawnych, po części przez dzikie zamieszkałych zwierzęta. Patrząc na te massy zieleni, wyrastające jakby wprost z przezroczystéj toni, w któréj, jak w zwierciedle, odbijają się starożytne zamki lairdów, słysząc odgłos rogów kaledońskich pasterzy, wtórzony echem gór sąsiednich, zachwycony podróżnik czuje się jakby przeniesionym w inny zupełnie świat, w odległą przeszłość średniowieczną.

Sród tylu powabów przyrodzonych najprzykrzéj w Szkocyi uczuć się daje klimat niezmiernie dżdżysty i niestały, niedozwalający częstokroć używać ich swobodnie. „Czy u was zawsze dészcz pada?" zapytał Walter Scotta w czasie pobytu swego w Abbatsford baron d'Haussez. „Przeciwnie, odrzekł wielki bard szkocki, czasami pada i śniég." Żartobliwa ta odpowiedź wiele w sobie zawiéra prawdy; bo w kraju tym rzeczywiście rzadki dzień przejdzie bez dészczu albo śniegu.

Ludność Szkocyi z dwóch głównie składa się plemion: z *Celtów* zamieszkujących po większéj części okolice górzyste, i z *Piktów* przeważnie osiedlających niziny.

Piktowie czyli Normannowie w piérwotnéj niemal czystości przechowali się na brzegach wschodnich i stanowią większość ogólnéj liczby mieszkańców. Odróżnia ich smagła żylasta budowa ciała, włos jasny i twarz pociągła. Pod względem umysłowym odznaczają się tkliwością i bystrém pojęciem, lecz zbywa im na wyobraźni i głębszém uczuciu poetyczném. Wrażliwi, a zatém skłonni zarówno do nienawiści jak do przyjaźni, umieją poświęcać się dla osób ukochanych, ale i mścić niezbłaganie na wrogach. Narzecze ich nawet miękkie i łagodne wielce się różni od krótko urywanego dialektu Anglików i szybkiéj zaniedbanéj mowy Irlandczyków. Wybitniejszą jeszcze jest ta różnica pod względem układności zewnętrznéj, którą korzystnie się odróżniają od innych synów Albionu. Bystrości umysłowéj tego plemienia dowodzą badania abstrakcyjne i filozoficzne, tudzież roztropne postępowanie w stosunkach życia praktycznego. Pod względem naukowym Szkocya stoi dziś rzeczywiście na równi z Anglią i Francyą, pod względem zaś wychowania publicznego przewodniczy nawet tym krajem.

Pokolenie Celtów zamieszkuje okolice zachodnie. Górale ci, wzrostu średniego, krępéj budowy, włosów ciemnych, cery brunatnéj i czoła nizkiego lecz wydatnego, odznaczają się pod względem fizycznym siłą i żywością ruchów, pod względem zaś moralnym namiętnością i polotem wyobraźni. Poetyczne ich usposobienie matka lorda Byrona, góralka szkocka, przelała w wielkiego wieszcza. Tak więc przymioty tych plemion piérwiastkowych wzajemnie się dopełniają, i zamalgamowane tworzą charakter narodowy Szkotów, pełen męzkiéj energii, uczucia i wysoko wyrobionéj intelligencyi.

Skutkiem ponawianych usiłowań ostatnich Stuartów ku odzyskaniu władzy, przywiązanie Szkotów do dawnéj dynastyi długo się przechowywało, a po części przechowuje i dotąd, nietyle w znaczeniu politycznem, jak w kształcie tradycyi i czci niemal religijnéj. Jakkolwiek od trzech blizko wieków wcielona do Anglii, Szkocya zachowała rodowe swe żywioły i umié popiérać w parlamencie interesa swe materyalne. Arystokracya szkocka nie lubi wydalać się za granicę, jak angielska, co jest dowodem dobrze zrozumianéj miłości swego kraju. Klassy średnie i niższe, w okolicach zwłaszcza górzystych namiętnie lgnące do pamiątek przeszłości, zachowały strój narodowy swoich ojców, pomimo niewielkiéj jego praktyczności w klimacie tak przykrym. Rodzaj beretu pokrywa wiérzchnią tylko część głowy; płaszcz kratkowany więcéj malowniczo jak wygodnie obwija ramiona; pod nim obcisły kaftan i suknia spodnia do kolan, także kratkowana; kolorowe pończochy w kratkę sięgają do wyższéj połowy łydki, reszta nogi goła. Wojsko nawet szkockie w umundurowaniu swojém przypomina te cechy narodowe.

Ulubioném narzędziem muzyczném Szkotów są dudy, których głos przeraźliwy, jednostajny wszędzie po kraju się rozlega. I pułki szkockie, zamiast bębnów i trąb, używają tego instrumentu, jakkolwiek ton jego, przy całéj swéj ostrości niebardzo donośny, ani ucha nie pieści, ani działać nie może wzbudzająco na tłumy, ani wreszcie w odległe miejsca przenosić hasła wojenne. Lecz odgłos dudów prowadził niegdyś do zwycięztwa klany Wilhelma Wallace i hufce Roberta Bruce, a więc dziś jeszcze Szkotów, żyjących wspomnieniami przeszłości, zapala do boju.

W znaczniejszych miastach Szkocyi, a szczególniéj w wyższych kołach, znaleźć można wszystko co upiększa życie i podnosi umysł. Powaby towarzyskości i skarby nauki naprzemian nęcą cudzoziemca; bo w żadnym może kraju Europy mieszkańcy nie starają się tyle uprzyjemnić pobyt przy-

byszom, pragnąc zapewne aby każdy miłe po drogiéj ich ojczyznie zachował wspomnienie. Zaprawdę, najniewinniejszy to rodzaj kokieteryi!

Z mniéj może duchowych pobudek wypływa zalotność Szkotek. Są ony po większéj części wysmukłe, jasnowłose i bardzo białe, a lubo natura odmówiła im delikatności rysów właściwéj kobiétom innych krajów, umieją jednak zająć ukształceniem i wdziękiem ułożenia, którego wpływu doznaje każdy co tylko do nich się zbliży. Piękność ich najwydatniéj jaśnieje na balach, gdzie obok powabów ciała, czarują przyjemną i dowcipną rozmową. Mężczyźni, więcéj poważni, lecz przyjacielscy i gościnni, łatwiéj nierównie od Anglików stosować się umieją do form towarzyskich lądu stałego, a ztąd i w pobycie za granicą nie okazują tyle co tamci dziwactwa i szorstkości.

Potomkowie dawnych naczelników klanów (lairdowie) i dziś jeszcze mają pewne zwierzchnictwo nad klanami, które noszą ich nazwiska i barwy. Między niemi to przechowała się w całéj czystości starodawna gościnność, zaufanie i swoboda w pożyciu. Cudzoziemiec, byle tylko choć do jednego domu wstęp sobie otworzył, już tém samém i w innych tak uprzejmego doznaje przyjęcia, jakie gdzieindziéj zaledwo znajdują krewni i blizcy przyjaciele. Jedna rodzina oddaje go drugiéj, tak iż zaledwo opędzić się może natarczywym prośbom.

Pomiędzy prostym ludem podróżnik nadaremnie by szukał wygód życia, będących wynikiem dojrzalszéj cywilizacyi. Chléb czarny, żytni lub jęczmienny, mléko i sér są podstawą żywności górala szkockiego. Zamożniejsi obok tego używają mięsa i często niepomiernie zapijają *whisky* (żytniówkę). Mieszkania ich są to nędzne chaty, o jednéj zwykle izbie, w któréj właściciel mieści się razem z rodziną i z koniem. Bydła nie zamykają tu wcale, tylko dniem i nocą zostawiają je na pastwiskach ogólnych, gdzie każdy swoje sztuki odróżnia po cechach.

Naczelnicy klanów, choć żyją nieco lepiéj, podzielają zabawy i zwyczaje ludowe. Przy stołach ich krąży kielich z whisky, rozlega się głos ulubionych dudów i odzywają ballady o Robercie Bruce i Wilhelmie Wallace. Dumni ze swego pochodzenia, dodają do własnych imion imiona ojców, dziadów i pradziadów. *Tartan*, rodzaj materyi szkockiéj, dziś jeszcze lepiéj im się podoba od najpiękniejszych wyrobów rękodzielni angielskich.

Nowoczesne idee liberalne nie znalazły dotąd wstępu do gór szkockich i zapewne nie tak prędko go znajdą; bo choćby który z oświeceńszych lairdów chciał nowość jaką wprowadzić, nie może tego uczynić bez zwołania członków klanu, a wszelkie przedłożenia dążące do zmiany obecnego stanu rzeczy niewątpliwie rozbiłyby się o upór tych nieugiętych reprezentantów ludowych.

NAJNOWSZE ZASTOSOWANIA GALWANOPLASTYKI.

Galwanoplastyka jest jednocześnie nauką, sztuką i przemysłem: nauką, ponieważ głównym w niéj działaczem jest elektryczność; sztuką, z powodu zastosowania swojego do wyrobów w których forma przeważa; przemysłem wreszcie, z przyczyny rozlicznych swych posług praktycznych. Trzy te podziały dążnościowe naszego wieku: intelligencya, uczucie i potrzeby materyalne, zdają się rzeczywiście być oparte na naturze ducha ludzkiego; galwanoplastyka zaś, jako o wszystkie po trosze zawadzająca, wszystkie téż klassy społeczeństwa żywo obchodzić powinna.

Kiedy powszechna wystawa paryzka dla świata całego otworzyła współzawodnictwo przemysłu i sztuki, najważniejszym przedstawicielem Francyi na polu galwanoplastyki został p. Christofle. Wistocie widok pracowni tego na wielką stopę przedsiębiercy wzbudza mimo woli podziw i uwielbienie. Tysiąc kilkaset robotników i robotnic, od prostych wyrobników, aż do artystów piérwszorzędnych, modeluje tam, odléwa, galwanizuje, posrébrza, pozłaca, poleruje niezliczoną ilość przedmiotów metalowych, począwszy od skromnego posrébrzanego sztućca, aż do wspaniałych kunsztownėm wy-

kończeniem i ogromnych rozmiarem wyrobów bronzowych pozłacanych. Działacz naukowy, elektryczność, zaklęty przez p. Christofle w niewielkim gabineciku, przesyła swoje prądy za pomocą długich drutów do zbiorników przeznaczonych na strącanie złota i srébra, i do miejsc w których metal cienkiemi warstewkami przyobleka najróżnorodniejsze artystyczne wyroby.

Patrząc na tę łatwość cudowną z jaką osady metaliczne, pod wpływem siły elektrycznéj, utrwalają się w posągi, wazony i rozmaite przedmioty użytkowe, przypominamy sobie potężne formacye solne wyspy Onis przy zachodnio-północném pobrzeżu Hiszpanii, które z wiecznie ruchomych fal oceanu występują w kształtach stałych. Tam parowanie jest tém, czém w galwanoplastyce elektryczność; tylko że nierównie mniéj zadziwia widok kryształów soli powstających skutkiem ulotnienia się wody, jak w owém dziele elektryczności połączenie odosobnionych atomów metalu w całość jednolitą. Przed dwoma lub trzema jeszcze dziesiątkami lat zdawałoby się niepodobieństwem żeby z subtelnych cząstek metalicznych, nagromadzanych pojedynczo jedne na drugie, otrzymać można bryły złota, srébra i miedzi, a jednak dziś o tém przekonywa codzienne doświadczenie.

Gdy w dobrze zaopatrzoném laboratoryum chemiczném znajdziemy słoiki zawiérające czarny proszek, z napisami: węgiel ziemny, węgiel drzewny, węgiel cukrowy i t. p., odsuniemy je, jako bynajmniéj nie ciekawe. Ale obok stojące słoiki, także z czarnym niepozornym proszkiem, noszą napisy: żelazo, miedź, cynk, ołów, cyna, srébro, złoto, i te już żywe obudzają w nas zajęcie. Wątpimy jeszcze czy napisy, tak sprzeczne z pozorem zewnętrznym, są rzetelne; lecz chemik w oczach naszych bierze po cząstce tych proszków, topi je w tygielku pod działaniem dmuchawki i pokazuje nam bryłkę szczérego złota, srébra albo miedzi, stosownie do naczynia z jakiego zaczerpnął owéj czarnéj substancyi.

Nastręcza się tu uwaga że adepci wieków upłynionych, mniemani posiadacze kamienia filozoficznego, otrzymawszy raz szlachetne metale w czarnym osadzie, łatwą mieli sprawę z tak zwaném robieniem złota. Sypali oni swój proszek metaliczny, zamiast węgla, do retorty, a potém wydobywali z niéj tyle właśnie złota, ile poprzednio włożyli.

Dziś galwanoplastyka, za pomocą płynów odpowiednio umetalizowanych, powleka dane przedmioty złotem, srébrem, platyną, miedzią, i to, według woli naszéj, albo cienką tylko warstewką, albo blaszką mniéj więcéj grubą, lub wreszcie, gdy zechcemy, utworzyć może nawet bryły jednolite; zależy to od czasu działania stosu galwanicznego.

Stos galwaniczny, cudowny ów wynalazek Volty, dostarczany dziś tysiącami do telegrafów elektrycznych, na początku tego stulecia zajmował tylko miejsce w gabinetach fizycznych. Obecnie ciepło, światło, połączenia i rozkłady chemiczne, strącanie metalów w cząstkach niewidzialnych, posługę telegraficzną, siłę ruchu, wszystko to otrzymuje się za pomocą owego działacza nieważkiego, niedojrzanego wzrokiem i równie tajemniczego w kawałku laku, który potarty o suknią przyciąga lekkie ciałka, jak w gromonośnéj chmurze, gdzie się objawia piorunem. Geniusz człowieka, podbiwszy już pod swą władzę powietrze, wodę, ogień, parę i światło, umiał nareszcie i siłę piorunu zamienić w narzędzie swojéj woli, i rzecz szczególna, straszny ten czynnik fizyczny okazał się najpowolniejszym i najbardziej skutecznym ze wszystkich jakie intelligencya zdobyła na przyrodzie.

Na wystawie paryzkiéj podziwiano także wyroby galwanoplastyczne pp. Hulot i Coblence. Pan Coblence odtwarza stronnicę drukowaną, z tekstem i z kliszami, w taki sposób że może służyć do odbijania na prasie, czyniąc tym sposobem reprodukcyą dzieł illustrowanych równie łatwą i tanią jak zwyczajną reprodukcyą drukarską. Pan Hulot do niepoznania naśladuje bilety bankowe i pieczęcie, odbijane w tysiącznych egzemplarzach; klisze jego otrzymywane drogą galwanoplastyczną są nieporównane, a w reprodukcyi rycin posunął się rzeczywiście do ostatecznych krańców sztuki. Pracownia jego przy mennicy paryzkiéj jest prawdziwym przybytkiem naukowym.

Na jedném z tegorocznych posiedzeń akademii nauk w Paryżu p. Lenoir, galwanoplastyk piérwszego rzędu, przedstawił bronzy w najwyższym stopniu wykończone, jednostajnéj wszędzie grubości a przytém nadzwyczaj lekkie. Sposób otrzymywania jego wyrobów zależy na wprowadzaniu do wnętrza formy jednego lub kilku drutów przewodniczących, które po całéj powiérzchni wydrążenia osad metaliczny równo rozkładają. Można tą drogą otrzymywać przedmioty dowolnéj wielkości, a przedłożone akademii nauk rzeczywiście nazwać można arcydziełami.

Rozumié się samo z siebie że każdy galwanoplastyk-artysta wyrabia także wszelkiego rodzaju ornamentacye, których liczba jest nieskończona; bo wszystko co tylko można pomyśléć otrzymuje się teraz drogą galwanoplastyczną, z pominięciem dawnego sposobu za pomocą odlewów, który nadwereża formy i nie przedstawia takiego wykończenia.

Najpowszechniejszym przeto celem galwanoplastyki nazwać można udoskonalenie prac artystycznych, połączone ze znakomitém obniżeniem ich ceny. Wszelako równie rozległe zastosowanie znajdzie ona z czasem i w zawodzie przemysłowym: olbrzymi zakład p. Oudry w Auteuil, którego współpracownikiem jest p. Levret oficer marynarki francuzkiéj, już dzisiaj dotykalne w tym względzie przedstawia dowody. Wyrabiają tam wprawdzie po części i przedmioty sztuki, biżuterye, ryciny, klisze, medale i t. p.; lecz najważniejszym produktem pracowni p. Oudry są sztuki wielkich rozmiarów, szczególniéj dla użytku marynarki.

W istocie powiedzieć można że p. Oudry wszystkie przedmioty zamienia nie w złoto, jak niegdyś usiłowali alchemicy, ale w miedź. Rury ogromnéj długości, walce do wyciskania płócien i perkalów, potężne łańcuchy okrętowe, kraty, gwoździe kotlarskie, rynny, powleka on warstwą tego metalu, nierównie trwalszego od żelaza. Marynarka francuzka wprowadziła już w użycie niektóre wyroby p. Oudry, zwłaszcza do budowy latarń morskich.

Lecz najkolosalniejszém podobno zadaniem galwanoplastyki jest pokrywanie spodów okrętowych grubą warstwą miedzi, dla ubezpieczenia ich od niszczącego wpływu wody morskiéj. I otóż zakład Auteuil blizkim jest osiągnięcia tego celu, bo w przyrządzonych ku temu sadzawkach metalicznych ogromne już sztuki drzewa, ponabijane w równych odstępach gwoździami miedzianemi, podszył niejako miedzią. Po takich próbach żadnych już dla galwanoplastyki niéma granic, i słusznie nazwać, ją można sztuką robienia tego wszystkiego na zimno, co dawniéj wykonywano za pomocą ognia i topienia. W pracowniach p. Oudry wszystko powleczone jest miedzią, nawet szyny małych kolei służących do kommunikacyi wewnętrznéj; a niéma wątpliwości że nawet żywe ciała organiczne dałyby się galwanoplastycznie pobronzować.

Dwa więc ostatnie czynniki przyrodzone które nauka w najnowszych czasach ku celom swoim obróciła, światło i elektryczność, w dwóch różnych gałęziach sztuki zastapiły prace ludzką: światło przez fotografią stało się malarzem, elektryczność przez galwanoplastykę snycerzem. Na polu zaś zastosowań czysto przemysłowych obydwa te działacze nieocenione świadczą nam, i jeszcze świadczyć będą, przysługi.

KONIEC CZĘŚCI PIÉRWSZÉJ.